

JERZY STEMPOWSKI
(PAWEŁ HOSTOWIEC)

OD BERDYCZOWA DO RZYMU

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1971

OD BERDYCZOWA DO RZYMU

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY
UNIWERSYTETU W WARSZAWIE
WARSZAWA 1954

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 210

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

JERZY STEMPOWSKI
(PAWEŁ HOSTOWIEC)

OD BERDYCZOWA DO RZYMU

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1971

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE « KULTURY »

Eseje dla Kassandry, 1961

W INSTYTUCIE LITERACKIM
W RZYMIE

Dziennik podróży do Austrii i Niemiec, 1946

Il calvario continua... Diario di un viaggio in Austria e Germania,
przeł. Carlo Verdiani, 1947



II 1.985.177
chw.

Jerzy Stempowski pochodzi z rodziny wielkopolskiej osiadłej w XVII wieku na Ukrainie i posiadającej tam liczne majątki ziemskie, uległe konfiskacie po 1831 i 1863. Pozostałe po nich okruchy fortuny, wobec szybkiego rozwoju gospodarczego Ukrainy, pozwalały jednak dostatnio żyć.

Jerzy Stempowski urodził się w 1894 w Krakowie, gdy ojciec jego, Stanisław, znajdował się w więzieniu śledczym w Kijowie, matka zaś szukała schronienia na terytorium austriackim.

Pierwsze sześć lat życia spędził Jerzy nad południowym Dniestrem, gdzie ojcu jego wyznaczono przymusowe miejsce pobytu, pod nadzorem policji.

Zwolniony spod nadzoru w 1902, Stanisław Stempowski przynosi się do Warszawy, gdzie przez kilka lat wydaje tygodnik *Ogniwo*. W domu ojca Jerzy poznaje pisarzy i publicystów, grających pewną rolę w ówczesnym życiu umysłowym kraju, jak Ludwik Krzywicki, późniejszy senator Stanisław Posner, Stefan Żeromski, Wacław Sieroszewski, Gustaw Daniłowski, Selim-Bukowiński i inni.

W tym czasie, poza Galicją, nie było szkół polskich i nawet nauczanie języka polskiego było karane więzieniem. Jerzy chodzi więc do szkoły rosyjskiej w Warszawie. Przez pierwsze trzy lata do szkoły Zgromadzenia Kupców, w której Żydzi stanowili połowę uczniów. Tam nawiązuje pierwsze kontakty i przyjaźnie żydowskie. Obok niego siedzieli na tej samej ławce późniejszy eseista Marceł Rafał Blüth i przyszedł aktor i reżyser Aleksander Węgierko, obaj zamordowani przez Niemców podczas okupacji.

W 1906 *Ogniwo* zostaje zamknięte i główni współpracownicy jego szukają schronienia za granicą. Stanisław Stempowski wybiera tzw. emigrację wewnętrzną i wraca na Ukrainę, gdzie po-

siadał w guberni podolskiej niewielki majątek. Jerzy Stempowski uczy się w gimnazjach rosyjskich w Niemirowie i Odessie. Maturę otrzymuje w 1911. Studiuje następnie na przemian historię i medycynę na uniwersytetach w Krakowie, Monachium, Genewie i Zurychu, gdzie pisze tezę o historykach rzymskich późnego cesarstwa.

Podczas swych studiów uniwersyteckich ogląda w Wenecji jedną z pierwszych wystaw włoskich futurystów i w 1915, w założonym przez Hugo Ball'a w Zurychu Cabaret Voltaire, pozna je pierwszych uczestników ruchu dada.

Wojna 1914 zastaje go w Szwajcarii, skąd latem 1919 wyjeżdża do Warszawy. Wspomnienia federalizmu jagiellońskiego sprowadziły tam wówczas wielu Ukraińców, Białorusinów, Tatarów, Kozaków, Kaukazczyków i innych ludów, szukających oparcia w odrodzonej Polsce. Stanisław Stempowski, biorący udział w ruchu narodowym ukraińskim od jego początków, był wówczas ministrem w rządzie Petlury. Z tego okresu Jerzy Stempowski wyniósł pewną ilość znajomości ukraińskich, z których przyjaźń z Jewhenem Małaniukiem miała pozostać żywa aż do jego śmierci w New Yorku w 1968 roku. Z innych kontaktów wschodnioeuropejskich wymienić można Czerwiakowa, prezydenta Republiki Białoruskiej, który popełnił samobójstwo w 1936 i Borysa W. Sawinkowa, którego widywał aż do jego podróży do Mińska.

Po dwuletnim stażu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Jerzy Stempowski zostaje korespondentem Polskiej Agencji Telegraficznej w Paryżu i Genewie, potem w Berlinie. Jako dziennikarz jest świadkiem wzrastających rozdzwieńców między zwycięskimi mocarstwami, słabości Ligi Narodów i pierwszych oznak upadku Republiki Wejmarskiej.

W maju 1926 wraca do Warszawy, gdzie pracuje w Prezydium Rady Ministrów i zostaje szefem gabinetu Kazimierza Bartla. Najbliższymi kolegami jego byli tam Stefan Starzyński, późniejszy prezydent Warszawy, zamordowany przez Niemców, i Wincenty Jastrzębski, były więzień Schlüsselburga. Z tegoż czasu datuje się jego przyjaźń z Mieczysławem Niedziałkowskim, jednym z najwybitniejszych działaczy PPS, również zamordowanym przez Niemców. Wiosną 1929 dymisjonuje i oddala się od grupy rządzącej. W tymże roku pisze swą pierwszą książkę „Pan Jowialski i jego spadkobiercy”, w której — w formie komentarza do komedii Fredry — daje wyraz poglądom krytycznym na dyktaturę Marszałka Piłsudskiego. Książka ta przeszła niepostrzeżenie i znalazła czytelników dopiero pod okupacją niemiecką.

Po ogłoszeniu krótkiej rozprawy o finansowaniu emigracji rolnej, znajduje pracę w Polskim Banku Rolnym. W 1934 zostaje

wykładowcą w Państwowym Instytucie Teatralnym. Był to ambitny twór Leona Schillera, reżysera i teatrologa, przyjaciela Gorchona Craiga, mający kształcić aktorów, reżyserów, filmowców i pełnić rolę centralnego laboratorium spraw teatralnych. Jerzy Stempowski wykładał tam na wydziale reżyserskim historię konwencji artystycznych.

Lata 1929-1939 były dla Stempowskiego pierwszym okresem działalności literackiej. Jego szkice ukazywały się w Wiadomościach Literackich i Skamandrze, w miesięczniku krakowskich profesorów Przegląd Współczesny, wydawanym przez Stanisława Wędkiewicza, w wileńskim miesięczniku teatralnym Comoedia, w Ateneum, wydawanym przez zamordowanego potem przez Niemców Stefana Napierskiego i in. Dłuższe i ambitniejsze prace, do których zebrał obszerne materiały, pozostały w stanie projektów. Do nich należy praca o starej cywilizacji rolniczej, której ślady widoczne są na Huculszczyźnie i u Kurpiów, następnie historia techniki literackiej od Renesansu do XX wieku. Okres był zbyt burzliwy na prace wymagające czasu i skupienia. Najlepiej charakteryzuje go historia biblioteki Stempowskiego. Jako młody student interesujący się historią i literaturą późnego cesarstwa rzymskiego, Stempowski zgromadził koło tysiąca tomów potrzebnych mu tekstów i opracowań. W 1914, widząc zbliżającą się wojnę, ulokował je w domu ojca na Ukrainie. Biblioteka ta zginęła całkowicie podczas rewolucji w 1918. Do zainteresowań klasycznych wrócił raz jeszcze w 1957, zamierzając napisać studium o estetyce Owidiusza, ale i do tej pracy nie znalazł sprzyjających warunków. Do historii techniki literackiej zgromadził w Warszawie koło 10.000 tomów, ale i tę nową bibliotekę porzucił uciekając.

W końcu września 1939 przedostał się przez Karpaty na Węgry, gdzie spędził pół roku pod opieką górskich przemytników. Wiosną 1940 wyjechał do Jugosławii, gdzie w Belgradzie był świadkiem próby opanowania miast przez niemieckich „turystów”. Przez Włochy przyjechał do Szwajcarii, na kilka dni przed początkiem działań zbrojnych we Francji. Zatrzymał się więc w Muri pod Bernem, gdzie po 11 latach otrzymał prawo osiedlenia się. Od 1948 jest stałym współpracownikiem paryskiej Kultury.

Powyższą notę biograficzną Jerzego Stempowskiego znaleźliśmy w jego papierach pośmiertnych. (Redakcja).

ESEJ BERDYCZOWSKI

Już tylko niespełna dziesięć lat dzieliło nas od upadku trzech cesarzy, którzy od Kongresu Wiedeńskiego panowali nad obszarami Środkowej i Wschodniej Europy, kiedy mój ojciec wziął mnie z sobą w podróż po Międzymorzu. Zaraz po żniwach wyjechaliśmy z okolic Baru i zdążaliśmy powoli na północ. Jechaliśmy po dawnych terenach Rzplitej Jagiellońskiej, znanych mi częściowo z poprzednich podróży. Myśli nasze i rozmowy szły jednak tym razem w stronę przyszłości.

Panowanie trzech cesarzy zaczęło się właśnie wykruszać w wyobraźni poddanych. Koniec ustalonego porządku był już w zasięgu przewidywań. Nawet bliskość terminów dawała się chwilami odczuwać, jak dreszcz poprzedzający wysoką gorączkę. Tym trudniej było wyjść myślą poza abdykację monarchów, ucieczkę ministrów, otwarcie więzień, słowem poza koniec istniejącego porządku. Wiadome było tylko, że nowy rozdział historii zacznie się od zwołania zgromadzeń konstytucyjnych. Jakie idee porządkowe i jakie interesy ludności dojdą w nich do głosu?

Jak iskry w gęstym dymie, pytania te pojawiały się i gasły w rozmowach z miejscową inteligencją, rewolucjonistami różnych obrządków, działaczami samorządowymi, mieszczanami i chłopami. Żaden konkretny obraz nie wynurzał się z tych rozmów. Rzecz w tym, że dawna Rzplita zostawiła w tym kraju niezliczone grupy społeczne, narodowościowe, wyznaniowe i zawodowe; każda wydawała się zamknięta w swym języku i obyczaju, bez żadnej więzi i nawet bez bliższego kontaktu z innymi. Powrót do warunków, w jakich powstał ten dziwny twór historyczny, wydawał się niemożliwy, przynajmniej w drodze rewolucji i zgromadzeń konstytucyjnych. Na domiar złego Zachód, w którym triumfował wówczas nacjonalizm, ofiarowywał jako wzór do naśladowania tylko pań-

stwo narodowe w stanie wiecznego zagrożenia i permanentnej mobilizacji. Model ten wydawał się niepraktyczny, zbyt daleki od rzeczywistości Międzymorza. Zresztą po dwóch wojnach sprzykrzył się także w Europie Zachodniej.



Berdyczów był jedną z pierwszych stacji podróży, która przez Mińsk i Kowno miała nas zaprowadzić do Rygi. Inne oglądane po drodze miasta stały trochę Berdyczów w mojej pamięci. Nie potrafiłbym go dokładnie opisać. Otoczony był przedmieściami tonącymi w zieleni sadów. Przyprószone kurzem, ciemne listowie czereśni i śliw wydawało się blaszane. W krytych słomą chatach mieszkali tam kołodzieje, kowale, kabannicy; w drewnianych dworach siedzieli panowie szlachta, zubożali, praktykujący wolne zawody i kształcący progeniturę w miejscowych szkołach.

W środku miasta, będącym zarazem dzielnicą handlową i gettem, przy brukowanych ulicach stały dwupiętrowe domy bielone wapnem, do którego tamtejszym zwyczajem dodawano szczyptę ultramaryny lub farb wodnych barwy róży i szafranu. Latem przejeżdżające wozy podnosiły obłoki kurzu.

Najokazalszym budynkiem był dawny klasztor karmelitów, mieszczący wówczas rosyjskie urzędy. Wspomnę tu tylko krótko przeszłość miasta: zbudowano je w czasach Giedymina, zdobywał je Chmielnicki, konfederaci barscy kapitulowali w nim po miesięcznym oblężeniu, po rozbiorach miasto przeszło okres upadku trwający do połowy XIX wieku.

Do trwałych osobliwości Berdyczowa należy znajdujące się za miastem obszerne wzniesienie, szeleszczące na wietrze suchymi trawami. Jest to sławna na cały kraj Łysa Góra, miejsce sabatów czarownic.

Po kilku dniach wyjechaliśmy z Berdyczowa, dokąd nie miałem już wrócić. Wspomnienie jego drzemało długo w mojej pamięci. Dopiero w pół wieku później zacząłem wracać doń myślą coraz częściej. W 1909 szukałem tam na próżno — jak mi się wydawało — obrazów przyszłości. Byłem w błędzie. W Berdyczowie widziałem kilka uderzających wzorów rzeczy przyszłych, nie umiałem ich jedynie odczytać.



Przy ulicy Machnowieckiej, głównej arterii Berdyczowa, znajdował się sklep Szafnagla, do którego panowie szlachta z bliższych

i dalszych okolic, zwłaszcza przed świętami i uroczystościami rodzinnymi, przyjeżdżali po pieprz, imbir, wanilię i inne towary kolonialne. Był to centralny punkt polskiego Berdyczowa. „Na Machnowieckiej, przed samym sklepem Szafnagla” — pisał Michał Czajkowski.

Długi szereg pojazdów stał przed sklepem: karety, powozy, fajetony, wasągi, bryczki, szarabany i wozy drabiniaste. Wzdłuż nich, parami lub w małych grupach, przechadzali się przyjezdni w pudermantlach, prowadząc ożywione rozmowy. Dla rozproszonych po powiecie Sarmatów, ziemian czy oficjalistów, ulica Machnowiecka i sklep Szafnagla były głównym miejscem spotkań i źródłem ostatnich nowin. Przechodząc słyszałem strzępy rozmów o imieninach u ciotki Tekli, o chrzcinach u Kapruckich, o tym jak Szułybułdowicz próbował kupić w Jarmolińcach czwórki koni, i co z tego wynikło. Zniżając nieco głos mówiono także *de publicis*, o wiadomościach, jakie Hejbowicz przywiózł z Petersburga a Ciotowicz z Warszawy. Dzielono się informacjami o cenach zboża, przywiezionymi przez kupców z Odessy. Źródłem wielu wiadomości było też getto berdyczowskie, gdzie wielu miało krewnych w Nowym Jorku i w Buenos Aires.

Rozmowy toczyły się wesoło, wielkim głosem, jakim mówią na wsi; wszyscy byli radzi spotkaniu i okazji do wymiany nowin. Miałem przed sobą obraz najgłębszej prowincji; wieści ze świata przychodziły tam rzadkie i spóźnione, w relacjach podróży. Kronika wypadków miejscowych nie zawierała wiadomości ważniejszych od przygód Szułybułdowicza w Jarmolińcach. Zdawało się, że poza terminami płatności weksli przechadzający się po Machnowieckiej nie mieli większych trosk. Ich świadomość historyczna — *Geschichtsbewusstsein*, jak nazywają to Niemcy — była w uśpieniu. Żyli w zaciszu, z dala od głównego nurtu wypadków, mających przynieść — także w Berdyczowie — wielkie przemiany.

Byłem wówczas bardzo młody, ale widziałem już stolice Europy Zachodniej, gdzie ważyły się losy świata. Widziałem pruskich oficerów z pałaszami, pętającymi się w połach granatowych surdutów, oficerów austriackich w obcisłych bluzach i sztywnych czapkach z bączkiem, widziałem wreszcie wojskowych francuskich w czerwonych portkach. Znałem nazwiska mężów stanu, trzymających rękę na dzwonku alarmowym.

Widok Sarmatów, przechadzających się „przed samym sklepem Szafnagla”, dostarczał mi pustej zabawy. Nie znałem jeszcze Tukididesa i — jak pozostali Europejczycy — nie widziałem jasno nieuniknionego końca wojny o hegemonię kontynentu, do której właśnie główni protagoniści zajmowali pozycje wyjściowe.

Nie przewidywałem też wcale, że obraz Machnowieckiej ulicy stanie się dla mnie miarą rzeczy, rodzajem trzciny, którą anioł Apokalipsy każe mierzyć instytucje i ludzi.

Dopiero w 35 lat później, gdy na tarasie genewskiej kawiarni przeczytałem pierwszą obszerniejszą relację z konferencji jałtańskiej, zgromadzenie szlachciców przed sklepem Szafnagla stało mi przed oczami jak żywe. W ramach amerykańsko-rosyjskiego pokoju okrojona Europa zesłała do rządu prowincji. Zajęci swą *prosperity*, jak berdyczowscy Sarmaci sprzedają zboża i płatnością weksli, Europejczycy nie mogą dokonać niczego, co by mogło zmienić ustalony w Jałcie porządek rzeczy. Niektórzy patrzą z niedowierzaniem lub nawet wzburzeniem na nową sytuację. Mądrzejsi radzą nie szarpać się, znosić, czekać. Nawet rozmowy Europejczyków zbliżyły się do berdyczowskich wzorów. Wiadomości z miejsc, gdzie zapadają decyzje, przychodzą w późnych i zniekształconych wersjach, podobnych do relacji Hejbowicza z podróży do Petersburga.



Idąc wieczorem ciemnymi ulicami miasta spostrzeżliśmy oświetlone okna, z których dochodziły głosy przypominające modlitwy. Żydzi berdyczowscy byli w znacznej części chasydami i mieli — jeżeli wierzyć encyklopedii Brockhousa — 74 domy modlitwy. Gdy zbliżyliśmy się, głosy stały się wyraźniejsze. Zatrzymaliśmy się, nasłuchując. Czytano tam głośno pierwszy tom *Kapitału* Marksa. Ojciec mój zastukał do okna, w którym ukazała się blada twarz. Resztę wieczoru spędziliśmy na czytaniu *Kapitału* z miejscowymi marksistami.

Na stole stała naftowa lampa, oświetlająca ubogi warsztat krawiecki. Dokoła siedziało kilku przedstawicieli tego bardzo źle płatnego rzemiosła. Posiadacz jedynego egzemplarza *Kapitału* czytał głośno i śpiewnie tekst, zatrzymując się po każdym zdaniu. Obecni prosili wówczas o wyjaśnienia lub powtórne odczytanie trudniejszych zdań.

Kapitał nie jest łatwą lekturą, ale to co słyszałem nie przypominało szkolnego czytania trudnych tekstów. W szkole wspólna lektura ma za cel wy tłumaczenie tekstu, sformułowanie niejasnych miejsc w terminach już przyswojonych, ustawienie ich w perspektywie rzeczy znanych.

Krawcy berdyczowscy nie stawiali sobie takich zadań. W miarę lektury Marks stawał się coraz ciemniejszy, ale to nie zniechęcało ich wcale. Czytany tekst był dla nich prawdą objawioną, nie wynikającą z żadnych rzeczy znanych i przez to nie poddającą

się wytłumaczeniu. Czytali sposobem wyznawców, przyswajając sobie tekst nie przez jego zrozumienie, lecz przez jego egzaltację, przez wyniesienie zawartej w nim prawdy ponad wszystkie dane i doświadczenia.

Wychowany wśród pozytywistów, słuchałem ze zdumieniem tej osobliwej lektury, do której Marks najmniej się na pozór nadawał. W dziwnym podnieceniu krawców skłonny byłem widzieć objaw chorobliwy, wywołany chronicznym niedożywieniem i brakiem snu. Myliłem się. Miałem przed sobą wzór postawy myślowej, mającej szerzyć się później także wśród najlepiej odżywionej ludności Europy.

Krawców berdyczowskich przypomniałem sobie czytając w *Les Temps modernes* obszerną apologię terroru stalinowskiego, napisaną przez Merleau-Ponty, późniejszego profesora Sorbony. Było to na krótko przed rewelacjami Chruszczowa i wyrzuceniem zwłok dyktatora z leninowskiego mauzoleum. Wiele innych pochwał sowieckiego terroru ukazało się już przedtem na Zachodzie; apologia uczonego filozofa przeznaczona była dla wybredniejszej publiczności, bardziej literacka w swej retoryce i egzaltacji. Postawa autora wydawała się jednak uderzająco bliska wzoru berdyczowskiego. Stalin był dlań heroldem prawdy objawionej, nie poddającej się konfrontacji ze znanymi uprzednio pojęciami i danymi doświadczenia.



Berdyczów z okresu rewolucji znam tylko z relacji mego brata, zmobilizowanego w 1917 i odbywającego służbę w oddziale samochodów pancernych.

Dokoła stacji kolejowej biwakowało kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy z różnych formacji, którzy, po zabiciu lub ucieczce oficerów, opuścili front i z bronią w ręku cofali się w głąb kraju. Brak taboru kolejowego utrudniał rozładowanie Berdyczowa, do którego napływały wciąż nowe oddziały zbuntowanych.

Czekając na transport, wybrane przez różne jednostki rady żołnierskie debatowały nad losem aresztowanego w Berdyczowie dowództwa frontu południowego. Wielki tłum żołnierzy otaczał budynek, w którym trzymano aresztowanych generałów, i którego bronili uczniowie szkół oficerskich, późniejsi *dobrowolcy*. Co pewien czas tłum przybierał groźną postawę rycząc: *Dajcie nam ich w ruki*. Tak mijały godziny i dni; wszyscy czekali na możliwość wyjazdu.

Pertraktacje toczyły się tymczasem między kadetami i radami żołnierskimi. Kadeci byli znikomą mniejszością, ale zbuntowani

żołnierze myśleli przede wszystkim o powrocie do domu. Stało na tym, że aresztowani generałowie zostaną odstawieni do Mohyłowa, gdzie znajdowało się dowództwo frontu w stanie likwidacji.

Komunikacja kolejowa utykała, czas się dłużył, mnożyły się kwestie sporne. Zdaniem rad generałowie znajdowali się w stanie aresztu i do Mohyłowa mogli być odstawieni tylko w wagonach dla aresztantów, których brakło w Berdyczowie. Dni schodziły na jałowych pertraktacjach i co pewien czas odzywały się ryki: *Dajcie nam ich w ruki.*

Radiostacja wojskowa na Łysej Górze znajdowała się w rękach zbuntowanych i wzywała nieustannie żołnierzy do zaprzestania działań zbrojnych, do tworzenia rad i rozprawy z kontrrewolucją. Pewnego dnia rozeszła się w Berdyczowie wiadomość, że nowy efemeryczny dowódca frontu południowego, generał Kornilow, wysłał pułk kozaków orenburskich w celu obsadzenia lub zniszczenia radiostacji. Rady postanowiły jej bronić, ale kopanie okopów i wojowanie z kozakami nie uśmiechało się żołnierzom wracającym do domu. Przypomniano więc sobie obecność w Berdyczowie oddziału samochodów pancernych. Większość ich była w remoncie, utrudnionym przez brak części zamiennych. Kilka zaledwie wozów okazało się w stanie sprawności bojowej. Odszukano rozproszonych po mieście automobilistów i kazano im ciągnąć losy. Mój brat znalazł się w grupie wyznaczonych przez losowanie obrońców Łysej Góry. Gdy wymawiał się, że go sprowadzono ze szpitala, towarzysze nie chcieli o niczym słyszeć: „Los padł na ciebie, musisz jechać”. Brat mój nie sprzeczał się dłużej; przyszło mu na myśl, że w szybkim wozie, uzbrojonym w lekki k.m., będzie mógł wreszcie uciec z Berdyczowa.

Samochody zajęły pozycję na stoku Łysej Góry. Bratu przypadło miejsce przy trakcie, na którym w obłoku kurzu ukazały się czarne mundury kozaków. Zamiast rozwinąć się przed Łysą Górą, jechali spokojnie czwórkami na Berdyczów. W czołowej grupie kłusował powoli pułkownik i dwóch oficerów. W ruchach mieli coś niezwykłego, co zwróciło uwagę brata. Gdy zbliżyli się, zobaczył, że mają ręce związane na plecach.

Ten ostatni znany mi obraz Berdyczowa nasuwa różne porównania i refleksje. Zachód Europy widział upadek Wilhelma II, Mussoliniego i Hitlera. Przelano przy tym morze krwi, ale nie popełniono żadnego godnego uwagi aktu nieposłuszeństwa. Jak można wnosić chociażby z pism H. D. Thoreau, Céline'a i z manifestów surrealistów, „rzadka i trudna cnota nieposłuszeństwa” miała tu też zwolenników, ale ślady jej znaleźć można tylko w twórcach wyobraźni. W rzeczywistości od czasów Napoleona

kult dyscypliny za wszelką cenę jest jednym z najistotniejszych rysów cywilizacji europejskiej. Rys ten był niezbędnym warunkiem wojen o hegemonię kontynentu i w dalszych konsekwencjach przygotował Europę do obecnej roli prowincji.

Kultura nr 200 (czerwiec 1964).

W DOLINIE DNIESTRU

Na świat przyszedłem w rodzinie polskiej na Ukrainie w roku 1894.

Słowa te, z pozoru tak proste, wymagają dziś mnóstwa objaśnień.

Rzecz w tym, że narodowość rodziców miała w owych czasach nieco inne znaczenie niż dziś. Pokolenie młodsze przyzwyczało się uważać narodowość za pewnego rodzaju fatum rasowe, ciężące dziedzicznie na każdym nowonarodzonym. Każdy, mówiono nam, rodzi się Niemcem czy też Murzynem i później dopiero ewentualnie staje się człowiekiem, jeżeli w ogóle już dochodzi do takich ostateczności.

Do doliny Dniestru pojęcia te zostały przyniesione z Zachodu stosunkowo późno, i nie jestem pewien, czy i dziś jeszcze nie są tam rzeczą nową i obcą. Na zachodzie Europy widzimy wszędzie wzdłuż granic językowych zamki warowne, mury, szan-ce, świadczące że walczone tam przez długie czasy o każdą wieś, o każdy łan. Za naszej pamięci toczyły się zażarte walki o posiadanie każdej szkoły, każdej fabryki, każdego sklepiku, każdego wreszcie pakietu akcji. W ogniu tych walk narody Zachodu potrafiły tu i ówdzie ustalić mniej lub więcej pewnie swe granice, wypędzić obcych, odmówić wiz cudzoziemcom i wytworzyć pozory jednolitości wewnętrznej.

Za mojej pamięci w Europie Wschodniej nie było jeszcze nic podobnego. Cała ogromna część Europy, leżąca między morzem Bałtyckim, morzem Czarnym i Adriatykiem, była jedną wielką szachownicą ludów, pełną wysp, enklaw i najdziwniejszych kombinacji ludności mieszanej. W wielu miejscach każda wieś, każda grupa społeczna, każdy zawód niemal mówił odmiennym językiem. W mojej ojczyściej dolinie średniego Dniestru ziemianie

mówili po polsku, włościanie — po ukraińsku, urzędnicy — po rosyjsku z odcieniem odeskim, kupcy — po żydowsku, cieśle i stolarze — jako filiponi i staroobrzedowcy — po rosyjsku z odcieniem nowgorodzkiem, kabannicy mówili swym własnym narzeczem. Prócz tego w tej samej okolicy były jeszcze wsie szlachty zagrodowej mówiącej po polsku, takiejże szlachty mówiącej po ukraińsku, wsie mołdowańskie mówiące po rumuńsku; Cyganie mówili po cygańsku, Turków wprawdzie już nie było, ale w Chocimiu po drugiej stronie Dniestru i w Kamieńcu stały jeszcze ich minarety. Przewoźnicy na Dniestrze nazywali jeszcze wciąż brzeg podolski Łaczczyzna i brzeg besarabski Tureczczyzna, jakkolwiek i Polska i Turcja należały tam już do dość odległej przeszłości.

W jarach i lasach mieszkali nadto poza osiedlami tzw. jarowi ludzie, o dzikich brodach i niepewnym spojrzeniu, którzy na pozór nie mówili żadnym językiem.

Pomijam tu już drobniejsze osobliwości w rodzaju Bucniowiec, gdzie wszyscy Żydzi byli obywatelami tureckimi i nigdy nie służyli w wojsku, ponieważ najmłodszy z nich według paszportu liczył pięćdziesiąt lat wieku.

Wszystkie te odcienie narodowości i języków znajdowały się nadto w stanie częściowo płynnym. Synowie Polaków stawali się nieraz Ukraińcami, synowie Niemców i Francuzów — Polakami. W Odessie działy się rzeczy niezwykle: Grecy stawali się Rosjanami, widziano Polaków wstępujących do *Sojuza Russkawo Naroda*. Jeszcze dziwniejsze kombinacje powstawały z małżeństw mieszanych.

— Jeżeli Polak żeni się z Rosjanką — mawiał mój ojciec — dzieci ich są zwykle Ukraińcami lub Litwinami.

Stosunkowa płynność narodowości utrzymywała w potentatach administracji carskiej nadzieję, że przy pomocy pewnego nacisku uda się przerobić wszystkich na Rosjan. Nadzieje te były płonne. Presja administracji nie tylko nie zmniejszyła liczebnie narodów starszych, ale budziła do życia ludy coraz nowe. Za mojej pamięci rozwinął się właśnie ruch narodowy ukraiński, litewski i białoruski.

Wielu stosunkowo zmieniało język ojczysty, ale żaden z tych języków nie ginął. Za mojej młodości kilka z nich z narzeczy chłopskich rozwinęło się w piękne języki literackie, w których pisano pełne nieznanego przedtem uroku wiersze. Gdy jedna z tradycyji narodowych zaczynała słabnąć, z narodowości sąsiednich przybywali neofici, by ją podtrzymać.

Tajemnica tych dziwnych i zawiłych procesów była w istocie rzeczy bardzo prosta. W czasach tych narodowość nie posiadała charakteru nieuniknionej fatalności rasowej, ale w znacznej mie-

rze była dziełem wolnego wyboru. Wybór ten nie ograniczał się do języka. W dolinie Dniestru, przez którą przeszły echa tylu wielkich cywilizacyj, każdy język niósł w sobie inne tradycje historyczne, religijne, społeczne, każdy stanowił pewną postawę moralną, wytrawioną wiekami tryumfów, klęsk, marzenia i sofistyki.

Wybór ten nosił czasami cechy oportunistu. Coś podobnego widziałem podczas moich ostatnich wędrówek w Użhorodzie, który teraz przybrał znów węgierską nazwę Ungvár. Na głównej ulicy zwanej Corso słyszałem wyłącznie prawie mowę węgierską. Pewien stary obywatel tego miasta, na moje pytanie, czy w Użhorodzie zawsze było tak wielu Węgrów, odpowiedział:

— Eh, nie. I teraz nie ma ich wielu. Zmienili się tylko urzędnicy, ale spacerowicze Corsa są zawsze ci sami. Za czasów austriackich mówili po niemiecku i po węgiersku, za czeskich — po czesku, za ukraińskich — po ukraińsku, dziś zaś znów mówią po węgiersku.

Częściej jednak wybór taki pochodził z głębokiego namysłu i posiadał niemałą siłę przekonania. W ostatnich czasach widziałem kilka takich osobliwych wyborów. W czasach kiedy zasięg języka rosyjskiego cofnął się aż poza granice sowieckich republik białoruskiej i ukraińskiej, powstały w różnych miejscach grupy używające z wolnego wyboru języka rosyjskiego. Przed kilku laty widziałem w Krzemieńcu zamożne rodziny żydowskie, mówiące w domu po rosyjsku, nie odcieniem odeskim lub berdyczowskim, który miałby przynajmniej wytłumaczenie historyczne, ale najstarszym akcentem petersburskim, pochodzącym z zamiłowania i lektury najlepszych autorów. Również na Rusi Przykarpackiej część inteligencji stara się mówić po rosyjsku. W pewnym miasteczku odwiedziłem redakcję miejscowej gazety drukowanej w dziwnym języku rosyjskim, niezręcznym i archaicznym, z którego uśmiełby się niemało mieszkańiec Petersburga. Zastałem tam głównych współpracowników. Jeden z nich pochodził z mieszanego małżeństwa polsko-rosyjskiego i spędził dzieciństwo w Warszawie, drugi zaś, mówiący najpoprawniej, którego wziętem zrazu za emigranta z Rosji, okazał się byłym oficerem austriackim. Najwidoczniej z dala od źródła, w zmiennym biegu historii, język Moskwy i Petersburga miał już wygasnąć w Karpatach, ale z całego świata zbiegli się tam różni ludzie, by iskrę tlejącą jeszcze w popiele rozdmuchać. W tym samym czasie Władysław Chodasewicz, Polak z ojca i matki, zajął miejsce pierwszego poety rosyjskiego.

W mojej młodości tego rodzaju procesy nurtowały całe kresy wschodnie starej Rzeczypospolitej. Życie wewnętrzne grup naro-

dowościowych pogłębiało się i rafinowało przez ponownie dokonywane wybory indywidualne i niezbędną do tego interpenetrację, wybór bowiem wymaga rozważenia przynajmniej dwóch alternatyw w całej ich rozciągłości, stanięcia na rozdrożu, z którego widać od wewnątrz obie drogi. Za mego dzieciństwa dawne kresy ukraińskie były takim wielkim rozdrożem, z którego, oprócz wszystkich bocznych ścieżek, wychodziły cztery drogi: jedna prowadziła do Kijowa, druga do Krakowa, trzecia do Petersburga i czwarta wreszcie, która wówczas nie prowadziła jeszcze do Palestyny, ukazywała w końcu wielką księgę, łączącą w tajemniczy sposób niezmiernie zróżniczkowany świat Izraela.

Ta droga nie była w ścisłym znaczeniu przedmiotem wyboru. Był kto nie mógł zostać Żydem. Czynnikiem wyboru miał tu nieco inną postać. Wśród Żydów wybierano przyjaciół i towarzyszy pracy. W majątku mego wuja, Feliksa Hanickiego, nawet część służby folwarcznej składała się z Żydów. Wieczorem główny ekonom, Fiszel Grubman, z czarną brodą i twarzą spaloną przez słońce na kolor starej cholewy, przychodził na naradę gospodarską. Gdy mój wuj nie był z niego zadowolony, wkładał okulary i witał go zimno słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Była to aluzja do tego, że Fiszel ma gojowską głowę i że zrobił jakieś głupstwo. Czuły na takie aluzje Fiszel schylał smutno swój „gojowski Kopf” i z rezygnacją odpowiadał:

— Nu, niech będzie.

Wychowany w tych tradycjach, doznałem, podobnie jak wielu moich rówieśników, niemałego rozczarowania, kiedy spotkałem się potem w Polsce z uczuciami narodowymi objawianymi hałaśliwie, wyzywająco, niemal bezwstydnie. Manifestacje takie wydały mi się czymś w bardzo złym smaku, dobrym co najwyżej dla dorobkiewiczów i prostaków.

Pojęcia te, wyniesione z doliny Dniestru, pozostały dla mnie żywe i aktualne, nawet wtedy gdy inne wspomnienia mojej bliższej ojczyzny pokryły się mgłą oddalenia. W okresie 1919-1939 byłem świadkiem wielu nieprzejednanych walk narodowościowych, w których akty przemocy i brutalności podzieliły, zdawało się niepowrotnie, na wrogie grupy całą Europę Wschodnią. Stara cywilizacja tej części kontynentu, która na przestrzeni wieków dała życie tylu różnym ludom, zdawała się należeć do przeszłości. Mam jednak wrażenie, że zmiany te były raczej powierzchowne niż istotne. Nacjonalizm na modłę zachodnią zniszczył jedynie zwierzchnią warstwę ludów, ich inteligencję. Lud nie brał udziału w walkach i egzaltacjach. Nawet w tej nieznośnie dusznej i przykrej atmosferze, jaka wytworzyła się na naszych kresach po tzw.

pacyfikacji Małopolski Wschodniej, wystarczało odejść dalej od urzędów, gazet i organizacji społecznych, aby wszędzie słyszeć słowa pojednania. Dla ludzi mego pokolenia, już przed czasem samotnych i smutnych w tym niegościnnym klimacie moralnym, słowa te posiadały doniosłe znaczenie.



Dolina Dniestru pełna była wspomnień historycznych, pamiątek po wszystkich wielkich cywilizacjach Europy. Kolonie greckie, powstałe na północnym brzegu morza Czarnego na długo przed bitwą pod Salaminą, promieniowały głęboko w głąb stepów. Już przed Grekami inne ludy śródziemnomorskie odwiedzały te brzegi spalone słońcem. Potem bywali tam Rzymianie, których potomkowie utrzymali się dotąd w dolinie Dniestru.

Wędrówki ludów stały z oblicza ziemi większość pamiątek starożytnych. Kilka łańcuchów kurhanów znaczą drogi, którymi mało znane ludy ciągnęły przez Ukrainę. Inne ludy, idące bliżej morza, zostawiały na swej drodze kamienie ciosane z gruba w formie kobiet, tzw. baby. Nie wiemy dobrze, z jakich pobudek noszono tak ciężkie kamienie przez niezmierzone stopy, bezdroża i trudne przeprawy na rzekach. Patrząc na kurhany i „baby”, widzimy przy pracy ludy które zachwiały potęgą Rzymu. Po zaspokojeniu głodu i pragnienia, ludy te rozporządzały jeszcze niebezpieczną nadwyżką energii.

W wieku XVI, po tysiącu latach migracji i inwazyj, podróżni opisują Ukrainę jako olbrzymi pusty step, zamieszkały na południu przez Tatarów pasterskich. Obraz ten wydaje się jednak mocno powierzchowny. W ogrodzie, w którym spędziłem pierwsze lata dzieciństwa, stały trzy stare drzewa derenia, posadzone tam przed wiekami dla zaznaczenia miejsca. U stóp ich leżał kamienny krzyż z wieku XI, obok którego znajdował się grób przedhistoryczny. Z dala od dróg uczęszczanych przez ludy wędrownie i wojownicze, życie biegło nieprzerwanie, pokolenia pogańskie ustępowały miejsca pokoleniom chrześcijańskim, i pobożna ręka, na modłę starożytną, znaczyła groby drzewami przywiezionymi z Azji Mniejszej.

Łacina pojawiała się dwukrotnie w dolinie Dniestru. Pierwszym razem przynieśli ją koloniści rzymscy, których potomkowie mieszkają dotąd w południowej części doliny. W piętnaście wieków później, tym razem z północy, wpływy Zachodu pojawiły się w postaci otoczonej nową sławą łaciny humanistów. Do wieku XVIII łacina pozostawała językiem oficjalnym dawnej Rzeczypospolitej, mową ludzi wolnych, szlachty i klerków. Cała Ukraina

czytała wówczas po trosze Cycerona i Wirgiliusza, i najlepsza parodia „Eneidy” napisana została po ukraińsku przez Kotlarewskiego.

Autorytet łaciny nie przeżył upadku starej Rzeczypospolitej. Za moich czasów uczono jeszcze łaciny w gimnazjach na Ukrainie, ale był to już język martwy, pozbawiony swej rangi społecznej. Polakom i Żydom, stanowiącym większość uczniów, łacina służyła jeszcze za bilet wstępu do grupy tzw. inteligencji, która odegrała tak wielką rolę w historii tej części Europy. Dopiero w czasach sowieckich ten ostatni ślad wpływów Zachodu znikł z programów szkolnych.

Miejsce łaciny zajął w wieku XVIII francuski. W każdym starym dworze na Ukrainie można było znaleźć szafę, w której tliły się złożone grzbiety książek wieku oświecenia. Nawet w skromnych dworach, póki była tam jeszcze izba nosząca nazwę salonu, była również i książka francuska. Przez półtora wieku francuski był językiem uniwersalnym Europy Wschodniej. W salonach Kiszyniowa Puszkina porozumiewał się po francusku z emigrantami z Bałkanów, wyzwajających się właśnie spod panowania tureckiego.

Francuski odgrywał na Ukrainie osobliwą rolę w stosunkach polsko-rosyjskich. Kobiety nie uczyły się wówczas wcale rosyjskiego. W ignorancji tej była częściowo zraniona duma wydziedziczonych i pogarda dla nowych władców kraju. Zresztą Rosjanie, których widywano najczęściej na Ukrainie, urzędnicy i wojskowi, nie należeli do inteligencji rosyjskiej i u niej również znajdowali się w pogardzie. Przyznać należy, że oni sami orientowali się nienajgorzej w tych subtelnościach, i jeżeli któremu z nich zdarzyło znaleźć się w domu polskim, zaczynali rozmowę po francusku, dając w ten sposób do poznania, że nie są, być może, barbarzyńcami, za jakich uchodzą. Rozmówcy polscy uważali ten wstęp za uznanie ich prawa do pozostawania cudzoziemcami wobec władz rosyjskich, i rozmowa toczyła się już gładko, oscylując między uprzejmością i rezerwą. Język francuski pozwalał obu stronom przenieść się na teren konwencyjny, do pewnego rodzaju strefy idealnej, w której obrębie nawet nieprzejednani wrogowie znajdowali przyjemność we wzajemnym świadczeniu sobie uprzejmości.

Język dworu i szlachty, francuski, utrzymał się na Ukrainie mimo upadku Rzeczypospolitej i ruiny szlachty. Francja stała się tymczasem republiką, i język Victora Hugo stał się językiem wolności, językiem kultury patrzącej w przyszłość. Książka francuska znalazła się w rękach wszystkich wierzących w mądrość instytucji politycznych Zachodu. Moją pierwszą książką, którą

chowałem pod poduszką nie umiejąc jeszcze czytać, była ilustrowana historia rewolucji francuskiej, i mowy Dantona służyły mi do nauki francuskiego. Dopiero po roku 1918, kiedy Francuzi sami zwątpili o wartości demokracji i zaczęli czytać „Action Française” i „Gringoire’a”, mowa ich znikła w ciągu kilku lat z Europy Wschodniej i wpływy cofnęły się do linii Maginot.

Wpływ francuskiego miał jeszcze inną ważną podstawę. W końcu ubiegłego stulecia w całej Europie Wschodniej sztuka zaczęła odgrywać bardzo doniosłą rolę, francuski zaś był językiem wielkiej sztuki i nowinek literackich. Dziś trudno jest nawet wyobrazić sobie dokładnie, jak wielką rolę w czasach mojej młodości grały czasopisma literackie. W mieście tak mało literackim jak Odessa widziałem w roku 1910 na własne oczy, jak w Librairie Rousseau dwa razy na miesiąc wtajemniczeni gromadzili się w oczekiwaniu poczty mającej przynieść ostatni *Mercur de France*. Nie wiem, czy nawet w Paryżu organ symbolistów posiadał kiedykolwiek równie uważnych czytelników.

Nowinki literackie przenikały nawet do dalekich zakątków doliny Dniestru. Miałem może lat trzynaście kiedy zaintrygowała mnie w bibliotece ojca pewna książka. Zaniósłem ją śpiesznie do swego pokoju, i wzrok mój padł na następujące wiersze:

*O, serres au milieu des forêts,
Et vos portes à jamais closes,
Et tout ce qu'il y a sous vos coupoles,
Et sous mon âme, en vos analogies.*

Słowa te wydały mi się bardzo dziwne, i z trwogą myślałem: czyżby tak teraz miano pisać wiersze? Nieco później dopiero dowiedziałem się że tak jednak pisać nie kazano. Był to tom wierszy niejakiego Maurice'a Maeterlincka.



Domy mieszkalne w dolinie Dniestru były tak samo różnorodne jak ich mieszkańcy. Każda grupa ludności wznosiła inne budynki. Już sam ich wygląd zewnętrzny zdradzał narodowość właściciela.

Chaty ukraińskie były drewniane, wylepione z zewnątrz i wewnątrz grubą warstwą gliny, którą kilka razy do roku bielono wapnem zaprawionym lekkim błękitem. Biel chat zdawała się promieniować pośród ciemnej zieleni czereśniowych sadów i van-goghowskiej żółtości słoneczników. Po żerdziach wspinała się fasola o czerwonych motylkach kwiatów. Jesienią pod strzechami zawieszano długie girlandy błyszcząco-żółtej kukurydzy.

Te skromne mieszkania były w istocie rzeczy doskonale dostosowane do klimatu. W każdej izbie stał pośrodku długi piec, na którym zimą kładziono się do snu. W porze letniej gliniane ściany zachowywały przyjemny chłód. Zielonkawe szyby wtopione w glinę przepuszczały mało światła, ale broniły od natrętnych owadów.

W dolinie Dniestru wsie skupiały się najczęściej wzdłuż szerokich dróg, i układ ich był wynikiem nadziei gruntów po uwłaszczeniu włościan w roku 1866. Pochodzenie ich było więc stosunkowo późne.

Stare tradycje budowlane widać było lepiej w osiedlach ludzi wolnych, którym udało się ująć niewoli pańszczyźnianej. Domy ich poznać było można zawsze po ganku opartym na dwu słupach, który nawet u najbiedniejszych rolników był świadectwem przynależności do *ordo equestris* i ostatnim wspomnieniem sławy starej Rzeczypospolitej.

Domy zamożniejszych rolników z daleka wyróżniały się otaczającymi je drzewami i parkami. W czasach dawnej Rzeczypospolitej całą Ukrainę przebiegło szaleństwo ogrodnicze wieku XVIII. Ziemi na kresach nie brakło, i parki ciągnęły się daleko i szeroko. Odwieczne kombinacje wzgórz, wód, trawników i starodrzewia ręka mistrzów ozdobiła alejami, szpalerami, kwietnikami, klombami, etalami, kwinkunksami, skałami, kaskadami i fontannami. Parki polskie posiadały niegdyś niemałą sławę, i *abbé* Delille wymienia je na honorowym miejscu.

Z parków ukraińskich największą sławę miała opiewana przez Trembeckiego Zofiówka. Jak głosi tradycja, Branicki sprzedał Katarzynie II ojczyznę dla zadowolenia swej fantazji ogrodniczej. Głośny ten park widziałem w okresie upadku. Był on od dawna własnością skarbu rosyjskiego i mieścił rządową szkołę rolniczą. Pomniki utraciły nosy podczas zamieszek w roku 1905. Przed perystylami i świątyniami stały budki wartowników, malowane w ukośne pasy czarno-biało-czerwone, jak słupy wiorstowe i wrota koszar. Pokrzywy i chwasty porastały skraje gajów. Przed dawną pomarańczarnią ubogi biuralista posadził grządkę malw w złym smaku. A jednak te ruiny ogrodnicze miały jeszcze żywą swą manię wielkości i wdzięk oświecenia. Wejście prowadziło przez głęboką dolinę pełną cieni. Na dnie jej leżał długi staw, w którego środku wznosiła się ku górze wysoka, cienka nić fontanny. Jej spadający pióropusz miał za cel ożywienie na czarnym zwierciadle wód białego odbicia perystylów. Po obu stokach doliny park wznosił się stromymi piętrami aż do rozległego, niewidocznego z dołu falowania słonecznych gazonów i kwietników.

Park w Niemirowie był nie mniejszy rozmiarem, ale bardziej

spokojny w tonie. Kilkaset innych parków różnej wielkości przeżyło na Ukrainie upadek Rzeczypospolitej i jej szlachty, której obecność znaczyły wszędzie stare drzewa, trawniki i krzewy ozdobne. Kiedyś w Karpatach Wschodnich, w odludnej dolinie o cały dzień drogi od najbliższego osiedla, spostrzegłem zabłąkany wśród krzaków leszczyny jeden z tych krzewów ozdobnych właściwych parkom początku ubiegłego stulecia. Rozchylając maliny i pnące, znalazłem kilka starych kamieni i cegieł. Nawet w największych pustkowiach osadnikom towarzyszyła zawsze namiętność ogrodnicza starej Rzeczypospolitej.

W wieku XVIII zaczęto na Ukrainie sadzić drzewa wzdłuż dróg. Sadzono dęby, kasztany, lipy, świerki, wiązy, jesiony, topole, brzozy, czereśnie i jarzębiny. W czasach mojej młodości aleje te ciągnęły się dziesiątkami mil poprzez równiny, wzgórza, łąki, sitowia, mosty i brody. Jesienią konie biegły w deszczu złotych liści, owiane głębokim szumem wiatru w prastarych drzewach.

W parkach doliny Dniestru, na długo przed powstaniem archeologii wiejskiej i szkoły z Dijon, nauczyłem się studiować brzegi lasów, układy starych drzew, naturę trawników i okolice źródeł. Dla patrzącego uważnie, parki te podobne były do palimpsestów, w których — pod eleganckim pismem wieku XVIII — przeświecał tekst nierównie starszy, będący sam tylko echem poprzednich tysiącleci. Szaleństwo ogrodnicze wieku oświecenia zostało tam zaszczipione na zjawisku znacznie dawniejszym, na niewygasłym jeszcze pogańskim kulcie drzew, w którym mieszały się dawne tradycje klasyczne i słowiańskie. W zasięgu byłego Imperium Rzymskiego dęby Dodony i gaje Apollina padły pod siekierą rygorystów chrześcijańskich. Ślady starych tradycji widzimy jeszcze w drzewach Salvatora Rosy i Ruysdaela, ale ciągłości brak.

Inaczej u ludów rolniczych i pasterskich, trwających nadal w gospodarce zamkniętej, gdzie brak wymiany i gdzie wszystkie przedmioty użytku i narzędzia pracy wytwarzane są na miejscu. Nadmiar zdolności produkcyjnych lokuje się tam w dobrach niewymiennych, w pięknych budynkach, w ozdobnych haftach i wreszcie w utrzymaniu drzew i trawników. Niejedną skromną chatę otaczają tam olbrzymie dęby i trawniki, przedmiot starań wielu pokoleń, tak szmaragdowe i miękkie jak w najświetniejszych rezydencjach książęcych. Nawet rośliny uprawne tworzą grupy dekoracyjne nieoczekiwanej i rzadkiej piękności. Wiele parków ukraińskich posiadało wyraźne dwa nawarstwienia: jedno z czasów Russa i ks. Delille'a, drugie będące resztką prastarej cywilizacji rolniczej.

Przyzwyczajony do tych parków głębinowych o podwójnym

dnie, byłem potem nieco zawiedziony przez sławne parki Zachodu. Nie mam tu na myśli jedynie parków w rodzaju willi Pallavicinich pod Genuą, których zły smak bawi w końcu swą groteskową pomysłowością. Sam nawet park wersalski wydał mi się pusty, służący tylko za ramę fantazji architektonicznej pałacu.

Zresztą parki ukraińskie istnieją dziś być może już tylko w moich wspomnieniach i niedługo znikną nawet z obrębu pamięci, jak pochłonięta przez morze Atlantyda.



Wojny zostawiły niemało ruin na Ukrainie. Artyleria poszczerbiła zamki, których resztki widać było gdzieś na wzgórzach. Do ruin starych przybyły nowe, już nie wskutek działania artylerii, lecz wskutek zubożenia ich szlacheckich właścicieli. Najpiękniejsze budynki w. XVII i XVIII spoczywały w ruinach.

W dolinie średniego Dniestru najbardziej imponującą ruiną był stojący na tureckim brzegu Chocim. Kolista masa muru wznosiła się na skalistym wzgórzu nad rzeką. W podwórzu, oparty o wieżę, stał pałac zbudowany przez Genuńczyków, podówczas sprzymierzeńców Wysokiej Porty.

Na sąsiednim wzgórzu stał pośród cmentarza wysmukły minaret. Islam cofnął się już dość dawno z tych okolic, ale wspomnienia jego były jeszcze żywe. Rynek chocimski zachował nie tylko nazwę bazaru, ale i wygląd targu wschodniego. Był to istny labirynt ażurowych konstrukcji drewnianych o płaskim dachu. W dzień targowy towary leżały w słońcu na szerokich wystawach z desek, pozwalających jednym rzutem oka objąć całą zawartość sklepu. W razie alarmu kupcy mogli w mgnieniu oka zwinąć swe dobytki i zniknąć w zaroślach. Długie wieki rabunków przez wygłodniałe wojska i fantazyjnych egzakcji potentatów, wytworzyły typ handlu, w którym nawet zamożni kupcy zachowują zawsze wygląd wędrownych handlarzy, gotowych zniknąć jak kamfora na umówiony gwizdek. Fantastyczna reglamentacja handlu wywołała dziś znów pojawienie się tego typu handlu w wielu krajach Europy Wschodniej.

Na przeciwległym brzegu Dniestru stały ruiny Żwańca, skąd niegdyś garnizon polski śledził poruszenia Turczyzna. W końcu XVIII wieku mój pradziad był ostatnim bodaj komendantem tego posterunku. Stosownie do zwyczajów tego uprzejmego wieku, pradziad mój i turecki pasza z Chocimia wymieniali na piśmie komplementy, którym towarzyszyły drobne upominki. Dziad mój miał jeszcze kieskę z czerwonego jedwabiu pochodzącą z tej wy-

miany grzeczności. Wewnątrz jej znajdował się poźółkły list, pokryty drobnym pismem tamtych czasów.

Zamki i pałace ukraińskie, jakkolwiek liczne, były jednak zawsze świadectwem wpływów obcych, zachodnich lub śródziemnomorskich. Ideą przewodnią zamków warownych jest zgrupowanie wszystkich zabudowań w jednym obejściu lub nawet pod jednym dachem w celu skrócenia linii obronnej. W krajach o tradycjach wojowniczych nawet zagrody chłopskie posłuszne są tej myśli. Widzimy w nich obszerne budynki, gdzie pod jednym dachem znajduje się mieszkanie gospodarza, stajnia, obora, owczarnia, chlew, kurnik, stodoła, wozownia, śpichlerz i wszystko inne. Zamknąwszy wrota, gospodarz, na czele swej rodziny i ludu czworonogiego, czuje się jak kapitan okrętu lub komendant cytadeli.

Mimo wojen i wpływów ludów wojowniczych, mieszkańcy Ukrainy zachowali w swych budynkach tradycje pokojowe ludów rolniczych i pasterskich. Stosownie do wielkości gospodarstwa, zabudowania rozciągały się na wielkiej przestrzeni. Rozrzut ich nie był jednak dziełem przypadku, ale posiadał reguły datujące z niepamiętnej dawności.

Budynki mieszkalne tworzyły koło lub owal zatoczony dokoła trawnika. W jego środku wznosił się często stary dąb lub lipa, świadek dawności tego porządku miejsc. Budynek mieszkalny znajdował się z reguły naprzeciw stajni dla koni cugowych i wierzchowych. Niekiedy obok starego domu wznoszono nowy. Stary służył wówczas dla gości i rezydentów. Kuchnia mieściła się zawsze w osobnym budynku odległym zazwyczaj o dwadzieścia kroków od dworu. Dystans ten miał zabezpieczać latem dom mieszkalny od much. Niedaleko od kuchni wznosił się inny budynek noszący nazwę piekarni. Obok niej znajdowały się zazwyczaj mieszkania służby. Osobne budynki, stojące wzdłuż obrębu koła, mieściły lodownie i śpizarnię. W gospodarstwie mego dziada wieniec ten uzupełniała jeszcze psiarnia i budynek zwany słusznie lamusem, którego dziwna zawartość budziła zawsze moją ciekawość. W wielkich kufrach chowano tam m.in. garderobę osobistą naszych przodków: suknie jedwabne w drobne kwiaty i barwne fraki z początku ubiegłego stulecia, wszystkie dla mnie o wiele za małe.

Budynki gospodarskie tworzyły inne koło, przyległe do pierwszego. Stały tam stajnie, obory, chlewy, kurniki, stodoły, śpichlerze, gorzelnie, stelmasznie, ślusarnie. Każda czynność gospodarska posiadała osobny budynek.

W układzie tym zastanawia jego forma kolistą. Dopiero powszechne używanie pługa nadało polom formy czworokątne. Formy

koliste pochodzą z czasów, kiedy miejsca pod zabudowania nie zabierano polom, ale stepom i puszczołom.

Niezmierną różnorodność i mnogość budynków pochodzi również z czasów dawnych, kiedy gospodarstwo rolne tworzyło całość zamkniętą. W czasach tych, jak dotąd u Kurpiów i Hucułów, nie sprzedawano i nie kupowano nic prawie, wyrabiając wszystko na miejscu. Stąd różnorodność zajęć i poświęconych im zabudowań. Wzrost zdolności wytwórczej prowadził do różniczkowania się prac. Jedne zajęcia pociągały za sobą drugie. Wznoszenie coraz to nowych budynków uruchomiło cegielnię. Budynki już wzniesione należało konserwować, naprawiać, przerabiać. Stąd warsztat ciesielsko-stolarski pracujący przez cały rok. Utrzymywanie narzędzi rolniczych powołało do życia kuźnię i ślusarnię. W majątku mego dziada przez cały dzień słychać było uderzenia młota, któremu kowadło odpowiadało tonem jasnym, wysokim, niezbyt czystym, w okolicy trzeciej oktawy wiolinu. Pod czarnym od dymu pułapem wisiał olbrzymi miech, na który musiano zapewne zedrzyć skórę z największego byka. Prócz tego, w majątku dziada działała jeszcze huta szklana, zaopatrująca gospodarstwo w butelki, dzieło starego Francuza imieniem Cambart, niegdyś jeńca z wojny krymskiej, który nie chciał wracać do rodzinnego Bordeaux.

W tych złotych czasach rolnictwa, których pamiętam okres schyłkowy, nie znano jeszcze ascetycznej postawy, związanej z książeczką oszczędnościową i z dobrowolnym powstrzymywaniem się od wydatków, aż do dewaluacji naszych oszczędności przez niezdolność do ich użycia, lub periodyczny spadek wartości pieniądza i papierów. Dawni rolnicy tej pokornej postawy nie znali. Na starość lub w razie katastrof majątkowych zachowywali pogodę ludzi, którzy przeżyli swe życie, mieli swój udział w jego trudach i dostatkach i mogli bez zawiści patrzeć na majątek i powodzenie innych.

W porównaniu z gospodarstwem mego dziada, rolnictwo nowożytne wydaje się bardzo ubogie. Rolnicy dzisiejsi nazbyt przypominają robotników przemysłowych, przywiązanych do pracy niewdzięcznej i monotonnej. Trudno dziwić się, że rolnictwo uważane jest coraz częściej za dziedzinę pracy z natury swej mało obiecującą, wymagającą subwencji państwowych lub przeznaczoną dla ras niższych, kontentujących się byle czym.

W naszych pojęciach tradycyjnych zachowała się pamięć „mądrości starożytnych”. Treść tego pojęcia stała się niepewna, i nie umiemy go związać z żadnym ze znanych sposobów bycia. I ja również nie znamem już nikogo, czyje życie odpowiadałoby ściśle temu pojęciu. Zdaje mi się jednak, że życie dawnych rolników, nie odpowiadając być może też dokładnie „mądrości starożyt-

nych”, dało mi pewne pojęcie o jej wymaganiach i że wspomnienia te musiały odegrać niemałą rolę we wszystkich moich przygodach późniejszych. Nie uchylałem się wprawdzie od udziału w pustych szaleństwach moich czasów, zawsze jednak zachowywałem świadomość tego co dzieliło je od mądrości pasterskiej dawnej Arkadii.



Dom mego dziada, Huberta Stempowskiego, był jeszcze pełen przeszłości, mocno związany z pokoleniami poprzednimi. W jego pokoju, nad kanapą, na której wylegiwał się ulubiony wyżeł, wisiała cała kolekcja karabel, rapierów i floretów. Na wyszczerbionych klingach dziad umiał jeszcze odczytać ślady różnych pamiętnych spotkań zbrojnych. W kącie stała etażerka z baterią cybuchów, pochodzących ze stosunków moich przodków z Turkami.

Na ścianie wisiał portret mego pradziada, Stanisława, w zielonym kontuszu, i portret jego brata, Leona, zmarłego w Paryżu na emigracji. Na cmentarzu Montmartre widziałem potem jego grób ze znów aktualnym napisem: *Exoriar aliquis ex nostris ossibus ultor*. Nawet zmarły, Leon Stempowski wydawał się tak niebezpieczny potęgom tego świata, że w czasach sojuszu rosyjsko-francuskiego policja paryska nie pozwalała fotografować jego grobu.

Obok znajdowała się sypialnia dziada, nosząca już bardziej indywidualne piętno jego osobistości. Stały w niej surowe stoły i stołki z drzewa orzechowego, i znajdował się cały arsenał myśliwski. Na rogach jelenich wisiały dwururki różnych typów, pamiętające nieraz czasy mikołajowskie, torby borsucze, rogi i trąby myśliwskie. Podczas wakacji, od siódmego roku życia musiałem towarzyszyć dziadowi na polowaniu. Zimą trzeba było wstawać przed świtem, pośród głosu trąb i szczekania ogarów. Na śniegu dziad uczył mnie odczytywać ślady zwierząt i odtwarzać sceny dramatów leśnych. Polowanie było wówczas głęboką i zawiłą wiedzą, opartą na dokładnej znajomości życia i obyczaju lasu, i niewiele przypominało polowanie z nagonką, uprawiane potem przez wyższe sfery towarzyskie i podobniejsze do amatorskiego szlachtuza. Zresztą zwierząt było mi żal, i w miarę możliwości starałem się je wypuszczać z obstrzału, znosząc z pokorą opinię kiepskiego strzelca i ciemięgi.

Dziadowi zawdzięczam również pierwsze lekcje jazdy konnej. Służył do nich dobrotliwy koń o grzbiecie niezwyklej szerokości, na który musiałem bez pomocy strzemion dostawać się własnym dowcipem. Przy pierwszych krokach kłusa spadałem z reguły na ziemię. Koń zatrzymywał się i schylał głowę, by obejrzeć mnie swymi krótkowzrocznymi i mrugającymi oczami. Nauka jednak

nie poszła w las, i wkrótce zostałem dobrym jeźdźcem, nie obawiającym się koni młodych i narowistych.

Dziad mój ukończył uniwersytet kijowski za panowania Mikołaja I i zachował żywo w pamięci te surowe czasy, kiedy w wojsku służył 25 lat i za każdym pułkiem wieziono wozy pełne kijów do wymierzania kar cielesnych. Opowiadań jego słuchałem z trwogą i niedowierzaniem, nie wiedząc, że za moich czasów ludzkość powróci raz jeszcze do kar cielesnych i władzy absolutnej i że bogaci ludzie w swych salonach będą rozmawiali o tym jako o rzeczach niezbędnych i pożądanych.

Pod koniec życia dziad mój zaczął interesować się sadownictwem. W majątku jego w trzech miejscach powstały nowe sady, i w każdym z nich wzniesiony został niewielki dom mieszkalny. Domy te stały na razie niezamieszkałe. Nie znałem zamiarów mego dziada, ale dziś, przypominając sobie ten szczegół, mam wrażenie że w myśli jego powstał obraz kolonii, mogącej dać schronienie jego wnukom w razie gdyby mieli doznać niepowodzeń szukając szczęścia poza rolnictwem. Wychowany w czasach mikołajowskich, dziad mój pamiętał smutny los inteligencji tego okresu. Zawody wolne wydawały mu się karierą niepewną, wymagającą giętkości charakteru, kompromisów z sumieniem, i w rezultacie pozbawione niezależności, jaką dawało życie na wsi. Moje pokolenie nie podzielało tych poglądów. Nie narzucając nam swoich, dziad nasz zamierzał za swego życia przygotować nam miejsce ucieczki na wypadek gdyby obawy jego okazały się słuszne.

Dziad mój zmarł w roku 1913. Każdy, kto potem był świadkiem upadku zawodów wolnych w Europie Wschodniej i ich ostatecznego poddania państwu autorytatywnemu, będzie musiał przyznać, że dziad mój widział znacznie dalej niż większa część jego współczesnych.

Antologia „Kraj lat dzieciennych”, Londyn 1942.

PIELGRZYM

(Wrażenie z pobytu w Holandii i Niemczech zimą 1923/24 r.)*

Pielgrzym w Berlinie

Piszący te słowa jest pielgrzymem w tym sensie, że podobnie jak wielu innych, odbywa pielgrzymkę do lepszych czasów. Prosta droga do nich nie prowadzi, być może, przez Berlin. Właściwością jednak pielgrzymów jest to, że idą oni długo i wytrwale; zmuszeni okolicznościami do zboczeń, chodzą drogami okólnymi, czasami nawet wracają do miejsc już znanych, robią długie postoje, ale nigdzie nie zatrzymują się myślą, która zdąża do celu pielgrzymki. Tak samo właśnie piszący te słowa nie będzie zatrzymywał się na żadnym przedmiocie; nie będzie podawał tablic statystycznych; nie będzie przytaczał cytat z artykułów pułkownika Reboula, ani zgłębiał kwestii walutowych i politycznych, których nie rozumie. Zamiast jednak podpisywać się *un diplomate*, jak nieboszczyk Philippe Milet, sądzi że lepiej jest wyznać swój brak pretensji po prostu, bez aluzji i złośliwości.

Merkury berliński

Dzień i noc Merkury berliński tworzy nowe bogactwa fikcyjne. Dziesiątki tysięcy robotników pracuje na trzy zmiany w drukarni banknotów, które zalewają Niemcy i świat. Przymusowa konsumpcja tych bogactw jest głównym zajęciem ludności. Ona to podtrzymuje większą część ruchu ulicznego. Jest ona czymś w rodzaju robót przymusowych, odbywających się odtąd nie pod pałką kaprała, lecz przy pomocy przymusu nierównie subtel-

* Szkic ten, wydrukowany w 95 egzemplarzach w 1924 pod pseudonimem B. Serafin, jest to pierwszą znaną próbą pióra autora.

niejszego. Miękki dźwięk telefonu zaszczebia ją rano niby jad, który natychmiast wprawia w ruch mięśnie zbolale od próżnego treści wysiłku. *Keine Banknoten — keine Nahrungsmittel* (bez banknotów nie ma środków spożywczych) powiada edykt generała von Seecta, nakazujący wszystkim gminom fabrykację własnych banknotów. Obraz otchłani, na której dnie nędza, głód i śmierć, popycha znużony tłum, bodzie ostrogami upadających na siłach, kulawych, niewidomych, anemicznych, którzy wstają i śpieszą. Otchłań nędzy biegnie za nimi, częstokroć o kwadrans czasu z tyłu, pochłaniając spóźnionych. Przymus pieniężny jest natarczywy, brutalny jak feldfebel, nieznoszący zwłoki. Wszelki opór jest łamany bez litości i bez surowości, mechanicznie, niby przy pomocy walca do łamania kości albo znakomitej maszyny do obierania z mózgu — *la machine à décerveler*.

Cała ludność zajęta jest nieustannie wymianą i konsumpcją banknotów, która pozostaje do pracy produkcyjnej w takim stosunku, w jakim np. musztra w koszarach znajduje się do rolnictwa, z tą różnicą, że jałowość konsumpcji banknotów jest jeszcze bardziej uderzająca: nie zostaje z niej nawet znajomość musztry, pieśni żołnierskiej i grubiańskiego przekleństwa dragona.

Bezsenne podtrzymywanie cyrkulacji banknotów jest pracą Syzyfa. Fikcyjne bogactwo Merkurego berlińskiego wciąż zmniejsza się i, podtrzymywane gorączkowym drukiem nowych emisji, waha się z godziny na godzinę, niby temperatura agonizatora, któremu co chwila wstrzykują nowe dozy podtrzymującej trucizny.

Merkury amsterdamski

Nigdzie, może nawet w City londyńskim, Merkury nie jest tak potężny jak w Amsterdamie. Handel zdaje się tu być namiętnością żywiolową. Każdy dom do pierwszego piętra jest składem towarów, na którym wyżej dopiero zaczyna się idylla półek z kwiatami. Przez okna widać setki klerków, którzy przy poczerniałych od fajkowego dymu stołach piszą frachty, certyfikaty i pokwitowania. Gdzieś widać wagi, na których odważano niegdyś cekiny i portugały. Na wszystkich ulicach stoją wozy, z których robotnicy w drewnianych sabotach wyładowują towary z za morza. Dokoła wozów widać kręcących się klerków — trzymając w rękę frachty i *connaissements*, liczą beczki i skrzynie, badają ich całość i wagę, obliczają tolerancje i asekuracje.

Wystawy sklepów mają wygląd odmienny od wystaw paryskich i londyńskich. Witryny amsterdamskie nie kuszą patrzącego, lecz przygniatają go masywnym bogactwem złożonych w nich

towarów. Tkaniny leżą w gigantycznych zwojach, ciężkie, barwne, w olbrzymie pręgi, jak gdyby robiono z nich surduty dla hipopotamów. Oglądanie, dotykane towarów i przeliczanie ich wartości w guldenach zdają się stanowić stałą i naturalną rozrywkę mieszkańców.

Na głównej ulicy słysząc odległe tony jazz-bandu.

Oh, yes, we have no bananas...

Sala jest nudna i pusta. Dziś nie ma marynarzy. Trwająca od tygodnia burza wstrzymała ruch statków.

O kilka domów dalej słysząc znów cikliwy głos skrzypiec. Jakaś znudzona postać wychodzi, i przez otwarte drzwi słysząc przez chwilę wyraźnie:

*We have some tomatoes,
We have some potatoes,
But we have no bana...*

Nawet zabawa zdaje się tutaj być parafrazą obliczania skrzyń z opakowanymi w słomę jarzynami.

W ogrodzie po środku miasta, więziony przez Merkurego siedzi w klatce stary lew, Simba. Niedzielna publiczność drażni Simbę parasolami. Stary lew jest dobroduszny i udaje, że się bawi, łapiąc lwim pazurem końce burżujskich parasoli. Ale twarz jego pozostaje przy tym nieruchoma i wyraża niezmierną nudę i pogardę. Od czasu do czasu *Simba* zatrzymuje się i patrząc wprost w oczy, wydaje groźny i obelżywy ryk, od którego drżą szyby i mury, lecz widząc, że twarze za kratą bledną, przybiera znów pozę dobroduszną, jak gdyby tłumaczył, że nie mówi do widzów, do nikogo z obecnych, ale tak sobie, w ogóle, do Merkurego amsterdamskiego.

Sam nawet rozwój nauk dotyczących folkloru, socjologii i historii religii, zdaje się tu być produktem ubocznym merkuralnej potrzeby podróżywania.

Gdy Nabuchodonozor holenderski, rozparłszy się w fotelu, liczy w myśli swe bogactwa, widzi je nie w oderwanej postaci czeków, opcji i *trifling railroad shares*, lecz w postaci bel bawełny, worków kawy, okseftów rumu, skrzyń fig i cetnarów sztokfisu. Merkury amsterdamski jest realistą.

Prawo i bezprawie Greshama

W Niemczech mają obieg trzy gatunki banknotów: dolary zielone czyli banknoty Stanów Zjednoczonych, dolary niemieckie

czyli bony niemieckiej pożyczki złotej w postaci tzw. *Goldanleihe*, *Schatzanweisung* lub *Rentenmark*, wreszcie marki papierowe czyli *Reichsbanknoten*.

Zaden z tych trzech rodzajów banknotów nie ma stałej wartości w stosunku do przedmiotów użytku codziennego. Wszelako zmienność ich w stosunku do przedmiotów jest różna.

W stosunku najbardziej stałym jest dolar zielony. Znacznie mniej stały stosunek do ceny obiadu ma marka złota. *Reichsbanknot* wreszcie jest podobny do biletu do teatru, który służy tylko na jeden dzień i nazajutrz jest bez wartości.

Robotnik albo urzędnik, który otrzymał dziś miesięczną pensję w markach papierowych, może za nie jeść obiad tylko dziś. O ile ma on intencję zjeść jutro, musi zmienić swe marki papierowe na marki złote. Tę zaś część swojej fortuny, którą asygnuje na jedzenie w końcu miesiąca, musi zmienić na dolary zielone.

Jutro, zanim uda się do garkuchni, będzie musiał wymienić kupione dziś marki złote na marki papierowe. Będzie musiał zmieniać każdego dnia aż do ich wyczerpania, po czym przystąpi do wymiany dolarów zielonych, które pojawią się znów w większej liczbie w końcu miesiąca.

Gorsza moneta wypęda lepszą, powiada tzw. prawo Greshama. Wypłaty rzeczywiste odbywają się też tylko w markach papierowych. Nieubłagane prawo Greshama jest w Niemczech jeszcze okute żelaznymi przepisami o przymusowym kursie urzędowym marki papierowej, który jest prawie dwukrotnie wyższy od kursu rzeczywistego. Dlatego każdy, kto płaci w markach papierowych, kupionych uprzednio za dolary lub marki złote po kursie wolnym, zyskuje różnicę między kursem urzędowym i kursem wolnym od przymusu. Dlatego emisje rentenmarki i wszystkie *Schatzanweisungen* znikają natychmiast z obiegu. Gorsza moneta wypęda lepszą. Marka papierowa wypęda markę złotą, marka złota wypęda dolara zielonego. Za monetę obiegową służy zawsze moneta najgorsza, podobna do biletu do cyrku, ważnego tylko na dziś.

Emisja dzisiejsza marki papierowej, drukowana ostatniej nocy, musi do wieczora wiele jeszcze razy zmienić właściciela. Jest to niby gra w karty zwana *der schwarze Peter*, gdzie grający, który pozostaje z waletem pikowym w ręku, przegrywa. Marka papierowa jest takim właśnie waletem pikowym, którego każdy stara się oddać swemu sąsiadowi, dopóki nie otrzyma go późnym wieczorem ostatni nieszczęśliwy gracz, który zapłaci za wszystkich.

Reguły tej gry są jednak złagodzone tym, że do końca dnia wartość emisji dzisiejszej zmaleje do połowy, do czwartej lub dziesiątej części. Ostatni gracz, który zostanie z bilionem marek

papierowych w rękę, otrzyma już tylko nieznaczący papierek, który przyjmie nie jako pieniądz, ale już jako drobną monetę, jako dokładkę do wypłaty w monecie lepszej. W praktyce tym ostatnim graczem jest często urząd podatkowy i sam Reichsbank.

Do wieczora wartość ogólna emisji drukowanej ostatniej nocy zbliży się mocno do zera. Dla zapobieżenia zniknięciu środków płatniczych i zablokowaniu handlu artykułami spożywczymi, dziś przez całą noc pracować będą drukarnie przy maszynach rotacyjnych celem dostarczenia monety na jutro. *Keine Banknoten, keine Nahrungsmittel*, powiada edykt generała von Seeckta.

Kredytor państwa, który zgłosi się jutro rano do Reichsbanku po marki papierowe, będzie musiał je zmienić natychmiast na inne wartości. Powrotu jego czeka już szereg ludzi, którzy idą na obiad i chcą kupić w tym celu, po kursie wolnym, marki papierowe, będące według prawa Greshama jedynym rzeczywistym środkiem płatniczym.

W ten sposób każdy z obywateli spędza kilka godzin czasu dziennie w służbie Merkurego, który rządzi tutaj berłem Greshama.

Banki istniejące dawniej nie mogą więcej podołać nowym zażądaniom. Biura ich oplotły gęstą siecią całe miasto. Na każdym rogu ulicy jest oddział banku. Kantor wymiany znajduje się dla uproszczenia sprawy koło każdego sklepiku. Na większych ulicach stoją drewniane kioski, na których widnieje napis *Exchange*, i gdzie za monetę lepszą wydaje się pieniądze na bilety tramwajowe. Wreszcie operacji *exchange*'u dokonuje każdy sklep, każdy kelner, każdy przechodzień.

Kooperatyści samojedzi

Sklepy w Berlinie zamykają swe drzwi o 6-ej popołudniu. Godzina ta nie jest zbyt wczesna, zważywszy, że sprzedają jedynie tylko sklepy spożywcze. Nikt nie wchodzi do sklepów z obuwiami i konfekcją. Zresztą same wystawy ich mówią o tym. W witrynach widać tylko towary luksusowe i fantazyjne, koszule jedwabne osobliwej formy, buciki z maskarady. Nigdzie nie widać przedmiotów użytku codziennego.

Uderza też inny jeszcze szczegół życia berlińskiego. Od kilku tygodni rozglądam się na próżno na ulicach, aby znaleźć płaszcz równie stary i zniszczony jak ten, który kupiłem był półtora roku temu w Galerie Lafayette. Żaden z przechodniów nie nosi

takiej starożytności. Wszyscy mają płaszcze, ubrania, kapelusze, buciki i rękawiczki zupełnie nowe, codziennie inne. Każdy Berlińczyk posiada garderobę tak bogatą, że czeka bez trwogi nadejścia siedmiu lat posuchy przędzalniczej i szewckiej.

A weszliśmy właśnie w pierwszy rok tej posuchy. Ubrania i obuwie znikły z handlu i oszańcowały się w niezdobyczej fortecy dolarowej.

Towary użytku codziennego zostały wykupione podczas tzw. ucieczki od marki, kiedy wszyscy posiadacze tej ostatniej kupowali tanio i natychmiast, aby nie trzymać w domu reichsbanknotów. Widziałem w mieszkaniu pewnej zubożałej rentierki niemieckiej cały pokój zastawiony lampami. Były tam lampy elektryczne, naftowe, spirytusowe, gazolinowe, lampy z abażurami i bez nich, lampy na postumentach kamiennych, na trójnogach, wysokie i przyziemne. Pokój ten przypominał miasto lamp, opisane przez Lukianosa z Samosaty. Niewprawna w spekulacji walutowej rentierka kupowała lampy, aby w ten sposób ocalić część swego topniejącego kapitału. Przeważnie jednak Berlińczycy byli równie przewidujący jak próżni i kupowali buciki, ubrania, futra, rękawiczki itd. Berlinki nabrały gustu do pięknych sukien i obuwia (lecz nie do kapeluszy, które miały tu zawsze złą tradycję). Berlińczycy posunęli elegancje męskie do nieznanych tu nigdy przedtem rafinacji.

Biorąc rzecz z punktu widzenia bardziej ogólnego, można powiedzieć, że Niemcy dokonali w swej *Nationaloekonomie*, jak oni to nazywają, operacji mocno przypominającej likwidację kooperatywy, założonej przez pewnego idealistę we wsi zamieszkaney, powiedzmy, przez Samojedów.

Gdy kooperatywa, o której mowa, doszła już do pewnego rozkwitu i gdy skład jej wypełnił się towarami najbardziej odpowiadającymi gustom mieszkańców, kooperatyści, którzy złożyli się byli na ich zakup, zgromadzili się nocą w sąsiednim szynku i zaczęli przeliczać głośno swe bogactwa. Piszący te słowa nie umie odtworzyć przebiegu dyskusji w szynku, ale zna jej wynik. Oto kooperatyści Samojedzi udali się wprost z szynku do składu i, pod nieobecność wynajętego przez nich magazyniera, złamali zamki i ograbili swą własną kooperatywę, dzieląc sprawiedliwie towary, które zabrali do domów.

Podobnej, jakkolwiek na większą skalę zamierzonej, operacji dokonali Niemcy w ciągu ostatnich trzech lat. Wykupiwszy za marki papierowe wszystkie znajdujące się w kraju buty, futra i kapelusze, podzieliwszy sukna i perkale, rozeszli się do domów, zawieszając tymczasowo handel i oczekując spokojnie lat nieurodzaju przędzalniczego, który też nie omieszkał nadejść.

Wielbłąd w Baktrianie

Razu pewnego Lukianos z Samosaty zobaczył we śnie koguta, który zameldował mu, że jest ostatnią metamorfozą jednego z uczestników wojny trojańskiej. Zamiłowany w Homerze Lukianos zapytał go, czy w rzeczy samej Helena była tak piękna, jak to głosiła jej sława. Na to kogut odpowiedział, że sława jej była mocno przesadzona. W czasie wojny trojańskiej Helena nie była już młoda. Miała wówczas około siedmuset lat. Jeszcze Tezeusz ubiegał się był o jej względy. Następnie miała zbyt długą szyję, która wskazywała nazbyt wyraźnie na jej łabędzie pochodzenie. Wzburzony tymi rewelacjami Lukianos zapytał, czy Homer dokładnie opisał był wypadki tego czasu. Eh, gdzie tam, odrzekł kogut. W czasach wojny trojańskiej Homer był wielbłądem w Baktrianie i o wielkich wypadkach tego czasu wiedział był właśnie tyle, ile mógł o nich wiedzieć wielbłąd w Baktrianie.

Według informacji piszącego te słowa ów wielbłąd, w którego skórce przebywał niegdyś Homerus, żyje do dziś dnia w Baktrianie i od 1914 roku zajmuje się wyłącznie prawie literaturą. Dłuższe fragmenty jego utworów oglądałem na własne oczy w raportach pewnych ambasadorów i w artykułach kilku dziennikarzy znanych z wszechstronnej erudycji.

W ostatnich czasach pomysły i informacje znakomitego wielbłąda zaczęły zataczać coraz szersze kręgi i wpływ ich zaczął się szerzyć nawet w miastach najbardziej oddalonych od Baktriany, jak Londyn i New York. Jest to, być może, jeden z dobroczynnych skutków rozbudowy sieci telegrafu bez drutu, który dotychczas przynosił tylko najbardziej kliwne komunikaty rządowe.

W każdym razie nie można negować, że informacje wielbłąda z Baktriany odegrały pewną rolę w ostatnich debatach Izby Gmin. W największym skróceniu, treść tych debat była następująca:

Baldwin oznajmił, że Wielkiej Brytanii grozi tak niebezpieczny zalew towarami niemieckimi, że powinna otoczyć się szansem ceł prohibicyjnych. Ponieważ w Anglii wolny handel ma wielkie tradycje i wielu żyjących jeszcze zwolenników, wprowadzenie ceł ochronnych na wielką skalę jest krokiem tak ważnym, że rząd nie może powziąć go bez odwołania się uprzednio do wyborców. W tym celu właśnie parlament będzie rozwiązany i rozpisane zostaną nowe wybory.

Będący w opozycji Lloyd George wystąpił z krytyką rządu, deklarując, że droga obrona przez Baldwina nie broni dostatecznie Anglii przed potopem towarów niemieckich. Jeżeli nowy parlament zbierze się z początkiem nowego roku, nowe prawodawstwo celne przy największym nawet pośpiechu, nie będzie

mogło wejść w życie przed majem. A wówczas będzie już za późno. Cała Anglia będzie zalana towarami niemieckimi.

Jak widać z tych przemówień, wielbłąd z Baktriany stał się na starość alarmistą. Nie obawiał się on konkurencji niemieckiej w czasach największego rozkwitu przemysłu w Niemczech, natomiast zaczął alarmować świat w chwili, kiedy przemysł i handel niemiecki zaczęły agonizować i kiedy Niemcy na swój wewnętrzny użytek zaprowadzili najdroższą na świecie walutę złotą.

A może deklaracje angielskich mężów stanu są tylko umówionymi formułkami skrywającymi zupełnie odmienną treść i intencje, nie mające nic wspólnego z towarami niemieckimi? Piszący te słowa nie ma żadnych kwalifikacji do tłumaczenia innym tajnych intencji Brytyjczyków, ale nie waha się powiedzieć, że *sense of humour* Izby Gmin porósł w ostatnich czasach wielbłądzą sierścią.

De Consolatione in Tageblatto

Ulice Berlina roją się obecnie od żebraków. Na ulice wylegli wszyscy kulawi, ślepi, sparaliżowani, których Niemcy przedwojenne skrywały dyskretnie w miejscach niedostępnych dla oka. Dobroczynność organizowana nie mogła się jednak oprzeć dewaluacji, chyba gdyby była administrowana przez spekulantów. Po jej upadku wszyscy starcy i ułomni znaleźli się na ulicy i zaczęli zaprawiać się do nowej w Niemczech profesji żebraków, w której w krótkim czasie dokonali znacznych postępów. Szeregi ich zostały wkrótce powiększone przez nieszczęśliwych, którzy nie mogli dotrzymać kroku żołnierzom Merkurego i których otchłan walutowa dopędziła i pochłonęła.

Zawód żebraka wyzwala nędzę z jej dyskrecji, nadaje jej charakter jawny i oficjalny, dyspensuje od skrywania śladów nahajki pod podniesionym kołnierzem. Na dnie nędzy znajduje się nawet pewne poczucie nowych praw, jakie przysługują mieszkańcom otchłani. Najniższy szczebel człowieczeństwa ma swoje przywileje, na które nie waży się więcej podnieść pałka policjanta. Galernik, który dostał trądu, uchyla się spod żelaznej dyscypliny katorgi i śmiało pije wódkę na zdrowie dyrektora więzienia, który trwożliwie trzyma się z daleka.

Podobnie nędzarz przekracza niewidzialną linię, na której kończy się imperium Mammona, gdzie nędza odrzuca zgryzotę i staje się zuchwałą i wyzywającą.

Po wojnie Niemcy poznali obcą głęboko i nową dla nich zuchwałość nędzy, którą demonstrują obecnie ulice Berlina. Świadomość, że w mroku rozpaczy znajduje się jeszcze inne wyjście

z niewoli, upoiła niby posępnym trunkiem jednych, zaniepokoiła głęboko poczucie moralne, i nawet religijne drugich. *Res sacra miser*, to się rozumie, ale jakie są prerogatywy doczesne tej świętości, i jakie są wobec niej prawa moralne obywateli?

Na tę *questio subtilissima* odpowiedział pewien dziennikarz, który, niby nowy Marek Aureli, zapragnął ukoić niepokój moralny obywateli. Zebracy, pisał on, są ludźmi mającymi największe dochody w Berlinie. Jako rozporządzający wielką ilością czasu, mogą oni dbać skutecznie o swoje interesy i być zawsze pierwszymi przy okienkach w kantorach wymiany. Dochody swe zamieniają natychmiast na dolary, absorbując znaczną część dewiz zagranicznych, jakie pojawiają się na rynku. Majątki ich, wierzcie mi, pisał ów dziennikarz, należą do najlepiej zabezpieczonych w Rzeszy Niemieckiej...

Produkty maszyny do obierania z mózgu

— Ładnie teraz wyglądają moralisci demokracji, którzy zachwalali nam pracę w czasach, kiedy pan, mój młody panie, koszulę w zębach nosił. Nie można, panie, bez śmiechu myśleć, że pośród pożaru są jeszcze ludzie, którzy bzdurzą o solidarności socjalnej i układają prawa o ochronie pracy. Zatabaczeni wariaci, powiadam panu, którzy chcieliby gasić pożar szklaneczką różanej wody.

— Kogo pierwszego zjadła maszyna do obierania z mózgu? Pochłonęła ona wszystkich pracujących, a zostawiła próżniaków. Tak, panie. Człowiek pracujący, robotnik, czy literat, nie ma czasu ani zmysłu do kombinacji dolarowej. Zmysł ten ma złodziej, który cały dzień nic nie robi, tylko myśli gdzieby co ukraść, oraz właściciel majątku nieruchomego, który zbiera zboże i czynsz i z cygarem w ręku myśli, jak najlepiej obrócić pieniędzmi. Człowiek pracujący, żyjący z pracy i od niej zależny, nie ma czasu na siedzenie przez cały dzień na czarnej giełdzie i czekanie na pomyslną tendencję. Dlatego pracujący zostali od razu ostrzyżeni ze wszystkich oszczędności i zarobków i teraz będą musieli pracować przez cały boży dzień i część nocy, w wytartych portkach i dziurawych butach, na pożytek złodziei i spekulantów, którzy żyć będą z cudzej pracy.

— Czy myślisz pan, że maszyna dewaluacyjna pracowała darmo, tak po prostu z przypadku, dla wszystkich i dla nikogo? Maszyna do banknotów pracowała dla przemysłowca i fabrykanta. Dobry kurs marki im niepotrzebny! Fabryki i maszyny są ich. Kredytorzy będą spłaceni fałszywymi banknotami, a kiedy w ka-

sach związków zawodowych znajdują się same papierowe marki, o wartości co dzień mniejszej, wszystkie prawa robotników będą złamane raz na zawsze. Kiedy pozielenią z głodu, przykuje się ich łańcuchem do taczki od razu po wszystkie czasy. Sami będą szli. Będą pracowali dwanaście, czternaście godzin za miskę zgnitych kartofli.

— Tak, mój drogi panie. I pan sam będziesz pracował tak samo. Będzie pan chodził co miesiąc do spowiedzi. Stinnes wynajmie księży, żeby uczyli pana o zbawieniu duszy i posłuszeństwie dla władzy od Boga danej. Zapiszą pana do bojówki sodalisów mariańskich, gdzie jak pies łańcuchowy będziesz pan pilnował majątku fabrycznego.

— Pan się śmieje? Pan może wierzysz w swą gwiazdę, która pozwoli panu ominąć maszynę do obierania z mózgu? Ale zaczekaj pan, mój piękny panie. Wspomnisz pan moje słowa, kiedy staniesz w szeregu przed maszyną, która obierze pana z mózgu akuratnie i wyrzuci na bruk, jako brudny łachman bez rozumu i bez woli, kiedy będziesz pan wył z radości na widok miski barszczu, od której będą pana odpędzali obcałami.

— Pan wciąż myśli o przedwojennych tzw. rekinach kapitalizmu, którzy robili pługi i superfosfaty. Tych, mój panie, nie ma już od dawna. Na ich miejsce przyszli nowi, którzy dostarczali tylko amunicji, mundurów i mięsa ludzkiego dla armat. Im więcej zabitych, tym więcej mundurów potrzeba na przyodzianie na śmierć rekrutów. Im większy pożar, tym łatwiej ukraść przy nim pięć kopiejek. To był rachunek, z którego wyrosły ich fortuny. Majątki ich wyszły nie z nowych bogactw, ale ze zniszczenia, z cynizmu bez granic, z grabieży i rzezi ludzkiej. Pieniądze ich śmierdzą krwią, jak banknoty handlarza z czczewyczajki.

— Spójrz pan zresztą na ich twarze, a raczej bezmyślnie chytre ryje zwierzęce, na ich brylanty kupione od czekistów, na ich zabawy, na ich automobile, na ich metresy w sobolowych futrach. Czuje ten piękny ludek, że ich nowych majątków i ich nowego porządku wersalskiego nikt nie będzie bronił za darmo. I dlatego chytrzejsi i podlejsi z nich zbroją faszystów i opryczników, którzy za złoty pieniądz będą bronili ich majątków.

— Ale ci panowie myślą się, sądząc, że ja odejdę cicho i pokornie. Że posłusznie umrę bez słowa na nędznym łóżku w szpitalu, jako potulny produkt maszyny do obierania z mózgu. Mnie się nie chce tak schodzić ze sceny. I zanim odejdę, żelaznym młotem połamię wasze lakierowane automobile i tym samym młotem uderzę was w twarz. Zanim odejdę, moi piękni panowie w bobrowych futrach, ja was zgnoję w czczewyczajkach straszniejszych niż więzienia Dzierżyńskiego. Nogi moje będą trzymał na

waszych poduszkach i grzać się będą przy ogniu z waszych wspa-
niałych ksiązek, które usłużny wydawca dorobił do waszych pta-
sich inteligencji.

Do you know, young man, what war means?

Podczas prezydentury Teodora Roosevelta była chwila wiel-
kiego napięcia stosunków między Niemcami i Stanami Zjednoczo-
nymi. Rząd niemiecki chciał być interweniować zbrojnie w Ame-
ryce Centralnej, czemu Stany Zjednoczone sprzeciwiły się rezolu-
tynie w imię doktryny Monroego, która zabrania mocarstwom
europejskim mieszania się do spraw amerykańskich. Roosevelt
wydał drastyczne rozporządzenia słabej wówczas flocie Stanów
Zjednoczonych i statki wojenne obu mocarstw spotkały się na
wodach amerykańskich. Ze statku niemieckiego wysiadł lejtnant
von Hinze, ten sam, który później w randze admirała brał udział
w wojnie podwodnej, a później był podsekretarzem stanu do
spraw zagranicznych. Porucznik von Hinze udał się do admirała
amerykańskiego i zakomunikował mu dyspozycje floty niemieckiej.

— Dyspozycje te oznaczają wojnę, powiedział admirał.

— Tak jest, przyznał Hinze.

I tutaj stary admirał, który pamiętał był zapewne wojnę sece-
syjną, zadał owo znakomite zapytanie:

— *Do you know, young man, what war means?* Czy wiesz
pan, mój młody panie, co znaczy wojna?

Dzisiaj admirał von Hinze mógłby powiedzieć:

— *Now I know what war means.* Teraz już wiem co znaczy
wojna.

Ale nie tylko on jeden. To samo mógłby odpowiedzieć każdy
żołnierz, który uszedł z rzeźni ludzkiej. I wszyscy mieszkańcy
Europy mogliby zawołać chórem: Teraz wiemy, co znaczy wojna.

Świadomość tego, czym jest wojna, ciąży jeszcze na każdym
dniu dzisiejszym. Fragmenty wojny, które wsączały się powoli
do świadomości jej uczestników, układają się w pewien porządek,
i myśl zaczyna je przenikać. Niewątpliwie wielka katastrofa, wy-
koleiwszy wszystkich, dała wielu pseudoromantyczny gust znisz-
czenia, grabieży i swobód hultajskich. W każdym kraju istnieje
dziś pewna rezerwa drapichrustów, gotowych pójść do każdej no-
wej awantury. Z nich to mają się rekrutować nowi oprycznicy.
Ale tego faktu nie należy mieszać z innym, mianowicie z pogłębia-
jącym się wciąż bankructwem generałów i dyktatorów wielkiej
wojny.

W żadnej zapewne z wojen ubiegłych generałowie nie wyka-

zali tak zupełnego ubóstwa inwencji, jak w wojnie ostatniej. Cenzura, terror i egzekucje na wewnątrz, chwiejność, brak zupełny wiedzy i inicjatywy w obliczu nieprzyjaciela. Żadnego dowcipu lub fortelu, przechodzącego inteligencję infanterzysty, żadnego pomysłu, który by był rozstrzygnął i skrócił wojnę: masakra jako jedyny środek walki z nieprzyjacielem. Oto cały repertuar inwencji, na jaką zdobyli się generałowie obu stron.

Fakt ten tkwi już od dawna w świadomości żołnierzy, zwłaszcza ludzi prostych; nie wyciągali zeń oni żadnych pośpiesznych konsekwencji, ale wynieśli z wojny pewien sceptycyzm, który przy sposobności u nich odnajdziemy, i który, być może, zaważy jeszcze na losach świata. Od 1918 roku pamiątki uczestników wojny i zarozumiałych, a niebaczných na śmieszność generałów wniosły te prawdy do umysłów tych, dla których rzeczy oczywiście muszą być przedtem wydrukowane. Kiedy czytamy dziś protokoły debat międzynarodowych rad wojskowych, na usta wybiega nam szpetne przekleństwo i w świadomości naszej tworzy się niezachwiane przekonanie moralne, że nigdy więcej rodzice nie powinni powierzać swych synów, a narody — swej przyszłości podobnym korporacjom galonowanych idiotów. W obliczu wymordowanego pokolenia i zmarnowanego życia pozostałych, te wyrazy surowego potępienia dla generałów i władców z czasów wojny są żywym uczuciem ludzkim, którego nie wypełni cenzura i nie zgłuszą fanfary propagandystów.

Wspomnienia wojny są jeszcze zbyt bliskie, aby powrót do władzy Hohenzollernów i Wittelsbachów był możliwy. Próby restauracji mogłyby natrafić na nieoczekiwany opór najstarszych warstw społeczeństwa. Panowie szambelani, łowczy i ochmistrze, tęskniący do dawnych urzędów, będą musieli zaczekać.

Diogenes czyta gazetę

Tokio, 1 grudnia. Rząd postanowił z budżetu marynarki wojennej skreślić część uchwalonych kredytów i obrócić je na odbudowę prowincji zniszczonych przez trzęsienie ziemi. Z kredytów marynarki wojennej na rok 1923, wynoszących 278 milionów yenów, zostanie skreślona suma 39 milionów, a z kredytów na rok 1924, wynoszących 279 milionów yenów, skreślone będzie 41 milionów.

O, jak głęboką jest mądrość Wschodu. Tam zachowano jeszcze w ekonomii publicznej zdrowe zasady, że *primum edere, deinde philosophari*, że naprzód trzeba mieć dach na głowę, a potem dopiero *parcere subjectis ac debellare superbos*, że trzeba naprzód

ulżyć palącej nędzy swego narodu, a potem dopiero budować pancerniki.

Przejdźmy jednak od Japonii do krajów mniej szczęśliwych, w których trzęsienie ziemi trwa już przeszło dziewięć lat.

Londyn. Izba gmin uchwaliła w trzecim czytaniu kredyty w sumie dziesięciu milionów funtów na rozpoczęcie budowy bazy wojennej morskiej w Singapore. Dziś rozpoczęto budowę ośmiu nowych krążowników itd.

Otwórzmy organ pana Bunau-Varilla, *Le Matin*, w którym nie wstydzi się pisać, w wolnych od najważniejszych spraw państwa chwilach, sam P. Poincaré.

Czytamy tam: „Operacje floty włoskiej na wodach greckich wywołały w kołach politycznych liczne komentarze na temat świetnego stanu marynarki wojennej naszych przyjaciół transalpejskich. W odróżnieniu od Francji, zajętej całkowicie odbudową prowincji zniszczonych podczas wojny, Włochy znalazły fundusze potrzebne na całkowite odnowienie i skompletowanie swej floty wojennej, która obecnie zajmuje pierwsze miejsce na morzu Śródziemnym”.

Dalej czytamy:

Cherbourg. Dziś w obecności ministra marynarki i ministra robót publicznych odbyło się uroczyste spuszczenie na wodę pierwszego z serii krążownika-destroyera. Wspaniały ten statek wykonany został całkowicie w warsztatach państwowych. Koszta jego budowy wyniosły 500 milionów franków. Minister marynarki w wymownych słowach nakreślił rolę marynarki wojennej w dziejach kraju. Powiedział on między innymi itd.

W innym zaś numerze: W le Creuzot zakończono odlewianie serii armat ciężkiego kalibru, niosących na odległość dziesięćdziesięciu kilometrów. Armaty te, na specjalnych wagonach, zostały przewieziona do jednego z portów Północnej Francji, gdzie służyć będą do obrony naszych brzegów morskich.

Nieco później zaś: Prezydent Republiki czesko-słowackiej w dzień swego odjazdu do Londynu udał się w automobiliu w towarzystwie ministra wojny i szefa sztabu, do znanej z czasów wojny miejscowości zwanej la Butte de Tahure, gdzie asystował przy przeglądzie wojsk urządzonym na jego cześć. W rewii tej brało udział tysiąc aeroplanów wojskowych, których malownicze ewolucje itd.

Nic dziwnego, że czytelnicy gazet są dziwnie oporni, kiedy chodzi o płacenie podatków. Bogactwa prywatne znikają jak kamfora na widok funkcjonariusza urzędu podatkowego, przychodzącego zbierać pieniądze na budowę baz morskich i destroyerów.

Dla zrozumienia tego fenomenu należy zastanowić się na chwili

łę nad tym, co właściwie w naszych czasach reprezentuje destroyer. Jak nazwa wskazuje, jest to statek destruktor, przeznaczony do niszczenia bezbronnych statków handlowych. Spalający fantastyczne ilości ropy naftowej, statek ten nie może spełniać żadnych funkcji pokojowych, ponieważ każda podróż jego pochłania olbrzymie wydatki, a oprócz tego nie posiada on miejsca, mogącego służyć do pomieszczenia podróźnych lub towarów. Dlatego 500 milionów franków asygnowanych na budowę destroyera są bezpowrotnie złożone na ołtarzu boga zniszczenia.

Co zaś reprezentuje 500 milionów franków? Za sumę tę można 500 ludzi zrobić milionerami, czyli dać im nieograniczone możliwości podróżowania, kształcenia się, wreszcie życia szerokiego i swobodnego, takiego, jakie uczniom swoim zalecał Seneca. Mędrzec ów, będący jednym z najbogatszych ludzi swego czasu, uczył że życie powinno być swobodne i nieprzymuszone, należy je, przez poczucie godności własnej, opuścić bez gniewu i goryczy, jak się wychodzi z miejsca nieodpowiadającego naszej potrzebie komfortu.

Nie trzeba tłumaczyć, że życie naszych czasów, spędzane między urzędem policyjno-podatkowym i kantorem wymiany, nie odpowiada zgoła pojęciom pogańskim o godności ludzkiej. Ale w równej mierze jest ono wyzute z chrześcijańskich pojęć o *caritas*. Owe 500 milionów reprezentują bowiem milion razy pięć set franków, w braku których milion ludzi topi się i gnije w naszych oczach na dnie nędzy i rozpacz, na której widok samo słońce zdaje się czernieć i do której nikt oprócz Syna Bożego z własnej woli się nie zbliżał.

Doprawdy, nigdy może Europa nie była tak źle rządzoną, jak w tej chwili. Nigdy może rządy nie były tak wrzaskliwe, gdy chodzi o głupstwa, i tak śmiesznie nieporadne, gdy chodzi o poważne sprawy administracyjne lub finansowe.

Galonowani głupcy, którzy powinni byli zapaść się pod ziemię ze wstydu za swoją bezgraniczną nicość podczas wojny, dziś, ochłonawszy ze strachu o własną skórę, żądają znów kredytów i rekrutów w przewidywaniu nowych wojen.

Zabiegi ich szerzą ogólny zamęt i zapowiadają możliwość nowych katastrof. W ostatnich latach byliśmy świadkami upadku trzech największych imperiów Europy. Żadne z nich nie zginęło z braku armat i generałów. Wręcz przeciwnie; upadły one li-tylko z braku rozumu i uczciwości; obfitość artylerii zdawała się nawet w każdym wypadku uprzedzać bezpośrednio ich *collapsus*.

Ale nikt nie dba o wyciąganie nauki z tych wypadków. W ogólnym zamęciu do władzy doszły postacie wytarte i bezwstyd-

ne, które opatrzone niesłychanymi dawniej pełnomocnictwami, odgrywają rolę małych Nabuchodonozorów w tużurkach.

Stare teorie radykałów o prawodawstwie społecznym i interwencjach rządów w sprawach ekonomicznych nie odpowiadają zgoła nowym rzeczywistościom. Rządy obecne mają już pełnomocnictwa nieproporcjonalne, przekraczające ich uczciwość i inteligencję. Podatki od dochodu, wpłacone dziś do ich rąk, pójdą do kieszeni spekulantów i hultajów i będą obrócone na wyrób armat i nahajek, prawo zaś interwencji w kwestiach socjalnych i ekonomicznych stanie się w rękach nowych Arakczejewów instrumentem opresji, zmieniającym życie w wieczystą niewolę.

Dopiero, w obliczu tych smutnych rzeczywistości można ocenić, że traktat wersalski przyniósł Niemcom nieobliczalne korzyści. Zniesienie armii i floty jest w naszych czasach dobrodziejstwem, którego sama nawet komisja reparacyjna nie potrafi ocenić w markach złotych. Nie podobna też nie wspomnieć o zasługach wobec Niemiec komisji kontroli wojskowej, która wyjąłowała Niemcy z broni, robiąc niemożliwymi na przyszłość tak częste w innych krajach rzeznie uliczne, zarządzane przez galonowanych idiotów.

Traktat dał Niemcom do ręki nieograniczone możliwości przyszłości pokojowej, wobec których same nawet rozsądne reparacje zdają się lekkie. Ale jak ciężko jest płacić wiedząc, że zapłacone sumy zostaną utopione w wodach Singapuru lub przejdą do kieszeni opryszków fabrykujących broń.

Rozbójnicy

Z gazety: „Dziś w południe w Wilmersdorfie został ograbiony cały szereg sklepów z żywnością i konfekcją. W dzielnicy Berlin-West ludność znajduje się od kilku dni w ciągłym oczekiwaniu nowych grabieży i ekscesów. Mieszkańcy z trwogą obserwują pojawianie się na ulicach podejrzanych elementów, które znikają z nadejściem nocy. W różnych miejscach tworzą się grupy, które po chwili znikają i pojawiają się gdzie indziej. Są to przeważnie młodzi chłopcy w wieku od 16 do 20 lat. Według obserwacji policji są to mieszkańcy innych dzielnic, napływający do Berlin-West w południe i opuszczający tę dzielnicę wieczorem”.

Jakże wyglądają oni?

Oto Tauenzienstrasse i Kurfürstendamm ze swymi *Weinrestaurants* i *Likörstuben*. W południe po szerokich chodnikach idzie właściwa tym ulicom publiczność: żołnierze Merkurego w futrza-

nych płaszczach i damy z farbowanymi włosami. Idą, tędy i nad-
zad bez pośpiechu, prowadząc swoje psy.

I nagle ukazują się oni. Jest ich pięciu. Idą środkiem ulicy
i gwiżdżą. Przodem idzie osiemnastoletni chłopiec. Włosy ma
rude, ani jednej kropli krwi w twarzy. Oczy przymknął z lekka
od nadmiaru zuchwalstwa. Patrzy wprost w twarz wyzywająco
i gwiżdże wesołą piosenkę, niby na mszy odprawianej przez
samego arcybiskupa.

Koło niego idzie chłopiec o dziecinnej twarzy i wielkich, ciem-
nych oczach, dziecko miasta. Dziś rano zapewne matka przygo-
towała mu śniadanie i przypomniała, aby nie zapomniał szalika
na szyję, bo dzień jest chłodny. A teraz oto idzie on śmiało po
asfalcie, jako rozbójnik z szajką rozbójników.

Pozostali są tak samo młodzi. Ubrani są czysto, niektórzy
nawet elegancko. Są to młodzi robotnicy i uczniowie szkół, syno-
wie zacych, a może nawet zamożnych niegdyś rodziców. Ale co
znaczy ten zuchwały wzrok i te pogardliwe usta, te wyrazy harde
i cyniczne?

Feldjaeger

Przed oczyma piszącego te słowa leży artykuł starego inspek-
tora gimnazjów niemieckich, broniący młodzież przed zarzutem
demoralizacji. Młodzież, pisze on, jest taka, jaka była zawsze —
niezrównoważona, ale szlachetna.

Piszący te słowa podziela w zupełności opinię starego inspek-
tora, a tych, którzy by w pośpiechu swym ferowali sądy od-
mienne, poprosi o zastanowienie się przez chwilę nad tym, co
widziały oczy młodocianych rozbójników zanim powzięli oni swą
niedorzeczną determinację.

Oto olbrzymia stacja kolejowa, gdzie trzy tysiące ludzi czeka
już od wielu dni na przepustki. W korytarzach na cementowej
podłodze śpią twarzami do ziemi mężczyźni okryci łachmanami.
W poczekalniach na kufrach i tobołkach mieszkają rodziny. W po-
środku wspaniałego miasta uderza ta niema i głucha rozpacz.
Zdawałoby się, że w środek tej sali można by rzucić zapalony
granat nie wywołując żadnego odruchu na przytępionych niedolą
twarzach. Dzień i noc przez stację przelatują ekspresy, wiozące
w sleepingach spekulantów, generałów, dyplomatów, komisarzy,
— tylko zgromadzona nędza oczekujących zdaje się nieruchoma.
Po długich miesiącach przyjezdny odnajduje ten sam obraz, zdaje
się rozpoznawać te same zgarbione od chłodu i niedoli postacie.
Oto siedmioletni chłopiec urodzony podczas wojny i głodu, z sze-

rokimi, cierpiącymi oczyma, podnosi chudą rączkę do klamki okna i przez brudną szybę wygląda na ulicę.

Rycząc potężnym klaksonem i oblewając błotem fasady domów pędzi automobil z kolorowym proporcem. Na skórzanych poduszkach leży w długich butach dyktator czy poddyktator tego terytorium. Pijana jego głowa zatacza się na wybojach, a z ust, przerywane czkawką i wspomnieniami z jego uprzednich dekretów, wyrrywają się bezładne wyrazy, z których bije wódka, głupota i zarozumiałość.

Piszący te słowa nie chce mnożyć demagogicznych obrazów, które każdy dzień zresztą roztacza przed czytelnikiem. Z nicości zatabaczonych biur i szynków wojna we wszystkich krajach wyrzuciła tysiące dyktatorów, generałów, komisarzy, którzy pędzą dzień i noc w sleepingach i automobilach, rycząc, dekretując, anektując i dezanektując, sekwestrując i znosząc sekwestry, dając i odbierając patenty na zyskowne spekulacje, rządząc, subwencjonując, cenzurując i aresztując. Cała ta ludzkość, przyssana do władzy, nadała sobie niesłychane przywileje rwie się do łatwych zysków, traktując obywateli. Nieuczciwa administracja finansowa przy pomocy maszyny dewaluacyjnej ekspropriowała jednych, zubożyła niepomiernie drugich i stworzyła ten porządek powojenny, który nie trwa jeszcze dość długo, aby mieć pretensję do legalności.

Sam widok rządów obecnych jest bardziej deprawujący niż cała literatura niemoralna, nad którą niedawno deliberowali panowie delegaci rządów w Genewie.

Dlatego z tym pogardliwym i zuchwałym spojrzeniem jest wam do twarzy, panowie młodociani rozbójnicy. I sam występki wasz zdradza niezrównoważoną szlachetność. Nie kradliście chyłkiem przed światem ani przy pomocy dekretów wydanych przez przekupionego ministra, ale bez broni poszliście grabić otwarcie, w samo południe, przed tłumem tchórzów, w bobrowych futrach. Na to trzeba było odwagi cywilnej, której zabrakło starszym.

Młodzi rozbójnicy powinni być surowo ukarani, aby, oprócz odwagi cywilnej, poznali także męskie piękno odpowiedzialności za swoje czyny. A kiedy w ten sposób oczyszczą się z wszelkiego podobieństwa do swych ojców i starszych braci, wtenczas zobaczymy, co przynieśli własnego.

Piszący te słowa spostrzega, że mimowoli sam przejął się myślami opisywanych przez siebie postaci, Diogenesa z Café Bauer i obranego z mózgu nędzarza. Obiecuje jednak, że odtąd nie będzie więcej żartować.

I tym razem zupełnie serio powie, że wojna i katastrofa obduziła w Niemczech, jak i w innych krajach, wiele uczuć i gestów

głęboko ludzkich, które jaskrawo odbijają od nędznych resztek przedwojennej i wojennej tresury, pozwalając chwilami, wśród ogólnego upadku kultury europejskiej, myśleć o oddalonym jeszcze lecz możliwym nadejściu lepszych czasów.

Zdawałoby się, że młodzież, która nie pamięta już kultury przedwojennej i wyrosła wśród wojny i grabieży ogólnej, powinna nosić na sobie najgorsze piętna współczesnej niedoli materialnej i moralnej. Otóż tak nie jest. Kiedy starsi trwają jeszcze wciąż w stanie bolesnego osłupienia i straciwszy wszelką miarę rzeczy, kładą pokorne szyje we wszystkie jarzma, młodzież, nie wiadomo jaką tajemną drogą, odnajduje w sobie początki sądu i potępienia dla wojennego i powojennego hultajstwa. We wszystkich krajach podeszli do niej od razu źli prorocy aby wciągnąć ją do swych mizernych intryg — i jej duchowi protestu nadać najszeptniejsze piętno chuligaństwa politycznego. Autor tych słów nie wierzy jednak, aby młodzież dała się im uwieść i zatrzymał się na historii młodocianych rozbójników, chcąc wskazać, że nawet w najbardziej zdrożnych wybrykach młodzieży przebija coś, co przekracza przyziemną wyobraźnię komisarzy policji.

Dodać należy, że katastrofa socjalna rozbiła wszędzie cytadele, w których poza wszelkim kontaktem z rzeczywistością, wychowywały się i konserwowały kasty szambelanów i generałów-feldfelbów. Przedstawiciele wszystkich klas rzuconych w nędzę musieli zapoznać się z ludźmi prostymi, których nie przeżarła jeszcze prasa i propaganda, i którzy zachowali ogromny zapas zdrowego sensu i ludzkiego uczucia.

Proszę oto spojrzeć na przechodzącego obok robotnika. Zwolna posuwa się naprzód, niosąc ciężki worek. Wreszcie zatrzymuje się, składa swój worek na ziemi i rozprostowuje skostniałe od zimna i wysiłku ręce. Po chwili chce zrzucić na plecy swój bagaż, ale na próżno. Znużone ramiona raz i drugi odmawiają wykonania znanego ruchu. Tutaj z tłumu przechodniów wynurza się sztywny jegomość z kamienną twarzą, oczywiście były wojskowy. Kładzie na asfalt łaskę, wsuwa do kieszeni tradycyjny monokl i własnymi kapitańskimi rękami w brązowych rękawiczkach podnosi za rogi i układa go na plecach robotnika.

— Ciężko?

— Nie.

I obaj uśmiechnęli się, a raczej w skamieniałych od wojskowej głupoty rysach sztywnego jegomościa przebiegło coś koślawo dobrotniwego, czego on sam zaraz prawie zawstydził się, bo podniósł szybko łaskę i natychmiast zesztyniał znów.

W tym jednym uśmiechu jest więcej obietnic przyszłości niż we wszystkich deklaracjach rządowych. Piszący te słowa gotów

jest prawie uwierzyć, że Jan Jakób Rousseau miał rację, i że człowiek jest naturalnie dobry, ale w tejże chwili przypomina sobie króla Nabuchodonozora i wszystkich jego następców aż do panujących nam obecnie, którzy ryczą, dekretują, subwencjonują z taką niesłychaną naturalnością i swadą, że w serce Jana Jakóba zakrada się powoli zwątpienie.

NOWE MARZENIA SAMOTNEGO WĘDROWCA

*Ah, madame! l'antique, la nature —
voilà ce qui me charme, moi.*

P. L. Courier

Przechadzka pierwsza — po swoim pokoju

Dzisiejsze próby tzw. powrotu do natury zdają się pochodzić z ogólnej sytuacji przeciążenia życia miastem i uprzemysłowieniem. *Camping, hiking*, różne formy obcowania z żywą naturą są dziś ulubioną rozrywką młodszego i średniego pokolenia wykształconych. Zrodzony z poszukiwania satysfakcyj niematerialnych, nasz kontakt z naturą jest wyrazem absentyzmu społecznego. Pod tym względem nasze piesze wędrówki z workiem na plecach przypominają wędrówki mnichów, którzy niegdyś, w trepkach na nogach i z pieśniami na ustach, przebiegali góry i doliny w kierunku Tebaidy. Niezliczone „ermitaże”, „pustelnie”, „samotnie” przetrwały z owych czasów w dzisiejszych nazwach miejscowości, jako świadectwa poprzednich „powrotów do natury”.

Nowi wędrowcy nie patrzą na przyrodę spojrzeniem przedsiębiorczym, jakie miał na myśli pewien młody poeta, mówiąc o górze, która „jest piękna dlatego, że mogę ją zdobyć, jeżeli jestem turystą; że mogę ją przebić, jeżeli jestem inżynierem; że mogę na niej zarobić, jeżeli jestem właścicielem schroniska”.

Taka postawa przypomina nieco przechadzkę nacjonalisty, opisaną niegdyś przez pewnego humorystę niemieckiego: „Wyszedłem na niemiecką przechadzkę po naszym niemieckim lesie. Moje niemieckie oczy robią przegląd naszego wspaniałego niemieckiego krajobrazu i napawają się jego urokiem: z tej oto poręby można

by wcale nieźle wyprowadzić do ataku kompanię szturmową, ta łąka jest świetnym polem obstrzału dla ukrytego tu k.m.”.

Nowy wędrowiec nie przyszedł narzucać górcom i lasom swej historii walki, pracy, ambicji. Przeciwnie, przyszedł złożyć ciężące mu jarzmo myśli i wysiłków bez perspektywy. Tak każdy system społeczny, żądający od podporządkowanych mu zbyt wielkiej dozy entuzjazmu, wiary, pracy i abnegacji, z chwilą przekroczenia pewnej granicy stwarza dokoła siebie wzrastający opór bierny, powstały z nudy, zniechęcenia, absentyzmu. Im większą siłą przymusu rozporządza dany system, tym prędzej poddani przymusowi rezygnują z oporu, uznają się z góry za przegranych, i zaczynają poszukiwać satysfakcyj osobistych w dziedzinach nieoficjalnych, odległych, często na pierwszy rzut oka mało uchwytnych, posiadających własne hierarchie wartości, odrębne od ustalonych na rynku.

Poszukiwanie i rozpoznawanie nowych wartości jest niejako naturalną funkcją warstwy wykształconej. Dlatego też nowe pielgrzymki, wędrowki i włości zaczęły się od inteligencji, i ruch ten, zaledwie naszkicowany, posiada już, zarówno u nas jak i w innych krajach, całą historię literacką.

Przechadzka druga — z Homerem

Homer zostawił nam najstarszy dla Europy opis cywilizacji pasterskiej, podobnej pod wielu względami do tej, jaką częściowo można dziś jeszcze oglądać na Huculszczyźnie. Niektóre szczegóły Odysei nadają jednak tej cywilizacji pewne rysy prostackie i grubiańskie. Mamy tu na myśli nie tylko gospodarstwo chytrego Odysa, którego ojciec przedstawiony jest, zresztą bardzo sympatycznie, jako skromny ogrodnik. Tak więc, na przykład, pałac króla Alkinoosa opisany jest w VII-ej pieśni Odysei w sposób następujący:

*Wnętrze komnat pałato, ściany wyłożone
Miedzią, biegły to w jedną, to znów w drugą stronę. —
Wewnątrz każdej świetlicy drzwi ze złotej deski;
Próg z miedzi odrzwia srebrne dźwigał, a sklepienie —
Ze srebrnej belki. U drzwi złote pierścienie,
Psy złote i psy srebrne z obu stron podwoi.
Na podstawach dokoła z młodzieńczym obliczem
Stały złote posągi, trzymając kagańce,
Gościom przyświecające przy nocnej hulance.*

(Przekład L. Siemińskiego)

Ten nadmiar błyszczących metalów przypomina nieco wnętrza banków i sklepów, modne od kilku lat w Berlinie i w Warszawie. Wychowana zaś w tym pałacu Nausikaa wygląda na córkę polskiego przemysłowca.

Raymund Duncan, brat znakomitej Isadory Duncan i wielki wielbiciel Homera, założył przed laty niewielką kolonię osób żyjących z własnej woli jak mieszkańcy Itaki w czasach opisanych w Odysei. Zamiast jednak osiedlić się na jednej z wysp Morza Śródziemnego, naśladowcy mądrego Odysa i wiernego pasterza Eumaja zamieszkali w samym środku Paryża, w *Quartier Latin* przy rue Jacob, gdzie wynajęli obszerny lokal sklepowy. Przez wielkie witryny zdziwiony przechodzień widział izby przybrane dziwnymi tkaninami, pośród których młodzi Anglosasi w strojach starożytnych tkali na krosnach płótna lub wiąźali w drobne węzłki sieci rybackie, ściśle według wskazówek archeologii homeryckiej. Wiedziony słusznym instynktem Raymund Duncan wykreślił ze swego neo-homerycznego inwentarza śpiżowe kolumny, szczerozłote dzbanki i srebrne miednice, zastępując je przez bardziej gustowne wyroby ceramiczne.

Niektórzy sądzą zresztą, że Homer nie jest zbyt pewnym przewodnikiem po starej cywilizacji pasterskiej, i że Odyseja jest poematem groteskowym, pisany dla słuchaczy w rzeczach smaku bardziej wymagających od króla Alkinoosa, którego pałac przedstawiony jest nieco tak, jak willa Trimalchiona u Petroniusza.

Należy tu wreszcie brać także pod uwagę, że cywilizacja pasterska, oglądana przez Homera jako rzecz, być może, jeszcze wcale nowa, w ciągu trzech tysięcy lat zdążyła się dla nas okryć patyną olbrzymiej tradycji. Pasterze, których widzimy dziś, gdyby prowadzili księgi heraldyczne, mogliby łatwo zaćmić najślawniejszych bohaterów Almanachu Gotajskiego. Setki pokoleń, wychowanych w jednakowych warunkach i nieprzerwanej tradycji, musiały przeprowadzić swą cywilizację do znacznego stopnia doskonałości.

Zachowana dziś cywilizacja pasterska przedstawia właściwie tylko część świata opisanego przez Homera, część bliższą pastucha Eumaja niż chytrego Odysa i króla Alkinoosa. Bogate gospodarstwa pierwotne, jak np. opisane przez Teokryta gospodarstwo znakomitego Augiasza, znikły bezpowrotnie; pozostały tylko uboższe. Dziś widzimy same niejako dolne kondygnacje ówczesnej budowy społecznej. Złote jabłko, którym przerzucił się Hippones z okrutną Atalantą, jest dziś zwykłym jabłkiem, zerwanym z jabłoni. Jeżeli jednak nie znajdujemy już u pasterzy złotych dzbanów i *srebrnej* miednicy, jak mówił Wilkoński, i jeżeli domy

ich, zamiast błyszczących metalów, zbudowane są z jodły, to przecież styl ich wydaje się nam nierównie szlachetniejszy.

Żądni srebra i złota zeszedli już zapewne dawno z gór; chytry Odysej i Alkinoos są dziś członkami rad nadzorczych i posiadaczami większościowych pakietów akcji. Wśród lasów i pastwisk pozostali sami sprawiedliwi.

Oczywiście nie myślimy wcale, że wystarczy wyjść poza rogatki miasta, aby zobaczyć sielankę. W ciągu ubiegłego stulecia wieś została głęboko wciągnięta w naszą cywilizację przemysłowo-kapitalistyczną. Tradycje starej cywilizacji rolniczej znaleźć można już tylko tam, gdzie zachowały się gospodarstwa o obrocie wewnętrznym, których posiadacze nic nie kupują, nic nie sprzedają, wyrabiają sami wszystkie przedmioty swego użytku i zachowali odmienną od naszej hierarchię wartości.

*Mantua me genuit, Calabri rapuere, tenet nunc
Parthenope. Cecini pascua, rura, duces.*

Ten nagrobek Wirgiliusza jak gdyby podkreśla odkrycie na nowo przez autora Eklogów wsi literackiej. Odkrycie to było dokonywane potem kilkakrotnie przez następne pokolenia artystów. Od czasu „Chłopów” Balzaca wieś została opisana kilkadziesiąt razy przez naturalistów, mistrzów obserwacji, którzy podpatrzyli i podsłuchali, zdawałoby się, wszystkie gesty i słówka ludu. Dopiero jednak pokolenie obecne rozpoznało dokładniej zagadnienia wartości związane z pozostałymi jeszcze resztkami starej cywilizacji rolniczej.

Najbardziej uderzającym, być może, przejawem nowego odkrycia ludu przez pokolenie obecne — było długotrwałe i doniosłe w skutkach zainteresowanie dla sztuki murzyńskiej, będącej przecież tylko bardziej hożą i rumianą siostrą naszej europejskiej sztuki ludowej.

Jedną z książek najlepiej, być może, wtajemniczających w nowe zagadnienia, jakie w ostatnich latach powstały z kontaktu z wsią, jest studium amerykańskiego ekonomisty Stuarta Chase'a o Meksyku. Książka jego daje o pasterzach i ubogich rolnikach pojęcie zupełnie inne niż Homer i Balzac. Po starannej analizie różnic dzielących chłopów meksykańskich od mieszkańców krajów przemysłowych, ekonomista amerykański przychodzi do wniosku, że — porównani z zajętymi pieniędzem, jego gromadzeniem i wydatkowaniem, ludźmi cywilizacji przemysłowej — ubodzy rolnicy są przedstawicielami cywilizacji arystokratycznej, mierzącej wartość życia innymi kryteriami, znanymi nam jeszcze częściowo z książek, ale zgubionymi przez nas w sferze życia praktycznego.

Swe pierwotne oblicze ziemia zachowała jedynie w miejscach zupełnie nieużytych, smutnych i ubogich, często ograniczonych tylko do kamienia i lodu, jak w wysokich górach. Pomimo swego ubóstwa góry cieszą się, wśród uciekających „do natury”, wielkim autorytetem, właśnie dzięki zachowaniu pierwotnego wyrazu, bez żadnych retuszków.

Z racji drobnego wypadku kolejowego, piszący te słowa, przed wielu laty, spędził kilka godzin na terenie należącym do wielkich zakładów przemysłowych koło Corbety. Na obszernym, bezludnym płaskowzgórzu z rzadka rozsiane były budynki fabryczne, połączone między sobą wiszącymi kolejkami linowymi i siecią o wysokim napięciu. Pośród rzadko rozrzuconych instalacji metalowych, na obszarze kilkuset morgów ziemia była od wielu lat nieuprawna, pokryta dziką roślinnością. W słońcu wygrzewały się barwne jaszczurki. Rośliny trawiaste, baldaszkowe, pnące się, tworzyły dziwne kombinacje, bawiące przez całe godziny swą nowością, różnorodnością nieoczekiwanej inwencji. Wystarczy wyjąć spod uprawy kawał gruntu, aby w krótkim czasie ziemia ukazała w tym miejscu jakieś nowe oblicze, o nieznanym wyrazie, pełne dziwnych grymasów. Patrząc na teren fabryczny koło Corbety pierwszy raz jasno zrozumiałem, że właściwie nie znamy wcale własnego wyglądu ziemi, że to, co zazwyczaj widzimy, sprowadza się tylko do paru banalnych kombinacji roślin uprawianych przez człowieka.

Czy zawsze jednak ziemia uprawna przedstawiała znany nam obraz czysto użytkowy, ściśle podporządkowany idei zysku? U starych rolników znajdujemy przedmioty codziennego użytku o pięknych formach, pokryte haftami, rzeźbami, ozdobami. Pomimo tych przykładów nie od razu oswajamy się z myślą, że ziemia uprawna mogła być też tworzywem artystów pierwotnych.

Musimy tu brać pod uwagę, że istniejąca u nas sztuka ludowa bardzo skąpo i jak gdyby niechętnie odślania swe dawniejsze tradycje. Niszczone periodycznie przez ogień zabudowania sięgają wstecz nie dalej niż pamięć ich żyjących mieszkańców. Blisko związane z rolnictwem tkactwo i hafciarstwo artystyczne zdaje się być sztuką niedawno odrodzoną, której dawniejszych okresów rozwoju dobrze nie znamy. Jego motywy zdobnicze, sugerowane częściowo przez tworzywo i technikę, mają dlatego charakter imaginacyjny. Nie mamy starszych tkanin, które pozwalałyby stwierdzić, że najbardziej rozpowszechnione wzory są tradycyjne, niezależne od indywidualności ich obecnych twórców.

Inny nieco wygląd mają, częściowo przynajmniej, tkaniny lu-

dowe krajów Islamu. Niektóre motywy ich zdają się posiadać niezmiernie tradycje. Dywany, tkane według prastarych wzorów, wyobrażają najczęściej ogród w raju w skrótach dekoracyjnych, datujących, być może, z czasów Księgi Genesis. Pierwiastek tradycyjny jest w nich znacznie silniejszy.

Różnica ta zdaje się mieć określoną przyczynę. Kraje Islamu nie wytworzyły na wsi organizacji pańszczyźnianej i dzięki temu mogły przechować większą ilość starych tradycji rolniczych. W krajach, posiadających na swym całym terytorium zwartą organizację pańszczyźnianą, rolnicy, poníženi do roli zwierząt roboczych, na kilka stuleci przestali śpiewać, haftować, porzucili zajęcia artystyczne, zdające się wymagać pewnego dobrobytu, niezależności i wolności, chociażby w jej najprostszej formie wolnego czasu. Z tego okresu zapewne zachował się na wsi żywy dotąd i odradzający się przy każdej okazji mit ludu prześladowanego i cierpiącego niezasażenie. Rolnik pańszczyźniany przypominał prawdopodobnie pod wielu względami dzisiejszego fornała lub chałupnika, który też nie haftuje koszuli, nie przechowuje tradycji, i o którym Richard Dehmel pisał:

*Wir haben ein Bett, wir haben ein Kind,
Mein Weib!
Wir haben auch Arbeit, und gar zu zweit,
Und haben die Sonne und Regen und Wind
Und uns fehlt nur eine Kleinigkeit,
Um so frei zu sein, wie die Vögel sind:
Nur Zeit.*

Dzisiejsi bezrobotni odzyskali wprawdzie czas, ale czas niepokojny, podobny do majaczenia w gorączce, pozbawiony warunków twórczości.

Wkrótce po zniesieniu pańszczyzny rolnicy zostali wciągnięci w orbitę cywilizacji przemysłowej, mało sprzyjającej ludowej twórczości artystycznej. Tam, gdzie twórczość ta przebudziła się z wiekowego snu, musiała zaczynać od nowa, czerpać z wyobraźni. Stare tradycje zachowały się jedynie na dzikich, odległych kresach i rubieżach, stawiających opór prawom pańszczyźnianym. Stara cywilizacja rolnicza znikła zatem u nas nie pod wpływem cywilizacji przemysłowej, ale zapewne już znacznie dawniej, ustępując miejsca kołchozom pańszczyźnianym.

Idąc za tymi rozważaniami, przychodzimy w górach do tak zwanych wsi szlacheckich, zajmujących stanowisko pośrednie między rolnictwem i pasterstwem. Stare pasterstwo obejmowało połoniny, pastwiska leżące na grzbietach górskich powyżej lasów.

Obszar rolniczy rozciągał się na równinach u stóp gór. Między obu obszarami leżała dzieląca je strefa lasów, która i dziś jeszcze zachowała częściowo swój dziki charakter. Nizinna ludność rolnicza kilku falami usiłowała w różnych czasach kolonizować doliny górskie łatwiej dostępne od strony obszarów nizinnych. W dolinach tych znajdujemy właśnie wsie szlacheckie. Jak widać już z samej ich nazwy, mieszkańcy ich nie odrabiali pańszczyzny, podobnie zresztą jak i pasterze, zamieszkujący wyższe piętra gór. System pańszczyźniany kończył się więc u stóp gór, i wsie szlacheckie stanowiły granice jego ekspansji. Trudno jest dojść pochodzenia tytułów szlacheckich u tych drobnych rolników, gospodarujących od wieków na morgowych kawałkach gruntu, leżących długim szeregiem wzdłuż strumieni. Prawdopodobnie przodkami ich byli ludzie różnego pochodzenia, którzy, oparci plecami o puszcę górską, *manu militari* umieli bronić swych praw przeciw organizującemu się na nizinach systemowi pańszczyźnianemu. Obyczaje tych wsi pozwalają nam wejrzeć trochę głębiej w tradycje cywilizacji rolniczej, pozbawionej w tych miejscach luki pańszczyźnianej.

Zanim zetkniemy się bliżej z ich mieszkańcami, już sama ziemia uprawna uderza nas swym niezwykłym widokiem. Dobrze znane nam rośliny, kukurydza, fasola, konopie, słoneczniki, tworzą wszędzie dekoracyjne grupy, zręcznie dostosowane do wielkości i kształtu terenu. Dokoła zabudowań stare, piękne drzewa stoją na szmaragdowych trawnikach starannie oczyszczonych z pokrzywy i chwastów. Każdy szczegół zdradza zabięgliwą rękę znawcy, śmiałą i dyskretną zarazem. Wiek drzew ogrodowych wskazuje, że mamy tu do czynienia ze starą cywilizacją, przekazywaną z pokolenia w pokolenie, z których każde wniosło jakąś nową rafinację lub inwencję.

Te niewielkie, morgowe i półmorgowe ogrody górskie, będące kombinacją prastarych drzew, trawników i warzyw, są, być może, najpiękniejszymi dziś twórcami sztuki ogrodniczej. Ich urok i świeżość pochodzi zapewne stąd, że nie są to tylko zaniedbane szczątki dawnych epok, ale wytwory żywej jeszcze cywilizacji, mogącej dopełnić dzieła przodków nową, szczęśliwą inwencją.

Tych nielicznych już dziś pięknych, starych ogrodów nie można oglądać z okien wagonu lub autobusu. Wymagają one długich przemarszów pieszych po kamienistych ścieżkach górskich, bez wskazówek i przewodników, ponieważ znajdują się w miejscach mało dostępnych i nieobjętych z tego powodu powszechnymi procesami wymiany. Zetknięcie się jednak z tymi resztkami starego rolnictwa otwiera wielkie perspektywy: daje możliwość poznania starej cywilizacji, wytwarzającej przy pomocy bardzo skromnych

środków wartości kwalitatywne, oparte na jakości i obce w znacznej części naszej cywilizacji przemysłowej. Ludy wciągnięte w orbitę tej ostatniej zdają się dziś cenić sobie najwięcej posiadanie wielkich fabryk równie kosztownych jak piramidy, wielkich organizacji, których utrzymanie kosztuje tyle prawie co prowadzenie wojny, wielkich cyfr statystycznych, wielkich entuzjasmów, wielkich władców absolutnych manewrujących milionami poddanych, słowem wartości kwantytatywnych, opartych na ilości i nie dających się łatwo, pomimo wysiłków wielu modernistów, przetłumaczyć na język jakości.

Poczucie smaku i umiaru, które znikło z rezydencji, zarządzanych przez nadzorców sądowych, i z miast, rozbudowywanych przez skromnych urzędników, przechowało się częściowo u ubogich rolników i pasterzy.

Przechadzka czwarta — po polach i pastwiskach

Kto po raz pierwszy udaje się do pasterzy na połoniny lub do Kurpiów „na puszcze”, ma o nich zazwyczaj najbardziej mylne pojęcia. Spodziewa się spotkania z ludźmi dzikimi, zamkniętymi w swym bycie tradycyjnym, trudnymi do obcowania, skrytymi, u których dopiero badacz systematyczny potrafi znaleźć szczątki zaginionych cywilizacji. Znajduje natomiast ludzi częściowo bardzo bywałych, którzy znają nie tylko stolicę, ale także różne obce kraje, mówią nieraz płynnie różnymi językami, czasem nie umieją pisać, ale posiadają najbardziej wyszukane maniery towarzyskie, jakie rzadko, bardzo rzadko tylko zdarza się spotkać w dzisiejszych towarzystwach stołecznych. Pasterze i rolnicy pierwotni posiadają prawdziwy geniusz życia towarzyskiego, pełnego rafinacji i nieprzymuszoności, właściwego jedynie ludziom, których nie tylko rodzice, ale i rodzice rodziców otrzymali najstaranniejsze wychowanie. Nie sadzają gości za stół i nie każą im jeść wszystkiego po kolei, nie zatrzymują idących w dalszą drogę, w każdej okoliczności umieją powiedzieć kilka stosownych słów, posiadających urok nieprzymuszonej inwencji. Absolutna poprawność ich manier polega na całkowitej pewności gustu. Takie połączenie wysokiej elegancji z ubóstwem wywiera niezapomniane wrażenie.

Osobliwość tych rysów jest szczególnie frapująca u młodzieży. Doskonałe wychowanie i poczucie swobody, połączone z naturalną inteligencją i właściwą młodości żywością i optymizmem, tworzą harmonijną całość pełną niezwyklego wdzięku. Ubogi pasterz umie dać swemu synowi to, co na próżno chciałby zapewnić swoim

dzieciom, kształconym w najdroższych szkołach, bogaty potentat świata przemysłowego.

Objaśnienie tych dziwnych zjawisk wymaga wniknięcia w organizację gospodarczą puszczy i połoniny. Rolnicy i pasterze prowadzą tam zamknięte gospodarstwa naturalne. Nie kupują i nie sprzedają nic prawie, żyjąc z tego, czego im dostarcza własne gospodarstwo, i wyrabiając w domu wszystkie narzędzia pracy i przedmioty swego użytku. Dobrobyt ich zależy od rozmiaru posiadanego gospodarstwa. Istnieją gospodarstwa o obrocie wewnętrznym, zamożne, których mieszkańcy żyją bardzo dostatnio, w warunkach lepszych od przeciętnego mieszkańca miasta.

Wtajemniczony obserwator poznaje od razu takie gospodarstwo po jego pięknych zabudowaniach, doskonale utrzymanych i nieproporcjonalnie wielkich w stosunku do obszaru gruntu. Użyteczność tych zabudowań staje się jasna, jeżeli uprzytomnić sobie, że właściciel ich nic nie sprzedaje i musi przechowywać wszystkie swe zbiory przez cały rok.

Zdawałoby się, że własnoręczne wzniesienie i utrzymywanie tak wielkich zabudowań, zdobycie w naszym klimacie codziennego pożywienia, przerobienie na tkaniny wełny, lnu, konopi itd. — musi wymagać bardzo wytężonej pracy. Wielu ludzi wychowanych w mieście wyobraża sobie, że używanie maszyn zmniejsza ilość pracy potrzebnej dla naszego utrzymania. Pogląd ten jest mylny i wynika z niezajomości rzeczy. Maszyna zmniejsza koszty robocizny wchodzące w kalkulację kosztów produkcji danego towaru, ale bynajmniej nie zmniejsza ilości pracy przypadającej na ogół konsumentów. Używanie jej stwarza zagadnienia uboczne, zatrudniające dziś miliony urzędników, prawników, bankowców, biuralistów, żyjących w nieustannym wyścigu pracy.

Pewien średnio zamożny rolnik, prowadzący gospodarstwo naturalne, obliczył mi, że utrzymanie jego, żony i ośmiorga drobnych dzieci wymaga odeń, nie licząc pracy żony, około 180 dni roboczych w ciągu roku. Dodać trzeba, że gospodarz ten mieszkał w pięknym domu, o jakim może zaledwie marzyć większość mieszkańców miasta, i posiadał zapas sukna własnej roboty, w dwóch gatunkach, przeznaczonego na ubranie jego licznej rodziny w roku bieżącym i następnym. Każdy z członków jego rodziny miał po 6 par lnianej bielizny. Odżywianie się ich pozostawiało do życzenia, ale był to rolnik niezamożny, osiadły na nędznych piaskach i obarczony wyjątkowo dużą ilością niepracujących członków rodziny.

Na ogół rolnicy tego typu obchodzą rocznie około 160 dni świątecznych. Od 205 pozostających dni roboczych należy odjąć jeszcze pewną ilość dni przeznaczonych na pracę poza obrębem

gminy. Jeżeli we wsi o gospodarstwie naturalnym ktoś chce posiadać gotówkę albo towary niewytwarzane we własnym gospodarstwie, zwyczaj nakazuje mu wyjść na robotę poza obręb swej gminy. W miastach położonych na pograniczu okręgów, gdzie utrzymała się gospodarka naturalna, istnieją stare giełdy pracy, pośredniczące w sezonowym zatrudnianiu rolników i pasterzy. W poszukiwaniu zarobków odbywają oni nieraz bardzo odległe podróże. Są cenieni jako pracownicy i, umiając wszystko po trosze, są zatrudniani jako cieśle, bednarze i w różnych innych rzemiosłach. Z wysokich gór, gdzie nie udaje się uprawa zboża, pasterze schodzą w niziny na żniwa i przywożą do domu wynagrodzenia w naturze, w zbożu.

Zwyczaj te rzucają pewne światło na zjawiska migracji ludności wiejskiej i na pewne dopełnianie się wzajemne gospodarki naturalnej i pieniężnej. Obecny system podatkowy zmusza wszystkich rolników samowystarczalnych do poszukiwania zarobków zewnętrznych. Urzędnicy skarbowi i bankowi są nieraz mocno zdziwieni, gdy gospodarz na 50 morgach, mający wspaniały dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie, nie jest w stanie zapłacić 20-tu złotych. Lecz ani to zamożne skądinąd gospodarstwo, ani jego właściciel nie są do tego wcale przygotowani.

Uczestnicy gospodarki pieniężnej dążą do większych zarobków w celu rozszerzenia swej konsumpcji, aktualnej i potencjalnej, w postaci oszczędności. Pasterz i rolnik samowystarczalny nie stawiają sobie takiego zadania. Konsumpcja ich posiada naturalne granice w postaci rozmiaru posiadanego gospodarstwa i jednostajności skutków ich pracy. Pasterze i rolnicy nie zdają się jednak przywiązywać wagi do tych ograniczeń, posiadając w zamian inne satysfakcje w postaci wolnego czasu i pełnego swoistego uroku bytu ludzi niezależnych. Na zarobki wychodzą dorywczo i, nieraz przeszedłszy pół świata, powracają do swych skromnych warunków pierwotnych. W świecie opisanym przez Balzaca i Stendhala uchodziliby za całkowicie pozbawionych ambicji. Ale balzakowska *pièce de cent sous, la belle, la jeune, l'aimable, la gracieuse, la toute-puissante pièce de cent sous*, utraciła wiele ze swego romantycznego uroku.

Siła przyciągająca domniemanego bankietu życia jest regulowana przez pewien automatycznie działający mechanizm. W miarę zwiększania się jej, narasta również tłok u wejścia. W miarę narastania tłoku, wejście staje się dostępne tylko za cenę znacznej siły w łokciach i wytrzymałości dolnej części pleców na wściekle kopniaki innych ambitnych bankietowców. Ta sytuacja znów zmniejsza siłę przyciągającą domniemanego bankietu i daje bardziej korzystne pojęcie o uroku nieprzymuszonych pikników na

zielonej murawie. Dzięki działaniu tego mechanizmu, mniej skłonna do entuzjazmu część ludzkości dojrzała w ciągu lat ostatnich do przychylniej oceny idylli pastoralnej. Jednocześnie powszechny przymus ograniczania się udostępnił zrozumienie cywilizacji rolniczej o ograniczonej konsumpcji, opartej na innej hierarchii wartości.

Mylilibyśmy się zresztą bardzo, sądząc, że skromność potrzeb pasterzy wynika z ich dążenia do ascezy.

W pewien jesienny poranek, na wysokiej połoninie, mgła zapędziła mnie do zimarki (chaty pasterskiej, obliczonej na pobyt do końca grudnia), w której znajdowało się trzech mężczyzn i jedna, zresztą młoda i piękna, kobieta. Od wielu już lat — zapewne nigdy — nie zdarzyło mi się widzieć ludzi równie pogodnych, radosnych i beztroskich. Mężczyźni okazali się ludźmi doświadczoneymi, bywali w różnych krajach, żyli z różnych zawodów i do pasterstwa powrócili z własnego wyboru. Rozmowa z nimi okazała się bardzo interesująca, ale to już był tylko szczegół wobec możności przebywania, chociażby przez kilka chwil tylko, wśród ludzi szczęśliwych.

W swej „Historii Prawdziwej” Lukianos z Samosaty opowiada, że w zamian za trzy dni pobytu na Wyspie Szczęśliwych musiał zobowiązać się do spędzania po śmierci tyluż dni w rodzaju aresztu zagrobowego. Wielki szyderca przedstawia tu Olimpijczyków jako skromnych buchalterów, wnoszących mechanicznie do swych ksiąg handlowych pozycje, których prawdziwej wartości nie znają. Być, chociażby przez jeden dzień, pośród szczęśliwych — wartość takiej przygody nie da się wycenić w żadnych ekwiwalentach dochodów i honorów.

Jak już mówiliśmy wyżej, pasterze i rolnicy samowystarczalni mają dużo wolnego czasu. Pewna część tego czasu poświęcana jest obrzędowości tradycyjnej. Dużo czynności, u nas prostych, daje u ludu okazję do niezliczonych obrzędów. Inny ich typ związany jest ze zmianą pór roku. Obrzędowość zajmowała bardzo wybitne miejsce w życiu ludów starożytnych i aż do początku ubiegłego stulecia.

Zastanawiając się, do jakiej kategorii czynności zaliczyć wykonywanie obrzędów, spostrzegamy, że jest to pewnego rodzaju zapoznana w naszej cywilizacji utylitarnej ludowa twórczość artystyczna. Całkowicie niezależni w swej samowystarczalności pasterze i rolnicy schodzą się razem dla dopełnienia obrzędów. Bezinteresowność tej czynności tworzy coś w rodzaju szkoły życia towarzyskiego, uczącej artystycznego sposobu bycia. Stąd pochodzi niezwykły *savoir vivre* właściwy ludowi zachowującemu obrzędy, jego ujmująca i bezinteresowna uprzejmość, uprawiana dla

samej sztuki i połączona z pewną szlachetną rezerwą ludzi niezależnych.

Natura tej postawy, rzadko spotykanej w mieście, zasługuje, być może, na głębsze rozważanie. Jej harmonijność wewnętrzna uderzyła mnie na jednym z wielkich odpustów dorocznych na Huculszczyźnie. Wśród kilku tysięcy osób, zgromadzonych dokoła starożytnej cerkwi, nikt prawie nie odczuwał potrzeby spowiedzi. Pod okapem cerkwi spowiadała się na świeżym powietrzu tylko jedna młoda kobieta. Spowiedź jej trwała parę godzin. Twarz jej była ożywiona, prawie roześmiana, że z daleka widać było romantyczny charakter jej wyznań i wielką przyjemność, jaką sprawiała jej rekapitulacja grzechów. Stary ksiądz ukraiński, z głową spaloną przez słońce, słuchał jej z uprzejmym zainteresowaniem, z domieszką stosownego do okoliczności pobłażania. Przez dłuższy czas nikt inny nie przystępował do spowiedzi. Powszechna postawa uprzejmej i pogodnej rezerwy zdawała się zbyt odległa od pojęcia grzechu i pokuty.

Wniknięcie w głębsze przesłanki tej postawy objaśni nam, być może, dlaczego ludzie XVIII wieku znajdowali przyjemność w przebieraniu się za pasterzy. Jeden z kronikarzy tak opisuje zabawę w Ogrodzie Luxemburskim: „Nie był to bal, ale zabawa bardziej pikantna: noc w Arkadii. Całe towarzystwo, przebrane za pasterzy i pasterki, udawało, że pasie stada przy świetle księżyca. Rozmawiano, znikano wśród drzew. Byliśmy na końcu ogrodu, w miejscu bardziej samotnym, gdzie zgromadziło się kilku pasterzy. Jeden z nich wziął flet i zaczął grać prawie równie pięknie jak kawaler de Saintmarq. Wszystkie pasterki były zachwycone...”.

Wiek ten znał zapewne pasterzy lepiej niż tzw. wiek pary i elektryczności. W każdym razie ludzie XVIII wieku z odkrycia pasterzy wzięli znacznie więcej przyjemności niż paryżanie XX wieku z odkrycia smutnego Jesienina, siedzącego obok Isadory Duncan na ławce modnej restauracji *Bœuf sur le Toit*.

Przechadzka piąta — po puszczech i zwierzyńcach

Jedną ze znanych osobliwości przedwojennego Paryża był starzec rozmawiający z ptakami w Ogrodzie Tuileryjskim. Głowa jego przedstawiała typ człowieka w najgłębszej starości, z otwartymi ustami, białymi włosami spadającymi bezładnie na czoło i dziko rosnącą brodą. Według nomenklatury muzealnej głowy antyczne tego rodzaju należą do typu „Seneca”. Tak wyobrażano sobie wielkiego stoika w czasie pisania „Listów do Lucyliusa”.

Wysoki, chudy, tragiczny, ubrany w starodawny czarny surdut i szerokie czarne portki, sztywne ze starości jak dykta, starzec przychodził do Tuileryj w dni słoneczne koło 11-ej z rana.

Pojawienie się jego wywoływało wielkie poruszenie wśród ptaków. Głośnym ćwierkaniem wróble dawały sobie znać o przybyciu starego czarownika, i po chwili całe stado ptaków unosiło się już nisko nad jego głową. Kiedy siadał, otaczały go na ziemi coraz bardziej zwięzającym się półkolem. Stary szeptał coś do nich swym szeleszczącym od posuchy językiem. Niektóre ptaki nazywał po imieniu. Mali przyjaciele zbliżali się doń coraz bardziej, wreszcie śmielsi siadali na jego rękach i kolanach. Niektóre ptaki drżały z wysiłku, jaki musiały robić w swym malutkim mózdzku, aby przemoc strach i podnieść się do tak bliskiego obcowania ze starym czarownikiem. Po chwili stary wyciągał z kieszeni pajdę czerstwego chleba i kruszył ją na drobne kawałki. Ptaki jadły mu z ręki. Kiedy wróble tłoczyły się nieobyczajnie na jego dłoni, spychając się wzajemnie, stary spędzał je gniewnie i kazał napasać się kolejno, po jednym.

Starzec z Tuileryj umarł wkrótce po wojnie w wieku lat 91. Nazywał się Henri Pol. Był poetą i emerytowanym urzędnikiem pocztowym.

Wszystkie gospodynie w Paryżu wysypują zimą za okno trochę okruszyn dla ptaków. Wróble są tam niezłe odżywione, ale od śmierci starego poety nie wdają się z nikim w rozmowy. Przyjaźni ptaków nie można widocznie kupić za trochę okruszyn. Nawet ci, którzy dają swym ptakom w klatkach całkowite utrzymanie, nie posiadają przeważnie ich przyjaźni. Ptak, uciekając z klatki, w której się urodził, staje się od razu dziki, niespokojny, niezyczliwy; trzeba nieraz wielkiej cierpliwości i długich starań, aby go zwabić z powrotem. Ptaki wolne są najwidoczniej bardzo wymagające, jeżeli spośród wszystkich ludzi wyróżniły jednego tylko emerytowanego urzędnika pocztowego.

Obcość wzajemna ludzi i zwierząt zdaje się być zjawiskiem wtórnym, mającym za sobą całą historię.

Znaczna część zwierząt tzw. dzikich oswaja się bardzo łatwo i jest jak gdyby nawet stworzona do przyjaznego współżycia z człowiekiem. Duże, czarne wiewiórki górskie, żyjące przeważnie w miejscach rzadko tylko odwiedzanych przez człowieka, nie boją się go, przychodzą bardzo blisko i wpatrują się swymi pięknymi, marzącymi oczami. Jeżeli ich nie płoszyć, dotykają łapkami ubrania. Spłoszone odchodzą niedaleko i zatrzymują się jak gdyby oczekiwały czegoś od nieznanego wędrowca. Są to zwierzęta naturalnie życzliwe i towarzyskie, oswajające się bardzo łatwo na swobodzie. Rude wiewiórki nizinne znają lepiej zwyczaje czło-

wieka i wiedzą, że nie wolno się doń zbliżyć pod karą śmierci. W naszej cywilizacji utylitarnej pierwszym odruchem człowiek uderza albo stara się schwytać każde zbliżające się doń zwierzę.

Nawet zwierzęta bardziej drapieżne i nie dające się oswoić bywają naturalnie życzliwe w stosunku do człowieka. W pewnej gminie na Huculszczyźnie zachował się, zapewne jako szczątek dawnego totemizmu, kult łasiczki, wiążący się z systemem zakazów (tabu), istniejącym dotychczas w jednej dolinie. Łasiczki, będące dziś w Polsce zwierzęciem rzadkim, są tam szanowane i, jakkolwiek nie są żywione i nie oswajają się nigdy, przychodzą bardzo blisko, żwawe i wesołe, jak gdyby chciały zachęcić do jakiejś wspólnej zabawy, której niezręczny w swych ruchach człowiek niestety nie zna reguł.

Dziki oswajają się bardzo łatwo i, jak mówi legenda, bywały towarzyszami świętych eremitów.

Na wszystkie dyskretne zaproszenia i znaki porozumiewawcze wychodzące od zwierząt człowiek pozostał głuchy, i nieżyczliwość jego stworzyła dziś między nim i zwierzętami wielki dystans, przez który trudno już nawiązać na nowo bliższe stosunki. Coraz mniej osób zna i rozumie zwierzęta. Obcość człowieka wzrosła nawet w stosunku do zwierząt domowych, zresztą coraz mniej licznych. Hodowcy skarżą się, że z każdym rokiem trudniej jest znaleźć ludzi umięających się obchodzić z koniem i krową. W modę wchodzi coraz mniej inteligentne odmiany psów, jak gdyby właścicielom ich było wstyd, że są głupszy od wyżła lub pudła. Współżycie ze zwierzętami człowiek współczesny zdaje się ograniczać coraz silniej do samych tylko pluskiew i karaluchów.

W poprzednich pokoleniach życie zwierząt znali dobrze starzy myśliwi, polujący z ogarami. Strzelanie z dzisiejszych dubeltówek i karabinów nie wymaga większej znajomości zwierząt niż szlachtowanie ich w rzeźni miejskiej. Toteż nie ma już dziś prawie wcale dawnych myśliwych, znających wszystkie sekrety lasu. Większość zapraszanych na polowania gości, masakrujących zwierzynę w kociołku, przypomina raczej chór rzeźników z „Nieboskiej Komedii”:

*Obuch i nóż — to broń nasza,
Szlachtuz — to życie nasze.*

Obcości między człowiekiem i światem zwierzęcym zawdzięczamy tyle nedorzecznych sądów, tyle płytkich komunałów o zwierzętach. Dla chrześcijan zwierzęta nie mają duszy i dlatego znajdują się poza obrębem naszych rozważań o sensie życia. Przez dziwny paradoks rozprawa Sallustiusza o Katylinie, zawierająca tyle złych rzeczy o ludziach, zaczyna się od słów: *Omnes homines*

qui esse student praestare caeteris animalibus... Ten nic właściwie nie znaczący zwrot o człowieku stojącym na czele wszystkich zwierząt przetrwał tysiąclecia i, z uporem właściwym głupstwu, powtarza się wszędzie, gdzie jest mowa o zwierzętach. Wygląda to nieco tak, jak gdyby człowiek, w miarę tego jak jest coraz gorszego mniemania o sobie samym, szukał pociechy w pochlebnym porównywaniu siebie ze zwierzętami.

Nawet w pismach tak bystrego i oryginalnego myśliciela jak Max Scheler — znajdujemy echa tych komunałów*.

Porównania między zwierzęciem i człowiekiem nie zawsze spadały tak korzystnie dla tego ostatniego. Czy widziano, aby jeden koń bał się drugiego konia, pytał Marek Aureliusz, stawiając biedne zwierzę pociągowe za wzór otaczającym go trwożnym słuźalcom. Cynicy, jak wiadomo, kazali człowiekowi uczyć się od psa. Stosunek do zwierząt jest jednym z najciekawszych rozdziałów historii kultury starożytnych.

Niewielka doza przymusu, niekoniecznie nawet fizycznego, wystarcza, aby człowiek utracił swą domniemaną indywidualność, przestał być sobą i zmienił się w swą własną karykaturę. Pojawiająca się pod przymusem gotowość do usług, zbawienna wiara rodząca się pod wpływem kar cielesnych, cały szereg tych specyficznych gestów upodlenia jest wyłączną właściwością człowieka. Koń, najbardziej spracowany i zbiedzony, cały pokryty odparzeniami i śladami bata, stoi u wrót szlachtuza z opuszczoną głową, milczący, stoicki, taki, jakim go widział Marek Aureliusz, bez żadnych gestów uniżoności.

Znaczna część naszych dzisiejszych pojęć o człowieku opiera się właśnie na jego specyficznej plastyczności, receptywności na przymus. Przypuszczenie, że przy pomocy reklamy, propagandy, wychowania, przymusu, a w potrzebie terroru, masę ludzką można bez większego trudu, jak wosk lub plastelinę, urobić na coś innego, pozbawić starych właściwości i przyzwyczajzeń, zastępując je nowymi, przypuszczenie to zdaje się leżeć u podstawy najbardziej rozpowszechnionych poglądów i praktyk społecznych i administra-

* *Das Tier lebt ganz im Konkreten und in der Wirklichkeit. Mit aller Wirklichkeit ist nun jedenachdem eine Stelle im Raum und eine Stelle in der Zeit, ein Jetzt und Hier, und zweitens ein zufälliges Sosein verbunden, wie es die sinnliche Wahrnehmung je von einem „Aspekt“ aus gibt. Mensch sein heisst, dieser Art Wirklichkeit ein kräftiges „nein“ entgegenzuchleudern... Mit dem Tiere verglichen, das immer „ja“ sagt zum Wirklichsein, auch da noch, wo es verabscheut und flieht, ist der Mensch der „Neinsagenkönner“, der „Asket des Lebens“, der ewige Protestant gegen alle blosse Wirklichkeit. Er ist zugleich im Verhältnis zum Tiere, dessen Dasein das verkörperte Philisterium ist, der ewige „Faust“, die „bestia cupidissima rerum novarum“... (Die Stellung des Menschen im Kosmos, 62-65).*

cyjnych. Wiara w nieograniczoną prawie plastyczność człowieka, przekonanie o jego zasadniczej nijakości, zdaje się być jednym z najbardziej uderzających rysów naszego czasu. Na tej wierze opiera się obecny wzrost przymusu społecznego, który bez niej byłby przedsięwzięciem okrutnym, pozbawionym wszelkiej nadziei. Schelerowski *Neinsagenkönnner*, jedyna istota przecząca rzeczywistości, wydaje się dziś więcej niż kiedykolwiek postacią papierową i niewiarygodną. Człowiek współczesny — to raczej typowy *Jasager*, rzucający się na szyję każdej przypadkowej i domniemanej rzeczywistości, pierwszy spośród wszystkich zwierząt wołający głośno „tak!”, zanim ktokolwiek zdążył odeń tego zażądać, jedyny okrywający się śmiesznością łapania ryby przed niewodem.

Hodowca zwierząt w założeniu swym musi dostosowywać się do wymagań swej trzody, musi myśleć o dostarczeniu jej odpowiedniego pożywienia, mieszkania itd. Administrator masy ludzkiej, eksmitujący w zimowy poranek źle ubranych nędzarzy, w założeniu swym przypuszcza u nich nieograniczoną zdolność akceptowania nowej, mroźnej i bezdomnej rzeczywistości, aktywności posłuszeństwa, na jaką nie może liczyć hodowca. W nieodpowiednich warunkach zwierzęta umierają jak opisany przez Senekę młody stoik, który wolał śmierć od przepisanej przez lekarzy diety.

Krowa, karmicielka ludzi i zwierząt, pełni swe funkcje ze skromną godnością, bez pochlebstwa i uniżoności. W przeważnej liczbie zwykli śmiertelnicy zajmują w kosmosie stanowisko nie większe od krowy, ale brak im krowiej prostoty, jej umiejętności zachowywania się z godnością w skromnych warunkach. Dlatego zapewne, w celu wypełnienia czymś tej bolesnej luki w ich wychowaniu, większość ludzi zdradza groteskowy pośpiech w akceptowaniu i dobrowolnym upiększaniu mało pochlebnej rzeczywistości. Stąd wywodzi się ich uzdolnienie do optymizmu, do entuzjazmu, do wszystkich tych uczuć chwalebnych i użytecznych, nadających człowiekowi współczesnemu jego nieograniczoną plastyczność pod przymusem. Ale nigdy też może okoliczności w równej mierze nie sprzyjały rozpoznaniu niedostateczności tych środków. Masa ludzka, urabiana rękami wychowawców, propagandystów, organizatorów, przywódców i arcykapłanów, nie przybrała żadnych pochlebniejszych dla niej form. Siła tzw. bovaryzmu, zdolności wyobrażania sobie siebie samego jako czegoś lepszego od rzeczywistości, okazała się również niedostateczna. Niewielka rola człowieka na ziemi stawała się coraz bardziej widoczna, a wraz z nią i konieczność znalezienia sposobu bycia odpowiadającego najskromniejszemu warunkom egzystencji.

Dlatego zapewne tak wiele osób oświeconych odnajduje dziś

pogodę i równowagę w obcowaniu ze zwierzętami. Człowiek współczesny zaczął znów chodzić porośniętymi od dawna trawą drogami Diogenesa z Synopy.

Przekonani o zasadniczej nijakości człowieka spostrzegli u zwierząt pewną jaskrawość ich postawy i sposobu bycia. Rysy właściwe człowiekowi u zwierząt jak gdyby zaostrzają się, wydłużają, osiągając pewnego rodzaju skrajność i doskonałość.

Każdy z nas miał sposobność ocenienia na swój własny użytek roli cierpliwości i związanych z nią zdolności odraczania, zawieszania terminów i decyzji, trwania latami w niewygodnych pozycjach przejściowych i wyczekujących, zadomowiania się w tymczasowości. Wszystkie nasze wyobrażenia odnoszące się do tej dziedziny wydadzą się jednak blade, kiedy zaczniemy obserwować sępa czekającego na powolne „dojrzewanie” padliny. To, co u człowieka wynika z obliczenia środków i celów, u sępa jest właściwością fizjologiczną. Sęp czeka wieki na przebudzenie się apetytu. Dlatego zapewne cierpliwość jego, oparta na fizjologicznych przesłankach, jest postawą tak zadziwiająco harmonijną, tak doskonale wyrażoną w spojrzeniu, w nachyleniu ramion i głowy, we wszystkich naraz szczegółach sposobu bycia. Cierpliwość sępa nie mieści się w skali cierpliwości ludzkiej. Zwłaszcza jeżeli przypomnimy sobie Benedykta Ochotę (z „Asa” Dygasińskiego), który już od progu wołał „rosołu!”, albo szlachcica, który już w przeddzień telegrafował do domu: „jutro przyjeżdżam, szczupak faszerowany”, zrozumiemy, że u człowieka cierpliwość jest cnotą wtórną, o działaniu ograniczonym tylko do nielicznych i głębokich kalkulacji. Porównana z ludzką, cierpliwość sępa wydaje się czymś doskonałym, oczyszczonym ze wszystkich naszych wartościowań użytkowych, wysublimowanym, przeniesionym jak gdyby w dziedzinę sztuki. Każdemu, kto zmuszony jest wymagać od siebie cierpliwości, obserwacja sępa dostarczy niezwykłych perspektyw.

Krokodyl, po zrobieniu ostatniego kroku, nie kładzie przednich łap naprzód, ale leniwie powłóczy je za sobą, dłonią (oliwkową, bardzo podobną do ludzkiej) do góry. Ruch ten, właściwy także niektórym żółwiom, zdaje się być lenistwem posuniętym w dziedzinę twórczości artystycznej.

Poza klasycznymi gestami, właściwymi ludziom i zwierzętom po społu, istnieje cały bezmiar postaw i gestów, które u człowieka nie mają imiennych ekwiwalentów, pozostając w formie szkiców i zadatków, a które u zwierząt są całkowicie dojrzałe, rozwinięte do ostrości i wyrazistości doskonałej. Leniwe i groźne zarazem postawy węzów jadowitych, niekonsekwencje małp, zalotności i próżności ptaków, obojętności przeżuwiających, pośpiechy planti-

gradów, spojrzenia pachydermatów — tworzą nieskończenie barwną różnorodność. Nic dziwnego, że taniec artystyczny tak często pożyczal swe gesty u zwierząt. Każde z nich umie nadać swemu skromnemu bytowaniu jakąś malowniczą postawę lub przynajmniej manierę, swej rezygnacji jakąś godność i wdzięk, których nie oddaje inaczej jak razem z życiem.

W zetknięciu się ze światem zwierząt spotykamy się z postawami bardziej odpornymi od postaw człowieka, nie poddającymi się perswazji i przymusowi. Aby zbliżyć się do zwierząt musimy, chcąc nie chcąc, zająć stanowisko tolerancyjne, zgodzić się z różnorodnością kreacji, uznać samodzielność i odrębność ich sposobu bycia. W ten sposób sama ciekawość poznania pozwala nam odпочząć od ciągle tłoczących się pytań „co ma z tego być?“, „czemu to ma służyć?“, słowem pozwala nam odпочząć od monoideizmu użytkowego, któremu zdaje się być podporządkowany cały zakres spraw ludzkich.

Kot, mieszkający z nami przez całe życie w jednym pokoju, zachowuje całkowitą samodzielność i pewnego rodzaju wspaniałą rezerwę. W przeciwieństwie do psa, nie bierze udziału w naszym życiu, nie interesuje się nim prawie wcale. Jest to coś w rodzaju proklamowanej przez Gandhiego w stosunku do Anglików *non-violent non-cooperation*. Kto chce mieć zdrowego, pięknego i życzliwego kota, musi, jak każdy zresztą hodowca, zacząć od uznania jego praw do oryginalności i do odmowy współpracy.

Przechadzka szósta — w Dolinie Józefata

Nowi eremici, uciekający na puszcze i powracający do natury, zetknęli się w czasie swych wędrówek ze zjawiskami wychodzącymi poza najbardziej rozpowszechniony zakres pojęć i poglądów. Odkryli nowe oblicze ziemi, mało odpowiadające utartym mniemaniom o użytkowym charakterze natury. Spotkali się z przedstawicielami starej kultury rolniczej, pełnej rafinacji i wdzięku, uchylających się od udziału w naszej cywilizacji współczesnej. Wreszcie zapoznali się bliżej ze światem zwierząt, pełnym malowniczej i niepoprawionej szlachetności prostoty obyczajów.

Wszystkie te odkrycia mają za sobą już po parę tysięcy lat. Mimo to nie pierwszy raz odzyskują na nowo urok nowości. Pamiętamy już kilka okresów sielanek, rozkwitających swym trochę sztucznym kwieciami, niby szarotki wśród skał, w różnych niebezpiecznych miejscach historii literackiej.

Nasz dzisiejszy „powrót do natury” swój urok nowości zdaje

się zawdzięczać przeżywanemu obecnie okresowi romantycznego i mistycznego utylitaryzmu, zrodzonego z wielkiej wojny.

Dwadzieścia lat temu wszystkie kraje wojujące stały się obywatelami warownymi, w których całe życie podporządkowało się domniemanym wymaganiom wojny. System moralności pokojowej ustąpił miejsca moralności wojennej, opartej na sile, śmiałości i sprycie, w której jako *summum bonum* znajduje się możliwość swobodnego wykonywania przemocy, i cała reszta sprowadza się do cnót taktycznych, w mniejszym lub większym stopniu sprzyjających osiągnięciu głównego celu. Moralność pokojowa, którą niegdyś, po zakończeniu wojen i wędrówek, Mojżesz przyniósł z góry Synaj, została zawieszona. „*Nie ubij! Kto skazał eti nienużnyje słowa?*”, notował w swych zapiskach Boris Sawinkow.

Przejścia od jednego do drugiego systemu moralności nie odbywają się najwidoczniej przez ogłoszenie dekretu lub przekreślenie komutatora. Po okresie wojen moralność użytkowa, zrodzona na polach bitew i w fabrykach broni, została przeniesiona w sferę życia gospodarczego i społecznego. Świat powojenny zaludnili monoideiści, *homines unius libri*, nie mający żadnych wątpliwości, że to a nie tamto jest najpilniej potrzebne narodowi, ludzkości lub przyszłym pokoleniom, i żądający dla swej idei bezwzględnej posłuszeństwa.

Wraz z rozpowszechnieniem się moralności wojennej, wartościowanie użytkowe ogarniało coraz szersze dziedziny. Z różnych stron podniosły się głosy wyszydzające idee ubiegłego stulecia o sztuce i przedstawiające tę ostatnią jako instrument propagandy społecznej. Czytelnik powojenny, niby koszmarny Ugrium-Burczew (Arakczew) Sałykowa-Szczedrina, każdemu zjawisku stawiał pytanie „*zaczem?*” — po co?

Pod wpływem przyzwyczajenia przestano nawet spostrzegać, ile postawa taka zawiera niewymownego barbarzyństwa. Jak zarzumiały i ciemny dorobkiewicz, wstydzący się przyznać do niewiedzy, przyzwyczailiśmy się myśleć, że potrafimy każde zjawisko wtłoczyć w ramy naszej użytkowej celowości i odrzucić od siebie precz bezwartościową resztę, nie mieszczącą się w naszych ramach.

Nie znając przyszłości, nie wiemy, co będzie cenione przez następne pokolenia, które, być może, dusząc się od śmiechu, słuchać będą o enuncjacjach dzisiejszych rygorystów, każących nam pędzić nędzną egzystencję w celu pozostawienia potomnym tysięcy nowych fabryk, budynków, instalacji, organizacji, związanych tysiącami przepisów w katastrofalną i groteskową zarazem górę rupiecia naszej cywilizacji powojennej. Naiwny mesjanizm, mistyka czynu skierowanego w odległą przyszłość i zwracającego się do przyszłych pokoleń, zdaje się być jednym z najbardziej uderza-

jących rysów naszego romantyzmu utylitarne. Nawet epoki bardziej religijne zdawały się posiadać więcej pogodnego umiaru i poczucia proporcji.

*Blüh auf, gefrorner Christ, der Mai ist vor der Thür
Du bleibest ewig tot, blühst du nicht jetzt und hier,*

pisał Angelus Silesius. Dzisiejsze odwoływanie się do przyszłych pokoleń są, być może, tylko dalszym ciągiem wojennych mirażów zwycięstwa i braku uzdolnień do tworzenia wartości oczywistych, dobrych także na dzień dzisiejszy. Nasza zdolność wartościowania zdaje się jednak wyzwalać coraz bardziej z posępnego mistycyzmu utylitarne, w jaki pogrążył nas przedłużający się okres wojenny.

Zetknięcie się z dziką, niepodbitą jeszcze i nieskomercjalizowaną częścią natury, zdaje się być jednym z etapów tego procesu ozdrowienia. Był to rodzaj ożywczego ekskursu w świat wartości leżących poza zasięgiem naszej moralności wojennej. Spotykając się z tym nowym dlań światem ziemi, ludzi i zwierząt, życzliwy wędrowiec, uciekający od swego czasu, wykonywał bezwiednie gest Prospera, zwalnającego swych gości z potęgi czarów i pozwalającego im być sobą.

Marchońt, Nr 3, kwiecień 1935.

EUROPA W 1938-1939

1

Kryzys wrześniowy 1938 był dla znacznej części Europejczyków nagłym przebudzeniem do nowej rzeczywistości, której kształtowanie się uchodziło dotąd ich uwagi. Wypadki wrześniowe tak dalece zaskoczyły opinię publiczną, że nie od razu zostały zrozumiane. Na Zachodzie ludność witała owacyjnie swych powracających z Monachium mężów stanu, którzy właśnie zrzekli się tam zdobytej w wielkiej wojnie hegemonii Europy i cofnęli wpływy polityczne swych krajów do linii Maginota. Jeden z nich, jak mówi historia anegdotyczna tych burzliwych dni, widząc zgromadzony na lotnisku tłum, nie wiedział, czy nie ma przed sobą wrogiej demonstracji i dopiero ujrawszy powiewające kapelusze dał pilotowi rozkaz lądowania.

Potem dopiero przyszła trzeźwa, nieraz pełna gorczy ocena wypadków. Cierpkie słowa dały się słyszeć nawet w tak dostojnym zgromadzeniu jak Izba Lordów, gdzie jeden z mówców w klasycznym stylu ironicznym zauważył, że angielski minister spraw zagranicznych razem ze swym francuskim kolegą mogliby, korzystając z dużej ilości wolnego czasu, zredagować dla władz kościelnych memoriał o potrzebie kanonizacji Judasza Iskarioty. Te surowe słowa rzucone pod adresem mężów stanu nie są, być może, sprawiedliwe. W krajach parlamentarnych ministrowie działają tylko w granicach uprawnień, udzielonych im przez wyborców, którzy dotąd mało interesowali się sprawami zagranicznymi.

Zresztą oceny te są zbyt późne, aby mieć większe praktyczne znaczenie. Panika giełdowa w pierwszej chwili zależy od oceny sytuacji przez posiadaczy papierów; po pewnym czasie pociąga

jednak za sobą spadek obrotów, wzrost bezrobocia i inne fakty, których rozwój nie zależy już bezpośrednio od opinii kapitalistów. Większość ludności Europy nie pragnie dziś wojny, ale wypadki w małym już tylko stopniu zależą od jej dobrej woli. Cała Europa jest pod bronią, jej gospodarka została przebudowana dla celów wojennych. W tę przebudowę włożona została znaczna część rezerw i nawet przyszłych dochodów Europy; cofnąć się zatem z tej drogi nie jest łatwo. Rok 1939 rozpoczął się w trwożnym napięciu i zapowiada się pełen alarmów wojennych, prób sił i wytrzymałości nerwów. Nawet w 1913-1914 Europa nie przeżywała tak głębokiego niepokoju i uczucia bezsilności wobec konfliktów, których opanowanie zdaje się przerastać jej siły.

Europa widziała już przedtem wielkie okresy trwogi, podczas których zdawało się, że jej cywilizacja, odziedziczona po Grekach i Rzymianach i zubożona dorobkiem następnych stuleci, znajduje się w obliczu tragicznego końca. Jeden z takich okresów — rok 1832 — przypominał nam przed kilku laty w interesującej pracy J. Lucas-Dubreton. Doświadczenie uczy, że stare cywilizacje mają ogromną siłę oporu. Zniszczone w swych górnych piętrach, w warstwach elitarnych, tlą się jak ogień pod popiołem przez całe tysiąclecia. Żegnać się więc z cywilizacją europejską jest jeszcze za wcześnie.

Obok żałobników, przedwcześnie oplakujących śmierć cywilizacji, widzimy ich odwrotność lub raczej karykaturę w postaci tzw. niepoprawnych optymistów. Tych znajdujemy najczęściej w krajach i warstwach zamożniejszych, skłonnych do bagatelizowania wypadków. „Widocznie, mówią, nie jest tak źle, kiedy w naszej parafii najlepsze kamienice są jeszcze wciąż w naszym posiadaniu”. Postawy bogatych mają zawsze znaczną siłę sugestywną dla kręcących się dokoła nich hołyszów i dlatego zapewne Europa liczy i dziś nawet sporą ilość takich optymistów.

Zachowanie stosunku krytycznego do Europy pomonachijskiej zdaje się wymagać przede wszystkim odróżnienia, co jest w niej zjawiskiem stałym, tkwiącym korzeniami w Europie powersalskiej, co zaś jest tylko grą przemijających wypadków. Próbie takiego odróżnienia poświęcone są niniejsze stronicy.

2

Najbardziej uderzającym faktem, z jakim zapoznała się Europa w roku ubiegłym, było zrezygnowanie mocarstw Zachodu ze zdobytej przez nie w 1914-1918 hegemonii europejskiej i wycofanie

się z Europy za linię Maginota. Mocarstwa te wyrzekły się wszystkich niemal wpływów w krajach położonych na Wschód od tej linii. Po kolejnym rzuceniu na pastwę losu Chin, Abisynii, Hiszpanii, Austrii, Czechosłowacji, mimo różnorodnych zobowiązań, jakie łączyły mocarstwa z tymi krajami, podpis ministrów Zachodu został całkowicie zdewaluowany. W ten sposób znikł niemal sam przedmiot aliansów mogących jeszcze łączyć mocarstwa z innymi państwami europejskimi. Ponieważ częściowy rozbiór Czechosłowacji został nie tylko dopuszczony ale aprobowany osobnym aktem przez mężów stanu Zachodu, w układach monachijskich dopatrywano się nawet oficjalnego uznania Europy Wschodniej za strefę wpływów niemieckich. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Austria i Czechosłowacja zostały w 1919 roku stworzone przez Anglię i Francję i że Austria była przez nie utrzymywana przy życiu za pomocą pożyczek, stanie się jasne, że między Wersalem i Monachium polityka europejska mocarstw uległa znacznej zmianie.

Pokojowa likwidacja hegemonii anglo-francuskiej w Europie należy, być może, do najbardziej stałych i ciągłych zjawisk ostatnich lat. Początków jego szukać należy już w samym okresie redagowania traktatu wersalskiego.

Pierwszym niepowodzeniem zwycięzców wielkiej wojny była ich polityka interwencyjna w Rosji.

Nazajutrz po podpisaniu rozejmu na Zachodzie, Anglia i Francja wysłały korpusy ekspedycyjne do Rosji celem stłumienia tam rewolucji bolszewickiej. Jednocześnie mocarstwa te usiłowały przy pomocy znacznych środków zorganizować w Rosji armię kontrrewolucyjną pod komendą najbardziej konserwatywnych carskich generałów. Korpusy ekspedycyjne nie chciały się jednak bić i przy pierwszej sposobności opuszczały pozycje. Armie białych generałów nie znalazły poparcia ludności i zostały pobite przez improwizowane siły zbrojne rewolucji. Próby interwencji mocarstw w Rosji zakończyły się zupełną porażką. Zniechęcone do interwencji, mocarstwa obrały politykę „kordonu sanitarnego”, rodzaju blokady Rosji. Ale i w tej polityce nie były konsekwentne i w różnych okazjach szukały porozumienia z Rosją sowiecką, usiłując wciągnąć ją do swej gry politycznej.

Trzyletni okres nieudanej polityki interwencyjnej pociągnął za sobą najdonioślejsze konsekwencje.

Pierwszą z nich było wytworzenie się w całej Europie Wschodniej znacznych sił zbrojnych. Pierwszy rząd sowiecki zarządził demobilizację, w wyniku której kilkanaście milionów żołnierzy z karabinami w ręku wróciło do domu. Rząd, który przeprowadził

tego rodzaju demobilizację, natrafia potem zazwyczaj na niepokonane trudności w wytworzeniu własnej siły zbrojnej. Zdawało się więc, że Europa Wschodnia, po zniknięciu na dłuższy czas armii rosyjskiej, będzie mogła przez parę pokoleń korzystać z dobrodziejstw pokoju. Perspektywy te zostały od razu przekreślone przez interwencję mocarstw, które stworzyły na raz oba warunki niezbędne do odrodzenia siły zbrojnej rosyjskiej: wojnę cywilną i nieudaną inwazję cudzoziemską.

Posunięcia te uderzały swą niekonsekwencją. Z jednej strony mocarstwa uznawały państwa sukcesyjne po-rosyjskie, z drugiej finansowały białych generałów, którzy nie uznawali ich wcale, wreszcie, w dalszej konsekwencji, sprzyjały powstaniu armii rewolucyjnej niemniej groźnej dla wszystkich państw sąsiednich. W wyniku tej polityki mocarstw wszystkie państwa sąsiadujące z Rosją, zamiast zająć się odbudową swych zniszczonych przez wojnę terytoriów, musiały śpiesznie tworzyć siłę zbrojną dla obrony zagrożonej niepodległości. Militarizm wschodnioeuropejski, któremu liberałowie angielscy odczytali tyle nauk moralnych, był więc przede wszystkim własnym dziełem Zachodu, nieuniknionym skutkiem ich nieszczęśliwych posunięć politycznych.

Wynikiem nieudanej polityki interwencyjnej była konsolidacja wewnętrzna groźnej potęgi Rosji sowieckiej, zwróconej frontem przeciw Zachodowi i poszukującej sprzymierzeńców wśród innych zwyciężonych, przede wszystkim zaś w Republice Niemieckiej.

Walka między Zachodem i Rosją o wpływy w Niemczech była prawdziwą komedią omyłek. Głównym wrogiem obu potęg walczących o wpływy była pacyfistyczna socjaldemokracja niemiecka. Jej sukcesy wewnętrzne były kamieniem obrazy dla konserwatystów dzierżących wówczas władzę w państwach Zachodu. Toteż zwycięzcy znęcali się nad socjal-demokratyczną Republiką Niemiecką, nie pozwalając jej nawet utrzymywać policji, która broniłaby jej od zamachów prawicy. Każdy zwrot na prawo w polityce wewnętrznej niemieckiej witany był na Zachodzie nowymi ustępstwami dla Niemiec. Wybór Hindenburga na prezydenta republiki prasa angielska witała jak własne zwycięstwo. Sowiety również widziały w socjaldemokracji swego głównego wroga, przeszkodę na drodze do opanowania całego proletariatu niemieckiego i do światowej rewolucji komunistycznej. „Im gorzej, tym lepiej”, mówili mędrcy Kremla i nie cofali się przed żadnym środkiem prowadzącym do osłabienia pokojowej Republiki Niemieckiej. Zarówno w Reichstagu jak w sejmie pruskim komuniści głosowali do końca solidarnie z narodowymi-socjalistami i w granicach swych możliwości zrobili wszystko dla przeprowadzenia tych ostatnich do władzy. Niepowodzenie tej poli-

tyki Sowietów pociągnęło za sobą upadek wszelkiego autorytetu Kominternu, jego dezagregację jako światowej siły politycznej i wreszcie egzekucję całego Olimpu komunistycznego w Moskwie. Ale obalenie, wspólnymi siłami Zachodu i Kominternu, pokojowej Republiki Niemieckiej w swych dalszych skutkach okazało się fatalne przede wszystkim dla mocarstw zachodnich. Przyjście do władzy Hitlera oznaczało koniec wpływów sowieckich w Niemczech. Dlatego mężowie stanu Zachodu z błogim uśmiechem patrzyli na pożar Reichstagu i na początkową fazę zbrojeń niemieckich. Kiedy ocknęli się z drzemki, było za późno.

Powyższe kalkulacje mocarstw oparte były jeszcze na jednej, szczególnie nas interesującej, przesłance. Rewindykację terytorialne Niemiec przedhitlerowskich skierowane były wyłącznie w kierunku granic wschodnich Rzeszy. W ciągu 10 lat propaganda niemiecka zdążyła oswoić cały świat z myślą, że głównym obiektem rewindykacji niemieckich jest sławny korytarz gdański i Górny Śląsk. Nikt prawie nie zwrócił uwagi na doniosłość tego faktu dla orientacji politycznej Zachodu i na jego wartość jako posagu, wniesionego Trzeciej Rzeszy przez poprzednie rządy niemieckie. Patrząc na zbrojenia Niemiec przedhitlerowskich i początkową fazę zbrojeń Trzeciej Rzeszy, opinia Zachodu widziała w nich tylko wstępne kroki do rewizji granic wschodnich Rzeszy. W miarę tego jak Zachód ogarniało znużenie stałymi niepowodzeniami jego polityki europejskiej, coraz więcej mówiono tam o konieczności skierowania ekspansji niemieckiej na Wschód. „Europa Wschodnia, mówiono, jest tradycyjnym terenem ekspansji niemieckiej i zarazem jej drogą najmniejszego oporu. Tam trzeba zostawić otwartą klapę bezpieczeństwa na wypadek zwiększonego naporu ze strony Niemiec”. Myśl ta, wypowiedzana głośno w Genewie przez niebacznego Ramsaya Macdonalda, szerzona nieoficjalnie w komisjach spraw zagranicznych parlamentów, jest nicią przewodnią traktatów lokarneńskich, różniczkujących statut granic wschodnich i zachodnich Niemiec. Popularność tej idei tłumaczy częściowo entuzjazm tłumów witających francuskich i angielskich mężów stanu po powrocie z Monachium: „Przecież udało się im skierować Niemcy na Wschód. Gdyby powiodło się zaprowadzić tego Hitlera aż do Rosji, mielibyśmy spokój na 150 lat”.

Do tych rozważań dodawano jeszcze następujące argumenty: w Wersalu rozdrobiono Europę Środkową, tworząc same państwa mniejsze od Niemiec i nadto zagrożone od tyłu przez Rosję sowiecką. Państwa te nie mogą w razie wojny światowej przejąć roli znakomitego *rouleau compresseur* rosyjskiego. Jedyne pożytek, jaki możemy z nich mieć — to możliwość ofiarowywania

ich po kawałku Niemcom dla dania im jakiejś satysfakcji i odwrócenia od Zachodu.

W rozumowaniu tym widzimy, jak ostatnie niepowodzenia Zachodu zazębiają się o pierwsze, jak pierwsze błędy polityczne mocarstw w Rosji paraliżowały potem ich politykę niemiecką.

Likwidacja hegemonii anglo-francuskiej w Europie miała zatem dwa etapy. Już zgromadzeni w Paryżu w 1919-1920 mędracy Zachodu musieli zrezygnować z wykonywania hegemonii nad Rosją, największym pod względem ludności i obszaru krajem Europy. Wpływy Zachodu, niegdyś tak wielkie w Rosji carskiej, cofnęły się za „kordon sanitarny”, przechodzący przez Polesie i Besarabię. Niebawem za tymże kordonem wypadło umieścić Turcję i Afganistan. Ta pierwsza rezygnacja sparaliżowała wszelką zdrową politykę mocarstw w stosunku do Niemiec i innych krajów Europy Środkowej. Wkrótce wykonywanie hegemonii na ograniczonym obszarze Europy Środkowej zaczęło również przekraczać siły i pomysłowość niedawnych zwycięzców. W 1938 roku nastąpił nowy etap rozpoczętej już likwidacji i cofnięcie się mocarstw za linię Maginota.

Powyższy bieg wypadków tłumaczy częściowo obawę Zachodu przed wojną. W 1914-1918 Francja i Anglia miały równie potężnych jak licznych aliantów: Rosję, Japonię, Włochy, Stany Zjednoczone, Serbię, Rumunię, Belgię, Portugalię... Po układach monachijskich i zrujnowaniu przesłanek dla aliansów w Europie, mocarstwa Zachodu stanęły same w obliczu wroga, mając za jedyne domniemanego alianta Stany Zjednoczone, na razie skrepowane własną ustawą o neutralności. Nie mówiąc już o realnych siłach wszystkich tych sprzymierzeńców, obecność ich podtrzymywała w trudnych chwilach siły moralne walczących. Po Monachium świadomość całkowitego odosobnienia zaczęła ciążyć rezerwistom Zachodu.

Dopiero wobec bezpośredniej groźby wojny Wielka Brytania rozpoczęła gorączkowe poszukiwania sprzymierzeńców w Europie Wschodniej. Zważywszy, że poszukiwania te podjęte zostały przez tych samych mężów stanu, którzy tak niedawno jeszcze aprobowali podbój Hiszpanii i Czechosłowacji, trudno jest na razie osądzić, w jakim stopniu są one tylko doraźnym manewrem politycznym, w jakiej zaś zwiastują nową orientację polityki europejskiej mocarstw Zachodu.

3

Wypadki ubiegłego roku zadały poważny cios zasadzie narodowości, która odegrała tak ważną rolę w historii Europy XIX

wieku i stanowiła nić przewodnią traktatów pokojowych z 1919-1920. Traktaty te, z gruba przynajmniej, dzieliły Europę na państwa narodowe, których granice polityczne miały teoretycznie zbiegać się z granicami etnograficznymi. Jakkolwiek wersalscy twórcy nowej Europy starali się uniknąć zbyt wielkiego rozproszkowania kontynentu, okazało się, że w Europie Wschodniej na obszarze między Niemcami i Rosją stworzono siedem nowych państw suwerennych.

Podział Europy według zasady narodowości w nieunikniony sposób prowadzi do powstania państw wielkich, średnich i małych. Utrzymanie więc takiego podziału wymaga niezbędnie ustalenia prawa międzynarodowego, opartego na zasadzie narodowości i broniętego konsekwentnie przez państwa wielkie. Świadomość tej elementarnej prawdy nie była obca mędrcom wersalskim i znalazła swój wyraz w utworzeniu Ligi Narodów, mającej czuwać nad utrzymaniem pokoju i wykonywaniem prawa zawartego w traktatach.

Wielkie mocarstwa jednak coraz niechętniej przyznawały się do ojcostwa Ligi Narodów i coraz widoczniej uchylały się od roli „żandarma Europy”. Już traktaty lokarneńskie usiłowały oprzeć na innych podstawach zachowanie pokoju na Zachodzie i różniczkowały prawa państw małych i wielkich bez jednoczesnego przejścia przez te ostatnie nowych obowiązków w zakresie utrzymania pokoju na całym kontynencie.

Wypada dodać, że demokracje Zachodu, posiadające wielkie imperia kolonialne, na terenie których negują zasadę samostanowienia narodów, już z racji tego faktu nie były najlepszymi obrońcami zasady narodowości, wziętej być może nieco przypadkowo za ideę przewodnią nowego porządku europejskiego.

Po każdej nowej sesji Ligi Narodów, po każdej z licznych konferencji międzynarodowych, zwoływanych przez mocarstwa Zachodu, jak gdyby dla zaznaczenia ich niezależności od Ligi i reprezentowanego przez nią systemu, stawało się coraz jaśniejsze, że nie tylko państwa totalistyczne, ale także wielkie demokracje, będące autorami nowego porządku europejskiego, nie mają żadnej woli bronięcia tego porządku i nie zdobędą się na żaden, niewielki nawet, wysiłek w tym celu.

Najprostszą alternatywą do systemu ligowego był powrót do prawa natury, do swobodnej gry sił, w której wyniku państwa średnie pochłonęłyby państwa małe i zostały pochłonięte z kolei przez wielkie. Dla Europy Wschodniej i Środkowej oznaczałoby to powrót do przedwojennego systemu wielkich imperiów, powstałych z takiej właśnie swobodnej gry sił. W języku dyplomatycznym ów powrót do prawa natury nazwany został powrotem

do systemu 4-ch, ewentualnie 5-ciu mocarstw, przypominającego dawny „koncert europejski”.

Świadomość tych perspektyw więcej zapewne niż co innego przyczyniła się w chwili krytycznej do wytrącenia broni z rąk Czechów. Trudno bowiem wskórać coś zbrojnie przeciw prawu natury, uznanemu nadto przez wszystkie potęgi polityczne świata.

Po układach monachijskich i cofnięciu się mocarstw Zachodu za linię Maginota, w całej pozostałej Europie zapanowało *vacatio legis*, okres swobodnej gry sił, w której państwa słabsze nie miały widocznych szans utrzymania niezależności. Okres między układami monachijskimi i zajęciem Pragi był okresem największej potencjalnej władzy Hitlera. Trzeba się cofnąć wstecz bardzo daleko, być może aż do cesarzy rzymskich, aby znaleźć przykład równie szerokiej władzy nad kontynentem europejskim. Władza bowiem Napoleona I-go oparta była na zwycięstwach, ale nie była władzą niekontestowaną, jak władza kanclerza Trzeciej Rzeszy, któremu ustępujący hegemoniści Europy z własnej inicjatywy pozostawili wolną rękę. Podczas tych kilku miesięcy w rękach kanclerza Niemiec zdawały się leżeć nieograniczone możliwości polityczne. Najprostszą z nich wydawało się przejście spadku po ustępujących hegemonistach i utworzenie na miejsce Ligi Narodów jakiegoś nadrzędnego *sanctum imperium hitlerianum*, opartego na teźże zasadzie narodowości, zresztą wcale nie obcej ideologii Trzeciej Rzeszy. Byłaby to *dura lex sed lex*, coś w każdym razie wartego więcej od swobodnej gry sił, nie dającej satysfakcji nikomu, bo nawet nie Trzeciej Rzeszy, upadającej pod ciężarem zbrojeń. Tak wielkie ambicje nie leżały jednak widocznie w programie obecnych władców Niemiec, którzy, zajmując Pragę, weszli na pełną zawodów i rozczarowań drogę napoleońską, na drogę władzy kontestowanej i opartej jedynie o siłę zbrojną.

4

Wpływy polityczne Zachodu opierały się w dużej mierze na uroku i autorytecie jego cywilizacji, na powszechnej wierze w mądrość jego instytucji i obyczajów politycznych. W większości oświeconych i części nieoświeconych poddanych trzech cesarzy, rządzących Środkową i Wschodnią Europą, demokracje Zachodu posiadały tajnych sprzymierzeńców. Ten kapitał polityczny, roztrwoniony prawie całkowicie w okresie między Wersalem i Monachium, nie był nigdy słusznie oceniany na Zachodzie. Nie doceniano zwłaszcza okoliczności, że w okresie zdobywania tego

autorytetu Francja była krajem o największej ludności i najsilniejszej armii w Europie. Aby ocenić np. sztukę kraju słabego politycznie, trzeba być znawcą. Sztuka najpotężniejszego narodu budzi już znacznie łatwiej powszechne uznanie. Dlatego likwidacja hegemonii anglo-francuskiej pociągnęła za sobą w całej Europie upadek autorytetu Zachodu i wiary w mądrość jego instytucyj. Szybkości tego procesu sprzyjały nadto pewne szczególne okoliczności.

Wielkie mocarstwa Zachodu prowadziły wojnę 1914-1918 pod hasłem obrony demokracji. Ich wiara w wartość instytucji demokratycznych zachwiała się jednak nazajutrz po zwycięstwie. Władze w nich objęły stronnictwa konserwatywne, nie mające większego nabożeństwa ani do obcej, ani do własnej demokracji. Zresztą ani wówczas ani później ich ministrowie spraw zagranicznych i dyplomaci nie przywiązywali żadnej wagi do ustroju politycznego innych krajów. Rządy wielkich demokracji Zachodu nie zrobiły nic w celu zachowania podobnego ustroju w Rosji, w Niemczech lub w Hiszpanii. „Demokracja jest dobra dla nas, dla Rosjan wystarczy cesarz absolutny i rządy generałów”, tak rozumowano w Paryżu w roku 1919. W pięć lat później Paryż i Londyn wierzyły więcej w Hindenburga niż w wartość instytucji republikańskich w Niemczech. Osobliwy system jednostronnej nieinterwencji, zastosowany później do Hiszpanii, miał więc już za sobą pewną tradycję. Nazajutrz po podpisaniu rozejmu w 1918 roku demokracja przestała być artykułem eksportowym mocarstw Zachodu. Miejsce jej zajął inny eksport polityczny: eksport pretendentów do tronów i dyktatur, eksport prasy reakcyjnej, *l'Action Française* i *Gringoire'a*. W ambasadach wielkich demokracji gromadzili się wszędzie miejscowi reakcyjniści.

Zjawiska te były pozornie tylko paradoksalne. Znużone długą wojną ludy Zachodu pragnęły przede wszystkim powrotu do *status quo ante bellum*. Nie one rozpoczęły wojnę, i — podobnie jak nie miały żadnego planu jej prowadzenia — nie miały również żadnej idei porządkowej potrzebnej do wykonywania hegemonii europejskiej, jaka przypadła im w udziale z tytułu zwycięstwa. Ludy Zachodu wzięły za broń w celu wypędzenia nieprzyjaciela ze swych terytoriów i po osiągnięciu tego celu nie interesowały się bliżej losami reszty świata.

Należy również brać pod uwagę znaczne przesunięcie się po wojnie wieku wyborców w demokracjach Zachodu. Obecnie ludność powyżej lat 40-tu wynosi we Francji 38,2 %, w Anglii 35,7 %, gdy ludność w wieku 20-40 lat wynosi w tychże krajach 31,4 i 31,9 %. Po wielkiej hekatombie młodzieży w 1914-1918 różnica na korzyść starszych była jeszcze większa. Dla po-

równania dodamy, że np. w Polsce ludność w wieku 20-40 lat stanowi 32,6 %, gdy starsi stanowią tylko 24,3 % ogółu mieszkańców. Znaczna zatem większość wyborców na Zachodzie przekroczyła 40-ty rok życia, po którym coraz trudniej jest oswoić się z sytuacjami nowymi i rzucać się w nie dość przemyślane i trudne przedsięwzięcia. Nie można więc dziwić się, że wyborcy Zachodu nie umieli sobie wyobrazić ani Stanów Zjednoczonych Europy, ani żadnego innego ogólnoeuropejskiego systemu odbiegającego od wzorów przedwojennych. System trzech dyktatorów jako spadkobierców trzech cesarzy mieści się znacznie łatwiej w niechętnej wszelkiej nowości wyobraźni wyborców zachodnich, niż system Ligi Narodów czy Stanów Zjednoczonych Europy. Dlatego zapewne Liga Narodów nie znalazła dostatecznego oparcia w opinii Zachodu, zaś powstanie trzech dyktatur nie spotkało dostatecznego oporu.

Hegemonia anglo-francuska w Europie była więc przypadkowym i niemal niespodzianym skutkiem zwycięstwa. Jej pokojowa likwidacja była przede wszystkim skutkiem braku jakiegokolwiek idei porządkowej potrzebnej do rządzenia Europą. Brak takiej idei sprowadza politykę do czystego machiawelizmu. Ale i sam Machiavelli nie uważał swego systemu za uniwersalny i obmyślił go jedynie na użytek renesansowych książąt, nie przewidując wcale jego stosowania przez wielkie demokracje.

Brak idei porządkowej ujawnił się od razu w 1919 roku z okazji spraw rosyjskich. Mędrzy wersalscy, niedawni obrońcy demokracji, nie mieli żadnej jasnej koncepcji politycznej dla Europy Wschodniej i, idąc drogą najmniejszego oporu, usiłowali restaurować w Rosji cesarstwo, do którego zresztą nie żywili żadnego przekonania. Nic dziwnego, że wysłane do Rosji wojska, niezwykłe na Zachodzie, nie chciały się bić i uciekły przed garstką awanturników. Podobnie jak mężowie stanu, którzy ich tam wysłali, żołnierze nie wiedzieli, co z tego ma być, i, wiedziony słusznym rozumowaniem, nikt nie chciał stracić życia w niedorzecznej przygodzie.

Ten sam brak idei porządkowej uderza nas w polityce niemieckiej mocarstw, sprowadzającej się do fantazyjnej alternacji gróźb i ustępstw nie związanych żadną wspólną koncepcją.

Brak myśli porządkowej w polityce europejskiej wywołał wreszcie u ludów Zachodu ich postawę biernego oczekiwania, niesłusznie może zwaną pacyfizmem. Podczas wielkiej wojny znaczna część — być może większość nawet — żołnierzy angielskich i francuskich wierzyła, że niesie pozostałemu światu wolność i pokój, i że po obaleniu trzech cesarzy w krótkim czasie cała Europa będzie zamożna i szczęśliwa. Cel taki jest wart zachodu

i nie wstyd nawet zaryzykować dłań własną skórę. Ale cel ten nie został osiągnięty i nikt dziś — poza sekciarzami — nie zna prowadzącej doń recepty politycznej. Kilka razy już mocarstwa Zachodu zmieniały swe rządy. Wszystkie główne stronnictwa były kolejno u władzy, wszyscy *ministrable* otrzymali kolejno teki i jeździli do Genewy i tylu innych miast w poszukiwaniu szczęśliwej formuły, potrzebnej do sprawowania władzy zdobytej na wojnie. Wszyscy jednak wracali z niczym. W ten sposób został dla wyborców eksperymentalnie przeprowadzony dowód, że hegemonia anglo-francuska nie może przynieść pokoju i dobrobytu Europie. W jakim więc celu bronić tej hegemonii? Gdyby drogą nowych krwawych ofiar Anglia i Francja ponownie wygrały wojnę, nic nie zmieni się na lepsze, zostanie przywrócony stan z 1919 roku i po kilku latach depesze z Berlina przyniosą wiadomość o przyjściu do władzy Super-Hitlera. Wyciągając wnioski z doświadczeń ostatnich 20 lat, ludy Zachodu nie chcą ponosić żadnych nowych ofiar. Kto chciałby zginąć w wojnie nie mającej żadnych perspektyw na przyszłość, prowadzącej w najlepszym razie do utrzymania *status quo*, który zostawia tyle do życzenia? Ale ludy Zachodu, jak się okazało w 1938 roku, nie chcą wcale bronić tego *status quo*. Aby zrozumieć łatwość, z jaką pożegnały się z Ligą Narodów, z Austrią, z Czechosłowacją i innymi wspomnieniami okresu wersalskiego, trzeba brać pod uwagę, że okres ten jest dziś świadectwem ich słabości i nieudolności, do którego nie mogą mieć żadnego przywiązania.

5

Upadek wiary w mądrość polityczną ludów Zachodu miał różnorodne przyczyny.

Rolę, jaką odegrała w tym procesie likwidacja hegemonii anglo-francuskiej, omówiliśmy już wyżej.

Niemałą rolę odegrały również własne doświadczenia Europy Środkowej w okresie 1918-1938. W ciągu tego dwudziestolecia cała część Europy, pozostająca uprzednio pod rządami trzech cesarzy, przeszła krótsze lub dłuższe okresy rządów demokratycznych.

W ocenie tych eksperymentów przez własnych obywateli wypada brać pod uwagę pewną osobliwość ich kryteriów. Od czasów Metternicha i Arakczejewa „republika” była słowem zakazanym, posiadającym niepokonany urok. Dla Kiereńskiego i jego rówieśników ogłoszenie republiki i zwołanie zgromadzenia konstytucyjnego było mitycznym kresem ich działalności, początkiem

nowej ery, złotego wieku, o którym nikt nie miał dokładniejszego pojęcia. W obliczu tych nadziei istotne zwołanie parlamentów pośród ruin wojennych przyniosło dużo rozczarowań. Późniejsi faszyci rzadko tylko rekrutowali się z przedwojennych konserwatystów, najczęściej byli to rozczarowani rewolucjoniści i demokraci. Stare republiki, których słabość dla pięknych generałów z brodami blond znają wszyscy obywatele, nie mogą z natury rzeczy wywoływać podobnych uczuć rozczarowania. Młode republiki były bardziej postępowe, bardziej uspołecznione od starych i już z tego tytułu więcej od nich oczekiwano.

Funkcjonowanie nowych republik natrafiło zresztą od razu na wielkie przeszkody. Niezbędnym warunkiem istnienia demokracji parlamentarnej jest powszechność konwencji, że wszystkie sprawy polityczne dadzą się załatwić przy pomocy perswazji i kompromisu, bez użycia rewolwerów. Dopóki zwolennicy rewolwerów są tak nieliczni, że można ich trzymać w więzieniach, tak długo demokracji nie grozi żadne niebezpieczeństwo wewnętrzne. Jeżeli jednak zwolennicy akcji zbrojnej stają się zbyt liczni, republiki muszą tworzyć wielki aparat represyjny, ograniczać wolność, muszą poszukiwać ludzi „silnych”, a wreszcie i dyktatorów.

Ta niezbędna dla istnienia demokracji konwencja była już dostatecznie podminowana przez wszystkie prądy rewolucyjne mniej lub więcej zabarwione sorelizmem. Zwłaszcza nazajutrz po wojnie, wśród niezakończonych jeszcze demobilizacji, powszechność takiej konwencji była szczególnie trudna do osiągnięcia. Europa Środkowa i Wschodnia pełna była uczniów Sorela, wychowanych w tradycjach walki zbrojnej i *action directe*, którzy nie umieli przyjąć od razu nowej konwencji i ograniczyć się tylko do liczenia na siłę perswazji i dobroczynne działanie kompromisów.

Wreszcie młode demokracje spotkały się z trudnościami nowymi, na które nikt dotąd nie zna skutecznej recepty. Najbardziej niepokojącą z nich zdawała się sprawa szkolenia nowych pokoleń. Ludowładztwo może być skutecznie wykonywane tylko przez lud oświecony. Toteż rozbudowa szkolnictwa i szerzenie na wielką skalę oświaty leżało zawsze w programie wszystkich demokratów. Doświadczenia zrobione w tej dziedzinie po wojnie przyniosły najboleśniejże rozczarowania. Okazało się, że prądy antydemokratyczne z faszyzmem i komunizmem włącznie powstają i szerzą się nie wśród robotników i chłopów, lecz właśnie wśród tej części ludności, która przeszła przez szkoły średnie i uniwersytety. Im więcej młode demokracje wydawały na oświatę, tym więcej wychowywały sobie wrogów, groźących im *action directe* ze strony prawej lub lewej.

Aby zrozumieć to zjawisko, szczególnie jaskrawo występujące

w Europie Środkowej, należy brać pod uwagę powojenne zubożenie tych krajów przy dużym przyroście ludności. W krajach zamożnych o mniejszym przyroście ludności przyszłość młodzieży nie nastrocza tylu smutnych refleksji. W demokracji liberalnej, traktującej życie jako rodzaj konkursu, w którym bardziej uzdolnieni mają pierwszeństwo, warunki konkursu są stosunkowo łagodne. Wszyscy prawie otrzymują awans społeczny, zaledwie znikomą mniejszość pozostaje w tyle, i nie ma powodu do bliższego rozpatrywania słuszności takiego załatwienia sprawy. W krajach ubogich natomiast, gdzie konkurs życiowy przypomina ucho igielne, ilość odepchniętych jest tak wielka, że u wszystkich rodzi się pytanie, czy sama instytucja konkursu ma rację bytu.

W ciągu ostatnich 20 lat położenie gospodarcze Europy Środkowej nie uległo żadnej poprawie. Po latach likwidacji bezpośrednich skutków wojny przyszyły lata długotrwałego kryzysu, powiększonego przez chaos polityczny, zmuszający wszystkie kraje do obracania coraz większej części dochodu społecznego na nieprodukcyjne wydatki zbrojeniowe. Nowe pokolenia coraz trudniej mieściły się w warunkach demokracji liberalnej.

W tym miejscu jeszcze raz ukazują się tragiczne skutki chaosu politycznego Europy. Hegemonia anglo-francuska wytworzyła w Europie nieznaną poprzednim pokoleniom stan ciągłego alarmu i niepewności. Nic dziwnego, że kapitaliści Zachodu nie uważali za możliwe inwestować swych oszczędności za granicą. Na rynkach pieniężnych Zachodu tworzyły się masy oszczędności nie znajdujące produkcyjnej lokaty; w Europie Środkowej brak kapitałów wytwarzał rodzaj chronicznego kryzysu gospodarczego. Wobec braku bezpieczeństwa kapitaliści najchętniej pożyczali państwu najsilniejszym militarnie. Dlatego z kredytów zagranicznych w okresie powojennym najwięcej korzystały Niemcy ze znanym wynikiem gospodarczym i politycznym dla pożyczkodawców.

Ta paradoksalna sytuacja pociągnęła za sobą dwa następstwa: w Europie Środkowej wytworzyły się warunki niepomysłne dla utrzymania się demokracji; w państwach Zachodu natomiast powstały warunki potrzebne dla zastąpienia Ligi Narodów i paktów bezpieczeństwa przez wyścig zbrojeń jako system polityki międzynarodowej. Mocarstwa Zachodu mogą się zbroić, czerpiąc z zapasu, pokrywając koszty zbrojeń przez pożyczki wewnętrzne. Państwa uboższe w kapitały mogą się zbroić tylko za cenę ograniczania dobrobytu i wolności obywateli, czerpiąc z bieżącego dochodu społecznego. Dlatego mężowie stanu Zachodu tak pogodnie patrzyli na ewolucję polityczną Niemiec i Włoch i na początkową fazę ich zbrojeń. „My możemy się zbroić, przez dłuższy czas czerpiąc z rezerw, myśleli, natomiast kraje uboższe będą musiały

niebawem natrafić na granicę cierpliwości i wytrzymałości swych obywateli". W ten sposób wyścig zbrojeń stał się oficjalnym systemem polityki europejskiej.

System ten, zarysowany wyraźnie w ciągu dwu lat ostatnich, wytworzył nową, ostrą przeciwstawność między Zachodem i resztą Europy. Objasnia on częściowo, dlaczego w 1938 roku większość państw Europy Środkowej i Wschodniej bez oporu weszła w orbitę wpływów niemieckich, przyjmując swą nową sytuację jako zjawisko natury i nieuniknioną konsekwencję wypadków poprzednich.

6

Likwidacja wpływów Zachodu odbyła się w 1938 roku w formie tak dramatycznej, że świadomość tego faktu dotarła do najszerszych warstw ludności Europy, wywołując ogromne wrażenie. Rozłam Europy na dwie części nie wydawał się nigdy tak zupełny.

Upadek autorytetu i tradycyjnych wpływów Zachodu wytworzył w pozostałej Europie ogromną próżnię. Tej okoliczności zawdzięczamy nagle rozszerzenie się na inne kraje doktryn politycznych niemieckich i włoskich. Programy faszystowskie od Gorgoliniego aż do bogatej produkcji lat ostatnich, zarówno jak *Mein Kampf* i *Der Mythos des XX Jahrhunderts* uświadamiają nas od razu, że mamy tu do czynienia z prądami o zasięgu czysto lokalnym, nie pretendującymi wcale do tytułu doktryn uniwersalnych, ważnych dla całej planety. Są to doktryny nacjonalistyczne nie zawierające żadnych składników, które ewentualnie mogłyby posłużyć za nic przewodnią do jakiejś doktryny politycznej europejskiej, wiążącej nasz kontynent w pewną całość. Tendencje antykomunistyczne tych prądów są bez znaczenia wobec faktu, że wraz z przyjściem do władzy Hitlera w Niemczech niebezpieczeństwo komunistyczne przestało zagrażać Europie, i że wreszcie państwem mającym najlepsze stosunki z Rosją sowiecką jest dziś, zdaje się, Trzecia Rzesza. Antysemityzm prądów faszystowskich nie tylko nie sprzyja uspokojeniu Europy, ale zdaje się stwarzać jej coraz nowe trudności.

Jeżeli więc doktryny faszystowskie i narodowo-socjalistyczne znajdują dziś w Europie tylu zwolenników i naśladowców, wypada przypisywać to przede wszystkim próżni, powstałej wskutek zaniku wiary w mądrość lepiej wypróbowanych instytucji politycznych Zachodu. Nowe prądy ogarnęły w pierwszej linii wielkie rzesze upośledzonych i trawionych przez kompleks niższości, którzy przy *régime*'ie demokracji liberalnej w drodze wolnej konku-

rencji nie mieli w krajach ubogich żadnych szans zdobycia znośnych warunków egzystencji.

Wypadki 1938 roku potoczyły się tak nagle i niespodzianie, że zastały nieprzygotowane wszystkie istniejące organizacje polityczne, religijne i kulturalne. Reakcje, jakie wywołały wypadki, zarysowały nowe linie podziału przebiegające poprzecznie przez wszystkie zrzeszenia. Tak więc np. w Anglii idea porozumienia z faszyzmem znalazła zwolenników i przeciwników we wszystkich trzech stronnictwach politycznych. W podobny sposób stosunek do sprawy hiszpańskiej podzielił we Francji większą część stronnictw. Schemat, według którego wyborcy dzielili się na stronnictwa, nie odpowiadał schematowi, według którego wyborcy ustosunkowali się do nowych zjawisk politycznych. Tym tłumaczy się rodzaj bezwładu, jaki w chwilach krytycznych ogarnął parlamenty Zachodu, szukające ocalenia w uchwalaniu rządowi dyktatorialnych pełnomocnictw.

Głębokie linie podziału zarysowały się także w zrzeszeniach niepolitycznych. Na szczególne omówienie zasługuje nowa sytuacja Kościoła Katolickiego. Odważne wystąpienie Ojca Świętego, broniącego wielkich tradycji chrześcijaństwa i zajmującego wobec państwa totalitarnego tę samą postawę, jaką chrześcijanie pierwszych wieków zajmowali wobec Cesarstwa Rzymskiego, wytworzyło pogląd, że pozycje opuszczone w Europie przez wpływy Zachodu zostaną zajęte przez Kościół, który będzie bronił ciągłości cywilizacji przeciw nowatorom politycznym.

Wypadki 1938 roku nie potwierdziły tych nadziei. Okazało się, że kraje katolickie są najmniej odporne na nowe prądy i liczą największą ilość zwolenników faszyzmu w jego różnych postaciach. Szczególnie zastanawiający był przykład Austrii, gdzie pod rządami Dollfussa i Schuschnigga liczba zwolenników narodowego socjalizmu wzrastała stopniowo aż do połowy ludności, paraliżując wszystkie próby oporu przeciw *Anschluss*'owi. W ciągu 1938 roku wpływy faszystowskie zrobiły ogromne postępy w katolickiej Ameryce Łacińskiej, gdy opinia protestanckich Stanów Zjednoczonych przybrała postawę wroga faszyzmowi. Z różnych posunięć taktycznych propagandy faszystowskiej możemy wnosić, że jej kierownicy uważają katolików za najbardziej podatny grunt dla swej ekspansji.

Zresztą także w Polsce doktryny faszystowskie znalazły najwięcej zwolenników w stronnictwach uchodzących za najbardziej katolickie. W chwili obecnej większa część krajów katolickich znajduje się już pod rządami faszystowskimi, które zapewne nie zaniedbają niczego celem zmuszenia Kościoła do zaniechania oporu lub zawarcia korzystnego dla nich kompromisu.

Dla ewolucji nastrojów bardzo charakterystyczne jest rozwiązanie się lub zamknięcie w 1938 roku ostatnich łóż wolnomularskich istniejących jeszcze w Europie Środkowej. Wpływy ich nie przestawały maleć w ciągu ostatnich 20 lat. Już wielka wojna zerwała stosunki między wolnomularstwem poszczególnych krajów i stosunki te istniały co najwyżej w formie luźnych kontaktów. Nie będąc zatem organizacją międzynarodową w dosłownym znaczeniu, wolnomularstwo reprezentowało jednak wszędzie liberalne tradycje wieku Oświecenia, tradycje Zachodu. W demokracji nowożytnej wolnomularstwo odgrywało rolę mniej powszechnie znanej, ale doniosłej instytucji społecznej. Republiki i demokracje miały zapewnić swym obywatelom „wolność, równość i braterstwo”. Wolność i równość gwarantowały ustawy, braterstwo natomiast nie było oparte o żadną oficjalną instytucję; miało się zrodzić w obyczajach z wolności i równości. Ale braterstwo nie wynika, być może, z samej tylko wolności i równości. W czasach, kiedy istniały potężne rodziny, więzy braterskie zawiązywały się przez koligacje, w czasach salonów — przez koterie, w czasach rewolucyjnych — przez spiski. Demokracja liberalna, zesła z tych starych dróg, miała zapewnić równy start wszystkim, bez względu na ich koligacje i pozycje towarzyskie. Czy start ten nie zaprowadzi jednak do dzikiej walki konkurencyjnej? W społeczeństwie stanowym wszyscy musieli się kontentować sytuacją daną im przez urodzenie. Demokracja liberalna zniosła te granice ekspansji indywidualnej, ale mimo domniemanie równego startu nie dała wszystkim możliwości osiągnięcia zadowalniających wyników. Trudności tej sytuacji łagodziła jedynie nierówność ambicji. Dlatego utrzymanie poczucia solidarności społecznej wymagało uzupełnienia wolności i równości przez braterstwo, i tę stronę współżycia obywateli między sobą usiłowały kształtować loże wolnomularskie. Wchodzący w życie ludzie nowi spotykali w nich starszych, oddzielonych od nich nieraz wielkimi dystansami hierarchicznymi. System liberalny, oparty na konkurencji, był łagodzony w lożach przez braterstwo.

Z tytułu swej roli społecznej wolnomularstwo, nie będąc właściwie organizacją tajną lecz tylko selektywną, korzystało z życzliwości wszystkich *régime*'ów politycznych, powołujących się na solidarność społeczną. Zdawało się więc, że nowa Europa, w której zagadnienie oswojenia pokoleń młodych, rozgorączkonych trudnością konkursu życiowego, nie znajdowało żadnych łatwych rozwiązań, będzie mogła bez trudu przejąć wolnomularstwo w spadku po cofających się wpływach cywilizacji zachodniej.

Ale nowa Europa, odrzucając tradycje parlamentarne Zachodu, nie chciała być ani katolicka, ani liberalno-masońska. Jej ambicje

przypominają wiek XVII, kiedy rzecznicy monarchii absolutnej sądzili, że ludzkość można łatwo oderwać od jej przeszłości i przy pomocy jednorazowej operacji wtłoczyć w zupełnie nowe formy. Ten antyhistoryzm, pogarda dla przeszłości i tradycji łączy dziś komunizm i faszyzm i nadaje swoistą barwę naszym czasom.

Okresy pogardy dla przeszłości i tradycji znały już wieki poprzednie. Nie widziano jednak, aby okresy takie trwały długo. Barbarzyńcy, którzy spalili Rzym, wkrótce potem uczyli się łaciny i podawali za spadkobierców Imperium. Kondotierzy, zdobywszy zuchwale władzę nagą, nieokrytą żadnym prawem, zamawiali portrety u najlepszych artystów, naśladować książąt dziedzicznych. Prawdziwi barbarzyńcy uważają się zwykle za nieszczęśliwych, dopóki nie nauczą się łacińskiej gramatyki. „Po co wymordowaliśmy tylu ludzi i nagromadziliśmy tyle pieniędzy, mówią, jeżeli mamy być tylko ciemnymi barbarzyńcami, pozbawionymi światła łacińskiej gramatyki?”. Sam Dżengis Chan gromadził dzieła sztuki i od rzezi ocalał artystów i rzemieślników. Toteż według tradycji wnuk jego uważał już, że być wykształconym Chińczykiem jest warte więcej niż panowanie nad światem. Wszyscy dorobkiewiczze gromadzą obrazy i każą swych synów uczyć francuskiego. Najniebezpieczniejsi rewolucjoniści po zburzeniu świata uświadamiali sobie potrzebę przejścia po nim spadku kulturalnego. Zjawiska te leżą niejako w porządku natury. Jakikolwiek system polityczny ustalili się w Europie, jego stabilizacja przywróci od razu kontakt z przeszłością i szacunek tradycji.

7

W poprzednich stronicach naszkicowaliśmy kilka dróg, którymi wypadki zdążyły do ich tragicznego nasilenia w roku ubiegłym.

Gwałtowna likwidacja hegemonii anglo-francuskiej, jak się uważny czytelnik już tego zapewne domyślił, przedstawia się w świetle naszych rozważań nie jako wynik niespodzianej przewagi militarnej Niemiec, lecz raczej jako zakończenie procesu dawniejszego, opartego na znacznie ogólniejszych przesłankach. Główną z nich zdaje się być brak u zwycięzców z 1918 idei porządkowej, potrzebnej do rządzenia Europą i zapewnienia jej bezpieczeństwa i dobrobytu.

Ustępujący hegemoniści wersalscy nie przekazali jednak swej władzy nikomu i nie zostawili spodkobierców. Nowi władcy Niemiec i Włoch również nie posiadają żadnej idei porządkowej, na

której w razie zwycięstwa nad demokracjami Zachodu mogliby oprzeć swe rządy nad Europą, lub przy pomocy której — w razie stabilizowania się sytuacji pomonachijskiej — mogliby usiłować zapewnić pokój i dobrobyt tej części Europy, w której posiadli przeważające wpływy. Ich doktryny polityczne nie pretendowały dotąd do roli takiej formuły, bez której nikt nie może przez dłuższy czas sprawować władzy nadrzędnej nad Europą. Nawet bowiem potężne państwo militarne, stawiające sobie za jedyny cel obłożenie haraczem krajów pozostałych, nie może obyć się bez jakiegoś sposobu zapewnienia tym krajom pokoju i dobrobytu, bez którego nie będzie w stanie ściągać z nich żadnego haraczu wartego zachodu.

Rok 1938 nie przyniósł żadnych propozycji, mogących zjednać sobie w Europie większą ilość zwolenników, prowadząc w ten sposób do stabilizacji stosunków. Niegdyś mędrzy wersalscy proponowali *cuire dans leur jus* Rosjan, z którymi nie znaleźli porozumienia. Ich obecni spadkobiercy, przy pomocy wyścigu zbrojeń, zamierzają na razie smażyć w własnym sosie wszystkich Europejczyków mieszkających za linią Maginota. Trudno jednak wyobrazić sobie, aby to było ostatnie słowo wielkich mocarstw.

Żadne interesujące propozycje nie wyszły również ze strony potęg faszystowskich. Przygotowując się do wielkiej próby sił, te ostatnie egzaltują na razie ideologię powszechnej mobilizacji i obozu warownego. Europejczycy nieraz już szukali schronienia w obozach warownych, ale nigdy nie zamierzali dotąd zamykać się w nich na całe życie. Nic zresztą nie wskazuje na to, aby takie miało być ostatnie słowo narodu niemieckiego, posiadającego też niemałe i różnorodne tradycje.

Wypadki 1938 roku nie przyniosły więc żadnych faktów, mogących służyć do nowej oceny demokracji i faszyzmu. Do tej debaty nie przybyły żadne nowe argumenty. Ani bowiem demokracja nie była myślą porządkową obalonej ostatnio hegemonii anglo-francuskiej, ani też zwycięstwa dyplomatyczne mocarstw faszystowskich nie stworzyły warunków zbliżających Europę do pokoju i dobrobytu.

Oddzielnie mówiliśmy o tym, dlaczego zrodzony z wypadków ostatnich 20 lat antyhistoryzm, pogarda dla przeszłości i tradycji europejskiej, jest zjawiskiem przejściowym bez większego znaczenia.

Mówiąc o tradycji, o władzy umarłych nad żywymi, musimy wymienić także skutki hekatombi młodzieży w latach wielkiej wojny.

Kiedy widzimy potężne imperia upadające z braku talentów, władzę nad kontynentami zdobywaną w sławnych zwycięstwach

i oddawaną potem przy piwie, powinniśmy dla zrozumienia tych zjawisk zatrzymać się nad grobami poległych i uświadomić sobie rozmiary spustoszenia dokonanego przez wojnę w obecnych pokoleniach. Ministrowie, zdejmujący dziś cylindry nad grobem nieznanego żołnierza, spełniają gest o głębokim znaczeniu nie tylko publicznym, lecz również prywatnym, ponieważ teki swe zawdzięczają przedwczesnej śmierci bardziej utalentowanych rówieśników. „Dopóki żyją pokolenia pamiętające okopy, twierdzili optymiści, tak długo nie będzie nowej wojny”. Pokolenie wojenne przyszło właśnie do władzy i przygotowuje się aktywnie do wojny, ponieważ nie znalazło recepty pokojowego współżycia dla Europejczyków. Organizacja pokoju przerosła jego siły. Aby być sprawiedliwym, wypada wziąć pod uwagę, że pokolenie wojenne miało na to mniej danych od pokoleń poprzednich. Szczerby zrobione w nim przez wojnę nie były jedynie przypadkowe. Organizacja pokoju wymaga nie tylko przezorności i rozwagi, ale także śmiałości, wyobraźni i wiary w użyteczność ofiar. Tymczasem śmierć wojenna wybierała spośród walczących właśnie najbardziej śmiałych, przedsiębiorczych, ufnych w swe siły i w możliwość dokonania rzeczy trudnych i niebezpiecznych. Ostrożni i nieufni, nie wierzący w powodzenie swych przedsięwzięć i unikający ryzyka, zachowali się lepiej i im przypadł w udziale spadek po bardziej utalentowanych i śmiałych rówieśnikach. Dziś, z okazji przyjscia do władzy pokoleń wojennych, Europa uświadomiła sobie niepowrotność swych strat i obchodzi prawdziwą żałobę polityczną.

(*Ateneum*, lipiec 1939).

KSIĘGOZBIÓR PRZEMYTNIKÓW

Która z książek czytanych podczas wojny zrobiła na mnie największe wrażenie?

Na pytanie najprostsze często trudno znaleźć odpowiedź. Lektura jest dla mnie zjawiskiem złożonym, ciągłym i zmiennym jak samo życie. Podczas wojen i przewrotów losy osobiste jak i lektury czytelnika stają się tylko bardziej zależne od przypadku. Tak było też i ze mną. Podczas wojny przeszedłem — częściowo pieszo — wiele krajów, korzystając po drodze z bibliotek prywatnych i publicznych. W każdym książki były inne, zarówno w treści jak w szacie typograficznej. Z kraju do kraju zmieniał się także gust gromadzących książki, nie licząc różnic powstałych z trzech zasadniczych rodzajów czytelnika. Jedni — kuszeni przez demona wiedzy — czytają systematycznie, zazębiając jedną lekturę o drugą. Inni, czytając — jak Montaigne — dla przyjemności, próbują wszystkiego po trosze. Inni wreszcie kupują wiele sławnych i drogich książek, ale nigdy nie mają czasu ich czytać.

Moje lektury zależały od tego co znajdowałem po drodze. Złożyły się na nie książki bardzo różne: gorzkie jak piołun, złowróżbne, na próżno zwiastujące od wieków zagładę człowieka i jego dzieł, pogodne, lekkie, uciekające daleko od wszelkiego znanego doświadczenia, takie, które się czyta jednym tchem, i takie, które można czytać z przyjemnością tylko po jednej stronie na tydzień. Które z nich są najlepsze, które zostawiają największe wrażenie? Nie umiem na to odpowiedzieć. Wszystkie są niezbędne, każda na swój sposób. Niektóre zawierają niespodzianki, jak osobliwy pierścień na dnie śmietnika. W starym przewodniku po uzdrowiskach normandzkich znalazłem kilka zdań, o których chciałem napisać osobny esej. W książkach klasycznych, na pozór znanych od dawna, spostrzegłem niezwykle stronicę, które ucho-

dziły dotąd mojej uwagi. Które z nich wymienić? Każda przynosi coś nowego i ważnego, a wszystkie razem składają się na tajemnicze i kapryśne życie słowa pisanego, trwające już blisko od stu pokoleń.

Zamiast wymieniać tytuły, między którymi nie potrafię dokonać wyboru, chciałbym napisać o wojennych losach książek i o spotkaniach z nimi wojennego czytelnika.

Zaraz po Bożym Narodzeniu do naszego górskiego szpitala zaczęto zwozić ciężko chorych. Zdawało się, że niepokój czasów w połączeniu z gorzałką rzucił ponury cień nawet na odwiecznie radosne święto narodzin nowego słońca.

Serię otwarło dwóch żołnierzy węgierskich, samobójców, z ranami postrzałowymi czaszki. Po nich przyszli chorzy z poświęconym skrętem kiszek, potem liczne ofiary złamań pochodzących z nieostrożnego rąbania lasu. Brak wolnych miejsc dawał się silnie odczuwać.

W moim pokoju stały trzy łóżka. Spędziłem w nim już dieśnięć tygodni, z których pierwszych trzech nie pamiętam zupełnie. Nad łóżkiem wisiała czarna tablica, na której kredą napisane było moje nazwisko, data wejścia: 28 października 1939 i „dieta nr III”. W praktyce oznaczało to, że nie odżywiano mnie niemal wcale. Mój najbliższy sąsiad zmieniał się często. Jeden tylko wyszedł z łóżka żywy. Nad innymi dr Bergman pochylał się — patrząc nań z tyłu, widziałem jak zamyka oczy, aby lepiej odgadnąć palcami, kiedy ostrze igły przechodzi przez mięśnie, opłucną, opony i mięsień sercowy. Zastrzyk intrakardialny stał się ostatnim sakramentem naszych czasów.

Mimo że dopiero od trzech dni nie miałem gorączki, lekarz zaczął namawiać mnie do chodzenia. Pierwsze próby wypadły źle. Po paru krokach, nie doszedłszy nawet do środka pokoju, wracałem na łóżko bez tchu, mokry od zimnego potu. W arteriach — zamiast pulsacji — czułem tylko niejasne bulgotanie. Pulsus paradoxalis, mówił dr Bergman. Zapalenie płuc zostawiło mi toksyczne porażenie rąk i nóg, których nie czułem wcale, chodząc jak na protezach. Skutkiem odchudzenia lewa nerka obracała się koło swej osi, powodując nieznośny ból, i chodząc musiałem przyciskać ją ręką.

Tymczasem spadł śnieg, który iskrzył się przed oknem.

W dzień św. Sylwestra zdałem wreszcie egzamin z chodzenia. Przeszedłem cały korytarz i po schodach wszedłem na pierwsze piętro. Tam czekał mnie dr Bergman, który niespodzianie zapytał, dokąd teraz zamierzam jechać. Pytanie to uświadomiło mi nagle, że nie ma żadnego miejsca, do którego byłoby mi śpieszno. Po chwili męczącego milczenia odpowiedziałem, że chciałbym wrócić

do przemytników, tj. do wsi, z której lekarz okręgowy przywiózł mnie do szpitala. Dr Bergman pochwalił mój projekt. Dzień wyjazdu ustaliliśmy na 2 stycznia.

Droga wynosiła nie więcej nad 80 km, ale trwała cały dzień, połączona z dwukrotnym przesiadaniem się z autobusu na kolej i z kolei na autobus. Dzień był jasny i mroźny. Dopiero o zmroku stanąłem przed znajomą karczmą, należącą do niemłodego człowieka, który z powierzchownością Prezydenta Krugera łączył nieoficjalny tytuł króla przemytników.

Pokój, który zajmowałem tam przedtem, stał pusty. Przemytnicy nakarmili mnie gulaszem, napoili słodkim *glühwein*'em z białego cienkusza, zawinęli w śpiwór i przykryli górą poduszek i pierzyn. Niski żelazny piecyk rozpalony był do czerwoności.

Spałem nie dłużej nad godzinę. Zbudziły mnie szmery i świsty wychodzące ze wszystkich kątów. Zapaliłem świecę. Woda stojąca obok lichtarza była jednolitym kawałkiem lodu, wysuwającym się nieco powyżej brzegu szklanki. Na południowym stoku Karpatów domy są niemal ażurowe. Szumy i świsty były wiatrem przeciskającym się przez szczeliny w drewnianych ścianach. Mróz szczypał mnie w twarz przez całą bezsenność.

Rankiem przyszedli przemytnicy, rozpalili piec i orzekli, że nie mogą dłużej mieszkać w tym pokoju. Przez całą noc szalał wiatr przy 28° mrozu. Wewnątrz domu temperatura spadła do 20° niżej zera.

Na brzegu Cisy, o niespełna kilometr poniżej karczmy, stał jedyny w tej okolicy dom murowany z czterech pokoi. Za czasów czeskich mieścił się w nim posterunek żandarmerii, potem schronisko turystyczne. Od kilku lat stał opuszczony i posiadał w okolicy bardzo złą sławę jako nawiedzany przez złe duchy. Z nadejściem zmroku nikt nie odważał się doń zbliżyć.

— W jakiej komitywie jest pan z diabłem? — zapytał mnie syn przemytnika.

— W jak najlepszej.

— W takim razie będzie panu tam dobrze.

W najmniejszym pokoju nawiedzanego domu stał wysoki żelazny piec, wstawiony tam niegdyś przez żandarmów. Przemytnicy przynieśli łóżko, szeszląg, wielki rondel do gotowania wody, małą lampkę, butelkę nierektyfikowanej nafty miejscowego pochodzenia i wielki sąg bukowe, pachnącego drzewa.

W tej kryjówce miałem spędzić resztę zimy. W południe szedłem do karczmy na gulasz i biały *glühwein*, o zmroku wracałem do samotnego schronu otoczonego zaspami śniegu. Następnego dnia po moim przyjeździe, wskutek mrozu i zasp, koleje stanęły na całym Zakarpaciu na 35 dni. Wkrótce zbrakło nafty, potem

świec. Samotne wieczory spędzałem w pokoju oświetlonym tylko migotaniem płomienia w niedomykających się drzwiczkach pieca. Mój stan nerwowy był wciąż zły. Po depresji przychodziło głupie rozrzewnienie i łzy. Przytomne zachowanie się wśród ludzi wymagało męczącego wysiłku. W tych okolicznościach mogłem ocenić dyskrecję, takt i życzliwość przemysłowców. W ich zawodzie dobre wychowanie zabrania stawiać pytania i dziwić się jakimkolwiek przygodom. W karczmie widziałem twarze życzliwe i dyskretne. Przypuszczam, że w moim ówczesnym stanie każde inne towarzystwo byłoby mi nieznośnym ciężarem.

W kilka dni po zainstalowaniu mnie w nawiedzonym domu stary przemysłowiec odwiedził mnie na chwilę.

— Pan pewnie całe życie czytał, i teraz smutno panu będzie samemu bez książek. Postaram się znaleźć panu trochę lektury.

Jakoż następnego ranka młody przemysłowiec Andrijko zjawił się, niosąc na plecach worek; postawił go w kącie. Kiedy pokój rozgrzał się zupełnie, rozwiązałem worek i zacząłem wyjmować książki jedną po drugiej. Pierwsze ukazało się dobre wydanie Horacego, potem „Metamorfozy”, potem „Bukoliki” i „Georgiki” Wirgiliusza i paru poetów łacińskich odrodzenia. Dalej szły książki hiszpańskie, przeważnie wydawnictwa z czasów wojny domowej; wśród nich znajdował się jednak też tomik Gracjana „Agudeza y arte de ingenio”. Na dnie worka leżało kilku autorów angielskich z czasów romantyzmu: Southey, Coleridge, kilka tomów Waltera Scotta, „Pride and Prejudice” i wreszcie, w oprawie innego pochodzenia, nieco zniszczony egzemplarz „Fairy Queen” Spensera.

Miałem więc na całą zimę najlepszego rodzaju lekturę.

Skąd powstał dziwny lecz surowy wybór tych książek i jakimi drogami trafiły do leśnej kryjówki przemysłowców?

Łatwo odgadnąć, że byle jaka książka nie trafi w głąb gór. Mało kto bierze ze sobą książki, wybierając się w długą drogę pieszo z workiem na plecach. Robi to chyba uparty czytelnik, który po latach lektury posiada w swej bibliotece najlepsze, wielokrotnie przesiane książki. Ale i ten nie bierze w drogę książki pierwszej z brzegu.

Historię książek poznałem nieco później, urywkami, ponieważ i mnie nie wypadało zadawać zbyt wielu pytań.

Książki łacińskie pochodziły z niewielkiego tartaku leżącego trochę niżej na Cisie. W czasie wojen i przewrotów, jakie nawiedziły kraj w roku 1938, ukrywał się tam pod pozorami robotnika jakiś filolog, który w wolnych chwilach — zapewne chowając się w lesie — pokrył marginesy klasyków znakami i uwagami. Pewnego dnia znikł, tak samo tajemniczo jak przyszedł, zostawia-

jąc swe nieliczne bagaże. Był małomówny i unikał towarzystwa; nikt też nie wiedział kim był i skąd pochodził.

— Musiał bardzo lubić książki, kiedy je przyniósł aż tutaj — mówili przemytnicy. — Pewnie się kiedyś po nie zgłosi.

Druki hiszpańskie, by trafić do samotnej karczmy, wybrały sobie inną drogę.

Po zakończeniu wojny domowej w Hiszpanii, lasami i górami przedzierali się na wschód — zapewne do Związku Sowieckiego — dwaj podróżni. Nie wiem, czy dobrą wybrali drogę, bo z lasów tych do granicy sowieckiej było jeszcze daleko. Aby do niej dotrzeć, musieli bądź przejść część Galicji Wschodniej, narażając się na spotkanie z K.O.P.em, bądź też musieli szukać drogi przez Bukowinę i Besarabię, gdzie czekała ich rumuńska Siguranza. Spotkanie z sowiecką strażą graniczną też nie wróżyło im niczego dobrego. Kto wie, gdzie i jaki los dopędził ich w drodze?

W górach napadli ich bandyci. Na miejscu napadu pozostała w lesie skórzana torba, zawierająca niepotrzebne bandytom przybory toaletowe i kilka hiszpańskich książek. Torba leżała w lesie kilka dni. Widocznie jednak podróżnym śpieszniej było do granicy niż do zgubionych bagaży.

— Kto wie czy się im w Rosji podoba, bo różnie o tym mówią? Może będą wracali tą samą drogą? Na wszelki wypadek schowajmy ich torbę — powiedzieli przemytnicy.

Historia książek angielskich była bardziej zawiła. Pewien arystokrata włoski z okolic Triestu — w latach kiedy Włosi odkryli Węgry — zapragnął polować w Karpatach na niedźwiedzie i rysie. Młody, widocznie równie bogaty jak stroniący od utartych dróg, dotarł aż do źródeł Cisy i w ostatnim osiedlu przed puszczą kupił od razu niewielki domek, który umeblował według własnego gustu. W jego licznych bagażach znajdowała się skrzynka szampana, skrzynka cygar i 50 talii kart zupełnie nowych. Młody człowiek posiadał najwidoczniej też pewną słabość do książek, bo na dnie deszczowe przywiózł był także małą bibliotekę. Po paru tygodniach obcy myśliwy sprzykrzył sobie Karpaty, bo wyjechał i nie wrócił, zatrzymując jednak swój dom.

W okresie wojen i przewrotów bawili w nim niemieccy awanturnicy. Pili szampana, palili cygara i grali kartami włoskiego arystokraty, nie zwracając uwagi na książki. Potem dom przechodził zmienne i burzliwe koleje. W ostatnich czasach mieszkał w nim znany w całej okolicy zuchwały agent Gestapo. Część umeblowania znikła. Jeden z przypadkowych mieszkańców tego domu, opuszczając go widocznie z częścią ruchomego dobytku, zostawił w przydrożnej karczmie paczkę angielskich książek.

— Nikt nie kupuje domu, aby doń nigdy nie wrócić —

orzekli przemytnci. — Włoski ksiązę tu jeszcze wróci i być może, będzie rad, że prócz nagich ścian zostało mu także kilka książek.

Mylili się w tych przewidywaniach przemytnci. Kto w czas wojenny z domu wychodzi, rzadko wraca. Włoski myśliwy porzucił nie tylko swą chatę w Karpatach, ale i swój palazzo w Dalmacji. Słyszałem później, że podczas wojny bawił jako emigrant w Tessynie. Zresztą podobny los spotkał też samych przemytncików.

Tylko „Fairy Queen” nie należała więcej do nikogo. Przyniósł ją turysta, który nocował w pobliskiej leśniczówce i z rana wyszedł w góry, zostawiając swą książkę. Zwłoki jego, poszarpane zimą przez wilki, znaleziono dopiero następnego roku. Czasy były już niepewne, i nikt z rodziny nie zgłosił się na miejsce jego zniknięcia.

Podczas wojen i przewrotów czytelnik zostawia w domu całą bibliotekę. Ulubioną książkę bierze w drogę do worka, ale i tę musi wkrótce porzucić w przydrożnej karczmie lub w lesie na rozstaju. Księgozbiór przemytncików był żywym świadectwem tego procesu i przestrogą. Czytelnik wojenny musi liczyć przede wszystkim na swą pamięć. W końcu drogi zostanie mu tylko to co wyniesie w pamięci.

W chwilach, kiedy jest najpilniej potrzebna, pamięć staje się niestety nicą wątłą i kruchą. Pośród wielkich przewrotów całe pokolenia tracą nagle pamięć i stoją w osłupieniu, pozbawione przeszłości i nie znajdujące drogi naprzód.

W ciągu miesięcy spędzonych w kryjówce przemytncików zagadnienie pamięci było dla mnie źródłem nieustannego cierpienia. Wskutek choroby i osłabienia w pamięci mojej powstały ogromne luki. Z ukrycia nie mogłem do nikogo pisać, bo nie pamiętałem żadnych adresów. Z pamięci znikły mi np. wszystkie nazwy lekarstw. Z sulfonamidów, z którymi miałem dużo do czynienia bezpośrednio przed wojną i którymi karmiono mnie bezskutecznie w szpitalu, nie mogłem sobie przypomnieć ani jednej formuły, a o całej grupie wiedziałem tylko tyle, że nazwa jej zaczyna się od litery s. W ciemnym pokoju robiłem inwentarz tego co mi jeszcze zostało z przeszłości. Inwentarz ten był przerażająco ubogi. Najlepiej zachowały się wspomnienia muzyki, które ukazywały się nagle zupełnie wyraźne, w całym blasku instrumentów.

W tym stanie przez pół godziny nie śmiałem otworzyć „Carminów” Horacego. Czy pamiętam jeszcze łacinę? Czy książka ta nie będzie tylko szyderstwem z mego kalectwa?

Cały ten okres lektury był próbą odnalezienia mojej własnej przeszłości, przeciskaniem się po omacku przez zawalone gruzami

przejęcia. Chcąc dziś krytycznie spojrzeć na ówczesne lektury, musiałbym przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: co z nich jeszcze pamiętam, co mi z nich dotąd zostało?

Najdłużej i najuważniej czytałem „Bukoliki” i „Georgiki”. Obie książki znałem dobrze już przedtem. Zastanawiała mnie ich budowa formalna i żywotność, o czym świadczy nieskończona seria naśladownictw i reminiscencji idących niemal aż do naszych czasów.

Dopiero w kryjówce przemytników uderzyła mnie zawartość realistyczna i psychologiczna „Bukolik”. Wygnaniec opuszczający swój kraj zaczyna instynktownie czepiać się ziemi, chłonać ją oczami, jak gdyby chciał ją całą przechować w pamięci. Nie ma na niej już więcej nic do zrobienia, żadna myśl pragmatyczna nie mąci intensywności jego kontemplacji. Ta postawa jest sekretem Wirgiliusza i źródłem nieustannej aktualności „Bukolik”.

Lektura ta nie pozostała bez wpływu na moje dalsze plany.

Do końca 1939 opierałem się myśli wyjazdu na emigrację. Granicę przeszedłem dla uniknięcia kontaktu z okupującymi Kraj z dwóch stron armiami, z postanowieniem powrotu do Kraju po wyjaśnieniu się z gruba sytuacji. Dla tej przyczyny zostałem sam jeden w pasie granicznym. Na emigrację patrzyłem znacznie trzeźwiej od moich towarzyszy niedoli. Urodzony na dalekich kresach, już w Polsce byłem do pewnego stopnia emigrantem. Znałem blisko wielu emigrantów z różnych krajów i z wczesnej młodości pamiętałem nawet emigrację polską z lat 1904-1905. Miałem więc dokładne pojęcie o niedoli i bezsilności emigrantów. Wiedziałem także, że od czasów Saint-Evremonda i kawalera de Grammont, którzy opuścili Francję nie mogąc znieść złego smaku Ludwika XIV, emigranci — prócz nielicznych wyjątków — nigdy nie wracali. Nadto, mieszkając przedtem przez kilkanaście lat na Zachodzie, byłem przekonany, że nowa emigracja polska — w odróżnieniu od emigracji z roku 1831 — nie znajdzie tam żadnego oparcia politycznego czy moralnego. Jadąc ze szpitala na wieś, chciałem tylko wrócić do sił, aby wiosną przejść góry w kierunku północnym.

Wiadomości przenikające z Kraju obróciły wniwecz te plany. W ówczesnym stanie zdrowia obawiałem się że w Kraju będę ciężarem dla przyjaciół, którzy by mnie ukrywali. Same wypadki kierowały mnie na ślepy tor emigracji. W ówczesnym stanie sceptycyzmu nie spodziewałem się tam niczego użytecznego dokonać. Losowi mogłem się opierać tylko starając się wszędzie być sobą.

Jadąc na Zachód, miałem świadomość, że widzę po raz ostatni skrawek Europy Wschodniej, która od ćwierć wieku kurczyła się pod moimi stopami. Z dostępnej jeszcze części tego obszaru

chciałem wynieść dokładny, wirgiliański obraz. W tym celu z kryjówki przemytników zamierzałem wyjść z nadejściem wiosny pie szo, idąc od wsi do wsi, zawsze bocznymi drogami. W drodze miałem rozmawiać o miejscowych obyczajach i starożytnościach, jak gdybym tylko w tym celu tam przyszedł. Z doświadczenia wiedziałem już, że taki sposób bycia zjednuje wszędzie przyjaciół i oddala podejrzenia. Licząc, że Europa Wschodnia nie zostanie okupowana przed żniwami, spodziewałem się przejść granicę włoską przed tym terminem.

Dla różnych przyczyn plan ten udało mi się wykonać tylko częściowo; po drodze zebrałem materiały do dłuższego eseju wirgiliańskiego, który spodziewam się kiedyś wykończyć i ogłosić.

Z innych książek czytanych w leśnej kryjówce pamiętam jedynie fragmenty.

W „Fairy Queen” zwróciło moją uwagę nowe oblicze rycerza czerwonego krzyża. Czytając wiele lat przedtem ten piękny wiersz barokowy, nie dostrzegłem, że rycerz bez broni jest nie tylko wyniosły i posępny, ale także gniewny i groźny. „*Yet nothing did he dread, but ever was ydread*” — brzmią ostatnie słowa fragmentu. Każdego zdjąłby pusty śmiech, gdyby ktoś wyraził się w ten sposób o urzędnikach dzisiejszych Czerwonych Krzyżów, nie mówiąc już o panach z U.N.R.R.A. i I.R.O., niesławnych bękartach spenserowskiego rycerza.

Okrucieństwo i barbarzyństwo nie spotkało się w naszym pokoleniu z żadnym odruchem gniewu. Wiadomości o egzekucjach i torturach przyjmowano — zwłaszcza na Zachodzie — bądź z niedowierzaniem, bądź też ze spokojnym obiektywizmem, jaki wypada zachować wobec zjawisk natury. Wielu uważa obozy i tortury za nowy sposób bycia, dziś już powszechnie przyjęty i nawet nieunikniony.

Czytelnikowi wędrownemu, niosącemu książki tylko w swej pamięci, musi szczególnie odpowiadać poezja gnomiczna, forma znana dobrze starożytności, dziś zaniechana, nieznaną. Poeci łacińscy odrodzenia i baroku uprawiali ją jeszcze z powodzeniem i mogą dostarczyć jej pięknych wzorów. Z lektur w kryjówce przemytników został mi w pamięci następujący dwuwiersz na Tyber:

*Disce hinc quid possit fortuna: immota labescunt
Et quae perpetuo sunt fluitura, manent.*

W czasach odrodzenia Tyber płynął wśród ruin, które częściowo zachowały się dotąd, częściowo zaś znikły pod dzielnicami wzniesionymi w czasach późniejszych. W gruzy upadły po kolei

budowie z czasów republiki i cesarstwa, z czasów powrotu Bizantyńczyków i z różnych okresów wieków średnich. Patrząc na nie poeta spostrzega, że jedyną rzeczą stałą i niezmienną jest płynąca wśród ruin rzeka. „Patrz, — mówi — co może los: nieruchomości rozsypują się w proch, rzeczy zaś przeznaczone do wiecznej płynności pozostają”.

Kiedy zimą 1940 przeczytałem ten dwuwiersz, przysłała mi na myśl Warszawa, gdzie tylko Wisła, być może, pozostała ta sama. Dziś można powiedzieć to samo o tylu innych miastach Europy.

Im dłużej powtarzałem ten wiersz w ciemnej kryjówce, tym jaśniej widziałem jego piękną formę: szeroki gest wstępu, podnoszącego zasłonę i odkrywającego widok na majestatyczne ruiny pod wysokim niebem Kampanii, potem szept pentametru, nasładowującego szmer Tybru w jego glinianych brzegach. Gdybym był poetą władającym magiczną potęgą słowa, pisałbym poezje gnomiczne. Gdybym był próżny, chciałbym przejść do historii jako autor takiego dwuwiersza.

W tym spotkaniu z książkami był pewien element magiczny, coś ze stołu, który na życzenie sam się nakrywa gotowymi potrawami, coś z dywanu, na którym w miarę ochoty można przemieścić się w dalekie strony. Element ten nie uszedł mojej uwagi, i w zimowej kryjówce miałem czas się nad nim zastanowić.

Latający dywan jest w istocie tylko literacką metaforą opisującą zjawisko znane skądinąd. Każdy prawdziwy podróżnik posiada swój latający dywan. Nie zatrzymują go trudności podróży, granice, fronty, linie demarkacyjne, wizy, przepustki, wielkie przestrzenie i inne przeszkody. Kiedy widzimy go chudego, szerniałego, ze stopami zdeformowanymi przez tysiące kilometrów marszu, milczącego uparcie, zamroczonego natłokiem zmiennych krajobrazów, rozumiemy, że trudności podróży są tylko ceną jego namiętności.

Latający dywan wykracza poza porządek natury wówczas, kiedy trafia do rąk niepowołanych, tj. do osób nie odczuwających żadnego przymusu podróżowania i które zadowolają się dwoma lub trzema podróżami na latającym dywanie, po czym żenią się i pędzą szczęśliwe życie ludzi osiadłych.

Na Bliskim Wschodzie znana jest formuła, która w lewan-tyńskiej francuszczyźnie brzmi: „*Qui mange du caviar noir, Dieu lui donne toujours un peu de caviar noir*”. „Kto odżywia się kawio-rem, temu Bóg zsyła zawsze trochę kawioru”.

Jakimi zawiłymi drogami tytoń i machorka docierają wszędzie, gdzie się znajdują palacze? Tak samo książki czekają wszędzie na nadejście czytelnika. W miejscach, gdzie na pozór trudno na-

wet o chleb i wino, w leśnych kryjówkach, na karczunkach, u flisaków i marynarzy, wszędzie leżą ukryte książki czekające swego czytelnika. Im wybredniejszy jest jego gust, im większe wymagania, tym rzadsza i piękniejsza czeka go lektura. Wystarczy mu tylko być zawsze sobą, upierać się hardo przy swych wymaganiach, nie kapitulować pod żadnym pozorem, być jak ów lewentyński zjadacz kawioru, żądający z uporem od swego boga ulubionej zakąski.

Ostatniego dnia przed wyjściem z gór odniosłem worek z książkami do karczmy przemytników. O ile wiem, karczma ta była potem wielokrotnie rabowana, mieszkańcy zaś jej bądź zginęli śmiercią gwałtowną, bądź też zostali rozproszeni po świecie. Kto wie jaki był los książek? Rabujący karczmę żołnierze i bandyci szukali przede wszystkim wódki i machorki, mało zapewne interesując się książkami. Być może, w ruinach karczmy oczekują dotąd swego czytelnika. Temu, kto je znajdzie i przeczyta, nieznanemu amatorowi Wirgiliusza i poetów łacińskich odrodzenia — salutem.

Wiadomości Nr 111, 16 maja 1948.

DZIENNIKI PODRÓŻY

DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

13 listopada 1945

Innsbruck. Miasto stosunkowo mało zniszczone. Mniej więcej jeden na 10-12 domów zburzony przez bomby wybuchowe, rozrzucone równomiernie na cały obszar miejski.

Większe szkody przyniosło zubożenie i dezorganizacja życia przez wojnę. Gruzy uprzątnięto jeszcze w czasach gorączki hitlerowskiej, ale ocalałe domy stoją smutne i zaniedbane. Część okien zaszalowano deskami, wstawiając w nie pośrodku niewielką szybę w drewnianej ramie. Rodzaj rembrandtowskiego półmroku zaściela ubogie wnętrza. Mimo nadchodzącej zimy nie widać, aby naprawiano lub odnawiano uszkodzone domy.

Prócz składów spożywczych, sprzedających towary racjonowane pochodzenia amerykańskiego, wszystkie witryny zabite deskami.

Innsbruck był niegdyś ośrodkiem katolickiego ruchu politycznego, z którego wyszli ks. Seipel, Dollfuss i Schuschnigg. Po samorzutnym rozwiązaniu w Rzeszy katolickiego Centrum w roku 1933, ruch ten słaby tylko opór stawiał hitleryzmowi. Dopiero pierwsze klęski niemieckie obudziły w Tyrolu rodzaj biernego oporu, zwłaszcza na wsi. Niejeden z przekradających się na Zachód Polaków znalazł przytułek i pomoc u chłopów tyrolskich.

Już pierwszy kontakt z miastem wskazuje, jak mało zostało dziś z dawnego podziału obszaru germańskiego na kraje posiadające odrębne dialekty, tradycje historyczne, kulturalne i państwowe. Na próżno pytam przechodniów o jedną z bocznych, lecz znanych ulic, gdzie mam się zgłosić do znajomych. Nikt jej nie zna. W ustach przechodniów słyszę akcent wiedeński, saski, berliński, nawet hanowerski, trafiam na Słowaków, Jugosłowian, Ukraiń-

ców, Polaków. Wszyscy są tu obcy. Wreszcie pewien uczynny wędrowiec objaśnia, że o informacje należy się zwracać do kiosków z gazetami, bo tylko ich właściciele pochodzą z miejscowej ludności.

Wojna wywołała w Niemczech ogromne przemieszczenie ludności. W Innsbrucku ludność napływowa dzieli się dziś na trzy grupy. Są to bądź tzw. *Bombenfrischler*, Niemcy zamożniejsi, przybyli podczas wojny z bombardowanych miast Rzeszy, bądź jeńcy i robotnicy, przywiezieni przymusowo z różnych krajów Europy Wschodniej, bądź wreszcie napływający wciąż nowi uchodźcy z zony sowieckiej. Przyjście wojsk angielskich i amerykańskich wywołało tu przewrót społeczny. Cudzoziemcy, zamknięci w obozach i barakach i stojący na samym dnie drabiny społecznej, wyszli na miasto i zajęli mieszkania, opuszczone przez ukrywających się członków partii n.-s. Wille i zbyt wysokie apartamenty miejskie zarekwirowały wojska okupacyjne, cudzoziemcy zajęli mieszkania skromniejsze. Obecnie przypada w nich mniej więcej jedna rodzina na pokój.

Władze okupacyjne ulegalizowały stan rzeczy powstały z przewrotu. Jeńcy, deportowani i uchodźcy, mieszkający w obozach, przeszli na utrzymanie UNRRA. Mieszkający prywatnie dostali przydział kartek żywnościowych i zatrzymali mieszkania.

Od przyjścia wojsk anglo-amerykańskich liczba obcych zmniejszyła się wydatnie. Większość wyjechała do krajów swego pochodzenia. Zostali jedynie właściwi emigranci, którzy do kraju wrócić nie chcą lub nie mogą: Polacy, Ukraińcy, Bałtowie, Jugosłowianie, Słowacy i mniejsze grupy z innych krajów zony sowieckiej. Emigracja ta uległa pewnej stabilizacji: na miejsce wyjeżdżających przyjeżdżają z zony sowieckiej nowi uchodźcy.

Sytuacja emigrantów zbliża się powoli do groźnego kryzysu.

W 1945 roku żołnierze z całego świata przybyli do Niemiec w celu obalenia potwornego imperium Hitlera i wyzwolenia jego ofiar. Odkrycie obozów w Belsen-Bergen i Mauthausen wstrząsnęło sumieniem świata. W pierwszych dniach władze okupacyjne nie szczędziły starań i środków dla przyjścia z pomocą internowanym i deportowanym.

Ten okres romantycznych uczuć i pojęć trwał niedługo i leży już za nami. Wyzwolone ofiary hitleryzmu stały się w krótkim czasie dla okupantów ciężarem politycznym i źródłem nieskończonych kłopotów. Znaczna część ich nie chce wracać do krajów pochodzenia, bo brak tam pokoju i wolności. Żydzi chcą jechać tylko do Palestyny. Nie pomaga na to ani perswazja i obietnice, ani przymus i terror. W Niemczech i Austrii znajduje się wciąż koło miliona emigrantów, uchylających się od dobrowolnego czy

przymusowego powrotu, ukrywających się częściowo przed władzami, krnąbrnych, gotowych nawet do stawiania oporu. Obecność ich jest oczywistym dowodem, że pokoju nie ma, krępującym faktem, przypominającym wciąż, że pokój, a może i wojna, zostały przez Aliantów zachodnich przegrane.

Entuzjazm do wyzwalań znikł, i miejsce jego u władz okupacyjnych zajęło zniechęcenie i niecierpliwość. Myśmy ich wyzwolili, a oni nam robią tyle kłopotu. Skutki tej zmiany nastrojów są widoczne. Utrzymanie w obozach UNRRA jest coraz skąpsze, niedostateczne, szkorbutowe. Nowi uchodźcy nie znajdują nigdzie przytułku. Stosunek Aliantów i naczelnych władz okupacyjnych do emigrantów jest dziś podszyty nieujawnionymi życzeniami na głę i niespodziewanej śmierci.

W Austrii emigranci liczyć się muszą też z tworzącą się administracją austriacką, która w jakimś — być może niedługim — czasie zastąpić ma administrację wojskową okupantów.

Próbuję rozmawiać na te tematy z miejscowymi emigrantami. „Władze okupacyjne odejdą, mówię, Austria zostanie. Czy nie wypadałoby nawiązać kontaktu z administracją lokalną, pomówić o udziale emigrantów w odbudowie kraju i o prawie do pracy?”

Moi rozmówcy są bardzo sceptyczni.

— Nasamprzód — powiadają — po tym, cośmy od nich wycierpieli, nikt z emigrantów nie będzie chciał pracować u Niemców. Całe prawie Gestapo i znaczna część SS składały się z Austriaków. W kraju, czy w Niemczech, oni właśnie najwięcej nam się dali we znaki. Dziś wszyscy są już tu. Niech pan uważa na ulicy, jak oni patrzą na pana swymi gestapowskimi oczami. Iść do nich pracować, byłoby powrotem do tego, co było przed kapitulacją Niemiec, i na to nikt się nie zgodzi. Zresztą emigranci odwykli od pracy, i demoralizacja wśród nich jest niemała.

Nie lepiej przedstawia się sprawa ze strony austriackiej. Budzący się do życia kraj chciałby przede wszystkim strącić zbudowaną na jego plecach wieżę Babel z obcych, przywiezionych tu przez nazich. Każde stronnictwo posiada własne uzasadnienie ksenofobii. Komuniści widzą w emigrantach jedynie faszystów, protestujących samym swym istnieniem przeciw *Neuordnung* sowieckiemu. Katolickie stronnictwo ludowe, obejmujące dziś wszystkich dawnych „narodowców” i antysemitów, obciążone jest wiekową tradycją ksenofobii. Socjaldemokratom wreszcie masa emigrantów stawia nierozwiązalne w ich pojęciach zagadnienia pracy i organizacji.

Ksenofobii sprzyja też dwutorowość władzy. Okupanci chcieliby przerzucić na władze austriackie część odpowiedzialności i głębokiego niezadowolenia mieszkańców. Obciążone odpowiedzial-

nością, lecz pozbawione wolności działania, władze austriackie muszą chętnie widzieć, jak niezadowolona ludność szuka innych kosztów ofiarnych i widzi źródło swych nieszczęść w cudzoziemcach. Powstała niegdyś w tych samych celach formułę hitlerowską *Juden raus!* zastąpiła dziś formuła *Ausländer raus!*

Można więc dziś już przewidzieć, jaka rola przypadnie władzom austriackim i niemieckim w zapowiadanej tyle razy przez okupantów wielkiej likwidacji emigracji wschodniej. Odium wypędzenia z mieszkań i odebrania kartek żywnościowych wezmą na siebie władze lokalne.

Epoka Belsen-Bergen trwa. Nie widać końca poniewierki uchodźców i emigrantów.

14 listopada

Pierwszy kontakt z francuskimi władzami okupacyjnymi. Oficerowie armii kolonialnej, FFI, zmobilizowani urzędnicy i studenci, setki starych automobilów różnego pochodzenia. Zbudowanie z tego tworzywa administracji okupacyjnej dla Tyrolu nosi cechy genialnej niemal improwizacji, dającej wysokie pojęcie o zdolnościach francuskich oficerów sztabowych. Uderza ilość osób, mających doświadczenie w sprawach rosyjskich.

Powoli uświadamiam sobie niepewność i niejasność położenia Francuzów w Tyrolu. Dzielą oni odpowiedzialność za okupację, nie mając głosu w decyzjach, od których zależy przyszłość i powodzenie tego przedsięwzięcia.

Niejasność i zależność zaczyna się zaraz przy kwestii aprowizacji. Głodna Francja nie może aprowidować swej armii, ani tym mniej ludności krajów okupowanych. Władze okupacyjne francuskie zależą zatem od aprowizacji amerykańskiej. Do rozmiaru tej ostatniej muszą być dostosowane wielkości garnizonów. Od niej zależna jest w znacznej mierze postawa ludności. Sprawa przydziału żywności amerykańskiej dla ludności Austrii jest dziś jako tako uregulowana, przez pewien czas jednak armia francuska utrzymywała się z rekwizycji, co nie pozostało bez wpływu na jej stosunki z ludnością miejscową. W tej sytuacji władze okupacyjne francuskie nie mają wolnej ręki, i każda próba samodzielności politycznej z ich strony może być udaremniiona przez intendurę amerykańską.

Zależność i niepewność ich sytuacji będzie jeszcze oczywistsza, kiedy weźmiemy pod uwagę całość sytuacji na kontynencie. Po-

dział Niemiec i Austrii na zony wpływów, polityka ogólna Aliantów w stosunku do Niemiec i Austrii — wszystko to są zagadnienia zależne od wzajemnych stosunków między Anglią, Stanami i Rosją i rozstrzygane przez Wielką Trójkę. W decyzjach tych Francja nie ma głosu. Wszystko więc co Francuzi robią i myślą w Tyrolu i okupowanej przez nich części Niemiec, nie ma właściwie znaczenia ani wpływu na rozwój wypadków w tej części Europy. Dlatego Francuzi nudzą się bardzo w Austrii. Wielu z nich sądzi, że w tych warunkach udział Francji w okupacji Austrii jest przedsięwzięciem na wyrost, przekraczającym rzeczywiste siły i możliwości Francji.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji Francuzi wpatrzeni są przede wszystkim w to, co się dzieje w zonie sowieckiej i w siły, jakie zgromadziła tam armia czerwona. W październiku siły sowieckie, stojące dokoła Wiednia i na Węgrzech, oceniano na 1.600.000 żołnierzy. Sygnalizowane są wciąż nowe jednostki, wyekwipowane do wojny zimowej. Przyjezdni z Pragi widzieli po drodze większe jednostki sowieckie, obozujące w lesie. Takie natężenia koncentracji poprzedzają zazwyczaj ofensywy generalne.

W jakim kierunku pójdzie przypuszczalne uderzenie tych sił? *Croyez-vous qu'ils vont venir ici?* — pyta mnie jeden ze znajomych.

W razie przekroczenia przez siły sowieckie linii demarkacyjnej, najbardziej sensownym wyjściem wydaje się szybka decyzja ewakuacji Austrii, maksymalne wykorzystanie taboru samochodowego, zanim masy uchodźców zatarasują szosy, idące na Zachód. Innych alternatyw nie widać. Armia amerykańska znajduje się w stanie samoczynnej demobilizacji. Kto wie, jak zachowają się żołnierze angielscy? Polityka oportunistyczna, praktykowana przez rządy brytyjskie, która zdezorientowała opinię publiczną w samej Anglii, musiała zmniejszyć silnie zdolność bojową wojska. Żołnierze nie bronią więcej swego kraju, lecz stoją w krajach obcych na tymczasowych liniach demarkacyjnych, które dyplomaci w każdej chwili gotowi są przesunąć dalej na Zachód dla utrzymania pokoju za wszelką cenę. Kto chciałby ryzykować życie w obronie jednej z tych fantazyjnych linii, ustalonych w tajnych rokowaniach, nie wiedząc, o co właściwie chodzi? Stają mi przed oczami analogie z losami francuskich i angielskich korpusów ekspedycyjnych w Rosji w 1918-1919.

Napięcie, wywołane przez koncentrację sił sowieckich na linii demarkacyjnej, daje się silnie odczuwać w Tyrolu. Wszyscy pytają, czym się to skończy. Czy Sowietom odstąpiona będzie znów część Niemiec? Czy rząd moskiewski zadowolni się ustępstwami na innych terenach, w Korei, w Mandżurii, w Iranie, w Turcji?

Czy przyjdzie przy tym do operacji wojskowych, czy też jakaś nowa konferencja w Jalcie czy Poczdamie ustali warunki jeszcze jednej kapitulacji Anglii i Stanów Zjednoczonych?

15 listopada

W księgarni uniwersyteckiej Wagnera. Puste półki. Część ich zajmuje wypożyczalnia książek, mocno zniszczonych już w nieustannym obrocie. Na stole leżą rozprawy uniwersyteckie sprzed 50-60 lat, które wydawca sprzedaje ze starych zapasów. Normalne zjawiska inflacyjne, znane w Austrii i Niemczech z lat 1917-1924. Wobec dewaluacji pieniądza, wydawcy nie są zainteresowani w sprzedaży książek i starają się je przetrzymać do okresu stabilizacji monety.

Rozmawiam z zarządzającym księgarni, proponując mu różne transakcje. Chciałbym przejrzeć ostatnie publikacje, dotyczące Tyrolu. Z magazynu przynoszą mi kilkanaście książek i broszur, ogłoszonych w ostatnich latach wojny. Jakakolwiek ich treść — czy dotyczą starożytności tyrolskich, czy potrzeb przemysłu — wszystkie prawie zaczynają się od portretu Hitlera i Seyss-Inquarta.

— *Das ist das Zeitbedingte* — objaśnia księgarz.

Bez tych błazeństw piszą tylko autentyczni członkowie partii n.-s., którzy nie mają potrzeby zabiegać w ten sposób o względy swych władz przełożonych. Kupuję dwie książki. Księgarz nie przyjmuje proponowanej zapłaty w dolarach, mówiąc, że na razie może się bez tego obejść.

Uniwersytet. W przedsiönku ruch jak w ulu. Wielu studentów cudzoziemców. Dowiaduję się, że ma być wśród nich stukilkudziesięciu Polaków i tuluż Ukraińców. Rektorat ogłasza, że z powodu braku miejsca nie przyjmuje zapisów na wydział lekarski. Wolne właściwie są tylko studia humanistyczne. Zapewne istnieje już i kwestia *numerus clausus* dla obcych. Wszystko więc jak przed wojną. Przypomina się mi formuła W. Szulgina po podróży do Rosji w 1928: „wszystko jak przedtem, tylko trochę gorsze”.

Odwiedzam dwu profesorów. Pierwszy jest starym tytulariuszem katedry, który przetrwał tu całą wojnę i — mimo młodego wieku — prześliznął się przez wszystkie mobilizacje i *Auskämmungen*. Dom jego zburzyła bomba lotnicza, książki i zbiory zostały zniszczone. Mieszka w wynajętym pokoju za miastem. Nauoczony doświadczeniem mówi zręcznie i ostrożnie, trzymając się ogólników. Rozmowa bez żadnej przyjemności.

Drugi jest pochodzenia powojennego. Z tym rozmowa jest

znacznie żywsza. Dowiaduję się o losach różnych uczonych i pisarzy. W bibliotece seminaryjnej przeglądam kilka książek. I jego nie opuszcza jednak ani na chwilę świadomość niepewności i potrzeba wytężonej uwagi w rozpoznaniu możliwego niebezpieczeństwa.

Ocalałej z potopu inteligencji uniwersyteckiej trzeba przede wszystkim ogrzewanych mieszkań, dostatecznego odżywiania się i wolnego czasu, niezbędnego dla wylizania się z przebytych upokorzeń i zebrania rozgromionych myśli. Bez tych warunków nie ma żadnej pracy umysłowej, żadnej nawet systematycznej lektury. Dla zapewnienia sobie tych najniezbędniejszych warunków inteligencja — tak dawniej, jak i dziś — gotowa jest do wszystkich kompromisów. Ale z kompromisu w kompromis zepchnięta została wreszcie na wąski i ciasny przesmyk, gdzie brak już czasu i miejsca nie tylko dla pracy umysłowej, ale nawet dla jakiegokolwiek wartej zachodu egzystencji.

Zdawało się, że ponowne otwarcie uniwersytetów w Niemczech poprzedzi jakaś publiczna dyskusja i wyjaśnienie celu i planu studiów wyższych. Wszystkie bowiem wywrotowe i antyhumanitarne prądy naszych czasów, narodowy socjalizm, faszyzm, komunizm czekistowski, wyszły nie spośród robotników i chłopów, ale z uniwersytetów. Sam Heinrich Himmler i Reinhardt Heydrich bywali w szkołach wyższych, nie mówiąc już o „naszym” gubernatorze Franku, prezesie Akademii prawa niemieckiego i doktorze h.c. uniwersytetów krajowych i zagranicznych. Zanim otwierając znów tę fabrykę, wypadłoby zastanowić się przez chwilę. Tyle zakładów przemysłowych niemieckich, produkujących np. niewinne wagony kolejowe, stoi zamkniętych, ponieważ zwycięzcy nie są pewni, czy otwarcie ich nie grozi bezpieczeństwu świata. Szkołom wyższym nie poświęcono tyle uwagi. Stare uniwersytety otwierają się w całych Niemczech na mocy decyzji miejscowych komendantów okupacyjnych. Wszędzie zapisują się do nich tysiące młodych ludzi, aby stworzyć nowe szeregi dyplomowanych, gotowych pisać książki do portretów przyszłych Seyss-Inquartów.

Fakt, że tak ważna na pozór sprawa poszła na tak niepewne drogi, wynika z kryzysu, jaki przechodzi inteligencja zwycięskich mocarstw. Gdyby nawet rządzący w Niemczech generałowie chcieli powołać komisję rzeczoznawców dla spraw uniwersyteckich, do kogo mieli się zwrócić? Czy do profesorów, tzw. lewicowych, piszących *à la lumière du marxisme* i całujących nabożnie dzieła Lenina? Czy do wynalazców bomby atomowej? Czy do vansittarystów? Inteligencja anglosaska przeżywa najgłębszy może w jej dziejach kryzys wewnętrzny. Najlepszą jej część trawi nieznośny katzenjammer zwycięzców, i obcowanie z nią napełnia zniechę-

cenieniem i melancholią. W braku więc kompetentnych doradców, generałowie okupacyjni musieli załatwić tę sprawę *manu militari*, jak umieli, i decyzja ich wypadła zapewne nie gorzej, niż gdyby wyszła z głów tzw. fachowców.

O duchu, w jakim sprawy te są rozważane dziś przez pt. fachowców, świadczy następujący fakt. W Niemczech panuje od dawna, nieznaną od półtora wieku, głód książki, ponieważ od 1933 nie drukowano tam książek interesujących czytelnika, granice zaś zamknięte były dla książek obcych. W tej chwili dobre książki w języku niemieckim istnieją tylko w Szwajcarii, gdzie drukowano je bez przerwy przez całą wojnę, trochę nawet na wyrost, licząc na otwarcie rynku niemieckiego. Tymczasem władze okupacyjne nie pozwalają na przywóz książek szwajcarskich do Austrii i Niemiec, ponieważ rynek ten chciałyby zachować dla produkcji wydawniczej mocarstw zwycięskich. Wydawcy ich wprawdzie nic teraz — w braku papieru i personelu — drukować nie mogą, ale na wszelki wypadek. Dowiaduję się o tym od księgarza, który pokazuje mi numer szwajcarskiej gazety, opisujący bardzo spokojnie całą tę sprawę.

17 listopada

Mój wyjazd do Niemiec natrafia na niespodziane trudności. Amerykanie odmawiają przepustki. Muszę czekać na wynik interwencji o którą proszę znajomych Francuzów.

Czekać... Nigdy zapewne słowo to nie miało tego znaczenia i zasięgu co dziś. Miliony osób zajęte są głównie czekaniem. Czekają na przepustki, na możliwość powrotu do kraju lub wyjazdu do ziemi obiecanej. Jeszcze liczniejsi nie mają dokąd jechać i czekają w ogóle; czekają pokoju; czekają lepszych czasów. Są jak chorzy, czekający poruszenia się wody, o których mówi Ewangelista.

Przy niedostatecznym odżywianiu i mroźnej pogodzie, zburzone miasta tracą szybko siłę przyciągającą. Wszędzie te same gruzy i zbiedzeni przechodnie, te same okna zabite deskami. Uchodźcy wracają wcześniej do swych baraków, kładą się na sienniki i czekają. Niektórzy opowiadają półgłosem swe przygody, inni zamykają oczy i marzą.

Mało kto zdaje sobie sprawę z przełomu, jaki odbywa się obecnie w zasadniczych postawach Europejczyków wobec życia. Od czasów Renesansu Zachód cenił nade wszystko energię, przedsiębiorczość, wynalazczość, zabiegliwość, zdolność do pracy. Początek obecnego stulecia ujrzał narodziny mistyki czynu. Myśl

wydawała się wówczas jedynie ubocznym produktem czynu. Słowo „marzenie” ozdobiło się epitetem „czcze” lub „próżne”. Nawet u poetów wyrazy te kojarzyły się bez sprzeciwu:

Maudit soit à jamais le rêveur inutile...

Dziś, po latach gorączki pracy i niedorzecznych wysiłków, dziesiątki milionów obywateli kontynentu nie widzą rozumnego celu dla swej działalności. Organizacja zbiorowa pracy zdaje się prowadzić wciąż przez te same etapy: przemysł, kryzys, zbrojenie, bombardowanie. Przedsiębiorczość prywatna, poprzez niezliczone przeszkody, pozwolenia na pracę, przepustki, reglamentacje, patenty, kontyngenty, poprzez tysiące podań i urzędów prowadzi do zablokowanego konta lub paczki banknotów, za które nic więcej kupić nie można i których posiadanie nie dostarcza żadnej niemal korzyści. Zresztą same warsztaty i możliwości pracy znikają. To, czego nie zniszczyły bomby, jest demontowane i wywożone. Nic nie powstaje na to miejsce. W miastach nie widać żadnej ekonomicznie użytecznej pracy.

Nie mogąc nic przedsięwziąć dla poprawy swego losu, miliony starają się w myśli przynajmniej uciec od otaczającego je świata. W niezliczonych barakach i koszarach, być może za każdym oknem zabitym deskami, leżą sienniki, a na nich, pod łachmanami koców, blade postacie mającą z zamkniętymi oczami. Kontynent przechodzi przymusową szkołę marzycielstwa.

Zmuszony — jak wszyscy — do czekania, zawijam się w śpiwór i zamykam oczy. Sąsiednie domy leżą w gruzach, ulica jest wymarła. Mroźne powietrze leży na niej bez ruchu. W półmroku słyszę tylko własny oddech.

Myślę, że w takiej ciszy emigranci słyszą szum swoich rzek. Wystarczy skupić się w pamięci, aby wśród setek innych poznać szum swojej rzeki. Każda z nich mówi innym językiem. Jedne huczą i dudnią, inne dzwonią po płytkim dnie, w innych słychać bulgotanie wirów i szmer pian przesuwających się nad głębiną, w innych wreszcie woda jest niema.

Słowacki, który słyszał jak „źródła po murawach dyszą” i przez całe swe emigranckie życie niósł pamięć brzegów Ikwy, nie mówi nic o jej szumie. Dlaczego? Ikwa pod Krzemieńcem płynie spokojnie w szerokiej dolinie, wśród pól i łąk. Oddech jej wód ledwie słychać wśród szelestów sitowia.

Szmer wód zależy od otaczającego rzekę krajobrazu, od konfiguracji jej brzegów i ich roślinności. Inny jest wśród drzew, inny na otwartej przestrzeni. Ulubiony przez Mickiewicza „ruczaj” jest taką samą onomatopcją jak „cyrkało”, które na połoni-

nach Pokucia oznacza źródło. W pierwszym słyhać mruzenie wody pod drzewami, w drugim — cieką strugę wody bijącej pod szczytem, wysoko nad granicą lasów.

Inaczej szumi Dniestr, płynąc w jarach między stromymi zboczami o trawie krótko strzyżonej przez owce, inaczej Niemen, kiedy oddech jego wód bieli liście olchy i osiczyzny.

Dźwina toczy swe głębokie wody po czarnym dnie w milczeniu. Ledwie przy słupach mostów i pływakach więcierzy słyhać bulgotanie nurtu i plusk rzucającej się ryby.

Jeszcze bardziej nieme są rzeki Polesia, stojące w jesiennej mgle. Zamknąwszy oczy, słyżę tylko wirujące w powietrzu liście, które z szelestem padają na brzeg lub milcząc zanurzają się w wodę.

W głębi pamięci odnajduję jeszcze szum Wilii pod Werkami. Czytałem jednak w przewodniku, że w Werkach jest dziś restauracja; szum rzeki miesza się więc zapewne z brzękiem talerzy.

Największą siłę magiczną posiada Czeremosz, który spośród wszystkich rzek górskich sam jeden płynie w cieniu stuletnich jodeł i świerków. Wody jego pienią się wartko w kamiennym łożysku, szemrzą na żwirowych mieliznach, dzwona po kamieniach, bełkocą w cieśninach, huczą i dudnią w skałach, a każdemu z tych tonów, opóźniając się z lekka, wtóruje niskie, ciemne, basowe echo puszczy. Zdaje mi się, że gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłędem, posłyszał znów ten szum, lata błądzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą.

Coś podobnego jest tematem powieści Jana Giraudoux, gdzie młody Francuz, dotknięty amnezją, wychowywany jest na Niemca, nosi brodę i kolorowe kalesony, a staje się znów sobą czytając jak łapią ryby w jego departamencie.

Być sobą, być sobą, — *this above all*, mówi Poloniusz — można, zdaje się, tylko w jakiejś więzi, konkretnej czy idealnej, ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ściślejszej ojczyzny, rodzonej czy przybranej.

Czym będą miliony dusz wygnanych z ojcowizn przez mocarstwa, lub zamienionych — jak gniadosz na bułanka — w barbarzyńskich wymianach ludności? Będą dążyły z powrotem do miejsc pochodzenia, lub przestaną być sobą i — ku ucieście eksperymentatorów społecznych — stworzą plastyczną masę, podobną do tej, jaką Robert Ley wypełnił fabryki i obozy Rzeszy.

Kto wymyślił, że najważniejszą więzią łączącą ludzi jest wspólna mowa lub, biorąc rzecz ściślej, wspólny elementarz z którego młodzi uczą się belferskiego języka urzędowego, wyjałowionego należycie z wyrazów obcych, wspomnień historycznych i mdłego

jak postna zupa? Dolejcież do niej przynajmniej trochę gwary koszarowej, aby nie zemdliło. Kto to wymyślił? To musiało wyjść z biurka i kałamarza urzędnika lub politycznego profesora. Na próżno szukać by podobnej myśli u Mickiewicza lub Słowackiego. Czym jest więc wspólnego języka wobec więzi, wynikłej z wspólnie znanej tajemnicy ziemi? Wspólność mowy nie zapobiega wojnom cywilnym, ile natomiast trzeba gwałtów i nieprawości, aby wywołać krótkotrwałą chociażby wojnę między mieszkańcami tej samej gminy?

Konfuzja pojęć wynikała zapewne stąd, że wspólność języka i pochodzenia terytorialnego pokrywały się zazwyczaj. Nikt dotąd nie widział ludzi sypanych na kupy oddzielnie według kryterium językowego. Aby to zobaczyć, trzeba było doczekać Hitlera.

Jedynym utworem napisanym po ukraińsku przez Gogola był list do Bohdana Zaleskiego. Im dłużej myśleć o tej korespondencji, tym mniejszą wagę zdają się mieć sprawy językowe wobec tylu innych spraw zbliżających i oddalających ludzi od siebie.

Ile takich spotkań, zbliżeń i oddaleń musiało mieć miejsce w Polsce podziemnej i wieży Babel niemieckiej? Co myślą o tym tyście Polaków, Litwinów i Ukraińców, których wspólny los zaprowadził do Niemiec? Co myśli o tym Leonid Mosendz, poeta ukraiński, z którym mam spotkanie się jutro i który tak samo jak ja zna Prut i Złotą Lipę?

18 listopada

Mosendz mieszka w jednym z licznych mieszkań emigranckich, w których każdy pokój daje przytułek jednej rodzinie. Z korytarza wchodzę do obszernego pokoju. Przy stole znajduję młodą kobietę i dwu młodych ludzi, zajętych bardzo porządnym śniadaniem. Po jednym z łóżek spaceruje gwarząc dwuletnia dziewczynka ze złotymi lokami, która na razie nie wychodzi z łóżka z braku butów. Na innym łóżku śpi na wznak w czarnym ubraniu mężczyzna lat 40, blady, z ciemnymi włosami spadającymi na czoło. To musi być Mosendz. Poznając go po niezbędnej dla pisarza zdolności izolowania się. Proszę, aby go nie budzono, i rozmawiam na razie z młodymi. Obaj byli jesienią 1938 na Zakarpaciu i odtąd są wciąż w drodze: Praga, Bratysława, Wiedeń, Lwów, Kijów i znów Bratysława, Wiedeń. Po drodze bywali w niemieckich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Mówią mi o zamknięciu granicy włoskiej i bawarskiej. Na wieszadle widzę trzy skórzane płaszcze podbite lekkim futrem. Tak wygląda mun-

dur dzisiejszego Ahaswera. Do tego plecak i wygodne buty. Nic więcej.

Mosendz budzi się. Okazuje się, że drogi nasze krzyżowały się już nieraz w różnych miejscach. Mosendz jest od 25 lat emigran-tem. Ostatnim krajem, gdzie miał możliwość spokojnej pracy przez kilka lat, była Słowacja. Po każdym przymusowym wyjeździe przestawał pisać i myślał, że rozstał się na zawsze z literaturą, ale po pewnym czasie zaczynał pisać znów. Obecnie ma cały zbiór nowych wierszy i rozpoczętą powieść.

Na oknie widzę katalog lwowskiego Ukraińskiego Wydawnictwa, którego nakładem w 1942-43 ukazało się kilkaset tomów, obejmujących dzieła wszystkich wybitniejszych pisarzy współczesnych, galicyjskich i naddnieprzańskich. Przeglądam go z żywym zainteresowaniem. W tych latach i tych warunkach, kiedy znaczna część inteligencji ukraińskiej przeszła już była na nielegalność i brała udział w ruchu partyzanckim, żaden z ludów kontynentu nie zdobył się na podobny wysiłek literacki i wydawniczy. Znaczna część nazwisk jest dla mnie nowością. Mówimy o współczesnej poezji ukraińskiej i jej parnasizmie. Mosendz ofiarowuje mi egzemplarz *Kameny* i esejów Mykoły Zerowa.

— Mnie żadne książki nie są potrzebne. Cały mój bagaż powinien się zmieścić w plecaku, gdzie mam już kilka rękopisów.

Wobec słonecznej pogody Mosendz zabiera mnie na cały dzień w góry. Idziemy przez miasto, potem wspinamy się powoli ku ośnieżonym, jarzącym się w słońcu wzgórzom.

W rozmowie odsłania się przede mną pomału odrębna struktura emigracji ukraińskiej. W odróżnieniu od innych emigracji kontynentalnych, emigracja ta nie ma charakteru uchodźstwa wojennego, o którego składzie zdecydowała bliskość granicy lub posiadanie bańki benzyny. Ukraińcy cofali się przez 25 lat w porządku z Ukrainy do Polski, z Polski i Zakarpacia do Czech i Słowacji, stamtąd do Austrii i Niemiec. Na emigrację wyszła cała ich inteligencja. Nieliczni, pozostali w kraju pisarze, bądź skrywają się u partyzantów, bądź — jak Rylski — muszą w asyście policji wygłaszać na wiecach mowy przeciw „bandytom”. Dzięki obecności inteligencji, na każdym etapie odwrotu mogły natychmiast powstawać komitety obywatelskie, szkoły, uniwersytety, czasopisma, firmy wydawnicze, księgarnie, przenoszone coraz dalej na Zachód. Nawet w Innsbrucku istnieje już ukraińska księgarnia.

W tych warunkach wychowały się już dwa pokolenia inteligencji ukraińskiej w pochodzie. Wydaje się, że w tej chwili Ukraina posiada najbardziej niezależną inteligencję w Europie. Wychowały ją w niezależności zsyłki sowieckie, więzienia polskie, węgierskie, rumuńskie i obozy koncentracyjne niemieckie. Kto przeszedł

tę szkołę, mało zależy już od ogrzewanego mieszkania, stałego uposażenia, biblioteki i innych korzyści, jakie przynoszą kompromisy i kolaboracje.

Przychodzi mi na myśl, że parnasizm poetów ukraińskich pochodzi, być może, z tęsknoty tułaczy do tego, co w literaturze jest najbardziej stałe i ciągle, z potrzeby przemyślenia na nowo Wiryliusza i Horacego, których wiersze nosi się więcej w pamięci niż w plecaku. Mimo woli porównuję produkcję tych — obecnie wszędzie nielegalnych — pisarzy z chudą i naiwną literaturą francuskiej *Résistance* z tychże lat, czerpiącą przecież z najbogatszej rezerwy literackiej naszych czasów.

Moje wczorajsze refleksje o magicznej sile rzek i lasów okazują się słuszne. Z Mosendzem i jego współlokatorami rozmawiamy jak starzy znajomi. Nie dzielą nas żadne wspomnienia 27 lat sporów i wojny polsko-ukraińskiej, w tej chwili dla strony polskiej i ukraińskiej całkowicie przegranej. Pisząc te słowa słyszę jeszcze ich jasne, życzliwe głosy.

Po paru godzinach marszu trafiamy z Mosendzem do górskiego hotelu, posiadającego jeszcze trochę starych zapasów. Jemy tam za półtorej marki dość chudy obiad i pijemy prawdziwą kawę z cukrem. Marka zachowała więc swą siłę kupna i czeka tylko na pojawienie się towarów. Zjawiska inflacyjne szerzą się jedynie w najbliższym sąsiedztwie władz okupacyjnych, emitujących pieniądze i zasilających czarny rynek z rezerw intendenty.

19 listopada

Na jednej z bocznych ulic widzę, wysiadającego z automobilu o czeskich barwach, oficera, którego wzrost i postawa, przypominające śp. generała Kitchenera, zwracają powszechną uwagę. Świetnie odżywiony i zadowolony z siebie oficer, w nowiutkim mundurze o imponującej liczbie naszywek złotych, ma w twarzy coś odrażającego, brutalnego i bestialskiego. Takie twarze widuje się u myśliwych, którzy z wielką przyjemnością szlachtują w koćniku 10 saren i 50 zajęcy.

Moi przyjaciele poznają go od razu z mego opisu.

To kapitan S., który trudni się wyłapywaniem Słowaków. Kiedy o którymś z nich się dowie, denuncjuje go przed władzami austriackimi i francuskimi i tak długo nudzi wszystkich, dopóki go nie odstawia do linii demarkacyjnej. Przyjechał tu w amerykańskim mundurze i przez pewien czas rządził się w Innsbrucku jak szara gęś.

Dwaj studenci, pochodzący z okupowanej przez wojska sowiec-

kie wschodniej części Słowacji, potwierdzają te informacje. Kapitan S. posiada duże stosunki wśród władz okupacyjnych i spowodował już wydanie wielu uchodźców słowackich. Wydani dostają się w ręce NKWD i nikt nie wie, co się z nimi potem dzieje. Wskutek tych prześladowań emigranci słowaccy uciekają do Włoch i Bawarii. W zonie amerykańskiej, powiadają, nie jest dużo lepiej. Po znanych zajściach w Kempten w sierpniu r.ub. wydawanie emigrantów władzom sowieckim odbywa się mniejszymi grupami lub indywidualnie. Kiedy NKWD chce kogoś dostać w ręce, umawia się z miejscowym amerykańskim oficerem, który aresztuje delikwenta i związanego dostarcza na linię demarkacyjną. Fama głosi, że transakcje te, odbywające się najczęściej w nocy, robione są za pieniądze. Zagrożeń ukrywają się głęboko, lub uciekają do innych zon.

Nie od razu chce mi się wierzyć tym informacjom. Kto jednak lepiej zna istotny stan rzeczy od bezpośrednio zainteresowanych? Zresztą, sądząc z deklaracji najwyższych władz okupacyjnych na te tematy, takie polowania na ludzi są, być może, dozwolone, jeżeli nie zalecane. O brutalności i bestialstwie tych procederów świadczą wymownie wypadki w Kempten. Rozumiem teraz czemu Amerykanie odmawiają mi przepustki. Do tego, co się w ich zonie dzieje, świadków nie trzeba.

Wydaje się, że zamiast obiecanych podczas wojny: wolności od głodu i strachu, epoka Zjednoczonych Narodów przyniosła Europie inne, mniej znane wolności, jak wolność polowania na ludzi, z zasadzki lub z nagonką, łapania ich we wnyki jak borsuków i sprzedawania ich skóry.

Po południu dowiaduję się, że interwencja francuskich przyjaciół nie odniosła skutku i amerykański oficer łącznikowy odmówił mi definitywnie przepustki do Monachium. Francuzi radzą mi jechać na zielono. Rada ta wydaje mi się spóźniona z chwilą, kiedy Amerykanie oglądali moje dokumenty. Postanawiam odwiedzić sam amerykańskie biuro w Landhaus i zwracam się tam do oficera, o którym dowiedziałem się, że mówi tylko „po amerykańsku” i z tego powodu nie ma w Innsbrucku nic do roboty. Zastaję rośłego chłopca w wytartym granatowym mundurze kapitana marynarki, który na mój widok zdejmuje nogi ze stołu i bardzo uprzejmie udziela mi doskonałych rad.

— Major Graham, powiada, ma instrukcje nie wydawania w miarę możliwości żadnych przepustek. Jeżeli chce pan jechać do Bawarii, jedź pan naprzód do Salzburga, dokąd się pan może dostać za austriacką przepustką. Salzburg leży już w zonie amerykańskiej, i jeżeli pan ma jakieś doświadczenie w podróżowaniu, znajdzie pan sposób na dostanie się do Monachium.

Przy pomocy przyjaciół w kilka minut dostaję czerwoną książeczkę z imponującym tytułem *passport allié* z tekstem w językach angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Za tym dokumentem mogę jechać do Salzburga. Później spostrzegam, że w pośpiechu zapomniano przewidzieć na tym dokumencie możliwości podróży powrotnej. Muszę więc jechać naprzód, nie oglądając się za siebie.

Wychodząc z Landhaus'u jestem świadkiem następującej sceny. Przed siedzibą Zarządu Wojskowego Tyrolu stoi w dwu rzędach kilkadziesiąt francuskich wojskowych automobilów, zwróconych przodem do głównego wejścia. Na plac wjeżdża ciężki automobil amerykański i, wpadając z boku, miażdży kilka lekkich wozów francuskich. Amerykański szofer nie posiada się z radości na widok spłaszczonych Citroenów i Mathisów. Nie ma wątpliwości, że zrobił to umyślnie. Na szczęście nikt nie został ranny. Oburzeni szoferzy francuscy mówią, że jest to ulubiona rozrywka żołnierzy amerykańskich.

O północy opuszczam Innsbruck. Pociąg pośpieszny idący z Bregencji do Wiednia spóźnia się o 2 godziny. Dworzec jest zburzony i pociągi zatrzymują się o kilkadziesiąt metrów dalej. Koło 100 osób czeka na mrozie pod gołym niebem. Tyleż stoi w tunelu, gdzie zdaje się być mniej zimno. Pierwsze wagony nadchodzącego pociągu zarezerwowane są dla wojsk okupacyjnych. Wagony dla cywilów są nieoświetlone. Wybite okna są zatłakane kocami lub dyktą. Nikt prawie nie wysiada, po omacku wchodzimy do ciemnych wnętrz. Wbrew pozorom tłok jest umiarkowany i znajduję siedzące miejsce. Od miesiąca już wielki ruch podróżnych idzie w kierunku zachodnim i jazda w stronę przeciwną nie nastrecza wielkich trudności.

Na linii dzielącej okupację francuską od amerykańskiej mamy już 3 godziny spóźnienia. Czeka nas tam tylko krótki przegląd dokumentów.

20 listopada

Do Salzburga przyjeżdżamy z czterogodzinnym spóźnieniem, krótko przed 11-tą. Ze zburzonego dworca szybko przenoszę się do najbliższej kawiarni w nadziei dostania tam szklanki ciepłej infuzji z kwiatu lipowego lub rumianku, jedyne trunku, jaki ofiarowują dziś kawiarnie niemieckie. Goście przedpołudniowi — kawiarnie otwarte są do 11-tej — przynoszą ze sobą chleb i smalec amerykański. Niestety przychodzę zbyt późno. Jem więc swój chleb z mdłym smalcem i wychodzę na ulicę. Przypominam sobie

słowa amerykańskiego oficera: *If you have some experience in travelling...* W Salzburgu nie mam znajomych. Drogę do odwrotu mam zamkniętą. Jak, kiedy, którędy i za jakimi dokumentami uda mi się stąd wyjechać?

Przez park i Mirabellplatz kieruję się do środka miasta. Bombardowania zostawiły tu jeszcze mniej śladów niż w Innsbrucku. Między ruinami otaczającymi dworzec i Residenzplatz nie widzę żadnych śladów bomb. Główny most jest naprawiony i jadą przezeń setki automobilów wojskowych. Wszędzie widać żołnierzy i policję wojskową.

Mimo małej ilości ruin miasto jest równie smutne jak Innsbruck. Wśród bezlistnych drzew, w chłodne południe jesienne, wygląda jak ubogi człowiek, który w biały dzień czuje się źle w swych łachmanach. Zwłaszcza nowe dzielnice wyglądają pośępnie w swym zaniedbaniu. Wesole, rokokowe budynki lepiej znoszą czasy niedoli. Zakurzone i odrapane, zachowują zawsze wielkość i wdzięk Oświecenia.

Idąc powoli przez stare miasto, uświadamiam sobie rolę tych starych budynków. Salzburg przechodzi przez czyściec już po raz drugi. Prawie tak samo wyglądał w 1919 roku, kiedy na ruinach Austrii arcyksiężęcej i arcybiskupiej ujrzano, jako kanclerza, wielkiego proboszcza, ks. Seipla, z jego ministrem spraw zagranicznych, wyglądającym jak młody kupiec branży bławatnej... Życie tu po tym zaczęło narastać od dołu, od socjalistycznych związków zawodowych i chłopskich zrzeszeń katolickich, ubogie, głodne, obciążone procentami od pożyczonych szylingów.

Po okresie wielkiego postu Salzburg wrócił raz jeszcze do świetności w latach trzydziestych, jako miejsce sławnych festiwalów muzycznych, ściągających z całego świata elitę snobów. Z tego czasu pozostała mu większa ilość garażów, zarekwirowanych obecnie na potrzeby wojska.

We wczesnym średniowieczu cudowne relikwie świętych broniły nieraz miast przed wojną i zarazą, ściągając jednocześnie tłumy pielgrzymów, niezbędnych dla ożywienia handlu. Takim cudotwórczym protektorem Salzburga w naszych czasach stał się Mozart. Relikwie jego miasto przechowuje w trzech domach, które szczęśliwie wszystkie ocalały. On to dostarczył mieszkańcom chleba i wina oraz pozorów życia, sprowadzając do miasta tysiące, nie tyle pobożnych, ile bogatych pielgrzymów.

Patrząc na ich zbiedzone twarze nie widzę jasno, czy mieszkańców Salzburga łączyło coś istotnego z ich Mozartem, czy też byli tylko zręcznymi organizatorami festiwalów i turystyki artystycznej, korzystającymi z pomysłów koniunktury.

Jasne jest tylko, że całej tej nowej sławy Mozarta i Salzburga

nie potrafilibyśmy sobie wyobrazić bez Residenzplatzu i otaczającego go kompleksu biskupio-rokokowej architektury, którą szczęśliwy wypadek ocalił od nie mniej groźnych niż bombowce restauratorów i urbanistów XIX i XX wieku. Muzyka Mozarta była i przedtem powszechnie znana z niezliczonych wydań, koncertów i wieczorów operowych. Dla tego jednak, kto miał czas się nad nią zastanawiać, nie było tajemnicą, że od dawna już znajdowała coraz mniej szczęśliwych interpretatorów, że wykonania jej zostawiały coraz wyraźniejsze wrażenie niedosytu, że klucz do niej został przez nowe pokolenia zgubiony, i że wreszcie zmienna i feeryczna sztuka Mozarta stała się dla nas wyniosła i odległa. Dopiero odkrycie Salzburga i umieszczenie Mozarta w jego środowisku historycznym stworzyło pomost pomiędzy jego sztuką i publicznością artystyczną. Jak podróż do Włoch uważana jest za niezbędną dla zrozumienia włoskiego malarstwa, tak podróż do Salzburga stała się nieodzowna dla zrozumienia Mozarta. Ustalenie się tych — być może powierzchownych — pojęć stało się źródłem nowej zamożności i sławy Salzburga.

Historia Salzburga uczy, że każde miasto, mające stare, piękne budynki, posiada rozpoznaną, lub jeszcze nieodkrytą siłę, mogącą dostarczyć mieszkańcom nie tylko chleba i wina, ale także nowego życia, łączącego je z wielkimi prądami myśli i sztuki. Patrząc dziś na ruiny Europy, z przykładu Salzburga możemy wnosić o rozmiarze strat kontynentu.

Widok zakurzonych i zaniedbanych zabytków budzi dziś mnóstwo pytań. Czy uda się raz jeszcze obudzić je z prochów i przywrócić do godności żywych pomników cywilizacji? Czy pokrywający je pył bombardowań nie jest wyrazem pogardy dzisiejszych zwycięzców dla przeszłości i cywilizacji, pogardy bardziej niszczącej od samych bomb? Czy nie jest wyrazem woli zwycięzców, pragnących ustalić, raz na zawsze — jak w pakcie w San Francisco — że wszelkie nowe życie ma odtąd mieć swe źródło nie w żadnych starych murach, ale w Middletown i w Magnitogorsku?

W sytuacjach podobnych do mojej nigdy nie wiadomo skąd przyjdzie ratunek. Oglądanie na głodno starych pałaców i rozważania na temat Mozarta naprowadzają mnie niespodzianie na dobrą drogę. Wędrując przez stare miasto spostrzegam świeżo otwarte biuro podróży. Biuro podróży? W mieście, otoczonym nieprzepuszczalnymi granicami, instytucja ta wydaje się groteskowa. Wchodzę do środka i czytam napisy: bilety kolejowe, abonamenty, turystyka... wszystkie okienka puste. Cała publiczność tłoczy się przed jedynym otwartym okienkiem. Zbliżam się doń i czytam: przepustki. Zapoznają się trochę z trybem urzędowania,

porzucam kolejkę, wchodzę do środka biura i tam dowiaduję się następujących szczegółów.

Wobec olbrzymich przemieszczeń ludności, żadna granica ani linia demarkacyjna nie wytrzymuje naporu podróżujących. Dziesiątki tysięcy nieszczęśliwych idą na zielono. Mniej zdecydowani chwytają się kombinacji, jeżeli niezupełnie nielegalnych, to przynajmniej niezupełnie legalnych. Gdziekolwiek w linii demarkacyjnej zarysuje się jakaś szczelina, w kilka godzin później tworzy się przed nią giełda przepustek i dokumentów podróży. Stoje właśnie przed jedną z tych szczelin.

Licząc w swych murach większą liczbę pozbawionych środków do życia uchodźców z Rzeszy, zarząd miasta wyjednał u władz okupacyjnych pozwolenie na repatriowanie osób, które miasto miało odstawić do Monachium własnymi autobusami. Ustalono formularze, na których wypisywano listy repatriantów. Zaopatrzone pieczęcią *Military Government* formularze te służyć miały za przepustki zbiorowe. Praktyka wykazała, że oficer, posiadający nazwaną pieczęć — rozumując słusznie, że nie potrafi skontrolować dokumentów i pochodzenia podróżnych — zaniechał zbędnego czytania i, trzymając nogi na stole, bez różnicy pieczętował wszystkie przedkładane mu formularze. Kiedy i formularz, na którym stało tylko jedno słowo — „kukuryku” — wrócił zaopatrzone pieczęcią urzędową, repatriacja przybrała większe rozmiary.

W zamian za taki fantazyjny dokument, ofiarowuję mojemu uprzejmemu rozmówcy mój czerwony *pasport allié*, upoważniający bez fotografii do bezterminowego pobytu w Salzburgu. Oferta zostaje bez chwili wahania przyjęta, i w dwie godziny później mam już w kieszeni przepustkę do Monachium. Autobus miejski odchodzi z Mirabellplatzu o 7-mej rano.

Zajęty poszukiwaniem dokumentów podróży, nie mam czasu myśleć o noclegu. W biurze Czerwonego Krzyża informują mnie, że mogę wygodnie przenocować w obozie UNRRA w Hellbrunn. Nie mam czasu sprawdzać tej informacji.

W Austrii i Niemczech wszystkie udzielane informacje są zasadniczo nieścisłe. Słyszac np. słowa „jutro o 5-tej proszę się zgłosić pod następującym adresem”, należy iść pod wskazany adres natychmiast, stwierdzić jego błędność, znaleźć adres właściwy, sprawdzić jego dokładność, i wówczas dopiero można spocząć na laurach w oczekiwaniu wyznaczonej godziny. Zjawisko to jest prawdopodobnie skutkiem znużenia nerwowego, niedożywiania i innych specyficznych warunków życia podczas wojny.

O zmroku biorę pociąg do Hellbrunn, tam dowiaduję się, że obóz znajduje się nie w Hellbrunn, ale przy Hellbrunner Chaussée, odległej o kilka kilometrów. Jadę tam innym pociągiem i znajduję

całe miasteczko baraków czysto utrzymanych, ogrzewanych i bardzo słabo zaludnionych. Przez główne wejście wchodzi do ciepłej poczekalni. Tam znajduję urzędnika UNRRA w asyście M.P., który objaśnia, że według ostatnich przepisów żadną miarą nocować mi w obozie nie wolno. Na to oświadczam, że zadowolę się także noclegiem przed obozem, zrzucam plecak i rozścielam śpiwór na środku sali. Widząc moją determinację, przedstawiciel UNRRA pozbywa się mnie fortelem.

— Po co ma pan tak niewygodnie nocować? Proszę iść do hotelu Europa, który jest również zarekwirowany dla uchodźców, ma jeszcze dużo miejsca, i gdzie będzie pan przyjęty z otwartymi ramionami.

To daje mi do myślenia. Jutro o 7-mej autobus miejski odchodzi z Mirabellplatzu, odległego stąd o godzinę drogi. Z hotelu natomiast Europa będę miał do autobusu tylko kilka minut chodu.

— Czy znajdę jeszcze tramwaj przez miasto?

— Oh, tramwaje w kierunku miasta chodzą do pół do dziewiątej. Ma pan jeszcze godzinę czasu.

Wszystko to okazuje się wierutnym kłamstwem. Ostatni tramwaj właśnie odszedł. Pieszko idę raz jeszcze przez całe miasto. W parku przed hotelem, w najwidoczniejszym miejscu, stoją okropne latryny, zbudowane przez amerykańskich saperów i obliczone na potrzeby kilku pułków podczas dyzenterii. Sam hotel, goszczący niegdyś najbogatszych turystów muzycznych, jest dziś rudera. Olbrzymi hall, odarty z dywanów, stoi dziś pusty, mroźny, z wybitymi oknami. W korytarzu bariera, przy niej urzędnik UNRRA w asyście M.P.

— Według ostatnich przepisów nie wolno tu panu nocować.

W ciągu dnia zdążyłem zauważyć, że do Salzburga przybyło właśnie wielu uchodźców z zony sowieckiej, ubranych często tylko w koszulę i kalesony, po zrabowaniu im przez maruderów wszelkiej innej garderoby. Zatrzymuję się więc w hallu, aby zobaczyć, jak się nimi UNRRA zaopiekuje. Od jednego z lokatorów hotelu słyszę, że jest tam jeszcze 30 wolnych łóżek i kilka pustych, ogrzewanych sal. Noc jest mroźna, około 5 stopni niżej zera.

W ciągu pół godziny przedstawiciel UNRRA w asyście M.P. wysłała na ulicę kilka kobiet z dziećmi i kilkunastu mężczyzn, ubranych częściowo jak wyżej. Przypominają mi się słowa słyszane niegdyś od przedstawiciela francuskiego Czerwonego Krzyża:

— *Les atrocités de guerre seront bientôt éclipsées par les atrocités de paix.*

Podchodzę do młodego Cerbera i mówię spokojnie:

— Czy panu nie wstyd? To, co pan robi, jest nie dużo lepsze od tego, co nazi robili w Bergen-Belsen.

Trafiam jednak nie na ucznia nazich, ale na potomka Tartuffa. Młody Amerykanin podnosi pobożnie oczy do nieba.

— Mnie samemu serce się kraje, muszę jednak spełnić obowiązek, nakazany przez przełożonych.

Widocznie sławna inicjatywa prywatna Amerykanów ma swoje granice. W swej działalności zawodowej urzędnicy UNRRA są bezdusznymi formalistami. Kto wie zresztą, z jakich sfer pochodzą, z jakich nizin społecznych wojna wyniosła ich na panów świata? Myślę o demoralizacji, jaką szerzyć będą po powrocie z wojny, przywykli do poniewierania człowieka.

Naprzeciw hotelu znajduje się jeszcze przytułek Czerwonego Krzyża. W ciasnym, straszliwie brudnym baraku stoi około 200 osób, nie mających nawet gdzie usiąść. Widzę kobiety z dziećmi, wyrzucone przed chwilą na ulicę przez *gieroja* z UNRRA, obok półnagich mężczyzn. Niektórzy z nich gorączkują w początkowych fazach zapalenia płuc, a może i tyfusu. To samo widzę w poczekalni na dworcu.

Wychodzę z tych smutnych miejsc niedoli i poniewierki człowieka. W parku, obok hotelu Europa, stoi półkołem kilka ciemnych zburzonych domów. Gruzy sięgają miejscami pierwszego piętra. Wchodzę przez okno do jednego z tych domów. W świetle latarki widzę tylko masy gruzu, najeżonego żelastwem. Wreszcie w trzecim domu, pod zwisającym płatem zwalonego piętra, znajduję całą salę wolną od gruzu, z zachowaną częściowo podłogą. Zatrzymuję się i słyszę przez okno szmer oblodzonej fontanny. Rozścielam śpiwór i rozbieram się jak w górach. Zamierzam właśnie zgasić latarkę, kiedy w oknie zjawia się młody człowiek ze skrzypcami w rękę.

— Szedłem za panem w nadziei, że mnie pan zaprowadzi do jakiego noclegu. Wygląda pan na doświadczonego włóczęgę. Widząc pana wchodzącego przez okno, czekałem na dole, licząc, że jeżeli pan nie wróci, pójdę pana śladem.

— Czy nie zechciałby pan coś zagrać dla urozmaicenia tego ponurego wieczoru?

— Raczej nie, obawiam się, że popełnilibyśmy nietakt, zwracając na siebie uwagę niepowołanych.

Z dalszej rozmowy dowiaduję się, że uprzejmy młodzieniec jest skrzypkiem z Hamburga. Zmobilizowany w Luftwaffe był w Afryce i we Włoszech, gdzie w spokojniejszych okresach grywał na skrzypcach. Podczas odwrotu ukrył je we Włoszech, aby ich nie podeptano w popłochu. Po zakończeniu wojny pojechał po nie nielegalnie do Włoch i wracał właśnie do rodzinnego miasta.

Mówimy zrazu o muzyce współczesnej, o organizacji życia muzycznego po wojnie, potem przechodzimy do tematów aktual-

nych. Mój rozmówca jest zdania, że w razie dalszego nacisku sowieckiego na linię demarkacyjną, Anglicy będą zmuszeni do odwołania armii niemieckiej i użyją w tym celu zgromadzonych w ich zonie jeńców wojennych. Armia okupacyjna amerykańska, powiada, jest w stanie samoczynnej demobilizacji. Niedługo Anglicy zostaną w Niemczech sami. Nie mogąc porzucić kontynentu tak łatwo, jak Amerykanie, i chcąc się na nim utrzymać, będą musieli zwrócić się do weteranów niemieckich. Rozwijając dalej swą myśl, mówi, że Anglia nie uznając zachodnich granic Polski, rezerwuje sobie najwidoczniej możliwość ofiarowania Niemcom w tym wypadku terytoriów, które Sowiety obecnie przyznały Polsce. Po namyśle dodaje:

— Ciekawe, co Anglicy ofiarują w tym wypadku swym polskim legionistom? — Pytam go, czy nie sądzi, że w walce między wielkimi mocarstwami ludom kontynentalnym najwygodniej byłoby zachować neutralność.

— Niestety wydaje się to niedoścignionym ideałem. Niemcy są już i będą terenem walki, wynik jej zaś nie jest dla nas obojętny.

Uderza mnie u młodego artysty skłonność do rozważania spraw politycznych, wyłącznie jako zagadnień mechanicznej gry sił. Próbuje sondować go na ten temat. Odpowiada mi, że w obecnej polityce zwycięskich mocarstw czynniki moralne czy religijne nie grają żadnej roli, że pakt w San Francisco jest próbą narzucenia światu systemu, opartego na przemocy, i dlatego należy rozważać sytuację obecną tylko w kategoriach siły zbrojnej. Widzę, że młodzi Niemcy, wyszli ze szkoły hitlerowskiej, będą mogli nierównie łatwiej ode mnie znaleźć wspólny język z realistami brytyjskimi.

Pytam go, czy interesuje się procesem norymberskim. Odpowiada mi, że dla Niemców proces ten posiadałby olbrzymią aktualność i znaczenie praktyczne w 1938 roku. Obozy koncentracyjne — mówi — istniały już wówczas i były powszechnie znane. Wtedy jednak obecnym sędziom wydawało się korzystniejsze uważać *nazich* za *gentlemen'ów*. My, Niemcy, musieliśmy znosić Hitlera, nie mając innego wyboru. Byliśmy w sytuacji, o której Włosi mówią: *O mangiare questa minestra, o saltare da questa finestra*. Obcy natomiast, którzy przyjaźnili się i paktowali z hitlerowcami, robili to z własnej woli, z gustu, z sympatii, z chęci zysku, i dziś są mało powołani do sądzenia ich. Zresztą, jaki wpływ może mieć ten proces na wypadki, od których dziś wszystko zależy?

Mój towarzysz nie ma ze sobą nic, prócz skrzypiec. Wielu, zwłaszcza jeżdżących nielegalnie, podróżuje dziś bez bagażu, nie jedząc nic całymi dniami. Jesteśmy obaj bardzo głodni i jemy po

kawałku chleba z smalcem. Nie odważamy się spać, słysząc wciąż dokoła naszej kryjówki kroki i szepty. Mój towarzysz nie wypuszcza z rąk swych skrzypiec. Wreszcie koło północy wszystko ucicha i zapadamy obaj w głęboki sen.



Niejasny brzask oświetla ruiny. W ciszy słyhać tylko, jak dzwoni oblodzona fontanna. Zwijam szybko śpiwór i jem kawałek chleba z nienawistnym smalcem. Zostawiając towarzysza śpiącego ze skrzypcami w ręku, schodzę niezgrabnie po rumowisku cegieł i spieszę na Mirabellplatz.

Autobus miejski okazuje się starodawną skrzynią z drewnianymi ławkami, służącą niegdyś do transportu wojska. Jedzie z nami szofer i mechanik, mający naprawiać po drodze krnąbrny motor. Wśród czterdziestu podróżnych jest kilku Niemców z Rzeszy, resztę stanowią repatrianci tej samej kategorii, co ja, oddalający się od linii demarkacyjnej. Po wymowie poznaję Ukraińców galicyjskich i kubańskich. Podróżni, milczący zawzięcie, są Bałtami. Przez Sankt-Julienstrasse i Ludwig-Victorbrücke wyjeżdżamy na wspaniałą autostradę, tzw. *Reichsautobahn*, całkowicie pustą, wiodącą do Monachium.

O kilka kilometrów za miastem autobus zatrzymuje straż graniczna. Na trawiastym pasie, dzielącym zwierciadła autostrady, stoi szklana budka, w której dokoła żelaznego piecyka śpi w fotelach z karabinami w ręku czterech żołnierzy U.S. Do autobusu wchodzi dwóch młodych ludzi w *feldgrau*, których wygląd zdradza od razu byłych *gierojów* z SS. Ze swadą zawodowego szantażysty jeden z nich ma dłuższą przemowę wzywając nas do dobrowolnego oddania wszystkich listów, każdego zapisanego lub zadrukowanego skrawka papieru, pieniędzy itp. Jako repatrianci mamy być przed opuszczeniem kraju najdokładniej ograbieni. Poprawnym wyjściem z tej opresji byłoby wyrzucić przez okno obydwu nazi i jechać dalej. Oglądam się na siedzącą za mną grupę Kubańców. Chłodny i mglisty ranek, niskie niebo i płaski krajobraz, pokryty pożółkłą trawą, mają jednak w sobie coś demoralizującego. Wszyscy patrzą uważnie na strażników, ale nikt nie zdradza przedsiębiorczości. Tymczasem podróżni, siedzący najbliżej drzwi, są już obszukani i w rękach strażników znajduje się już cała paczka listów i papierków.

W przyczepce, ciągnionej przez autobus, mam małą walizkę, a w niej kilka książek, sporo notatek i listów, których nie zamierzam oddawać wcale, nawet gdybym miał wracać do Salzburga i szukać innej drogi. Wstaję więc z miejsca, podchodzę do star-

szego rangą strażnika i zaczynam z nim mało przyjemną dla nas obu rozmowę. Po kilku minutach widzę, że nazi na służbie amerykańskiej, mimo ich całej bezczelności nie czują się pewni. Każdy niemal Niemiec, mający dziś 20 do 40 lat, brał udział w okupacji kontynentu i ma niejedno na sumieniu. Każdego z nich dręczy pytanie: co będzie, jeśli mnie ktoś pozna? Widząc, że mój rozmówca szybko traci pewność siebie, proponuję mu 20 dolarów pod warunkiem, że natychmiast jedziemy dalej.

W dziesięć sekund później autobus znów toczy się dalej po autostradzie. Myślę o tym, że strażnicy, którzy za opłatą zgodzili się nie wykonywać przepisów okupanta i nie skorzystali z upoważnienia do ograbienia nas doszczętnie, nie są, być może, ludźmi najgorszymi. Właściwą przyczyną ich braku decyzji i konsekwencji zdaje się być ich okropne położenie moralne, paraliżujące zapewne wszelką inicjatywę. Jak oderwać się — w myśli chociażby — od takiej przeszłości? Fakt, że dzisiejsi zwycięzcy są prawie równie bezmyślni i okrutni, jak zwycięzcy wczorajsi, nie przynosi tu żadnej ulgi. W położeniu takim chodzi nie o to, jak się wytłumaczyć i usprawiedliwić, ale jak ująć od mechanicznie powracających do świadomości wspomnień. Przypomina mi się właściciel kawiarni, obok którego leżałem w budapesztańskim szpitalu w 1940 roku. W nocy budził się obłany potem, siadał na łóżku i patrzył przed siebie:

— Każdej nocy budzi mnie wspomnienie pierwszego trupa, jakiego widziałem w sierpniu 1914. Leżał sam jeden na wznak z karabinem w rękę i miał tylko jedną ranę koło lewego kolana. Potem widziałem tysiące trupów, ale pamiętam tylko tego jednego. Trup ten zaciążył na całym moim życiu następnym. Porzuciłem studia i zostałem właścicielem kabaretu, potem zaś dużej kawiarni w nadziei, że pośród muzyki, gwaru i alkoholu łatwiej pozbędę się tego wspomnienia. Wszystko na próżno. We dnie jestem z usposobienia wesoły i czynny, ale każdej nocy „on” wraca do mnie tak samo regularnie, jak podczas pierwszych dni tamtej wojny.

Ile takich trupów widział każdy z dzisiejszych Niemców? Z takim wspomnieniem każdy jest sam. Nikt nie może oczekiwać, ani żądać, niczyjego współczucia; dzisiejsi Niemcy mniej niż ktokolwiek inny. To piekło wspomnień nie jest zresztą samo przez się żadnym zadatkiem poprawy, chyba tylko w tym sensie, że noszący je w sobie stają się słabszy i chwiejny. Kto wie, jak długo przeszłość ta będzie ciążyła na Niemcach i na innych uczestnikach tej wojny?

Autostrada przecina cały kraj, przeskakując nierówności terenu po olbrzymich wiaduktach. Część ich została wysadzona w po-

wietrze przez specjalne oddziały SS w ostatnich dniach wojny. Kilka razy zbaczamy z autostrady po stromych i śliskich objazdach. Z góry widzimy pod nami całe mosty, leżące na dnie doliny. Motor nasz kilka razy zatrzymuje się. Mechanik i szofer, w poszukiwaniu przyczyny złego, odkręcają coraz nowe części maszyny, układając je ostrożnie na rozesłanym brezencie. Fakt, że mimo tych przeszkód ciągle posuwamy się naprzód, wydaje się szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Wreszcie wczesnym popołudniem wjeżdżamy na przedmieście Monachium i w pół godziny później autobus zatrzymuje się przed dworcem.

Stary dworzec z czerwonej cegły, malowany w poprzeczne pasy jak kościół Mariacki, leży w gruzach. Poznają go tylko po ocalałym pylonie. Dokoła stoją ruiny i zwały gruzu.

Szukam przyjaciół, mieszkających w okolicy dworca. Idę zrazu ludną Dachauerstrasse, która na pozór stoi nietknięta. Z bliska jednak na wszystkich domach widać ślady niedalekich wybuchów bomb. Mury są porysowane i odarte z tynku, drzwi i okna wysadzone z futryn, szyby zastąpione dyktą. Fasady niektórych domów są trudne do poznania; numery ich wypisano farbą na oszalowaniach zamkniętych sklepów. Na wszystkim leży warstwa czarnego kurzu. Ten sam widok na dalszych ulicach. Wchodzę wreszcie do jednego z tych smutnych domów: klatka schodowa ciemna; świecę latarką; na stopnie osypuje się tynk. W całym domu martwa cisza. Trudno zgadnąć, czy tu jeszcze ktoś mieszka. Dzwonię do znajomych drzwi, ale nikt mi nie odpowiada. Decyduję się szukać noclegów w obozie UNRRA w Deutsches Museum.

Z dworca jadę jedyneką na Sendlinger Torplatz i Maximilian-Monument. Przystanki odległe są teraz od siebie o pół kilometra i na każdym z nich czeka kilkadziesiąt osób. Tramwaje idą co kwadrans, zatrzymują się na minutę i jadą dalej, nie zwracając uwagi na wsiadających. Kto nie zdążył wsiąść do przepełnionego wagonu, zostaje. Tłok jest tak wielki, że wsiąść do tramwaju jest sprawą wymagającą woli i decyzji.

Między dworcem i Sendlinger Torplatz widać same ruiny. Bruk jest pokryty szarą warstwą zmielonego na proszek tynku i cementu. Drzewa stoją bezsilne, jak gdyby zwiędły w tym otoczeniu ruin i nędzy. Dopiero za Sendlinger Torplatz zaczynają się lepiej zachowane dzielnice.

Deutsches Museum stoi na wyspie wśród Izary. Gigantyczna budowla składająca się z wielu spojonych razem żelazo-betonowych czworoboków, powstała w ostatnim dziesięcioleciu. Ciemne mury ciągną się na przestrzeni kilkuset metrów. Budynek jest w kilku miejscach uszkodzony przez bomby i pożary, brak mu wielu okien, bramy stoją zamknięte i milczące. Dopiero ostatnia

z nich jest otwarta i prowadzi do obszernego dziedzińca z monumentalnymi schodami, wiodącymi do przytułku UNRRA.

Wejście nie ma drzwi, zagrada je barykada ze spiętrzonych beczek. W wąskim przejściu między beczkami stoi policja obozowa sprawdzająca dokumenty: wejście jest tylko dla cudzoziemców. Po drugiej stronie barykady znajduje się olbrzymi hall, w którym w licznych grupach przechadza się około dwustu ludzi. Przez parę chwil błąkam się po hallu pilnie nasłuchując. Ponieważ uchodźcy z Zachodu powrócili już dawno do swych krajów, Deutsches Museum gości dziś tylko uchodźców z Europy Wschodniej. Nie bez pewnego wzruszenia poznaję po języku i wymowie ściślejszą ojczyznę każdego z mówiących. W wyobraźni przesuwają się przede mną szybko Kowno, Bratysława, Łódź, Czerniowce, Libawa, Belgrad, Równe, Użhorod, Rawa Ruska, Berdyczów... Głosy te uprzytomniają mi, jak dalece jestem wciąż Europejczykiem wschodnim. Z każdym z tych miejsc związana jest jakaś część mojej przeszłości. Wiem jak szumią tamtejsze rzeki, jakie łowią w nich ryby, jakie pieśni śpiewane są na Wielkanoc i o czym się mówi o zmierzchu. Gdybym do któregośkolwiek z nich mógł wrócić, odrzuciłbym truciznę myśli i żył przez pewien czas biernie, jak ziemia karmiona światłem i deszczem.

Staję w kolejce nowoprzybyłych. W okienku dowiaduję się, że wprawdzie przepisy nie pozwalają mi tu nocować, niemniej jednak otrzymam kartkę pozwalającą mi być przez trzy dni gościem obozu. Miejsce do spania otrzymuję na pierwszym piętrze w sypialni dla izraelitów.

Zapoznaję się z topografią i organizacją obozu. Obliczony na potrzeby muzealne, budynek nasz ma dwa piętra. Każde z nich można obejść dokoła okrężnym korytarzem, wzdłuż którego leżą halle przechodnie oraz sale i ubikacje różnej wielkości. Na parterze mieści się, oprócz hallu wejściowego, kilka wielkich sal. W jednej z nich udzielane są informacje, dwie są jadalniami, jedna przeznaczona jest na koncerty i przedstawienia teatru obozowego. Przez całe popołudnie dochodzą z niej dźwięki muzyki. Na pierwszym piętrze sale posiadające okna obrócono na sypialnie. W innych mroźny wiatr świszcze wśród okopconych ścian.

W sypialni znajdują koło dwudziestu drewnianych, dwupiętrowych prycz. Na każdej z nich leży brunatny siennik. Słoma zmieniła się w nim z czasem w drobną sieczkę, jak gdyby nocowały na niej po kolei wszystkie pokolenia od Abrahama.

Zarząd obozu jest w rękach UNRRA i zatrudnia, jako niższych urzędników, sporą ilość uchodźców. Już na pierwszy rzut oka uderza w organizacji obozu jej charakter fasadowy. Jak na statku niewolników w balladzie Heinego, strona zabawowa życia obo-

zowego jest ogromnie rozbudowana; codzienne koncerty, performance baletu obozowego itd. Natomiast organizacja życia codziennego, zwłaszcza w jego części materialnej, jest bardzo zaniedbana. Ani śladu sławnego amerykańskiego geniusza organizacyjnego. Tak np. magazyn obozu posiada wielki zapas ciepłych koców, które każdy może wypożyczyć na noc, zostawiając swój dowód osobisty. Już przed 7-mą wieczorem w hallu pierwszego piętra tworzy się przed magazynem długa kolejka, w której trzeba stać przynajmniej godzinę na lodowatym wietrze. Słabsi nie wytrzymują tego systemu i z każdej sali wysyłani są delegaci z dokumentami. Taka sama kolejka tworzy się z rana przy oddawaniu koców.

Przechowalnia bagażu otwarta jest od 7-ej do 21-ej. W rzeczywistości jednak zatrudnieni w niej dwaj magazynierzy co chwila wychodzą razem do miasta na wódkę i nieprędko wracają. Uchodźcy którzy mieli nieostrożność powierzyć im swe walizki, czekają nieraz na nie po 6 godzin. Walizki nie oddane do przechowalni giną podobno bezpowrotnie.

O *locus secretus* wystarczy powiedzieć że jest piętą achillesową obozu. Nie lepiej przedstawia się sprawa umywalni. W wietrznej sali bez okien biegną wzdłuż obu ścian rury najeżone kranami z wodą ściekającą po cementowej podłodze, przykrytej drewnianą kratą. W mokrej sali nie ma ani jednego gwoździa lub kołka, na którym można by powiesić ubranie. Najwygodniej byłoby przychodzić tam nago, co nie uchodzi ze względu na to, że w sypialniach mężczyźni, kobiety i dzieci mieszkają razem. Z trudności tych znajduję wreszcie wyjście. Do umywalni przychodzi pierwszy, o świcie, i wieszam ubranie na jednym z dwu zamykających się szczelnie kranów. Mam wrażenie, że niewielu tylko korzysta z tak niewygodnej umywalni.

Raz znajduję w niej starszego bruneta, który, stojąc w kalesonach, przy pomocy kawałka mydła, uparcie i zawzięcie pierze w lodowatej wodzie czarne wełniane ubranie. Myjąc się przyglądam mu się ukradkiem. Jego czysto ogolona twarz jest pogodna. Potęga mieszkającego w nim marzenia o czystości i porządku, o zamiecionej i umytej izbie, izoluje go od tłumu i nadaje jego postawie i ruchom dyskretną dystynkcję dygnitarza *incognito*. Szukam długo w pamięci, skąd znam to marzenie.

— Czy dawno wyjechał pan z Litwy?

— Równy przed rokiem.

1907-9: Najbardziej ubogie i zaniedbane prowincje imperium rosyjskiego, rządzone przez niemiecko-petersburskich baronów przy pomocy rosyjskiej policji. Czarne wsie ukryte w lasach. Kurne chaty. *Village nègre*. Gdzieniegdzie zgłiszcza wsi spalonych.

1919-1920: Jeszcze więcej zgliszcz. Zdewastowane lasy. Miasta w ruinie. Całe dzielnice puste. Martwe domy bez drzwi i okien. Na murach niskie ślady kul wskazują, gdzie „stawiano pod sienku”.

1922: Całkowicie odbudowane i starannie zamiecione miasta. Planty i gazony. Na wsi wszędzie nowe domy kryte dachówką. Uderza niezwykła taniość i rozmaitość środków spożywczych.

Takiej metamorfozy nie widziało żadne z wielkich mocarstw. W mniejszym stopniu i przy większej nierówności społecznej przeszły ją później inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Tak całkowita i nagła metamorfoza dnia powszedniego mogła być dokonana tylko przez kumulującą się w ciągu pokoleń potęgę tego samego marzenia, które niósł z sobą na wygnanie mój rozmówca w kalesonach.

Odżywianie się w Deutsches Museum stoi na poziomie umywalni. W ciemnej jadalni nieumyte stoły i ławy. Przed bufetem tworzy się długa kolejka. Aby otrzymać swą porcję, trzeba mieć własne naczynie. Kto go nie posiada, nie może jeść. Stara litrowa puszka jest skarbem. W kuchni można za protekcją pożyczyć taką puszkę na pół godziny. Porcje są ograniczone pojemnością naczynia. Moja menażka ma pojemność 1/3 litra.

Z rana dostaję ćwierć funta białego chleba i jedną trzecią litra białej kawy ze skondensowanym mlekiem. Na obiad taka sama ilość chleba i gęstej owsianki. Po kilku tygodniach takiego wiktus skorbut wyjada się nieunikniony. Niewielu jednak hospitantów doczeka swego skorbutu w obozie. Pierwszego wieczoru w sypialni zjawia się komisja, która sprawdza dokumenty i — kierując się nieznanymi bliżej kryteriami — odbiera części uchodźców ich legitymacje obozowe i każe im następnego ranka opuścić Deutsches Museum. Los ten spotyka i mnie. Uchylam się odeń przez odwołanie się do Zarządu, który przecież przed paru godzinami pozwolił mi na trzydniowy pobyt w obozie. Pytam wydalonych, dokąd pójdą następnego dnia ale żaden z nich nie umie mi o tym nic powiedzieć. System — jakkolwiek mniej brutalny — jest więc tu taki sam jak w Salzburgu.

Od starszych bywalców Deutsches Museum dowiaduję się że wiele zmieniło się tu na gorsze od lata, kiedy uchodźców traktowano mniej brutalnie i odżywiano nierównie lepiej. Zmiany te tłumaczą chęcią władz okupacyjnych pozbycia się za wszelką cenę uchodźców z Europy Wschodniej i zmuszenia ich głodem i złym traktowaniem do wyjazdu do zony sowieckiej.

Życie jednak płynie na wspak życzeniom amerykańskich okupantów. Wieczorem w hallu wejściowym widzę długą kolejkę

nowoprzybyłych, jeszcze bardziej nędznych i obdartych od starych hospitantów obozu. Wszyscy przyjechali świeżo z zony sowieckiej.

Naprzeciwko Deutsches Museum, na drugim brzegu Izary, stoi miejski zakład kąpielowy, das Volksbad. W zarządzie obozu — udzielając jednej z tak licznych w Niemczech niecisłych informacji — radzą mi nie korzystać z umywalni obozowej, ale udać się w tym celu do Volksbadu.

Miejski zakład kąpielowy, ufundowany niegdyś przez jednego z Wittelsbachów, jest budynkiem względnie nowym, obliczonym na to, co Niemcy nazywają *Massenbetrieb*. Za kąpiel płacę przy wejściu 75 fenigów. Całe wnętrze budynku — wraz z ogromnym hallem o kamiennej posadzce — wypełnia mdłe, wilgotne ciepło. Na ławkach i schodach siedzą setki osób. Łaziennicy wywołują numery biletów. Patrząc na mój i stwierdzam, że od kąpeli dzieli mnie jeszcze 400 numerów. Tyle mniej więcej osób czeka na schodach, prowadzących do wanien. Po kwadransie obliczam, że do końca dnia będzie mogła wykąpać się w najlepszym razie połowa czekających. Oglądam jeszcze raz mój bilet i widzę, że jest ważny tylko na dzień dzisiejszy. Nikt się tym jednak nie zraża. Wszyscy czekają spokojnie i cierpliwie, w nieruchomych postawach. Wielu czyta książki.

Przyglądam się uważniej tej dziwnej publiczności, mało podobnej do tej, jaka oblega dworce kolejowe i tłoczy się w tramwajach. Długie włosy, szczupłe, matowe twarze, chude ręce o czystych paznokciach. Poznają w nich resztki inteligencji monachijskiej, dawnych słuchaczy Maxa Schelera, towarzyszy zabaw Huga Ball'a, bywalców café Stephanie i koncertów w sali Vier Jahreszeiten. Co im zostało z tych dni, prócz wspólnej całej inteligencji ułomności zwanej kryeschezją, to jest nadmiernej wrażliwości na zimno? Długie, nieruchome godziny, jakich wymaga praca myśli, są nieznośne w nieogrzewanym mieszkaniu. Nigdy zaś może myśl nie wymagała tylu nieruchomych godzin skupionego wysiłku, co dziś. Już sama bierna obrona myśli od bólu, jakim przeszywa ją narastanie chaosu, wymaga długiego, uporczywego skupienia, oswojenia dzikich skoków historii, ułożenia szarpiących wyobrażeń zjawisk w formę, pozwalającą chociażby na ich przytomną enumerację. W poszukiwaniu dobroczynnego ciepła, inteligencja monachijaska wykupuje beznadziejne bilety kąpielowe, aby spędzić kilka godzin w ogrzewanym budynku. Nie słychać w nim żadnych rozmów. Wszyscy trwają w milczącym oczekiwaniu.

Patrząc na tyle znanych jako *species* twarzy, przypominam sobie pierwsze spotkanie z monachijską inteligencją. Przed trzydziestu kilku laty pociąg przywiózł mnie z Wiednia wczesnym rankiem, w ciepły jesienny dzień. Jadąc do głównego ośrodka

artystycznego Niemiec, ubrany byłem w czarną welwetową kurtkę i krawat Lavallière. W tym stroju szedłem powoli z dworca w kierunku Schwabingu, szukając po drodze pokoju do wynajęcia. W okolicy Königinplatz, o kilka kroków przede mną zatrzymał się otwarty automobil, obwieszony girlandami róż. Wsiadł zeń człowiek lat trzydziestu, będący tworem pośrednim między Alcybiadesem i Filipem Eulenburgiem, za nim zaś dwóch efebów o ruchach miękkich jak koty. Wracali z całonocnej hulanki, byli bladzi. Spojrzenia ich były zarazem euforyczne i skupione, jak przystało młodzieży, która podjęła zadanie ścigania w automobilu nieuchwytnego snu o Grecji.

Chciałbym wiedzieć, czy jeden chociażby z trzech efebów jest dziś jeszcze przy życiu. Byłby mniej więcej w moim wieku. Jeżeli dobroczynne szaleństwo nie zamroczyło mu umysłu, życie jego musiało być nieustannym cierpieniem. Być może zdawał sobie sprawę, że ich groteskowy automobil zbliża się do miejsca katastrofy według napisanej już wówczas recepty ministra tego całego pokolenia, R. M. Rilkego:

Denn das Schöne ist nichts als des Schrecklichen Anfang.

Tego ranka już tylko niespełna dwa lata dzieliły ich od wybuchu pierwszej wojny, 11 lat od pierwszego Putschu Hitlera i 34 lata od zagłady miasta.

22 listopada

Zapoznając się z nową topografią miasta lub raczej jego ruin. Centrum handlowe, które oglądałem wczoraj, leżące między dworcem i Sendlinger Torplatz, jest prawie zupełnie zniszczone. Gdzieś tam tylko widać niewielkie wysepki domów zamieszkałych. Życie przeniosło się na południe miasta, gdzie stoją jeszcze nieknięte całe dzielnice. Zarząd wojskowy Bawarii — *Military Government* — mieści się jeszcze dalej w Bogenhausen, mało dawniej znanym przedmieściu o charakterze willowym, leżącym za Izarą, na wzgórzach dokoła obserwatorium.

Ani Bogenhausen, ani ocalałe dzielnice handlowe nie są jednak właściwym Monachium i mogłyby się równie dobrze znajdować w każdym innym mieście. Niektóre ulice handlowe, zwłaszcza w ich obecnym stanie zaniedbania, przypominają nawet naszą Muranowską. Właściwym środkiem miasta, stanowiącym o jego indywidualnym obliczu, było jego centrum monumentalne, powstałe z szaleństwa architektonicznego Ludwika II. Dzielnica ta rozciąga się na znacznej przestrzeni w kierunku Schwabingu, na pół-

noc od dworca i Frauenkirche. Kto był chociażby jeden dzień w Monachium, tę dzielnicę najlepiej pamięta.

Zbliżając się do niej, mam przeczucie, że zniszczenia muszą tam przechodzić wszystko to, co widziałem dotąd w Niemczech. Z daleka już, patrząc w przerwy między ruinami, widzę Frauenkirche, wyglądającą tak, jak gdyby stała samotnie na niewielkim wzniesieniu. Nigdy przed tym jej tak nie widziałem. Według mej pamięci otaczały ją wąskie uliczki o 6-ciopiętrowych domach. Cała ta dzielnica więc musiała zostać zrównana z ziemią.

Stare wyrażenie, „zrównać z ziemią”, nie odpowiada dokładnie zniszczeniom powstałym wskutek nalotów bombowych. Zburzone przez wybuchy domy murowane tworzą nieraz wcale okazałe pagórki gruzu. W ruinach konstrukcji żelazobetonowych nad rumowiskiem wznoszą się jeszcze szczątki żelaznego rusztowania, wiszące w powietrzu kłębowisko poplątanych szyn i rur. Dopiero po mozolnym uprzątnięciu gruzów dzielnica jest istotnie zrównana z ziemią. W pierwszych latach wojny, po każdym bombardowaniu, natychmiast uprzątno gruzu. Używano do tego dźwigarów, jadących na gąsienicach. Ślady ich, które brałem zrazu za ślady tanków, widać wszędzie na asfaltowych brukach. W ostatniej fazie wojny narastające masy gruzów przerosły szybko zdolności transportowe przedsiębiorstw, zajętych ich uprzątnięciem. Poprzestano więc na uwalnianiu od gruzów jezdnii ulic, w celu utrzymania komunikacji. Wreszcie uprzątno tylko główne arterie. Gdzieś tam poprzebijano przez ruiny wąskie przejścia dla pieszych, dla stworzenia łatwiejszego dostępu do grup domów jeszcze zamieszkałych. Miejscami przejścia te łączą się ze sobą, przecinając całe dzielnice i tworząc zupełnie nowe arterie komunikacyjne.

W miarę jak posuwam się naprzód, drożność ulic maleje. Trafiam na ulice zupełnie zatarasowane gruzem i zamknięte dla ruchu. Na innych rumowiska sięgają połowy jezdnii. Domyślam się że środek miasta musi być niezamieszkały i przebijanie doń dostępu nie jest pilne. Widzę coraz mniej przechodniów. Wreszcie jestem sam i słyszę — jak w nocy — echo własnych kroków wśród murów.

Na koniec wychodzę z murów i mam przed sobą otwartą przestrzeń placów otaczających niegdyś muzea. Stojące tu z rzadka ruiny mają zupełnie inny charakter i przypominają szczątki świata starożytnego. Nawet leżące w gruzach szaleństwo budowlane Ludwika II nosi rysy sławnych pierwowzorów. Obok szczątków Glyptoteki, na szerokich kamiennych płytach bruku leżą strzaskane kolumny i olbrzymie kamienne głowy posągów z greckimi brodami. Obie pinakoteki są zburzone. Po pożarze każda z nich

dostała nadto po jednej bombie wybuchowej, która zostawiła wyrwę w środkowej części budynku. Przez wyrwy te widać wewnątrz pustkę po zawalonych piętrach. Pokryte kraterami bomb i usypane kamieniami trawniki porośły dzikim chwastem. Jedy- nym zachowanym pomnikiem jest obelisk na Karolinenplatz. Wy- soka iglica z czarnego kamienia stoi samotna wśród ruin. Jej smukły kształt oparł się widocznie naporowi powietrza, który obalił mury otaczających domów.

Na północ od dzielnicy muzeów widać wyłącznie niemal dzia- łanie bomb zapalających. Killkadziesiąt ulic stoi na pozór całych. Są to jednak tylko szkielety domów. Przez wszystkie okna widać wewnątrz niebo. Na rogach ulic można gdzieniegdzie czytać jesz- cze ich nazwy, martwe jak na nagrobkach. Mimo południowej pory pustka całkowita. W całej dzielnicy więc nie ma ani jednego ocalałego mieszkania.

Przez całą godzinę wędruję po znajomych niegdyś ulicach. Mieszkało tu zamożne mieszczaństwo, abonenci monachijskiej *Jugend*, czytelnicy Ottona Juliusza Bierbauma, kolekcjonerzy obra- zów i mebli, posiadacze prywatnych bibliotek. Niemcy nie znają kryzysów mieszkaniowych, i ludzie zamożni posiadali nieraz bar- dzo obszerne mieszkania, wypełnione gromadzonymi od kilku po- koleń meblami. Objaśnia mi to, czemu właśnie ta dzielnica padła od razu pastwą płomieni. W całej kamienicy mieszkało tu niegdyś po kilkanaście lub nawet tylko kilka osób, przeważnie starszych. Wojna wypędziła z nich resztę młodzieży. Przy tak rzadkim i mało przedsiębiorczym zaludnieniu obrona bierna była niedostateczna i bomby zapalające mogły od razu obrócić w pustynię całą dzielnicę.

Zupełnie inaczej wyglądają gęsto zaludnione dzielnice robot- nicze. Puste są tam jedynie domy zrujnowane przez bomby wy- buchowe. Wszystkie inne, nawet częściowo uszkodzone przez pożary i ciśnienie powietrza, są jako tako naprawione i zamiesz- kałe. Ludność broniła tam swych domów, ustępując dopiero przed bombą wybuchową. Każdy dom z jego łatanym dachem i okopco- nymi facjatami jest tu świadectwem walki ludności o swe miesz- kania. Walka ta nie była bezskuteczna, bo żadna z widzianych przeze mnie dzielnic robotniczych nie jest ruiną totalną, całkowi- cie niezamieszkałą. Dodać należy, że ekscentryczne dzielnice ro- botnicze — jak np. Pasing — mało stosunkowo ucierpiały od bomb.

W zamożnym niegdyś centrum nie widać żadnych śladów walki. Całe ulice stoją nietknięte przez wybuchy, ale całkowicie spustoszone przez ogień.

To samo dotyczy dzielnicy muzeów, gdzie ludność była jeszcze

rzadsza. Na otaczających je skwerach widać wejścia do prymitywnych schronów podziemnych, mówiących raczej o ucieczce, niż o obronie.

Widok tej części miasta nasuwa mi różne refleksje.

Dla wyżej przytoczonych motywów dzielnica muzeów i przyległa do niej część miasta przedstawiały dla lotnictwa punkt najmniejszego oporu, gdzie same bomby zapalające powodowały całkowite zniszczenie. Na próżno jednak szukam w myśli celu, jaki stawiało tu sobie lotnictwo bombowe. Jak okiem zajrzeć, nie ma tu żadnych obiektów wojskowych, ani przemysłowych, żadnych biur administracyjnych. Bardzo wątpliwe też wydają się cele pośrednie nalotów, jak stworzenie trudności komunikacyjnych — bo żadne ważne arterie tu nie przechodzą — lub powiększenie ludności bezdomnej — bo tu właśnie było jej najmniej. Dla tych przyczyn brakło też tutaj biernej obrony przeciwlotniczej. Mieszkający tu bawarscy mieszczaństwo i szlachta nie przedstawiali dla władz hitlerowskich żadnej wartości.

Naloty na tę część miasta musiały więc mieć inny cel pośredni, związany z tradycjami miasta i jego znaczeniem w życiu Niemiec.

Tu wśród reminiscencji budowlanych greckich i włoskich, Niemcy poszukiwali długo samych siebie. Z poszukiwań tych wyrosła pewna wersja cywilizacji germańskiej, przeciwstawiająca się przez kilka pokoleń wersji pruskiej, która wzięła górę w czasach Bismarcka.

Cywilizacja germańska mimo wszystkie próby jej ujednostajnienia, posiada wciąż kilka wersji historycznych i nie jest związana z losem jednej stolicy. Z różnorodności płynie jej zdolność i nadzieja odnowienia. Kiedy militarna wersja pruska wyczerpie się w bezpłodnych walkach o panowanie nad światem, cywilizacja germańska odnowi się, być może, ze swej wersji nadreńskiej, austriackiej, bawarskiej, saskiej, hanzeatyckiej... Odnowa musi powstać naprzód w myśli ludzi żywych, kto jednak zna historię wielkich prądów naszej cywilizacji, renesansu, klasycyzmu, romantyzmu, ten wie, ile myśl zwykła czerpać z budynków i pomników. Czy bez starego Drezna, Monachium i Frankfurtu Niemcy potrafią wrócić do źródeł swej cywilizacji przedbismarckowskiej i do tkwiącej w niej siły odnawiającej?

Naloty na stare dzielnice były zatem groźbą: jeżeli nie skapitulujecie natychmiast, pozbawimy was przeszłości, zasypimy gruzami dostęp do źródła waszych tradycji i nadziei. Dziś wiemy, że ani groźba, ani jej wykonanie nie odniosły na razie żadnego skutku. Stało się to przede wszystkim dlatego, że Niemcy hitlerowskie nie miały zamiaru bronić przeszłości i tradycji. Ich naro-

dowy socjalizm, podobnie jak komunizm sowiecki, powstał z prądów antyhistorycznych i patrzył na tysiąc lat naprzód, nie oglądając się za siebie.

Skutki systematycznego burzenia starych miast przez lotnictwo ukażą się zapewne dopiero w przyszłości. W wyniku ich uległa proletaryzacji część ludności zamożnej, najbardziej związana z tradycją i znikła połowa pomników cywilizacji germańskiej poprzedzającej hegemonię Prus. Trudno przewidzieć dziś, czy fakty te będą miały rozstrzygający wpływ na przyszły rozwój wewnętrzny Niemiec. Rozstrzygający, lub nie, wpływ ten będzie popychał Niemcy w kierunku nowego antyhistorycyzmu i nowych odmian narodowego komunizmu. Widok ruin monachijskich uświadamia mi, że wojna została wygrana przez mocarstwa pozaeuropejskie, których ludność nie ma żadnej przeszłości i nie wie, na co taka rzecz może się przydać. Przypomina mi to rozważanie angielskiego historyka na temat, w jakim celu Dżengis-Chan masakrował ludność podbitych krajów. Nie znajdując żadnego rozumnego objaśnienia tego zjawiska, historyk zadawał się przypuszczeniem, że — jako szef barbarzyńskich nomadów — Dżengis-Chan nie znał wartości pracy i nie wiedział, co począć z takim mnóstwem ludzi.

23 listopada

Do karawanseraju w Deutsches Museum przybywają już od rana nowi uchodźcy z zony sowieckiej. W hallu wejściowym można by prowadzić wcale dokładną kronikę wypadków w całej Wschodniej Europie. Mam wrażenie, że nikt się tym nie interesuje. Ludy Zachodu oddały wschodnią część kontynentu Sowietom, uważają tę sprawę za załatwioną i utraciły wszelką ciekawość do tego, co tam się dzieje. Jakie pismo drukowałoby dziś taką kronikę?

Do naszej sypialni przychodzi z rana dezertor z polskiej milicji ludowej. Jest byłym uczniem szkoły średniej, wygląda na lat 17 i znajduje się w stanie zupełnego wyczerpania. Leżąc na przy- czy, słabym głosem opowiada mi swoją smutną historię.

Latem został zmobilizowany i po krótkim wyszkoleniu wcielony do samodzielnego batalionu milicji, mającego za zadanie zwalczanie bandytyzmu. Wspólnie z taką samą jednostką sowiecką batalion ten zostaje wysłany na Lubelszczyznę.

— Od chwili wyjścia z koszar, — powiada, — nie dostaliśmy ani jednej porcji żywności. Nasi sowieccy koledzy, przywykli do życia na koszt ludności, grabili spotykane po drodze wsie. Z po-

czątku wstydziliśmy się grabić swoich, ale po kilku dniach wielu z nas z trudem tylko trzymało się na nogach. Zaczęliśmy więc rabować też na swoją rękę i tak przeszliśmy znaczny szmat kraju. Wreszcie stanęliśmy przed lasami, w których ukrywała się szajka bandytów. Przez dwa dni oba bataliony posuwały się ostrożnie w głąb lasu, na pozór zupełnie pustego. Na trzeci dzień doszliśmy do kryjówek bandytów i zawiązała się walka. Tak zwani bandyci okazali się wytrawnymi żołnierzami uzbrojonymi i wyszkolonymi nierównie lepiej od naszej milicji. Batalion nasz został całkowicie rozbity i po szybkiej ucieczce przy dowódcy zostało tylko 26 milicjantów. Niewiele lepiej wyglądał towarzyszący nam batalion sowiecki. Tego dnia postanowiłem uciec do Niemiec i zacząłem szukać stosownej okazji, aby nie narazić na prześladowania bliskich sobie osób, bo rodziny milicjantów uważane są za zakładników.

Z rana idę do przyjaciół, których szukam na próżno od dwóch dni. Tym razem zastaję ich w domu. Idziemy razem do ich znajomych, przybyłych świeżo ze Wschodu. Słucham obszernej relacji o przebiegu wypadków w Europie Wschodniej po 1942 roku. Wieczorem dopiero wracam do karawanseraju w Deutsches Museum, z którym, mimo zaproszeń przyjaciół, nie chcę się rozstać.

Opowiadania moich nowych i starych przyjaciół obalają wszystkie prawie moje dotychczasowe pojęcia o froncie wschodnim, znanym mi dotąd jedynie z komunikatów i komentarzy tzw. ekspertów wojskowych.

Dowiaduję się, że kryzys frontu wschodniego zaczął się już jesienią 1942 roku. Jego przyczyną była polityka partii i wojska, dążąca do wytępienia ludności na wschodnich terenach okupowanych. Zagrożona nią ludność zaczęła uciekać, gromadząc się zwłaszcza w strefie leśnej, rozciągającej się między Bałtykiem i Karpatami.

Latem 1942 w lasach powstał ruch partyzancki. Pierwszymi jego organizatorami były drużyny bojowe Ukraińców galicyjskich, którzy — po nieudanym proklamowaniu niepodległości we Lwowie latem 1941 i represjach niemieckich — znaleźli się w otwartym konflikcie z okupantami.

Organizacja partyzantów posiada dwa piętra. Pierwsze tworzy uzbrojona i wyszkolona ludność rolnicza terenu, broniąca swych gmin i podstawy aprowizacyjnej ruchu. Drugie tworzą oddziały lotne, gromadzące się w punktach zagrożonych.

Broniąc strefy leśnej, przez którą przechodziły wszystkie drogi idące na front, partyzanci stworzyli na tyłach niemieckich niepokonane trudności transportowe i organizacyjne. Reakcje armii niemieckiej, ekspedycje karne, palenie wsi i „niszczenie” lud-

ności nie odniosły skutku. Odcięty od swych tyłów front niemiecki zmieniał się z biegiem czasu w coraz cieńszy łańcuch, tzw. *Igelstellungen*, których garnizony, przywiązane do nagromadzonych zapasów żywności i materiału wojennego, traciły coraz bardziej zdolność manewrowania. Pod pierwszym silniejszym naciskiem wojsk sowieckich w 1943-44 front ten załamał się jak domek z kart w ciągu kilku tygodni.

Nadciągającej za uciekającymi Niemcami armii sowieckiej również mało dogadzała obecność na jej tyłach partyzantów. Pierwszym odruchem czerwonych była próba likwidacji partyzantów *manu militari*. Małe powodzenie tej próby i pilne zadania inne, stojące przed armią sowiecką, zmusiły ją do zmiany taktyki i unikania wojny otwartej z partyzantami. Na większą skalę działania zbrojnego podjęto przeciw nim dopiero w październiku 1945 roku.

Nie jest rzeczą łatwą wywabić z lasów i rozbroić ludzi, którzy przez cztery lata stawiali opór armii niemieckiej i swej straszliwej wolności leśnej poświęcili dom i rodziny, spalone żywcem przez SS-ów. Aby nakłonić ich do wyjścia z kryjówek, wypadało proponować im coś innego niż to, co mogła im ofiarować okupacja sowiecka.

Na przykładzie partyzantów widać granice terroru, działającego najbardziej przez wyobraźnię. Ze strachu umierają najczęściej w łóżku, w ciepłym mieszkaniu. Przed plutonem egzekucyjnym wszyscy prawie odzyskują odwagę, zachowując się z godnością i prostotą.

W celu złamania moralnego okupowanego kontynentu, Niemcy wprowadzili system zakładników, bezwzględne tępienie opornych wraz z rodzinami, palenie wsi i masowe przesiedlania ludności, uciekając się od razu do środków, które sam Machiavelli uważa za ostatnie rekursy dyktatury, wątpiąc, aby znalazło się wielu despotów, chcących utrzymać się przy władzy za taką cenę. Granica skuteczności terroru została szybko przekroczona, i Niemcy znaleźli się wobec woli oporu, na którą przestała działać obawa represji. Opór zbrojny i ruch partyzancki pojawiły się wszędzie jako samorzutna twórczość ludowa, reakcja ludności kontynentalnej na bezprawie i okrucieństwo okupantów.

Swą siłę moralną opór zbrojny czerpał stąd, że odpowiadał jasno na ciężące wszystkim pytania o nadziei i wolności. „Czy system władzy, opartej tylko na samej przemocy, może się długo utrzymać?” Pytania te tłoczyły się we wszystkich głowach. „Nie”, odpowiadali partyzanci, „system ten nie da się utrzymać i my sami obalimy go lub przetrwamy”. W ustach ich odpowiedź ta miała szczególną wagę. Partyzanci palili za sobą mosty i wchodzili na drogę bardzo niebezpieczną, wymagającą najdokładniej-

szego obliczenia sił swoich i przeciwnika. Powodzenie — chociażby częściowe — ich akcji ujawniało niewidoczną przedtem granicę potęgi największych mocarstw świata i szerzyło nadzieje, jakich, rzecz prosta, nie mogły obudzić wykrętne i nieszczerze obietnice mężów stanu.

„Czy milczące oczekiwanie, w jakim trwa ludność kontynentu, nie jest już uznaniem istniejącego porządku?” — pytali inni. „Jeżeli uznamy, chociażby tymczasowo, narzucony przemocą porządek, czy powrót do wolności będzie kiedykolwiek możliwy?” Wielu ludzi prostych sądziło i sądzi nadal, że czasowa nawet rezygnacja z ich praw grozi utratą wolności na długie okresy czasu, i że w konsekwencji najważniejszym zadaniem kontynentu jest nieuznawanie pod żadnym pozorem faktów dokonanych i porządku narzuconego siłą zbrojną. Dopóki opór czynny istnieje, jasne jest, że porządek ten nie jest trwały ani uznany, skoro tylu młodych i starszych ryzykuje życie w akcji protestacyjnej. Dlatego zasięg ruchu oporu jest znacznie większy, niż liczba jego aktywnych uczestników. Sprzyjają mu wszyscy, którzy w myśli swej nie kapitulowali przed siłą i widzą w oporze zbrojnym zadatek powrotu do wolności i legalności władzy.

Jak każda samorzutna improwizacja ludowa, opór zbrojny posiada swe blaski i cienie. W jego okrytych tajemnicą szeregach sąsiadują często idealisci, bohaterzy, bandyci i prowokatorzy. Siła jego — jak mówiliśmy — nie leży jedynie w naturze jego czynów, lecz w sytuacji ogólnej, z której ruch ten wzięł początek.

Nieraz już widziano, że w okresach bezprawia i przemocy lud widział obrońców swych raczej w zuchwałych rozbójnikach niż w krzywoprzysiężnych sędziach i gubernatorach przehandlowanych między cesarzami prowincji. Dziś Europa weszła znów w jeden z takich okresów.

Takie były przesłanki powstania oporu zbrojnego na całym kontynencie. W jego części wschodniej, gdzie presja okupantów była bardziej bezwzględna i tradycja nielegalności silniejsza, ruch ten przybrał większe rozmiary i zaważył znacznie — być może rozstrzygająco — na przebiegu wypadków wojennych. Początki oporu zbrojnego były podobne na całym kontynencie, dalsze jego losy były jednak zgoła odmienne na Wschodzie i na Zachodzie Europy.

Na Zachodzie opór zbrojny doczekał się oficjalnego uznania, został obsypany kwiatami i orderami, aby powoli, wraz z powrotem do legalności, złożyć w koszarach swe kaemy i bądź wciągnąć się w szeregi armii regularnej, bądź też wrócić do życia cywilnego... W Europie Wschodniej zabrakło legalności i innych wa-

runków niezbędnych do powrotu partyzantów. W tej części Europy opór zbrojny nie znalazł żadnego, nawet milczącego uznania. Zastanawia np. fakt, że prasa anglo-amerykańska jednomyślnie nazywa „bandytami”, „faszystami” i „własowcami” partyzantów, którzy podczas wojny położyli tyle zasług dla Aliantów, paraliżując od wewnątrz armię niemiecką. Samorzutny ludowy ruch oporu przeciw bezprawiu i przemocy nie znalazł w opinii Zachodu żadnego zrozumienia, ani zainteresowania.

Fakt ten także przypuszczać, iż istniejący dzisiaj jawnie rozdzźwięk między Wschodem i Zachodem nie ogranicza się do kontrowersji dyplomatycznych, ale sięga nierównie głębiej. Wzajemna pogarda i lekceważenie ogarnęły szerokie warstwy ludności, schodząc aż do głębi lasów i błot, gdzie nikt przedtem nie słyszał o przeciwstawnościach cywilizacji wschodniej i zachodniej.

Przepaść dzieląca dziś Wschód i Zachód otwiera się na każdym kroku pod naszymi stopami. Na uchodźców ze Wschodu władze okupacyjne anglo-amerykańskie patrzą dziś mniej więcej tak, jak nazi patrzyli na Żydów i Cyganów. Nie palą ich wprawdzie w krematoriach, ale — co nieraz na jedno wychodzi — odmawiają im prawa azylu, starają się *so oder so*, jak mawiał Hitler, odstawić ich z powrotem na linię demarkacyjną, z całkowitą pogardą dla życia i godności człowieka.

Przymusowe odesłanie do Unii sowieckiej opierających się powrotowi jeńców i robotników wydało nieobliczalne i nieprzewidziane następstwa. Wielu z nich już nie żyje. Inni wędrują przez niezmierzone równiny, głosząc po drodze swą smutną historię. „Anglicy i Amerykanie”, powiadają, „są prawdziwymi handlarzami krwi ludzkiej. Dopóki byliśmy im potrzebni na mięso armatnie, obiecywali nam wolność. Kiedy się wojna skończyła, pędzą nas do rzeźni, aby zaoszczędzić na naszym wyżywieniu”. „Wszystko to, aby móc lepiej karmić Niemców”, dodają drudzy. Opowiadania te znajdują, oczywiście, większy posłuch niż prasa urzędowa. Słuchacze przypominają sobie, że ministrowie angielscy i amerykańscy, cierpliwie czekający w przedpokojach Kremla z kapeluszami w ręku, nie znaleźli żadnych słów pociechy i nadziei dla obywateli Unii sowieckiej. „Co mieli nam mówić?”, powiadają. „Czy się mówi do połędwicy? Nie. Aby ją kupić, trzeba mówić z rzeźnikiem. Anglicy i Amerykanie jeździli do ojca Stalina kupować nasze mięso armatnie i aby dobić targu, gotowi byli na wszystkie ustępstwa, zwłaszcza kosztem innych krajów”.

Przyjeżdżający ze Wschodu przywożą liczne echa takich konwersacji. Nie trudno się domyśleć, jak niewygodnie jest dziś władcom Kremla uchodzić za ludzi, którzy — chociażby za wysoką

cenę — sprzedali swych poddanych na mięso armatnie. Zrozumiała irytacja ich znajduje swój wyraz w arogancji okazywanej przez nich wczorajszym aliantom i broniącej ich poniekąd od takich podejrzeń.

Mit nienawistnego „kapitalisty”, krwawą ręką zgarniającego pieniądze pochodzące z krzywdy i przemocy, odżył znów w Unii sowieckiej, tym razem bez większego udziału propagandy oficjalnej. Stanowi on ważną część przygotowania psychologicznego Unii do przyszłego konfliktu między aliantami.

Czy konflikt ten nastąpi, czy nie, jest jasne, że napięcie między aliantami ogarnęło zbyt wielkie masy ludzkie, aby mogło być zażegnane przez szczęśliwą redakcję tej lub innej formuły dyplomatycznej. Stosunki między Wschodem i Zachodem Europy weszły w „czasy pogardy”, która powoli zaczęła trawić też opuszczoną przez wszystkich bogów zonę wpływów sowieckich. Być może miną pokolenia, zanim wzajemna pogarda ustąpi miejsca jakimś bardziej ludzkim uczuciom.

27 listopada

„Pan się jemu da poznać”, powiedział mi doświadczony przyjaciel, dając adres przemytników. W zawodzie tym nie ma notarialnych aktów, wszystko polega na zaufaniu i interesy robione są *ad personam*. Stosownie do tego, kto kim jest, można z nim wchodzić w te lub inne układy. Dlatego, zanim się przystąpi do rzeczy, trzeba się „dać poznać”, opowiedzieć coś w ogóle o sobie i o tym, jak świat jest zrobiony. Przemytnicy słuchają uważnie nie przerywając, i — zależnie od tego, co myślą o rozmówcy — przyjmują lub odrzucają jego propozycje.

Ten zwyczaj przemytników przychodzi mi na myśl z okazji wczorajszego spotkania z ukrywającym się na wsi sowieckim oficerem. Młody, żywy, przystojny, mój rozmówca jest też wykształcony, ukończył bowiem jeden z sowieckich fakultetów historyczno-filologicznych. Wychowany w warunkach, gdzie nieostrożne słowo może mieć nieobliczalne następstwa, jest niezmiernie ostrożny i powściągliwy w rozmowie. Przez dwie godziny rozmawiamy o literaturze i uniwersytetach, i dopiero po tym przezornym wstępie rozmowa nasza przybiera żywy i swobodny charakter.

Ze śmiechem opowiada mi o honorach, z jakimi traktowali go zrazu oficerowie okupacyjni, i o nagłej zmianie ich zachowania, kiedy okazało się, że nie chce wracać do kraju.

— Na Zachodzie jest już prawie tak samo, jak w Rosji. Od osoby źle widzianej w NKWD wszyscy uciekają, jak od za-

dżumionego. Nikt nie pytał mnie nawet, czemu nie chcę wracać. Sam fakt, że muszę być źle z NKWD, wystarczał.

Pytam go, czemu żołnierze sowieccy opierają się repatriacji. Udziela mi wyczerpującej odpowiedzi, odbiegającej znacznie od pochlebnego dla Zachodu i rozpowszechnionego tam mniemania, jakoby obywatele sowieccy zostali oczarowani wyższym poziomem stopy życiowej Europy Zachodniej. To, co żołnierze sowieccy widzieli w Europie, i co właśnie mam przed oczami, istotnie mało upoważnia do takich uogólnień.

Według mego rozmówcy, Unii sowieckiej łatwo było wystawić najbardziej przedsiębiorczą armię, gotową iść naprzód, chociażby na koniec świata. Ucisk i terror policyjny osiągnął w 1936-1939 najwyższe napięcie, i wszyscy mieszkańcy Unii marzyli o opuszczeniu miejsca zamieszkania i zejściu z oczu swoich nadzorców. Wielu najwyższych rangą i tysiące mniej znanych oficerów padło ofiarą czystek i egzekucji, wielu znajdowało się w więzieniach aż do bitwy pod Moskwą. Mój rozmówca przez wszystkie te lata czekał z dnia na dzień aresztowania i miał zawsze gotowy swój więzienny tobołek. W tych okolicznościach mobilizację powitano jako dzień wyzwolenia i możliwości ucieczki od wiszącego nad wszystkimi niebezpieczeństwa.

— W wojsku pełniłem służbę w oddziale rozpoznawczym brygady czołgów. Jakkolwiek regulamin tego ode mnie nie wymagał, starałem się zawsze towarzyszyć żołnierzom w ich wypadach. Dopiero po upływie kilku miesięcy zacząłem zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa związanego z tym rzemiosłem. Być samemu, przed frontem, z dala od nadzoru, wydawało mi się zrazu czymś upajająco nowym. Tam wreszcie czułem się wolny i stosunkowo bezpieczny.

Pytam go, co myśleli i jak się czuli oficerowie, jadący z więzień na front.

— Niemcy nie zostawili nam żadnego wyboru. Zwycięstwo ich było równoznaczne ze śmiercią i zagładą. Mobilizacja przyniosła nam nadzieję wolności, i tej nadziei musieliśmy bronić od Hitlera.

Rozmówca mój sądzi, że dla tych samych przyczyn, dla których mobilizację powitano jako wyzwolenie, demobilizacja nastęrczać będzie największe trudności. Kto chciałby wracać do warunków, w jakich zastał go wybuch wojny? Niebezpieczeństwo czystek i terroru zdawało się na pewien czas zażegnane, Anglo-Amerykanie jednak dostarczyli Stalinowi tyle laurów i zwycięstw politycznych, że stanowisko jego zostało bardzo wzmocnione, i powrót do stosunków z 1939 roku wydaje się znów nieunikniony. Jedynym ratunkiem wydaje się nowa wojna lub wytworzenie między Alian-

tami stałego napięcia, uniemożliwiającego demobilizację i powrót do stosunków przedwojennych. Z tych przesłanek powstała ostatnio w Unii sowieckiej silna partia wojenna, dążąca do dalszych podbojów, do wykorzystania koniunktury międzynarodowej lub przynajmniej do stworzenia sytuacji, wymagającej stałego pogotowia wojennego, zabezpieczającego armię od czystek i terronu.

Wobec niebezpiecznej tej ewolucji, Anglo-Amerykanie chcieliby wszystkimi drogami popierać Stalina i policję polityczną przeciw opozycji wojskowej. W tym celu gotowi byłiby zapewne udzielić rządowi stalinowskiemu większej pożyczki lub nawet wydać tajemnicę bomby atomowej. Wydaje się jednak wątpliwe, aby taktyka ta miała doprowadzić do pożądaných wyników, tj. do demobilizacji i uspokojenia Unii sowieckiej. Stalin nie może abdykować i wyjechać do przyjaciół na Florydę. Musi utrzymać się za wszelką cenę u władzy. W obliczu trudności musi lawirować, odraczać terminy, nie wiązać się niczym, rezerwując sobie nawet możliwość stanięcia samemu na czele partii wojennej.

Rozmowa nasza schodzi na inne tematy. Młody oficer opowiada mi o swej matce, która sama jedna ocalała z rozgromów i czystek, o swym dzieciństwie. Słuchając go, widzę znaną mi z dawnych lat niezmierną równinę, nad którą rozpostarł się dziś mrok w samo południe.

Wracając do miasta, myślę o naiwności polityków, manewrujących w przedpokojy dyktatora, jak gdyby decyzje o pokoju i wojnie istotnie leżały w jego ręku. Dyktator może rozstrzelać jeszcze jeden milion poddanych, ale nie może ani na chwilę wyrwać się z opisanego już tyle razy mechanizmu czystej dyktatury. Jeżeli mój rozmówca miał rację, rozumiem przyczynę pesymizmu, szerzącego się obecnie w Londynie. Zachód związał się nieopatrznie z obcym sobie i niezrozumiałym mechanizmem czystej dyktatury i myśl jego znalazła się — jak mówił Wells — *at the end of its tether*. Jakąkolwiek obierze taktykę wobec Unii sowieckiej, każda dziś będzie zła.

29 listopada

Augsburg. Miasto szeroko rozrzucone po równinie, dokoła starego centrum między widnymi z dala wieżami kościołów. Podobnie jak w Monachium od bomb ucierpiał najbardziej środek miasta. Wszystkie niemal stare domy leżą w gruzach. Dzielnice nowe, zwłaszcza robotnicze, stoją nietknięte. Obraz ten nie jest dziełem przypadku, bo bomby zrzucano precyzyjnie: wśród otaczających je ruin kościoły stoją nienaruszone. I tu więc chciano jak

gdyby oderwać miasto od jego przeszłości związanej z historią protestantyzmu.

Dzień jest suchy i mroźny. Żołnierze amerykańscy grzeją się przy ogniskach rozłożonych na bruku.

W mieście odbywają się nieustanne łapanki. W ciągu dnia muszę się osiem razy legitymować fantazyjnymi dokumentami, które dostałem w Monachium. Żołnierze przetrząsają kieszenie przechodniów w poszukiwaniu papierosów, nie interesując się na pozór niczym innym. Dowiaduję się, że od kilku dni brak im tytoniu, szukają więc go w kieszeniach przechodniów, którym sprzedali go przedtem. Mój zapas papierosów wyczerpał się już wczoraj. W tym samym położeniu znajduje się olbrzymia większość przechodniów. Żołnierze z niezadowoleniem kiwają głowami na widok pustych papierosnic.

Słyszę znów o indywidualnym wydawaniu uchodźców władzom sowieckim. Wielu z nich ukrywa się. Aby się z nimi zobaczyć, należy zwrócić się do miejscowego przedstawiciela nielegalnych, który według swego uznania organizuje ewentualne spotkania. Ponieważ przedstawiciele nielegalnych też nie wywieszają szyldu na ulicy i trzeba umieć ich znaleźć, spotkania z ukrywającymi się zabierają niemało czasu.

Po całonocnej podróży w wagonie bez okien przyjeżdżam do Frankfurtu. Tu również zniszczony jest całkowicie środek miasta. Zbliżając się doń od strony południowej, dojeżdża się tramwajem tylko do Affentorplatzu. Stamtąd, przechodząc Men po pontonowym moście, należy dostać się piechotą do Hauptwache, skąd można znów dalej jechać tramwajem. Między tymi dwoma punktami idzie się przez pagórki startej na proszek cegły, wśród których przebito krętą ścieżkę dla pieszych. Za punkty orientacyjne służą dwa kościoły, stojące samotnie wśród ruin.

Wieczorem cała ta dzielnica jest ciemna. Wchodząc w labirynt ruin, zapalam kieszonkową latarkę. Z mroku wynurza się kilka postaci, czekających szczęśliwego posiadacza latarki, aby z nim razem przejść na drugi brzeg Menu. Grunt jest nierówny, pełen wybojów i kamieni. Wielu potyka się w mroku, kalecząc ręce o cegły i poplątane żelastwo. Gruzy pokryte są warstwą ciemnego kurzu, który w wilgotne dni jest lepki. Skaleczenia powalane tą lepką masą stają się punktem wyjścia owrzodzeń i flegmonów. Na każdym kroku widać przechodniów z obandażowanymi rękami, gorączkujących. Całe kolejki ich stoją przed ambulatoriami szpitalów.

Mimo posiadania latarki — rzeczy niezmiernie rzadkiej w Niemczech — i ja mam na rękach i kolanach kilka nieogojących się skaleczeń, pochodzących jeszcze z Salzburga i Monachium. Mimo

starannych opatrunków w Frankfurcie, skaleczenia te przybierają szaro-brązową barwę i otacza je opuchnięta obwódka. Od miesiąca jem wyłącznie amerykański chleb, smalec i konserwy, mam więc wyraźne objawy awitaminozy.

Wieczorem znajduję w okolicach Frankfurtu dobrych przyjaciół i pierwszy raz od długiego czasu zasypiam w prawdziwym łóżku.

30 listopada

Znów wędruję przez ulice Frankfurtu. Dzień jest ciepły i mglisty. Spod gruzów przenika fetor poprzerrywanych przewodów kanalizacyjnych i trupów, rozkładających się w zasypanych piwnicach.

Trudno byłoby dziś odgadnąć, że przez 50 lat ostatnich Frankfurt był miastem, o którym marzyli mieszkańcy Prus. W Frankfurcie nad Odrą, w Kistrzyniu, nawet w Królewcu, tysiące myślały o wyjeździe na Zachód: do Nadrenii, Hamburga, Frankfurtu. *Drang nach Osten* był politycznym frazesem. W istocie, wewnątrz Rzeszy od 1880 ludność przesuwała się w kierunku zachodnim. Od czasów Bismarcka, mimo przewagi politycznej Prus, ludność tych ostatnich czuła się źle. Trawił ją niewytłumaczony smutek, który na próżno starano się zwalczyć egzaltując energię i dyscyplinę. Przypominam sobie rozmowę z młodym mieszkańcem Frankfurtu nad Odrą, w pierwszych latach Republiki:

— Niech pan spojrzy na te grusze po miedzach. Pod każdą zasypany jest jakiś trup. Czy tu można mieszkać? Wszyscy inteligentniejsi i bardziej przedsiębiorczy wyjechali już do Nadrenii. Zostali tylko głupi i niezaradni, jak ja.

Widziany z Prus, Frankfurt był ziemią obiecaną, łączącą w sobie starą kulturę, zamożność i nieograniczone możliwości rozwoju przemysłowego. Dziś brzegi Renu są miejscem zniszczenia i zagłady. Ocalałe z pogromu lotniczego fabryki są demontowane. Ziemia, która dwum pokoleniom wydawała się przyszłością Niemiec, zdaje się dziś nie mieć żadnego jutra.

Tłum, przesuwający się przez Hauptwache, słabe już tylko nosi oznaki dawnej zamożności. Szarym porankiem jesiennym wszyscy przechodnie wydają się bladzi i niedożywieni. Jedni idą powoli — w łachmanach — widocznie uchodźcy ze Wschodu — inni spieszą się jednak do jakichś zajęć. Po raz pierwszy w Niemczech widzę kilka kobiet w futrach. Futra te są przeważnie bardzo zniszczone. Delikatniejsze skóry nie wytrzymują dziś nawet jednej podróży koleją. Zachowały się więc tylko najmocniejsze gatunki, tu i ówdzie łysiejące wprawdzie, ale chroniące jeszcze od zimna.

— Szukam niemieckich znajomych. Młodszy z nich są przeważnie na emigracji, najmłodszy zginął na wojnie. Zostali tylko starsi, przywiązani do swych domów pełnych obrazów i mebli i nie mający już dość siły, aby zaczynać nowe życie na obczyźnie. Zamknięci w swych domach przeciwstawiali hitleryzmowi uporczywe milczenie i absentyzm.

Na zrujnowanej ulicy szukam jednego z tzw. patrycjuszowskich domów, który znałem z czasów Republiki. Na początku ulicy znajduję kilka domów noszących jeszcze numery. Zaczynając od nich, liczę dom za domem i odnajduję miejsce, gdzie stała niegdyś znajoma fasada. Przedzieram się przez gruzy oficyn i na miejscu głównego budynku znajduję krater do połowy wypelniony cuchnącą wodą.

Po kilkugodzinnych poszukiwaniach zdobywam wreszcie adres moich znajomych mieszkających dziś na odległym przedmieściu. Po dłuższej podróży tramwajem trafiam do nowej dzielnicy, przypominającej nieco warszawską kolonię Staszycy. Moi znajomi zajmują mały pokój pod schodami. Umeblowanie jego składa się z żelaznego łóżka, małego stolika, dwóch krzeseł i żelaznego piecyka, służącego także za kuchnię. Stoi na nim właśnie rondel, stanowiący cały sprzęt kuchenny.

Pani domu poznaje mnie od razu i ze zwykłą uprzejmością dodaje, że przychodzę w sam czas, bo dziś właśnie jej mąż obchodzi siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Z krzesła podnosi się żwawo pan o śmiejącej się jeszcze do życia twarzy satyra. I on poznaje mnie również. Rozmawiamy o nieobecnych członkach rodziny, rozproszonych na emigracji lub zaginionych. Na moje pytanie stary odpowiada, że z jego domu i zbiorów nie pozostało nic.

— Wyszliśmy tylko w piżamach i nic więcej już nie posiadamy.

Oczy jego są jasne, bez żadnej skargi lub żalu, być może nawet bez wspomnień.

Krótką rozmową z człowiekiem, któremu z całego majątku i przeszłości pozostał tylko dzień urodzin, i który przed sobą widzi jedynie nieokreśloną przestrzeń czasu, robi na mnie wrażenie kompozycji surrealistycznej, gdzie na miejscu wszystkich znanych, oszlifowanych przez wieki elementów pejzażu ukazuje się ogromna, niejasna przestrzeń, usiana niepokojącymi znakami.

3 grudnia

Słowa te piszę na cementowej podłodze schronu kolejowego w Karlsruhe.

Wczesnym wieczorem wyjechałem z Frankfurtu. Licząc się

z niespodziankami, przyszedłem na dworzec na dwie godziny przed odejściem pociągu, z biletem wykupionym poprzedniego dnia. W hallu zastałem już około 200 osób, stojących w kolejce przed wejściem na peron. Pierwsze miejsca w kolejce mogą dostarczać różnych korzyści. Można np. trafić z nich do przedziału posiadającego całe okno. Dla osób, wysiadających przed stacją końcową, przedziały takie nie są jednak bezpieczne, bo nieraz nie można się z nich wydostać na stacjach pośrednich.

Powoli tłum czekających dochodzi tysiąca osób. Na walizkach i tobołkach siedzą cierpliwie postacie, pozawijane w różnego rodzaju łachmany. Do odjazdu pociągu pozostaje jeszcze pół godziny.

Kontrolerzy mają nas właśnie wypuścić na peron, kiedy nadchodzi oddział pomocniczej policji kolejowej w niemieckich mundurach. Policjanci oświadczają, że mamy opuścić dworzec, bo właśnie podany został pociąg dla żołnierzy amerykańskich, jadących na urlop do Szwajcarii. Kiedy Amerykanie jadą na urlop, dworzec jest tylko dla nich. Inne pociągi przewidziane na ten czas po prostu nie odchodzą i czekają aż nowy *Herrenvolk* wyjedzie do Szwajcarii.

Tłum podróżnych milczy i nie rusza się z miejsca. Po kilku minutach wahania policjanci znajdują wyjście kompromisowe. Przynoszą drewniane bariery, którymi odpychają tłum robiąc pośrodku hallu szerokie przejście dla żołnierzy armii okupacyjnej.

Po chwili widzę pierwszych Amerykanów. Idą wesoło, każdy niesie w rękę lekki worek z płótna *kbaki*. Niektórzy wydają przeciągłe okrzyki, którym odpowiadają jak echo okrzyki z innych części dworca. Widać, że to nie Europejczycy, bo głosy ich nie są podobne do żadnych znanych mi nawoływań pastuchów starego kontynentu. Nareszcie więc widzę prawdziwych *cowboy'ów*.

Wyróżniają się wśród nich żołnierze kolorowi. Idą małymi grupkami, spokojnie i w milczeniu. Przedtem już zresztą zdążyłem zauważyć, że w całej strefie amerykańskiej Murzyni robią wrażenie najlepiej wychowanych. Skromni i uprzejmi, wolni od brutalności i arogancji nowych panów świata. Po godzinie *Herrenvolk* zostaje załadowany, i kolej przychodzi na innych podróżnych. Wszyscy spieszą w obawie, aby spóźniony pociąg nie odjechał bez nich. Kolejarze czekają jednak cierpliwie aż ostatni pasażerowie wtłoczą się do przepelnionych wagonów.

Po dwóch godzinach podróży przyjeżdżamy do Karlsruhe. Dworzec leży daleko od środka miasta, otoczony całą dzielnicą nieoświetlonych ruin. Nawet starzy mieszkańcy Karlsruhe nie odważają się iść do miasta i czekają świtu na dworcu. Dokładna znajomość miejsca jest tu mało użyteczna, bo ruiny są nowe dla **wszystkich**.

Na dworcu w Karlsruhe znajduje się dobrze zachowany schron kolejowy, tzw. bunkier. Jest to biegnący pod dworcem tunel, długi około 200 metrów, szeroki na 6-10. Z tunelu dworcowego prowadzi doń wąski, schodzący w dół korytarz. Mijamy trzy ciężkie, żelazne drzwi, zaopatrzone śrubami uszczelniającymi zamknięcie, aby zabezpieczyć schron od pyłu wybuchów i gorąca pożarów. Drugie, podobnie zabezpieczone wyjście prowadzi do ciemnych ruin dworca kolejowego. Schron posiada funkcjonujące jeszcze maszyny, tłoczące doń świeże, lekko ogrzane powietrze, przyzwoite latryny i nawet malutki bufet, w którym można dostać szklanek gorącego rumianku. Wzdłuż ścian stoją drewniane łóżka.

Schron zbudowany jest na 600-700 osób. Dziś musi ich mieścić trzy lub cztery razy więcej. Są to nie tylko podróżni. Szukają tu noclegu także bezdomni z miasta. Na łóżkach siedzą rodziny z dziećmi i starsze kobiety. Inni siedzą na swych tobołkach lub na cementowej podłodze. Inni wreszcie stoją oparci o ściany.

4 grudnia

O 7-mej rano pierwsze grupy pracujących zaczynają opuszczać schron. Przez drzwi wychodzące na zgliszcza dworca towarowego widać sinawy świt.

Noce w tunelach i bunkrach są podobne do spędzonych w gorącej nocy szpitalnych. Towarzyszy im to samo skażone przez majaczenie złe poczucie własnego ja, przerywane krótkimi chwilami niespokojnego snu i zakończone uczuciem ulgi na widok rannego brzasku.

Pod szpitalnym chałatem znikają szybko wszystkie różnice społeczne. Każdemu zostaje tylko umęczone gorączką i niepewne przyszłości ciało. Majątki, tytuły i godności zostają za bramą szpitala, i pamięć o nich nie przynosi żadnej ulgi ani nadziei. To samo na dworcu w Karlsruhe: żadne bogactwa, ani tytuły, nie mogą dać przyjezdnym noclegu ani wyżywienia. Posiadacze walizek pełnych złota, hrabiowie świętego imperium rzymskiego, czy bezdomni uchodźcy z fałszywymi papierami, wszyscy idą na noc do bunkra. Pod zmiętą i wytartą w tłoku odzież znikają różnice powstałe z majątku i pochodzenia. Przez krótki czas zarysowują się jeszcze różnice odporności fizycznej, ale wkrótce znikają i te. Wszystkich bierze w swą władzę to samo majaczenie, w którym granice dzielące ludzi jednych od drugich i od świata zewnętrznego stają się niejasne i płynne.

Niwelacja społeczna zmieniła całkowicie obyczaje niemieckie. W przypadkowych grupach nawiązują się natychmiast rozmowy.

Jak w powieściach Dostojewskiego, każdy opowiada swą historię. Wystarczy słuchać przez pół godziny, aby znać przeszłość i charakter wszystkich sąsiadów. Po chwili spostrzegam, że ja sam tylko zachowuję jeszcze pewną rezerwę. W niektórych grupach słyhać nawet śmiech, bynajmniej nie ironiczny, ale dobronudzny, szczery, nerwowo odprężony śmiech.

Śmiech ten słyszałem już nieraz w ciągu obecnej podróży. Rozmawiałem o nim z przyjaciółmi i znajomymi. Zjawisko to odsłania różne aspekty niwelacji społecznej. W katastrofie, która obróciła w gruzy nie tylko miasta, ale także budowę społeczną kraju, rozluźniły się tysiączne więzy, zmuszające przedtem do ostrożności i rezerwy. „Czy to nie zaszkodzi mojej karierze?“. „Co pomyślą o mnie zamożniejsi sąsiedzi?“ „Czy moja żona nie powie jakiegoś głupstwa?“ Wszystkie te pytania straciły nagle swój sens i rację bytu. Razem z nimi znikło to, co Freud nazywał *das Unbehagen in der Kultur*. Na zgłiszczach swej cywilizacji Niemcy poczuli się straszliwie swobodni.

Resztki opanowania i rezerwy stopniały wśród nocy spędzonych na wspólnie przeżywanych gorączkach i majaczeniach, gdzie nie można więcej ukryć słabości udręczonego ciała, i gdzie wstydlivość cofa się przed koleżeństwem.

Z rzadka już tylko widać osoby, które nie przeszły przymusu braterstwa. O kilkanaście kroków przede mną stoi oparta o ścianę młoda, elegancka kobieta w kapeluszu i futrze. Stoi wysoka, dumna, zamknięta w sobie, zdecydowana raczej stać całą noc, niż usiąść na cementowej podłodze wśród łachmanów i tobołów. Czas dłuży się jej bardzo. Koło północy patrzę na nią znów. Zamknęła oczy, aby lepiej izolować się w świecie, istniejącym w jej myśli. W dwie godziny potem widzę ją z otwartymi oczami, z lekka zgarbioną, z opadłymi ramionami, znużoną bardzo. Wzrok jej obiega uparcie skrawek cementowej podłogi pod jej stopami. Widocznie podłoga stała się dla niej neodpartą pokusą, z którą walczy ostatkiem sił. Wiem, że gdybym ofiarował jej moje na pół leżące miejsce, przebudziłaby się jeszcze z koszmaru i odrzuciła je ze wzgardą. Mijają nieskończone, długie godziny. Strzałki zegara posuwają się tak powoli, że kilkakrotnie sprawdzam, czy nie zatrzymały się zupełnie. Kiedy wreszcie podnoszę oczy, sylwetki kobiety w futrze już nie ma. Siedzi na ziemi z głową wtuloną w ramiona.

Obok mnie leży młoda robotnica, którą wzięłem za rękę i posadziłem obok siebie na ziemi, kiedy staniając się, na pół niewidoma, przechodziła w głąb bunkra. Czuć od niej dławiący zapach gorączki, fenolu i septycznych ran. Ma obandażowaną rękę, którą wczoraj operowano w ambulatorium.

O zmroku spotyka się często przechodniów, ogarniętych nagłą ślepotą i chwytających się murów. Jest to bądź tzw. kurza ślepotą anemicznych, bądź skutek schorzeń oczu, wywołanych przez bombardowanie. Wybuchy bomb rzucają z wielką siłą starte na piasek cegły i cement, które wbijają się w rogówkę. Zasypani w piwnicach i uciekający z płonących domów nie mają czasu oglądać swych oczu, i dopiero w kilka dni później uporczywy ból głowy daje im znać, że zapalenie rogówki, wywołane tkwiącymi w niej fragmentami cegły i cementu przeniosło się w głąb oka, powodując zapalenie tęczęwki. W tym stadium schorzenia usunięcie z rogówki obcych ciał wymaga delikatnych zabiegów, pozostawiających blizny, które powodują ślepotę o zmiernym.

Pod przeciwległą ścianą leży na podłodze kilku młodych chłopców w strzępach letnich mundurów. Półgłosem przypominają sobie epizody zimowej ofensywy Rundstedta w Luksemburgu, jedynej operacji, w której brali udział w krótki czas po wcieleniu do wojska. Chłopcy ci wydają się jeszcze biedniejsi od gorączkujących i niewidomych, obarczonych kalectwem hitlerowskiego wychowania i drapieźności, z których dziś została im tylko żrąca pustka wewnętrzna.

Podobnie jak w szpitalach, nie widać tu wcale osób tzw. nerwowych i niecierpliwych. Wszyscy zdają się być nieskończenie cierpliwi, życzliwi, wyrozumiali. Czy jest to nabyta w schronach dyscyplina koleżeństwa? Być może, ale jest to tylko jeden z aspektów tego zjawiska. Znajdujemy się tu w nowych i nieznanych dotąd warunkach gospodarczych i społecznych. Posiadanie złota nie daje żadnych korzyści, w braku towarów poza skromnym przydziałem żywności, która praktycznie niemal nic nie kosztuje. Jeśli ktoś zgubił portfel, towarzysze podróży dają mu bez wahania trochę banknotów, których miliardy znajdują się w obiegu. Nieliczni posiadacze prowiantu dzielą się nim zazwyczaj z sąsiadami. Jedynym towarem, znajdującym się jeszcze na rynku, jest życzliwość towarzysza niedoli, której kupić nie można, i na którą trzeba rzetelnie zasłużyć.

Proces ponownego wychowania Niemiec, o którym tyle mówiono, zaczął się samorzutnie, w formie przystosowania do wyżej opisanych warunków. Widać w nim zadatki nowego szacunku dla życia i godności człowieka.

Czy te zawiązki nowej moralności, zrodzonej w otchłannym życiu ruin i podziemi, znajdują jakieś szanse dalszego rozwoju? Pytanie kapitalnej wagi, kiedy uprzytomnimy sobie, w jakiej mierze los kontynentu zależał dotąd — a zapewne będzie zależał i w przyszłości — od wewnętrznej ewolucji Niemiec.

Po miesięcznym pobycie w Niemczech nie znajduję na to

pytanie żadnej jasnej odpowiedzi. Po drodze widziałem mało rzeczy uprawniających do optymistycznych przewidywań.

Okupanci nie mają danych do wychowania Niemiec i od pewnego czasu nie zdradzają nawet w tym kierunku większej ambicji. W zachodniej części kraju wojska okupacyjne mają tylko jedno życzenie: jak najprędzej opuścić kraj, w którym życie stało się nieznośne dla wszystkich. Wszyscy mają wrażenie, że okupując Niemcy wzięli na siebie zobowiązania, którym nie umieją sprostać. Łatwiej było jednak zdobyć ten kraj, niż zeń wyjść. Niemcy stały się pułapką dla poróżnionych zwycięzców. Żaden z nich nie odważa się wyjść, bo miejsce jego zostanie natychmiast zajęte przez stronę przeciwną.

Niemcy same wciągają się powoli w tę grę sił. W miarę trwania rywalizacji między zwycięzcami, obie strony będą musiały w sposób nieunikniony w coraz większej mierze uwzględnić rolę Niemiec, jako przyszłego sojusznika. W perspektywie czystej gry sił największe dane na objęcie stanowiska wychowawców Niemiec będą mieli znów pruscy oficerowie.

Podróż moja zbliża się do końca. Czeka mnie długa droga powrotna. Jeszcze bardziej od przepelnionych wagonów i nieprzeznaczonych nocy ciąży mi myśl o trwającym nadal zaślepieniu narodów i wygaśnięciu w nich wszelkiej twórczej wyobraźni.

9 grudnia

Jestem znów w górach, które przeszedłem przed miesiącem. Wiele się tu od tego czasu zmieniło. Niebo jest szare. Góry pokryte są nowym, głębokim śniegiem. Wszystkie przepustki unieważniono. Przejść pilnują patrole. Decyduję się jechać do B... O zmroku jestem w domu znajomego przemysłowca.

- Czy po tym śniegu można przejść na tamtą stronę?
- Jak komu.
- Na przykład mnie.

Stary patrzy na mnie przez chwilę uważnie i zniża głos.

- Mój syn przeprowadzi pana jutro z rana do T...

Wstajemy o 4-tej z rana. Dokoła nóg okręcam ciężkie owijające mego gospodarza i na watowaną kurtkę wkładam jego białą bluzę z kapturem. Rozdaję resztę rzeczy, płaszcz, walizkę etc. Z górskich przejść wychodzi się najczęściej jak z jaskini rozbójni-

ków, bez bagażu. Zostaje mi plecak a w nim śpiwór, koszula, pończochy, kilka książek, notatnik, funt chleba, pudełko smalcu, dwie cebule — podarunek przemytnika — pudełko ekstraktu z kawy i trochę cukru. Kto wie, czy w T... znajdzie się coś do jedzenia.

Idziemy z początku drogą przez las, potem ścieżką. Przed świtem rzucały ścieżkę i zaczynamy wchodzić powyżej lasu na grań, brnąc powoli w głębokim śniegu. Idziemy w milczeniu, wciąż granią, z dala od lawiniastych stromizn. Zaczyna świtać. Po śniegu wloką się leniwe obłoki. Idziemy w nich niemal po omacku, kierując się nierównością gruntu. Mija jeszcze godzina, zegarek wskazuje 8.30.

Obłok, w którym idziemy, podnosi się, odsłaniając przełęcz. Widok złowieszczy. Czarna gardziel skał oblepionych półkami śniegu. Latem tam przechodzi ścieżka. Wskazuję na nią ręką z przeczącym ruchem głowy. Mój przewodnik pokazuje mi stok góry powyżej skał, o jakieś dwieście metrów nad nami. Patrząc na jego młodą, różową od zimna twarz i beztroskie oczy. Przychożą mi na myśl wszystkie szczegóły studiowanej wieczorem mapy. Na południowym stoku same ściany. W jednym tylko miejscu podwójny uskok ścian tworzy ukośną półkę, po której można zejść na główną ścieżkę. Tę drogę trzeba znać na pamięć, aby ją znaleźć pod śniegiem. Obludzona — jest nie do przejścia bez raków. Jak ten pogodny chłopiec zachowa się przed nieprzewidzianą przeszkodą? Spostrzegam, że i on przygląda mi się uważnie, jak jego ojciec poprzedniego wieczora. Widocznie myśli też: czy on temu da rady? Uśmiecham się doń i wyciągam rękę.

— Nie bój się, Janku. Nie goń tylko za prędko.

Janek uśmiecha się też, mrużąc jedno oko, jak jego ojciec.

Mijają jeszcze dwie godziny. Wspinamy się zakosami, powoli, równomiernie. Uważam na oddech, staram się stawiać stopy lekko i metodycznie.

Za zakrętem wyrasta przed nami czarna ściana kłębiących się chmur, które ze świstem wychodzą, niby spod ziemi. To ciepłe powietrze, wznoszące się po południowym stoku ścina się w zetknięciu z mroźnym powietrzem szczytów. Jesteśmy na samej przełęczy.

Wchodzimy ostrożnie w gęstniejący mrok. Skały, niegdyś bielejące w zielono-brązowych polach borówek, wystają dziś czarne i groźne z mokrego śniegu. Szukamy wśród nich drogi, zapadając głęboko w śnieg. Schodzimy ostrożnie pod nawisającymi półkami. Zejście robi się coraz bardziej strome i kamieniste. Wreszcie chmury rzedną i w dole widzimy niebieskawe światło. W pół

godziny dochodzimy do brzegu chmur i stajemy w jarzącym słońcu. Śnieg kończy się o sto metrów niżej. Ziemia schodzi olbrzymimi skokami terenu, wciąż niżej. Przed nami kilka poprzecznych coraz niższych łańcuchów wzgórz, kędzierzawych żółto-zielonym lasem, a dalej bezmiar przestrzeni przysłoniętej szarobłękitną kurzawą.

Dziennik podróży do Austrii i Niemiec, Instytut Literacki, Rzym, 1946.

CORONA TURRITA

(Z DZIENNIKA PODRÓŻY DO WŁOCH)

9 listopada 1947

Od 8 miesięcy czekam na próżno na wizę włoską. Od czasów rzymskich żaden rząd włoski nie robił wjeżdżającym tyłu trudności co rząd R. I. czyli *Repubblica Italiana*. W 1940 konsulat włoski w Belgradzie wystawił mi w kilka minut wizę, mimo że już wówczas byłem uchodźcą uciekającym od Gestapo, bez wiadomego celu podróży.

Nie mając wieku Matuzalema, pamiętam jednak doskonale czasy, kiedy paszportami i wizami chwalono się tylko na granicy Rosji carskiej i Turcji Abdul Hamida. Kto te granice szczęśliwie przekroczył, mógł jechać dalej dokąd chciał, gdzie pieprz rośnie, do samej nawet Patagonii, nie posiadając żadnego dokumentu. Komu przykrzyło się w domu, zmieniał kraj i — jeżeli chciał — nazwisko. Młodszym trudno dziś temu uwierzyć. A jednak piszący te słowa przekroczył był osobiście dziesiątki granic, zupełnie jawnie i oficjalnie, nie wysiadając z pociągu, nie czekając ciemnej nocy i nie płacąc ani grosza paserom. Ci ostatni prosperowali tylko w Suwałkach i między Mysłowicami i Radziwiłłowem. W innych krajach rzemiosła tego nie znano.

Jak i dlaczego ten złoty wiek zakończył się bezpowrotnie?

Od dwóch lat przyjęto mówić o „żelaznej zasłonie” i przypisywać ten wynalazek rządowi sowieckim. Jest to nowa legenda zmyślona przez dziennikarzy. Nie umniejszając w niczym zasług rządów sowieckich, należy przyznać, że parkowanie ludności na obszarach otoczonych nieprzepuszczalnymi granicami nie jest ani ich wynalazkiem, ani wyłącznym przywilejem. Jeszcze w roku ubiegłym podróżowanie po zonie wpływów sowieckich było — je-

żeli chodzi o formalności — łatwiejsze niż po zachodniej części Niemiec.

Powszechne zamknięcie granic przyniosła ze sobą pierwsza wojna światowa, utrwaliło zaś zamknięcie Stanów Zjednoczonych dla emigracji. Setki tysięcy ludzi, którzy czuli się źle w Europie, jechało co rok do Stanów Zjednoczonych. Kiedy te ostatnie zamknęły drzwi, wszystkie kraje obu półkuli — w obawie, aby masy emigrantów, odepchnięte przez Stany Zjednoczone, nie skierowały się do krajów o znacznie mniejszej pojemności — uznały za konieczne otoczenie się ze swej strony chińskimi murami.

Z tym mechanizmem zamykania się granic zapoznali się najlepiej Żydzi, kiedy Wielka Brytania zamknęła dla nich w 1939 roku Palestynę. Gdyby nie to fatalne posunięcie polityków brytyjskich, znaczna część Żydów europejskich byłaby uszła śmierci w krematoriach niemieckich, chroniąc się w krajach nie okupowanych. Każdy z tych ostatnich gotów był udzielić im tymczasowego schronienia. Kto jednak mógł mówić o tymczasowym schronieniu? Cały zasięg wpływów brytyjskich i amerykańskich był dla Żydów szczelnie zamknięty. Pozostawały więc tylko kraje małe, o znikomym pojemności, których rządy nie miały odwagi przyjąć na wieczne czasy milionów Żydów, uciekających spod okupacji niemieckiej. Dlaczego ciężar ten spadać miał właśnie na nie, kiedy uchyliły się odeń największe mocarstwa, posiadające najmniej zaludnione terytoria i pretendujące nadto do roli obrońców cywilizacji? Dla tych przyczyn kraje nie okupowane najniechętniej udzielały azylu Żydom, mimo że ta kategoria uchodźców była najbardziej zagrożona. Wymordowanie kilku milionów Żydów europejskich było więc wspólnym dziełem wielkich mocarstw, z których jedno wzięło na siebie rolę myśliwego, inne zaś grały rolę naganki, pilnującej, aby zwierzyna nie wymknęła się z kociołka.

Żelazne zasłony są wynalazkiem starszym od Stalina i Mołotowa. Mocarstwa anglosaskie zaczęły obstawiać nimi Azję i Europę w czasach, kiedy bolszewicy obradowali jeszcze na emigracji w Café d'Orient. Zwycięstwo ich w pierwszej wojnie światowej przyniosło rozciągnięcie tego systemu także na cały kontynent europejski. Źródło żelaznych kurtyn leży w umysłowości i pojęciach anglosaskich, obcych Europie, gdzie za wszystkich czasów — od Greków i Rzymian, a nawet przed nimi — wiele podróżowano. Prince de Ligne, który jeździł końmi, był 17 razy w Rosji, nie licząc wszystkich innych krajów. Niech by tak spróbował dziś. Podróżowali nie tylko książęta i wielcy awanturnicy w rodzaju Casanovy. Stojący na samym dnie drabiny Cyganie jeździli też na zimę do Granady, wracając na lato do Buczacza i Kiszyniowa. Dziś nie ma już i Cyganów.

Gdziekolwiek żołnierze angielscy i amerykańscy wysiedli na ląd, pierwszą czynnością ich było wytyczenie tysięcy kilometrów nieprzemakalnych granic, częściowo zupełnie nowych i nie mających żadnych innych przesłanek poza wygodą kacyków okupacyjnych. System ten, który możemy dziś oglądać w Niemczech i Austrii, nie stawiał zrazu podróżującym przeszkód niepokonanych i zdawał się względnie znośny. Łagodziły go anarchia i korupcja, odwieczne produkty uboczne wszystkich okupacji wojskowych. W miarę powrotu do stosunków pokojowych, w całym zasięgu wpływów amerykańskich i planu Marshalla widzimy coraz szczelniejsze zamykanie się granic. Wznowiono wprawdzie pociągi dalekobieżne, ale na każdej granicy wagony ich pustoszeją w braku podróżnych posiadających stosowne papiery. Przypomina się bajeczka:

*Raz swawolny Tadeuszek
Nałapał w flaszeczkę muszek,
A nie chcąc ich morzyć głodem,
Ponarzucał chleba z miodem.*

Mieszkańcy Europy są dziś w położeniu szczura w wannie, szukającego na próżno wyjścia po gładkich ścianach. Dobroczynny wujaszek Sam rzuca im do ich więzienia po kilka dolarów w przypuszczeniu, że brak im tylko pieniędzy, aby byli zupełnie szczęśliwi i rozwinęli wielką działalność gospodarczą.

Jak należy sobie wyobrażać przyszłość, jeżeli w wyniku nowych konfliktów Amerykanie i ich brytyjscy komparsi zdobędą władzę nad światem? Na podstawie dotychczasowych doświadczeń powszechna *glebae adscriptio* wydaje się rzeczą nieuniknioną. Być może zwycięzców nie stać będzie na nic lepszego, na żaden odważniejszy pomysł organizacyjny. Łatwiej jest nawet pobić Hitlera, niż wyzwolić się samemu ze ślepego egoizmu i pogardy dla gorzej uzbrojonych. Unieruchomione ludy staną się podobne do ławic ostryg, nad którymi w latających fortcach unosić się będzie nowy *Herrenvolk*.

W tej chwili w zasięgu planu Marshalla kilka milionów Europejczyków czeka — jak ja — na wizy, przepustki, affidavity i inne dokumenty podróży. Wielu czeka już dłużej ode mnie. Wszystkim przychodzą na myśl te same refleksje, stanowiące prolegomena do wszystkich przyszłych opisów podróży w hemisferze zachodniej.

5 grudnia

Kiedy przestałem już o nim myśleć, z Rzymu nadeszło po-

zwolenie przyjazdu. Przyszło dla mnie nieco za późno. Jest już początek zimy. Życie we Włoszech stało się bardzo drogie, i mego zapasu lirów nie na długo wystarczy. Ale mniejsza o to.

Jakie są Włochy dziś? Jak wyglądają po 25 latach faszyzmu, wojny i okupacji? Włoskie pisma satyryczne przedstawiają Italię w postaci wychudzonej kobiety w średnim wieku, z głową ozdobioną diademem z wień. Niemłoda kobieta, silnie odchudzona — tak wygląda dziś cała Europa. Chwilami trudno orzec, czy pasują doń jeszcze słowa, jakimi Felicjan Faleński przemawiał niegdyś do poezji: „Choć nie bardzo młoda, jesteś ty jeszcze niczego”. Ten aspekt symbolicznej Italii byłby bardzo europejski, zbyt europejski. Koronę z wień, tzw. *corona turrita*, dawni Rzymianie ofiarowywali wojownikowi, który pierwszy wchodził do obleganego miasta. Koronę taką nosiła też Cybele, żona Saturna i matka bogów Olimpu, zwana *magna mater deorum*, *magna parens*. Ten ostatni aspekt symbolicznej korony jest bardziej zrozumiały. Italia — starożytna czy renesansowa i barokowa — była *magna parens* naszej cywilizacji, naszych instytucji, pojęć i literatury. Co jej zostało z tej korony?

Poznanie Włoch — kraju, ludu, cywilizacji i literatury — było jednym z najważniejszych wydarzeń mojej młodości. Gdyby nie bieg wypadków po 1915, byłbym może jednym z cudzoziemców mieszkających stale we Włoszech, którzy — pochłonięci urokiem życia włoskiego — na nic innego już czasu nie znajdują.

Okres faszyzmu oddalił mnie na długo od Włoch. Na brak szczęścia, na cierpienie nie ma żadnego lekarstwa. Należy od nich w miarę możliwości uciekać. Od podróży do Włoch powstrzymywała mnie w czasach faszyzmu myśl o cierpieniach włoskich znajomych — tak wrażliwych i delikatnych — pod natrętną władzą prostaków i barbarzyńców. Lepiej na to nie patrzeć. W takich sytuacjach nie ma nic rozumnego do powiedzenia. Książki przychodzące z Włoch nie mówiły też niczego dobrego. Starsi trzymali się — jak Pirandello i Palazzeschi — lub załamywali się — jak Papini, — młodszy należeli już do innego, nieznanego mi świata, narastającego ubogo z głębin. Tego wrażenia doznałem, kiedy Alberto Moravia ogłosił swą sławną powieść *Gli indifferenti*.

Krótki przejazd przez Włochy wiosną 1940 roku utwierdził mnie w najgorszych przypuszczeniach. Widziałem faszystów w mundurach naśladujących SS-mannów. Dokoła nich krzyżowały się pełne nienawiści spojrzenia. To co Włochy pokazywały od wierzchu, była to zapowiedź tragicznych wypadków, rozdarcie wewnętrzne, *porca miseria*. Od spodu narastało jakieś nowe życie, mało uchwytnie, jeszcze mniej szczęśliwie.

Cywilizacja Włoch przeżyła już parokrotnie całkowity cykl

rozwoju: młodości, sławy, przepychu, kryzysu, upadku, ubóstwa. Kraj pokrywał się ruinami rozbieranymi na cegły, z których wznoszono lepianki pasterzy. Życie wracało do form najprostszych:

Ite domum saturae, venit Hesperus, ite capellae. Potem wszystko zaczyna się od nowa. Po poprzednich cyklach rozwoju zostawała lekka mgła melancholii, wynikała ze świadomości końca wieńczącego najambitniejsze nawet sprawy ludzkie. *Corona turrata* Italii miała w sobie zawsze coś ze smutku wielkich ruin i zarazem coś z potęgi wiecznie odradzającej się wiosny. W jakim miejscu nowego cyklu znajdują się Włochy dzisiejsze? Którą godzinę pokazuje tam stary zegar wieków?

9 grudnia

Dziś skończył się we Francji strajk generalny. Wiadomość ta nie zachęca jednak nikogo do wielkich podróży. Z wagonu Paryż-Mediolan ostatni podróżni wysiadają na szwajcarskiej granicy. Nowi wsiadają w Szwajcarii, ale opuszczają wagon przed granicą włoską. Przez tunel symplonński jadę znów sam.

Snieg widać na stokach gór powyżej 1 000 metrów. W dolinach leży wilgotno-ciepłe powietrze przypominające wiosnę. Pociąg jedzie brzegiem Lago Maggiore. Z okien widać sławne letniska — Stresa, Pallanza, Arona — obecnie puste, o zamkniętych okiennicach.

Za Domodossolą natrafiamy na trudności. Wczoraj zderzyły się tam dwa pociągi, niszcząc przewody elektryczne. Czekamy długo na lokomotywę parową, która z opóźnieniem przywozi pociąg do Mediolanu.

Na Piazza del Duomo. Popołudnie jest mgliste i chłodne. Na okolicznych ulicach ogromny ruch pieszy. W galeriach otaczających plac widać resztki sławnego czarnego rynku.

— *Sigarette: americane, svizzere, nazionali... Dolari, dolari, dolari... Sterline, sterline... Passaporti...*

Czarnogiełdziarze ofiarowują przechodniom swój towar. Ten ostatni nie znajduje jednak nabywców. Od trzech miesięcy kurs wolny walut obcych nie przestawał spadać i osiągnął już poziom kursu oficjalnego. Czarna giełda agonizuje, trzymając się jeszcze siłą inercji. Nabywców znajdują tylko papierosy, które są tu dwukrotnie droższe niż w Szwajcarii.

Wielu przechodniów zatrzymuje się przed wystawami sklepów, odczytując uważnie ceny bielizny i obuwia. Ceny te od kilku lat zwyżkują co parę tygodni, i pochod ich jest wskaźnikiem sytuacji gospodarczej. Przed kilku tygodniami, wskutek ograniczenia kredytów towarowych, nastąpił spadek cen hurtowych.

Z uwag patrzących dowiaduję się, że ceny detaliczne nie spadły i nawet, wręcz przeciwnie, wykazują dalszą zwyżkę.

W ubiegłym miesiącu Mediolan przeszedł okres strajków i zamieszek. M.in. spalono kilka kiosków sprzedających gazety „burżuazyjne”. Dziś w większości kiosków widać jedynie gazety komunistyczne lub *Avanti*, organ partii socjalistycznej zablokowanej z komunistami. W Mediolanie wychodzi jednak nadal kilka pism reprezentujących inne odcienie opinii, m.in. *Corriere della sera*, będący znów jednym z najlepiej poinformowanych pism kontynentu. Proszę oń w kiosku. Sprzedawca bierze do ręki duży pakiet komunistycznej *Unità* i wyciąga zeń ukryty *Corriere*. Przez chwilę obserwuję ruch przechodniów i przekonuję się, że wszyscy prawie czytają pisma „burżuazyjne” sprzedawane spod poły.

W środku miasta widać sporo ciemnych fasad z pustymi oknami. Są to skutki angielskich bomb zapalających. Z wyglądu ruin można wnosić, że ludność słabo broniła swych mieszkań, uciekając raczej za miasto przed nalotami. Znaczną część uszkodzonych domów już odbudowano.

Między innymi spalony został także sławny teatr mediolański La Scala, dziś całkowicie odbudowany. Sezon operowy już się rozpoczął. Bilety są dość drogie. Od pewnego czasu przyjęło się znowu przychodzenie do Scali w strojach wieczorowych. Miejscowy tygodnik ilustrowany *Europeo* zawiera kilka fotografii przedstawiających łoże wypełnione paniami w dekoltowanych sukniach i panami we frakach. W gmachu Scali znajduje się muzeum teatrologiczne. Zwiedzając je, oglądam także afisze i widzę, że ostatnio grano tam niemal wyłącznie Verdiego i Pucciniego. Czy warto jest ubierać się we frak i lakierki, aby wysłuchać Verdiego? Można by zeń wykroić kilka muzycznie ciekawych fragmentów do spokojnego słuchania w studio. Miejscowi eleganci zbierają się więc w Scali w poszukiwaniu rozrywek towarzyskich raczej niż muzycznych. Wśród ruin i zamieszek zachował się zatem w Mediolanie spory fragment świata dużo dawniejszego, żyjącego życiem własnym, oderwanym od współczesności.

10 grudnia

Ranek jest ciepły i mglisty. Przeglądam nowości wydawnicze. Znana księgarnia Ulrica Hoepli mieści się w nowym, zbyt ciasnym pomieszczeniu. Jej dawny dom został zniszczony przez bombę.

Koło południa wsiadam do autobusu jadącego przez Parmę, Modenę, Reggio Emilia i Bolonię do Florencji.

Szosa we Włoszech są nadal starannie utrzymane i autobusy konkurują skutecznie z kolejami, ofiarowując znacznie większe

wygody. W południe i wieczorem zatrzymują się po miasteczkach i wsiach na całą godzinę przed dobrymi oberzami. Co dwie godziny przystają na chwilę przed kawiarniami, gdzie kierowcy i podróżni piją po małym *espresso*. Tak urozmaicona podróż ma w sobie coś bardziej ludzkiego niż podróż koleją, gdzie zaleźni jesteśmy od fizjologii taboru kolejowego, mającego inną od naszej wytrzymałość i rozkład godzin. Postoje pozwalają zobaczyć nieco bliżej kraj i zamienić parę słów z miejscową ludnością.

Lombardia jest płaska, niska i — pod zimowym niebem — mglista i smutna. Wsie z szarego kamienia stoją wzdłuż szosy. Grunt jest wilgotny, poprzecinany kanałami odwadniającymi. Każdy metr kwadratowy jest starannie uprawiony. Na miedzach dzielących wąskie grzędy zagonów stoją długie szeregi bezlistnych obecnie drzew. W krajach południowych uprawy nie obawiają się lekkiego cienia. Miasta, w których robimy krótkie postoje, są ubogie, ludne i nie wesołe. Rozmowy prowadzone są półgłosem. Cięży na nich jakieś przygnębienie. Są to okręgi wyborcze o wielkościach komunistycznych.

Przez olbrzymi, mętny rozlew rzeki Po przejeżdżamy ostrożnie po improwizowanym moście i w półtora godziny później ziemia zaczyna lekko falować w miarę zbliżania się do Apeninów. Widać tu znów winnice. Łozy winne nie oplatają tu kołków i drutów, ale pełzną po gałęziach drzew jak w Georgikach Wirgiliusza. Poziome gałęzie rosnących szeregiem drzew są ze sobą posplatane, i z nich zwieszają się winorośle. Niektóre winnice są urządzone inaczej. Na dwumetrowych słupach — często z łupanego kamienia — leżą drewniane poprzeczki, dokoła których owijają się pędy winorośli. Zwieszające się z poprzeczek winogrona dojrzewają powoli w półcieniu. Urządzenia te — jak mi objaśniają miejscowi — służą najlepszym gatunkom winogron, zrywanym częściami w miarę dojrzewania. I ten system znany był starożytnym. Przypomina mi się Tibullus: *hic docuit teneram palis adiungere vitem*. Odwieczna dawność tych urządzeń rolniczych daje pojęcie o nieskończonej ciągłości życia. Zmieniały się instytucje polityczne, upadały republiki, cesarstwa, cywilizacje, zmieniały się języki, którymi mówiono w cieniu drzew, tylko prace i obyczaje rolników pozostawały te same.

W miarę zbliżania się do gór zmienia się też charakter zabudowań. Znikają szare wsie ustawione przy szosie. Rozrzucone wśród wzgórz budynki przybierają barwy pomarańczowe, otaczają się murami, drzewami i kwiatami. Wjeżdżamy na teren gospodarki indywidualnej.

Bologna la dotta. Po niedługim postoju jedziemy dłuższy czas wzdłuż murów zewnętrznych miasta z ich krytą galerią. Potem

szosa zaczyna się podnosić w szybkich zakrętach. W ostatnich promieniach słońca widzimy bliskie góry. Wzdłuż drogi rozsiane są liczne ślady niedawnej wojny.

W Bolonii autobus nasz wyludnił się niemal zupełnie. Główna szosa jest dziś zamknięta z powodu naprawy mostu; czeka nas długi objazd wąską drogą górską, wspinającą się zakosami na skalną ścianę, której szczyt zasłaniają chmury. Na stromych zakrętach zastaje nas noc i śnieżna zadymka. Kilkakrotnie wysiadamy dla rozpoznania drogi, która pod świeżym śniegiem zdaje się gubić wśród skał. Po dwu godzinach wspinania się dostajemy się na przełęcz. Stok południowy jest suchy; owiewają go ciepłe podmuchy wiatru. Po godzinnym zjeździe widzimy w dole łunę światła Florencji.

Wojna zostawiła we Florencji trochę śladów, zwłaszcza na przedmieściach i wzdłuż Arna, który przez pewien czas dzielił walczące armie. Środek miasta został jednak nietknięty. Pierwszy raz widzę katedrę i il Battistero w jasnym świetle łukowych lamp. Wydaje mi się, że ich ściany — pocięte w ciemne pasy poprzeczne — stworzone są dla sztucznego oświetlenia.

Odnajduję tu pierwszego z moich dawnych znajomych, z którym razem idziemy do restauracji. W rozmowie uderza mnie gorzka trzeźwość Florentyńczyków i ich skłonność do rozważania spraw ludzkich od strony ich najprostszego mechanizmu. Pod tym względem mało zmienili się od czasów Macchiavela. Być może jest to skutek długich wieków doświadczenia politycznego, udziału w walkach stronnictw, które wypędziły stąd Dantego, w niezliczonych metamorfozach niewielkiej republiki, która w końcu odkryła obywatelom wszystkie tajemnice swego mechanizmu politycznego. Jak mnie informuje mój przyjaciel, w czasach Mussoliniego Florencja uważana była za najpewniejszą twierdzę faszyzmu.

Jeżeli intensywne życie polityczne może narzucić obywatelom pewną formację umysłową, przychodzi mi na myśl pytanie: jakie wnioski ogólne, jaką formację umysłową wyniosą Polacy z doświadczeń ostatniego trzydziestolecia? Ten krótki okres czasu był dla nich rodzajem szkockiej łąźni, w której szybko zmieniały się lata niepodległości i okupacji, wolności i ucisku, buntu i przystosowania, działania i apatii, nadziei i melancholii. Brak było jedynie lat skupienia, pozwalających na krytyczne rozważenie przebytego okresu czasu.

11 grudnia

Rankiem dowiaduję się, że w stolicy i w prowincji rzymskiej ogłoszony został strajk generalny. Doświadczeni odradzają mi po-

dróż autobusem, który może być zatrzymany na granicy prowincji. Jadę zatem koleją. Pociąg jest na pół pusty. Moimi sąsiadami są dwaj jugosłowiańscy komuniści nie podejrzewający, że rozumiem ich rozmowę toczącą się w świeżo przyswojonych terminach dialektycznego materializmu.

W Rzymie na dworcu czekają mnie przyjaciele. Na ulicy grupa strajkujących zatrzymuje nadjeżdżające taksówki. Poza tym miasto jest spokojne i ożywione. Nigdzie nie widać nastrojów towarzyszących zazwyczaj strajkom generalnym.

12 grudnia

Cały ranek spędzam na ulicy, aby zdać sobie sprawę z przebiegu strajku. Oto główne rysy sytuacji:

La grande paura. Dnie poprzedzające ogłoszenie strajku były okresem „wielkiego strachu”. W ostatniej fazie strajku we Francji ukazały się tam grupy sabotażystów, które sparaliżowały ruch na kolejach południowych i usiłowały zawładnąć miastami leżącymi na brzegu Morza Śródziemnego. Rozplanowanie tej akcji wzięto we Włoszech za wstęp do operacji zbrojnych. Przypuszczano, że lada chwila wojska jugosłowiańskie i sowieckie przekroczą granicę, aby przez Lombardię i Ligurię wejść do Francji i zająć brzeg Morza Śródziemnego aż po Hiszpanię. Rzymianie widzieli się już odcięci od reszty kontynentu i zdani na opiekę floty amerykańskiej. „Wielki strach” skończył się razem ze strajkiem francuskim, tj. 9 grudnia. W przeddzień ogłoszenia strajku sytuacja ogólna była już całkowicie wyjaśniona. Rząd włoski po raz pierwszy — jak mi objaśniano — okazał siłę decyzji i ściągnął do stolicy część dywizji Celere.

W drugim dniu strajku — to jest dziś — nawet dla tak mało wtajemniczonego obserwatora jak ja widoczne jest, że ta spóźniona akcja skazana jest z góry na niepowodzenie. Nikt nie zdradza większej ochoty do strajkowania. Sklepy spożywcze i wiele innych są do południa otwarte. Karabinierów w czarnych mundurach widziałem zaledwie kilku, ale na rogach ulic stoją parami żołnierze z mitralietkami. Gdziekolwiek strajkujący usiłują stworzyć pochody lub molestują sklepikarzy, żołnierze proszą ich uprzejmie o rozejście się, co odnosi natychmiastowy skutek. Strajk ogranicza się więc do tramwajów i autobusów miejskich. Konkurujące z nimi kamionetki są jednak w nieustannym ruchu.

Najbardziej oczywiście interesują mnie postawy samorzutne tłumu. Jak już o tym słyszałem w Mediolanie, Włosi reagują w szczególny sposób na terror i akty przemocy. Gdziekolwiek

pojawia się grupa gwałtowników, wszyscy ustępują jej, kapitulują i uciekają. Gwałtownicy pozostają wprawdzie na placu, ale sami, otoczeni pustką, izolowani. Zaraza przemocy nie przenosi się na innych. W ten sposób żadną miarą nie można zrobić wojny domowej. „Gwałt niech się gwałtem odciska” nie jest formułą włoską.

Zresztą te same reakcje występują u domniemanych gwałtowników na widok dwóch żołnierzy z karabinami — być może wcale nie nabitymi — na plecach. Jest to jak gdyby gra, w której — na podstawie ustalonej konwencji — inicjatywa zostaje przy tym, kto zapowiedział wyższy kolor.

Wychowanemu w polskiej tradycji wyzywania do walki największych potęg świata, zachowanie takie daje wiele do myślenia.

Jakie są jego istotne motywy? Czy obawa przed prawdziwą wojną domową, do której ostatnie dziesięciolecie dostarczyły tylu argumentów? Czy rozpoznanie, że potęgi, z którymi wojowali niegdyś Polacy, były stosunkowo ostrożne, skrupowane tysiącem konwencji XVIII i XIX wieku, gdy dziś — w epoce bomby atomowej i przesiedleń ludności, aprobowanych przez całą opinię Zachodu — wyzywanie ich pociąga za sobą zupełnie inne skutki? Mam wrażenie, że chodzi tu — częściowo przynajmniej — o zjawisko znacznie głębszej natury.

Po stu latach autentycznego i sztucznie rozdmuchiwanego fanatyzmu narodowego, po okresie kultu czynu i siły, w Europie można zauważyć pewne objawy reakcji. Fanatyzm i wzajemna nietolerancja zniszczyły zamożność i niezależność naszego kontynentu. Postawy aroganckie i wyzywające, które uchodziły za normalne przed dziesięciu laty, wydają się dziś pozbawione wszelkiego racjonalnego umotywowania. Moralność obłożonego miasta i mobilizacji totalnej spustoszyły życie osobiste. U ludów bardziej wrażliwych i posiadających pewne tradycje, przeciw tej moralności zaczęły występować pierwsze oznaki oporu.

W podobnych okolicznościach, po dwóch wiekach fanatyzmu i wojen religijnych, przyszła reakcja sceptyczna i humanitarna XVIII wieku. Rozpoczął ją Shaftesbury sławną rozprawą *Przeciw entuzjazmowi*, rozwinęli Voltaire, Emmerich de Vattel, Beccaria i tylu innych. Chwalona po niewczasie przez Talleyranda *la douceur de vivre* XVIII wieku nie była dziełem szczęśliwego przypadku, ale skutkiem dążeń, zamiłowań, ciekawości, uporczywego poszukiwania kilku pokoleń Europejczyków. Uprzytomnijmy sobie, co łączyło pejzażystów XVIII wieku z podróżnikami tak różnymi jak prezydent de Brosses i Casanova, z memorialistami tak odmiennymi od siebie jak Rousseau i La Mettrie. U wszystkich jest coś z tej samej atmosfery moralnej, to samo uporczywe po-

szukiwanie utraconego raju. Nie dając się zwieść żadnym symbo-
lom i metaforom, ludzie XVIII wieku poszukiwali go cielesnego,
dotykalnego, pachnącego wiosną i jesienią. Dlatego, być może,
wiersze nie udawały się im zupełnie. Czy zachowanie się dzisiej-
szego tłumu włoskiego nie jest objawem jakiejś podobnej orienta-
cji dzisiejszych Europejczyków?

We Włoszech — jak wszędzie indziej — jest sporo gwałtowni-
ków, którzy nie powiedzieli jeszcze swego ostatniego słowa. Patrząc na rzymski tłum w dniu strajku generalnego, wiem jednak,
że są oni mniejszością znikomą, mogącą dojść do głosu chyba
tylko w razie wojny, okupacji lub innych szczególnie sprzyjają-
cych okoliczności.

Przypominam sobie czytana przed wielu laty książkę Antonia
Aniante o tradycjach Neapolu. Włochy, zdaniem autora, posiadają
dwie tradycje: rzymską i neapolitańską. Pierwsza jest wojskowa
i organizatorska, druga hedonistyczna, artystyczna, pokojowa, cała
oddana radości życia. W obecnej Europie zrujnowanej i upodlonej
przez wojowników i organizatorów, tradycja rzymska nie obudzi
zapewne większego echa. Tradycja Neapolu może mieć nierów-
nie większe znaczenie. Z niej, być może, narodzi się jakiś opór
przeciw fanatyzmowi naszych nieludzkich czasów.

13 grudnia

Strajk powszechny został dziś rano zakończony.

Jestem w Rzymie po raz pierwszy w porze zimowej. Dla przy-
jeżdżającego tu zimą z północy radosną niespodzianką jest ciemna
zieleń parków i plantacji. Po letnich upałach pokrywających
wszystko kurzem i śladami suszy, na zimę drzewa pokrywają się
błyszczącym, ciemno-zielonym listowiem. Barwa jego jest oprawą
i uzupełnieniem różowo-pomarańczowej masy murów.

Mieszkam w pobliżu Porta Pinciana, obok parku Villi Bor-
ghese. Droga prowadząca przez park do Piazza del Popolo i Tybru
schodzi w dół pod wysokimi drzewami, mijając budynki ogrodo-
we w stylu pseudo-egipskim. Jej nawierzchnia z makadamu, obra-
mowane brukiem rynsztoki i brak trawy przypominają żywo
drogę schodzącą w Warszawie do Łazienek i parku Belwederu.
Jedna i druga jest dziełem ogrodników ze szkoły napoleońskiej.

Moje okno wychodzi na mur otaczający miasto. Z płaskiej,
czerwonej cegły, kilkumetrowej grubości, mur jest pełen strzelnic,
wież, ganków dla wartowników. Historia tej *corona turrita* miasta
jest dziś znów aktualna, znacząc nowy cykl rozwoju wiecznego
miasta.

Stary Rzym republikański też otoczony był murem, którego fragmenty widać w kilku miejscach pod budynkami z czasów cesarstwa. W czasach panowania Rzymu nad kontynentem europejskim, mury nie były mu potrzebne. Miasto rozwijało się swobodnie we wszystkich kierunkach, stając się wkrótce milionową stolicą świata. W II-im wieku zaczął się nacisk ludów poza-europejskich na granice imperium. Nacisk ten szybko wzrastał, i w końcu wieku III-go sama nawet stolica, leżąca w połowie buta włoskiego, mogła się stać — w razie przerwania frontu — łupem barbarzyńców. Cesarz Aurelianus, zdobywca Palmiry, otoczył był Rzym i Ateny nowymi murami. Były to — jak dziś — czasy wielkiego strachu. Mury aurelianowskie oblegano i zdobywano kilkakrotnie. Wzmacniane i uzupełniane przez generałów bizantyńskich i przez papieży, zachowały się do naszych czasów.

Okres wielkiego strachu minął, i przez kilka wieków Rzym mógł się znów obywać bez fortyfikacji. W murach przebito kilka wielkich bram. Ludność zmniejszyła się jednak od czasów Aureliana. Utraciwszy rangę stolicy świata, Rzym mieścił się swobodnie w starych murach. Dla tej przyczyny nie zburzono ich, jak murów krakowskich. Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat ludność wzrosła z pół na dwa miliony mieszkańców. Liczne nowe dzielnice wyszły daleko poza mury.

Dziś sytuacja Rzymu jest taka sama jak w czasach Aureliana. Nacisk ludów poza-europejskich na stary kontynent wzrósł, *limites*, zwane dziś liniami demarkacyjnymi, są tak słabe, że Rzym może w każdej chwili paść łupem ludów nowych. Wróciła *la grande paura*. Okupowane przez barbarzyńców kraje nie dostarczają więcej zboża. Jak w czasach późnego cesarstwa, niezadowolenie wzrasta wśród chłopów i czynszowników. Całe okręgi wiejskie są w stanie przygasającego i znów zapalającego się buntu, na który nikt nie znajduje lekarstwa. W mieście jest znów sporo przybyszów ze strefy pogranicznej między Wschodem i Zachodem, o których Rzymianie — jak przed półtora tysiącem lat — nie wiedzą, czy można w nich widzieć potencjalnych sojuszników, czy też tylko zbędny ciężar społeczny.

14 grudnia

Niezależnie od swej przeszłości i sławy, jako samo tylko dzieło architektury i urbanistyki, Rzym jest najpiękniejszym — obok może jednego Paryża — miastem Europy. Brak mu wielkich paryskich perspektyw, ale na co zdadzą się te wielkie prospekty pokoleniom obecnym, żyjącym bez jutra, z myślą ograniczoną do

kilku niewesołych alternatyw? Rzym jest bardziej intymny, stworzony raczej do marzenia, które ucieka od wielkich przestrzeni. Na dziesiątki placów zamkniętych jak teatralna dekoracja, patrzą barokowe fasady pałaców. Przed fasadami tańczą obeliski, które zrazu drażnią oko szukające harmonii płaszczyzn. Dopiero po pewnym czasie zaczynam rozumieć tę właściwość architektury barokowej, traktującej każdy plac jako zamkniętą w sobie całość, świat odrębny, rządzony przez własne prawa i własną fantazję.

15 grudnia

Książka włoska nigdy nie miała większego debitu za granicą. Otrzymanie jej nastroczało często niemałe trudności. Wydawcy i księgarze włoscy z zasady nie odpowiadali na listy. Wyjątek stanowił Ulrico Hoepli w Mediolanie, który — jako Szwajcar — odpowiadał natychmiast na wszystkie pytania i zamówienia. Był on jedynym źródłem książek włoskich i nazwisko jego było znane wszystkim księgarzom świata. Inne źródła — jak np. paryska Libreria Italiana utrzymywana przez Banco di Roma — znane były mniej licznym italianizantom.

Wędrowkę po księgarniach zaczynam więc oczywiście od Hoepliego, największej dziś w Rzymie księgarni, położonej przy Piazza Colonna. Hoepli posiada istotnie ogromny wybór książek zalegających półki i piętrzących się na niezliczonych stołach. I tu jednak spotyka mnie rozczarowanie, jakiego od kilkunastu lat doznaję we wszystkich księgarniach Europy. Dzisiejszy księgarz jest tylko urzędnikiem handlowym; nie umie udzielić żadnej informacji, nie robi żadnych poszukiwań i czuje się nieprzyjemnie dotknięty, kiedy żądamy książki leżącej na nieco wyższej półce, na którą trzeba się wspinać po drabinie.

To samo niepowodzenie spotyka mnie w Libreria Signorelli, mającej inne zwyczaje handlowe. U Hoepliego książki leżą jak na straganie, można je wszystkie oglądać i przerzucać. Nikt nie orientuje się więcej w tym chaosie. U Signorellego stoły są puste; książki leżą w wzorowym porządku, w zamkniętych szafach i na zakratowanych półkach.

Jaka jest przyczyna tej degeneracji handlu księgarskiego? Gdzie znikli księgarze, którzy nie tylko sprzedawali, ale także czytali książki i umieli o nich udzielić najciekawszych wiadomości? Pamiętam starego księgarza u Alcana w Paryżu, który — jako najlepszy znawca bibliografii filozoficznej — był doradcą wszystkich studentów piszących tezy. *Ma chi sa se vive ancora?* Jednym

z ostatnich przedstawicieli tego pokolenia księgarzy jest Feldmann urzędujący w księgarni Franckego w Bernie. Od 1914, ilekroć przejeżdżam przez Bern, odwiedzam zawsze Feldmanna, najlepszego znawcę bibliografii autorów greckich i łacińskich, czytającego w kilkunastu językach. Pamiętam tylu innych jeszcze, dziś nie żyjących lub zaginionych w odmęcie czasów. Kiedy — jako 19-letni student — przyjechałem do Monachium, księgarz, u którego kupiłem tam pierwszą książkę, przyglądał mi się przez chwilę uważnie, po czym podał rękę i powiedział:

— Ma pan u mnie 25 % rabatu. Proszę mnie zorientować w pańskich zainteresowaniach, a będę panu przysyłał 30 książek miesięcznie do przejrzenia. Zatrzyma pan, co się panu podoba, a rachunki będziemy regulowali miesięcznie.

Ten księgarz rozpoznał we mnie od pierwszego spojrzenia rys, o którym sam wówczas nie mogłem jeszcze wiedzieć, mianowicie, że będę wielkim czytelnikiem, który na własny użytek kupi z czasem koło 20.000 tomów, dziś rozsianych po świecie, podartych na papier do zawijania machorki, rzuconych w błoto dla wymoszczenia rozmiękłych dróg, puszczonej z dymem pożarów i zbutwiały w piwnicach, gdzie starali się je ukryć przyjaciele.

Od tego czasu byłem przez długie lata przyjacielem wszystkich dalszych księgarzy i bukinistów. Każdy z nich poznawał mnie od pierwszego wejrzenia. Przypuszczam zresztą, że byłem dobrym klientem. Kupowałem książki, których niełatwo się pozbyć z magazynu, nie targowałem się nigdy, ale też bardzo rzadko płaciłem cenę katalogową.

Dotyczy to jednak tylko dawnych księgarzy, z których kilku zaledwie, białych jak gołąb, jest jeszcze przy życiu. Nowych księgarzy nie znam, nie mam z nimi żadnego wspólnego zainteresowania. Do ich sklepów wpadam tylko na chwilę. W ciągu krótkiego czasu handel książką zmienił się nie do poznania. Ja sam kupuję dziś książki jak skarpetki lub kalesony, poświęcając temu zajęciu jak najmniej czasu i pieniędzy.

Jak przyszło do tego zmierzchu książki i księgarstwa?

Pierwszym prorokiem zagłady był dla mnie znany niegdyś wydawca paryski Georges Crès, który wiosną 1918 pokazywał mi koło setki swych najnowszych wydawnictw, drukowanych podczas wojny w Szwajcarii. Były to książki drogie, ilustrowane, wydane bardzo ozdobnie i poświęcone mniej lub więcej sztuce.

— Dawniej wydawcy liczyli na klientów w pańskim rodzaju, kupujących książki do czytania. Ta grupa nabywców została zrujnowana przez wojnę. Stoimy przed nowym nabywcą, mało piśmiennym barbarzyńcą, któremu koniunktura wojenna dała do rąk wielki pakiet podejrzanego wartości banknotów. Musimy umeblo-

wać jego nowe mieszkanie i dać mu dla splendoru domu bibliotekę godną jego pieniędzy i barbarzyństwa. Nie mam złudzenia, aby moje książki były przezeń czytane. Co najwyżej przeczyta je panna służąca, kiedy pani domu będzie wieczorem w Operze. Ponieważ jednak z dawnych czasów pozostało nam trochę dobrego smaku, kilka z tych książek posiada nawet pewną wartość artystyczną.

Tak zaczął się zmierzch książki. Nowe warunki, nowi nabywcy, nowe wymagania i wielka koniunktura upoważniająca do masowej produkcji. Popychany z tyłu przez fabrykantów papieru i maszyn drukarskich, przez wydawców, typografów i agencje kolportażowe, tłum autorów stanął do masowej fabrykacji tanich tekstów.

Przemysł książkowy emancypował się, stał się niezależny od literatury, od ruchu umysłowego, nawet od gustów publiczności literackiej. Odtąd rządzą nim te same prawa, którym podlegają inne gałęzie produkcji narodowej.

Przed tą ewolucją księgarz sprzyjał rozpowszechnieniu książki, jej wędrówkom od czytelnika do czytelnika, ze środowiska do środowiska, z kraju do kraju. „Przemycą w Litwę Żyd tomiki moich dzieł”, pisał Mickiewicz. Dziś zsyndykowani wydawcy i księgarze są największą przeszkodą cyrkulacji książki. Jak w innych gałęziach produkcji, zrodziła się wśród nich myśl bronięcia produkcji narodowej od konkurencji obcej. Ludzie ci, stworzeni do handlowania bykami i liczenia pieniędzy, nie chcieli i nie umieli obronić odrębnego stanowiska książki wśród innych produktów przemysłu. Książka stała się towarem wśród towarów, podlegającym przepisom celnym dewizowym, kontyngentowym, clearingowym itd. Truteń siedzący za biurkiem w byle ministerstwie zastanawia się zupełnie serio, na jakim miejscu postawić produkcję i handel książką w hierarchii potrzeb doraźnych kraju, jak gdyby w jego mętnej i ciemnej głowie mogły w ogóle istnieć kryteria do tego rodzaju ocen.

Treść i wygląd książki obniżyły się powoli do jej nowego miejsca i rangi. Ewolucja ta była mało zależna od doraźnych wstrząsów wojennych. W szczęśliwej Szwajcarii książka rodzimej produkcji przybrała charakter podarunku na Gwiazdkę, i sprzedaż jej odbywa się sezonowo w grudniu każdego roku. Ponieważ wszyscy Szwajcarzy są dziś zamożni, rynek jest bardzo chłonny i cała produkcja książek — bez względu na ich cenę, wartość i treść — ma zbyt z góry zapewniony. Od konkurencji obcej bronią ich przepisy celne, skarbowe i dewizowe. Książka francuska kosztuje w Szwajcarii 3-4 razy drożej niż we Francji. Podobne zwyczki obciążają też inne książki obce, które wreszcie udało się wyplenić w Szwajcarii niemal zupełnie. Czytelnik zdany jest na

produkcję krajową, przypominającą bardzo wymienione wyżej wydawnictwa Crèsa.

Kto zresztą wie, czy książki te są kiedykolwiek czytane? Czy zajęta sportem i pracą młodzież ma w ogóle czas na czytanie? Czy istnieje gdzieś samotny czytelnik, mogący sobie zdać sprawę z niewysokiej klasy koniunkturalnych tekstów towarzyszących ilustracjom? Czytelnik w moim rodzaju oczywiście nigdy takich książek do ręki nie bierze, powodowany instynktowną odrazą.

Traktowana w tym duchu, książka nie może przekroczyć żadnej granicy ani linii demarkacyjnej. Książka francuska, dochodząca niegdyś swobodnie do Uralu, nie może dziś przekroczyć linii Maginota. Nie można jej znaleźć nawet w Genewie, dokąd spadają co najwyżej okruchy z paryskiego stołu. W zonie francuskiej Niemiec kosztuje kilkadziesiąt marek czyli 1/4 lub 1/5 miesięcznego zarobku podokupacyjnego Niemca. We Włoszech cena książki francuskiej we frankach jest mnożona przez współczynnik 4. Ciekawszych książek obcych w ogóle nie ma nigdzie w handlu. Przywożą je co najwyżej w kieszeniach rzadcy podróżni.

Zamknięta murami od sąsiedniego zaścianka, oddana w ręce handlarzy świń i łysiejących urzędników, książka europejska stała się parafiańska, tandetna w treści, głupia, zmanierowana na najniższy snobizm. W niewoli utraciła wszelką godność. Owinięta w kolorowe prospekty i hałaśliwe *prière d'insérer*, jest jak prostytutka wdzięcząca się do niewybrednego klienta. Pamiętający inne czasy czytelnik grzebie hakiem w kupach tego drukowanego paszkiudztwa, jak śmieciarka w śmietniku, walcząc z mdłościami i chęcią wymiotowania na tę ohydę splodzoną z bezwstydu i ciemnoty. Jeżeli nie ucieka, robi to z długiego przyzwyczajenia lub w złudnej myśli znalezienia na dnie śmietnika przysłowiowego pierścionka z brylantem. Jak śmieszne wydają się nadzieje naiwnych, którzy Europie wróżą w dzisiejszym świecie rolę Grecji w Imperium Romanum.

Książka włoska przeszła też przez całą tę nieszczęśliwą ewolucję. Księgarnie są pełne koniunkturalnych druków. Książki, których szukam, są przeważnie wyczerpane lub trudne do znalezienia.

Rzecz prosta, że oderwana od stałego czytelnika, kupującego chronicznie w zły i dobry rok, książka stała się bardziej zależna od koniunktury ogólnej i przechodzi kryzysy podobne do trzęsienia ziemi. W tej chwili książka włoska przechodzi jeden z takich kryzysów. W ciągu roku bieżącego cena jej uległa kilku zwyczajom i wynosi obecnie tyle co niezły obiad w restauracji. W tej cenie nie znajduje nabywców. Personel księgarski nie umie jej sprzedać istniejącym jeszcze klientom. Znaczna część wydawców stała się praktycznie niewypłacalna. Nawet *Fiera Letteraria*,

główny tygodnik literacki Włoch ma przestać wychodzić. Dowiaduję się, że jego najbliższy numer będzie ostatni. Świadczy to o głębokości kryzysu, zważywszy zwłaszcza, że recenzje w pismach literackich są głównym instrumentem propagandy i reklamy książki.

Z fal potopu wynurza się jak skała *La Critica*, czasopismo wydawane przez Crocego, które czytywałem jeszcze podczas pierwszej wojny światowej — było wówczas germanofilskie — i które przetrwało zarówno czasy klęski jak czasy powodzenia. Ostatni numer — napisany od deski do deski własną ręką mistrza — jest potrójnej objętości i datuje się z letnich miesięcy. Zwraca się zapewne do niewielkiej lecz stałej grupy czytelników i abonentów i opiera się na kalkulacji podobnej do książek wydawanych przez subskrypcję. Dzieła Crocego są częściowo wyczerpane i jedyne, jakie chciałbym kupić, jest nie do znalezienia. Handel antykwarski w Rzymie praktycznie nie istnieje, sprowadzając się do książek sprzedawanych na straganach i wózkach. Antykwariaty handlują obrazami, sztychami — można w nich znaleźć sztychy Della Balli i Salvatora Rosy z *Calcografia Nazionale* — i rzadkimi drukami historycznymi.

W tym stanie rynku księgarskiego szczególne znaczenie przypada bibliotekom. Obok łatwo dostępnej Biblioteca Nazionale koło Collegio Romano istnieją bogate księgozbiory instytutów zagranicznych, amerykańskiego, brytyjskiego, francuskiego, belgijskiego, szwedzkiego, obecnie mniej uczęszczane z powodu raryfikacji ich naturalnych klientów. Istnieje też *Centre culturel* francuski, mający własną bibliotekę i czytelnię pism. Władze francuskie utrzymują instytucję propagującą książki, których nie ma w handlu. Dawniej książka francuska nie wymagała żadnej opieki oficjalnej, aby dochodzić o własnych siłach aż do Wołgi i Donu.

Przychodzi mi na myśl pytanie, czy wobec degradacji książki cywilizacja nasza nie utraci charakteru książkowego, jaki nosi od czasów Renesansu. Sztuki plastyczne i muzyka posiadają język bardziej uniwersalny od literatury i dotąd nie dały się zepchnąć do parafianstczyzny. Być może prawdziwego wykształcenia humanistycznego trzeba będzie szukać innymi drogami niż przez czytanie. Początki takiej ewolucji można już widzieć we Włoszech, w Szwajcarii, być może i gdzie indziej.

16 grudnia

Z gazet dowiaduję się, że prezydent Truman udzielił Włochom gwarancji podobnej do tej, jaką 12 marca dał Grecji i Turcji.

Krok ten stał się zapewne nieunikniony z chwilą objęcia Włoch przez plan Marshalla. Inwestując tak wielkie sumy we Włoszech, Stany Zjednoczone muszą ich bronić przed okupacją sowiecką.

Bardziej zastanawia fakt, że krok ten nastąpił dopiero w dniu wczorajszym. Można stąd wnosić, że do wczoraj wejście armii jugosłowiańskiej lub sowieckiej do Włoch nie było uważane nawet za *casus belli* między wielkimi aliantami.

Gwarancje nie mają dziś dobrej sławy. Czy amerykańskie okażą się więcej warte od tych, jakich Wielka Brytania udzieliła w 1939 roku Polsce, Rumunii i Jugosławii? Jakimi siłami Stany Zjednoczone zamierzają bronić Grecji, Turcji i Włoch? Czy mogą przeszkodzić ich okupacji? Pytania te zapewne stawiają sobie wszyscy czytelnicy pism, jakkolwiek te ostatnie powstrzymują się od tego rodzaju komentarzy.

18 grudnia

Zasiadać w akademiach, zbierać się w salonach i na bankietach literackich, dyskutować stare i nowe teksty, przerzucać się prawdziwymi i fałszywymi cytatami, wszystko to jest też życiem literatury. Bez niego utwory literackie padałyby w próżnię bez echa. Ilu bankietów było potrzeba, aby Cyceron przechował się do naszych czasów i — w Collection Budé czy w Loeb's Classical Library — znajdował wciąż nowych czytelników? To życie bierne sztuki, niosące poprzez wieki sławę rzeźb, obrazów, dramatów, wierszy i prozy jest ważną częścią składową naszej cywilizacji, jej pamięcią i ciągłością. Kiedy go nie stanie, najświetniejsze teksty staną się martwą literą, znaną tylko papyrologom.

Aby Olimp twórców nie usechł w podręcznikach mitologii, musi istnieć też kondygnacja niższa z zastępem kapłanów palących kadzidła, uważnie rozpatrujących trzewia ofiar i szepczących sobie na ucho ostatnie anegdoty z życia Zeusa i Hery.

Rozwój i specjalizacja drukarstwa przyniosły ze sobą powstanie jeszcze niższej kondygnacji, w której uczestnicy nie wypowiadają sądów ani nie bankietują sami a jedynie czytają w gazetach opisy posiedzeń i bankietów, podpatrzonych przez dziurkę od klucza.

Oblizywanie się przez szczelinę w parkanie na życie akademii i salonów, na bankietnictwo i obiadożerstwo literackie jest zajęciem zasadniczo postnym i niewdzięcznym, podobnym do platońskiego czytania *Ćwierciakiewiczowej*. A jednak to właśnie oblizywanie się jest główną przyjemnością ofiarowywaną czytelnikom tygodników literackich. Nie wiem czy ci, którzy porzucili bilard

i karty dla czytania po kawiarniach kronik literackich, zyskali na tej zamianie.

Zysk na zamianie jest tym bardziej niepewny, że i życie średniej kondygnacji literackiej stało się dla różnych przyczyn mało rozrywkowe. Niby na kadłubie zatopionego okrętu porośniętą skorupą skorupa akademii, urzędów, organizacji, klubów i zrzeszeń o charakterze oficjalnym, wprzężonych w mechanizm nowożytnego państwa i jego moralność obłąkanego miasta, od której każdy, zdaje się, chciałby wziąć czasowy urlop i uciec chociażby w dziedzinę fikcji literackiej. Atmosfera średniej kondygnacji jest dziś duszna i niegościnna. Muchy nie wytrzymują jej wcale, a i ludzie w niej bledną i więdną.

Refleksje te budzi we mnie *Fiera Letteraria*, której ostatnie numery leżą przede mną na stole. Czy wydawanie dobrego tygodnika literackiego jest dziś w hemisferze zachodniej w ogóle możliwe? *Fiera* jest tygodnikiem w rodzaju *Nouvelles Littéraires*. Jej redaktor, B. G. Angioletti, jest człowiekiem wielkiej i wszechstronnej kultury. Pisują tam także wybitni Francuzi, Julien Benda, Léon-Paul Fargue etc. Bieżące zjawiska literackie są obszernie omawiane, recenzje staranne. Mimo te zalety, czytanie *Fiery* wymaga więcej cierpliwości niż lektura Cycerona. Są to wciąż tylko różne aspekty tej samej martwej powierzchni księżycy.

Wydaje mi się, że pismo tego rodzaju może się utrzymać tylko w oparciu o firmy wydawnicze, dla których recenzja jest najskuteczniejszą formą reklamy książki. Publiczność czytająca takiego pisma nie podtrzyma, i niechęć jej będzie nawet dowodem jej instynktu samozachowawczego.

Czy pod martwicą oficjalną i zwałami produkcji przemysłu papierniczo-drukarskiego istnieje jeszcze żywa literatura?

Po tych refleksjach spotykam się z młodymi literatami, z których jeden pisywał w *Fierze*. Podzielają moje uwagi krytyczne, mówią, że sam Angioletti w tych właśnie brakach i trudnościach upatrywał przyczynę niepowodzenia *Fiery* u czytelników. Aby stworzyć coś innego, trzeba jednak wystartować na nowym miejscu z niezależnymi środkami, kiedy minie obecny kryzys i jego *porca miseria*.

Z rozmowy widzę, że literaci włoscy nie mają w sobie nic z samorodnych geniuszów amerykańskich i słowiańskich, piszących w miarę talentu i nie oglądających się za siebie. Carlo Levi zdaje się być wyjątkiem. Znają doskonale swych klasyków, starych i nowych, i stąd czerpią zrównoważony sąd krytyczny i poczucie proporcji. Pochowali bez żalu swą akademię z czasów faszystowskich, mówią ze śmiechem o UNESCO i Pen-Clubach.

Zrazu jestem nieco przestraszony ich sceptycyzmem w ocenie najbliższych perspektyw literatury włoskiej. Mówią np., że ich zdaniem faszyzm był okresem najbardziej sprzyjającym literaturze. Wielu uciekało wówczas od rzeczywistości w świat fikcji. Zarówno pisanie jak czytanie było sprawą serio. Cenzura zmuszała do wyszukanej stylizacji i stwarzała wiarę w tajemniczą i groźną — nawet dla armii i floty — potęgę słowa. W tej atmosferze powstały takie arcydzieła jak *Sorelle Materassi*. Dziś — powiadają — swobodne pisanie z dnia na dzień na tematy aktualne posiada tak wielki urok nowości, że niewielu tylko potrafi mu się oprzeć.

Rzym posiada istotnie ogromną liczbę dzienników i periodyków, których codzienna konfekcja musi zatrudniać tysiące piszących.

21 grudnia

Pod miastem dzisiejszym — na całej przestrzeni otoczonej aurelianowskim murem — w głębokości kilku metrów śpi pod ziemią Rzym starożytny. W różnych miejscach odkopano jego mniejsze lub większe fragmenty. Wśród eleganckich ulic nowych lub wśród rozgwaru dzielnic handlowych zatrzymują przechodnia kamienne balustrady. Przechylając się przez nie widzi otoczony murowanym ocembrowaniem jakiś wycinek dawnego Rzymu, leżący o 5-10 metrów niżej poziomu dzisiejszej ulicy. Czasami jest to tylko jeden budynek, czasami — jak na Piazza Argentina — mała dzielnica z paru wąskimi uliczkami, domami mieszkalnymi, świątyniami, śpiąca wiecznym snem wśród gwaru i ruchu dzisiejszego miasta.

Rzym mojej młodości odsłaniał tylko niewielką część dawnego miasta, leżącą między Kapitołem i Palatynem, dokoła forum i ruin z czasów republiki. W okresie faszyzmu odkopano znaczną część dawnego centrum miasta, pokrytą ruinami z czasów cesarstwa. W tym celu zburzono całą dzielnicę. Ta część Rzymu jest dla mnie pełna niespodzianek. Kolumna Trajana, którą pamiętam na niewielkim, trójkątym placu, otoczoną wysokimi domami, wznosi się dziś wśród pustej przestrzeni, przeciętej przez via del Impero. Ulica ta biegnie na poziomie dzisiejszego miasta, o kilka metrów wyżej od odkopanych ostatnio placów i ulic starożytnego miasta.

Nawet pobieżne zwiedzenie Rzymu starożytnego wymaga dziś kilku tygodni czasu i niejakiego przygotowania. Dzięki uprzejmości pewnego uczonego archeologa, w ciągu kilku dni mam możliwość obejrzenia kilku głównych partii ruin. Z przechadzek

archeologicznych odnoszę wrażenie, że odkrycie tyłu nowych zabytków spowoduje znaczne przesunięcia się w czasie naszych pojęć i wiadomości o Rzymie starożytnym. W czasach moich studiów uniwersyteckich, kurs historii i literatury rzymskiej kończył się z okresem Flawiuszów. Nawet *Grandezza e decadenza di Roma* Ferrera kończy się w początkach cesarstwa. Rządcy profesorowie wychodzili poza ten uświęcony tradycją krąg, zwany „złotym wiekiem”. Kto chciał wiedzieć coś więcej, musiał wracać do Gibbona, szperać w rocznikach *Hermesa* i *Rheinisches Museum* lub nawet zaglądać do wiecznie dziewiczych tomów patrologii łacińskiej.

Patrząc dziś na kubaturę i irracjonalną ambicję budowli wzniesionych w czasach Septimiusa Severa a nawet Diokletiana, widzimy, że okres największej zamożności, potęgi i zdolności do pracy Rzymian nie skończył się na pierwszym wieku cesarstwa, i że musimy go przedłużyć jeszcze o dwa stulecia.

Między znanymi dawniej i odkopanymi świeżo zabytkami jest jeszcze znaczna różnica. Na widok ruin pod Kapitołem każdemu przychodzi na myśl znane z lektury szkolnej teksty Cyce-rona, Sallustiusa, Horacego. Cienie znanych postaci zaludniają wielebne mury. Z ruin cesarstwa wieje jeszcze pustką. Mistrz drastycznego szczegółu, Suetonius, nie należał do szkolnej lektury. Historycy nie zaludnili dotąd nowo odkopanych ruin rekonstrukcją wypełniających je niegdyś dni sławy i tragicznych konfliktów. Czy i kiedy wyrosłe w antyhistoryzmie naszych czasów pokolenia dokonają tej rekonstrukcji?

Z natłoku wrażeń archeologicznych na pierwsze miejsce wysuwa się w mej pamięci pałac Flawiuszów, zajmujący środek wzgórza palatyńskiego, z szerokim widokiem w różnych kierunkach. Położenie i rozmiar robią zeń jeden z najambitniejszych budynków świata. Pałac ten — jak mówi o nim Statius — sam dziwi się swej bliskości do Jowisza gromowładcy i obawia się, aby nie przekroczył proporcji nieba, tak wielka jest masa jego murów i zamknięty w niej bezmiar przestrzeni:

Tanta patet moles effusaeque impetus aulae.

Dziś z pałacu pozostało tylko około jednego hektara posadzki otoczonej resztkami muru i podstawami kolumn oraz ruiny schodzącego do Circus Maximus tarasu. Plan, pomysł i rozmiar budynku są jednak wciąż przytomne.

Wzgórze Palatynu nosi na sobie kilka warstw szaleństwa budowlanego. Pałac Flawiuszów stoi na neronowskim *domus aurea*. Gruzy tego ostatniego wypełniają fundamenty pałacu Domitiana.

Odkopane fragmenty z *domus aurea* zawierają w zawiązku styl budownictwa renesansowego i barokowego.

Pierwszy raz widzę także *domus Liviae*, gdzie spędził swe późniejsze lata jej mąż, Augustus. Zapewne w tym skromnym i ciasnym domu wypowiedział był zachowane u Suetoniusza, tnące jak nóż słowa o komedii swego życia. Wśród zdobiących ściany fresków uderza biegnący żółtą wstęgą pejzaż, który przedstawia wschodnią pustynię z namiotami i wielbłądami. Jego dekoracyjne ujęcie, rytm i rozrzut postaci nastroczają wiele refleksji.

Spośród nowo odkopanych budynków najlepiej zdaje się zachowany czteropiętrowy gmach — tzw. *Mercati Trajano* — w którym w początku drugiego wieku znajdował się urząd centralizujący zakupy i rozdział żywności. Przy burzeniu domów nowszego pochodzenia w pobliżu kolumny Trajana, spod tynku i nadbudówek wynurzyły się imponujące kształty budynku będącego dziełem jednego z najsławniejszych architektów starożytności. Wypełniające go niezliczone biura dają pojęcie o rozmiarach ówczesnych procesów wymiany wewnątrz cesarstwa. W dwa wieki później wymiana towarów skurczyła się ogromnie i wszystkie prowincje zaczęły przechodzić do gospodarki zamkniętej. Świat dzisiejszy przeżywa bardzo podobny, posuwający się szybkimi skokami, proces kurczenia się wymiany i wzrostu gospodarki autarkicznej. Mamy okazję oglądania na własne oczy mechanizmu zjawisk, które skruszyły najudatniejszą — jak dotąd — próbę organizacji politycznej świata.

23 grudnia

Muzea tutejsze zawierają najbogatsze zapewne zbiory rzymskiej rzeźby portretowej. Interesują mnie zwłaszcza portrety cesarzy i ich żon. Większość ich znam z poprzedniej bytności, z odlewów i fotografii. Łączy mnie z nimi nie tylko dawna znajomość, ale także jeden z moich najstarszych projektów literackich, do którego chciałbym teraz powrócić. Nowe wędrówki po muzeum kapitolijnskim, watykańskim i innych przynoszą mi same rozczarowania.

Marmurowe portrety cesarzy posiadają jedyny w swoim rodzaju komentarz w postaci równoległej serii portretów literackich, zaczynającej się od Plutarcha i biegnącej przez Suetoniusa do żywotów późnego cesarstwa, zawartych w *Historia Augusta*. Plutarch był wielkim artystą i dzieła jego były ogromnie czytane za wszystkich czasów. Żaden z następnych biografów nie dorównywał mu talentem; większość ich pozostała znana tylko filologom.

Biografia rzymska przeszła bolesną, tragiczną ewolucję. Ostatnie jej twory zdają się kalekie i ubogie. Czemu odstąpiono tak szybko od sławnych wzorów hellenistycznych, naśladowanych z powodzeniem w wiekach późniejszych?

Przyczyna tego leży, być może, w ewolucji pojęć o człowieku, jego roli i miejscu wśród innych zjawisk. W biografiami Plutarcha życie bije falą barwną i szeroką. Bohaterowie jego oddychają swobodnie zanim zbliżą się do fatalnej cieśniny. U Suetoniusa ramy są już znacznie węższe. Jego postacie zdają się śpieszyć do końca zapowiedzianego w horoskopach. W obliczu nieuniknionego losu, z wolności została im już tylko możliwość wypowiedzenia kilku hardych słów, zarysowania jakiegoś lekceważącego gestu. Im dalej, tym żywoty cesarzy stają się krótsze i uboższe w alternatywy. Wszyscy niemal giną w ten sam z góry wiadomy sposób. Jest ich coraz więcej, po kilku lub kilkunastu naraz. Żaden nie ma już czasu na dopełnienie — jak bohaterowie tragedii — swego losu, zawartego w jego indywidualnej naturze. Aby ocalić jednego z nich od nicości i niepamięci, biograf musi streścić się do jakiegoś rysu lub epizodu, najskromniejszego chociażby, lecz niepowtarzalnego. Przez parę wieków Rzymianie żyli pod wrażeniem nadchodzącego zmierzchu, w którym człowiek zdaje się być tylko własnym cieniem. Nawet język ich ostatnich poetów utracił w półmroku swe barwy i stał się blady jak słoma.

Seria portretów rzeźbionych wykazuje też wielkie zmiany. Od harmonijnych kompozycji oddających raczej postawę lub typ, przechodzi do poszukiwania rysów bardziej indywidualnych, Świadomość bliskiego zmierzchu kładzie swój cień na marmurowe popiersia. Ostatni cesarze patrzą szeroko otwartymi oczami, jak gdyby nadchodzący koniec leżał już w zasięgu ich wzroku.

Ewolucja ta jest jednak mniej jasna niż w serii pisanej. Nie znamy dobrze przeznaczenia poszczególnych rzeźb. Osoba portretowanych cesarzy rozdwa się na ich naturę ludzką i naturę boską, trudniej uchwytną dla plastyka. Obok portretów realistycznych pojawiają się portrety imaginacyjne.

W latach ostatniej wojny miałem sposobność przyglądania się często imaginacyjnemu portretowi Julii Domny, wykopanemu wówczas w pewnej podgórskiej osadzie. Julia Domna była córką kapłana Baala z syryjskiej Emesy i żoną jednego z najświetniejszych cesarzy późnego imperium, Septimiusa Severa, Afrykańczyka. Cesarzowa wywarła wielki wpływ na życie religijne i umysłowe swego czasu; w jej otoczeniu Philostrates miał napisać *Żywot Apoloniusa z Tyany*. W muzeach przechowały się jej liczne portrety. Jako cesarzowa, Julia Domna przybrała trzy imiona: Pia, Felix, Augusta. Prowincjonalny autor wykopanej w podgórskiej osa-

dzie głowy miał przed sobą jako model te właśnie trzy imponujące imiona, które starał się oblec w formę plastyczną. W tego rodzaju dziełach patrzącego uderza najczęściej droga, jaką musiał odbyć artysta, zanim — wychodząc z tak odległego punktu — znalazł konkretną, zwartą, nieruchomą formę dla swej przygody.

O ile wiem, nikt dotąd nie próbował porównać ze sobą obu serii portretowych, aby z ich wzajemnych uzupełnień odtworzyć historię wewnętrzną rzymskiego indywidualizmu i jego zmagania z narastającą niwelacją i zmrokiem. Historia ta leży ukryta w kilkudziesięciu zamkniętych w sobie popiersiach i kilkuset stronicach mało znanych tekstów. Aktualność jej dziś jest oczywista. Od pierwszych dekadentów, trzecie już pokolenie Europejczyków szuka recepty dla sztuki wielkiej katastrofy, wielkiego zmięczenia.

Obecne wędrówki po muzeach uświadamiają mi trudność tego przedsięwzięcia. Głównym szkopułem jest niepewna identyfikacja portretów rzeźbionych. Nieliczne tylko noszą napisy, często wyryte znacznie później przez pierwszych znalazców lub nabywców. W innych popiersiach rozpoznawano już kolejno różne osoby. W ciągu ostatnich kilkunastu lat krytyka sceptyczna podważyła, zdaje się, większą część uprzednich identyfikacji. Popiersia, które znałem dawniej z nazwiska, uległy zdeklasowaniu i stają na korytarzach w tłumie nierozpoznanych. Mój temat wymagałby więc już na wstępie krytycznego przejrzenia wszystkich dotychczasowych prób rozpoznania zachowanych portretów. Zajęłoby to kilka miesięcy pracy, wiodącej prawdopodobnie do niejasnych i wątpliwych wyników.

24 grudnia

O trzydzieści kilometrów na południe od Rzymu wznosi się grupa wulkanicznych gór, w których podczas wojny Niemcy stawiali ostatni opór przed opuszczeniem Rzymu i wycofaniem się w Apeniny. U stóp Monte Cavo, w dwóch kraterach wygasłego wulkanu leżą tam dwa błękitne jeziora: Albano i Nemi.

Dziś z rana, wilią Bożego Narodzenia, wyjeżdżam tam z dwoma przyjaciółmi. Tramwaj dowozi nas do wsi Albano, skąd podnosimy się pieszo na brzeg krateru. Po drodze mijamy kilka budynków uszkodzonych przez artylerię. Pod szarym niebem wieczna zieleń błyszczącego listowia drzew wydaje się jeszcze głębsza niż w parkach rzymskich.

Końierz krateru porośły jest krzakami słodkich kasztanów i karłowatą dębiną. Pod rdzawymi plamami dębów leżą zielone

smugi pastwisk. O dwieście metrów niżej widać jezioro Albano z leżącym na brzegu Castel Gandolfo, letnią rezydencją papieską.

Idąc w prawo brzegiem krateru wchodzimy lekko wznoszącą się ścieżką na Monte Gentile, dzielący oba jeziora. Wszędzie ta sama karłowata dębina i zielone plamy trawników. Pustka jest tu zupełna. Po drodze spotykamy tylko małe stado owiec prowadzone przez starego pasterza i z dala widzimy paru drwali, zajętych piłowaniem dębowego kłosa na sposób prymitywny, przywieziony niegdyś przez robotników włoskich w Karpaty Wschodnie. Dzień jest szary i ciepły. W jednym miejscu spotykamy kwitnący krzak żarnowca.

W wyrzeźbionych przez wodę parowach widać alternujące warstwienia ziemi i wulkanicznego tufu, szarego lub czerwonego. W okresach snu, stoki wulkanu pokrywały się roślinnością i warstwą ziemi urodzajnej, którą następny okres czynny przysypywał znów kilkumetrową warstwą popiołu. Zapadając w nowe tysiąclecie snu, wulkan pokrywał się na nowo humusem i zielenią.

Na grzbiecie Monte Generoso zatrzymujemy się na gładko splantowanym pagórku porośłym grupą stuletnich, przeważnie uszkodzonych przez pioruny i na pół spróchniałych dębów. Żałuję, że nie pamiętam dobrze rozdziału z *The golden Bough* Frazera, poświęconego bogatej historii religijnej jeziora Nemi.

Idąc przez las na przełaj, schodzimy na brzeg drugiego krateru, na dnie którego leży jezioro Nemi. Obchodząc w ciągu kilku godzin cały kołnierz krateru dostajemy się o zmroku znów nad jezioro Albano, na drogę prowadzącą do Rocca di Papa. Po drodze przechodzimy przez dwie wsie, które wydają się mało zaludnione. Z zaniedbanych murów można by odczytać całe wieki historii. Pod piętrami i nadbudówkami, w niższej części budynków widnieją płaskie cegły z bardzo odległej przeszłości. W jednej z tych wsi zapewne Berlioz słyszał grających na fujarkach *pifferari*, których wzmiankuje w swych wspomnieniach z pobytu w Rzymie.

Rocca di Papa, jak wiele innych osad górskich we Włoszech, jest zbudowana na pochyłym zboczu, wzdłuż pnącej się wprost w górę ulicy. Na rynku stoją grupy ludzi w świątecznym nastroju. Niektórzy rzucają nam w przejściu: „*auguri per il Natale!*”, życzenia wychodzące z otchłani wieków, bo *il Natale*, zanim stał się rocznicą narodzin Chrystusa, był dniem narodzin nowego cyklu słonecznego: *dies natalis solis invicti*.

28 grudnia

Za wszystkich czasów muzyka włoska urzekwała i niepokoiła

zarazem podróżnych, przybywających z drugiej strony Alp. Prezydent de Brosses, zwiedzający Włochy w pierwszej połowie XVIII wieku, poświęca jej swój najdłuższy list z podróży, porównujący muzykę francuską i włoską. Ta ostatnia znajdowała się wówczas na szczycie sławy, w fazie największego rozwoju. Utwory kompozytorów włoskich, których słyszę tu dziś — Ottorino Respighi, Francesco Malipiero, Alfredo Casella — są kwiatem uczonym i bladym. Znam je od przeszło 20 lat i nigdy myślą do nich nie wracam. Mimo to spotkanie z muzyką włoską jest dla mnie znów wstrząsającym przeżyciem. Dwa razy w tygodniu słucham koncertów symfonicznych w Teatro Argentina. Wydaje mi się, że to co dzieli nadal muzykę włoską od muzyki północnej Europy, nie da się sprowadzić do różnic sztuki kompozytorskiej i jest czymś jeszcze istotniejszym.

Teatro Argentina jest środowiskiem zgoła odmiennym od mediolańskiej Scali, gdzie tzw. wyższe sfery towarzyskie schodzą się pod popiersiem Stendhala w celu słuchania Verdiego. Budynek Teatru Argentina jest stary i zaniedbany; publiczność podzielona jasno na dwa obozy. Parter i niższe piętra balkonu gromadzą publiczność *mondaine*, wyższe piętra należą do publiczności muzycznej.

Już w pierwszej chwili uderza niezrównana akustyka tego budynku. Nawet z balkonu 5-go piętra słychać najdrobniejsze szczegóły. W tych warunkach można wreszcie ocenić prawdziwe *pianissimo*. Takiej akustyki nie posiada żadna znana mi sala koncertowa Północy. Nawet wielka Salle Pleyel ze swymi urządzeniami technicznymi jest jeszcze odległa od Teatro Argentina.

Sam już ten pierwszy szczegół wskazuje na głęboką różnicę między muzyką włoską i północną. My, ludzie Północy, kontentujemy się łatwo byle czym, na pół słyszonym zarysem dźwiękowym, dającym pojęcie o budowie danego utworu. To nam najczęściej wystarcza. Słuchamy jak intelektualista szukający w jednobarwnej fotografii danych do oceny i klasyfikacji tak oddanego przedmiotu. Zadawaliśmy się nawet transmisją radiową, która tak się ma do koncertu jak przepis na zupę rakową do zupy samej. Słuchamy muzyki w najnieodpowiedniejszych do tego pomieszczeniach, pochłaniających i niekształcych dźwięki. Co by powiedział na to Pepys, który w podróży politycznej nawet, w każdym nowym budynku próbował jak brzmi jego flet? Rzetelne poczucie muzyki zgubiliśmy podczas dwóch wieków panowania niemieckiej *Schriftmusik*, muzyki pisanej, formalnej i abstrakcyjnej. W intelektualnym zamroczeniu zmysłów nikt więcej naprawdę nie słyszy. Przed paru laty — na festywalu muzyki romantycznej pod kierownictwem bardzo uczonego dyrygenta — słyszałem rzadko wykonywa-

ne utwory Berlioza grane przez orkiestrę z 47 instrumentów, mimo że kompozytor rzucił przekleństwo na wszystkich którzy by grali jego utwory symfoniczne w tym właśnie składzie orkiestry. Dzieła wielkiego maga instrumentacji wyjęto z archiwów po to tylko, aby je profanować przez bluźniercze wykonanie. Tego nikt jednak więcej nie spostrzega. Nikt prawie nie słyszy, że przeniesienie do wielkich sal muzyki fortepianowej romantyków — dostosowanej do akustyki salonów — jest już rodzajem transpozycji; że w przeciętnym wykonaniu dzisiejszym Mozart jest podobny do olejnej kopii akwareli, że Debussy jest najczęściej karykaturą samego siebie, Strawiński paniką w kinie itd., itd. Muzyka jest dla nas przede wszystkim stronicą papieru upstrzonego nutami, bez dźwięku, bez ciała, bez barwy, bez zapachu.

Włosi stawiają muzyce inne wymagania. Słuchają jej w salach, gdzie można usłyszeć ją całą, rzetelnie, autentycznie, bez halucynacji słuchowych. Nie kontentują się jej opisem na papierze nutowym, nie wystarcza im żadna transpozycja, żaden dekolt abstrakcyjny, chcą ją mieć *in carne e ossa*, w całym przepychu szaty dźwiękowej. Tworzenie i posiadanie dźwiękowego ciała muzyki jest ich życiem muzycznym, w które wkładają ogromną ilość pracy, magicznej zręczności rąk, talentu, wyobraźni, smaku i inteligencji. W namiętności muzycznej włoskiej jest coś z miłości pogańskiej, nie dającej się zwięść żadnym pozorom obcowania dusz, przywiązanej do ciała i bez niego niepokieszonej.

Z tych pojęć i wymagań wyrosła grająca w Teatro Argentina orkiestra Akademii Świętej Cecylii. Jej dokładność wykonania jest niezrównana. Żaden szczegół partytury nie uchodzi uwagi słuchacza, co — przy umiarkowanym tempie — daje ogromną gęstość i napięcie płynnego tworzywa orkiestry. Siła i skala zdolności formotwórczej poszczególnych grup instrumentów — zwłaszcza kwintetu smyczkowego — wywierają niezapomniane wrażenie.

W takiej szacie dźwiękowej najbardziej znane i ograne utwory stają się rewelacjami. Mozart odnajduje swą magiczną zwiewność i zmienność. Nawet kompozytorzy obcy duchowo Włochom ukazują się w doskonałych, klasycznie pięknych formach. Symfonia Brahmsa w C-moll, z której niemieccy mistrze batuty wywikłują zazwyczaj głębokie meandry flaków z olejem, przybiera swój oryginalny charakter ludowy (*völkisch*), jak gdyby dwóch Niemców w pantoflach i szlafmycach śpiewało na cały głos, z głębokiego przekonania, dla własnej przyjemności. Tak przejrzystą, zwartą i stylistycznie przemyślaną wersję symfonii C-moll może dać tylko orkiestra posiadająca najbardziej wrażliwy i sprawny zespół smyczkowy. Największe wrażenie robią oczywiście utwory przewidujące już wirtuozerię wykonania, jak np. dzieła Ravela.

Dyrygenci, których widzę — Molinari-Pradelli i Nino Sanzogno — są młodzi. U obu wyczuwam tę samą formację muzyczną. Istnieje więc włoska szkoła dyrekcji, znana za granicą tylko przez jej najślawniejszych przedstawicieli jak Arturo Toscanini.

Najśłabszą stroną koncertów rzymskich zdaje się być ich publiczność. Życie tak niezwykłego zespołu wykonawców wymaga na pozór istnienia publiczności mogącej ocenić to zjawisko. Publiczność, którą widzę w Teatro Argentina, wydaje mi się niewdzięczna, zmienna, mało muzykalna. Do niej dostosowana jest niestety większość programów. Zespół wykształconej muzycznie publiczności jest widocznie jeszcze trudniejszy do stworzenia i utrzymania od najlepszej nawet orkiestry. Każdy wstrząs społeczny może zrujnować go całkowicie. Aby odtworzyć go, trzeba dziesiątków lat pokoju, ciągłości i dobrobytu.

Mniej przyjemności znajduję w słuchaniu wirtuozów. Ci ostatni mało różnią się od swych zaalpejskich kolegów. Jest tu też taka sama publiczność od recitalów, znająca i podziwiająca wszystkie specjalności techniczno-akrobatyczne swych faworytów, ale nie mająca żadnego zrozumienia — ani nawet sympatii i litości — dla muzyki. Między innymi słyszę tu młodego skrzypka, Ruggera Ricci, niezrównanego technika, który zapewne zaćmi większą część swych starszych konkurentów. Niestety grze jego brak — zjawisko dziś powszechne u wirtuozów — opracowania muzycznego. Koncert Paganiniego w D-dur jest muzycznym i stylistycznym chaosem. Udadają mu się tylko utwory mniejsze, stanowiące zwykły repertuar skrzypków.

5 stycznia 1948

Śmierć Wiktora Emanuela na wygnaniu rzuca światło na zagadnienie monarchii we Włoszech dzisiejszych. Wszystkie pisma drukują krótkie historie panowania zmarłego króla. Artykuły te są chłodne, odległe, bezstronne, jak rozdziały z podręcznika historii współczesnej. Z tonu ich można wnosić, że zagadnienie monarchii we Włoszech wydaje się wszystkim przesądzone i już nie aktualne. To samo wrażenie wynoszę z rozmów ze znajomymi. Wygląda to tak, jak gdyby zwolennicy monarchii byli dziś jeszcze mniej liczni niż w dniu plebiscytu.

Najbliższej niedzieli po śmierci byłego króla miała miejsce msza żałobna na jego intencję. Niewielka grupa osób zebrała się rano w rotundzie Panteonu. Liczniej stanęli miejscowi komuniści, zebrani na placu przed kościołem, strzeżonym przez karabinierów. Msza żałobna odbyła się bez incydentów. Spokoju omal nie zakłó-

ciła tylko jakaś starsza kobieta, która z balkonu czwartego piętra naprzeciw kościoła wywiesiła sztandar o barwach królewskich. Sztandar zdjęli karabinierzy.

Groby królów z dynastii sabaudzkiej mają wygląd równie opuszczony jak sama idea monarchii. Znajdują się w rotondzie Panteonu, niemal na ulicy, obok sąsiadujących ze sobą grobów Rafaela i Hannibala Caracci. Nikt nie trzyma przy nich warty, nikt również z rzadkich odwiedzających Panteon nie zatrzymuje się przy nich. Zresztą nawet ich napisy grobowe wydają się blade obok natężonej jak głos trąby barokowej łaciny, opiewającej obu malarzy. Grób Rafaela zdobi dystych pomysłu kardynała Bembo, w stylu mało podobny do wymierzonych cyrklem kompozycji sławnego malarza:

*Ille hic est Raphael timuit quo sospite vinci
Rerum magna parens et moriente mori.*

„Wielka rodzicielka rzeczy” oznacza w ówczesnej łacinie naturę. Epitaphium Hannibala Caracci głosi, że *Raphaeli Sanctio urbinati, ut arte, ingenio, fama, sic tumulo proximus. Par utrique fanus et gloria, dispar fortuna. Aequam virtuti Raphael tulit, Hannibal iniquam.*

Dziś, kiedy historia ich kariery życiowej zeszała dla nas na drugi plan, w napisie tym najwięcej zwraca uwagę szczególnie, że dla współczesnych byli sobie równi talentem i sławą. Po obejrzeniu wspaniałej puścizny malarskiej Rafaela w Watykanie i kilku zachowanych w Rzymie płócien Hannibala Caracci, mam wrażenie, że współcześni mieli w tej sprawie lepszy sąd niż publiczność i eksperci XIX wieku.

Zniknięcie dynastii sabaudzkiej, podobnie jak historia współczesna innych dynastii, wskazuje, że miejscowi dyktatorzy stanowią dla monarchii niebezpieczeństwo większe niż wojny, okupacje obce i przewroty społeczne. Pośród burzy wojennej monarchie utrzymały się tam, gdzie panujący byli czynnikiem legalności i ciągłości władzy. Ci, którzy — jak Alfons XIII i Wiktor Emanuel — zamiast bronić legalności, abdykowali ze swych prerogatyw na rzecz dyktatora, utracili koronę wraz z upadkiem tego ostatniego.

6 stycznia

Rzym posiada szczególną atmosferę do rozważania wielkich zjawisk historycznych. Tu kilkakrotnie już wzeszło i zaszło słońce

naszej cywilizacji. Tu na niewielkiej przestrzeni wszystkie kolejne fazy jej rozwoju zostawiły pomniki i ruiny. Tu — jak pisał jeden z ostatnich poetów starożytności, Claudius Claudianus:

Cunctaque praecipiti stipantur saecula cursu.

Stąd obecność w Rzymie tylu instytutów naukowych obcych, poświęconych studiom historycznym. Życie tych instytutów jest dziś anemiczne, bo historycyzm XIX wieku wygasł w krajach, które je niegdyś ufundowały. Znacznego wysiłku w dziedzinie badania swej przeszłości dokonali sami Włosi. W ostatniej fazie swego życia Benedetto Croce zaniedbał swej hegeliańskiej filozofii dla historii, pociągając na tę drogę część młodzieży. Uderza ilość publikacji poświęconych przeszłości. Wydaje mi się, że studia historyczne są dziś we Włoszech żywsze niż w jakimkolwiek innym kraju.

9 stycznia

Między Rzymem katolickim i laicyzującym nie ma dziś dawnych granic politycznych i obyczajowych. Są to jak gdyby dwa rodzaje przedzy związane w jedną tkaninę. Rządy są w rękach partii katolickiej, ale stojąca na czele opozycji partia komunistyczna zaznacza przy każdej okazji swe sympatie katolickie i podobno posiada nawet pewną ilość zwolenników w szeregach niższego kleru. Mimo tej przewagi katolicyzmu, dawny laicyzm i antyklerykalizm włoski jest nadal czynny. W ożywionych dzielnicach miasta — koło Collegio Romano lub na Piazza Barberini — poły habitów zakonnych ocierają się w tłumie o wywieszone w kioskach numery *Don Basilia*, humorystyczno-fanaticznego organu antyklerykałów. Najjaskrawszym przejawem obecnego przemieszania odrębnych niegdyś środowisk i formacji jest dzierżąca władzę partia demokratyczno-chrześcijańska. Taka partia składana, jednocząca w niewidzialny sposób skrajnych konserwatystów z katolickimi komunistami, istniała przed wojną jedynie w Niemczech, gdzie zresztą — w braku konsystencji — rozwiązała się nazajutrz po spaleniu Reichstagu. Obecnie stronnictwa zlepione z różnych elementów kitem katolickim grają wybitną rolę we wszystkich prawie krajach Europy Zachodniej.

Pokojową symbiozę między wierzącymi i sceptykami łatwo sobie wyobrazić. Współżycie wiary i ateizmu widywane jest często w małżeństwach. Sprzyja mu okoliczność, że uczucia religijne są z natury swej prywatne, intymne. Nie wypada ryczeć o nich na

placach ani pisać w gazetach jakkolwiek i to widywano w naszych czasach swawoli i barbarzyństwa. Czy mogą stać się czynnikiem politycznym? Budowanie na uczuciach religijnych stronnictw politycznych jest wynikiem totalitaryzmu współczesnego. Nasza moralność oblężonego miasta nie uznaje życia osobistego, uważając za rzecz możliwą i wskazaną mobilizowanie i wciąganie do walki ostatnich resztek naszej prywatnej egzystencji. Mylnym byłoby sądzić, że totalitaryzm jest wyłącznie przywilejem świata komunistycznego i pochowanego na razie faszyzmu. Kraje tzw. demokratyczne żyją w obrębie tej samej moralności i — aby nie ulec przemocy — będą musiały zapoznać się także z totalną mobilizacją.

Czy świat katolicki da się także i na czyją korzyść zmobilizować?

Pytanie to przychodzi mi na myśl za każdym razem, kiedy widzę na ulicy brunatne, białe i czerwone habity zakonników. Habit był kiedyś mundurem żołnierza strzegącego uniwersalnej *civitas Dei*, ale nie uczestniczącego w zatargach między parafiami. W 1919, jadąc metrem pod Montmartre'm, byłem świadkiem przypadkowego spotkania dwóch księży. Jeden już starszy, o ciemnej twarzy, zbiedzonej od ran i trudów, nosił na wyszarzałej sutannie dwa rzędy nowiutkich odznaczeń wojskowych. Drugi młody, wysoki, dumny i zamknięty ponad miarę, na widok orderów swego kolegi uśmiechnął się pobłaźliwie, być może nawet z pogardą. Jego lekceważące spojrzenie spod przymkniętych powiek utkwilo mi w pamięci. Kościół katolicki błogosławił wprawdzie wszystkie walczące przeciw sobie armie, ale zachował również formułę pozwalającą na honorowe wyjście z oblężonego miasta, dającą możliwość — mimo pozorów dezercji — czuć się moralnie wolnym pośród walczących mrowisk ludzkich.

Niegdyś z wolności tej czerpano wielką dumę. Można o tym wnosić chociażby z *Fairy Queen* Spensera, gdzie znajduje się wspinały opis rycerza czerwonego krzyża, okrytego srebrnym pancerzem na spienionym koniu, ale posłusznego jedynie swym ślubom i jadącego na wojnę bez broni. Dziś wolność tego rodzaju utraciła rycerski i niemal oficjalny charakter. Zażywają jej podziemie i samotnie dekwownicy, dezercerzy, przemytnicy i apatrydzi. Możliwość wyprowadzenia jej z podziemia, ubrania w uroczyste formy i nawet mundury stanowiłaby *potestas clavium* mogącą przeciwstawić się nawet totalnej potędze nowożytnego państwa.

Kościół nie zdaje się dziś pretendować do tego rodzaju władzy. Stronnictwa katolickie są doskonale przystosowane do nowożytnego państwa i jego moralności. Forma ucieczki od świata przez śluby zakonne zdaje się być tylko szczątkowym fragmentem odległej przeszłości. Dopóki jednak istnieją zakonnicy, żołnierze uni-

wersalnego państwa, leżącego na innym planie od wszystkich pozostałych, dopóki barwne habity można widzieć na ulicach, tak długo widok ich będzie pobudzał mnie i innych do szukania wyjścia z obłożonej Palmiry.

Świat laicki nie posiada w tej chwili żadnej uznanej formuły, żadnej nadziei dla osób nie mieszczących się w murach nowożytnego państwa i jego moralności. Dawniej istniała przynajmniej możliwość ucieczki do Tebaidy, na pustynię. Dziś wstępu do Tebaidy bronią Anglicy i Amerykanie. Nawet przymytnicy są tu bezsilni, bo stan oblężenia zaczął się szerzyć na pustyni.

10 stycznia

Kościół św. Piotra jest dziełem nierównym. Widziany od zewnątrz, ze swym kolistym placem, kolumnami, fontannami, obeliskami i całą barokową organizacją zamkniętej przestrzeni, jest jednym z najpiękniejszych tworów architektury gigantycznej. Być może po przejściu leżącego przed nim placu, żaden szczegół wewnętrzny nie może już zrobić większego wrażenia. Z każdą nową bytnością wewnątrz kościoła św. Piotra wydaje mi się banalniesze. Jego biało-czekoladowe marmury były wzorem zbyt wielu hallów bankowych. Dziś barwy te podsuwają mi myśl o gigantycznym torcie, jaki Gulliver mógł być widzieć u olbrzymów.

Wnętrze tych rozmiarów, w którym ludzie zdają się nie więksi od mrówek, musi z natury rzeczy wyglądać nieco pusto. Nie jest to jednak tylko złudzenie optyczne. Przechodząc koło kilkudziesięciu konfesjonatów obwieszczających napisem, w jakich językach przyjmują spowiedź, spostrzegam, że mimo zbliżającego się południa nie ma w nich nikogo.

Watykan jako potęga duchowa zmienia się też przy oglądaniu go z bliska.

W Rzymie dopiero spostrzega się istnienie państwa papieskiego, którego nie widać z innych krajów katolickich. Z państwa tego został już tylko niewielki skrawek, ale otaczające go warowne mury są wciąż imponujące. *Corona turrita* Watykanu, jego architektura i kolor lokalny uprzytomniają widzowi, że jest wciąż w Rzymie, i że Watykan jest częścią tego ostatniego. Okoliczność ta nie mogła pozostać bez żadnego wpływu na Stolicę Apostolską, związaną od blisko dwóch tysięcy lat z wiecznym miastem.

Już w czasach św. Piotra Rzym był miastem bardzo starym. W pamięci jego piętrzyły się wspomnienia monarchii, republiki, wielu dyktatur i wojen cywilnych, dwóch języków i cywilizacji i wreszcie kilkunastu praktykowanych w jego murach religii. Po-

tomków starych rodzin rzymskich pochłonęły już były przewroty społeczne. Milionowe miasto wypełniał kosmopolityczny tłum, który — po wysłuchaniu niezliczonych proroków i filozofów — czuł się zdemoralizowany i sceptyczny. Tak wyglądał Rzym za św. Piotra i za Konstantyna.

Od tamtych czasów Rzym zmienił kilkakrotnie oblicze i stanowisko zajmowane w świecie, lecz nigdy — nawet kiedy władzę doczesną sprawowali w nim papieże — nie widział w swych murach prądów mistycznych ani głębszego życia religijnego. Dwa i pół tysiąca lat ciągłej choć zmiennej kultury zostawiły tu po sobie rodzaj pogodnego sceptycyzmu, przysługującego starszemu wiekowi.

Wnioski wynikające z doświadczenia i wieku nie są wolne od sprzeczności wewnętrznych. Widzę to coraz lepiej w miarę tego jak sam zaczynam korzystać z przywilejów wieku. Z tych ostatnich na pierwszym miejscu wymienilibym odkrycie niewidocznej dla młodzieży wartości cierpliwego czekania. Wszystko mija, wszystko więc można przeczekać. Groźne i krwawe panowania tyranów trwają zazwyczaj tylko po kilka lat. Często z najbardziej naglących i niebezpiecznych sytuacji można wyjść cało kładąc się spać. Przewaga wynikająca z trafnego rozpoznania dobroczynnej siły czasu jest jednak dla starszych ograniczona i zaprawiona goryczą. Tylko bowiem młodzi mogą z pożytkiem czekać; im tylko służy dobroczynna potęga czasu. Stać ich nawet na błędy i szaleństwa, bo mają przed sobą czas na skupienie i pokutę. Tyle trzeba doświadczeń i lat, aby zrozumieć, że tylko młodość jest coś warta! Stąd płynie pogodna pobłażliwość dziadów dla wnuków.

Przekazywana z pokolenia w pokolenie mądrość starszego wieku udziela się wreszcie całym miastom, zwłaszcza gdy ludność ich — jak na Zachodzie — staje się sama coraz starsza. Dla tych zapewne przyczyn ludność Rzymu i innych stolic zachodnich patrzyła z pobłażaniem na brzydkie ekscesy i szaleństwa młodzieży w czarnych i brunatnych koszulach, dziś zaś gotowa jest pogodnie czekać aż wyszumi się zapalczywa i doktrynerska młodość Sowieców.

Przez blisko dwa tysiące lat Stolica Apostolska wznosiła się w najstarszym wiekiem i doświadczeniem mieście naszego kontynentu. Sternicy tej przepelnionej wspomnieniami łodzi byli też z reguły starsi, bliżsi śmierci niż młodości. To objaśnia nieco ich zachowanie się w latach burz i kryzysów, ich ostrożną rezerwę, pobłażliwość i wiarę w dobroczynną potęgę czasu.

Kościół katolicki przeżył już wiele zmian i rewolucji. Zapal reformatorów świata wygaszał zazwyczaj po kilku latach. Ludzie nowi, wyniesieni przez przewroty społeczne, brali znów śluby

kościelne i chrzcili dzieci, widząc w powrocie do tradycji konsolidację swej nowej rangi towarzyskiej. Doświadczenia wieków poprzednich musiały sugerować Watykanowi politykę czekania.

Najważniejszym przewrotem obecnego stulecia w dziedzinie religijnej była rewolucja rosyjska, która zmyła z oblicza ziemi kościół wschodni. Perspektywa zajęcia jego miejsca w świecie słowiańskim, zdawała się fascynować przez dłuższy czas Stolicę Apostolską. W ciszy kolegów watykańskich przygotowano ekipę propagandystów wiary gotowych do wyjazdu na wschód. Wchodząc do skarbcza watykańskiego, ujrzałem tam zawieszoną *primo loco* naprzeciw wejścia starą ikonę, oznajmiałą jak gdyby o bieżących zainteresowaniach Watykanu. Tak przynajmniej komentowali jej obecność zwiedzający, tłocząc się przed witryną.

Mimo upływu 30 lat, rewolucja komunistyczna jest daleka od końca. Zasięg jej rozszerzył się znacznie, pokrywając całą wysuniętą na wschód część świata katolickiego. Odpadł odeń obszar grecko-katolicki, będący dotąd pomostem między obrządkiem prawosławnym i łacińskim. Prądy rewolucyjne wdarły się głęboko w najstarsze kraje katolickie, infiltrując nawet sam kler. Katolicyzm jest dziś wszędzie w defensywie.

W latach wielkich konfliktów ujawnia się najlepiej katolicyść czyli uniwersalność kościoła rzymskiego. Obejmując ludzi wszystkich kondycji, formacji pochodzeń, kościół nie może pozostać na stronie od konfliktów dzielących ludzi między sobą. Wszystkie prawie linie podziału muszą przechodzić wewnątrz kościoła uniwersalnego. Świat katolicki zdaje się nadto być bardziej dostępny dla prądów skrajnych niż np. świat protestancki i muzułmański, wykazujące na razie większą spoistość. Drugi już raz za życia obecnego pokolenia wypadki dzielą świat katolicki na dwa wrogie obozy. Ruch faszystowski objął połowę katolików, przeciwstawiając ją drugiej połowie w straszliwym konflikcie, który skończył się degradacją katolickiej Europy i jej podziałem na stony wpływów między mocarstwa pozaeuropejskie. Watykan nie odtrącił faszystów i hitlerowców; równie trudno byłoby mu odtrącić od siebie wiernych, którzy komunizują. W miarę zaostrzania się konfliktu sytuacja kościoła — podobnie jak wszystkich zbiorowości kompromisowych — będzie coraz trudniejsza. Włoska partia chrześcijańsko-demokratyczna może utracić wielu wyborców uznających dziś stanowisko kompromisowe za niedostateczne.

Uderzające podobieństwo istnieje obecnie między sytuacją stronnictw katolickich i socjalistycznych. Jedne i drugie zawdzięczają swą względną stałość stojącym za nimi organizacjom społecznym; zależą zatem więcej od bieżących interesów tych ostatnich niż od jasnego i aktualnego programu działania. Odkąd partie

socjalistyczne zepchnięte zostały z lewego skrzydła do centrum wachlarza partyjnego, zajmują tam wraz z partiami katolickimi stanowisko środkowe. Sytuacja ta daje im wielką przewagę w grze demokracji parlamentarnej, przynosi natomiast duże trudności przy zaostrzaniu się konfliktu między obu skrzydłami. Wśród bardziej zdecydowanych partii skrajnych, socjaliści i katolicy szukają rozstrzygnięć kompromisowych. W miarę nasilania się walki kompromisy stają się coraz trudniejsze do osiągnięcia i tendencje rozbieżne przenikają do wnętrza samych partii środkowych, grożąc im rozłamami. We Włoszech i w Europie Wschodniej partie socjalistyczne uległy już rozłamom lub parcelacji między inne stronnictwa. Wreszcie — tak na czele ruchu katolickiego jak socjalistycznego — stoją ludzie starsi wiekiem, niechętni nagłym decyzjom i liczący na dobroczynną siłę czasu.

Stronnictwa katolickie i socjalistyczne są dziś największą siłą polityczną Europy Zachodniej. Jedne i drugie zajęły stanowiska pośrednie, kompromisowe, wyczekujące, odraczające decyzję. Do tej taktyki starszego wieku zdaje się streszczać dziś mądrość polityczna Zachodu. Większości wyborców taktyka ta wydaje się najstosowniejsza dla kontynentu pokonanego i czekającego na decyzję zwycięzców.

13 stycznia

Zaden zapewne kraj nie posiada tylu pism humorystycznych co Włochy. Każde miasto ma swoje, w Rzymie wychodzi ich z pół tuzina. Niektóre z nich są dowcipne i posiadają utalentowanych ilustratorów.

Ściśle biorąc nie są to właściwie pisma humorystyczne — jak np. amerykańskie — lecz przede wszystkim pisma satyryczne. Dowcip ich jest związany z bieżącą aktualnością i zawiera w sobie często dyskretną szczyptę ironii i goryczy.

W tragicznej Europie jest istotnie z czego się śmiać. Pełno w niej kontrastów i skoków pobudzających do wesołości. Między pojęciami z tak niedawnych lat — kiedy każdy kraj w swej suwerenności mógł zachowywać się jak gniewny indyk — a obecną rzeczywistością istnieje tragiczna i groteskowa przepaść.

Jeszcze głębsza przepaść dzieli pozorny porządek świata — podyktowany przez wielkie mocarstwa w uroczystych frazesach paktów i deklaracji — od jego prawdziwego oblicza. Tenorowa aria anioła pokoju z towarzyszącym jej basowym komentarzem gangsterów i handlarzy byków rzucają po drodze zgrzyty i iskry humoru. Zwolnieni spod okupacji anglo-amerykańskiej lecz ode-

pchnięci od zielonego stołu zwycięzców, Włosi są w najlepszej sytuacji, aby się z nich śmiać.

Na dnie każdej satyry skrywa się jakiś ideał, tak wysoki i delikatny, że nie wypada wypowiadać go wprost w obawie profanacji. Tę właściwość satyry wyczuwa się też w dziennikarskiej i nierównej produkcji humorystów włoskich.

Moi młodzi przyjaciele mają o tym rodzaju literackim bardzo wysokie pojęcie i z istniejących pism są mało zadowoleni. Śmieją się na ogół niewiele. Porównuję ich z naszą młodzieżą sprzed 25 lat, chwytającą w lot każdy komiczny szczegół bieżącej rzeczywistości. W podobnym okresie nowonarodzonej wolności zachowanie się jej było bardzo odmienne. Młodzież włoska wydaje mi się bardziej serio, bardziej skupiona w sobie. Po kilkakrotnych przewrotach żadna kariera życiowa nie ma dziś znamion stałości, i życie stawia dziś młodym niełatwe zadania praktyczne. Wielu z nich wybiera się do Ameryki Południowej.

17 stycznia

Jeden z przyjaciół pożyczył mi włoski numer organu egzystencjalistów francuskich *Les temps modernes*. Numer ten obejmuje kilkanaście wypowiedzi — na różne tematy — młodych autorów włoskich, przeważnie lewicowych.

Uwagę moją zwraca artykuł poświęcony częściowo odwadze. Od dawna już odwaga była we Włoszech przedmiotem rozważań, zaklęć i inwokacji. Z jednego z wczesnych szkiców Papiniego przypominam sobie wspaniały w rytmie i retoryce frazes, który byłby zachwyił Flauberta:

Dobbiamo avere piu coraggio, e se non basta il coraggio — l'audacia, e se non basta l'audacia — la temerità, e se non basta la temerità — la pazzia, e se non basta la pazzia — la morte.

O odwadze mówili futuryści, potem faszyci, dziś odnajdujemy ją u eseistów lewicowych. Nie pamiętam, aby zagadnienie to zajmowało literatów innych krajów, wyjąwszy Conrada. Czy zainteresowanie odwagą jest zjawiskiem specyficznie włoskim?

W 1912-1913 Papini uważał futuryzm za zdrową reakcję młodzieży przeciw ciężącemu na niej wiekom szkolnej kultury i przezornej mądrości starców. Odwaga była dlań akceptowaniem niewiadomej przyszłości. Wkrótce potem faszyzm urzeczywistnił najdziwsze fantazje futurystów i wyczerpał — jak się zdaje — na

długie lata potrzebę nieoczekiwanej nowości. Ten aspekt zagadnienia odwagi wydaje się dziś mało aktualny.

Dziś z rana spotykam się z młodym filozofem, laureatem — jak się tu mówi — rzymskiego fakultetu. Probujemy z nim roztrząsać zagadnienie odwagi. Z rozmowy widzę, że mimo częstego używania tego terminu, jest on dla Włochów równie niejasny jak dla mnie.

Już samo pochodzenie słowa *coraggio* od *cor* — serce — tj. od organu będącego rzekomą siedzibą odwagi, nie sprzyja jasności. Rzymianie mówili o *fortitudo*, mając na myśli siłę, zdrowie, wytrzymałość czyli właściwości fizyczne, dzięki którym łatwiej jest zachować przytomność umysłu w różnych przygodach. Dopiero na dalszym planie, jako konsekwencja siły i zdrowia, występuje u nich brak strachu: *Fortem animum posse et mortis terrore carentem*, mówi Juvenalis. Pojęta jako indywidualna właściwość organizmu, odwaga należałaby do tej samej klasy co np. zdrowy i niestrudzony żołądek, zaleta warta dla jej posiadacza przynajmniej tyle samo co odwaga, a jednak nie nadająca się do wieńczenia laurem i opiewania wierszem.

W bibliotece mego przyjaciela zaglądamy do Platona i Arystotelesa, od których zaczęła się kariera literacka tego pojęcia. Plato wiąże odwagę z instynktem czynu i walki. Arystoteles w Etyce daje dłuższe wyjaśnienie. W substancji uważa odwagę za właściwość pozwalającą na zachowanie lub działanie zgodne z zamierzeniem i trzymające się na równej odległości od paraliżującego strachu jak i od zbytniego zaufania w swe siły. Po tym wyjaśnieniu, z terminu „odwaga” ulatnia się przeważna część jego odrębnej treści. Zaczynamy więc szukać po omacku.

— W okolicznościach zawierających pewne przesłanki do przewidywania — mówię — istnieje przeciwstawność między odwagą i inteligencją, ponieważ osoby obdarzone zdolnością przewidywania rzadko wpadają w sytuacje wymagające większej odwagi. Zastanawiający się widzi z daleka niebezpieczeństwo, lekkoduch rozpoznaje je dopiero z bliska i musi szukać wyjścia w ostatniej chwili, w warunkach mało sprzyjających trafnej ocenie środków i szans.

— Przeciwstawność ta nie wydaje się zasadnicza — odpowiada mój przyjaciel — bo najroztropniejszy nawet może wybrać drogę ryzykowną.

— Samo jednak przedsięwzięcie kroków ryzykownych ani lekceważenie śmierci i cierpienia nie wystarcza, aby mówić o odwadze, bo wówczas nieostrożne przechodzenie ulicy przy dużym ruchu automobilowym mogłoby też uchodzić za akt odwagi.

— Nazwę odważnego dajemy tylko działaniu posiadającemu

pewną proporcję między ryzykiem i zamierzonym celem. Takie odróżnienie byłoby zgodne z tym cośmy przeczytali u Arystotelesa.

— Wydaje mi się, że granice zakresu odwagi widać nie tylko od strony intencji, ale także od strony skutków podjętego czynu. Powodzenie podnosi do rangi odważnych przedsięwzięcia nawet bardzo ryzykowne, które w razie niepowodzenia spadają do kategorii aktów rozpacz, szaleństw, zuchwalstwa, nieostrożności i nawet głupoty.

Tu zatrzymuję się pełen wątpliwości. Polski termin „odwaga” nie wywodzi się od „serca”. *Rodrigue, as-tu du cœur?* nie ma polskiego ekwiwalentu. „Odwaga” pochodzi od „ważyć się”. W tej strukturze językowej na pierwsze miejsce wysuwa się decyzja implikująca rozważenie celu i szans. Mimo ten namyślający się odcień naszego terminu, czyn w Polsce wydawał się najbardziej oderwany od powodzenia. Czyny uwieńczone katastrofą uchodziły za najbardziej odważne. Westermarck powiedziałby zapewne, że nazywając czyn „odważnym” wypowiadamy jedynie jego aprobatę według kryteriów obowiązujących zwyczajowo w danym powiecie lub grupie społecznej.

Po chwili wahania wracam do tematu naszej dyskusji.

— Po tylu restrykcjach, w pojęciu odwagi nie zostało już wiele miejsca na jakąś specyficzną treść. Odwaga zdaje się być zdolnością szybkiego i jasnego rozpoznawania środków, szans i skutków zamierzenia, co jest tylko szczególnym wypadkiem zdolności poznawania i rozumienia.

— Nie mam przekonania — odpowiada mój towarzysz — abyśmy tym wyczerpali sprawę, zwłaszcza jeżeli chodzi o wypadki zachowania się biernego. Weźmy przykład człowieka, który po jasnym rozpoznaniu sytuacji stwierdza, że znajduje się w celi więziennej i zostanie stracony za pół godziny. Jak zachować się w ciągu tego czasu? Liczyć pozostające minuty, wracać myślą do przeszłości, obserwować pełną po ścianie pluskwę lub obłok płynący po niebie? Koestler radzi swemu bohaterowi na wszelki wypadek oddać moc. Od strony intelektualnej sytuacji takiej odpowiada najlepiej sceptycyzm Pyrrhona: nie ma żadnych rozstrzygających argumentów na korzyść takiego lub innego postępowania. A jednak wszyscy zachowują się w tej sytuacji „odważnie”, to jest z prostotą i godnością. Jeżeli termin „odwaga” posiada jakąś treść, wydaje mi się, że należy jej szukać u stoików.

18 stycznia

Na jednej z bocznic via Vittorio Veneto oglądam wystawę malarzy modernistów czyli tak zwanej awangardy. Mam wrażenie,

że czas cofnął się o 36 lat wstecz, kiedy jako młody chłopiec oglądałem pierwszą czy drugą z kolei wystawę ówczesnych futurystów. I malarze są częściowo ci sami: Boccioni, Balla... Tak samo jak wówczas jedynym prawdziwym malarzem wśród tylu eksperymentatorów jest Gino Severini. Wszyscy muszą być już dziś starszymi panami. Ciekawe, czy wciąż trzymają się ich żarty?

Przypominam sobie farsę Marinettiego napisaną z okazji jednej z pierwszych wystaw. Migawkowa jej treść jest następująca: Balla otrzymuje medal, który wręcza mu sam minister. Na to Balla zdejmuje ze ściany nagrodzony obraz i uderza nim na płasko o własną głowę, która przebija płótno i wychodzi na drugą stronę. Inni obecni futuryści zdejmują obrazy i skaczą przez nie na wylot.

19 stycznia

Jeden z moich przyjaciół, który był we Włoszech w połowie 1945, widział tam „narod w prozku”, głęboko zdezorientowany przez szkocką łaźnię zmieniających się wciąż reżymów, okupacji i sytuacji. Na domiar złego wielka burza zastała Włochy po 20 latach dyktatury, która — jak wszystkie dyktatury — była okresem demoralizacji, bierności i przystosowania.

Usiłując zrobić krótki inwentarz tego co widziałem i słyszałem w ciągu ostatnich tygodni, muszę przede wszystkim stwierdzić, że o żadnym „narodzie w prozku” nie ma już dziś mowy.

Najbardziej niestałym i niepokojącym czynnikiem sytuacji włoskiej jest eksponowanie zewnętrzne kraju. Na granicy rozbrojonych Włoch stoi 17 dywizji jugosłowiańskich, za nimi zaś jeszcze kilkanaście szybkich dywizji sowieckich, mogących w ciągu tygodnia dotrzeć do Rzymu i Neapolu. Nikt nie wie dnia ani godziny.

Czy w takim wypadku Włochy mogą liczyć na pomoc amerykańską? Stany Zjednoczone inwestowały we Włoszech znaczne sumy w formie pomocy gospodarczej i mają zamiar udzielać dalszej pomocy w ramach planu Marshalla. Można stąd wnosić, że nie zdecydują się łatwo na odepchnięcie Włoch do zony sowieckiej. Gwarancja udzielona im 15 grudnia zeszłego roku zdaje się potwierdzać to przypuszczenie.

Z drugiej strony Europa jest pełna rozmownych oficerów i podróżników amerykańskich, którzy co kilka dni ponawiają w rozmowach groźne ostrzeżenia. Stany Zjednoczone — powiadają — nie mogą i nie będą broniły Europy. Wyborcy amerykańscy nie chcą słyszeć o żadnej nowej wojnie. Nawet z punktu widzenia wojskowego Europa nie ma znaczenia dopóki wojska amerykań-

skie mają możność lądowania w Afryce i w Hiszpanii. Podobne przestrogi można posłyszeć od oficerów angielskich w Tyrolu, którzy na tym eksponowanym punkcie muszą się czuć niepewni i opuszczeni.

Między tak sprzecznymi zdaniem samych Amerykanów, Włosi są jak suflet neapolitański, zamrożony z jednej strony i płonący z drugiej. W podobnej sytuacji znajduje się cała Europa Zachodnia, ale niebezpieczeństwo nigdzie nie jest tak widoczne i bliskie jak we Włoszech.

W tych warunkach plan Marshalla może liczyć tylko na połowiczne powodzenie. Celem jego jest nie tylko karmienie Europy, ale także ożywienie procesu jej własnego odrodzenia gospodarczego. Ten drugi cel nie jest do osiągnięcia w sytuacji, w której cała ludność Europy, słusznym tytułem czując się zagrożona *quod ad vitam*, najchętniej emigrowałaby do Ameryki. Odbudowa gospodarcza Europy wymaga pokoju w tej samej mierze co dolarów.

Włoczeni w najniekorzystniejszą pozycję między Wschodem i Zachodem, Włosi nie wiedzą co przyniesie dzień jutrzejszy, ani która ze stron i z jakim skutkiem znajdzie się pierwsza na ich terytorium w razie konfliktu. Strona sowiecka wydaje się dużo silniejsza na krótką metę, ale tylko z Ameryki Włochy mogą — do wybuchu konfliktu — otrzymać pomoc materialną. W położeniu zawierającym tyle chwiejnych lub zgoła niewiadomych danych, trudno jest angażować się bez reszty w jedną lub drugą stronę. Sytuacja ta zmusza do emancypacji myślowej, do krytycyzmu i stałego rewidowania rachunku prawdopodobieństwa, od którego zależy każdy następny krok.

Proces emancypacji widać np. w stosunku do tradycyjnych wpływów angielskich. Sforza, przeciw któremu tyle protestowali Churchill i Eden, jest mimo to ministrem spraw zagranicznych; Saragat, którego Labour Party wyrzucała za drzwi wszystkich konferencji socjalistycznych, jest mimo to zastępcą premiera i spodziewa się dla swej partii znacznego przyrostu głosów w nadchodzących wyborach.

W tak mało sprzyjających warunkach zewnętrznych Włochy osiągnęły na wewnątrz znaczny stopień konsolidacji. Likwidacja faszyzmu odbyła się stosunkowo bezboleśnie i jest obecnie zakończona. Większe trudności nastroczą oczywiście ekstremizm lewicowy, ale i z tej strony widać pewną poprawę. Dla partii komunistycznej włoskiej — jak i dla wszystkich partii komunistycznych zachodnich — punktem krytycznym była dyskusja planu Marshalla. Europa Zachodnia nie może się na razie obyć bez pomocy amerykańskiej, i samobójcze odrzucenie jej, postulowane przez komunistów, okazało się dla nich krokiem zgubnym. Dla komunistów

włoskich krok ten był może mniej ryzykowny niż dla innych, bo większa część ich zwolenników rekrutuje się nie z warstwy robotniczej, lecz z ubogiej ludności rolniczej, dla której plan Marshalla ma mniejsze znaczenie. Sprawa rolna zdaje się być najtrudniejszym zagadnieniem społecznym Włoch. Nawet powierzchowny obserwator zdaje sobie z tego sprawę, widząc głębokie różnice w strukturze rolnej poszczególnych prowincji.

Sytuacja gospodarcza Włoch przechodzi obecnie punkt krytyczny. Do sanowania finansów rząd demo-chrześcijański powołał ministra ze szkoły liberalnej, operującego sposobami tzw. klasycznymi. Inflacja monetarna została wstrzymana, kurs lira zwyżkował w stosunku do innych monet i od paru miesięcy utrzymuje się na równym poziomie. Okres spekulacji walutowej i towarowej jest skończony. Zjawiskom tym towarzyszy zazwyczaj wzrost kosztów utrzymania, zastój w handlu, niewypłacalność i bezrobocie. Porównuję te zjawiska w dzisiejszych Włoszech z tym, co widziałem w Niemczech w 1924-1925 po stabilizacji marki. Porównanie to wypada całkowicie na korzyść Włoch. Przeprowadzona w okresie wcześniejszym stabilizacja lira odbyła się tańszym kosztem. Praca nie zatrzymała się. Nawet w środku Rzymu widać posuwającą się naprzód budowę domów mieszkalnych. Kryzys gospodarczy nie jest jednak bynajmniej przewyciężony. Dalszy jego rozwój zależy zapewne w znacznej mierze od pomocy amerykańskiej i od ewolucji gospodarczej reszty Europy.

Po długim okresie gospodarki autarkicznej i życia za murami, jakimi faszyzm oddzielił kraj od reszty świata, we Włoszech wyczuwa się więcej niż gdzie indziej poczucie solidarności europejskiej i chęć współpracy międzynarodowej. Włosi robią wrażenie ludu żywego, który wśród przeciwności nie stracił głowy i zdolny jest — w dziedzinie myśli i pracy — do wielkich wysiłków.

23 stycznia

Szybki autobus nocny wiezie mnie na północ wzdłuż brzegów morza Tyrreńskiego.

Noc jest księżycowa, bogata we wszystkie resursy czarnoksięstwa morskiego. W zatokach pod skałami woda jest ciemna i księżycowi odpowiada krótkimi blaskami złota. Wzdłuż otwartego brzegu, pod ciepłym wiatrem, ma smugi courbetowskiej zieleni pod białymi grzbietami fal.

Po lewej stronie drogi teren schodzi ku morzu, raz łagodnym zboczem, raz skalistymi uskokami tarasów. Mijają szybko błot-

niste rozlewiska rzek, wzgórza, ogrody, gaje, pastwiska i pustkowie.

Po prawej stronie mijają długie łańcuchy wzgórz o liniach wyszlifowanych przez erozję, łagodne do wchodzenia, z trawiastymi stożkami szczytów osypanych kulistymi koronami drzew. Światła wsi pnących się w górę wzdłuż prostej ulicy wyglądają na czarnym tle nocy jak drabina Jakóba.

Na dłuższy postój zatrzymujemy się pierwszy raz w Grosseto o florenckiej architekturze. Na rynku stoi tam marmurowy kościół w poprzeczne pasy. Potem mijamy plaże, równiny pokryte drzewami, znów wzgórza. Za nami zostaje wciśnięta między pagórki Massa Apuania. Okrążamy wcinającą się głęboko w łąd zatokę Spezii. Ponieważ szosa nadbrzeżna została zniszczona podczas wojny, droga nasza wspina się zakosami w wysoki objazd górski. O kilkaset metrów pod nami, w głębi leśnej przepaści widać światła nadbrzeżnych osad. Ciepła noc zbliża się ku końcowi. Szosa schodzi nisko ponad Sestri Levante i Rapallo. O świcie wjeżdżamy w dumne swymi arkadami śródmieście Genui.

Kultura nr. 5 i 6, marzec i kwiecień 1948.

NOWY DZIENNIK PODRÓŻY DO NIEMIEC

(ZIMA 1948 - 1949)

I

Przeestroga dla podróżnych

Niemcy powojenne były przez długi czas zamknięte dla obcych. Jedynym stałym źródłem wiadomości o nich pozostają skąpe komunikaty agencji prasowych państw okupacyjnych. Panująca w Niemczech anarchia pozwalała zrazu podróżować tam nielegalnie, nie pytając nikogo o pozwolenie. Ale i ta furtka — dostępna zresztą tylko dla bardziej doświadczonych podróżnych — zamknęła się w 1946.

Niemcy i odbywające się w nich przemiany wewnętrzne są jednym z głównych przedmiotów sporu między zwycięskimi mocarstwami. Ze sporu tego może wyniknąć konflikt obracający w ruinę połowę globu. Za jeden z paradoksów naszych czasów należy więc uważać fakt, że przedmiot tak groźnego w skutkach sporu jest zainteresowanym ludom niemal całkowicie nieznany i niedostępny. Znajomość jego pozostaje przywilejem wojskowych władz okupacyjnych. Dla tej zapewne przyczyny większość rządów i parlamentów Europy nie może się zdobyć w tej sprawie na żadną decyzję, opinia zaś publiczna pozostaje chwiejna i zdeorientowana. Kto bowiem zechce wypowiadać się i decydować w sprawie, której właściwy przedmiot leży poza zasięgiem jego wiadomości i doświadczenia?

Po reformie monetarnej przeprowadzonej latem 1948, obszar Niemiec Zachodnich został udostępniony dla turystów. Jadący

musi jednak nadal przewyciężyć znaczne przeszkody. Przepisy regulujące turystykę w Niemczech mają za główne zadanie odebranie podróżnym jak największej ilości walut obcych. Taki pogląd na turystykę jest dziś bardzo rozpowszechniony. *Cheval à phynances* zastąpił biblijnego złotego cielca, i nikt zdaje się nie brać pod uwagę, że posiadanie pewnej ilości osób znających świat zewnętrzny i mających o nim umotywowany sąd, może posiadać — zwłaszcza dla krajów o ustroju demokratycznym — większą wartość od papierowych rixdalów wydanych na podróże.

Na użytek przyszłych podróżnych zanotujemy tu parę niezbędnych dla nich wiadomości.

Nasamprzód jadący powinni uzyskać od władz okupacyjnych wizę czyli tzw. permit, którego otrzymanie pozostawione jest jego domyślności. Doświadczeni twierdzą, że osoba duchowna lub profesor, zaproszeni w celu wygłoszenia kazania lub odczytu, uzyskują permit łatwiej niż np. kupiec, jadący w interesach. Można też dostać się do Niemiec przez udział w wycieczce zbiorowej, zorganizowanej przez American Express Co. Podróżowanie zbiorowo w autokarach jest niestety dość kosztowne i przypomina podróż Jonasza, który w brzuchu wieloryba jeździł daleko, ale widział niewiele.

Strona finansowa podróży nastrocza jeszcze większe trudności. Po Trzeciej Rzeszy okupanci odziedziczyli przepis, pozwalający podróżnemu wwieźć do Niemiec jedynie 10 marek niemieckich. Wszystkie więc koszty podróży i pobytu muszą być opłacone w walutach obcych, zanotowanych przy wjeździe na dokumencie podróży. Wewnątrz kraju wolno je zmienić jedynie w bankach po kursie oficjalnym, odpowiadającym trzem markom za dolara.

Teoretycznie obcym turystom wolno jest zatrzymywać się tylko w tzw. hotelach eksportowych, wystawiających rachunki w dolarach. Pobyt i utrzymanie w nich kosztują około 10 dolarów dziennie. W hotelu niemieckim te same koszty wynoszą koło 30 marek, co przy oficjalnym kursie stanowi też 10 dolarów.

Na rynku wolnym — wewnątrz kraju czy np. w Zurychu — kurs marki wynosił w grudniu 1948 około 20 marek za dolara. Posiadacz dolarów wolnych, tj. nie zanotowanych w paszporcie, mógł więc mieszkać w hotelu niemieckim za półtora dolara dziennie. Tak wielka różnica kosztów wystawia wielu podróżujących na pokusę przewiezienia części dolarów bez deklarowania ich na granicy. Niemieccy kontrolerzy finansowi są niezwykle uprzejmi, nie rozbierają podróżnych do naga, ani nie przetrząsają im kieszeni. Niemniej w pociągach dla turystów jadą też — dla uproszczenia sprawy — urzędnicy policji śledczej, zaopatrzeni w pióra i papier do spisywania protokołów. Posiadanie wolnych

dolarów wewnątrz Niemiec może też prowadzić do różnych przykrości. Poza wypadkami niezbędnej konieczności, lepiej więc nie bawić się w kontrabandę dolarów, pozostawiając ją osobom, mającym do tego odpowiednie kwalifikacje.

Poprawne rozwiązanie zagadnienia finansowego polega na znalezieniu osoby posiadającej w Niemczech należności w markach. Przepisy krępujące handel niemiecki są tak uciążliwe, że cudzoziemcy mający należności w markach, tracą często nadzieję na ich transferowanie i odstępują je podróżnym po cenie bliskiej wolnego rynku. Znalezienie takiego partnera pozostawione jest oczywiście domyślności podróżnego. W początku 1949 takimi operacjami zaczęły się zajmować też niektóre banki prywatne. Bardzo użyteczne jest posiadać przy wjeździe 100 szylingów austriackich, które na wolnym rynku można nabyć bardzo tanio, a które w pociągach dla turystów mają oficjalną wartość 10 dolarów. Posiadanie większych kwot w szylingach może służyć tylko podróżującym za austriackimi dokumentami.

Niewielu widocznie może sprostać warunkom, jakie stawia podróż do Niemiec, bo liczba przekraczających granicę jest znikoma. W miarę zbliżania się do granicy, pociąg kurczy się do dwóch wagonów. Znajduje się w nich zazwyczaj jedna rodzina repatriowana z Niemiec lub do Niemiec i kilku milczących mężczyzn, podróżujących najwidoczniej służbowo na koszt różnych urzędów. Przekraczając granicę w jedną i drugą stronę, miałem wrażenie, że oba razy byłem w pociągu jedynym pasażerem, podróżującym prywatnie, na własny koszt.

Znalezienie mieszkania w zrujnowanych i przeludnionych miastach niemieckich nastęrcza stosunkowo najmniej trudności. W każdym większym mieście znajduje się koło dworca biuro miejskie posiadające ewidencję wolnych pokoiów i przydzielające je bez żadnych formalności. Trudności mieszkaniowe powstają dopiero przy dłuższym pobycie, który wymaga zezwolenia władz komunalnych.

Interesującego się życiem umysłowym Niemiec czekają liczne rozczarowania. Źródłem ich jest parcelacja Niemiec na samodzielne i oderwane od siebie ośrodki. Nie mówiąc już o oblężonym Berlinie i zonie sowieckiej, Niemcy Zachodnie są też bardzo podzielone. Czasopisma ukazujące się w Stuttgarcie, Heidelbergu lub Frankfurcie są nieznanne w Monachium i odwrotnie, jakkolwiek wszystkie te miasta leżą w zonie amerykańskiej. To samo dotyczy książek. Firmy wydawnicze obsługują jedynie swój najbliższy ośrodek. Nawet gazety wychodzące w innym mieście można znaleźć tylko w paru najlepiej zaopatrzonych kioskach.

Aby zapoznać się z prądami nurtującymi Niemcy Zachodnie,

trzeba kolejno odwiedzić główne ośrodki życia umysłowego i politycznego: Monachium, Stuttgart, Frankfurt, Baden-Baden, Heidelberg, Kolonię i Hamburg. Wojna przemieszała głęboko ludność kraju. Wszędzie prawie ludność napływowa, przybyła w ostatnich latach, stanowi trzecią część ogólnej liczby mieszkańców. Mimo to życie wewnętrzne głównych ośrodków zaczęło narastać od strony tradycji i instytucji lokalnych. Nawet najpobieżniejsze zapoznanie się z głównymi ośrodkami wymagałoby przynajmniej dwóch miesięcy czasu i dwóch tysięcy marek kosztów, nie mówiąc o pewnej uprzedniej znajomości spraw niemieckich. Dla tej przyczyny nawet czasopisma krajów walczących obecnie o posiadanie Niemiec przynoszą tak mało ciekawych relacji o obecnym życiu wewnętrznym tego kraju.

Niemcy przed ich zagadką

Kiedy Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki podzieliły między siebie kontynent europejski, stało się jasne, że każde z tych mocarstw prędzej lub później będzie usiłowało przeciągnąć Niemcy na swoją stronę. Umieszczone w samym środku kontynentu, posiadające znaczny przemysł, bogactwa naturalne, ludność pracowitą i wyszkoloną wojskowo, Niemcy mogły za naszej pamięci dwukrotnie ubiegać się z bronią w rękę o hegemonię Europy. Dla wielkiego mocarstwa pozaeuropejskiego wciągnięcie Niemiec w orbitę jego polityki równa się posiadaniu kontynentu europejskiego. Od trzech więc lat obie strony kuszą lud niemiecki obietnicami. Ameryka obiecuje swobody osobiste, wyższą stopę życiową i odbudowę gospodarczą kraju. Związek Sowiecki kusi sprawiedliwością społeczną — w Niemczech to zagadnienie było zawsze aktualne — uderzając też w ton patriotyczny i łudząc nawet odbudową narodowej siły zbrojnej.

Zdawałoby się, że Niemcom pozostało tylko doczekać końca tej licytacji, aby oddać serce więcej dającym i drogą pokojową powrócić do sytuacji z 1939. Niektórzy politycy niemieccy ulegli nawet chwilowo takiemu złudzeniu.

Po pochłonięciu przez Związek Sowiecki dziesięciu państw Europy Wschodniej i doświadczeniach zrobionych przez ludność niemiecką na wschód od Elby, obietnice i kokieterie sowieckie utraciły rzecz prosta większą część swej wartości. Za wcześniej byłoby jednak mówić o ich całkowitej dewaluacji. Polityka niemiecka Moskwy ulegała już wielkim wahaniom i zawiera wciąż ogromną skalę możliwości. Aby ocenić je z punktu widzenia niemieckiego, nie należy zapominać, że stosunki niemiecko-sowiec-

kie posiadają dwa różne aspekty: jeden historyczny, powstały z myśli i dążeń kilku pokoleń, drugi nowy, będący wynikiem wypadków ostatnich miesięcy.

Alians z Rosją był tradycyjną polityką Prus, opartą na podziale Polski i na wpływach niemieckich na dworze petersburskim. Republika Wejmarska, a w szczególności jej koła wojskowe, przejęły ten spadek po monarchii. Od traktatu w Rapallo do 1941 uchodziło za rzecz pewną, że Niemcy i Związek Sowiecki razem stanowiłyby największą potęgę wojskową, mogącą pretendować do władzy nad Europą i, być może, nad resztą globu. W ostatnich czasach ukazało się w Niemczech drukiem trochę wspomnień z okresu współpracy wojskowej niemiecko-sowieckiej. Ze wspomnień tych widać, jak silnie fascynowała wojskowych niemieckich wizja siły i władzy mogącej powstać z tej współpracy. W 1941 wojna ze Związkiem Sowieckim miała w armii niemieckiej wielu przeciwników. Z procesów moskiewskich można wnosić, że ten sen o potędze zawrócił w głowie także niejednemu oficerowi sowiekiemu.

Główni protagoniści ówczesnej współpracy niemiecko-sowieckiej dziś nie żyją, myśl ich wszakże — przewijająca się zresztą przez całą historię Rosji i Prus — nie da się rozstrzelać ani wymazać z pamięci przez wyroki sądowe. Musiała sobie z tego dobrze zdawać sprawa propaganda sowiecka, tworząc armię Paulusa — o której nic pewnego nie wiadomo — i na pół żartem na pół serio starając się zbadać czy marzenia generała von Seeckta żyją jeszcze w głowach zdemobilizowanych oficerów niemieckich. Dyskretna kokieteria sowiecka nie ogranicza się do byłych wojskowych, lecz przy okazji zwraca się też do różnych resztek kół tzw. niemiecko-narodowych.

Czy w stosownej chwili — np. w razie konfliktu zbrojnego między mocarstwami — władcy Kremla nie utworzą niemieckiego rządu narodowego i nie ofiarują mu znów tradycyjnego aliansu z perspektywą wspólnego panowania nad Europą? Doświadczenie wykazało, że z mniejszych jeszcze osób niż Paulus i von Seydlitz można zrobić rząd narodowy, dmący w patriotyczne puzony. W jakim stopniu propagandzie sowieckiej udało się przekonać opinię niemiecką o możliwości takiego biegu wypadków i obudzić związane z nim nadzieje?

Znajomi, z którymi poruszam te tematy, są bardzo sceptyczni. Ze swymi zburzonymi miastami i zdemontowanym przemysłem, Niemcy nie są więcej interesującym partnerem dla Moskwy. Tej ostatniej chodzi o wytrącenie Niemiec z gry amerykańskiej. Gdyby interwencja zbrojna sowiecka była spowodowana próbami ponownego uzbrojenia Niemiec, Moskwa szukałaby zapewne przeciw

nowej groźbie zabezpieczeń realnych w postaci np. zdemontowania reszty fabryk i uprowadzenia młodzieży w głąb Rosji.

Zresztą wypadki 1948 stworzyły sytuację nową, nie mającą precedensu w historii stosunków niemiecko-rosyjskich.

Oblężenie Berlina wywołało wzdłuż linii demarkacyjnej napięcie, w wyniku którego siły zbrojne sowieckie we wschodniej części Niemiec zostały znacznie wzmocnione. Niemcy obliczają je na 40 do 45 dywizji. Okupanci zachodniej części kraju nie rozporządzają na miejscu siłami równorzędnymi, mogącymi zatrzymać armię sowiecką na linii demarkacyjnej. Nie widać również, aby Stany Zjednoczone lub Anglia kwapiły się z wysyłaniem żołnierzy do Niemiec. Tworzenie bloku zachodniego, uwieńczone ostatnio przez pakt atlantycki, wskazuje raczej na to, że mocarstwa anglosaskie — w razie ewentualnego konfliktu zamierzają bronić w Europie tylko przyczółka mostowego, sięgającego co najwyżej do Renu. Niemcy pozostałyby poza tym systemem obrony, skazane z góry na okupację sowiecką.

Demontowanie fabryk w strefie angielskiej i amerykańskiej ludność tłumaczy chęcią okupantów usunięcia obiektów przemysłowych z terenu, który według wszelkiego prawdopodobieństwa wpadnie od razu w ręce nieprzyjaciela. Robotnicy, których z racji zniesienia fabryk nowi okupanci nie mogliby zatrudnić na miejscu, byłiby z góry przeznaczeni do pracy za Uralem. W tej perspektywie demontowanie fabryk staje się zagadnieniem szczególnie drażliwym.

Jak reagują Niemcy na niewesołe wnioski, wynikające z żelazną konsekwencją z polityki mocarstw okupacyjnych?

Jeden z moich znajomych, z natury pogodny i zrównoważony, streszcza sytuację Niemiec w sposób następujący:

— Byłoby wielkim złudzeniem sądzić, że posiadamy możliwość wyboru między Wschodem i Zachodem. Jesteśmy tylko biernym przedmiotem sporu między mocarstwami. Do takiego lub innego załatwienia ich sporu nie możemy się niczym przyczynić. Dlatego nie ma przed nami dwóch, ale tylko jedna droga: unikać zatargów i szukać *modus vivendi* z każdą armią, której wypadnie okupować nasz kraj. Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że do konfliktu zbrojnego nie przyjdzie tak długo, jak długo Rosja będzie miała na kontynencie europejskim tak oczywistą przewagę.

Urzędnik miejski, walczący z codziennymi trudnościami egzystencji, formułuje swą myśl w słowach skrajnych i gorzkich:

— Mam żonę i dwoje dzieci, wobec których mam oczywiste obowiązki. Na pierwszą wiadomość o przekroczeniu przez Rosjan linii demarkacyjnej otwieram kurek od gazu. Żadnej innej drogi przed sobą nie widzę. Żony i dzieci w poniewierkę nie oddam.

Nikt w Niemczech zachodnich nie chciałby zamienić okupacji anglo-amerykańskiej na sowiecką. W konflikcie ze Związkiem Sowieckim Ameryka wydaje się jednak Niemcom stroną słabszą, niezdolną lub nie mającą ochoty do bronięcia Europy przed ewentualną inwazją sowiecką. W miarę zaostrzenia się „zimnej wojny” groźba okupacji sowieckiej stała się bliższa, widzialna niemal gołym okiem. Nawet dobroczynne skutki planu Marshalla, odczuwane przez każdego mieszkańca Niemiec Zachodnich, przyjmowane są z obawą, czy nie przyspieszą niepokojącego biegu wypadków.

Wenn die Russen kommen... Słowa te brzęczą jak muchy we wszystkich rozmowach. Słychać je na ulicach, w tramwajach, w kawiarniach. Od nich zaczynają się zazwyczaj refleksje dotyczące przyszłości. Nawet w amerykańskiej gazecie, wydawanej po niemiecku dla celów polityczno-wychowawczych, czytam, że w zornach zachodnich nieliczni tylko wątpią o przyjsciu Rosjan.

Jak zachowa się wówczas armia sowiecka? Z jaką formułą polityczną wejdzie do Niemiec Zachodnich? Czy zostawi możliwość ocalenia chociażby tylko nagiego życia aż do końca wojny? W obliczu tych pytań nawet upiór Paulusa przybiera pozory deski ratunku, staje się surogatem nadziei i jedyną alternatywą do kurka z gazem.

Czy zdecydowana polityka Amerykanów w Berlinie i postawa zajęta przez ludność miasta nie wywołały zmiany tych nastrojów? Pytanie to zadają wielu znajomym. W odpowiedzi słyszę różne, mniej lub więcej ostrożne i sceptyczne komentarze:

— Obłężenie Berlina uświadomiło wszystkim bliskość możliwego konfliktu, którego Niemcy byłyby pierwszą ofiarą.

— Niemcy nie są dziś — jak w 1945 — odcięte od reszty świata. Radio i gazety przynoszą co dzień wiadomości o nowych fluktuacjach polityki amerykańskiej i niepewności panującej na całym świecie. W tej perspektywie nie wiadomo więcej, jakie znaczenie przypisywać wypadkom berlińskim.

— Amerykanie musieli bronić swej enklawy berlińskiej nie z wyboru, lecz z konieczności. Gdyby oddali Berlin bez oporu, cała ludność Niemiec Zachodnich musiałaby się przygotować do przyjscia Rosjan, zmieniać skórę, zapisywać się do partii itd. i armia amerykańska znalazłaby się w powietrzu, bez gruntu pod nogami.

— Berlińczycy są w sytuacji oddziałów stojących w pierwszej linii pod ostrzałem. Muszą myśleć o doraźnym ocaleniu i nie mają czasu stawiać sobie pytania czy wojna ta może być w ogóle wygrana. W Berlinie działają już tylko odruchy masy ludzkiej w niebezpieczeństwie.

Dzięki wielu kontaktom z władzami i żołnierzami sowieckimi w zonie wschodniej, Niemcy zdają sobie sprawę z trudności wewnętrznych Związku Sowieckiego. Wiedzą, że ludność jego obawia się wojny i nie chciałaby w niej brać bliższego udziału. Nawet groźne dywizje sowieckie stojące na linii demarkacyjnej skorzystają być może z pierwszej okazji, aby skapitulować. Ale i taka ewentualność wymagałaby ze strony Stanów Zjednoczonych jakiejś bardziej zdecydowanej postawy i odpowiedniej siły zbrojnej w Europie, aby żołnierze sowieccy, w celu złożenia broni, nie musieli gonić za Amerykanami aż do Pirenejów.

Sytuacja Niemiec między Wschodem i Zachodem nasuwa porównanie z Włochami, które są również bardzo eksponowane. Włochy posiadają własny rząd i wynikającą stąd możliwość manewrowania, układania się, wybierania mniejszego zła. Trudno powiedzieć, czy w razie zaostrzenia kryzysu ta swoboda działania im na coś się przyda. Na razie daje złudzenie względnego bezpieczeństwa i nadzieję na pomysłowość i przytomność własnych mężów stanu. Niemcy nie posiadają takich złudzeń i nadziei. Losy ich z całą oczywistością zależą od zmiennych procesów wewnętrznych, nurtujących odległą Amerykę i Eurazję i uchylających się od wpływów i nawet od wiadomości mieszkańców naszego kontynentu.

Niemcy dzisiejsi — podobni w tym do wielu innych mieszkańców Europy — stoją bezradni wobec przeznaczenia, i myśl ich obiega na próżno ściany pułapki. W kraju, gdzie od wielu pokoleń chwalono ponad wszystko energię i inicjatywę, grecka *apatheia* i *ataraxia* wydaje się wielu obywatelom najrozumniejszym sposobem zachowania się.

Remilitaryzacja Niemiec Zachodnich

W opisanym wyżej stanie rzeczy mówi się w Niemczech coraz częściej o ewentualnym uzbrojeniu weteranów ostatniej wojny i stworzeniu niemieckiej siły zbrojnej, mogącej — wspólnie z armiami okupacyjnymi — stawić opór na linii demarkacyjnej. W Anglii i Ameryce taki rozwój wypadków wydaje się naturalnym uzupełnieniem bloku zachodniego. Winston Churchill i wielu innych gotowi są wyciągnąć rękę do wczorajszych wrogów i rehabilitować armię niemiecką.

Nawet najwięksi zwolennicy takiej inicjatywy nie zamykają zapewne oczu na trudność tego przedsięwzięcia. Nie dalej jak przed czterema laty wojska niemieckie okupowały cały niemal kontynent europejski, i wspomnienia tego nie podobna wymazać z pamięci.

Powołanie pod broń weteranów objęłoby z natury rzeczy przede wszystkim młodsze roczniki czyli niedawnych SS-manów. Być może i ich także Churchill gotów jest przycisnąć do swej brytyjskiej piersi, ale ponownego uzbrojenia SS-manów nie strawi opinia publiczna Francji, krajów Beneluxu i może nawet Włoch. Kto wie jak by się doń odniosła opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych? Ludność Europy Środkowo-Wschodniej i Związku Sowieckiego poczułaby się przez taki fakt zagrożona w swej egzystencji. Każdy krok na tej drodze grozi wywołaniem nieobliczalnych reakcji na całej przestrzeni naszego kontynentu.

Niemcy częściowo tylko zdają sobie sprawę z trudności zewnętrznych ewentualnej remilitaryzacji zon zachodnich. Wielu z nich myśli, że uda się im przewyciężyć w sobie właściwości, które zrobiły z nich postrach Europy i utrzymują wciąż aktualność wspomnień z czasów okupacji niemieckiej kontynentu. Próby przewyciężenia spadku po Hitlerze są obecnie jednym z najważniejszych zagadnień wewnętrznych Niemiec, do którego wrócimy niżej.

W konflikcie między Wschodem i Zachodem Niemcy są krajem najbardziej eksponowanym. „Zimna wojna” toczy się na ich terytorium, częściowo kosztem ludności niemieckiej. Znacznie bliżej i konkretniej, niż ludność Europy Zachodniej, widzą Niemcy nacisk sowiecki na linię demarkacyjną i grożące od tej strony niebezpieczeństwo. Stworzenie armii niemieckiej w rozmiarze pozwalającym jej stawić opór na linii demarkacyjnej nastąpiłoby niemal bez trudności technicznych. Niemcy zostały sumiennie rozbrojone, ich przemysł wojenny zdemontowany, całe więc uzbrojenie należałoby przywieźć zza morza. Zdaniem specjalistów uzbrojenie 40 dywizji niemieckich wymagałoby około dwóch lat czasu.

Czy Moskwa, której siły stoją już na linii demarkacyjnej, zechce tak długo czekać?

Armia amerykańska, która tworzy się dopiero za morzami i — o ile w Waszyngtonie do tego czasu nie zmienią zdania — będzie gotowa za kilka lat, nie przedstawia dla Związku Sowieckiego groźby natychmiastowej. Inaczej być może patrzono by w Moskwie na armię niemiecką, będącą — według doświadczeń ostatniej wojny — bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Zajęcie prewencyjne całego obszaru Niemiec wydawałoby się prawdopodobną odpowiedzią Moskwy. Nikt nie może przewidzieć, jakie byłyby w tym wypadku reakcje innych krajów Europy Zachodniej.

Dla tych przyczyn znaczna część opinii publicznej w Niemczech Zachodnich odnosi się niechętnie do remilitaryzacji kraju. Próby tworzenia niemieckich sił zbrojnych mogłyby tylko przyspieszyć konflikt i nieuniknioną w obecnej fazie zbrojeń okupację sowiecką całych Niemiec. Ustosunkowanie się opinii do remilita-

ryzacji stało się widoczne podczas dyskusji wywołanych w końcu listopada 1948 przez tzw. deklarację Kogona.

Dr Eugen Kogon, były więzień obozów koncentracyjnych i autor książki *Der SS-Staat*, jest wydawcą cenionego miesięcznika *Frankfurter Hefte*. Korzystając z pobytu w Rzymie na kongresie Unii Europejskiej Federalistów, gdzie mógł mówić bez cenzury, Dr Kogon oświadczył, że władze okupacyjne angielskie przed 9 miesiącami i amerykańskie przed 3 miesiącami zaczęły szkolić żołnierzy niemieckich. Zdaniem Dra Kogona, siły niemieckie — o ile w ogóle mają powstać — powinny być tworzone jawnie i podlegać rządowi niemieckiemu.

Wiadomość ta, która zapewne obiegła już prasę innych krajów, ukazała się zrazu w amerykańskiej *Neue Zeitung* z 25 listopada w redakcji, która musiała zapewne zdziwić Dra Kogona i jego przyjaciół. Wynikało z niej, że cała Europa uważa ponowne uzbrojenie Niemiec w obecnej fazie wypadków za niezbędne, i że autorowi rzymskiej deklaracji chodziło jedynie o formalne uprawnienia rządów niemieckich w stosunku do tworzących się sił zbrojnych.

W takiej redakcji zwłaszcza, wiadomość ta musiała wywołać pewien zamęt. Następnego dnia brytyjskie władze okupacyjne zaprzeczyły twierdzeniom dra Kogona. Rząd bawarski podał do wiadomości, że rewelacje tego rodzaju mogą służyć jedynie propagandzie sowieckiej. Sam Dr Kogon ogłosił kilka wyjaśnień, z których wynikało, że nie jest bynajmniej zwolennikiem remilitaryzacji Niemiec i rewelacje swe zrobił jedynie w celu przestrzeżenia opinii przed taką ewentualnością.

Chcąc zrozumieć o co chodzi wśród tylu rozbieżnych komentarzy, zwróciłem się do znajomych Dra Kogona, od których posłyszałem takie mniej więcej objaśnienia:

— Tworzenie niemieckich sił zbrojnych w zonach zachodnich jest igraniem z ogniem. Anglicy i Amerykanie, którzy się tym bawią, robią politykę przekraczającą ich środki i mogącą mieć dla Niemiec tylko najgorsze następstwa. Taka ocena położenia jest bardzo rozpowszechniona, i byli oficerowie, mający jakieś poczucie odpowiedzialności, uchylają się na ogół od propozycji okupantów. Do posług u tych ostatnich zgłaszają się najmniej ciekawe resztki dawnej armii, osoby skompromitowane w okresie hitlerowszczyzny i poszukiwane przez sądy. W ostatnich miesiącach zwłaszcza powstało niebezpieczeństwo, że awanturnicy i byli nazi zostaną przez okupantów pasowani na rycerzy orientacji zachodniej i narzuceni krajowi jako samodzielny czynnik polityczny. Deklaracja Dra Kogona nie jest jego wystąpieniem osobistym. Stoi za nią znaczna część opinii publicznej widzącej niebezpieczeństwo

i starającej się je odwrócić. W mniemaniu Dra Kogona i jego przyjaciół, wyniesienie całej sprawy na forum publiczne może zapobiec lub przynajmniej ograniczyć próby remilitaryzacji Niemiec Zachodnich.

Organizacja tymczasowości

Czy w opisanych wyżej warunkach jest miejsce na jakieś życie polityczne?

Podczas mego pobytu w Niemczech obradowała w Bonn komisja, wyłoniona przez parlamenty poszczególnych *Länder* i mająca za zadanie spisanie konstytucji dla Niemiec Zachodnich. Co kilka dni prasa podawała na pierwszych stronicach wiadomości o postępie tych prac, idących zresztą żółwim krokiem. Z rozmów przekonałem się, że czytelnicy roztargnionym okiem przeglądali depesze z Bonn, nie przywiązując do nich większej wagi i nie zatrzymując ich w pamięci. Istotnie, co może pomóc konstytucja krajowi znajdującemu się wobec tak dramatycznych ewentualności?

W ciągu ostatnich trzech lat w tzw. *bizonie*, czyli pod okupacją angielską i amerykańską ukonstytuowały się parlamenty poszczególnych krajów niemieckich i odbyły się kilkakrotnie wybory do parlamentów i instytucji samorządowych. Do wyborów stanęły dawne stronnictwa Republiki Wejmarskiej. W głosowaniach wzięło udział 70-90 % wyborców, oddając w ogromnej większości swe głosy stronnictwom odpowiadającym dawnemu Centrum i Socjalnej Demokracji. Komuniści uzyskali niewielką ilość głosów, topniejących przy każdym nowych wyborach.

Mimo to nie widać nigdzie powrotu do dawnego życia politycznego. W Republice Wejmarskiej każdy niemal przechodzień mógł wskazać adres biura okręgowego swego stronnictwa i wymienić tytuł jego miejscowej gazety. Dziś zainteresowania ludności polityką stronnictw musi być niewielkie, bo nigdzie nie dostrzegłem jego przejawów.

Błądźca obecnego życia politycznego jest zrozumiała. W Republice Wejmarskiej każde z głównych stronnictw ofiarowało swym adherentom jakąś doktrynę i z mniejszą lub większą konsekwencją wysnuło z niej recepty na zagadnienia bieżące. Na najważniejsze zagadnienia, stojące obecnie przed ludnością Niemiec, stronnictwa nie posiadają żadnej recepty. W powszechnych głosowaniach ludność dała wyraz swej niechęci do systemu sowieckiego i w tym celu oddała swe głosy stronnictwom umiarkowanym, ale od stronnictw tych niczego na razie nie oczekuje. Niektó-

rzy z moich znajomych wyrażali nawet powątpiewanie, czy w obecnej sytuacji Niemcy Zachodnie byłyby w stanie wyłonić rząd parlamentarny, mogący z powodzeniem przejąć zadania władz okupacyjnych.

Według powszechnie przyjętego mniemania istniejące obecnie rządy krajowe mają za jedyne zadanie skuteczną współpracę z władzami okupacyjnymi i utrzymywanie obecnego *modus vivendi*. Wraz z zakończeniem okupacji zadanie ich będzie spełnione, i rządy obecne ustąpią miejsca innym, bardziej odpowiadającym warunkom życia kraju niepodległego. Między wyborcami, których interesy mają reprezentować, i władzami okupacyjnymi, które odstąpiły im część swej władzy, rola rządów krajowych nie musi być łatwa.

W 1948 jeden z ministrów bawarskich, imieniem Loritz, został uwikłany w aferę spekulacyjną, i prokurator wydał polecenie aresztowania go. Korzystając widocznie nadal z pewnego poparcia władz okupacyjnych, Loritz mógł miesiącami ukrywać się w Monachium. Widywano go w różnych miejscach, udzielał nawet wywiadów prasie, pozostając nieuchwytny dla policji bawarskiej. Dopiero podczas mego pobytu w Monachium Loritz, po kilkudniowym pościgu, w którym brało udział trzy tysiące policjantów, został aresztowany w parku publicznym.

Z tego *fait divers* można się domyślać, że osobistości oficjalne obecnych Niemiec czerpią znaczną część swego niewielkiego autorytetu — mało kto zna ich nazwiska — z uzdolnień do współpracy z okupantami. Wielu z nich doznało prześladowań w czasach Trzeciej Rzeszy, jest wśród nich na pewno wielu ludzi pełnych odwagi i dobrej woli. Nie ulega wątpliwości, że położyli ogromne zasługi przy złagodzeniu rygorów okupacji. Czy naród im te zasługi policzy? Zdaje się leżeć w porządku natury, że nawet najzasłużeńsi kolaboracjoniści spotykają się z niewdzięcznością, a w każdym razie schodzą ze sceny wraz z zakończeniem okupacji.

Kto przyjdzie po nich? Kogo wysuną na czoło Niemiec pierwsze wybory pookupacyjne? Nikt na to pytanie nie umiał mi dać odpowiedzi. Następcy obecnych ministrów czekają gdzieś zapewne swojej kolei, rozkładają pasjansę, czytają być może Machiavellego i Clausewitza. Nikt ich na razie nie zna z imienia. Im dłużej trwa oficjalność zorganizowana pod auspicjami wojskowych władz okupacyjnych, tym trudniej przewidzieć dalszy ciąg ewolucji politycznej kraju.

Bardziej stały i ciągły charakter posiada niemiecka administracja. Opanowanie przez nią chaosu powstałego po upadku cesarstwa w 1918 było dla obcych niespodzianką. Żywotność swą administracja czerpie z istniejącej do 1933 autonomii krajów i miast

niemieckich. Zmiany *régime'u* politycznego i związana z nimi dyskwalifikacja części urzędników nie tworzą w Niemczech niezastąpionych luk, bo instytucje samorządowe dostarczają natychmiast nowych zastępów wyszkolonych administratorów. Dzięki tym okolicznościom Niemcy nie miały dotąd do przewyciężenia trudności, z jakimi spotkała się np. Polska w pierwszych latach niepodległości, i jakie powstają po przewrotach politycznych w krajach scentralizowanych.

I dziś obserwujemy w Niemczech szybkie odradzanie się aparatu administracyjnego. Od trzech lat władze okupacyjne przerzucają nań coraz trudniejsze zadania, przerastające siły administracji wojskowej. Do najtrudniejszych należy zagadnienie uchodźców z zony sowieckiej, których liczba dochodzi np. w Bawarii do trzeciej części ogólnej liczby mieszkańców. Wielu z nich wydostało się z zony sowieckiej tylko w koszulach i kalesonach. Tak ubranych uchodźców widziałem na ulicach w mroźne dni końca 1945. Rozmieszczenie, zaopatrzenie i częściowe przynajmniej zatrudnienie takiej masy uchodźców jest zadaniem na miarę Herkulesa. Zresztą liczba uchodźców wciąż wzrasta, i nic nie zapowiada końca exodu. Pojawienie się armii sowieckiej w środku Europy stworzyło zagadnienia, które z natury swej są być może nierozwiązalne w granicach pojęć i tradycji europejskich.

W każdym razie chaos i anarchia, jakie panowały w Niemczech w 1945-1946, zostały mniej więcej opanowane. W tej niewielkiej mierze, w jakiej miałem do czynienia z urzędami niemieckimi, musiałem stwierdzić sprawność ich personelu odróżniającego bystro sprawy istotne od nieistotnych i traktującego je bez formalistyki.

Jednym z najważniejszych osiągnięć okupacyjnych i niemieckich była reforma monetarna, przeprowadzona latem 1948. W ciągu trzech lat Niemcy znajdowały się w stanie anarchii pieniężnej. Miliardy banknotów pozostałych w spadku po Trzeciej Rzeszy i wędrujących z jednej zony do drugiej, nie miały określonej wartości. Posługiwano się nimi symbolicznie przy wykupywaniu przydzielonych na kartki artykułów spożywczych, brak jednak było wolnego rynku poza tzw. rynkiem czarnym. Ale i tam ceny obliczano raczej w papierosach niż w markach.

Pojawienie się w Niemczech Zachodnich nowego pieniądza stworzyło podstawę dla handlu wewnętrznego. Ukryte dotąd towary ukazały się na wolnym rynku. We wszystkich miastach widać wznoszone pośpiesznie budynki tymczasowe dla nowych przedsiębiorstw handlowych.

Losy nowej marki niemieckiej były przez dłuższy czas niepewne. W wolnych obrotach wartość jej spadła w ciągu pierw-

szych miesięcy z 3 na 20 marek za dolara. Od spotkanych w Niemczech kupców amerykańskich słyszałem, że nawet w Nowym Jorku można było nabyć marki po cenie wolnorynkowej. W listopadzie i grudniu 1948 marka przechodziła kryzys: ceny szły szybko w górę i towary zaczęły znów znikać z obrotu. W pierwszych miesiącach następnego roku dolar w wolnych obrotach spadł do 12, potem zaś do 8 marek. Ceny towarów mają tendencję do stabilizowania się na poziomie wspólnym dla całej zachodniej części naszego kontynentu.

Wahania się kursu marki niemieckiej zależą zapewne nie tylko od warunków gospodarczych — jak poziom produkcji — ale także od zaufania do niej ludności. *Wenn die Russen kommen*, marka zachodnia utraci wszelką wartość. Tak długo więc, jak ludność będzie musiała się liczyć z taką możliwością, nowa moneta posiadać będzie u niej jedynie kredyt warunkowy, tymczasowy.

Historia ostatniego trzydziestolecia w Europie uczy, że inflacja zaostrza z reguły istniejące konflikty społeczne i polityczne. Ludność pracująca, otrzymując wynagrodzenie w topniejących w palcach papierkach, odnosi wrażenie, że jej stopa życiowa da się obronić tylko siłą, w drodze strajków, gróźb i zamachów, zmierzających do wzięcia w własne ręce maszyny do drukowania banknotów.

W Niemczech nie można było zauważyć tych normalnych skutków inflacji. Brak pieniądza o określonej wartości Niemcy znosili przez trzy lata z stoicyzmem i rezygnacją, jaką trudno byłoby wyobrazić sobie we Francji lub Włoszech.

Z ust jednego z niemieckich przyjaciół usłyszałem na ten temat następującą refleksję:

— Amerykanie mieli niesłychane szczęście, obejmując w spadku po Hitlerze ludność bierną, miękką jak wosk, wyszkoloną jak żadna inna w słuchaniu i wykonywaniu najniedorzeczniejszych nawet rozkazów.

Po długotrwałym poście, ludność Niemiec Zachodnich powitała początek nowego okresu gospodarki kapitalistycznej z uczuciem ulgi i zadowolenia, jakkolwiek w obecnych warunkach nowy pieniądz musi jej przynieść niejeden zawód i rozczarowanie.

Niemcy wobec własnej przeszłości

Upadek Europy i podział jej między mocarstwa pozaeuropejskie, utrata przez Niemcy niepodległości i zapowiadająca się na długi czas okupacja ich przez obce siły zbrojne — taki wynik 27 lat polityki niemieckiej powinien, zdawałoby się, wywołać

w Niemczech ogólny krytycyzm w stosunku do przeszłości i potrzebę ustalenia, kto za nią jest odpowiedzialny.

W tępieniu ludności i plądrowaniu krajów okupowanych przez siły zbrojne Trzeciej Rzeszy brała udział tak znaczna ilość osób, że wykrycie ich i ustalenie indywidualnej odpowiedzialności wydaje się rzeczą niemożliwą. W krajach, gdzie widziano przeciągające tysiące morderców i grabieżców niemieckich, rozwijające inicjatywę na różnych szczeblach hierarchii wojskowej i cywilnej, wytworzył się obraz narodu ogarniętego zbiorowym szaleństwem przestępczym. Z tego obrazu wyrosło obce skądinąd poczucie prawnemu Europejczyków pojęcie winy zbiorowej narodu niemieckiego.

Po upadku Trzeciej Rzeszy spodziewano się, że Niemcy — tak z pobudek wewnętrznych, jak w celu znalezienia wspólnego języka z okupantami i innymi ludami Europy — z własnej inicjatywy podejmą próbę jakiejś *catharsis*, procesu oczyszczającego. Niektórzy wyobrażali to sobie w mglistej formie jakiegoś zbiorowego wyznania winy i pokuty. Inni sądzili, że ludność Niemiec samorzutnie odróżni i odtrąci od siebie osoby, które w czasach Trzeciej Rzeszy zbyt jawnie deptały dziesięcioro przykazań i kodeks karny.

Óczekiwania te w przeważnej mierze zawiodły. Według relacji pierwszych cudzoziemców, którzy po kapitulacji dostali się do Niemiec, ludność tamtejsza nie okazywała większej ochoty do oczyszczania się z ciężących na niej zarzutów. Dla innych przegranej wojny, spalenie miast i okupacja kraju były karą wyczerpującą całą sprawę. Inni wymawiali się nieznanymi faktami. Upadek dyktatur pociągał zazwyczaj silne, często krwawe reakcje ludności. Brak takiej reakcji w Niemczech, po upadku najbardziej barbarzyńskiej i krwawej dyktatury jaką widziała Europa, wywołał wszędzie zdziwienie, konsternację, wreszcie nieufność.

Dopiero po upływie dłuższego czasu stały się widoczne główne zarysy tego złożonego zjawiska.

Samorzutnych reakcji ludności w Niemczech nie spodziewał się nikt, kto znał ten kraj z okresów poprzednich. Nawet w Republice Wejmarskiej, w której ścierało się z hałasem kilka doktryn politycznych, nieliczni tylko zdobywali się na własny sąd o zagadnieniach bieżących. Olbrzymia większość czekała przezornie na wskazówki sfer rządowych, kierownictw partyjnych i innych ośrodków dyspozycji politycznej. Brak samodzielnej i niezależnej opinii publicznej zdaje się być stałą chorobą państwa nowożytnego. Pod tym względem Niemcy wyprzedziły o ćwierć wieku inne ludy Zachodu, stojące dziś posłusznie za swymi rządami, z wyjątkiem grup czekających równie biernie na inspirację Kominformu. Zni-

knęcie rządu, stronnictw i prasy pozbawiło Niemcy z dnia na dzień organów, które dotąd miały tam największy wpływ na kształtowanie się opinii.

Zbiorowa reakcja i odrzucenie od siebie przez ludność byłych hitlerowców wymagały istnienia pewnej, z gruba chociażby powiązanej społeczności. Z pierwszej podróży powojennej do Niemiec, w końcu 1945, wyniosłem wrażenie, że w owym czasie ludność Niemiec była przemieszana przez wypadki masą ludzką, wytrąconą ze wszystkich więzi społecznych. Większą część przechodniów na ulicach stanowili obcy, przetrzuceni tu przez wypadki, oderwani od rodziny i stałego miejsca zamieszkania. Jakich reakcji politycznych lub moralnych można spodziewać się po tłumie, złożonym z osób sobie nieznanych lub znających się od wczoraj? Krytyczne spojrzenie na lata przeszłe wymaga nadto niewielkiej chociażby ilości wolnego czasu, oparcia głowy na rękę i chwili zamyślenia. Wśród płonących miast lub pokrytych pyłem ruin i wędrującej ludności niewielu tylko posiadało warunki do medytacji.

Poszukiwaniem winnych i ustalaniem ich odpowiedzialności zajęli się zresztą sami zwycięzcy, nie oglądając się na Niemców. Do procesów norymberskich przeciw dygnitarzom Trzeciej Rzeszy Niemcy zostali dopuszczeni tylko w charakterze obrońców. Ujemne strony sądenia hitlerowców wyłącznie przez obcych spostrzeżono dopiero poniewczasie, i sądom niemieckim przekazano drobniejsze ryby, osoby mniej winne, mniej zuchwałe, często zbiedzone długim pobytom w więzieniu.

Efekt moralny sądenia Niemców przez zwycięzców był tym mniejszy, że już przed początkiem rozpraw norymberskich okupanci utracili autorytet moralny, jakiego oczekujemy od sędziów powołanych do karania „przestępstw przeciw człowieczeństwu”. W zaraniu okupacji, obok polowania na nazich, rozpoczęło się w całych Niemczech polowanie na „trockistów”, Ukraińców, Kaukazyków i innych opozycjonistów sowieckich, których łapano i oddawano sowieckiej policji politycznej. Były to pierwsze ofiary ludzkie oportunistów i amoralistów polityki anglo-amerykańskiej. Dla zaspokojenia ambicji wschodniego alianta, i utworzenia drogi dla korzystnych interesów powojennych, demokraci Zachodu ofiarowywali władcom Kremla całe wyspy i lądy z ich ludnością, nie wahano się więc także przed oddaniem do rozstrzelania kilkudziesięciu czy nawet kilkuset tysięcy opozycjonistów. Kto miał sposobność zapoznać się ze szczegółami tych łapanek i ekstradycji, musiał doznać głębokiego wstrząsu moralnego. Polowania na ludzi odbywały się częściowo w biały dzień, i patrząca na nie ludność niemiecka wyciągała z tego spektaklu odpowiednie wnioski.

W systemie zorganizowanej przemocy najczęstszym odruchem parzącego jest chęć udzielenia pomocy uciekającemu od oprawców. Tak więc pierwsze kroki okupantów na terenie niemieckim stworzyły zamęt pojęć i uczuć, mało sprzyjający samodzielnym próbom Niemiec oderwania się od ich okropnej przeszłości.

Dziś urzędowa puryfikacja Niemiec od resztek hitleryzmu czyli tzw. *Entnazifizierung* dobiega końca. Wszyscy Niemcy, z którymi na ten temat rozmawiałem, są zgodni w tym, że akcja ta chybiła celu, nic nie załatwiając. Większość moich rozmówców nie wahała się określać jej jako farsy. Wyraz ten nie wydaje się przesadny, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że po trzech przeszło latach okupacji znikoma tylko część byłych nazich została ukarana. Nikt nie wie, ilu morderców przechadza się po ulicach. Od osób doświadczonych słyszałem, że niejeden z poszukiwanych przez sądy niemieckie znajduje się na służbie u okupantów, którzy bronią go od odpowiedzialności. Bardziej znani mają cyrkulować tylko w porze nocnej, aby nie drażnić zbyt swą bezkarnością policji niemieckiej.

Zagadnienia oczyszczenia Niemiec z resztek hitleryzmu pozostaje zatem wciąż otwarte, niezłatwione.

Poza granicami Niemiec sprawa ta będzie źródłem niezliczonych trudności przy wszystkich próbach wciągnięcia Niemiec do współpracy międzynarodowej. W początku 1949 znakomity pianista niemiecki, Walter Gieseking, wysiadając ze statku w Nowym Jorku, gdzie miał koncertować w Carnegie Hall, znalazł przed sobą tłum wrogich manifestantów, którzy nie dopuścili do koncertu i zmusili artystę do opuszczenia Ameryki. Wnosić stąd można, że nawet opinia amerykańska, niosąca też część odpowiedzialności za politykę niemiecką swego rządu, uważa sprawę „denazifikacji” za niezłatwioną i wyciąga stąd praktyczne wnioski, traktując wszystkich Niemców jako domniemanych byłych hitlerowców.

Okupanci zdradzają tu dziwną niekonsekwencję: z jednej strony chcieliby odtworzyć armię niemiecką i wciągnąć Niemcy do bloku zachodniego, z drugiej zaś strony zaniedbują stworzenia niezbędnych do tego warunków wstępnych. Niekonsekwencja ta zdaje się mieć dwie przyczyny: nieznamość i całkowite lekceważenie Europy oraz słabość samych władz okupacyjnych.

Użyteczność szybkiego oderwania się od upiora Trzeciej Rzeszy pierwsze rozpoznały niemieckie koła wojskowe. Drogę do tego celu pokazała im w ostatnim roku wojny propaganda angielska, prowadzona przez fikcyjną radiostację „Atlantik-Sender” w imieniu rzekomej grupy opozycji wojskowej. Mit opozycji wojskowej był więc już gotowy, należało go rozwinąć i uzupełnić nowymi

szczegółami. Tę rolę miały spełnić zagranicą ogłoszone w Szwajcarii wspomnienia Giseviusa i Schlabrendorffa o spiskach wojskowych w ostatnich latach Trzeciej Rzeszy.

Znacznie trudniej było utrzymać mit opozycji wojskowej w oczach czytelników niemieckich. Pod pozorami apolityczności armia niemiecka służyła po kolei wszystkim rządóm: socjaldemokratycznym, katolickim i hitlerowskim, ale tylko te ostatnie mogły dostarczyć ambitnym wojskowym możliwości rewanżu za 1918, władzy nad Europą i buław marszałkowskich. Dla tej przyczyny armia poddała się od razu rozkazom dyktatora, połykając bez szemrania wszystkie upokorzenia. Nawet zamach z 20 lipca 1944 wskazuje, że opozycja wojskowa ograniczała się do niewielkiej, izolowanej grupy starszych wojskowych, zdolniejszych do zbiorowego samobójstwa niż do skutecznego działania. Ich samotna decyzja i tragiczny los zasługują na pamięć i szacunek, ale nie upoważniają do uogólnień. Rewelacje Giseviusa przyjęte zostały w Niemczech z największym krytycyzmem, Schlabrendorff zaś sam sprzeciwił się ponownemu wydaniu książki ogłoszonej z figlarnymi dodatkami pod jego nazwiskiem.

Polityka okupantów w stosunku do byłych wojskowych przedstawia zygzakowaną linię sprzecznych posunięć. Zwycięzcy spisali z generałami niemieckimi układ o kapitulacji, lecz wkrótce potem oddali ich pod sąd jako przestępców. Nie jest tajemnicą, że za kulisami sądu norymberskiego toczył się długotrwały spór o to, czy należy sądzić wojskowych. Samym zwycięzcom polityka ich wydawała się niekonsekwentna. Dziś, gdy mowa jest o uzbrojeniu Niemiec Zachodnich, okupanci zastanawiają się zapewne znów nad sprawą byłych wojskowych i nad warunkami, jakie im powinni ofiarować, jeżeli zechcą ich przeciwstawić oficerom niemieckim na służbie sowieckiej. Z którejkolwiek strony na nie spojrzeć, zagadnienie to przedstawia się bardzo zawile i dla polityków i wojskowych Zachodu musi stanowić prawdziwą łamigłówkę. Odhitleryzowanie kół wojskowych pozostaje więc też — zarówno dla obcych jak dla samych Niemiec — sprawą otwartą i niezalutwioną.

Obok konsekwencji zewnątrzno-politycznych, bankructwo odhitleryzowania Niemiec posiada też swój aspekt wewnętrzny, na dłuższą metę najbardziej interesujący i doniosły w następstwie. Podczas mego pobytu w Monachium odbył się tam proces pozwalający wejrzeć w nieoficjalne, podziemne, trwające wciąż zmaganie się Niemiec z resztkami hitleryzmu.

Podsądnym był małego wzrostu robotnik nazwiskiem Schiessl, oskarżony o zabójstwo więźnia politycznego. Ranny w rękę w początku wojny, Schiessl został zwolniony z wojska. Dopiero

w końcowej fazie wojny ubrano go ponownie w mundur i zatrudniono jako kucharza w obozie dla więźniów politycznych. Według jednomyślnych zeznań świadków, Schiessl głodził, maltretował i bił więźniów osłabionych pobytem w obozie i zmuszonych — w miarę zbliżania się frontu — iść pieszo coraz dalej w głąb kraju. Eskortę stanowiło paru starszych wiekiem podoficerów i pięciu chłopców, synów tychże podoficerów, należących do *Volkssturmu*. Chłopcy byli w wieku 14 do 16 lat; dwóch nosiło już mundury i rewolwery. Ojcowie wzięli ich ze sobą z myślą, że w ten sposób ochronią ich od bardziej niebezpiecznej służby.

W pewnej chwili jeden z więźniów idących w końcu konwoju usiłował uciec. Starsi członkowie eskorty nie mieli większej ochoty mu przeszkadzać, ale jeden z chłopaków nieumundurowanych zawołał:

— Panie wachmistrzu, tam jeden chce wiać!

Wachmistrz wystrzelił na alarm. Schiessl, idący w końcu konwoju, podszedł do więźnia i strzelił doń z rewolweru, po czym do leżącego strzelił jeszcze dwa razy. Ponieważ, według zeznań świadków, na głos pierwszego wystrzału uciekający sam wrócił był do szeregu, sąd skazał Schiessla na 6 lat więzienia.

Na swą obronę oskarżony twierdził, że więzień groził mu trzymanym w rękę ciężkim kołkiem wyrwanym z płota. W tym miejscu zeznania świadków są rozbieżne. Nikt ze starszych kołka nie widział; mają wrażenie, że w ówczesnym stanie wycieńczenia żaden z więźniów nie miałby siły takiego kołka z ziemi wyciągnąć. Najciekawszym szczegółem procesu są zeznania chłopców, którzy dziś mają po 17 do 19 lat i od 1945 byli zapewne już wielokrotnie przesłuchiwanym na ten temat. Dwaj chłopcy, którzy w 1945 nosili mundury i rewolwery, widzieli kołek w rękę więźnia. Żaden z nich jednak nie chciał stwierdzić tego pod przysięgą. Natomiast trzech chłopcy noszący wówczas cywilne ubranie kołka nie widzieli i stwierdzają to pod przysięgą. Najbardziej pewny i jasny w swych zeznaniach jest chłopiec, który pierwszy spostrzegł i zdradził uciekającego.

Postawa świadków dzieli ich wyraźnie na trzy grupy. Starsi, byli żołnierze, wyszli ze stanu chłopskiego, wojują w granicach ustalonych obyczajów, oceniając trzeźwo każdą sytuację.

— Był to kwiecień 1945, nie trzeba więc już było się tak bać, mówi jeden z podoficerów, objaśniając czemu patrzył przez palce na ucieczkę więźnia.

Starsi należą do formacji przedhitlerowskiej. Obóz głodnych więźniów politycznych nie mieści się dobrze w ich pojęciach i stanowi przemijające zjawisko natury.

Dwaj młodzi, którzy widzieli kołek w ręku więźnia, ulegają wciąż halucynacji nacjonalistycznej. Niemcy są dla nich wciąż zagrożone prawdziwym czy urojonym kołkiem z płota, bronią się od wrogów, od Żydów i masonów, walczą o życie. Znają tylko utylitarną moralność obłąkanego miasta: wszystko jest dobre co pozwala być silniejszym. Po co żyć politycznego przeciwnika? Czy miał kołek w ręku czy nie, jest sprawą drugorzędną. Kołek ten powinien być, musieli go więc widzieć. Chłopcy ci bawili się wówczas nie w żołnierzy, ale w gestapistów, nie w wojnę, ale w „robienie porządku”. Przed rzeczywistością cofają się na sądzie dopiero wówczas, kiedy chodzi o ich odpowiedzialność osobistą.

Chłopiec, który wydał uciekającego więźnia i zmusił wachmistrza do zrobienia alarmu, bawił się również w Gestapo. Dziś odpycha od siebie widmo ówczesnej halucynacji, nie zapiera się, zeznaje jasno, bierze na siebie odpowiedzialność. W ciągu trzech lat ostatnich chłopiec ten oczyścił się wewnątrz od hitleryzmu, jest *entnazifiziert*.

Warto jest zatrzymać się na chwilę nad pytaniem: czy wypada wydać uciekającego więźnia? Przed 25 laty mało kto w Niemczech miał na to pytanie gotową i jasną odpowiedź. Dla oświetlenia tej złożonej sprawy, chciałbym przytoczyć, co słyszałem w 1932 od chłopców podwarszawskich.

Studia etnograficzne zaprowadziły mnie do powiatu grójeckiego, skąd chciałem pieszo znaleźć drogę do znanej z historii przeprawy przez Wisłę do leżącego na drugim brzegu Starego Otwocka. Zagmatwana w tej okolicy sieć ścieżek rolniczych zmusiła mnie do kilkakrotnego pytania o drogę. W pewnej chwili dopędził mnie wózek, na którym siedziało dwóch chłopców w wieku młodocianych świadków z procesu monachijskiego. Wózek zatrzymał się i chłopcy oświadczyli gotowość podwiezienia mnie do najbliższej wsi. Po chwili milczenia jeden z nich odezwał się:

— Niech się pan niczego nie boi. Skoro pan szuka przeprawy do drugiego powiatu, jest jasne, że ucieka pan od policji. Nie będziemy pytali dlaczego: to, że pan musi uciekać, wystarczy. Tu nikt pana nie wyda, każdy pomoże i ukryje.

Znacznie mniej jednolita była wówczas postawa młodzieży szkolnej, ale tradycja ludowa polska nie znała tu wątpliwości. Dwadzieścia lat granatowej policji minęły bez śladu.

Resztki takiej tradycji można zresztą znaleźć w każdym kraju chrześcijańskim, gdzie co rok przed Wielkanocą rozpamiętywana jest na nowo historia Jezusa i Judasza. Odnośne rozdziały Ewangelii utraciły swą bezpośrednią aktualność w krajach starej demokracji, gdzie policja reprezentuje ogólnie znane interesy ma-

terialne gminy czy miasta. Ale i tam pojawienie się jakiejś grupy prześladowanych tworzy natychmiast rysy w tym pięknym porządku.

W ciągu dwunastu lat istnienia Trzeciej Rzeszy część ludności Niemiec odnalazła w sobie nieomylną receptę na zachowanie się wobec uciekającego więźnia. Wielu moich znajomych zawdzięcza ocalenie osobom często nieznanym, które ich z narażeniem życia ukrywały lub wyprowadzały z sideł i potrzasków. Te przemiany wewnętrzne są jednak powolne i dalekie jeszcze od jednolitego obrazu.

Kiedy ostatni z młodocianych świadków z procesu monachijskiego odnajdzie w sobie pewność, że nie wypada zdradzać uciekającego więźnia politycznego, będzie to znakiem, że czasy prześladowań, „robienia porządku”, pogardy dla życia i godności człowieka minęły, i Niemcy zostały odhitleryzowane. Przemiany tej nie należy zapewne wyobrażać sobie w formie nagłej metamorfozy, lecz raczej jako proces powolny, rozwijający się nie tyle na forum publicznym, ile w trybie wieczornych rozmów i rachunków sumienia. Sama natura tego procesu objaśnia, czemu mocarstwa okupujące Niemcy niewiele tylko przyczyniły się do odhitleryzowania kraju.

Dyktatorzy nowożytni, przyzwyczajeni do rachowania w milionowych blokach ludów, klas społecznych i pokoleń, dorzucili niejedno do sposobów utrzymywania się przy władzy wymienionych u Machiavellego. Głównym ich wynalazkiem była deprawacja młodzieży, której z dnia na dzień ofiarowywali prawo życia i śmierci nad starszymi, wykonywane wśród gwałtów i ekscesów. Wystarczyło krótkiego czasu, aby oderwać część młodzieży od reszty społeczeństwa, spalić za nią mosty i zrobić z niej grupę wykołajców nie mających innego wyboru jak dzielić do końca losy dyktatora. Szkolnictwo współczesne — nie zajmując się wychowaniem młodzieży — stworzyło do takich operacji doskonałe warunki. W Niemczech sprzyjały temu też inne okoliczności. Po okresie powszechnego uprzemysłowienia kraju, znaczna część mieszkańców Niemiec została oderwana od wspólnych Europejczykom tradycji ludności rolniczej, nie nabywszy jeszcze na to miejsce żadnych innych.

Ruch narodowo-socjalistyczny opierał się głównie na młodzieży, na pokoleniu mającym obecnie 20-40 lat. Znaczna część jego zginęła na wojnie. Część oparła się zbiorowej hipnozie totalitarnego nacjonalizmu. Część jednak pozostała oderwana od starszego pokolenia, nie znajdując swego miejsca. Konflikt pokoleń wywołał niezliczone dramaty wewnątrz rodzin. Nie wszyscy rodzice powitali z otwartymi rękami wracającego po kłęsce SS-manna, który przez

kilka lat był dla nich źródłem codziennej udręki moralnej. Równie liczni są młodzi, którzy wstydzą się wracać i nie chcą widzieć swych rodziców. Wypadki takie muszą być liczne, bo słyszałem o nich od różnych osób, starszych i młodszych. Hitlerizm zostawił po sobie rany, na które nie widać lekarstwa. Od wciąż jeszcze aktualnej i jętrzącej się przeszłości każdy zapewne chciałby się jak najprędzej oderwać, nikt jednak nie zna na to skutecznej recepty. Przeszłość można, być może w sobie przewyciężyć, ale zadanie takie wymaga czasu, wysiłku woli i sprzyjających okoliczności.

Leży przede mną egzemplarz sztuki traktującej obecny konflikt pokoleń w formie dramatycznej. Autorem jej jest Hermann Mostar, jeden z nielicznych dziś pisarzy „młodych”, urodzony w 1901. Akcja jego dramatu *Meier Helmbrecht* przeniesiona jest do wieków średnich, aluzje jednak do 1947 — roku ukazania się sztuki — są aż nazbyt przejrzyste. Oto w krótkich słowach jego treść:

Zamożny chłop Meier Helmbrecht wysyła do szkół jedyne go syna, który wraca przejęty zachwytem dla stanu rycerskiego i sławy wojennej. W okolicy pojawia się właśnie kilku awanturników, zajętych nie tyle wojną co grabieżą. Młody Helmbrecht znika z domu i przystaje do wędrownych rycerzy, którzy plądrują wsie, zabijają sędziego i terroryzują ludność. Po wielu klęskach, uzbrojeni chłopcy zabijają głównych awanturników i biorą do niewoli młodego Helmbrechta. Wykolejeniec staje przed sądem ludowym, któremu przewodniczy jego ojciec, wybrany przedtem na sędziego. Sąd daje się ponosić różnym uczuciom, skazuje młodego Helmbrechta na śmierć, ale — ówczesnym zwyczajem — darowuje mu życie, kiedy znajduje się młoda dziewczyna gotowa go poślubić. W następnym odruchu sąd wraca do surowości i skazuje go na pozbawienie wzroku i odrąbanie obu rąk. Młody ślepiec wędruje odtąd po jarmarkach, układając pieśni o sławie i swobodnym życiu Raubritterów. Dzieci przysłuchują się jego pieśniom. Rozgoryczeni chłopcy, spotkawszy go w odludnym miejscu, zabijają wreszcie bezbronnego.

Melodramat Mostara jest pełen tyrad i łez, w których łatwo rozpoznać echa dręczących dziś Niemcy od wewnątrz kompleksów. Obcemu trudno jest zdać sobie sprawę z tego co odczuwać mogą widzowie, patrząc na dramat toczący się — chociażby wierszem — tak strasznie blisko rzeczywistości. Być może — wobec stojących przed nimi zagadnień — nawet taka okrutna i toporna *catharsis* przynosi im ulgę i odprężenie.

Wśród najprzykrzejszych wspomnień z niedawnej przeszłości szczególne miejsce musi zajmować Polska. W gospodarce narodo-

wo-socjalistycznej na ziemiach okupowanej Polski brały udział dziesiątki tysięcy Niemców, nie tylko SS-manów, ale ludzi różnych stanów i zawodów. Olbrzymia większość ich wróciła po klęsce do Niemiec. W Polsce znajdowały się sławne dziś na cały świat miejsca kaźni, dokąd zwożono ofiary z całej okupowanej Europy. Tam Trzecia Rzesza ukazała najlepiej swe bestialskie oblicze. Żaden zapewne szczegół okupacji niemieckiej w Polsce nie jest dla przeciętnego mieszkańca Niemiec Zachodnich tajemnicą. Można się domyślać, że najważniejsze dla świadomości Niemiec szczegóły przenikły nie w formie druków i filmów, ale w formie ukrywanych być może długo zwierzeń osobistych świadków i uczestników.

Polskiego podróżnika interesuje oczywiście, jakie miejsce wspomnienia z Warthegau i General-Gouvernement zajmują w podziemnym zmaganiu się Niemiec z ich niedawną przeszłością. Niewidzialna obecność ich wyczuwa się w wielu rozmowach.

— W więzieniu i obozie koncentracyjnym poznałem wielu Polaków. Ich odwaga i niezłomna postawa zrobiły na mnie niezatarte wrażenie. Wspólna walka wytworzyła między nami poczucie solidarności i przyjaźni, które pozostanie mi na całe życie.

Słyszając takie zdanie od znajomego, którego szczerze szanuję, mam wrażenie, że wymawiając szybko te słowa oddala od siebie jakieś wspomnienie. Szczęśliwy jest ten, kto może je oddalić przy pomocy zręcznej formuły słownej. Przeglądam wydany w Niemczech irlandzki dramat O'Casey'a i na pierwszej stronie wpada mi w oczy następująca omyłka druku: *Wohnzimmer in einem LUBLINER Mietshaus*. Co powiedziałby o niej Sigmund Freud? Jakieś długo ukrywane w mroku wspomnienie z General-Gouvernement zdaje się w niej torować sobie drogę do światła.

Urodzony w Berlinie wybitny malarz zwierza mi się, że według swego przekonania pochodzić musi ze Słowian mieszkających nad brzegami Odry. Nagromadzone w jego pracowni obrazy wskazują istotnie na ogromną drogę, odbytą samotnie w celu oddalenia się od germańskiej społeczności.

Trafiam także na utwory literackie, w których kompleks polski i towarzyszące mu zjawiska kompensacyjne znajdują jaskrawy i przemyślany wyraz. Elisabet Langgässer w opowiadaniu pt. *Wiedergeburt* dostarcza uderzającej próby opanowania tego kompleksu. Znajdujemy tam historię kobiety, która wykrada Polaka z obozu koncentracyjnego. Każdy nowy etap jej czynu jest krokiem do jej własnego odrodzenia moralnego. Jakkolwiek pisane delikatną ręką kobiety, opowiadanie toczy się tak blisko rzeczywistości, zawiera tak przejmujące świadectwo postawy chrześcijańskiej, że czytelnik nie odważa się przykładać doń kryteriów artystycznych.

Uwaga ta odnosi się zresztą do znacznej części dzisiejszej literatury niemieckiej.

Rozrachunek z przeszłością odbywa się nie tylko w formie przewzięcia kompleksów i urazów psychicznych, ale toczy się też w dziedzinie myśli niemieckiej. Niespodziana w swych rozmiarach klęska pozostawiła otwarte wciąż pytania: Jak doszło do katastrofy? Od jak dawna Historia Niemiec toczy się po równi pochyłej, na której końcu znajdował się rozgrom i utrata niepodległości? Kiedy popełniono rozstrzygające błędy?

Pytania te zastały Niemcy nieprzygotowane. W okresie wielkich badań historycznych wszyscy ulegali wrażeniu, że od Fryderyka II potęga wojskowa, polityczna i gospodarcza Niemiec wzrastała nieustannie. *Alles was wirklich ist, ist vernünftig*, twierdził Hegel, historia Niemiec nie nastroczała zatem żadnych zagadek. Każde pokolenie zdawało się wywiązywać poprawnie z zadań prowadzących do imponującego wyniku ogólnego. Nawet powracającej co pewien czas psychozie okrażenia nie dawano wiary, uważając ją nie bez racji za wytwór propagandy.

Nic prawie nie pozostało z tego tradycyjnego obrazu przeszłości. Jest dziś jasne, że rozstrzygające błędy popełnione zostały w Prusach, na wschodniej granicy, gdzie też i klęska przybrała największe rozmiary. W świetle wypadków ostatnich lat pruska polityka ekspansji terytorialnej miała w sobie coś z wiejskiego machiawelizmu zapatrzonego w ziemię i ślepego na wszystkie inne elementy polityki. Od XVIII wieku partnerem Prus — jako aliant lub wróg — była Rosja. Po każdym przesunięciu granic Prusy dostawały kawał gruntu pod kartofle, w ręce Rosji zaś wpadały olbrzymie obszary, zamieszkujące je ludy, brzegi mórz, zdobycze otwierające przepastne perspektywy na kontynenty i oceany. Utrzymanie tych zdobyczy wymagało od Rosji największego skoncentrowania władzy politycznej i siły wojskowej, zamykając jej drogę do tentowanej kilka razy ewolucji liberalnej w stylu zachodnim. Proporcja sił między partnerami ulegała ciągłym przesunięciom na niekorzyść Niemiec.

Wziąwszy udział w rozbudowie potęgi politycznej i militarnej Rosji, Niemcy wpadły już dawno w zależność od niej, utraciły swobodę ruchów i zmuszone były szukać aliansu z białym czy czerwonym caratem za cenę konfliktu ze wszystkimi siłami o dążeniach przeciwnych. Upadek Mikołaja II kosztował Niemcy utratę wszystkich wpływów politycznych na wschód od polskiej granicy. Znikła potężna kamarylla niemiecka na dworze petersburskim, znikły uniwersytety niemieckie w Dorpacie i Czerniowcach. Następnym konfliktem z Rosją odebrał Niemcom wszystkie terytoria zdobyte na wschodniej granicy od wieków średnich i zakoń-

czył się okupacją sowiecką nie tylko Berlina, ale także Drezna i Wejmaru.

Co pewien czas podnosiły się nieśmiałe głosy, ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Przytoczymy tu chociażby refleksje Heinego z 1831: „Kiedy piszę te słowa, wydaje mi się, że krew z Warszawy bryzga aż na mój papier, i że słyszę wiwaty berlińskich oficerów i dyplomatów. Czy nie za wcześnie wiwatuja? Nie wiem tego, ale i mnie i nas wszystkich ogarnia strach przed rosyjskim wilkiem. Obawiam się, że niemieckie Czerwone Kapturki zapoznają się niebawem z długimi rękami i wielką paszczą rosyjskiej babci”. Nieśmiałe głosy krytyki rozwiewały się wobec pełnych autorytetu opinii generałów i profesorów.

Okoliczności nie sprzyjają obecnie metodycznej pracy historyków, myśl jednak zdaje się wszędzie pracować nad rewizją obrazu przeszłości. Myśl krytyczna jest często pełna goryczy i szybka w osądzie wczorajszych bogów. Spośród rewizji historycznych, jakie miałem sposobność czytać w Niemczech, najbardziej zrównoważony i subtelny wydał mi się szkic, jaki Otto Heinrich von der Gablentz ogłosił w 1946 w *Deutsche Rundschau* pt. *Die Tragik des Preussentums*. Zwłaszcza dla polskiego czytelnika ten rachunek pruskiego sumienia — od Krzyżaków i Fryderyka II do zamachu 20 lipca 1944 — jest szczególnie interesującą i pouczającą lekturą. Według Gablentza Prusy były tworem pośrednim germańsko-słowiańskim, którego kierownicy nie rozpoznali i docenili sił narastających na jego wschodniej granicy. Seria zbieżności i podobieństw kończy się apologią bohaterskiej, chociażby beznadziejnej ofiary, jaką dla części szlachty pruskiej był spisek z 20 lipca 1944.

Cały ten, w znacznej mierze niewidzialny proces przewycięzania przeszłości niesiony jest — jak wszystkie tego rodzaju zjawiska — przez pewną tylko, zapewne mniejszą część społeczeństwa niemieckiego. Co można sądzić o jej liczebności?

Przed obróceniem w niewolę ludności krajów okupowanych, Hitler i jego towarzysze zaczęli deptać obu nogami własnych poddanych. Liczba ofiar ich rządów wewnątrz kraju nie jest dokładnie znana, lecz wydaje się niemała; obejmuje osoby należące do wszystkich grup społecznych, od robotników i chłopów do najwyższej arystokracji. Więźniowie obozów koncentracyjnych, którzy dożyli końca wojny, tworzą związek zapewniający swym członkom różne przywileje u władz okupacyjnych.

Prócz tych dyplomowanych niejako ofiar znajduje się w Niemczech liczniejsza jeszcze kategoria osób, które w ten lub inny sposób były przez władze Trzeciej Rzeszy prześladowane, upoko-

rzane, krępowane, pozbawiane praw czy korzyści materialnych, żyjące w długotrwałym strachu i zmuszone do zabezpieczania się od jeszcze gorszych ewentualności. Jest wreszcie bardziej może interesująca kategoria osób, które praktyki narodowo-socjalistyczne obraziły w ich uczuciach moralnych i religijnych.

Ilu jest tych dawnych wrogów narodowego socjalizmu? Trudno to stwierdzić. Jeżeli niektórzy chwalaą się dziś doznanyimi prześladowaniami, nikt chętnie nie przyznaje się do upokorzeń i strachu. Z rozmów i kontaktów osobistych wyniosłem wrażenie, że liczba w ten czy inny sposób dotkniętych i obrażonych przez rządy hitlerowskie jest znaczna i w każdym razie stanowi poważną część ludności.

Takie wrażenia posiadają dla obserwatora wartość tylko wtedy, kiedy może je porównać z wrażeniami z okresu poprzedniego. Porównuję więc je z tym, co widziałem i słyszałem w 1936, podczas krótkiego pobytu w Berlinie, gdzie miałem jeszcze wielu znajomych z czasów Republiki Wejmarskiej. Wszyscy czuli już wówczas zbliżającą się wojnę, i ilość zwolenników Hitlera musiała być zmniejszyć się bardzo od wyborów z 1933. W samym Berlinie liczba ich wydawała się bardzo niewielka. Ówczesne nastroje wewnątrz Niemiec znane były zresztą zagranicą, ale zamiast pobudzić mocarstwa do energicznego działania, usypiały je fałszywymi pozorami bezpieczeństwa. To, co powszechnie wiadomo o Trzeciej Rzeszy, każe przypuszczać, że poza kołami partyjnymi, armią i grupą fruktyfikatorów doraźnych, *régime* hitlerowski — zwłaszcza w fazie końcowej — dawał mało powodów do szczerego entuzjazmu. Od chwili wybuchu wojny spoistość wewnętrzną Niemiec utrzymywał uzasadniony strach przed skutkami przegranej i żywiołową nienawiścią podeptanych ludów sąsiednich.

Istnieje więc w Niemczech liczna kategoria osób, które na podstawie doświadczeń osobistych ustosunkowały się już dawniej wrogo do narodowego socjalizmu, dziś zaś muszą życzyć sobie przewyciężenia tego rodzaju prądów i obawiać się ich powrotu. Do nich należy dodać wszystkich tych, którzy wyciągnęli wnioski z klęski, jaką przyniósł Niemcom nacjonalizm totalitarny.

Zagadnienie odhitleryzowania Niemiec nie polega dziś na zapobieżeniu powrotowi do władzy partii narodowo-socjalistycznej. Klęska zmyła ją całkowicie z powierzchni życia. Pozostali w ukryciu jej ostatni zwolennicy nie stanowią żadnej zorganizowanej siły i nie mają do powiedzenia nic, co by mogło pociągnąć za sobą ludność nauczoną 12-tu latami doświadczeń. Przypuszczam, że nawet zjednoczone wysiłki wszystkich mocarstw okupacyjnych nie potrafiłyby narzucić Niemcom ponownie rządów nazistowskich. Chodzi więc właściwie o to, czy możliwy jest w Niemczech powrót psy-

chozy obłązonego miasta z jego uylitarną moralnością, z której mógłby narodzić się jakiś nowy nacjonalizm totalitarny.

Jeden z moich niemieckich znajomych zauważył, że obecny bezpaństwowy stan kraju nie pozwala na wytworzenie się w nim żadnego ustroju totalitarnego.

Nikt wszakże nie potrafi przewidzieć, czy odbywający się dziś wewnątrz Niemiec proces powolnego przewyciężenia resztek fanatycznego nacjonalizmu natrafi na pomyślne warunki. Nad Europą wisi groźba nowej totalnej wojny i mobilizacji.

W ciągu moich podróży do Niemiec powojennych wszędzie znajdowałem rozmówców chętnie i swobodnie dyskutujących te drażliwe tematy. Wydaje mi się, że każdy cudzoziemiec biorący na serio sprawy niemieckie zrobiłby podobne doświadczenie.

Niemcy i okupanci

Niemcy Zachodnie podzielone są na trzy zony. Ilekroć jednak Niemcy myślą o najważniejszych dla nich zagadnieniach — o wojnie i pokoju ze Związkiem Sowieckim, o groźbie sowieckiej okupacji, o remilitaryzacji kraju i innych ważniejszych zmianach obecnego *régime'u* okupacyjnego — wzrok ich zwraca się zawsze ku Amerykanom, w których ręku znajdują się wszystkie zasadnicze decyzje.

Niemcom — jak i innym mieszkańcom starego świata — amerykańska *vacillation policy* wydaje się nieobliczalna i zawierająca wiele sprzecznych możliwości. W stosunku do Związku Sowieckiego możliwości te rozciągają się od jałtańskiego bratania się i podziału łupów aż do wojny atomowej włącznie. W stosunku do Niemiec wachlarz możliwości zdaje się wciąż jeszcze obejmować wszystkie odcienie leżące między planem Morgenthaua i planem Marshalla.

Jasne jest tylko to, że dla różnych przyczyn Amerykanie nie czują się w Europie związani z żadnym systemem politycznym ani rodzajem cywilizacji i usiłują w miarę możności zachować tradycyjną *aloofness*. Od izolacjonizmu poprzedniego okresu powojennego ich obecna polityka różni się głównie przez to, że tym razem Stany Zjednoczone posiadają potężnego antagonistę, nie zostawiającego im ani chwili spokoju i zmuszającego je do coraz nowych posunięć defensywnych.

Dla tej przyczyny, w przypadłej jej z podziału połowie globu, Ameryka nie posiada żadnych niemal trwałych wpływów, mimo ogromu jej możliwości, ofiar i świadczeń. Podobnie jak jej własna

polityka, jej wpływy w Europie są koniunkturalne, zależne od polityki Waszyngtonu i w konsekwencji równie niepewne.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wszystkie te okoliczności stawiają armię amerykańską w Niemczech w trudnej sytuacji, zmuszając ją do szukania na własną rękę dróg najmniejszego oporu.

Kiedy amerykańscy mężowie stanu namyślali się, robili wybory, brali urlopy i rozwiązywali krzyżówki, mijały lata i bieg ich stwarzał nowe fakty i sytuacje. Nikt wprawdzie nie wie, jaką rolę Waszyngton wyznaczy w swej polityce Niemcom Zachodnim, w oczekiwaniu decyzji armia amerykańska w Niemczech musiała żywić ludność i rozwiązywać każdego dnia bieżące zagadnienia powstałe z okupacji kraju.

W ciągu trzech lat ostatnich *régime* okupacyjny uległ głębokim przemianom. Na ulicach miast nie widać więcej żołnierzy i policji wojskowej zatrzymującej przechodniów i przetrząsającej kieszenie. Miejsce jej zajęli wyszkoleni policjanci niemieccy, usiłujący być równie uprzejmi, jak poprzednicy ich byli brutalni. Apropozycja kraju jest zadowolająca, system racjonowania elastyczny i nie krępujący. Codzienne upokorzenia ludności przez władze okupacyjne należą do przeszłości. Tu i ówdzie widać zaledwie ich ślady. W Stuttgarcie stoją jeszcze na ulicach budki tramwajowe z napisem „tylko dla żołnierzy amerykańskich”, ale żołnierzy tych więcej na ulicach nie widać. *Régime* okupacyjny przybrał charakter *occupation invisible*.

Nieco więcej żołnierzy widać w porze wieczorowej dokoła instytucji rozrywkowych. Każdemu z nich towarzyszy jego niemiecka Gretchen. Niemcy posiadają jednak tak wielką nadwyżkę ludności żeńskiej, że „problem kobiecy” zdaje się nie wywoływać żadnych konfliktów.

Bardziej drażniąca, być może, jest sprawa papierosów. W ubóstwie i niepewności jutra trudno powstrzymać się od palenia. Żołnierze okupacyjni kupują w swych składach papierosy po bardzo niższej cenie. Niemiec może znaleźć (te same) papierosy tylko na czarnym rynku, w ograniczonej ilości, po cenie 10-krotnie wyższej. Amerykanie żywią Niemców, zamierzają zrobić z nich towarzyszy broni, ale tytoń mają tylko dla siebie. Z tego szczegółu widać, jak nawet najlepiej zorganizowana okupacja stwarza po drodze mnóstwo drażniących imponderabiliów.

Główne punkty tarcia między Niemcami i władzami okupacyjnymi przeniosły się do biur administracji niemieckiej, kontrolowanej szczegółowo przez wojskowych amerykańskich. Główną przyczyną powstających tam kontrowersji zdaje się być ogromna różnica pojęć o zadaniach administracji publicznej. Cała np. istniejąca w Europie od wieków średnich i nawet cesarstwa rzymskiego

organizacja i reglamentacja pracy przez cechy, korporacje i inne organizacje zawodowe jest nieznaną Nowemu Światu, który — być może nie bez racji — uważa ją za istotne ograniczenie wolności osobistej. Gdyby przed Niemcami stała otwarta perspektywa wejścia do jakiejś wspólnej organizacji obejmującej stary i nowy świat lub chociażby możliwości emigrowania do Ameryki jak w XIX wieku, ludność niemiecka przyjęłaby zapewne bez oporu pojęcia amerykańskie. W obecnym stanie rzeczy na uwagi i życzenia amerykańskie skłonna jest raczej patrzeć jak na fanaberie okupantów.

Gazety, periodyki i książki drukowane były dotąd na podstawie licencji władz okupacyjnych. Krytyka okupantów jest teoretycznie dozwolona, lecz prasa jest pod tym względem bardzo powściągliwa. Redaktor jednego z większych pism streścił mi swą sytuację w sposób następujący:

— Jestem z głębokiego przekonania zwolennikiem najściślej-
szej współpracy z Amerykanami. Praktyka wykazała, że takie stanowisko źle wpływa na debit pisma. Dlatego muszę co pewien czas poruszać różne drażniące tematy.

W tych okolicznościach trudno osądzić, czy prasa może wyrażać czyjąkolwiek opinię. Jej lojalność i nawet jej opozycyjność są tylko tworem cenzury i fałszywej sytuacji między ludnością i władzami okupacyjnymi. W zwierciadle prasy okupanci mogą widzieć tak lub inaczej zdeformowane, ale zawsze tylko własne oblicze. Życie stronnictw politycznych, istniejących również na podstawie licencji, nie dostarcza też autentycznego obrazu nastrojów, myśli i nadziei ludności. Czy te ostatnie dadzą się w ogóle ująć w jakiś jasny obraz? Po powolnym upadku Republiki Wejmarskiej, po dwunastu latach Trzeciej Rzeszy i blisko czterech latach okupacji, ludność niemiecka jest w przeważnej części politycznie bierna i przez to mało obliczalna.

Okupanci widzą więc przed sobą kilkadziesiąt milionów ludności pracowitej, uzdolnionej, inteligentnej, posłusznej, lecz trwającej w wyczekującym milczeniu. W ich eksponowanej sytuacji, władze okupacyjne badają zapewne uważnie sypki i niepewny grunt, na którym stoją. Wyniki badań można częściowo czytać w *Die Neue Zeitung*, organie amerykańskim dla czytelników niemieckich. Pismo to posiada rubrykę przypominającą opracowania angielskiej *Mass Observation* i zawierającą w luźnej formie fragmenty rozmów słyszanych na kolejach, w poczekalniach, na ulicach, w kawiarniach itd. Oto kilka przykładów podsłuchanych rozmów:

— „To czego nam najbardziej brak, to kilku dywizji SS-manów. Ci już potrafiliby na swój sposób uwolnić nas od tej świni

skiej bandy". Zdanie to wyszło z ust byłego oficera, który w niewoli amerykańskiej przeszedł w Fort Eustice kurs „przeszkolenia demokratycznego” i w 1946 powrócił do kraju. „Bajali mi tam o swojej demokracji”, dodaje. „Wówczas milczałem, aby jak najprędzej wrócić do kraju. Teraz im pokażę, co myślę o ich całej zafajdanej demokracji”.

— „Hitler kradł i grabił wszystko, co mu wpadło w ręce. Demokracje nie są ani o włos lepsze”, powiada inny rozmówca kolejowy.

Dwaj żołnierze amerykańscy w stanie nietrzeźwym wjechali automobilem na latarnię. Z otaczającego ich tłumu pada komentarz: „Poczekajcie aż przyjdą Rosjanie i wszystkich takich wywieszają”.

Z listu do redakcji kronikarz wyjmuje taki passus: „Do niedawna starałem się szczerze być demokratą w waszym stylu. Po trzech latach okupacji muszę stwierdzić, że nasz ostatni rząd miał przecież rację. Wyście dali Stalinowi władzę, której mu nikt teraz nie potrafi odebrać”.

Czytając, że Hjalmar Schacht został zwolniony z więzienia i napisał tam książkę, na którą znalazł 300.000 subskrybentów, bawarski chłop powiada: „I ja byłem przez 3 lata internowany. Mnie się też zdawało, że Hitler będzie dla nas odpowiednim człowiekiem. Za tę omyłkę musiałem drogo zapłacić. Znacznie drożej niż Schacht! Czy to jest sprawiedliwe?”.

Inny *simplex servus Dei* powiada głośno na ulicy: „Amerykanie, Anglicy i Francuzi są takimi samymi oszustami jak bolszewicy, tylko robią to trochę delikatniej. Teraz jesteśmy wyleczeni z wszystkich orientacji politycznych”.

Takie i podobne, zawsze niezadowolone, zrzędne, niecierpliwie lub zrezygnowane wypowiedzi ciągną się przez całe szpalty amerykańskiej gazety. Podobne rozmowy notuje zresztą nie tylko podsłuch amerykański. W tomie opowiadań H. J. Soehringa, opisującego z przerażającym realizmem różne środowiska dzisiejszych Niemiec, znajduję taką scenę: Grupa osób na zburzonej stacji czeka zimą nocą w wagonie towarowym i widzi przejeżdżający pociąg dla Amerykanów, siedzących na miękkich ławkach w jasno oświetlonych wagonach.

— Dawniej, zaskrzeczał głos pełen nienawiści, siadywali tam bonzowie partyjni, teraz Amerykanie. My jesteśmy wciąż w tym samym miejscu. Dosyć, człowiecze, dosyć! Mam tego potąd! Chciałbym, aby wreszcie przyszli Rosjanie.

— Wówczas też nie będziesz jeździł D-cugiem, odezwał się ktoś z głębi wagonu.

— Wcale też nie chcę jeździć, ale wówczas tych luksusowych pociągów w ogóle nie będzie”.

Jakie wnioski wyciągnąć można z tych notatek amerykańskiego podsłuchu i obserwacji nowelisty?

Tam, gdzie istnieją parlamenty, stronnictwa i niezależna prasa, gdzie życie posiada pewną stałość i ciągłość, tam myśl polityczna przenika z góry na dół do przeważnej części potencjalnych wyborców. W kawiarniach i na ulicach słysząc echa argumentów wysuwanych przez stronnictwa i prasę. Gdzie tych warunków brak, tam myśl polityczna nie wychodzi poza nieliczne koła inteligencji. Jeżeli ludność posiada — jak w Niemczech — istotne powody do niezadowolenia, na ulicach słysząc jedynie narzekania, przekleństwa i inne nieopanowane myślą odruchy. Wyniki amerykańskiej *Mass Observation* przynoszą więc obraz, którego — przy tych założeniach — można domyśleć się nie wychodząc ze swego pokoju. Obraz ten jest jednostronny, bo uwzględnia wszystkie odruchy klnących na głos, pomija natomiast całą, najczęściej milczącą pracę myśli.

W swej trudnej i eksponowanej pozycji władze okupacyjne zdają się przeceniać odgłosy niezadowolonej ulicy. Wnioski, jakie z nich wyciągają, nie są tajemnicą, bo można je przeczytać w cytowanej już *Die Neue Zeitung*. Gazeta ta wygląda tak, jak gdyby matką jej była moskiewska *Prawda*, ojcem zaś dawny berliński *Lokal-Anzeiger*. Nie zawiera kroniki, rzadko komentuje miejscowe wypadki; nie można się zeń wiele dowiedzieć o Niemczech, jest bowiem solową partią tenora okupacyjnego. Tym więcej daje do myślenia jej ton. Jest on antysowiecki, antyfrancuski, antypolski, antyczeski, taki mniej więcej, w jaki za czasów Republiki Wejmarskiej uderzała prasa niemiecko-narodowa.

Ten niespodziany ton pisma amerykańskiego nie ogranicza się tylko do działu politycznego, ale przenika także felietony gazety. W jednym z pierwszych czytanych numerów zwróciła moją uwagę namiętna diatryba niemieckiego psychologa przeciw pesymizmowi jako postawie antyspołecznej. Artykuł ten mógłby doskonale figurować w jakimś miesięczniku narodowo-socjalistycznym lub sowieckim.

Co też myślą o tej propagandzie optymizmu i energii narodowej niemieccy czytelnicy gazety? Od znajomych dowiaduję się, że w pierwszym okresie okupacji *Die Neue Zeitung* cieszyła się ogromną poczytnością i liczyła do dwóch milionów czytelników. Wszyscy byli ciekawi czego chcą od nich Amerykanie i co mają im do powiedzenia. Pogrobowy głos Hugenberga, jaki posłyszeli z ust amerykańskich, rozczarował czytelników. Liczba ich miała spaść do 280.000. Od dłuższego czasu kierunek polityczny pisma

budził z różnych stron zastrzeżenia i w początku 1949 przypro-
wadził do kryzysu redakcyjnego. *N. Z.* ma wejść na nowe tory.

Nie trudno domyśleć się, co skłoniło władze okupacyjne do
zatrąbienia w róg niemiecko-narodowy. Mając przed sobą potężne
siły sowieckie, oddalona o tysiące kilometrów od kraju, zreduko-
wana do nieznacznych rozmiarów i w wielu najważniejszych spra-
wach pozostawiona prawdopodobnie własnej domyślności, armia
amerykańska usiłowała przede wszystkim umocnić swą własną
pozycję w kraju okupowanym, zapewniając sobie życzliwość lud-
ności. W krótkim więc czasie Amerykanie zrzucili za burtę wszyst-
kie drażniące lub uciążliwe impedimenta, jak odhitleryzowanie
i próby „wychowania politycznego” Niemiec. Jakim językiem moż-
na się z Niemcami najprędzej porozumieć i przelicytować propa-
gandę sowiecką, jeżeli nie tradycyjnym językiem niemieckiego na-
cjonalizmu? Tak zapewne rozumowali wydawcy pisma i stojące za
nimi władze okupacyjne.

W latach, które spędziłem w Niemczech w czasach Republiki
Wejmarskiej, spotykałem tam wielu Anglików i Amerykanów.
Już wówczas zastanawiały mnie ich koneksje i sympatie niemiec-
kie. Bez względu na to czym przyjezdni Anglosasi byli we własnym
kraju, nawet gdy wychodzili ze środowisk lewicowych i socja-
listycznych, jakaś irracjonalna wspólnota łączyła ich od razu z uczu-
ciową i niecierpliwą, a jednocześnie oportunistyczną formacją du-
chową niemieckich nacjonalistów. Stąd zapewne pochodziła nie-
jasna postawa Anglików wobec narodowego-socjalizmu, która
przyprowadziła do upadku Europy.

Irracjonalne sympatie i idiosynkrazje, grające wybitną rolę
w ich sądach, sprawiają, że Anglicy i Amerykanie nie znali nigdy
dobrze spraw niemieckich i — wbrew pozorom — w żadnym
okresie czasu nie posiadali w Niemczech trwałych i politycznie
użytecznych stosunków, nawet wśród sympatycznych im nacjona-
listów. Prowadząc na przestrzeni długich lat politykę germano-
filską kosztem innych państw kontynentalnych, Anglia nie zdo-
była w Niemczech żadnych wpływów i nie potrafiła nic zrobić dla
odwrócenia konfliktów, które dwukrotnie zaprowadziły ją na
brzeg przepaści.

W 1925 zapytałem jednego z berlińskich znajomych, w jaki
sposób człowiek tak głupi i zły jak Hugenberg może odgrywać
wybitną rolę w Republice Wejmarskiej. Mój znajomy zastanawiał
się przez chwilę, jak gdyby także olśniony dziwnością tego zja-
wiska.

— Z Hugenbergiem musimy się liczyć ze względu na Angli-
ków. Dla nieznanych nikomu przyczyn Anglicy darzą go najwięk-
szym zaufaniem. Hugenberg jest niezmiernie popularny w City

i może tam zawsze pożyczyć pieniędzy. Niemcy są w tej chwili zbyt ubogie, aby nawet socjaldemokraci mogli nie liczyć się z Hugenbergiem.

Po 25-ciu latach rozmowa ta nie utraciła nic ze swej aktualności. Od moich nowych znajomych niemieckich słyszę dziś bardzo podobne refleksje. Słuchając ich trudno oprzeć się uczuciu smutku i zniechęcenia. Dwukrotnie, kosztem olbrzymich ofiar, mocarstwa anglosaskie łamały siły zbrojne niemieckiego nacjonalizmu, aby potem patronować jego ponownemu odrodzeniu. Wydaje się mało prawdopodobne, aby wpływy, jakie posiadały tam Stany Zjednoczone i Anglia z tytułu okupacji, mogły przyczynić się do uzdrowienia Niemiec z nacjonalizmu zagrażającego pozostałej Europie oraz do odrodzenia moralnego i kulturalnego kraju. Mocarstwa te walczą w tej chwili o władzę nad światem i posiadanie kluczowej pozycji Niemiec — wszystko jedno jakich, chociażby hitlerowskich — wydaje się im sprawą najpilniejszą. Niemcy, którzy chcieliby oderwać się od ponurej przeszłości i wejść na jakieś nowe drogi, zdani są przede wszystkim na własne siły.

Jeden mały kraj, należący również do cywilizacji germańskiej, posiada obecnie w Niemczech wielką pozycję moralną i mógłby wywrzeć pewien wpływ na ich ewolucję wewnętrzną. Jest to Szwajcaria, będąca jedynym sąsiadem, z którym Niemcy nie prowadziły wojen i nie mają rozrachunków okupacyjnych. Pozycję swą Szwajcaria wzmocniła w ostatnich latach przez swą poprawną postawę wobec obywateli niemieckich posiadających należności w Szwajcarii i przez swą akcję pomocy, opierającą się częściowo na inicjatywie prywatnej.

Przyjeżdżając do Niemiec po dłuższym pobycie w Szwajcarii, byłem przez wszystkich, nawet przypadkowych rozmówców zasypany pytaniami na ten temat. Bardzo wielu Niemców zna Szwajcarię z okresu przedwojennego, przeważnie powierzchownie, jako teren turystyczny. Z zadawanych mi pytań wnoszę, że obecne zainteresowania niemieckie idą w innym kierunku. Najczęściej pytano mnie o instytucje polityczne Szwajcarii, o jej federalizm, o funkcjonowanie jej konserwatywnej i tradycjonalistycznej demokracji. Wzory amerykańskie i angielskie wydają się niepraktyczne dla Niemiec rozparcelowanych znów na dawne *Länder*. Wspólność cywilizacji i stałość instytucji szwajcarskich, które wytrzymały próbę czasu i zamętu pojęć ostatniej doby, sprawiły, że wzory helweckie wydają się Niemcom znacznie bliższe.

Robotnicy pytali mnie o poziom zarobków, o sytuację gospodarczą i społeczną Szwajcarii. Zwłaszcza pytania tych ostatnich uświadomiły mi doniosłą rolę, jaką stara demokracja alpejska mogłaby odegrać w ewolucji wewnętrznej świata germańskiego.

Do tego jednak, aby Szwajcaria mogła się stać dla Niemiec jednym z ośrodków ich ruchu politycznego i kulturalnego, brak jej kilku istotnych warunków, a mianowicie dostępu do zamkniętych wciąż Niemiec, przede wszystkim zaś powołania. Otoczona w ciągu długich lat przez kraje przechodzące najgłębszy kryzys polityczny i moralny, konfederacja helwecka zamknęła się w sobie, odkryła swe lokalne tradycje, otoczyła się nieprzepuszczalnymi granicami i pozostaje jednym z najbardziej izolowanych krajów naszego kontynentu. Wypadki i prądy zewnętrzne zdają się nie grać żadnej roli w życiu własnym Szwajcarii, i zadania przechodzące wewnętrzne potrzeby kraju nie interesują jej obywateli. Obok odmienności zainteresowań, różnica poziomu zarobków i stopy życiowej wytworzyła między Szwajcarią i Niemcami barierę jeszcze trudniejszą do przeskoczenia od wiz, permitów i szykan dewizowych.

II

Ruch wydawniczy i literacki

W ciągu długich okresów czasu Niemcy były największym producentem książki w Europie. Wytwarzając w kraju sprzęt drukarski, papier i posiadając chłonny rynek wewnętrzny, Niemcy stworzyły wielki przemysł wydawniczy i sprawny aparat handlowo-księgarski. W różnych czasach drukowano w Niemczech wiele książek w językach obcych: w polskim (Brockhaus), angielskim (Tauchnitz) i rosyjskim (1920-1925). Różne działy produkcji książkowej niemieckiej — jak publikacje naukowe, teksty greckie, łacińskie i zbiorowe wydania klasyków niemieckich — posiadały znaczny zbyt za granicą. Inne kraje, posiadające ludność mówiącą po niemiecku, pokrywały w Niemczech większą część swego zapotrzebowania na książki. Warto jest przypomnieć sobie tę niedawną przeszłość, aby móc lepiej ocenić sytuację obecną i losy książki niemieckiej w ciągu ostatnich 15 lat.

Zagranicą książka niemiecka jest obecnie towarem niezmiernie rzadkim i przez nielicznych nabywców pilnie poszukiwanym. Brak jej na oficjalnym rynku księgarskim, nawet w Szwajcarii, mimo wspólnego języka. Przyczyna tego leży częściowo w ograniczeniach ciążyących wciąż na handlu niemieckim. Księgarze obcy muszą płacić za książkę niemiecką markami po kursie urzędowym. Cena jednego tomu wynosi w tych warunkach kilka dolarów. Nawet numer niemieckiego miesięcznika, który wewnątrz kraju kosztuje 2 marki, równe cenie 5 papierosów, kosztuje za granicą

bez mała dolara. Za numer czasopisma naukowego jeden z moich znajomych zapłacił niedawno 22 dolary. Po tej cenie książki i czasopisma niemieckie nie znajdują nabywców nawet w Szwajcarii, gdzie książki miejscowe w języku niemieckim kosztują też 3 do 7 dolarów za tom.

Koszt druku książki niemieckiej w Szwecji czy w Szwajcarii pozostaje bardzo wysoki ze względu na fakt, że książki wydane za granicą nie mają dotąd normalnego debitu w Niemczech okupowanych i nakłady ich — obliczone dla czytelników poza obszarem niemieckim — są niewielkie. Gdziekolwiek drukowana, w Niemczech czy za granicą, książka niemiecka nie jest dziś artykułem eksportowym, mogącym interesować księgarzy.

Na granicach władze celne nie stawiają przeszkód przewozowi książek w niewielkich ilościach. Dzięki temu — jak niegdyś w XVIII wieku — ciekawsze książki niemieckie są przywożone w kieszeniach podróżnych i czytane przez przyjaciół tych ostatnich. Liczba podróżujących do Niemiec jest niewielka, osoby zaś interesujące się książkami stanowią wśród nich znikomą grupę. Można by niemal policzyć je na palcach. Mimo to, po rozluźnieniu przepisów paszportowych, w Szwajcarii np. powstał niewielki rynek nieoficjalny, na którym nowe książki z Niemiec sprzedawane są antykwarycznie.

Drugą ważniejszą jeszcze przyczyną braku książki niemieckiej za granicą jest jej dotkliwy brak wewnątrz kraju. Głód książki w Niemczech jest zjawiskiem bezprzykładnym w Europie, nasilającym się wciąż od 1933. Podczas pobytu w Berlinie w 1936, chciałem tam kupić kilka nowych książek z zakresu Gestaltpsychologie. Na próżno szukałem ich w kilku wielkich księgarniach. Dopiero w Universitätsbuchhandlung na Dorotheenstrasse znajomy księgarz wyjaśnił mi ówczesną sytuację. Żaden szanujący się czytelnik nie kupował książek wydanych po pożarze Reichstagu. Książek naukowych drukowanych po 1933 w ogóle nie trzymano w księgarniach berlińskich. Jedyne istotne obroty istniały tylko w handlu antykwarskim, i ceny książek starych osiągnęły poziom nigdy przedtem nie notowany.

Po 1933 roku znaczna część autorów niemieckich i proporcjonalnie mniejsza, lecz ważna grupa czytelników opuściła Niemcy i wyszła na emigrację. Najciekawsze książki niemieckie tego okresu ukazały się drukiem w Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Czechosłowacji. Za przywóz ich do Trzeciej Rzeszy groziły drakońskie kary. Książki te do dziś dnia na próżno szukają drogi do Niemiec.

Od wybuchu wojny produkcja książek wewnątrz Rzeszy malała, nakłady stawały się coraz mniejsze. Bibliografia niemiecka

rozpadła się na katalog A i katalog B. Ten ostatni zawierał tytuły książek wydawanych w subskrypcji, dla ograniczonej liczby nabywców. W 1933 katalog B przerósł swego chudego brata A. Wreszcie ogromny *Bombenteppich* spadł w Lipsku na dzielnicę wydawców, zapalając giełdę książek i znaczną część składów wydawniczych. Od tego dnia ustała wysyłka książki niemieckiej za granicę i znalezienie jej wewnątrz kraju zaczęło nastroczać coraz większe trudności.

Po upadku Trzeciej Rzeszy i okupacji kraju, książek przez pewien czas wcale nie drukowano. Istniejące jeszcze zapasy papieru władze okupacyjne przydzielały nielicznym gazetom. Druk książek wznowiony został dopiero w 1946. Z powodu trwającego wciąż braku papieru władze okupacyjne nie pozwalały drukować więcej niż 10.000 egzemplarzy jednej książki. Zakaz ten trwał do końca 1948. Cała np. literatura dramatyczna tego okresu istnieje dotąd tylko w kopiach odbitych na powielaczu, w kilkuset egzemplarzach.

Liczba książek w posiadaniu prywatnym spadła w Niemczech zapewne o połowę, jeżeli nie więcej. Podczas bombardowań spłonęło 40-50 % nieruchomości miejskich. Zważywszy, że pożarom uległy w pierwszym rzędzie dzielnice zamożne, najbogatsze w księgozbiory prywatne, można stąd wnosić, że większa część tych ostatnich uległa zniszczeniu.

Biblioteki publiczne, w porę ewakuowane, poniosły zapewne mniejsze straty. Większość ich pozostaje nadal zamknięta, bo dawne pomieszczenia ich leżą jeszcze w gruzach.

Nowemu ruchowi wydawniczemu brakło zrazu podstaw finansowych wobec nieustalonej wartości pieniądza. Wynikające stąd trudności wydawcy mogli pokonać tylko dzięki ogromnej chłonności rynku. Każda nowa książka zostawała po kilku tygodniach lub nawet dniach całkowicie wyprzedana.

Powyższe warunki zmieniły zupełnie tryb handlu książką i nawet sam wygląd zewnętrzny księgarni niemieckiej. Lipsk, dawna centrala handlu księgarskiego z jej zrujnowanymi składami, znalazł się w strefie sowieckiej. Aby wyprzedzić 10.000 przepisowych egzemplarzy książki, wydawca nie musiał szukać daleko nabywców ani zastanawiać się nad obsłużeniem całego rynku krajowego. Na miejscu znajdował nabywców wykupujących od razu cały nakład. Tylko nieliczne egzemplarze trafiały do innych miast niemieckich. Księgarzom nie są potrzebne wielkie pomieszczenia: wystarczy kilka półek i stołów. Książka nie popasa na nich długo. Księgarz ofiarowuje klientom tylko to, co ma w tej chwili na stole, nie robi żadnych poszukiwań i niczego nie obiecuje. Co najwyżej przyjmuje zamówienie na książki mające się ukazać w najbliższych dniach,

ale i to robi tylko przez uprzejmość, mając pewność, że nową książkę wyprzedzi też w ciągu kilku dni.

Przez dłuższy czas wydawcy i księgarze mogli nie liczyć się niemal wcale z gustami czytającej publiczności. Jeżeli nie widać aby wydawcy korzystali w jakiś uderzający sposób z tej wolności, wynika to zapewne stąd, że uważali tę sytuację za przejściową, i że wyobraźnia nie podsuwała im wzorów odbiegających daleko od ustalonych tradycji.

Przy takim stanie rynku księgarskiego trudno wyrobić sobie jasne pojęcie o całości produkcji książkowej w ciągu ostatnich trzech lat. Nawet osoby zajmujące się zawodowo nową książką — krytycy, pisarze, wydawcy — posiadają najczęściej tylko książki, które ukazały się w ich ośrodku wydawniczym. Zapoznanie się z literaturą innych ośrodków nastrocza nieraz wiele trudności, wymaga podróży i stosunków. Podczas pobytu w Niemczech mogłem przekonać się, że wiele książek nowych znanych jest tam głównie ze słyszenia.

Opisane wyżej warunki rynku księgarskiego uległy zmianie dopiero w końcu 1948. Wprowadzenie nowej monety stworzyło pewne przesłanki dla kalkulacji wydawniczej. Zmianie uległo również zachowanie się publiczności. Rynek jest nadal niezmiernie chłonny, ale nabywcy nie posiadają już pieniędzy w ilości nieograniczonej, i pojawienie się innych towarów daje im możliwość wyboru. Władze okupacyjne zniosły zakaz drukowania więcej niż 10.000 egzemplarzy jednej książki. Z drugiej jednak strony wydawcy zmuszeni są do kupowania papieru na wolnym rynku. Aby sprostać wzrastającym kosztom druku, wydawcy dążą do powiększenia nakładów i poszukują nadających się do tego celu rękopisów.

Pojawienie się tych tradycyjnych elementów kalkulacji zmusza wydawców do brania w rachubę także gustów czytelnika. Czytelnik stał się znów zagadnieniem aktualnym.



Gust nabywców książek skryształizował się w Niemczech powojennych szybko i dość jednostronnie.

W gabinecie jednego z wielkich wydawców słyszałem następujące zdanie: „Wszyscy, którzy znaleźli jakieś, chociażby najskromniejsze mieszkanie i najniezbędniejsze meble, mają teraz jedno życzenie: mieć znów te same książki, które utracili podczas pożaru”.

Sądząc z prospektów książek, mających się ukazać w 1948-

1949, zdanie to wydaje się być gwiazdą przewodnią całego ruchu wydawniczego.

Jakie jednak książki posiadali Niemcy przed wielkim pożarem? Według mojej pamięci, w bibliotekach ich — obok Schillera i Goethego — musiało być nie mało powieści kryminalnych, żółtych Ullstein-Bücher, długich romansów tłumaczonych z angielskiego i innych druków określanых jako *Lesestoff*. Czy czytelnik dzisiejszy tęskni i do tej literatury? Wydawcy zdają się być innego zdania, w każdym zaś razie wykonanie programu odtworzenia zniszczonych bibliotek rozpoczęli od innej strony.

Jako zjawisko nowe uderzają mnie w tym programie klasycy w wydaniach dwujęzycznych. W okresie rewolucji i wojen napoleońskich, kiedy młodzież nie miała czasu na gruntowną naukę greki i łaciny, paryski wydawca Panckoucke zaczął wydawać klasyczne teksty z dosłownym tłumaczeniem *en regard*. Ten typ książki utrzymał się do naszych czasów w Collection Budé i w Loeb's Classical Library. Przed wojną Niemcy posiadali niewiele takich wydań. W małych nakładach zaczął je wydawać monachijski wydawca Ernst Heimeran. Jego prospekt na 1948-1949 zapowiada dwujęzyczne wydanie Iliady w cenie 20 marek, Orestei Ajschylosa, Petroniusza, Plauta, Bukolik i Georgik Wirgiliusza. Na sezon następny Heimeran zapowiada Propertiusa, Owidiusza, Rutiliusa Namatianusa, Alkaiosa, Sallustiusa. Inni wydawcy rzucili na rynek dwujęzyczne wydania Racine'a, Baudelaire'a, Mallarmé'ego...

Ponowne wydanie klasyków niemieckich wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc tegorocznego programu. W drugiej połowie XIX wieku wydawcy niemieccy zasypali całą Europę tanimi wydaniem swych klasyków, w tekstach prawie kompletnych i najczęściej poprawnych. Wydania te można było znaleźć w każdym szanującym się domu Europy Wschodniej. W braku stosownych warunków finansowych, Republika Wejmarska nie podtrzymała tej tradycji. Ponowne wydanie kompletnych tekstów klasyków niemieckich w łatwo dostępnych wydaniach jest zadaniem na dłuższą metę, mogącym zatrudnić całe pokolenie wydawców. Obecna chłonność rynku pozwala rzucić fundamenty przyszłego dzieła. Jeden z największych dziś wydawców niemieckich, Kurt Desch, rozpoczął druk klasyków w wyborze obejmującym zrazu główne dzieła, które następne tomy będą mogły uzupełnić. W 1949 mają ukazać się pierwsze tomy Goethego, Mörickego, Novalisa, Lessinga, Grabbego, Kleista, Hölderlina, E. T. A. Hoffmanna i Büchnera.

Nie brak zresztą wydań posiadających większe ambicje. Stary dom wydawniczy stuttgarcki, Cotta, rozpoczął druk krytycznego

wydania dzieł Hölderlina, z zasiłku rządu würtemberskiego. W frankfurckim Siegel-Verlag wyszedł piąty z kolei tom dzieł Wilhelma Humboldta, zawierający „Grenzen des Staates”, książkę dziś mało znaną, o niezwyklej aktualności.

Obok klasyków szkolnych, w tegorocznych katalogach wydawców znajdujemy też wielu autorów zaniesionych do Panteonu dopiero w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia. U Descha ukazał się znów Flaubert, Maupassant, dziennik Goncourtów w ilustrowanym wydaniu, Portret Doriana Graya itd., u Droemera w Würzburgu wyszły 4 powieści Chestertona. Z niemieckich pisarzy tego okresu niespodziany renesans przeżywa mało przed tym czytany Theodor Fontane, powieściopisarz przypominający nieco temperamentem naszego Bolesława Prusa. Fontane z pogodnym humorem maluje życie i obyczaje szlacheckich Prus końca XIX wieku, o których dziś można powiedzieć: *nec locus ubi Troia*. Dwóch wydawców naraz rozpoczęło druk jego głównych powieści.

Wszystkie te pozycje cytuję tytułem przykładu, ponieważ wzmiankowana już parcelacja Niemiec nie pozwala bez długich studiów i podróży ogarnąć całości ruchu wydawniczego. W katalogach uderza brak powieści kryminalnej i innej „lekkiej” literatury. Jediną pozycją, jaką widziałem z tego zakresu jest chyba nowa powieść dawnej austriackiej rywalki Vicky Baum, Greta von Urbanitzky.

W opisanych wyżej warunkach rynku trudno jest oczywiście dokładnie wycenić, co w tym programie wydawniczym przypada na inicjatywę wydawców, co zaś na gust czytelników. Z różnych szczegółów, zwłaszcza z ostatnich nowości literackich, można jednak wnosić, że między grupą producentów i odbiorców nie ma zasadniczej rozbieżności. W każdym razie pozostaje faktem, że w ciągu najbliższych lat czytelnicy niemieccy będą wychowywani na najlepszych wzorach klasycznych.

Taka orientacja czytelników nie jest niespodzianką. Po 15 latach awantur i skoków w nieznaną, Niemcy muszą odczuwać instynktowną potrzebę powrotu — choćby w myśli — do wartości ustalonych. Podobne zjawiska widziano przed kilkunastu laty w Związku Sowieckim, gdzie warstwa wyniesiona w górę przez rewolucję uznała za niezbędne przejęcie „spadku literackiego” po pokoleniach poprzednich.

Podobnej ewolucji gustów kazała się spodziewać także sytuacja demograficzna Niemiec. Wojna wyrwała największą lukę w pokoleniu liczącym teraz 23 do 45 lat. Ubytek czytelników w tym wieku jest zapewne największy. U starszych zrozumiała jest chęć powrotu do warunków i lektur z czasów przedhitlerowskich. Dla młodszych, wychowanych w okresie głodu książki i zabawianych

przez *Geländeübungen*, klasycy posiadają urok nowości, z którym autorom żyjącym trudno będzie rywalizować.

W dwóch moich dawnych esejach usiłowałem wykazać, że literatura o charakterze romantycznym lub „modernistycznym”, pociągającym przez urok nowości, osiąga największą aktualność w okresach dezintegracji społecznej, kruszenia się starych hierarchii i dochodzenia do władzy i posiadania nowych grup społecznych. W okresach reintegracji, ludzie nowi, wyniesieni przez przewroty, otwierają na nowo starych autorów dla nawiązania ciągłości i utrwalenia przez to nabytej sytuacji. Literatura „klasyczna” staje się wówczas znów aktualna i pociągająca.

Na przestrzeni niespełna 40 lat ludność Niemiec została kilkakrotnie przetasowana. Bardzo niewiele tylko mieszka dziś w swych dawnych domach lub posiada resztki fortuny z 1913. Całe Niemcy obecne są nowe i przez to samo dostępne dla tendencji zachowawczych i klasycyzujących. Ktokolwiek zdobył z trudem własne mieszkanie, nauczony doświadczeniem może życzyć sobie tylko utrwalenia obecnego stanu rzeczy i powrotu do warunków stałych, w których posiadanie skromnego mieszkania nie budziło zdziwienia i zazdrości. Lektura Iliady, czytanej bez przerwy przez dwa i pół tysięcy lat, daje mu poczucie wspólnoty duchowej ze wszystkimi pokoleniami poprzednimi i dostarcza kompletnego złudzenia stałości i ciągłości życia.



Na szczególną uwagę zasługują książki ilustrowane.

Ich ewolucja od początku obecnego stulecia zawiera w skrócie historię instynktu posiadania u dwóch ostatnich pokoleń. Kto widział w dawnym Frankfurcie domy pełne starych mebli, okurzanych starannie każdego dnia, wie jak instynkt ten silnie przemawiał do Niemców. W Rydze, od zamieszkałej tam rodziny niemieckiej słyszałem kiedyś, że w 1919 bolszewicy zaczęli z miasta wywozić wszystkie meble, ulica za ulicą. „Ewakuacja” doszła wreszcie do domu sąsiadującego z domem moich znajomych. „Wówczas”, powiedziała starsza kobieta, „zapaliliśmy świece, uklękliśmy wszyscy i modliliśmy się przez całą noc. Wydawało się nam, że gdy nasze meble znikną i zostaniemy wśród gołych ścian, nie będzie już dla nas żadnego ratunku, nie będziemy widzieli żadnej przyszłości, i przed nami zostanie już tylko jakiś niejasny koniec, coś w rodzaju Sądu Ostatecznego”.

Od niepamiętnych czasów istnieje tradycyjna lista przedmiotów, ku którym zwracał się instynkt posiadania: dom, otaczający go ogród, umeblowanie, stroje, wyroby rzemiosła artystycznego, dzieła sztuki, drogie kamienie. Przedmioty te wyrabiano zrazu

na własny użytek, nadając im indywidualną formę i wykończenie, będące nagrodą pracy i talentu. Dawni zdobywcy gromadzili je, jak gdyby były zapłatą trudów wojennych. Zawsze śmiano się ze skąpców gromadzących złoto i kontentujących się nie spełniającą się nigdy obietnicą posiadania.

Cywilizacja przemysłowa zrujnowała warunki niezbędne do wytwarzania i posiadania tych wszystkich przedmiotów. W milionowych miastach powstałych w XIX wieku nie ma dla nich miejsca. Jakie dzieło sztuki lub stary, piękny mebel nie zwiądłby i nie szczyrniał w mieszkaniach, w których spędziły życie dwa ostatnie pokolenia Europejczyków?

W wydanej ostatnio w Hamburgu książce pt. *Orient und Okcident* niemiecki eseista Friedrich Georg Jünger zwraca uwagę na fakt, że cywilizacje starożytne dawały swym obywatelom poczucie bogactwa i szerokich możliwości życia, gdy obecna cywilizacja przemysłowa, znacznie zasobniejsza w środki, ofiarowuje nam egzystencję ubogą, oszczędną, obracającą się w ciasnych granicach. Posiadanie pięknych przedmiotów nie leży na pewno w tych granicach.

W tymże okresie uprzemysłowienia Europy rozwój muzeów udostępnił najszerzej publiczności dostęp do dzieł sztuki ukrytych dotąd w wnętrzach pałaców. Wystawy i nowe działy muzeów pozwoliły oglądać sztukę Bliskiego i Dalekiego Wschodu, dzieła mistrzów i rzemieślników wszystkich czasów i krajów, dostarczając obecnym pokoleniom olbrzymiego materiału porównawczego. Doświadczenia te uświadamiały im naocznie mizериę i brzydotę otoczenia, w którym przebywają dziś mieszkańcy wielkich miast.

Posiadanie czegoś pięknego jest w tym otoczeniu marzeniem spychanym coraz głębiej w nastrój ponurej rezygnacji, opisywany tyle razy w literaturze naszych czasów. Jedyłą nadzieją stało się ośmieszona niegdyś skąpstwo — książeczka oszczędnościowa — lub bilet na loterię, których posiadacz mógł któregoś dnia porzucić mieszkanie i — nie biorąc zeń nic — wyjść na ulicę wolny, oczyszczony z codziennej mizerii cywilizacji przemysłowej. Co pewien czas nowa fala inflacji zmywała i tę niepewną nadzieję. Historię oszczędności europejskich można by spisać pod tytułem *la torture par esperance*.

Ze wszystkich wytworów przemysłu nowożytnego najpowszechniej ceniony jest automobil, dający możność ucieczki od wszystkich pozostałych tworów tego przemysłu, od frigidairów, radia, gramofonu, kuchni elektrycznej i maszyny do pisania. „Wyciągajcie wnioski z natury obecnej cywilizacji” — woła genewski pisarz Léon Bopp — „budujcie wozy mieszkalne i domy na kółkach”.

Mieszkając przez długie lata w takich miastach, miałem nieraz przeczucie, że — powstałe z chciwości, wyzysku i pogardy ludzi dla samych siebie — spłoną kiedyś jak Sodom i Gomora. Nikt nie będzie ich bronił od zagłady, bo dla każdego były zwierciadłem jego ubóstwa. Od dawna też nikt nie wierzył w stałość naszej obecnej cywilizacji, i jej końcowa katastrofa jest już od pół wieku tematem rozmów, studiów i nawet wierszy.

Pozbawiony swego tradycyjnego przedmiotu, instynkt posiadania przenosił się na przedmioty zastępcze, coraz bardziej fikcyjne i nierealne. W *Hermannie i Dorotei* znajduje się zastanawiający *passus*, w którym ojciec bohatera, właściciel gospody pod Żłotym Lwem, dowiaduje się, że żona oddała uchodźcom nie noszony przezeń od 15 lat szlafrok *mit indianischen Blumen*. Szlafrokowi temu gospodarz poświęca obszerną pochwałę, jak gdyby chciał przedłużyć radość posiadania, przenosząc ją choćby na cień, na wspomnienie, na legendę nie istniejącego więcej szlafroka. W przenikliwej antycypacji Goethe ukazał rozciągłość instynktu posiadania, który z przedmiotów rzeczywistych o trwałej wartości przenosił się na coraz bardziej iluzoryczne, na oglądane tylko przez nielicznych urzędników kolonie, efemeryczne gałęzie przemysłu, doktryny uniwersalne i wreszcie na czyste abstrakcje, cyfry statystyczne i rekordy, którymi prasa i radio karmiła ludność państwa nowożytnego.

Popularna w czasach hitlerowskich powieść Hansa Grimma *Volk ohne Raum* może służyć za przykład takiej degeneracji zmysłu posiadania. Grimm stara się narzucić czytelnikowi prawdziwą mistykę przestrzeni, obiecując narodowi posiadającemu kolonie jakąś niejasną metamorfozę moralną, nawet gdyby jego posiadłości kolonialne składały się z samych bagien i pustyni.

W opisanym procesie dezorientacji zmysłu posiadania książka ilustrowana zajmuje odrębne miejsce. Książki takie znano już dawniej: iluminowane, ozdobione rysunkami sławnych mistrzów, oprawne w ozdobne skóry, były nieraz arcydziełem rzemiosła artystycznego i nawet czymś więcej. Książka drukowana pozostała przez długi czas wierna tradycjom pięknego rzemiosła, razem ze zdobiącymi ją sztychami. Rozwój fotografii i powstałej z niej techniki graficznej przyniósł wreszcie obecną formę książki ilustrowanej.

Dzisiejsza książka ilustrowana — *livre d'art* — jest dziełem wysokiej techniki, wymagającej kosztownych instalacji. Mimo to zachowała coś z rzemiosła. Nie jest czystym produktem maszynowym, bo wymaga ekipy wyszkolonych i trudnych do zastąpienia robotników. Dlatego też, niezależnie od swej treści, często jest lub może być sama przez się dziełem rzemiosła artystycznego. Subs-

tancję swą książka ilustrowana czerpie nie z techniki, ale przeciwnie, z dzieł sztuki i tych wszystkich przedmiotów, które obecna cywilizacja przemysłowa wyparła z zakresu naszego posiadania. Wszystko to, czego pokolenia obecne musiały się wyrzec, wraca do nich *in effigie* w książce ilustrowanej.

W książce ilustrowanej możemy odróżnić dwa zasadnicze aspekty. Zamknięta, jest przedmiotem dyskretnym, znoszącym bez sprzeciwu sąsiedztwo kuchni elektrycznej i maszyny do pisania. Otwarta, pochłania czytelnika i odrywa go od otoczenia. Nie trzeba więc stwarzać dla niej — jak dla obrazów lub rzeźb — sprzyjającej atmosfery ani wznosić specjalnych budynków. Nie naprzykrza się nigdy, bo otwiera się tylko z inicjatywy jej posiadacza. Dzięki tym właściwościom książka ilustrowana jest jedynym przedmiotem artystycznym dostosowanym do ubogich i ciasnych mieszkań z okresu późnego kapitalizmu. Od dawna już książka ilustrowana — obok muzeów i zabytków pozostawionych *in situ* — jest jedną z głównych więzi łączących nas z poprzednim, przedmaszynowym okresem naszej cywilizacji i jednym z ważnych czynników ciągłości życia.

W Niemczech cywilizacja techniczna przeszła jeden ze swych paroksyzmów samozniszczenia, odrywając ludność nawet od niedawnej przeszłości. Sama pamięć dzisiejszych Niemców nie zdaje się sięgać daleko wstecz. „Problemy okresu przedhitlerowskiego wydają się równie odległe jak wojna trzydziestoletnia lub historia starożytna”, powiedział mi pewien pisarz monachijski. Wielu Niemców odczuwa coś w rodzaju lęku metafizycznego, widząc siebie stojących na oderwanym już od reszty i najbardziej wysuniętym ku końcowi etapie naszej cywilizacji. Nawiązanie łączności z przeszłością wydaje się w takich chwilach deską ratunku. Stąd płynie klasycyzm lektur. Jest też oczywiste, że książka ilustrowana — z racji wyżej opisanych właściwości — stała się niezmierznie poszukiwana.

Zburzenie części drukarni, brak stosownego papieru i rozproszenie wyszkolonego personelu stawiają renesansowi niemieckiej książce ilustrowanej liczne przeszkody. Mimo to książki tego typu ukazały się znów na rynku i cieszą się ogromnym powodzeniem.

Można je podzielić na kilka grup. Na pierwszym miejscu stoi klasyczny zeszyt poświęcony jednemu artyście, z krótkim tekstem i 20-40 planszami. W tej grupie uderza od razu powrót do rzeczy znanych powszechnie przed wojną i przed 1933. Leżący przede mną prospekt z Filser-Verlag zaczyna się od następujących nazwisk: Toulouse-Lautrec, Barlach, Munch, Chasseriau, Delacroix,

Holbein, Hildebrand, Francesco Guardi. W katalogu Descha widzę w tymże dziale nazwiska Van Gogha, Gaugina i Grünewalda. Dalej figurują książki poświęcone archeologii i architekturze: wykopaliskom greckim z Olympii z 80 ilustracjami, późno-barokowym budynkiem Baltazara Neumanna, portalom romańskim w Remagen i Grossen-Linden itd. Mimo braku podręczników z różnych dziedzin, historia sztuki egipskiej i greckiej Hamanna z 300-400 ilustracjami są znów do nabycia w nakładzie Droemera za skromną sumę 15 marek za tom. W tym dziale Desch ogłosił bogato ilustrowaną pracę Thielego *das Leben in der Gotik*.

Powyższe tytuły przytaczam dla przykładu. Wszystkie odpowiadają programowi dokładnego odtworzenia bibliotek prywatnych sprzed wielkiego pożaru. Szukając nowych typów książki ilustrowanej, zatrzymuję się na paru nowych publikacjach monachijskich Kurta Descha. Są to książki zawierające po 48 rysunków lub sztychów mistrzów od Botticellego do Goyi, Corota i malarzy niemieckich ostatniej doby. Wybór ich jest dość arbitralny. Jeden tom zawiera rysunki i sztychy przedstawiające młodzieńców, drugi poświęcony jest starcom, trzeci madonnom. Każdy kosztuje 8 marek. Druk ich, bardzo staranny, zdradza jednak warunki w jakich powstały: brak papieru i różne trudności techniczne. Książki te zdają się odpowiadać zadaniu: jak w najskromniejszych warunkach dostarczyć niezamożnemu nabywcy możliwości posiadania czegoś pięknego.

Do tej samej grupy należy np. *Hyperion-Kunstkalender*, kalendarz ozdobiony 64 rysunkami mistrzów różnych epok, kosztujący niespełna 6 marek. W publikacjach tych uderza ich eklektyzm. Każda, posługując się jakimś przypadkowym kluczem, daje skrót kilku wieków. Patrząc na ten kalejdoskop sławnych rysunków w skromnej oprawie, widzę współczesnego wędrowca nocującego w ruinach — w ściworze, pod parasolem — i przed snem wyjmującego z plecaka taki właśnie *Bilderbuch*. Kto znajdował się w podobnym położeniu, zrozumie wartość nawiązania kontaktu ze światem wyobraźni plastycznej. W książkach tych jest coś z samarytańskiej pierwszej pomocy dla ofiar barbarzyństwa naszych czasów.

Dla gustów czytelnika i orientacji wydawców rewelacyjny jest również wygląd czasopism artystycznych. Leży przede mną np. numer monachijskiego miesięcznika *Prisma*. Treść jego wznosi się na szczyty eklektyzmu. Poważną część jej stanowią przedruki i tłumaczenia ze starszej już literatury. Obok siebie figurują: Christian Reuter, pisarz początku XVIII w., Puszkina, E. A. Poe, A. Czechow i fragment z *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. Z dwóch esejów jeden tylko zawiera aluzje do aktualności. Kilka

nowel współczesnych autorów niemieckich uzupełnia tekst. Jeszcze większa różnorodność cechuje 43 ilustracji. Osiem foliowych stroniec zajmują nie związane z tekstem rysunki Botticellego, Rembrandta, Goyi, Fragonarda, Delacroix, Dorégo, Slevogta i Maneta. Czternaście mniejszych, również nie związanych z tekstem rysunków lub sztychów nosi podpisy mistrzów od Dürera do Pawła Klee i Picassa. Nadto wszystkie nowele są ilustrowane przez współczesnych grafików niemieckich. Podobnie wyglądają inne numery. Każdy z nich jest mikrokosmosem graficznym, obejmującym kilka stuleci. I tu również sprawą najbardziej aktualną wydaje się — jak u chorego na amnezję — odzyskanie utraconej przeszłości i powrót do ciągłości życia.

W Monachium i Stuttgarcie trafiłem na wystawy obrazów francuskich: Georges Braque, Fernand Léger, abstrakcyjniści. Wystawy te powinny były posiadać pewien urok nowości, bo malarstwo tego typu było zakazane w Trzeciej Rzeszy. Sale wystawowe świeciły jednak pustką. Oglądając te znane mi od 20 i 30 lat kaligramy, uświadomiłem sobie ich nieaktualność w obecnych Niemczech. Dziś już wprawdzie nie młode, niemal klasyczne, obrazy te powstały niegdyś z pędu naprzód, ku nieznannej przyszłości, gdy dla Niemiec aktualny jest ruch w kierunku przeciwnym.

Z naszkicowanego wyżej obrazu ruchu wydawniczego czytelnik odnosi zapewne wrażenie, że żywa literatura współczesna nie wchodzi w program wydawców niemieckich. Wrażenie to nie jest nieuzasadnione. Książki nowe, wydane z rękopisu, zajmują niewielkie miejsce w tegorocznych katalogach nowości księgarskich. Już w 1918 przemysł wydawniczy w Europie oderwał się od ruchu literackiego i umysłowego. Obecna sytuacja na rynku księgarskim niemieckim uwydatniła tylko w jaskrawy sposób wzajemną niezależność tych zjawisk.

Specyficznie niemieckie przyczyny tego stanu rzeczy są dwójakie. Znaczna część autorów niemieckich wyemigrowała i dotąd znajduje się za granicą. Wrócili do kraju tylko nieliczni stosunkowo pisarze, którzy lata emigracyjne spędzili w Związku Sowieckim. Pisarze, którzy wyjechali na zachód, związani są umowami i korzyściami walutowymi z wydawcami szwedzkimi i szwajcarskimi i wraz z tymi ostatnimi czekają na otwarcie dla ich książek rynku niemieckiego. Stąd brak dopływu świeżych rękopisów z kół emigracyjnych.

Pisarzom pozostałym w kraju brak często warunków niezbędnych do pisania. Uderzający jest również brak nowych, młodych piór. Ruina uniwersytetów i wciągnięcie całej młodzieży w tryby

piekielnej maszyny hitlerowskiej stworzyło wielką lukę w życiu literatury. Po kilkunastu latach *Geländeübungen* organizowania, rozkazywania, wojowania lub uchylania się od tych zajęć, wielu „młodych” między 30 i 40 latami życia usiłuje odzyskać stracony czas, próbuje uczyć się i pisać.

Przeważna część nowej produkcji literackiej ukazuje się w czasopismach, będących znacznie wierniejszym zwierciadłem współczesności niż nowości księgarskie. Miesięczniki, walczące z brakiem papieru i rozchwytywane bez reszty w ciągu kilku dni, są również rozparcelowane między poszczególne miasta. Liczba ich jest znaczna i poziom bardzo niejednolity. Najlepsze są oczywiście najszybciej rozchwytywane i najtrudniejsze do znalezienia. Spośród znanych mi miesięczników najżywszym i najbardziej interesującym dla obcego czytelnika wydaje się być *Deutsche Rundschau*, wydawana przez Rudolfa Pechela zrazu w Berlinie, potem zaś w Stuttgarcie. Dzięki uprzejmości wydawcy mogłem zapoznać się z jej ostatnimi rocznikami. Wbrew utartym za granicą mniemaniom, Niemcy już od czasów *neue Sachlichkeit* piszą bardzo zwięzłe. W czasopismach znajdujemy wiele złożonych i aktualnych zagadnień traktowanych w formie krótkiego eseju.

Formą pokrewną czasopisma są almanachy, oddające czytelnikowi ogromne usługi. Zimą z 1948 na 1949 ukazały się u Descha w Monachium dwa doskonałe wydawnictwa tego typu: *der Theater-Almanach* i *der Musik-Almanach*. Każdy stanowi obszerny tom, zawierający omówienie wszystkich nowości niemieckich za ostatnie trzy lata i wyczerpującą bibliografię przedmiotu. Prócz tego każdy przynosi kilkanaście rozpraw na tematy aktualne i zasadnicze, stanowiąc coś w rodzaju luźno związanego podręcznika. Uważny czytelnik spostrzeże w nich luki powstałe z długoletniej izolacji Niemiec od świata zewnętrznego. Wiele najważniejszych manifestacji artystycznych i pozycji bibliograficznych ostatnich dziesięciu lat znanych jest w Niemczech jedynie ze słyszenia. Z drugiej strony prace i informacje zawarte w almanachach świadczą o ogromnym wysiłku w celu ponownego ożywienia w Niemczech ośrodków badań.

Chłonność rynku niemieckiego i obudzony po długim poście gust badań i wiedzy sprawiają, że pracę naukową łatwiej jest dziś ogłosić w Niemczech niż w jakimkolwiek innym kraju Europy. W moich notatkach znajdują się materiały do niewielkiej pracy z zakresu socjologii sztuki, którą odkładałem od lat nie widząc większych szans ogłoszenia jej drukiem. Gdybym był napisał ją po niemiecku, mógłbym ją dziś oglądać w druku. Język niemiecki ma znów pewne szanse odzyskania utraconego w początku bieżącego stulecia stanowiska języka uczonych. Jest to jeden z para-

doksów obecnej sytuacji, wynikłej z narzuconego Europie pokoju sowiecko-amerykańskiego.

Trudno na razie osądzić, czy dalsza „marshallizacja” Niemiec i ich polityka deflacyjna nie położą w krótkim czasie końca obecnej koniunktury na rynku księgarskim i nie zmuszą wydawców do drukowania samych *best-seller*’ów i powieści kryminalnych. W marcu i kwietniu 1949 pojawiły się pierwsze oznaki pozwalające przewidywać tego rodzaju ewolucję.



Głównym celem mojej ostatniej podróży do Niemiec było zapoznanie się na miejscu z tamtejszym ruchem literackim. Kilka książek, które przywieźli z Niemiec znajomi, obudziło we mnie przypuszczenie, że istnieją tam początki jakiegoś nowego piśmiennictwa i poszukiwanie form artystycznych, odpowiadających tragicznej sytuacji naszego kontynentu.

W Monachium zgłosiłem się przede wszystkim do mego znajomego dra B., którego zrównoważonemu i pogodnemu sądowi zawdzięczam oswojenie się z wielu na pierwszy rzut oka niejasnymi zagadnieniami Niemiec współczesnych. Dr B. wysłuchał mnie z łagodnym zdziwieniem, po czym oświadczył, że nie słyszał dotąd o istnieniu w Niemczech jakiegoś ruchu literackiego. Narodziny takiego ruchu wymagałyby jego zdaniem istnienia jakiegoś stanu poprzedniego i żywych tradycji literackich, a w razie ich braku istnienia zorganizowanego społeczeństwa lub przynajmniej uporządkowanych stosunków rodzinnych. Wszystkich tych przesłanek obecnie brak. Już literatura Republiki Wejmarskiej znajdowała się zawieszona w powietrzu. Jej modernizm oderwał ją od tradycji literackich, jej estetyzm postawił ją poza zasięgiem spraw społecznych. Potem przyszły wielkie wakacje literackie. Wreszcie, z okresu przewrotów i wojny, naród niemiecki wyszedł w postaci plastycznej masy, której brak dotąd własnych idei porządkowych. Niemcy czytają więc najchętniej autorów obcych, i sztuki tłumaczone cieszą się największym powodzeniem.

Jak się potem przekonałem, opinia taka jest w Niemczech bardzo rozpowszechniona. Nie znalazłem też żadnej, najbardziej nawet sumarycznej próby opisanie niemieckiej twórczości literackiej ostatnich trzech lat, odpowiadającej temu, co dla życia teatru i muzyki przyniosły wzmiankowane już wyżej almanachy. Żyją i piszą nadal poszczególni, w ogromnej większości starsi i znani już przed wojną pisarze. Ukazało się kilka zaledwie talentów przedtem nieznanych. Rozparcelowane na różne ośrodki, życie

literackie jest jednak jeszcze mało przejrzyste i nie zachęca do układania go w panoramy ani wyciągania zeń wniosków ogólnych. Chciałbym więc zatrzymać się na jego paru zewnętrznych aspektach.



Jest faktem uderzającym, że w cztery lata po zakończeniu wojny i upadku Trzeciej Rzeszy Niemcy posiadają wciąż ogromną emigrację i literaturę emigracyjną. Emigrantom z innych krajów i świeższej daty fakt ten daje wiele do myślenia. Emigranci niemieccy, którzy wyjechali na Zachód i rozproszyli się po różnych krajach starego i nowego świata, poza nielicznymi wyjątkami nie wrócili do kraju. Nawet pisarze, którzy przebyli w kraju całą wojnę, szukają często odpoczynku i warunków pracy w Szwajcarii. Gdyby nie trudności paszportowe, ujrzelibyśmy ich też w innych krajach.

Wiosną 1949 jeden z moich przyjaciół odwiedził w Stanach Zjednoczonych różne koła emigrantów niemieckich, zgrupowanych dokoła ośrodków naukowych. Nikt z nich nie zrobił tam większej kariery, życie ich jest ubogie i pełne codziennej troski o skromny zarobek. Wielu pisze po angielsku, ale w języku obcym trudno im odnaleźć własny styl. Inni mają się różnych, najczęściej źle płatnych zawodów lub żyją z dnia na dzień.

Zjawisko to ma dwie przyczyny: jedną ogólną, drugą wynikłą z obecnej sytuacji Niemiec. Doświadczenie wskazuje, że po upływie pewnego czasu emigranci w ogóle nie wracają. Nie wrócili hugonoci, ani nawet Saint-Evremond i chevalier de Grammont, którzy wyjechali byli na odpoczynek do Londynu, nie mogąc znieść złego smaku Ludwika XIV. Z Ludwikiem XVIII wrócili tylko ci, „którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli”. Inni zostali za granicą, zbudowali między innymi Odessę i założyli wiele sławnych potem zakładów gastronomicznych. W XIX wieku nie wrócili Polacy, w XX-tym Rosjanie. Widocznie zdolność przystosowania się zużywa się bez reszty na emigracji i nie starcza jej potem na oswojenie się ze zmienionymi warunkami życia we własnym kraju.

Obecnie Niemcy, okupowane lub zagrożone przez okupację sowiecką i będącą terenem przyszłych rozgrywek zbrojnych między mocarstwami, mają oczywiście jeszcze mniejszą siłę przyciągającą niż miała ją Francja po upadku Napoleona.

Rezygnacja i pesymizm emigrantów niemieckich mają inne jeszcze, głębsze motywy.

Emigracja pisarzy, profesorów i inteligencji z Trzeciej Rzeszy oraz działalność ich w krajach Zachodu miały rozmiar o wiele

większy niż o tym powszechnie wiadomo. Obecnie posiadamy doskonały przewodnik po literaturze emigracyjnej niemieckiej w książce Waltera Berendsohna *Die humanistische Front*, której ogłoszony dotąd pierwszy tom obejmuje czas od 1933 do 1939. Książka jego wymienia setki pozycji bibliograficznych. Autorzy, którzy opuścili w tym czasie Niemcy, posiadali częściowo imię poza granicami kraju i mieli najlepsze widoki na możliwość utrzymania się z pióra. W *Index translationum*, ogłoszonym przez paryski Instytut współpracy umysłowej, prof. Berendsohn znalazł, że w ciągu 6 lat objętych jego sprawozdaniem ogłoszono drukiem 688 tłumaczeń utworów napisanych przez emigrantów niemieckich. Na samą Polskę przypada 76 tytułów. Literatura Trzeciej Rzeszy nie mogła pochwalić się podobnym sukcesem.

Działalność pisarzy emigracyjnych niemieckich znalazła więc ogromny oddźwięk za granicą, mogący służyć za przeciwagę całej propagandzie Göbbelsa i jego towarzyszy. Mimo to — wbrew opinii prof. Berendsohna — trudno jest określić działalność publicystyczną i literacką emigracji niemieckiej inaczej niż jako całkowitą klęskę.

Przedstawiciele literatury, nauki i inteligencji niemieckiej opuścili kraj w celu prowadzenia dalej walk z narodowym socjalizmem i zmobilizowania przeciw niemu opinii świata. Po krótkim czasie spostrzegli, że w walce z Trzecią Rzeszą są całkowicie odosobnieni. Wszystkie państwa pośpieszyły uznać nowy rząd niemiecki i nawiązać z nim najpoprawniejsze stosunki. W krajach, do których przyjechali emigranci, patrzono na wypadki niemieckie z całkowitą obojętnością lub szukano korzystnego porozumienia z nowymi władcami Rzeszy. Wszystkie informacje, jakie posiadali emigranci, tłumaczone były na wspak ich intencjom. Gdy mówili o sile nowych Niemiec grożących reszcie świata, wysnawano stąd wnioski, że z Hitlerem nie należy zadzierać, nie cofając się przed żadnymi ustępstwami w celu utrzymania dobrych stosunków z niebezpiecznym dyktatorem. Gdy, przeciwnie, emigranci przedstawiali słabość wewnętrzną Trzeciej Rzeszy, słuchacze przychodzili do wniosku, że wobec tego sytuacja nie wymaga od nich żadnej inicjatywy. Po kapitulacji Francji rozpowszechniło się mniemanie, że emigranci oszukali Zachód, łudząc go fałszywymi wiadomościami o rzekomej słabości Niemiec hitlerowskich. Od tej chwili emigranci nie mieli już nic użytecznego do powiedzenia. Przeżyli kolejno wszystko to, czemu działalność ich miała zapobiec: triumfy Hitlera i ostateczną być może ruinę własnego kraju. Wskutek powyższego biegu wypadków emigracja utraciła sens polityczny i stała się jedynie faktem społecznym.

Od chwili upadku politycznego emigracji, poszczególni jej

uczestnicy stoją samotni, pozostawieni własnej domyślności. Niektórzy popełnili samobójstwo jak Kurt Tucholski i Stefan Zweig. Wielu przyjęło obce obywatelstwo i odwróciło się od doczesnych spraw kraju, który stał się symbolem klęski całego ich życia. W tej kategorii znajduje się kilku najwybitniejszych pisarzy niemieckich jak Tomasz Mann i Hermann Hesse.

Podczas mego pobytu w Niemczech mówiono wiele o „dezercji” emigrantów i nieaktualności ich literatury. W Stuttgarcie odbył się w przepelnionej sali wieczór poświęcony czemuś w rodzaju procesu Tomasza Manna. Większość obecnych uważała go za wstrętnego egoistę, który „urządził się” w Ameryce. Dla patrzącego z boku dyskusja była popisem oratorskim, przeslizgującym się po powierzchni zagadnienia. Zarzucający mu „dezercję” zdawali się sądzić, że Tomasz Mann powinien był wraz z innymi siedzieć w obozie koncentracyjnym, wchodzić w kompromisy z Göbbelsem i pisać w własnym kraju za licencją władz okupacyjnych. Co powiedziałyby Eckermannowi Goethe po wysłuchaniu takiej dyskusji?

Wielu emigrantów przestało pisać. W 1948 zmarła w Genewie po długim milczeniu wybitna eseistka Helen Diener, pisząca pod pseudonimem Sir Galahad. Moi czytelnicy przypominają sobie być może jej *Idiotenführer durch die russische Literatur*, książkę do napisania na nowo, w zastosowaniu do obecnych okoliczności. W krótkiej wzmiance, jaką poświęciła jej szwajcarska gazeta, przeczytałem, że Helen Diener zmarła samotnie: była zbyt dumna i wymagająca, aby mieć przyjaciół. Słowa te są być może najpiękniejszym epitaphium dla dzisiejszego emigranta.

Dla czytelnika polskiego historia literatury niemieckiej na emigracji jest bardzo pouczająca. W książce Berendsohna znajdujemy wiele tematów aktualnych dla emigracji polskiej, jak spór między literaturą walczącą i pretendującą do funkcji autonomicznej. Przed nami już emigranci niemieccy stanęli zakłopotani przed pytaniem postawionym im przez kuriera wożącego nielegalne wydawnictwa do kraju: „Czy dla tej książki warto ryzykować życie?”.



W 1947 wyszła drukiem w Monachium antologia nosząca tytuł *De profundis*. Wyczerpana natychmiast po ukazaniu się, antologia zawiera wiersze 66 poetów, którzy w ten lub inny sposób w czasach Trzeciej Rzeszy dali wyraz uczuciom i myślom źle widzianym przez ówczesny *régime*. Znajdujemy wśród nich nazwiska znane przed wojną — jak Kasimir Edschmid, Ricarda Huch, Erich Mühsam, Frank Thiess — obok nazwisk, które stały się głośne

dopiero w latach ostatnich, jak Werner Bergenr un, Rudolf Alexander Schr oder i Ernst Wiechert. Znaczna cz eść autor w jest nieznaną; niektórzy zginęli młodo, zostawiając zaledwie kilka wierszy przechowanych przez towarzyszy. Są wśród nich prozaicy, którzy zaczęli pisać wiersze dopiero podczas wojny, pozbawieni możliwości wypowiedzania się inaczej.

Ze względu na charakter okolicznościowy tych wierszy nie będziemy się zatrzymywać dłużej nad ich zasługą literacką. Większość wierszy niemieckich nosi dziś ślady wpływów Rilkego i Stefana George. *Sie Rilken und Georgen*, jak mówił pewien berliński znajomy. Wpływy te widoczne są też u wielu autor w antologii. Ich obrazy poetyckie przypominają czytelnikowi, że nie darmo sztuka baroku została odkryta i była tak szczerze podziwiana przez pokolenie mające teraz 50 lat. Już na pierwszych stronicach znajdujemy wspaniałą wiersz w stylu barokowym Bergenr una, *Die letzte Epiphanie*, który po wojnie obiegał całą prasę literacką. Anioł z trąbą i inne emblematy znane z okresu wojny trzydziestoletniej, z Gryphiusa i Anioła Słazaka, powtarzają się wielokrotnie u r oznych autor w. Talentem najoryginalniejszym wśród 66 autor w zdaje się być zmarły niedawno Rudolf Alexander Schr oder, tłumacz Wirgiliusza i Horacego, założyciel znanej dawniej firmy wydawniczej Insel-Verlag i autor licznych poezji religijnych zakazanych w czasach Trzeciej Rzeszy. W tych ostatnich wierszach czuć żywo oddech niemieckiego XVII wieku:

*Gericht, Gericht! Nun kam die Zeit:
Der Feind ist nah, und Gott ist weit.*

De profundis zawiera kr otkie biografie 66 poet w opozycyjnych. Jakkolwiek bardzo sumaryczne, życiorysy te pozwalają wejrzeć w skład personalny obecnych Niemiec piszących.

Z 66 autor w tylko 30 ma dziś mniej niż 50 lat. Mimo starań wydawcy, nie udało mu się znaleźć więcej niż 20 autor w poniżej czterdziestki.

Cyfry te są dowodem nie tylko wyrwy, jaką wojna zrobiła w młodszym pokoleniu, ale także zmysłu praktycznego młodzieży. Wyrażanie wierszem uczuć nie pochwalanych przez władze kosztowało drogo 66 poet w antologii. Dwu z nich zginęło z ręki oprawców, jeden popełnił samobójstwo przed aresztowaniem, 21 odsiedziało kr otsze lub dłuższe terminy w więzieniach i sławnych obozach koncentracyjnych, 17 doznało innych prześladowań, konfiskaty majątku, pozbawienia pracy itd. Pisma kilku autor w zostały publicznie spalone. Zakaz publikowania objął na ogół 38 autor w antologii.

Z jakich sfer rekrutowali się pisarze stawiający czoło władzom Trzeciej Rzeszy i niosącemu je fanatycznemu tłumowi? Krótkie dane biograficzne nie dają na to pytanie wyczerpującej odpowiedzi. Wnosić z nich tylko możemy, że olbrzymia większość 66 autorów wyszła z tzw. sfer burżuazyjnych. O kilku z nich jedynie wiadomo, że byli związani z ruchem socjalistycznym lub komunistycznym. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu istniała więc w Niemczech hitlerowskich opozycja burżuazyjna.

O 42 autorach wiemy lub mamy podstawy przypuszczać, że odbywali studia uniwersyteckie. W czasach, kiedy rektorzy uniwersytetów prezydowali osobiście paleniu książek i wyklinali wszelką wiedzę bezinteresowną, okoliczność ta daje wiele do myślenia. Objasnienia tego faktu szukać być może należy w rodzaju wykształcenia pisarzy opozycyjnych. Ci, którzy w swych danych biograficznych podają o tym bliższe szczegóły, wymieniają zawsze fakultet filozoficzny I, filozofię, filologię, historię sztuki. Jeden tylko jest doktorem medycyny, o drugim wiem skądinąd, że ma za sobą studia medyczne. Ci dwaj przebiegli zresztą lekką stopą lata hitlerowskie, i w wierszach ich trudno dojrzeć bez pomocy lupy coś niecenzuralnego. Ani jeden z 66 pisarzy nie wzmiankuje studiów technicznych ani nauk ścisłych. Opozycja pisarzy jest więc wyłącznie buntem humanistów.

Znaczna stosunkowo liczba poetów antologii wykonywała poza literaturą inne jeszcze zawody artystyczne, wychowywała się w środowiskach artystów, studiowała historię sztuki lub pracowała w teatrze. Szczegół ten pozwala jeszcze raz stwierdzić, że szkoły artystyczne są jedną z najlepszych dróg do wychowania humanistycznego.

Z tych skromnych danych wnosić można, że mimo powszechnego upadku i demoralizacji warstw dyplomowanych, w Niemczech zachowały się także poza emigracją resztki niezależnej inteligencji.

III

Monachium. Ruiny dworca kolejowego nie zmieniły się od trzech lat wcale. Przed dworcem uprzątnięto gruzy, lecz latarnie oświetlają dokoła te same kulisy ruin. Na rogu Dachauerstrasse stoi — jak niegdyś — grupa mężczyzn ofiarowujących papierosy. Po akcencie poznaję w nich D.P.

Dokoła stacji kolejowych widać wszędzie w Niemczech mężczyzn ubranych w granatowe stroje narciarskie lub krótkie kurtki

i sukienne kaszkiety. Jest to uniform ludzi nocujących na ławkach poczekalni, w wagonach i „bunkrach”, dawnych schronach przeciwlotniczych, służących za domy noclegowe.

Są to uchodźcy z zony sowieckiej nie objęci jeszcze przez opiekę społeczną niemiecką lub uchylający się od tej opieki, bezrobotni i różny lud wędrowny nie znajdujący przystani lub odwykły od życia osiadłego. Niemiecka opieka społeczna osadza swych uchodźców przeważnie na wsi, z dala od przeludnionych miast, w barakach z czasów wojennych. Wyjść z nich jest sprawą często skomplikowaną; aby w nich żyć, trzeba cierpliwości i rezygnacji. Widziałem listy pisane w nich przez uchodźców niemieckich, pełnych smutnych refleksji. Tysiące ludzi czekają w nich odmiany losu, uważając obecny porządek świata za tymczasowy.

Przyglądam się uważnie twarzom pod granatowymi czapkami. Trudno nieraz określić ich wiek. Jak u chorych w ostatniej fazie tyfusu lub późnych stadiach raka, można omylić się o 20 lub nawet 30 lat. Widać na nich lata poniewierki fizycznej i moralnej, której koniec wydaje się jeszcze daleki.

Takie twarze widywałem dawniej tylko w szpitalach. Przypominam sobie cały repertuar zastrzyków, diet i zabiegów fizykalnych, przy pomocy których usiłowano zmyć z nich piętna cierpienia i nędzy cielesnej. Wychodzący ze szpitala byli już wolni od tych znaków zewnętrznych niedoli, i o minionym cierpieniu mówiła przez pewien czas tylko ich małomówność i odległość. Później twarze takie widziałem u osób wychodzących z niemieckich obozów koncentracyjnych. Potem można je było widzieć wszędzie po trosze, w zasięgu władzy Hitlera i jego spadkobierców.

Dziś są ich już zapewne miliony, zbyt wiele, aby wystarczyło dla nich szpitali i lekarstw. Więcej jeszcze niż środków materialnych, pokoleniom obecnym brak woli leczenia, niesienia pomocy i podnoszenia upadłych w otchłań niedoli.



W świetle ciepłego jesiennego dnia widzę zmiany zaszłe w wyglądzie miasta od 1945. Część gruzów została uprzątnięta. Przed trzema laty koło dworca, między Bayerstrasse i Schwanthalerstrasse, znajdował się szeroki pas, pokryty pagórkami gruzu i najeżony zardzewiałym żelastwem. Wiodła przezeń ukosem ścieżka, idąca to grzbietem pagórków, to schodząca na brzegi kraterów po bombach lotniczych. Dziś cały ten pas jest oczyszczony do poziomu ulic. Idąc przezeń, widać pod stopami zarysy dawnych fundamentów. Na całej przestrzeni stoi zaledwie kilka domów, całkowicie

odrestaurowanych w ciągu ostatnich miesięcy. Przy handlowej Schwanthalerstrasse murarze wznoszą dwa jednopiętrowe budynki przeznaczone na sklepy. Dowiaduję się, że od czasu reformy pieniężnej i wzrostu wolnych obrotów towarowych, zapotrzebowanie na lokale handlowe jest większe niż na domy mieszkalne.

W dawnej dzielnicy muzeów uprzątnięcie gruzów jest w pełnym biegu. Przyglądam się tej pracy koło Nowej Pinakoteki, z której zostały tylko mury zewnętrzne z wielką wyrwą w środkowej części budynku. Wzdłuż ruin ułożono szyny, na których stoi pociąg z dymiącą lokomotywą. Potężne dźwigi chwytają naraz po dwie tony gruzu i wysypują go do wagonów. W ciągu kilkunastu minut około 500 ton jest załadowanych i odjeżdża, aby zrobić miejsce nowemu pociągowi, czekającemu już na szynach.

Przychodzi mi na myśl, że ta sama praca wykonywana jest w tej chwili w Warszawie. Przypominam sobie fotografie widziane w „Stolicy”. Widać na nich mało dźwigów i wagonów, więcej zbiedzonych koni, zaprzężonych do wozów i młodych ludzi obnażonych do pasa, z kilofami i łopatami w rękę.

Mimo narzędzi mechanicznych uprzątnięcie gruzów z miast niemieckich wymagać będzie długich lat. Dokoła ruin sławnej niegdyś Akademii Sztuk Pięknych leży w gruzach cała dzielnica dotąd nie tknięta łopata. Jest to miejsce działania wielkich bomb zdmuchujących z powierzchni ziemi po kilkadziesiąt domów naraz. Poprzez rumowiska z niegłębokim kraterem w środku idą ścieżki. Trawa i chwasty zaczęły je pokrywać kępkami zieleni.

Dalej na północ, wzdłuż Parku Angielskiego, biegną lepiej zachowane ulice przedmieścia. Na Königinstrasse, koło Universitäts-Reitschule, widzę stojące na chodniku popiersie pokryte brązową patyną, z białą plamą po utraconym nosie. Schylam się, aby odczytać napis: C. G. Jung, szwajcarski rywal Sigmunda Freuda. W 1910-1914 Monachium było jednym z głównych ośrodków nowych wówczas prądów w dziedzinie psychiatrii i psychologii stosowanej. W domu tym mieszkał zapewne jakiś protagonista psychoanalizy szwajcarskiej. Dziś mieszczą się w nim biura bawarskiej administracji. Nowi lokatorzy byli zapewne zakłopotani obecnością popiersia wzorowanego na portretach rzymskich cesarzy i noszącego nieznaną im lub w katolickiej Bawarii podejrzaną nazwisko. *In dubio* wyniesiono je z domu i postawiono na chodniku.

Naprawa uszkodzonych domów posunęła się najdalej w starym centrum miasta. W domach, z których pozostały jedynie mury zewnętrzne, wznoszone są żelazo-betonowe konstrukcje, wypełniające pozostawioną przez pożar pustkę. Domy nieuleczalnie uszkodzone są rozbierane. Na oczyszczonych terenach widać wiele jednopiętrowych budynków tymczasowych, mieszczących sklepy i

biura. Dowiaduję się, że ruch budowlany zmniejszył się w ciągu ostatnich miesięcy z powodu rzadkości pieniądza i braku kredytu.

Szczególny widok przedstawiają parki i plantacje, którymi nikt nie zajmował się od czasu zburzenia miasta. Stare drzewa stoją częściowo kalekie, poszarpane przez wybuchy bomb. Na placu Maksymiliana plantacje są zdziczałe, porośłe swobodnie rozwijającymi się krzewami i wysoką trawą, wśród której leżą puszki od konserw i papierki pozostawione przez biwakujących bezdomnych. Hofgarten zachował swe drzewa, ale nie ma w nim ani źdźbła trawy. Dawne gazony zostały doszczętnie wydeptane. Na miejscu ich rozpościera się pochyła powierzchnia jałowej, śliskiej po deszczu ziemi. Tylko Englischer Garten nie stracił nic ze swej romantycznej urody. Spotykam w nim grupę jeźdźców i amazoнок w klasycznych, nieco wytartych strojach, na pięknych, rasowych koniach.

Na skraju parku jeźdźcy i amazonki znikają wśród opuszczonych ruin. Spotkanie to nasuwa mi różne refleksje. Być może myślę się przypuszczając, że powrót do życia i wartości pokojowych wymaga uprzedniej likwidacji spadku po wojnie, uprzątnięcia gruzów, odbudowy miast i osiedlenia na nowo milionów uchodźców. Ruiny porastają zielenią i staną się zapewne jedną z części składowych krajobrazu europejskiego. Do budowania domów innych jak tymczasowe brak dziś poczucia bezpieczeństwa i chęci do długoterminowych inwestycji. Kontrasty między warstwą władców jeżdżących w srebrzystych samolotach i milionami upiórów stojących przed barakami za drutem należą zapewne też do stałych zjawisk obecnej fazy naszej cywilizacji. Poza zainteresowanymi kontrasty te na pozór nikogo nie boją, i opinia publiczna przyjmuje je obojętnie do wiadomości, nawet w krajach, z których niegdyś wyszły w świat idee humanitarne XVIII i XIX wieku. Jeźdźcy i amazonki w wyjętych po latach z naftaliny strojach starają się na swój sposób stworzyć sobie złudzenie czasów pokojowych i oderwać się na chwilę od współczesności, której naprawić nie potrafią.



O 11-tej przyjeżdża dr B. i zabiera mnie na cały dzień do siebie nad jezioro Starnberskie. Towarzyszy nam znany pisarz niemiecki, z wykształcenia lekarz, który spędził czasy hitlerowskie w Niemczech, uchylając się przezornie od zaszczytów i kompromitacji.

Gładka szosa prowadzi przez lasy. Po godzinie widzimy jezioro i miasteczko Starnberg otoczone parkami i willami moczary Trzećiej Rzeszy. Tu rozpoczęła się 30 czerwca 1934 niemiecka „noc

św. Bartłomieja”, w której zginęła z rąk oprawców część dawnych towarzyszy Hitlera.

Dom dra B. leży o kilkanaście kilometrów dalej, w lesie nad samym brzegiem jeziora, oddzielony odeń tylko wąską drogą. Dom jest dawny, obszerny, pełen starych mebli i dywanów. Jego urządzenie wewnętrzne świadczy o niezawodnym smaku pani domu, znającej doskonale Europę od Petersburga do Rzymu. W sąsiednim domku pani B. ma nadto inne małe mieszkanie, gdzie mieści się jej gabinet lekarski. Urządzenie wewnętrzne tego mieszkania jest też uderzające: wszystko w nim jest stare, spokojne, pogodne, marzycielskie, zachęcające do zwierzeń. Każdy przedmiot zdaje się być niezastąpionym dziełem sztuki. Po latach pożarów i ucieczek zbieranie rzeczy starych i urządzenie wnętrza a nawet samo ich oglądanie zdaje się być zajęciem kojącym, balsamicznym, leczącym zaognione rany moralne. Kto posiada do tego dane, powinien mu się poświęcić, nawet gdyby świat miał trwać tylko trzy tygodnie. Powracające zamiłowanie do wnętrza i pięknych mebli notuje też w swych nowelach Hans Jürgen Soehring.

Przy śniadaniu powieściopisarz mówi o Bliskim Wschodzie, gdzie był jako lekarz podczas pierwszej wojny światowej. Potem rozmowa przechodzi do tematów aktualnych. Dr B. opowiada o swej niedawnej rozmowie z pewnym profesorem fizyki. Na jego uwagę o bombie atomowej fizyk rozgniewał się: „Robienie bomb atomowych jest moim świętym prawem uczonego. Odpowiedzialność ponosi tylko ten, kto ich używa. Wnoszenie tej odpowiedzialności do laboratorium jest dowodem barbarzyństwa i prostactwa”.

Powieściopisarzowi stanowisko fizyka nie wydaje się pozbawione wszelkiej słuszności. Jego zdaniem, używanie bomb atomowych stało się nieuniknione wskutek nadmiernego przyrostu ludności — po 20 milionów rocznie — której ziemia niedługo nie będzie mogła wyżywić. „Jeśli w najbliższym czasie nie zatomizują ze stu milionów ludzi, ziemia stanie się dla wszystkich za ciasna”.

Słyszając te słowa, dr B. zwraca się do mnie:

— Dlaczego ludzie szkoleni w laboratoriach wynoszą stamtąd wszyscy jałowy pesymizm i pojęcia nieludzkie, nieprzydatne do życia?

Cytuję na to słowa Wolfganga Köhlera: „Obcy nie zdają sobie sprawy, jakim nietaktem jest wypowiedzenie w murach laboratorium sądu wartościującego”. Powieściopisarz jest zachwycony tym sformułowaniem. Wysuwamy różne argumenty przeciw temu manierzynowi myśli.

Po śniadaniu idziemy z dr. B. na brzeg jeziora. Dzień jest tak ciepły, że kładziemy się na deskach przystani i grzejemy się w perłowym oparze słońca i wody. Dr B. mówi o kryzysie cywi-

lizacji miejskiej, w której żyło kilka ostatnich pokoleń Niemców, i o przeczuwanej przez wielu możliwości odkrycia na nowo natury. Chętnie wydrukowałby coś na ten temat.

Odkrycie natury musi być dla dzisiejszych Niemiec czymś podobnym do odkrycia starych mebli i wnętrz. Wnoszę o tym także z nowej książki F. G. Jüngera, którego eseje świadczą o niezmiernie wyostrozonym poczuciu krajobrazu sformowanego ręką człowieka.

Po tej rozmowie wracamy do reszty towarzystwa. Idziemy wąską dróżką leśną, brzegiem jeziora. Drzewa zwieszają się nad wodą. Brak jakichkolwiek śladów osad rybackich. Las i drzewa są tu wyłącznym dziełem fachowych leśników, interesujących się tylko przyrostem drewna. Nie widać nigdzie śladu ręki człowieka nadającej ziemi i roślinom formę służącą jego przyjemności lub będącą ewokacją utraconego Edenu. Lasy otaczające jezioro musiały być od niepamiętnych czasów w posiadaniu myśliwych, zajętych tropieniem zwierzyny i wyprawą skór. Jedyнным śladem innych zainteresowań jest barokowy kościółek stojący na szczycie wzgórza. Opodal na łące widzę jedyne w tej okolicy drzewo pasterskie. Wydaje mi się, że Bawaria nie jest krajem nadającym się do ponownego odkrycia natury. Związek człowieka z ziemią i drzewem był tu zapewne zawsze nikły, znacznie luźniejszy niż w Württembergii, Nadrenii lub Palatynacie opiewanym łacińskim wierszem przez Ausoniusa. Być może twórczy związek człowieka z ziemią istnieje w Europie tylko tam, gdzie sięgały wpływy cywilizacji grecko-rzymskiej.

W odległej o kilka kilometrów osadzie odwiedzamy dzieci, dotknięte różnymi formami niedowładu mięśni po epidemii poliomyelitis.

Wieczorem wracam do Monachium. Na jeziorze leży gęsta mgła. Z mostu przystani nie widzę nawet nadbrzeżnych drzew. Mgła głuży syrenę nadchodzącego statku. W ciemności zapala się reflektor obszukujący przystań. W pół godziny potem siedzę w nieoświetlonym pociągu zdążającym do Monachium.

W ciemności słyszę rozmowę dwóch młodych ludzi. Jeden opowiada treść pisanej przez siebie powieści. Głównym problemem jej zdaje się być odkrycie kobiety i miłości po długim czasie zabaw „męskich” okresu hitlerowskiego. Następnie rozmowa schodzi na dziennik André Gide’a, który obaj zdają się znać niemal na pamięć.



Bazylea. Miasto na wielkim skrzyżowaniu dróg na granicy francusko-niemiecko-szwajcarskiej. Każdy dom śródmięścia jest

w innym stylu. Budowlana *foire d'échantillons*. Mimo tylu wpływów, życie miasta posiada uderzającą ciągłość w porównaniu z krajami ościennymi. Stroje są wprawdzie nieco inne, ale w przechodzących kobietach można poznać modele Holbeina. Nie osłabł tu też od czasów Erazma z Rotterdamu głód nowinek. Każdy nowy prąd umysłowy, każda nowa wrażliwość artystyczna jest tu natychmiast znana i dyskutowana. Bazylea jest jedynym bodaj z miast średniej wielkości posiadającym publiczność znającą się na muzyce współczesnej. W ciągu ostatnich wieków widziano stąd tyle wypadków, omawiano tyle nowinek, że miasto nadaje się jak żadne inne do rozważania wypadków gorących na chłodno, z pewnego oddalenia.

W hallu hotelu Trzech Króli zebrało się dziś paru przyjaciół interesujących się sprawami niemieckimi, przybywających z Niemiec lub tam jadących. W ciągu ostatnich tygodni zaszły wypadki, których sens nie da się zamknąć w żadnej jednoznacznej formule. Zakończenie blokady Berlina, odprężenie stosunków sowiecko-amerykańskich na terenie Niemiec, opracowanie w Bonn projektu konstytucji dla Niemiec Zachodnich, konferencja Czterech w Paryżu: oto bilans miesięcy wiosennych. Próbowujemy ocenić wagę i możliwe skutki każdego z tych zjawisk. Już z początku rozmowy wynika, że jedna połowa naszego kwartetu uważa ostatnie wypadki za pomyślne dla Ameryki, gdy druga widzi w nich zwycięstwo polityki Kremla. Stosunki między Wschodem i Zachodem obejmują kilka kontynentów, i interpretacja wypadków rozgrywających się jednocześnie na tak wielkich przestrzeniach przedstawia pewne trudności. Po pierwszej wymianie zdań skupiamy się więc na „froncie” niemieckim.

Przede wszystkim usiłujemy wyobrazić sobie sytuację przyszłego rządu Niemiec Zachodnich. Być może w warunkach okupacyjnych będzie to tylko jeszcze jeden *puppet government*. W tym wypadku wszystko pozostanie po dawnemu. Jaka jednak będzie jego sytuacja, jeżeli otrzyma pewną swobodę działania?

Dopóki wschodnia część kraju pozostaje pod okupacją sowiecką, pierwszym i głównym zadaniem rządu Niemiec Zachodnich będzie poszukiwanie dróg do złagodzenia losu ludności w strefie sowieckiej. Z strefy tej przybywają wciąż nowi uchodźcy, stanowiący już dziś w strefach zachodnich niemal trzecią część mieszkańców. Utrzymanie i zatrudnienie tak wielkiej ilości uchodźców jest w kraju zrujnowanym przez wojnę ciężarem nie do zniesienia i już dziś następcza administracji niemieckiej największe trudności. W razie dalszej sowietyzacji Niemiec Wschodnich liczba uchodźców będzie wzrastała nadal. Część ich posiada rodziny w strefie sowieckiej. Pomoc dla ludności Niemiec Wschodnich i złago-

dzenie istniejącego tam *régime*'u będzie pierwszym zadaniem, którego spełnienia wymagać będzie od rządu niemieckiego opinia publiczna.

Rozwój stosunków amerykańsko-sowieckich w ostatnich latach wykazał, że Stany Zjednoczone nie potrafią złagodzić ucisku ludności niemieckiej w zonie sowieckiej ani zatamować dopływu uchodźców. Kto miał w tej mierze złudzenia, musiał je utracić w wyniku ostatniej Konferencji Czterech, która raz jeszcze potwierdziła istniejący stan podziału Niemiec i Europy.

Dopóki władcy Kremla posiadają w swym ręku 25 milionów zakładników niemieckich, ich możność wywierania nacisku na Niemcy Zachodnie pozostaje niezmienną. Ta okoliczność daje im ogromną swobodę działania. Stosownie do swych potrzeb i gustów mogą zamykać i otwierać żelazną kurtynę.

Im większa będzie samodzielność rządu Niemiec Zachodnich, tym większa będzie jego samotność i bezsilność wobec nacisku sowieckiego. Ulżyć losowi ludności we wschodniej części kraju będzie mógł tylko w drodze ustępstw i kompromisów, które w tej sytuacji będą musiały z natury rzeczy być bardzo kosztowne.

Jaki jest prawdopodobny repertuar tych ustępstw? W miarę swej samodzielności rząd Niemiec Zachodnich będzie zmuszony zbliżyć się politycznie do bloku wschodniego. W zakresie handlu zewnętrznego będzie musiał dostarczać po niskich cenach potrzebnych Sowietom towarów. Istnieje wreszcie obszerna dziedzina usług nieoficjalnych. Do Niemiec uciekają opozycjoniści sowieccy i uchodźcy z krajów Moskwie podporządkowanych. Jak ustosunkuje się do nich policja graniczna rządu stojącego pod stałym i bezwzględny naciskiem sowieckim? Łatwo to sobie wyobrazić. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że — jako pierwsza stacja uchodźców ze wschodu — Niemcy są obecnie najważniejszym źródłem wiadomości o Związku Sowieckim, jego stanie gospodarczym i przygotowaniach wojennych. Zbieranie i porządkowanie przywożonych ze wschodu wiadomości zostało w znacznej mierze zmonopolizowane przez specjalistów niemieckich, posiadających w tej mierze od czasów von Seeckta niemałą rutynę. Wtajemniczeni szepcą, że dział informacyjny dawnego sztabu niemieckiego został w ostatnich miesiącach odtworzony i pracuje jak za najlepszych czasów Canarisa. Kiedy cały ten aparat znajdzie się w rękach rządu niemieckiego, nie trudno jest domyślić się, że będzie musiał służyć stronie wywierającej w danej chwili na Niemcy silniejszy nacisk. Jakie skrupuły będą mogły powstrzymać rząd niemiecki od usług w tej dziedzinie, jeżeli będzie mógł za nie kupić poprawę losu swej ludności pod okupacją sowiecką? Wzrost penetracji i wpływów sowieckich wydaje się najprawdopodobniej-

szym skutkiem dalszego usamodzielnienia Niemiec Zachodnich i — co za tym idzie — pozostawienia ich własnemu losowi. Można więc wątpić, aby obecni okupanci zachodniej części Niemiec spieszyli się z tworzeniem tam rządu i oddawaniem władzy w tak słabe ręce.

Nie wszyscy moi rozmówcy z hotelu Trzech Króli są w tych przewidywaniach równie kategoryczni. Wszyscy jednak muszą wyciągnąć wnioski z biegu wypadków w Europie Wschodniej. W żadnym z krajów podporządkowanych dziś Moskwie nie było partii komunistycznych równie potężnych jak w Niemczech, Francji i Włoszech. Brak tego instrumentu politycznego nie przeszkodził całkowitej niemal sowietyzacji Europy Wschodniej. Los tej ostatniej jest więc nieustanną przestrogą dla zachodniej części naszego kontynentu.

Kultura nr. 19, 20, 21/22, maj, czerwiec, lipiec/sierpień 1949.

DZIENNIK PODRÓŻY DO NIEMIEC — 1951

Bern, 15 czerwca

Niemcy zachodnie zdają się być w tym roku najmodniejszym ośrodkiem ruchu turystycznego. Berneński Permit Office wydaje po kilkaset wiz dziennie. Za kilka dni funkcje jego przejęte zostaną przez świeżo otwarty w Zurychu niemiecki konsul generalny. Dawniej podanie o wizę wymagało obszernego umotywowania. Często nie pomagało i to i należało się uciekać do różnych protekcji. Dziś formalności są uproszczone. Kwestionariusz zawiera kilka łatwych pytań. Jako motyw podróży wystarcza napisać: turystyka. Wizę otrzymuje się nazajutrz.

Tym razem będę więc podróżował po Niemczech w tłumie turystów jadących częściowo w własnych samochodach.

Odrodzenie europejskiego ruchu turystycznego miało kilka etapów. Pierwszym krajem, który po 1945 zaczął przyciągać turystów, była Szwajcaria, kraj nietknięty przez wojnę. Przyjezdni mieli w nim możliwość spędzenia chociażby kilku dni w warunkach przedwojennych, bez kartek żywnościowych i kuponów na tkaniny. Pobyt w Szwajcarii był podróżą wstecz do dawnych, zamożnych czasów, do życia względnie wolnego. Obcy gotowi byli płacić drogo za te chwile złudzenia. Później przysła kolej na Włochy, klasyczny kraj turystyki, również mało zniszczony przez wojnę, potem na Francję i Austrię.

Różnice poziomu cen zdają się grać niewielką rolę w tych sezonowych migracjach zamożniejszych Europejczyków. Masowe przyjazdy turystów następowały zazwyczaj po wyrównaniu się cen do poziomu innych krajów. Wielki napływ podróżnych do Niemiec zaczął się również z chwilą, kiedy koszty pobytu w tym kraju stały się równie wysokie jak w Francji i Włoszech. Ruch

ten jest dwustronny. Od kiedy marka niemiecka stała się równa frankowi szwajcarskiemu, wielu Niemców przyjeżdża do Szwajcarii. Spędzali tu wakacje prezydent Republiki Niemieckiej, prof. Heuss, i szef rządu, Konrad Adenauer.

Po długim okresie zamkniętych granic Europejczycy zaczynają znów poznawać swój kontynent lub raczej jego część zachodnią. Być może będzie to wstępnym krokiem do wytworzenia się poczucia solidarności europejskiej. Nie przeceniajmy jednak skutków nowoczesnej turystyki. Wagony, autokary, hotele, przewodnicy i inne narzędzia przemysłu turystycznego izolują przyjezdnych od ludności miejscowej, nie zostawiając miejsca na żadne kontakty osobiste. Zresztą w krajach starej turystyki ani ludność miejscowa ani przyjezdni tych kontaktów na pozór zupełnie nie pragną.

Bern, 19 czerwca

Przed odjazdem robię małe zakupy w pobliskim kiosku. Jego włoski właściciel zdobywał przed 30 laty Tripolis, dziś z pogodnym sceptycyzmem patrzy na świat z perspektywy swego kiosku, nucąc arie z „Il barbiere di Sevilla”.

— Ach, ci Niemcy, powiada. Poznać ich więcej nie można. Nigdy jeszcze nie byli tak uprzejmi. Nawet po pierwszej wojnie światowej uważali, że wszystko jest tu zbyt drogie, i że w Szwajcarii nie ma żadnego porządku. Dziś płacą, nic nie mówią, uśmiechają się. Skąd ta zmiana? Czy z powodu przegranej wojny? Czy może sprzykrzyło się im być takimi jak przedtem? Nie można odgadnąć, nie można...

Monachium, 20 czerwca

Wskazówka dla podróżnych. W ciągu ostatnich dwóch lat w Niemczech zbudowano i odnowiono wiele hoteli. Znaleźnienie odpowiedniego mieszkania jest nadto ułatwione przez instytucję powstałą w latach powojennych trudności mieszkaniowych. W każdym mianowicie większym mieście niemieckim koło dworca kolejowego znajduje się kiosk z napisem: *Zimmernachweis*. W okienku siedzi zazwyczaj młody człowiek typu *social worker*, rozumiejący różnorodność potrzeb mieszkaniowych i posiadający obszerną listę pokoi w hotelach, pensjonatach i u osób prywatnych. Przyjezdny wyjaśnia mu, jakie zajęcia sprowadziły go do miasta i ile pieniędzy przeznacza na mieszkanie, wzamian za co otrzymuje kartkę na pokój dość dokładnie odpowiadający jego wyma-

ganiom. Podróżnym zmuszonym do oszczędności w wydatkach *Zimmernachweis* oddaje nieocenione usługi.

Pierwszy kontakt z śródmieściem. W ciągu ostatnich dwóch lat odbudowa miasta zrobiła wielkie postępy. W 1945 między Karlsplatzem i ratuszem stały same ruiny i stosy gruzów. Dziś cała Kaufingerstrasse posiada z obu stron jednolity front domów. Jeden tylko większy budynek świeci jeszcze próżnią okien. Domy, w których ocalały ściany zewnętrzne, wypełniono konstrukcjami z żelazo-betonu, oczyszczając jednocześnie fasady z wykuszków i gzymsów szpecących większość budynków niemieckich z końca XIX wieku. Odbudowane w ten sposób domy mają wygląd proste, lecz szlachetny. Na miejscu domów zburzonych do fundamentów postawiono wzdłuż frontu ulicy tymczasowe budynki jednopiętrowe mieszczące sklepy, restauracje, kawiarnie. Za tym frontem widać w wielu miejscach puste place, świeżo oczyszczone z gruzów.

Odbudowa polega w znacznej mierze na uzupełnianiu brakujących części budynków. W moim hotelu wybuch bomby zniósł wyższe piętra. Schody i podłogi niższych pięter są jeszcze czarne od pożaru. Wyższe piętra odbudowano w roku ubiegłym.

Tempo odbudowy zwolniło się w ostatnim roku z powodu braku kredytów. W śródmieściu nie widać niemal wcale rusztowań świadczących o nowych robotach.

21 czerwca

Ranek jest ciepły i pogodny. Korzystam zeń dla obejścia dzielnicy dawnych rezydencji i muzeów, będącej niegdyś najbardziej charakterystyczną częścią miasta.

Od strony Schwabingu, gdzie stały dawniej główne muzea, zniszczenia wydają się największe. W 1945 cała ta dzielnica była pusta, niezamieszkała. Nawet w południe nie widać w niej było przechodniów. I dziś, po naprawie wielu domów mieszkalnych, dzielnica ta wykazuje największe zniszczenia. Ulice biegnące niegdyś wśród nieprzerwanych frontów kamienic przecinają teraz łąki i trawniki pozostałe po uprzątnięciu gruzów. Z obu pinakotek pozostały stojące samotnie mury zewnętrzne. Sławna niegdyś akademia sztuk pięknych jest długą, czarną od sadzy fasadą, tonącą w zieleni zdziczałych krzewów.

Latem zieleń drzew łagodzi brutalność ruin. Na Karolinenplatz czarna iglica obelisku oparła się naciskowi powietrza, który zburzył otaczające wille. Czytam napis na jej podstawie: 1832, pamięci trzydziestu tysięcy żołnierzy bawarskich poległych w Rosji.

Wspomnienie z udziału wojsk bawarskich w kampanii 1812. Ilu obywateli Bawarii poległo w Rosji w 1914-1917? Jeszcze więcej ich musiało poleć tam pod rozkazami Hitlera. Czarny obelisk wywołuje w pamięci aktualny obraz: równinę rosyjską, pochłaniającą młodzież niemiecką. Wynik trzech pochodów na Moskwę: okupacja rosyjska Berlina, Drezna, Wejmaru i niejasna perspektywa nowego konfliktu z jeszcze bardziej niejasnym wynikiem, prowadzącym być może tylko do odroczenia następnej wojny. Na pobliskim murze czytam napis: *ohne uns*. Napisy te, zresztą nieliczne, są odpowiedzią na propagandę za ponownym uzbrojeniem Niemiec.

Leżąca bliżej Isary część śródmieścia jest lepiej zachowana. Monumentalna Ludwigstrasse jest niemal w całości odbudowana i odnowiona. Jedynie gmachy uniwersytetu i biblioteki, naśladujące pałace weneckie, są w ruinie. Odarte z tynku mury broczą czerwienią cegieł. W tym samym stanie znajduje się rokokowa Rezydencja i wielki teatr. Dokoła budynków tych widać rusztowania i ślady robót dążących do ich zabezpieczenia i późniejszej odbudowy. W księgarni dowiaduję się, że władze okupacyjne zabroniły fotografowania ruin. W handlu znajdują się tylko pocztówki przedwojenne, przedstawiające miasto przed bombardowaniem.

Dokoła uniwersytetu przechadzają się lub siedzą na gruzach grupy studentów. Nieco dalej spotykam również dwóch profesorów. Wszyscy mieszkają w dzielnicach odległych od śródmieścia i godziny wolne od wykładów spędzają na ulicy.

Z rozmowy ze studentami dowiaduję się, że budynki uniwersytetu i biblioteki są w remoncie i nie posiadają w tej chwili sal, w których studenci mogliby pracować w przerwach między wykładami. Objaśniają mi, że odbudowa tych gmachów posuwa się powoli z powodu kampanii prowadzonej w prasie przeciw odbudowie budynków monumentalnych dopóki trwa brak domów mieszkalnych i część ludności mieszka w barakach. Dla tej przyczyny odkładana jest wciąż odbudowa teatru, muzeów i sal koncertowych. Koncerty symfoniczne odbywają się w auli uniwersytetu lub w Deutsches Museum.

Sądząc z wyglądu dzielnic ekscentrycznych, mniej dotkniętych przez bombardowania, odbudowa ich jest już daleko posunięta. Ostry kryzys mieszkaniowy został w znacznej części przezwyciężony. O ile wiem, w barakach mieszkają jedynie napływający z zony wschodniej uchodźcy. Przy odbudowie wszystkich zburzonych miast powstaje zapewne dylemat: czy budować naprzód bloki mieszkaniowe czy też uniwersytety, szkoły, biblioteki, muzea, teatry, słowem to co stanowiło sens i treść życia miast przed

ich zburzeniem. Trudno sobie wyobrazić życie milionowego miasta złożonego z samych tylko bloków mieszkaniowych, bez teatrów i muzeów. Być może jednak tak będzie wyglądała za kilkadziesiąt lat część miast europejskich.

Przy Leopoldstrasse, na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic, widzę szkołę w prymitywnym baraku, ustawionym na fundamentach zburzonej kamienicy. Kilkunastoletnie dziewczynki siedzą stłoczone w ławkach. Nauczyciel i uczennice muszą krzyżeć, aby przemóc hałas uliczny wdzierający się przez otwarte okna. Barak ten stoi w eleganckiej niegdyś dzielnicy, pośród odnowionych i zamożnie wyglądających domów mieszkalnych.

Aby ocenić ten obraz, należałoby oczywiście wiedzieć, co i jak jest w tej szkole nauczane. Wiele sławnych szkół nie miało w swych początkach lepszych pomieszczeń. Sokrates nauczał w cieniu platanu. Notuję ten szczegół jako przykład nierównomierności odbudowy.

Niem mało trudności nastęrczają także przepisy prawne. W Niemczech właściciele zniszczonych budynków zachowują swe prawa do terenu, na którym stały ich domy. Także lokatorzy zachowują prawa wynikłe z kontraktów najmu w nieistniejących dziś budynkach. Przebiecie ulic nowych lub rozszerzenie istniejących, ułatwione przez zniknięcie zabudowań, nastęrcza zagadnienia prawne i finansowe przechodzące możliwości zarządów miast. Dla tych przyczyn miasto odbudowuje się, dom za domem, dokładnie tak jak wyglądało przed wojną, mało licząc się ze zwiększeniem ruchu ulicznego.

Max Frisch, szwajcarski architekt, który zwiedzał Warszawę w 1947, notuje w swym dzienniku, że cały obszar miejski został tam uznany po wojnie za grunt państwowy, wolny od serwitutów. Frisch uważa tę decyzję za genialną. Mimo swobody zostawionej w ten sposób urbanistom i architektom, odbudowa Warszawy poszła również w kierunku odtworzenia dawnego miasta. Z warszawskich pism ilustrowanych wiemy, że wiele starych budynków wzniesiono na nowo, naśladowując najdokładniej ich wygląd pierwotny. Rys ten zdaje się więc być wspólny wszystkim próbom odbudowy miast zniszczonych przez ostatnią wojnę, niezależnie od wszystkich innych warunków.

22 czerwca

Ogromny ruch uliczny w śródmieściu. Nigdy jeszcze na ulicach Monachium nie widziano tylu samochodów. Są to przeważnie tanie Volkswagany, lecz obok nich widać też wiele wozów amerykańskich.

kańskich i ciężarówek armii okupacyjnej. Ostrożnie przy przechodzeniu ulic! Nigdzie zapewne nie ma tylu lekkomyślnych kierowców. Dziś z rana widziałem już dwa zderzenia, zresztą oba bez ofiar. Z gazety dowiaduję się, że w Monachium co 7 minut ma miejsce jeden wypadek samochodowy. Co chwila widać śpieszące karetki sanitarne i wozy policyjne. Przejście przez Karlsplatz zwane Stachusem, gdzie zbiega się pięć ruchliwych ulic, wymaga więcej czasu i uwagi niż przejście przez Place de la Concorde o 5-ej po południu.

W dzielnicy handlowej panuje równie ożywiony ruch pieszy. Wzdłuż wystaw sklepowych ciągną tysiące przechodniów, ubranych na nowo w kilka standaryzowanych typów odzieży, wartych osobnego studium. Wielu zatrzymuje się przed witrynami, badając wzrost i wahania się cen.

Już w latach międzywojennych było w Niemczech wiele magazynów uniwersalnych, sprzedających wszystkie rodzaje towarów, od artykułów spożywczych do książek i motocyklów. Liczba ich musiała wzrosnąć w latach ostatnich, bo widać je wszędzie, nieraz po kilka na jednej ulicy. Witryny przytłaczają patrzącego masą i różnorodnością wystawionych towarów, jak gdyby mówiły: wszystkiego jest dziś w bród!

Po 10 latach racjonowania i głodu towarowego przechodnie zdają się patrzeć z przyjemnością na okna wypełnione aż do sufitu wszelkiego rodzaju towarem. Przed 5 laty wielu z nich nie posiadało nic poza zawartością chudego plecaka. Od tamtych lat wielu wróciło do posiadania własnego mieszkania, które należało od dołu do góry wyekwipować. Można stąd wnosić o chłonności, w ostatnich latach, niemieckiego rynku wewnętrznego. Rozczarowani tylu kolejnymi inflacjami, Niemcy przestali oszczędzać. Wiele przedmiotów można znów kupić na spłaty.

Rynek wewnętrzny niemiecki przechodzi obecnie swój pierwszy kryzys powojenny. W ostatnich miesiącach w Niemczech — podobnie jak w całej Europie Zachodniej — nastąpiła znaczna zwyżka cen, nakazująca ostrożność w zakupach. Wielu stoi dziś przed witrynami sklepów, lecz kupujących jest mało. Ceny, które widzę w oknach, odpowiadają mniej więcej poziomowi cen w Szwajcarii i Francji. Stan ten wywołuje pewne niezadowolenie. Słyszę różne refleksje, jak np.: „W zonie sowieckiej są pieniądze, ale nie ma towarów; u nas są towary, ale nikt nie ma pieniędzy. Jedno warte drugiego”. Po nasyceniu rynku wewnętrznego, Niemcy mają nadmiar produkcji i mogą znów eksportować. Od kilku miesięcy posiadają dodatni bilans handlowy.

W obrazie zaczynającego się zastoju wyjątek stanowią sklepy spożywcze, które zamiast przedwojennej nazwy „Delikatessen”

noszą dziś szyldy z napisem „Feinkost”. Tu również uderza ilość i różnorodność towarów, ale ceny ich wynoszą zaledwie połowę cen szwajcarskich lub francuskich. Droższe są tylko kawa, herbata i papierosy.

Jedynym towarem, którego brak daje się odczuwać, jest papier. Nawet wielkie sklepy sprzedają papier listowy tylko w ograniczonej ilości.

Równie wielkie ożywienie jak przed sklepami panuje w niezliczonych restauracjach i kawiarniach śródmieścia. Jedzenie jest w nich przeważnie tanie: śniadanie lub obiad z trzech dań kosztuje 2 do 2 i pół marki. Restauracje ofiarowujące podobny posiłek za 5 marek posiadają równie żywą frekwencję.

Niemcy nie przerywają pracy w południe. Już podczas poprzedniego pobytu w Niemczech widziałem, że w firmach wydawniczych, w redakcjach dzienników itd. o 12-tej każdemu — od naczelnego dyrektora do najniższego urzędnika — stawiano na stole ten sam skromny posiłek, najczęściej talerz jarzyn. Zwyczaj ten był nowy, nieznanym z lat przedwojennych. Mówi on wiele o tym, co Niemcy nazywają *das deutsche Arbeitswunder* — niemiecki cud pracy. Będę zapewne nie raz jeszcze wracał do tego tematu.

I dziś również nie ma przerwy obiadowej. Ruch w restauracjach tłumaczy się odległością dzielnic ekscentrycznych i ilością osób zatrudnionych częściowo lub nieregularnie. Kto nie zdążył załatwić swych spraw w śródmieściu przed południem, temu nie opłaca się tracić godziny lub dwóch czasu na powrót do domu i ponowny przyjazd do miasta.

Istnieje też nowa warstwa osób zamożnych i mało zajętych. Po południu w cukierniach widać setki pań pijących herbatę i jedzących ciastka. Te ostatnie są masywne, imponujące rozmiarem, zdające się mówić: „Głodnych tu więcej nie ma!”. Być może po latach racjonowania i niedożywienia Niemcy odczuwają potrzebę takich zewnętrznych znamion dosytu. Mimo rozmiarów ciastek większość kobiet zachowuje nadal szczupłą sylwetkę.

W restauracjach i kawiarniach śródmieścia spotyka się wielu żołnierzy amerykańskich. Częściowo są to weterani ostatniej wojny, umiejący grać w morę i opowiadający anegdoty z kampanii włoskiej i afrykańskiej, przeważają jednak chłopcy zupełnie młodzi. Wielu z nich w sposób widoczny czuje się źle na obczyźnie. Niektórzy piją z nudów, ale i po pijanemu zachowują się poprawnie. Wieczorem każdy z nich wychodzi na miasto ze swą niemiecką *Gretchen*. Te ostatnie zdają się grać ważną rolę w procesie oswojania obcych żołnierzy i nadawania rodzinnych pozorów śmiertelnej nudzie garnizonów okupacyjnych.

Żołnierze amerykańscy zdają się stanowić najlepszą klientelę kawiarni i restauracji monachijskich, gdzie zwracają ludności część opłacanych przez rząd niemiecki kosztów okupacji.

Ogromny ruch śródmieścia z jego handlem i niezliczonymi zakładami gastronomicznymi robi wrażenie czegoś tymczasowego, powstałego z chwilowej koniunktury, częściowo fikcyjnego i niestałego. Wrażenie to odpowiada zresztą obecnemu położeniu Niemiec i Europy.

23 czerwca

Wczoraj wieczorem byłem w Prinzregententheater na wznowieniu „Ariadne auf Naxos”, którą po raz pierwszy słyszałem w Monachium w 1912 roku pod batutą Bruno Waltera. W tymże roku słyszałem po raz pierwszy także „Elektrę”, „Salome” i „Rosenkavaliera”, który już wówczas wydał mi się mniej ambitny od dwóch poprzednich oper Straussa. Opery te słyszałem wielokrotnie w latach późniejszych, zawsze z jednakowym zainteresowaniem, jakkolwiek od 1912 ubyło mi trochę wrażliwości, przybyło natomiast wiele krytycyzmu.

W odróżnieniu od trzech nazwanych wyżej oper, „Ariadne” w ciągu 39 lat utraciła większą część swego uroku. Słyszałem ją wczoraj w nowej, nieznannej mi i nie bardzo szczęśliwej wersji. O ile mnie pamięć nie myli, w 1912 słyszałem „Ariadne” łącznie z molierowskim „Le bourgeois gentilhomme”, do którego Strauss dorobił lekki komentarz muzyczny. Bohater Molière'a zamawia u poety i kompozytora operę i w końcu sztuki zasiada ze swymi gośćmi przed wzniesioną na scenie miniaturą teatru, w którym jest grana „Ariadne”, krótki szkic operowy trwający koło 40 minut.

W tej oprawie „Ariadne”, napisana na zamówienie sprzed dwóch i pół wieków, ze swymi sopranowymi fantazjami, była kosztownym, barokowym żartem mieszczaucha-szlachcica.

Wersja, którą słyszałem wczoraj, jest nieco inna. Zamiast komedii Molière'a pierwszą część opery stanowił napisany widocznie później rodzaj obszernego prologu, o muzyce barokowej lecz ciężkiej, szytej grubym ścięgiem. Z tym wstępem „Ariadne” pretenduje do kształtów monumentalnych, których jej brak. Całość zostawiła mi wrażenie rzeczy nieudanej, zlepionej z różnych niepasujących do siebie części.

Nie mniej od muzyki interesowali mnie jej słuchacze. Prinzregententheater liczy koło tysiąca krzesel ustawionych na jednej pochyłej płaszczyźnie. Z każdego jej miejsca widać całą scenę, i akustyka sali jest doskonała. Teatr był niemal całkowicie wy-

przedany. Publiczność uderzała swą równorodnością. Było wśród niej trochę osób starszych, dawnych bywalców opery monachijskiej, większość składała się jednak z osób na pozór zupełnie nowych, mało obytych z sofistyką teatrów operowych. W ostatnich rzędach siedzieli uczniowie szkół muzycznych, którzy w końcu wieczoru zrobili wielką owację dyrygentowi. Jeden z nich objaśnił mi, że dyrygent, Georg Solti, jest zagrożony dymisją przez biurokratów, i muzyczna część publiczności protestuje w ten sposób przeciw przemocy administracji w rzeczach sztuki. Wtajemniczeni w te sprawy musieli być jednak nieliczni, bo siedząca w niższych rzędach publiczność zdawała się nie wiedzieć o co chodzi. Z wieczoru tego wyniosłem wrażenie, że życie muzyczne Monachium znajduje się w fazie przejściowej i nieprzejrzystej. Dla znalezienia drogi w tym chaosie widzę następujące punkty orientacyjne.

Monachium posiada dobre tradycje muzyczne. Przed 40 laty miało jeden z najlepszych w Niemczech teatr operowy, bardzo dobrą orkiestrę i akademię muzyczną, na której czele stał Max Reger, kompozytor niezwyklej wiedzy i subtelnego, oryginalnego talentu. Pod wpływem tych czynników miasto doszło do posiadania publiczności muzycznej, licznej zarówno w grupie znawców jak w grupie profanów, o gustach nieco konserwatywnych lecz otwartych także dla nowinek.

Od tamtych czasów miasto przeszło przez całą serię wstrząsów społecznych i politycznych: republikę socjalistyczną Kurta Eisnera, zdobycie miasta przez Reichswehrę i pogrom inteligencji, rządy katolicko-konserwatywne, pierwszy pucz Hitlera, dalszy ciąg rządów konserwatywnych i objęcie władzy przez „partię”. W wyniku tych wypadków już w 1925 widziałem Monachium ponure, bez księgarni, bez kawiarni i bez inteligencji.

Z przewrotów tych wyszły całe gmachy teatrów, sale koncertowe i łatwe do skompletowania zespoły muzyków zawodowych. Największe luki powstały w szeregach wykształconej publiczności. Z poprzedniego okresu pozostał tylko zwyczaj chodzenia do teatru i na koncerty jako tradycyjna rozrywka wyższych sfer towarzyskich, naśladowanych w tym przez warstwy nowe, wyszłe z wstrząsów i przewrotów. Była to więc w znacznej mierze publiczność instytucyjna, przywiązana raczej do murów teatrów i sal koncertowych niż do nowych dla niej spraw sztuki.

Okres hitlerowski zdekompletował zespoły artystów, których część wyszła na emigrację. Bombardowania i pożary zniszczyły budynki i rozproszyły publiczność instytucyjną.

W odbudowanych wreszcie nielicznych lokalach poświęconych muzyce gromadzą się dziś znawcy i resztki publiczności instytu-

cyjnej. Stąd przypadkowy i mieszany charakter słuchaczy, których widziałem w Prinzregententheater.

Jaki rodzaj muzyki potrafi przyciągnąć i utrzymać tę publiczność, także w chudych latach kryzysów gospodarczych? Obawiam się, że na razie potrafi to tylko tradycyjna w Niemczech muzyka romantyczna, liryczna, upajająca jak wódka i likiery. Dopóki sale koncertowe są nieliczne i improwizowane, mogące pomieścić najwyżej kilkaset osób, liczba znawców, dostępnych także dla muzyki nowej, jest wśród słuchaczy niezwykle wielka. W miarę odbudowy sal koncertowych i wzrostu ich frekwencji konserwatywne gusty publiczności będą się coraz silniej zaznaczały. W kraju posiadającym tyle szkół muzycznych ewolucja publiczności może dostarczyć wielu niespodzianek, na razie jednak nie widzę w Niemczech wielu słuchaczy wrażliwych na chłodny ogień muzyki współczesnej. Z Schönberga zostaną być może w repertuarze niemieckim tylko „Gurrelieder”. Wątpię, aby „Pierrot lunaire” mógł dziś zgromadzić w Monachium większą ilość słuchaczy. Być może uda się wprowadzić do repertuarów niemieckich Strawińskiego, ale w najbliższych latach nie znajdą zapewne w Niemczech swej publiczności ani Frank Martin, ani Bela Bartok, ani nawet Britten i Bohuslav Martinu. W drodze podobnej ewolucji publiczności Niemcy dzisiejsze stały się dla muzyki współczesnej równie niedostępne jak Związek Sowiecki. Fakt ten i jego społeczne przesłanki zasługiwałyby na bliższe rozpatrzenie zanim świat zachodni utraci swą substancję. Zagadnieniu temu poświęciłbym chętnie rok pracy, gdybym miał do tego warunki.

Na murach miasta rozklejono właśnie program letniego festiwalu muzycznego i koncertów symfonicznych na sezon zimowy. Programy te są równie konserwatywne jak programy dorocznych festiwalów w Lucernie i Salzburgu. Od pół wieku towarzystwa koncertów symfonicznych ofiarowują słuchaczom to samo menu, w którym *plat de résistance* stanowi niemiecka muzyka romantyczna. Jediną koncesją jest poświęcenie na rok kilku punktów programu kompozytorom lokalnym. W ostatnich latach mówiono wiele o oderwaniu się dzisiejszych kompozytorów od słuchaczy. Zjawisko to zdaje się polegać nie tyle na ezoteryzmie kompozytorów, ile na ślepych i głuchym zasklepieniu się w przeszłości towarzystw muzycznych, władz miejskich i decydującej o rozgłosie i sławie części publiczności.

Z dziedziny psychologii publiczności instytucyjnej chciałbym zanotować szczegół, który uderzył mnie dziś przed południem. Opera na Max Joseph-Platz jest monumentalną ruiną, stojącą w czerwieni cegieł, z dawnej Tonhalle zostały tylko fragmenty murów zewnętrznych. Mimo to programy i obwieszczenia doty-

czące przedstawień operowych wywieszane są na ruinach dawnego teatru, wszystkie zaś wiadomości o koncertach symfonicznych umieszczone są na żalonym murze Tonhalle. Tam widocznie szuka ich starym zwyczajem publiczność przywiązana do miejsca, w którym odbywały się niegdyś misteria sztuki.

24 czerwca

Blaski i cienie regionalizmu. Nigdy przedtem nie noszono w Monachium tylu *Trachten*, czy strojów ludowych. Znaczna część przechodniów — na niektórych ulicach połowa — nosi bawarski strój składający się z bardzo krótkich skórzanych *short'ów*, szerokich skórzanych szelek i białej koszuli. W 1912 stroje te były rzadkie w mieście; widywałem je raczej na wsi. Portki noszono wówczas nieco dłuższe, do kolan, gdy dziś sięgają tylko do pół uda.

Powrót do strojów ludowych, do afiszowania oznak przynależności szczepowej czy regionalnej zdaje się mieć dwa aspekty. Z jednej strony jest to być może pozostałość po emblematkach i sztandarach modnych w czasach Trzeciej Rzeszy. Z drugiej strony jest w tym zjawisku także coś nowego. Odradzanie się z katastrofy świata germańskiego odbywa się nie centralnie, lecz od najstarszych, regionalnych ośrodków cywilizacji. Stąd renesans regionalizmu w jego różnych przejawach i skutkach.

Po próbach unifikacji i niwelacji Niemiec, obecny podział na *Länder* o spornych i niejasnych granicach nie jest bynajmniej fikcyjny. Najlepiej świadczy o tym fakt, że Niemiec chcący zmienić miejsce pobytu i zamieszkać w sąsiednim kraju niemieckim jest w nim traktowany niemal jak obcy i może mieć wielkie trudności w uzyskaniu prawa osiedlenia. Podobne ograniczenia prawa zamieszkania dla własnych obywateli istnieją zresztą od kilkunastu lat także w Szwajcarii. Po dwóch mniej więcej stuleciach swobody poruszania się Europejczycy wracają do wzorów średnio-wiecznych, kiedy podróżny płacił myto na granicy każdej gminy.

Bardziej jeszcze uderza parcelacja życia kulturalnego. W 1949 miałem wrażenie, że zjawisko to jest przemijającym skutkiem podziału na zony i braku komunikacji. Dziś z różnych szczegółów wnoszę, że chodzi tu o trwalsze zjawisko.

Wiosną już słyszałem w Paryżu, że w ostatniej dekadzie czerwca odbędzie się w Frankfurcie międzynarodowy festiwal muzyki współczesnej, zorganizowany przez Radio heskie. Nie wziąłem wówczas ofiarowanego mi prospektu, sądząc, że w Monachium

znajdę łatwo szczegółowy program festiwalu. Okazało się, że byłem w błędzie. Ani sklepy z muzykami, ani redakcje pism, ani biura informacyjne i turystyczne nie wiedziały nic o festiwalu. Myśl, że ktoś mógłby pojechać z Monachium do Frankfurtu w celu słuchania muzyki, spotykała się wszędzie z niedowierzaniem. Odwiedziłem także biura Radia bawarskiego, organizacji bliźniaczej Radia heskiego. Tam powiedziano mi, że część muzyków zatrudnionych w Radiu bawarskim wyjechała przed parudniami do Frankfurtu celem wzmocnienia tamtejszej ekipy, niczego jednak więcej na Rundfunkplatz nie wiadano. Uprzejma sekretarka telefonowała przez pół godziny do różnych osób dobrze poinformowanych w sprawach muzycznych, ale na próżno.

Wynika stąd, że na 10 czy 20 kompozytorów i wykonawców zainteresowanych zawodowo muzyką współczesną przypada tylko jeden słuchacz. Istnienie podobnej proporcji między muzykami i słuchaczami podejrzewałem już dawniej. W miastach posiadających najlepsze orkiestry symfoniczne widziałem często marną publiczność, nie mogącą wcale ocenić wartości granych utworów ani ich wykonania. Widocznie łatwiej jest zebrać najlepszą nawet orkiestrę niż taką samą liczbę oświeconych słuchaczy. Trudno się nawet temu dziwić skoro nikt się dotąd zbieraniem słuchaczy nie zajmował. Tymczasem w towarzystwach muzycznych, w kompetentnych wydziałach magistratów i biurach rządowych, od których zależy tyle spraw muzycznych, zasiada ta sama właśnie nieoświecona publiczność, opierająca swe decyzje i kalkulacje na ignorancji własnej i czcigodnych kolegów.

Nie znajdując nigdzie wiadomości o festiwalu, postanawiam jechać sam do Frankfurtu.

W handlu księgarskim skutki parcelacji są jeszcze bardziej uderzające. Jako tako zaopatrzone są tylko księgarnie sprzedające literaturę techniczną. Najgorzej stoi literatura piękna. Książek wydanych w odległym o 3 godziny drogi Stuttgartarcie nie ma w żadnej księgarni monachijskiej, nie mówiąc już o książkach z Hamburga, Berlina lub Baden-Baden. Rocznik bibliograficzny, którym posługują się księgarze, jest wyborem książek „najlepiej idących”. Nie znajduję w nim żadnej wzmianki o trzech czwartych potrzebnych mi książek. Na próżno pytam o *Das deutsche Buch*, przewodnik prof. Eppelsheimera po literaturze niemieckiej ostatniego pięcioletnia. Tej zasadniczej książki nie posiada nie tylko żaden księgarz, ale także żadna biblioteka monachijska. Staram się kupić przynajmniej ostatnią powieść Luizy Rinser, nagrodzoną przed kilku miesiącami przez miasto Monachium. I tu doznaję zawodu, bo książkę tę wydała firma S. Fischer w Frankfurcie.

Rozmawiam o tym stanie rzeczy ze znanym mi z poprzedniej

podróży właścicielem literackiej księgarni koło Fraunkirche. Rozmówca mój widzi przyszłość w ciemnych barwach. Od dwóch lat publiczność odwróciła się od książek i literatury. Książka była pierwszą ofiarą polityki deflacyjnej rządu związkowego. Księgarnie sortymentowe nie mają ani pomieszczeń ani kapitału, aby móc trzymać na składzie większą ilość książek. Sprowadzają je więc od wydawcy na zamówienie klienta. Trwa to 5 do 10 dni. Ceny książek wzrastają z dnia na dzień według fantazji kalkulacyjnych wydawców. Cena katalogowa nic w tej chwili nie znaczy.

Aby sprzedać książki posiadane na składzie, mój znajomy ima się różnych sposobów. Każdej środy wieczorem zaprasza klientów do swej księgarni, gdzie mogą wszystko czytać i przeglądać. Księgarz czyta razem z nimi, opowiada anegdoty, wtajemnicza w intrygi, byle zainteresować książkami i literaturą.

Pytam go czy istnieje możliwość nabycia antykwarycznie starych numerów najbardziej znanych miesięczników, jak *Wandlung* lub *Merkur*.

— Przed dwoma laty miałem jeszcze koło tysiąca kg niesprzedanych numerów tych pism. Zbyłem je na wagę wiedząc, że są tam najlepsze rzeczy, jakie napisano w pierwszych latach po wojnie. Ale co robić? O sprzedaniu ich nie ma mowy. Pan jest w ogóle pierwszym klientem, który mnie o to pyta. Przy obecnym braku papieru wszystko to poszło do kotła na wyrób nowego papieru. Ten sam los czeka wszystkie książki, które w ciągu dwóch lat nie znajdą nabywcy.

Moja podróż do Frankfurtu staje się nieunikniona. Może prof. Eppelsheimer potrafi mi coś poradzić.

25 czerwca

Rankiem w redakcji monachijskiego dziennika. Dziennik ten pamiętam w jego początkach, kiedy 2-3 razy na tydzień ukazywał się na 4-6 stronicach za licencją amerykańską, poruszając ostrożnie bieżące tematy. Dziś jest to wielki dziennik, żywy, doskonale poinformowany, z licznymi dodatkami ilustrowanymi, poświęconymi głównie sprawom miejskim i regionalnym. Temu właśnie krajowemu charakterowi dziennik zawdzięcza swój rozwój. Z dawnych lat pozostała mu tylko ostrożność w traktowaniu tematów politycznych.

Naczelny redaktor jest typem doskonale pyknicznym. Sceptyczny i pogodny zarazem, myśli szybko z niezwykłym wyczuciem aktualności. W traktowaniu gości i interesantów posiada własną

metodę. Wszystkich przyjmuje razem, sadzając ich w fotelach dookoła okrągłego stołu. Obecność tylu osób nie przeszkadza mu wcale. Udziela wywiadu przyjezdnemu dziennikarzowi, omawia układ następnego numeru pisma, rozmawia o moich projektach, stawia pytanie i słucha uważnie rozmówców.

Interviewujący go dziennikarz rzuca m.in. pytanie czy prasa niemiecka posiada wpływ na kształtowanie się opinii. Z rozmowy widzę, że nikt z obecnych nie przypisuje dziennikom takiego wpływu. Jesteśmy daleko od czasów, kiedy prasę nazywano *le quatrième pouvoir*. Przychodzi mi na myśl, że złudzenia związane z propagandą radiową na Europę Wschodnią utrzymują się głównie dzięki istnieniu żelaznej zasłony, nie dającej możliwości sprawdzenia wrażeń i reakcji słuchaczy.

W związku z wpływami prasy jeden z rozmówców porusza lekko sprawę ponownego uzbrojenia Niemiec, ale nikt nie ma ochoty wypowiadać się na ten temat.

Heidelberg. Nareszcie widzę miasto niemieckie nietknięte przez bomby. Żałuję, że nie mogę tu zostać dłużej, bo widok jest bardzo pouczający. Miasto leży w wąskiej dolinie Neckaru, pośród lesistych wzgórz. Leży ciche, bez kurzu ruin i gorączkowego ruchu ulicznego. Główna ulica mija nową dzielnicę i prowadzi do miasta starego z pięknym rynkiem, sławnym niegdyś uniwersytetem i wznoszącym się na wzgórzu wśród zieleni zamkiem. Starsze budynki wzniesione są z szaro-malinowego kamienia, nadającego całej dzielnicy niemal jednolitą barwę.

Uderza mnie widok kilku wielkich i doskonale zaopatrzonych księgarni. W witrynach widzę większą część nowości wydawniczych, których na próżno szukałem w Monachium. Chaos w handlu księgarskim i odwrót czytelników są widocznie zjawiskami związanymi z ruiną miast. W Heidelbergu znajduje się kilka dobrych firm wydawniczych; tu wychodziło do końca 1949 *die Wandlung*, jedno z najlepszych czasopism tego rodzaju.

Ruch uliczny toczy się bez pośpiechu. Restauracje i kawiarnie mają wygląd przedwojenny, nie widać na nich wahań koniunktury. Studenci piją piwo. Z miejscowej gazety dowiaduję się, że ostatnio młodzież wznowiła również tradycję tzw. mensur czyli pojedynków na rapiery, co wywołuje żywe dyskusje. Jedni są za, inni przeciw wznawianiu tego obyczaju.

Oglądam stary uniwersytet. Obok stoi nowy budynek uniwersytecki z betonu i szkła, podobny do domu towarowego i kłócący się z otoczeniem. Budynek ten jest zresztą zarekwirowany przez amerykańskie władze okupacyjne.

W okolicy uniwersytetu znajduje się kilka starych, dobrze

zachowanych domów z różnych wieków. Cała dzielnica jest zresztą stara, utrzymana w duchu XVIII wieku. Sam pobyt w takim mieście musi posiadać dla studentów — zwłaszcza obecnie — wartość wychowawczą.

26 czerwca

Frankfurt. Śródmieście zostało tu zburzone radykalniej jeszcze niż w Monachium, i odbudowa jest mniej posunięta. Roboty natomiast są w pełnym biegu. Całkowitemu zniszczeniu uległa stara dzielnica z domami dawnych patrycjuszów. W dzielnicy tej, którą pamiętam niejasno z lat przedwojennych, stoją tylko zieleniejące z wierzchu pagórki gruzów. W swych rysach ogólnych Frankfurt różni się bardzo od Monachium. Gdy to ostatnie — w swych budynkach monumentalnych przynajmniej — jest dziełem fantazji jednego króla, w Frankfurcie widać powolną pracę paru pokoleń zamożnego mieszczaństwa.

W świeżo wykończonym, jednopiętrowym budynku Radia heskiego dowiaduję się, że festiwal już się rozpoczął. Otrzymuję całą książeczkę z portretami kompozytorów i analizą utworów figurujących w programie festiwalu. Dzięki uprzejmości zarządu Radia dostaję też bilety na najbliższe koncerty.

Muzykę dawną słyszałem zawsze w pewnym wyborze. Wybór ten jest być może stronny i powierzchowny, lecz posiada dla słuchacza pewną zaletę: utwory najniestrawniejsze zostały z programu koncertów skreślone. Muzykę współczesną słyszymy przed selekcją. Na festiwalach mamy przed sobą całą krescencję muzyczną ostatnich 2-3 lat i musimy sami odróżnić lepsze od gorszego. Wśród kilkudziesięciu utworów zazwyczaj kilka tylko nosi znamiona wielkiego talentu lub daje skądinąd do myślenia, lecz te właśnie utwory stanowią o obliczu muzyki współczesnej. Aby się z nimi zapoznać, należy przede wszystkim wysłuchać cierpliwie całego programu. Niestety będę mógł być tylko na trzech z jedenastu koncertów.

Pierwszy koncert. Sala Radia heskiego jest niewielka, mieści 350-400 osób. Ściany jej są wyłożone polerowanym drzewem. Wielka orkiestra Radia berlińskiego robi w niej niesamowity huk. Właściwości akustyczne sali odpowiadają być może potrzebom radia, lecz nie sprzyjają muzyce współczesnej. Ta ostatnia nie ma na ogół szczęścia do wykonawców. Przy pierwszych audycjach chodzi głównie o jej poprawne odczytanie, ale już to założenie obniża najwidoczniej w praktyce wymagania i sprawia, że utwory są grane na chybił trafił. W sali Radia heskiego hałas instrumen-

tów przeszkadza spokojnemu rozpatrzeniu wykonywanych utworów.

Na dzisiejszym koncercie utworem najbardziej udanym była sonata na skrzypce i orkiestrę naszego emigracyjnego kompozytora Michała Spisaka. Jej pomysł i budowa są bardzo przekonujące, całość zaś błyskotliwa i bardzo przyjemna do słuchania. Utwór ten ma wielkie szanse wejścia do repertuaru koncertów symfonicznych.

Utworem, który dał zapewne frankfurckim słuchaczom najwięcej do myślenia, było 5 refrenów Messiaena na 12 głosów solowych, wykonanych z imponującą precyzją przez francuski chorał Couraud. Kompozycja Messiaena miała lodowaty blask muzyki intelektualnej i była długo oklaskiwana. Mam wrażenie, że przyczyną tego entuzjazmu była raczej niezwykłość utworu i wykonania niż przekonania słuchaczy do tego rodzaju muzyki.

27 czerwca

Rankiem zwiedzam „das Goethehaus”. Zburzony, jak wszystkie domy sąsiednie, do fundamentów w 1944, dom rodziców Goethego został odbudowany wiosną br. najdokładniej według zachowanych planów i fotografii. Nowe ściany i podłogi pokryto rodzajem patyny.

Pomysł ten wywołał różne głosy krytyczne. Wielu sądziło, że taki falsyfikat nie licuje z rzetelnym kultem dla znakomitego poety. Toteż z pewną podejrzliwością przestąpiłem próg domu. Zapoznanie się z jego wnętrzem zostawiło mi jednak wrażenie, że pomysł odbudowania domu był słuszny. Przed zburzeniem dom był rodzajem muzeum, w którym przechowywano wszystkie przedmioty, jakie znajdowały się tam w dzieciństwie i młodości Goethego. Przedmioty te zabezpieczono przed bombardowaniem, i należało je potem gdzieś umieścić. W budynku naśladowującym dokładnie dom rodziców Goethego przedmioty te nie są martwymi eksponatami muzealnymi, lecz posiadają pewne życie, umożliwiając rozpoznanie ich sensu i znaczenia.

Są to meble, książki, instrumenty muzyczne, kilkadziesiąt obrazów i liczne przedmioty domowego użytku, których sens zrozumiał jest tylko w miejscu ich pierwotnego przeznaczenia. Razem wzięte, przedmioty te dają pojęcie o wychowaniu i wykształceniu Goethego, o wczesnym wyszkoleniu jego wrażliwości artystycznej i różnorodności zainteresowań.

Jak w wielu dawnych domach frankfurckich, uderza tam jakoś starych mebli z XVIII wieku. Każdy z nich jest indywidualnym

tworem artystycznego rzemiosła. Dzieci wychowane w takich wnętrzach muszą posiadać inną wrażliwość, inny stosunek do świata przedmiotów niż dzieci, które wyrosły otoczone fabryczną tandetą. Odległość między domem Goethego i mieszkaniem w dzisiejszej czynszowej kamienicy jest zapewne ta sama, co między wizjami świata autora „Fausta” i Franza Kafki.

Bardzo ciekawa jest też — z punktu widzenia wychowawczego i z punktu widzenia formacji artystycznej Goethego — kolekcja obrazów znajdujących się w posiadaniu jego rodziców. Są to obrazy dobrych malarzy niemieckich XVIII wieku, interesujące przez różnorodność swych przedmiotów.

Bardzo charakterystyczny i bogaty jest sprzęt kuchenny, skrzynie na chleb, rzeźbione drewniane formy na pierniki i ciastka z anyżem, cała seria form na poddingi i kisiele itd. Nawet przygotowanie jedzenia posiadało w tych czasach coś z rzemiosła artystycznego. W tym miejscu następuje się porównanie między wizjami świata Goethego i Williama Faulknera, którego jeden z bohaterów „szedł przez życie z nożem do otwierania konserw w rękę”.

„Das Goethehaus” zawiera niezrównany materiał dla studiów nad historią wychowania i formacji kulturalnych Europejczyków.

Wiesbaden. W programie festiwalu znajduje się opera buffo hiszpańskiego kompozytora mieszkającego w Anglii, nazwiskiem Roberto Gerhard. Wystawienia jej podjął się teatr miejski w Wiesbaden, dokąd jadę po południu autobusem kolejowym. Jest to mały Volkswagen na 7 osób. Wozy te uruchomiane są w liczbie odpowiadającej każdorazowej liczbie podróżnych.

Wiesbaden jest również miastem nietkniętym przez wojnę, lecz zupełnie innym od Heidelbergu. Ten ostatni jest przede wszystkim miastem uniwersyteckim, Wiesbaden natomiast jest miastem wesołym, posiadającym eleganckie kawiarnie, teatry i kasyna, leżące na skraju starego parku. Dokoła nich widzę w Niemczech po raz pierwszy elegancki, ożywiony tłum poszukujący rozrywek i mało liczący się z pieniędzmi.

Jest to oczywiście tylko jeden z aspektów miasta. Idąc przez nie pieszo widzę starannie zabudowane ulice, których mieszkańcy jadają zapewne w domu i wcześniej kładą się do snu. Po drodze widzę też ciekawą starą część miasta. Wszystko to zdaje się leżeć bardzo daleko od Monachium i nawet od odległego o pół godziny Frankfurtu. *Genius loci* jest tu zupełnie inny. Niemcy są zjawiskiem złożonym, którego nie podobna ująć w żadną prostą formułę.

W teatrze „La dueña” przynosi mi pewne rozczarowanie. Jest to publiczna lektura tekstu, bez kostiumów i dekoracji. Na jaskrawo oświetlonej scenie siedzą w kilku rzędach krzesel artyści w wielkich toaletach i frakach: gwiazdy po środku, otoczone

chórem. Muzyka jest pełna ruchu, werwy, folkloru; chór towarzyszy większości epizodów. Opera buffo Roberto Gerharda musi być świetnym utworem scenicznym.

Utwór ten zdaje się wskazywać na pewną nową linię rozwoju opery współczesnej. Dotąd przywykliśmy widzieć w operze w pierwszym rzędzie muzykę. Oper Wagnera, Richarda Straussa lub Debussy'ego można z równą przyjemnością słuchać poza teatrem, w wykonaniu koncertowym. Muzyka przytłacza i spycha na dalszy plan ich libretto i stronę widowiskową. Skutkiem tej ewolucji był coraz widoczniejszy odwrót publiczności od teatrów operowych. Specjaliści twierdzą, że przed wojną liczono ogółem 75 oper przyciągających słuchaczy i opłacających swe koszty: dziś liczba ich nie przekracza 40.

Zmierzch opery dałoby się być może odroczyć przez przywrócenie jej wartości teatralnych. Możliwość te wskazał ostatnio Giancarlo Menotti w swym „Konsulu”, będącym żywym, aktualnym utworem scenicznym. Sama muzyka zdaje się w nim być na służbie teatralnej całości widowiska. Ten sam rys znajdujemy w „Telefonie”, krótkim szkicu operowym Menottiego. Mimo zupełnie innego charakteru muzyki, „La dueña” Gerharda zdaje się posiadać taką samą sceniczność.

Wobec kosztów wystawienia każdej nowej opery, publiczne próby czytane — dla zbadania reakcji słuchaczy — zdają się wchodzić w modę, i wypada pomyśleć o właściwych formach takich audycji. Trzymanie artystów scenicznych przez cały wieczór na krześle z nutami w ręku wydaje mi się czymś przeciwnym naturze, zwłaszcza gdy chodzi o operę buffo. Wielkie toalety i fraki wydają mi się również nie na miejscu podczas próby czytanej. Artystom należało by dać pewną swobodę ruchów i możliwość markowania roli. Jako kostium widzę raczej ubranie robocze i perukę, co dałoby słuchaczom możliwość śledzenia intrygi. Refleksjami tymi dzielę się po przedstawieniu z autorem, który też nie jest zbyt zadowolony z wieczoru i podziela moje zastrzeżenia.

28 czerwca

Wizyta u frankfurckiego wydawcy Petera Suhrkampa, który proponuje mi wspólne spotkanie u prof. Hansa Wilhelma Eppelsheimera, dyrektora instytucji obejmującej zarazem bibliotekę miejską i uniwersytecką oraz centralną dla całych Niemiec Deutsche Bibliothek.

Biblioteka ta mieści się w dawnym pałacu Rotschildów na brzegu Menu, odbudowanym sumarycznie po częściowym zbu-

zeniu. Prof. Eppelsheimer, którego znam jako autora historii literatury światowej i bardzo użytecznego przewodnika bibliograficznego do teje historii, opowiada o początkach swej biblioteki. W 1945-1946, widząc efemeryczny charakter ówczesnych wydawnictw niemieckich, zaczął zbierać wszystkie książki nowe na własną rękę. Dopiero po pewnym czasie uzyskał na to subwencję miasta. Dzięki tej inicjatywie powstała jedyna dziś biblioteka posiadająca wszystkie książki niemieckie ostatniego pięciolecia.

Przyszłość książki niemieckiej prof. Eppelsheimer widzi w dość ciemnych barwach. Książka utraciła pozycję uprzywilejowaną, jaką zajmowała dotąd wśród innych towarów. Przy trudnościach płatniczych jest jednym z pierwszych artykułów, których przywóz jest zakazany. W obecnych warunkach ekonomicznych książka może się łatwo stać towarem sezonowym. Nie sprzedane w ciągu roku lub dwóch egzemplarze będą znikaały z handlu, jak to już ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Stąd rola, jaka w tych okolicznościach może przyspać bibliotekom.

Peter Suhrkamp i prof. Eppelsheimer aprobują mój plan numeru niemieckiego *Kultury* i robią ustny przegląd literatury niemieckiej ostatniego pięciolecia, z czego robię notatki. Wynika z nich, że oprócz czasopism mam jeszcze koło stu tomów do przejrzienia.

Wieczorem koncert symfoniczny w gmachu Radia. Interesuje mnie przysłany z Polski utwór młodego lwowskiego kompozytora, Stanisława Skrowaczewskiego. Spodziewam się, że da mi pojęcie o obecnej twórczości krajowej i da poznać skutki tamtejszej cenzury muzycznej. Utwór ten, napisany na soprano i małą orkiestrę, nosi nazwę „Pieśni nad pieśniami”. Niestety, nie można zeń w ogóle nic wnosić.

Kultura nr 47, wrzesień 1951

DZIENNIK PODRÓŻY DO WESTFALII

(Październik - listopad 1954)

Dawne *Länder*, kraje stanowiące niegdyś Rzeszę niemiecką, okazały niewyczerpaną żywotność. Część ich znikła w wieku XIX. Partykularyzmy regionalne zacierają się powoli na skutek stałej migracji ludności z wschodu na zachód. Wielkie przetasowanie ludności podczas ostatniej wojny zmyło wreszcie na pozór odrębność krajów niemieckich.

Po wielkiej katastrofie życie zaczęło się jednak odradzać, od dawnych ośrodków regionalnych. Kraje stanowiące obecnie Republikę federalną niemiecką ukazały się znów na mapie, ale szukały długo swych granic.

Łączenie się krajów historycznych w nowe jednostki i przystosowanie ich granic do nowych warunków gospodarczych i administracyjnych nie jest być może i dziś całkowicie zakończone; wzdłuż Renu istnieją w tej chwili cztery kraje autonomiczne, posiadające własne rządy i parlamenty. Są to, jadąc z południa na północ: Badenia-Wirtembergia, Hesja, Nadrenia-Północna Westfalia i na lewym brzegu — Nadrenia-Palatinat.

Koleje, dokumenty, podróże etc.

Jadąc w końcu października 1954 — w kilka dni po podpisaniu umów paryskich o ponownym uzbrojeniu Niemiec — z Bazylei do Kolonii, przypominam sobie, że tą samą drogą jechałem przed dziewięć laty, chłodną jesienią 1945.

Wagony posiadające w oknach szyby były wówczas zarekwi-

rowane przez wojska okupacyjne. Pasażerowie cywilni tłoczyli się w wagonach bez szyb, na mroźnym wietrze. Wszystkie stacje były czarnymi od pożaru ruinami. Pociągi wlokły się powoli po świeżo położonych szynach i tymczasowych mostach. Wyjeżdżający rankiem z Bazylei przyjeżdżał na wieczór do Karlsruhe, gdzie musiał nocować na cementowej podłodze schronu kolejowego. Podróż do Frankfurtu zabierała cały następny dzień. Przyjezdny widział tam zrazu tylko pagórki gruzu, z których wystawały gdzieś tam okopcone ściany. Znalazienie noclegu wymagało nie tylko znajomości ludzi i rzeczy, ale także długich wędrówek po nieoświetlonych i zasypanych gruzem ulicach. Jadący wzdłuż Renu przekraczał kilka linii demarkacyjnych; na każdej z nich żądano odeń papierów i niełatwych do zdobycia przepustek. Myśl o drodze do Kolonii lub Hamburga napełniała zniechęceniem najwytrwalszych podróżnych.

W cztery lata później znalazłem stare wagony zaopatrzone w szyby i ogrzewane w zimie. Dworce kolejowe były nadal w ruinach, ale przed każdym funkcjonowało biuro przydzielające podróżnym pokoje na nocleg.

Przed dwoma laty większe miasta posiadały już pewną liczbę odbudowanych lub całkiem nowych hoteli. Koleje chodziły sprawnie; w ciągu jednego dnia można było przejechać znaczną część kraju. Znikły wagony zarezerwowane dla wojskowych. Na wielu widać było napis: odnowiony staraniem armii amerykańskiej. Biura paszportowe władz okupacyjnych wystawiały wizy ważne dla całych Niemiec Zachodnich.

Obecnie jadącego do Niemiec czeka kilka miłych niespodzianek. Niemcy są jedynym krajem, do którego emigrant z Europy Wschodniej otrzymuje wizę *stante pede*, po wypełnieniu najprostszego ze znanych mi formularzy. Następną niespodzianka czeka go na granicy.

Przechodząc rankiem na dworzec w Bazylei, znalazłem na peronie niemieckim sznur purpurowych wagonów noszących nazwy Loreley-Express. W pierwszej chwili myślałem, że mam przed sobą jeden ze zbytkownych pociągów służących do obwożenia gości oficjalnych, lecz zbliżywszy się zobaczyłem, że składa się przeważnie z wagonów trzeciej klasy. Niemcy odnowiły w znacznej mierze swój tabor kolejowy i część pociągów dalekobieżnych składa się obecnie z wagonów ofiarowujących podróżnym nieznaną dotąd wygodę.

Każdy pasażer otrzymuje rozkład jazdy swego pociągu, wykazujący wszystkie użyteczne połączenia. Z leżącego na moim miejscu rozkładu dowiaduję się, że podróż z Bazylei do Amsterdamu lub Brukseli trwa 12, do Hamburga 10, do Kolonii 8 i do Frankfurtu

4 lub 6 godzin. Do każdego miasta można dojechać przed nocą. Uderza również wielki wybór pociągów łączących wielkie miasta we wszystkich kierunkach.

Podróżni obcy

Ofiarowując podróżnym tyle wygód, Niemcy ściągną zapewne do siebie większą liczbę turystów odwiedzających dotąd inne kraje. Co jednak mogą im dać poza komfortem wagonów i nowozbudowanych hoteli, przy których znane hotele Europy Zachodniej przypominają zabytki historyczne? W klasycznych krajach turystyki przyjezdni oglądają okryte sławą pałace, stare kościoły, pomniki i muzea, wzrok ich zwraca się ku przeszłości. Niemcy posiadają też niemało pałaców pozostałych po różnych dynastiach, starych kościołów i muzeów, znanych za wszystkich czasów znawcom, jak widać chociażby z tego, co Edmond de Goncourt pisze w swym dzienniku o rokoku niemieckim. Dla różnych subtelnych i mało uchwytnych przyczyn zabytki przeszłości niemieckie nie posiadały u turystów obcych tego samego autorytetu co *châteaux de la Loire* i miasta włoskie. Niemcy historyczne i ich sztuka zostaną być może też odkryte przez wielką publiczność międzynarodową. Na razie co innego przyciąga do Niemiec obcych podróżnych.

Niemcy są dziś najczulszym punktem stosunków między Wschodem i Zachodem, miejscem, w którym krzyżują się wszystkie kalkulacje zdążające do odgadnięcia przyszłości Europy, a być może i globu.

Od dawna już Niemcy zajmują miejsce, z którego wzrok sięga najdalej w przyszłość. Już w kilka lat po pierwszej wojnie światowej stało się jasne, że przyszłość Europy zależeć będzie od ewolucji wewnętrznej Niemiec. Zniknięcie dawnego „koncertu europejskiego” i poróżnienie się zwycięzców Niemiec stworzyło na kontynencie próżnię, której wypełnienie przypadło Niemcom. Rozbieżność domniemanych interesów i słabość krajów peryferyjnych zapewniały Niemcom długotrwały pokój, lecz stwarzały jednocześnie wyjątkowo pomyślne warunki dla prób opanowania całego kontynentu. Od wyboru Niemiec zależał dalszy los Europy.

Sytuacja obecna jest zgoła odmienna. Niemcy wtłoczone są w system równowagi między Wschodem i Zachodem. Środkiem kraju przebiega linia demarkacyjna, na której można wymierzyć siłę nacisku obu bloków. W żadnym innym miejscu Europy nacisk ten nie jest tak bezpośredni i widoczny. W razie zachwiania

się obecnej równowagi, Niemcy — niezależnie od życzeń ich mieszkańców — wejść muszą w orbitę strony silniejszej.

Na razie Niemcy nie mogą powziąć żadnej inicjatywy mogącej zmienić sytuację, bo nawet ich ponowne uzbrojenie nie wniesie do niej żadnych nowych danych. Dopiero dalsze postępy „odprężenia” i polityki „koegzystencji” mogą stworzyć luzy dające Niemcom możliwość samodzielnego manewrowania między obu blokami.

W jakimkolwiek kierunku pójdzie ewolucja wewnętrzna Niemiec, będzie to zależało w znacznej mierze od tego, jak Niemcy będą oceniali położenie ogólne Europy, zwłaszcza zaś siły i możliwości bloku wschodniego. Zawodność takich eksperych jest oczywista. Jeden z twórców angielskiego systemu *balance of power* — utrzymywania na kontynencie równowagi sił i popierania w tym celu strony słabszej — pisał, że największym brakiem tego systemu jest trudność rozpoznania przed końcem wojny, która strona jest silniejsza. O ileż trudniejsza jest ocena bloków obejmujących po parę kontynentów i po kilkadziesiąt narodów. Nikt jednak nie chce rezygnować z takich kalkulacji, zwłaszcza gdy od ich wyniku zdaje się zależeć jego przyszłość.

Nigdzie indziej Europa Wschodnia nie jest badana równie uważnie jak w Niemczech, posiadających pewnego rodzaju monopol na wiadomości przenikające z drugiej strony linii demarkacyjnej. Liczne instytuty badawcze zajęte są zbieraniem książek, pism, relacji i wiadomości o Europie Wschodniej. Niektóre z nich posiadają prawdziwe skarby informacji, które przy pomocy maszyny do liczenia i tablic logarytmów można układać w wykresy i cyfry służące nowożytnym astrologom do stawiania horoskopów.

Publikacje, biblioteki i archiwa tych instytutów są przeważnie dostępne dla obcych, ale korzystanie z nich wymaga przygotowania, a także czasu na studia przynoszące w końcu uczucie niedosytu i zwątpienia. Z punktu z którego według wszelkich rozumnych obliczeń wzrok powinien sięgać najdalej w przyszłość, widać tylko niezmierną równinę spowitą w mgłę.

Niemcy przyciągają dziś wielu podróżnych ciekawych przyszłości. Nieliczni z nich tylko, rzecz prosta, mają czas na zgłębienie tego nieuchwytnego przedmiotu. Większości ich wystarcza, że mieli możliwość dotknięcia instrumentów służących do mierzenia ambicji dyktatorów oraz oglądania magicznych cyfr i pogrążonych nad nimi w medytacji astrologów. Sam widok ten uspokaja najczęściej ciekawych, dając im pewność, że przynajmniej dostępna dla oka część przyszłości nie pozostanie nierozpoznana.

Rywalizacja między Wschodem i Zachodem toczy się zresztą

nie tylko w sferze spekulacji umysłowych, ale także w dziedzinie gospodarczej i społecznej, gdzie fakty są łatwiej uchwytne i gdzie doświadczenia niemieckie ostatnich lat są ze wszech miar godne uwagi.

W Westfalii: o czym się mówi

Z łaski dziennikarzy przyjęte było przez dłuższy czas uważać kraje bałkańskie za beczkę prochu, do której wystarczy zbliżyć zapalną, aby wywołać wybuch mogący wstrząsnąć całą Europą. Wystarczy wszakże jednego spojrzenia na te kraje — na ich chaty kryte słomą i na stojących przed nimi chłopów w białych portkach i wyszywanych koszulach — aby się przekonać, że ludność ich na pewno nie potrafi dokonać niczego co mogłoby zachwiać porządkiem kontynentu. Sama nawet używana w krajach bałkańskich broń palna i potrzebna do niej amunicja były za wszystkich czasów przywożone z zagranicy.

Wystarczy również jednego spojrzenia na Westfalię, aby upewnić się, że tu właśnie znajduje się gigantyczna kuźnia Hefajstosa, dostarczająca od kilkudziesięciu lat broni najsilniejszej armii Europy. Jak okiem zajrzeć, wszędzie stoją wyciągi kopalni, rotundy koksośni, kominy odlewni i walcowni oraz korpusy fabryk metalurgicznych różnej specjalności. Sama nawet ziemia Westfalii wygląda tak, jak gdyby europejska beczka prochu wybuchła na niej już kilkakrotnie, pokrywając kraj żużłami i popiołem. Wreszcie i rozmowy mieszkańców odpowiadają dość dokładnie temu otoczeniu.

Z okazji wstąpienia na tron Edwarda VIII, angielskie towarzystwo *Mass Observation Movement* ogłosiło tom, zawierający strzępy rozmów słyszanych przez jego współpracowników w dniu koronacji. Mając w pamięci ten wzór, staram się zebrać wątki rozmów słyszanych w ciągu ostatnich dni.

Prócz jednej rozmowy o najbliższym sezonie operowym, wszystko co słyszałem odnosiło się do uzbrojenia Niemiec. Nawet nieznamomi wstępowali ze mną w rozmowy na ten temat. Od dnia podpisania umów paryskich Westfalia nie ma na pozór żadnego innego przedmiotu rozmów, komentowanego zresztą nieustannie przez prasę.

Zainteresowania Westfalczyków skupiają się głównie na przypuszczalnych skutkach gospodarczych uzbrojenia:

— Cena miedzi podniosła się znów.

— Wszystkie akcje przemysłu ciężkiego mają tendencję zwyżkową.

— Od początku wojny koreańskiej nie było jeszcze tak pomyślnej koniunktury.

— Poziom życia podniósł się wówczas najwydatniej, można więc spodziewać się i teraz nowej zwwyżki zarobków i płac.

Nie brak jednak i głosów sceptycznych:

— Zbrojenia pociągną za sobą ograniczenia produkcji dóbr konsumpcyjnych, których i tak nie ma za wiele.

— Zmniejszenie ilości towarów przy jednoczesnej ekspansji kredytowej może wywołać nową inflację.

— Wykorzystać obecną koniunkturę można tylko przy ostrożnej i ograniczonej produkcji broni.

— Do takiej polityki rząd nie posiada warunków. Czy myśli pan, że Amerykanie będą patrzyli biernie na powolność zbrojeń i przedłużanie w nieskończoność obecnej sytuacji? Będą parli do najszybszego uzbrojenia. (Zapewne w wyniku długotrwałej okupacji, Niemcy mają bardzo wygórowane pojęcie o wpływie Stanów Zjednoczonych na rządy i opinię publiczną w Europie).

Co pewien czas pada także pytanie:

— Ale co na to powie Rosja? W tej chwili Kreml szuka porozumienia z Zachodem, ale czy ta polityka wytrzyma obecną próbę?

Nie udaje mi się odwrócić uwagi żadnego z przygodnych rozmówców od tematów zbrojeniowych. O czymkolwiek zaczynam mówić, rozmowa powraca po chwili do tego samego przedmiotu. Mając w pamięci pewną ilość takich rozmów, staram się wyciągnąć z nich ostrożne wnioski.

W żywiołowej sile, z jaką zagadnienia uzbrojenia opanowały umysły Westfalczyków, wyraża się nie tylko *genius loci*, lecz także zaskoczenie przez umowy paryskie. Odraczana latami decyzja wydawała się odległą i niepewną; wreszcie przestano o niej mówić. Lud nie miał okazji wypowiedzenia się w tej sprawie i nie ma być może o niej jasnej opinii. Dla większej części czytelników gazet umowa paryska była niespodzianką. Nikt nie wie, dlaczego doszła do skutku właśnie w tej chwili.

Jeszcze przed dwoma laty na wszystkich płotach i murach Niemiec widniały napisy *ohne uns*, świadczące o istnieniu czynnych przeciwników uzbrojenia i służby wojskowej. Obecnie widzę zaledwie kilka takich napisów, splukanych w połowie przez deszcze. Czy wnosić stąd należy, że liczba przeciwników uzbrojenia zmalała, czy też że długotrwałe przewlekanie sprawy uspiło ich czujność? Czy po podpisaniu umów paryskich okażą znów więcej inicjatywy?

To co widzę i słyszę nie upoważnia do takich przewidywań, w każdym razie nie w Westfalii. Uderza mnie tu pewnego rodzaju

bierność i bezosobowość słyszanych komentarzy. Obywatele omawiają zapadłe decyzje jak fakty natury stojące poza zasięgiem sądów wartościujących, ograniczając się do rozważania zagadnień stojących w ich mniemaniu przed rządem Republiki federalnej. Nic nie zdradza w ich słowach, aby w sprawie uzbrojenia posiadali jakieś mocne przekonania własne lub aby przekonaniom tym przypisywali znaczenie.

Taka postawa nie jest zjawiskiem wyłącznie niemieckim. Wszystkie ludy Europy Zachodniej, znużone nierozwiązalnymi zagadnieniami, pragną dziś złożyć odpowiedzialność w ręce rządów, którym we wszystkich ważniejszych sprawach parlamenty udzielają najszerszych pełnomocnictw. Nie ma na ogół nigdzie czynnej opinii publicznej; ludy stoją najczęściej w milczeniu za swymi rządami. Można przypuszczać, że partie komunistyczne zawdzięczają część swego powodzenia faktowi posiadania monopolu na opinie inne od rządowych. Niemcy nie odbiegają tu zapewne od ogólnoeuropejskiego szablonu.

Liberalizm niemiecki

Od swych protektorów amerykańskich Republika federalna niemiecka przejęła zasady inicjatywy prywatnej i wolnej konkurencji. Po dłuższym okresie etatyzmu hitlerowskiego Niemcy wróciły do liberalizmu, który miał tu zawsze licznych zwolenników, nie tylko w zainteresowanych sferach gospodarczych, ale także np. na uniwersytetach.

Eksperyment ten, na który — prócz wolnej konkurencji — złożyły się przede wszystkim pomoc finansowa Ameryki, *das deutsche Arbeitswunder*, a wreszcie i eliminacja przez bombardowania przedsiębiorstw nierentownych, wydał w zdumiewająco krótkim czasie bardzo pomyślne wyniki. Ludność Niemiec Zachodnich jest zatrudniona; bezrobocie zdaje się posiadać obecnie charakter lokalny, ograniczony do trudniejszych do zagospodarowania okręgów; artykuły spożywcze i inne towary powszechnego użytku są tańsze niż w krajach sąsiednich; opieka społeczna zdaje się funkcjonować wydatniej niż gdzie indziej; czytamy wreszcie, że oszczędności gotówkowe przekroczyły dziesięć miliardów marek.

Powodzenie gospodarcze nie wyczerpuje jednak potrzeb i ambicji ludności. Po latach wojny, przewrotów i ubóstwa, wszyscy chcieliby utrwalić swą nową, chociażby nawet umiarkowaną zażyłość. Opinię kraju nurtują w tej chwili dwa sprzeczne prądy: z jednej strony wiara w zalety systemu liberalnego i trwałość obecnej koniunktury, z drugiej zaś dążenie do stabilizacji i cią-

głości życia, wyrażające się w różnych projektach reglamentacji życia gospodarczego. Profesor Ludwik Ehrhard, minister spraw gospodarczych rządu federalnego, charakteryzuje te projekty jako „powrót do ustroju cechowego”. Obie tendencje można było wyczuć w przytoczonych wyżej rozmowach.

Te dwie sprzeczne tendencje rodzą się niejako ze wzrostu zamożności i liczby posiadających, którzy chcieliby zabezpieczyć i utrwalić swój stan posiadania, chociażby za cenę wyrzeczenia się dalszego wzrostu dochodów. Bez obawy popełnienia większej omyłki można przewidywać, że w ciągu najbliższych lat ludność Niemiec będzie tak samo konserwatywna i ostrożna jak ludność pozostałej Europy Zachodniej. Proletariat nie mający do stracenia nic prócz kajdanów istnieje dziś w wielkich masach głównie na obszarach bloku wschodniego. Szeregi jego topnieją szybko na Zachodzie. Większe grupy proletariatu istnieją dotąd we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji, ale wystarczy być może jeszcze kilka lat obecnej koniunktury i kilku wysiłków polityki społecznej, aby grupy te zaczęły również maleć. W Niemczech — jak w wielu innych krajach Zachodu — ludzie pracy zbliżają się do posiadania własnych mieszkań, stałego zatrudnienia i oszczędności. Kto nie ma tego dziś, widzi osiągnięcie tych celów w perspektywie niewielu lat. Byle tylko obyło się bez wojny, byle nie zrobiono żadnych kroków nieprzezornych mogących spłoszyć koniunkturę.

Düsseldorf

Odrodzenie gospodarcze nie objęło równomiernie całego obszaru Republiki federalnej. Wszędzie uderza wzrost zamożności, ale zjawisko to nie ma nigdzie tych samych rozmiarów jak w Nadrenii-Westfalii, gdzie rozbudowa przemysłu przybrała formy rwącego potoku, znoszącego lub przeskakującego leżące na jego drodze przeszkody.

Ewolucja ta ma dwa różne oblicza, z których jedno, nieco lekkomyślne i niepokojące, widać w Düsseldorfie, siedzibie rządu i parlamentu Nadrenii-Westfalii, drugie zaś w Dortmundzie, wielkiej aglomeracji robotniczej.

Dawna siedziba elektorów Palatynatu, Düsseldorf zachował z tych czasów trochę starych budynków, parę pałaców i pięknych parków, leżących w środku miasta. Najelegantsze miasto Niemiec — jak mówią o nim Westfalczyki — wita dziś przyjezdnych widokiem ruin otaczających dworzec kolejowy. Niecały kilometr drogi dzieli ten ostatni od głównej arterii miasta, tonącej w zieleni

Königsallee, za którą leży stare miasto, schodzące po łagodnej pochyłości ku rzece. Ren opuszcza tu skaliste brzegi i płynie powoli, ogromny, wśród zielonych pagórków.

Ojczyzna Heinego, Düsseldorf odbiega nieco od szablonu innych miast niemieckich. Nie ma tu wprawdzie uniwersytetu, ale jest stara akademія sztuk pięknych, której dawne zbiory są dziś główną podstawą monachijskiej Pinakoteki, i teatr znany już w pierwszej połowie XIX wieku. Düsseldorf posiadał zawsze bardzo zamożne mieszczaństwo i interesujące życie artystyczne.

Po krótkim pobycie trudno osądzić co — prócz niejasnych tradycji — zostało w Düsseldorfie po tamtych czasach. Przez zrujnowane podczas wojny ulice miasta przeszła w ostatnich latach wielka fala pieniędzy, splukujących rzeczy dawne jeszcze dokładniej niż fale bombowców. W środku miasta wyrosły budynki wzniesione na miarę nowej fortuny kraju. Na jednej z głównych ulic stoi sznur ogromnych budynków banków, w których tysiące urzędników rozdzielają mannę kredytów. Rząd Nadrenii-Westfalii mieści się w nowym gmachu z żelazo-betonu i szkła, przeglądającym się w jeziorze o romantycznej nazwie Schwannenspiegel.

Najbardziej nowa w tym mieście wydaje mi się jednak publiczność, którą widzę na ulicach. Już przed 11-tą rano nowe i przeważnie gustownie urządzone kawiarnie śródmieścia wypełniają się publicznością, która ma na pozór równie wiele wolnego czasu co pieniądze i, po latach klęski, zdaje się śpieszyć do lekkomyślności i beztroski. Podobną publiczność widziałem przed dwoma laty w Wiesbaden. Było to jednak letnim wieczorem przed premierą w otoczonym starym parkiem gmachu teatru. Tu oglądam ją rankiem w dzień powszedni. Znajomy, który spędza wiele czasu w Niemczech, zwracał mi uwagę na wielką ilość osób jedzących tu kawior na śniadanie bez żadnej szczególnej przyczyny, po prostu aby nie stracić okazji zjedzenia czegoś smacznego. Düsseldorf jest zapewne stolicą zjadaczy kawioru na co dzień. Przyglądam się damom zasiadającym w kawiarniach na Königsallee. Niektóre, mimo ciepłej jesieni, noszą już futra. Żadna z nich na pewno nie pochodzi ze starej burżuazji düsseldorfskiej: wydają się nieco oszołomione swą nową beztroską i brak im jeszcze nieodłącznej od zbytku dyscypliny.

Za lśniącymi fasadami Königsallee leży odbudowywana w tej chwili dzielnica ruin. W południe widzę śniadających tam majstrów i monterów. Zarobki ich muszą być nienajgorsze, bo i im udzieliło się coś z wesołej pogody zamożnych.

Nie bez żalu opuszczam to miasto, gdzie zamożność posiada jeszcze świeżość uśmiechu fortuny. Inne miasta, nawet bogatsze

od Düsseldorfu, wydają mi się w tej chwili ponure, odpychające swym koszmarnym skąpstwem i lękiem o prawa nabyte.

W kilka dni później nadeszły z Düsseldorfu pierwsze wiadomości o bandytach zatrzymujących pod miastem automobile i odbierających gotówkę podróżnym. Nie mogę się oprzeć przypuszczeniu, że owi nieuchwytni dla policji bandyci są być może mistyfikatorami, którym nie wystarczyły teatry i teatrzyki Düsseldorfu i którzy w poszukiwaniu rozrywek przekroczyli umowną granicę.

Lekkomyślne życie Düsseldorfu wydaje się niemal feeryczne, ponieważ w administracyjnej stolicy nie widać istotnych przesłanek zamożności kraju. Te ostatnie widać lepiej we właściwym zagłębiu węglowym Westfalii.

Z i e m i a

Podróżujący brzegiem Renu widzi przed sobą kraj zagospodarowany jeszcze przez Rzymian. W niedalekim Trewirze znajdowała się przez pewien czas rezydencja cesarza schyłkowego imperium. Wiele rzeczy przypomina tu jeszcze krajobraz opisany przez Ausoniusa w poemacie o Mozeli. W brudnej wodzie, niosącej tłuste oka smarów, nie ma wprawdzie więcej ryb opisanych przed nadwornego poetę; dymiące kominy nie należą też do jego czasów, ale szosa nadbrzeżna biegnie w tym samym miejscu, gdzie szła niegdyś ścieżka wydeptana przez marynarzy holujących swe statki w górze rzeki.

Południowe stoki brzegów pocięte są wciąż w schody, na których leżą żółte w jesiennym słońcu winnice. Stopnie te, zwane na południu Francji *les berges*, należą do cywilizacji śródziemnomorskiej i powstały tu zapewne w starożytności. Przyjrząwszy się okolicznym polom, można by zapewne znaleźć miedze i drogi wytyczone niegdyś przez rzymskich agrimensorów według rytuału przyniesionego z brzegów Tybru. Zwyczaj ludów południowych wyrażania swej myśli przez nadawanie ziemi pewnych szczególnych kształtów rozszerzał się kilkakrotnie na kraje północne w formach bądź rzymskich, bądź też renesansowych i barokowych. Na brzegach Renu widać jeszcze liczne ślady antycznego stosunku do ziemi. Ślady te znikają szybko w miarę oddalania się od wielkiej rzeki.

Na północo-wschód od Kolonii rozciąga się lekko fałująca równina, którą dopiero Carolus Magnus włączył do mocno podupadłego wówczas świata zachodniego. W jej okolicach rolni-

czych przekonać się można, że tysiąc lat jest krótkim okresem czasu, gdy chodzi o ukształtowanie powierzchni ziemi i obyczaje wiejskie. Błotniste drogi polne i drewniane płoty Westfalii są znacznie bliższe wzorów polskich niż krajów należących niegdyś do imperium rzymskiego. Na tej równinie leży obecne zagłębie węglowe.

Zagłębie pokryte jest rozrzuconymi szeroko miastami, bądź łączącymi się ze sobą, bądź oddzielonymi od siebie niewielkimi obszarami rolniczymi. Miasta składają się z szerniałych od dymu śródmieści, otoczonych sięgającymi daleko dzielnicami podmiejskimi i wieńcami luźnych osiedli, grupujących się dokoła kopalni i zakładów przemysłowych. Wszystko to przetykane jest dymiącymi kominami i grupami budynków fabrycznych.

Ziemia jest z wierzchu czarna od węgla, spodem gliniasta, jasno-żółta. Między dzielnicami podmiejskimi i osiedlami leżą wszędzie szaro-zielone pasy nieużytków. Niektóre z nich porośnię są dzicząłą trawą, poprzecinane w różnych kierunkach wydeptanymi w błocie ścieżkami. Inne, leżące na terenach kopalnianych, pokryte są pagórkami żużli lub kamieni i odpadków wywożonych windami z kopalni. Między wzgórzami odpadków czernieją wypełnione wodą zapadliny. Gdziegdzie stoją resztki zniszczonego lasu, w innych miejscach opuszczoną ziemię pokrywają niskie zarosła z splątanej gęstwiny głogu, dzikiego bzu, jeżyn, ostów i pokrzyw. Pozostawiona samej sobie i zaśmiecona jedynie odpadkami papieru i blaszankami konserw ziemia tworzy nowe zespoły roślin.

Nad zniszczoną i dzicząłą ziemią ciągną smugi dymu i wędrują niskie obłoki pary, wydobywającej się z koksowni i odlewni. Para ta, kondensując się w chłodnym powietrzu, spada na ziemię rzadkimi kroplami deszczu.

Wśród mieszkańców przedmieści i osiedli nie ma widocznie amatorów ogrodnictwa, bo otaczające je pasy zieleni składają się tylko z łysiej trawy i chwastów. Ogródki działkowe z czasów wojny zostały przeważnie porzucone. Miejscami z brunatnych chwastów sterczą na nich suche badyle i połamane żerdzie, po których pięła się niegdyś fasola. Jedyne kawałki starannie utrzymanego trawnika widziałem przed zabudowaniami administracyjnymi jednej z kopalni dortmundzkich.

Gdziegdzie zachowały się resztki cofającego się pod naporem nieużytków rolnictwa: szerniałe od sadzy zabudowania wiejskie, kawałki zieleniejącej w tej chwili oziminy i łąki, na których pasie się po kilka krów i szarych od dymu owiec. Z rzadka widać drzewa polne, które niegdyś dawały cień pasącym się stadom, dziś zaś stoją pod płotem fabrycznym i mają pień czarny jak smoła.

Skrywająca w swych wnętrzach bogactwa kopalniane ziemia westfalska włożyła na siebie szatę zgrzebną, strój roboczy pełen plam i łat, pozbawiony wszelkiej kokieterii.

Dortmund

Podróżnik systematyczny, chcę kupić na dworcu plan miasta. — Nie na wiele się panu przyda, mówi czekający na mnie przyjaciel. Już wychodząc z druku każdy plan jest tu przestarzały. W Dortmundzie powstaje każdego dnia nowa ulica. Nawet w śródmieściu budują się w tej chwili nowe arterie, których przedtem nie było.

W słowach tych nie było przesady, bo następnego dnia znalazłem w miejscowej gazecie wiadomość, że nadano nazwy dwu nowym ulicom.

Dortmund jest starym miastem hanzeatyckim, które w wiekach średnich miało swój okres zamożności, lecz potem zeszło na długi z kart historii. W początku XIX wieku liczyło niewiele ponad 4.000 mieszkańców. Z dawnych czasów został mu tylko obszerny kościół św. Reinholda i kolisty zarys ulic otaczających właściwe śródmieście. Z tego ostatniego bomby pozostawiły niewiele tylko domów, czarnych jak smoła, z których jeden zaledwie zdaje się pochodzić z czasów poprzedzających wiek XIX. Na szczątkach i wspomnieniach dawnego śródmieścia wznosi się obecnie luźno kilka wysokich budynków o architekturze użytkowej, nie liczącej się wcale z tym co było.

Po wielkiej katastrofie nie pozostało na pozór w Dortmundzie żadnej większej grupy mieszkańców przechowujących obyczaje burżuazyjne czasów poprzednich. W jednym ze starych bloków śródmieścia zachowały się dwie kawiarnie. Przed południem są puste, koło 16-ej zbiera się w nich trzydzieści do czterdziestu pań opowiadających sobie plotki przy kawie i ciastkach. Jest to zapewne wszystko co w tym ludnym mieście pozostało z dawnego mieszczaństwa.

Dortmund jest więc rozległym miastem robotniczym bez właściwego ośrodka miejskiego. Ma wprawdzie dwa teatry, z których jeden zatrudnia zespół operowy, ale program ich zwraca się do publiczności małomiasteczkowej, która nie zna jeszcze *Traviaty* i *Cnotliwej Zuzanny*. Dortmund liczy 34 browary i miejscowi konsumenci piwa mogliby wypełnić taką samą ilość teatrów.

Na obszarze miasta objętym moim planem znajdują 9 kopalni węgla, kilka bardzo wielkich fabryk metalurgicznych, których nazwy figurują w cedułach giełdowych, i wielką liczbę mniejszych

zakładów przemysłowych. Wszystkie te przedsiębiorstwa pracują obecnie na pełnych obrotach, ściągając coraz większą ilość robotników.

Przemysł westfalski zatrudniał zawsze robotników obcych. W czasach wilhelmińskich pracowało tu wielu Polaków, posiadających własne związki zawodowe, tzw. *polnische Gewerkschaften*. Pewna ilość Polaków pracowała tu i później, w okresie niepodległości. Na cmentarzu w Eving widziałem zbiorowy grób kilkudziesięciu górników, którzy w 1925 zginęli w kopalni Minister Stein. Grób ten jest bardzo wystawny: leży na tarasie tworząc dwa skrzydła koło pomnika, na którym czytam:

*Ein ehrnes Schicksal waltet über mir
Und unaufhaltsam reisst es mich dahin.*

Uroczyste słowo „los” oznacza zazwyczaj oszczędności zrobione przez przedsiębiorstwa na bezpieczeństwie pracy. Jakakolwiek była jego historia grób jest dotąd starannie utrzymany: na każdej mogile rośnie kilka złotych chryzantem. Idąc wzdłuż mogił czytam nazwiska: Smoliński, Zaremba, Woynowski, Kowalski...

Nieustanny napływ robotników spowodował w ostatnich latach szybkie rozrastanie się miasta. Władze miejskie, krajowe i federalne dążą do zapewnienia każdemu robotnikowi mieszkania, stąd budowa coraz to nowych dzielnic i osiedli. Wiek ich można poznać po barwie ścian, które w domach przedwojennych są czarne, w późniejszych zaś coraz jaśniejsze. Bloki mieszkaniowe nowych osiedli są podobne do koszar; widać na nich pośpiech i oszczędność budowy. Główny cel został jednak osiągnięty: baraki stojące jeszcze na peryferiach miasta są puste.

Mieszkam przy szosie na skraju miasta, w małym hotelu dla podróżnych przyjeżdżających w interesach do leżącej naprzeciw kopalni. Budynek jest nowy; na piętrze znajduje się kilka pokoi, na dole bar, restauracja i sala, w której wieczorem się tańczy. W ciągu dnia dom wydaje się niezamieszkały, dopiero po zakończeniu w kopalni dziennej zmiany górnicy wypełniają bar. Brzęk szklanek, dźwięki radia i szcęk automatów słychać wówczas aż na ulicy. Przed szynkwasem tłoczą się ludzie młodzi, szczupli, w bluzach i spodniach z granatowego manchesteru, rozgrzani jeszcze kąpielą po zejściu z szychty. Mieszają się języki i dialekty. Wódka i piwo wydają się tu niezbędne dla odprężenia po ośmiu godzinach wytężonej pracy i skupionej uwagi. Pierwsi przychodzą kawalerowie — w Dortmundzie jest więcej mężczyzn niż kobiet — i żonaci zachodzący do knajpy na jednego przed powrotem

do domu. Później przychodzą robotnicy z żonami i narzeczonymi na parę godzin tańca.

Po kilku dniach zaczynam rozumieć rolę knajpy, wódki i piwa w życiu westfalskich osiedli fabrycznych i kopalnianych. Zarobki są tu przeważnie dobre, jedzenie tanie. Osiem godzin wyteżonej, czasami niebezpiecznej pracy, osiem godzin głębokiego snu i książeczka oszczędnościowa będąca magicznym kluczem do wszystkich rzeczy, które można dostać za pieniądze, ale które często trudno sobie wyobrazić — ta część życia wydaje się uregulowana. Otwarta natomiast pozostaje sprawa kilku godzin pustych, do spędzenia w ponurym mieszkaniu lub wśród spustoszonych nieużytków. Bez dobroczynnego zamroczenia gorzałką godziny te byłyby nie do zniesienia. Posiadanie własnej kobiety nie zawsze poprawia sytuację: do chandry dodaje niecierpliwość, chyba że się pije we dwoje. Chore dziecko, pies lub chociażby kanarek może tu być skarbem nieocenionym. Nie widzę tu jednak wielu zwierząt.

Probuję głośno czytać Apokalipsę. W pustce godzin słowa jej wzrastają do olbrzymich rozmiarów.

Władze i organizacje społeczne popierają wszelkie zatrudnienie dodatkowe i inicjatywę własną mieszkańców: szkolenie w różnych specjalnościach lub zajęcie się handlem, który nie zostawia swym adeptom pustych godzin. Nigdzie zapewne nie można równie łatwo otrzymać patentu na otwarcie szynku lub sklepu. „Czy pan już wykonywał kiedyś ten zawód?” Odpowiedź przecząca nie jest powodem do odmowy. Naiwnym urzędnicy radzą, dla uniknięcia późniejszych przykrości, przejść dwutygodniowy kurs elementarnej księgowości.

Westfalski liberalizm w dziedzinie pracy ma oczywiste przychyty. W mieście budującym każdego dnia nową ulicę nikt nie potrafi obliczyć, ile nowych punktów sprzedaży potrzeba będzie dla normalnych procesów wymiany. Nikt też nie potrafi ocenić, ile okaże się wart tak łatwo wystawiony patent. Popieranie inicjatywy prywatnej wydaje się najszcześniejszym rozwiązaniem.

Porównując ją z innymi krajami, gdzie przez kilkanaście lat starałem się na próżno o legalizację pobytu i prawo pracy, mam wrażenie, że Westfalia jest w tej chwili najbardziej wolnym krajem Europy. W ocenie tej nie jestem zresztą odosobniony, bo znajduję tu przyjaciela, który wrócił ze Stanów Zjednoczonych w przekonaniu, że Westfalia ofiarowuje emigrantowi lepsze warunki pracy.

Teorie i praktyki liberalne związane były na Zachodzie z okresem wielkiej rozbudowy przemysłu i wzrostu zamożności, który zamknął się z wybuchem pierwszej wojny światowej. Tylko West-

falia przeżywa nadal podobną ekspansję gospodarczą i z tej przyczyny jest ostatnią twierdzą liberalizmu.

Liberalizm gospodarczy nie rozwiązuje wcale zagadnienia wolnego czasu w wielkim mieście robotniczym. Dowiaduję się też, że w Dortmundzie rada miejska postanowiła powołać komitet doradczy, mający opracować plan podniesienia i urozmaicenia życia kulturalnego miasta. Komitet ten będzie miał do rozważenia jedno z najważniejszych zagadnień cywilizacji przemysłowej.

Korea

Nazwę tę nosi jedno z dalszych osiedli przedmieścia Eving, leżące za dwoma cmentarzami na stoku lekko falującego gruntu. Około 60 bloków mieszkaniowych stoi tu w czterech rzędach na polu porośłym dziką trawą i chwastem. Mieszka w nich około półtora tysiąca emigrantów, z czego około 500 dzieci. Najliczniejszą grupę stanowią Polacy, obok nich są jednak liczni emigranci z wszystkich krajów Europy Wschodniej.

Grunt i budynki tej kolonii należą do rządu federalnego, który wynajmuje emigrantom mieszkania po cenie ulgowej, wynoszącej około 40 marek miesięcznie za trzypokojowe pomieszczenie. Mieszkania są dość prymitywne, brak w nich np. łazienek. Jak w innych koloniach robotniczych bloki przypominają z zewnątrz koszary z Infanteriestrasse.

Mieszkańcy Korei rekrutują się z uchodźców, którzy podczas wielkiego rozładowywania obozów nie wyjechali do krajów zamorskich z powodu stanu zdrowia ich lub ich rodzin lub z racji ciężących na nich w przeszłości zatargów z sprawiedliwością okupacyjną. Dodać wypada, że są to emigranci mający za sobą najdłuższy pobyt w obozach. Grupa ta składa się więc z osób najbardziej wykolejonych, najdalszych od normalnych egzystencji. Niektórzy z nich nie nauczyli się dotąd niemieckiego.

Przerobienie tej kategorii emigrantów na robotników musiało wydawać się wszystkim zadaniem trudnym. Eksperymentu takiego próbować można było najłatwiej w Westfalii, gdzie grupa ta jest tylko skrajnym wypadkiem dezintegracji społecznej obejmującej w różnym stopniu znaczną część ludności napływowej, i gdzie istnieją najszerze możliwości pracy.

Osiedle istnieje już dwa lata, widziałem je więc już w fazie względnej stabilizacji jego mieszkańców. Nie łatwo zapewne byłoby powiedzieć, jakimi drogami doszli do oswojenia się z nowymi warunkami. Korea jest nie tylko wieżą Babel języków, ale także arką Noego, mieszczącą najróżnorodniejsze formacje społeczne,

temperamenty i uzdolnienia. Opis życia wewnętrznego tej kolonii zbudowanej na brzegu otchłani byłby dokumentem ludzkim o niezmiernie perspektywicznej. Samo znalezienie w tym celu słów przylegających ściśle do zjawisk byłoby zapewne przedsięwzięciem deklasującym stylizację i manieryzmy literackie naszych czasów. Nie próbuję więc nawet wchodzić w szczegóły, zatrzymując się na najogólniejszych zarysach tego złożonego zjawiska.

Prócz kilku chorych, dorośli Koreańczycy zrobili na mnie wrażenie ludzi nieźle odżywionych i konsumujących większe ilości piwa. Zważywszy, że dochody swe czerpią z pracy, można wnosić, że regularne zarobkowanie nie nastęrcza im większych trudności. Słyszałem o kilku kradzieżach popełnionych w osiedlu i okolicy i przypisywanych Koreańczykom, takie rzeczy wchodzą jednak w normalny bieg spraw ludzkich.

Więcej można powiedzieć o dzieciach, które zdają się stanowić właściwy klucz do przyszłości tej grupy emigrantów. Wszystkie są starannie ubrane i wyglądają doskonale. Dowiaduję się, że opieka społeczna zajmowała się wiele dziećmi z Korei, wysyłając słabsze na kolonie letnie i do zakładów leczniczych.

Część Koreańczyków ożeniła się z Niemkami w czasach kiedy D.P. byli żywieni przez U.N.R.R.A. i mieli urzędowe papierosy. Dzieci tych małżeństw mówią w domu po niemiecku. Inne nabywają tej umiejętności w szkole. Z biegiem lat będą z nich *Preussen*, jak nazywają tu Niemców pochodzących z innych prowincji — i to zdecyduje zapewne o końcowej — w granicach ich możliwości — asymilacji rodziców.

Czy dla dzieci Korei istnieją jeszcze jakieś inne wyjścia? Spotkałem raz w osiedlu automobil z holenderskim numerem i dowiedziałem się z tej okazji, że grupa dzieci była zaproszona latem do Holandii, i że inicjatorzy tych zaprosin zaczęli odwiedzać swych pupilów w Dortmundzie. W parę dni później zaczął mnie na ulicy chłopiec mogący mieć koło pięciu lat, o ciemnych, uważnych oczach:

— Chciałbym pojechać do Holandii.

— Czemu chcesz stąd jechać, dziecinko?

— Tam jest lepiej. Tu jest niedobrze.

— Jedźmy w takim razie do Holandii.

— Przed tym trzeba napisać list. Niech pan pomówi o tym z mamą.

Chłopiec ma rację. Tu nie jest dobrze: przede wszystkim jest tu niepewnie. Kto potrafi przewidzieć dalsze losy Korei? Osada ta, jak i inne osady dla emigrantów w Westfalii, powstała w czasach, kiedy losem emigrantów zajmowały się władze okupacyjne i traktowały o tym z rządem w Bonn. Rząd ten nie ma jednak

żadnej jasnej polityki wobec uchodźców ze Wschodu. Utrzymuje wprawdzie dla nich osiedla w Westfalii, ale nowych uchodźców zamyka w ponurej sławy obozie Valka. Jakie wyciągnąć stąd wróżby? Niedługo los emigrantów w Niemczech w ogóle, a z nim i losy Korei staną się zależne tylko od polityki wewnętrznej niemieckiej, której dróg nikt nie potrafi przewidzieć.

Kultura nr 87/88, styczeń/luty 1955

SULMONA — 1958

Sulmona jest małym miasteczkiem leżącym w zielonej dolinie Abruzzów, na linii kolejowej Rzym-Pescara, przy zbiegu jej z szosą łączącą to ostatnie miasto z Neapolem. Autobusy międzymiastowe zatrzymują się w nim na Piazza, aby włoskim obyczajem dać podróżnym możliwość wypicia w Gran Caffé małego *espresso*. Po kilku minutach pasażerowie wracają na swe miejsca; nikt nie zostaje w Sulmonie. Wyjątek stanowi grupa turystów niemieckich, którą monachijski autobus przywozi co kilka tygodni wieczorem do Albergo Italia. Są to podróżni oszczędni, unikający noclegów w drogich hotelach. Ale i ci odjeżdżają następnego ranka, nie interesując się bliżej miasteczkiem nieodkrytym dotąd przez turystów. Sam Gregorovius poświęca mu zaledwie jedną stroniczkę.

Sulmona posiada wprawdzie stare kościoły romańskie i gotyckie, zrujnowane częściowo przez trzęsienia ziemi, posiada *Museo civico* przechowujące różne osobliwości i liczne zabytki architektury z XVI-XVIII wieku, ale wszystko to można znaleźć w każdym niemal mieście włoskim. W innym kraju tak pięknie zachowane miasto byłoby zapewne celem pielgrzymek. Turyści, śpiesząc w ciągu krótkich wakacji zwiedzić tyle sławnych miast i nie znajdując Sulmony w przewodnikach i podręcznikach historii, poprzestają tam na małym *espresso*.

Mimo milczenia podręczników miasto posiada historię, zachowującą na przestrzeni dwudziestu kilku wieków zdumiewającą ciągłość. Miewało swoje lepsze okresy. W XV wieku posiadało zaczątek uniwersytetu. W *Museo civico* oglądać można dyplom z 1413, którym Władysław król węgierski upoważnia kancelarię

tej uczelni do używania pieczęci z literami S.M.P.E., do których później wrócimy. Nawiasem mówiąc, ów Władysław Andegawęńczyk nie był wcale królem węgierskim, lecz neapolitańskim, synem i następcą Karola III. W pewnej chwili kazał się usłużnym biskupom koronować w Zarze na króla Węgier i odtąd używał tego tytułu nawet w ojczystym Neapolu. Widocznie Węgry nie znajdowały się wówczas poza zasięgiem „systemu europejskiego” — jak tego później dowodził Bolinbroke — kiedy księciu Anjou tytuł króla węgierskiego, nawet imaginacyjny, wydawał się więcej wart od prawdziwego tytułu króla Neapolu.

Uniwersytet sulmoneński znikł wprawdzie w czasach inwazji francuskiej, w końcu XV stulecia, coś pozostało zeń jednak w pamięci mieszkańców. Liczące dziś koło 30.000 ludności miasto posiada wiele szkół licealnych, artystycznych, technicznych i rzemieślniczych. Uczenie się i czytanie zajmuje tam w obyczajach miejsce, jakie w innych krajach przypada sportom i rozrywkom. Zresztą wyszkolenie techniczne stanowi tam rodzaj kapitału. Tysiące Włochów mogły dzięki niemu znaleźć za granicą dobrze wynagradzaną pracę w przemyśle mechanicznym. Na Piazza widać stacjonujące tam często nowe wozy amerykańskie. Są to synowie Sulmony, którzy, dorobiwszy się za oceanem, przyjeżdżają w odwiedziny do krewnych.

Od dwudziestu paru wieków Sulmona stoi wciąż na tym samym miejscu, na niewielkim wzniesieniu terenu między dwoma strumieniami — Gizio i Vella — w których latem płynie trochę błotnistej wody. Kolisty mury otaczające niegdyś miasto rozpadły się lub znikły pod zabudowaniami. Pozostały po nich bramy — Porta Roma, Porta Napoli i Porta Pacentro — oraz via di Circonvallazione, biegnąca dawniej wzdłuż wewnętrznej strony murów. Ulica ta stanowi dotąd właściwą granicę miasta; dzielnice zewnętrzne zaczynają się dopiero zabudowywać. Miasto wypełnia labirynt wąskich uliczek, wzdłuż których wznoszą się w półmroku żółte, szare lub pomarańczowe fasady barokowych domów, splewiące w pochodzie wieków. Co kilkadziesiąt kroków przechodzeń wynurza się z półmroku na jasne *largo*, niewielki czworokątny plac, jakich pewna ilość rozsiana jest nieregularnie wśród ulic. Całość, w nieco zmniejszonym formacie, przypomina *vicoli* Neapolu lub labirynt ulic rzymskich w okolicach Panteonu.

Ruch skupia się na jedynej przelotnej ulicy — Corso Ovidio — przecinającej falistą linią całe miasto. Przy niej stoją jego główne zabytki architektoniczne. Jak ulice innych miast południowych, Corso nie ma chodników dla pieszych; samochody przesuwają się po nim powoli wśród tłumu przechodniów.

Obcego uderza osobliwa funkcja społeczna tych ulic. W kra-

jach północnych ulica przeciwstawia się porządkowi i atmosferze domu; jest tradycyjnie królestwem dorożkarzy, strzelania z bata i szpetnego języka. Pijani wymiotują spokojnie na ulicy; wolno tam wszystko czego nie wypada robić w domu. Przechodnie śpiącą nie oglądając się za siebie; kto zwalnia kroku zapoznaje się z mniej ucieśnionymi stronami życia, z filmem zabronionym dla nieletnich.

Inaczej na Corso. Puste w godzinach siesty, Corso zaludnia się pod wieczór. Po skończonej pracy wszyscy przechadzają się tam przez godzinę lub dwie. Znajomi tworzą grupy, zawiązują się rozmowy, wszyscy witają się wzajemnie; różnice dzielące obywateli wyrażają się w odcieniach uprzejmości nieuchwytnych dla obcych. Niejednego z tych ostatnich zdziwiłaby życzliwa rezerwa, z jaką mówi się tam o nieobecnych. Corso spełnia rolę powszechnego salonu. Słowo mówione zachowało tam swą wagę; nie zdeklasował go druk, jak w krajach północnych, gdzie w kawiarniach czytają gazety w milczeniu. Nawet artykuły drukowane w miejscowym miesięczniku *Dimensioni* mają w sobie coś z przemówienia improwizowanego w kole przyjaciół. Odszukanie w tym mieście znajomych nie wymaga posiadania ich adresów; między siódmą i ósmą wieczorem można ich znaleźć na Corso.

Corso odjęło część znaczenia mieszkaniom; zamożne mają w sobie coś zabytkowego; składają się z wysokich sal, w których łatwiej sobie wyobrazić jakieś uroczyste zgromadzenie niż dzień powszedni; uboższe mają w sobie coś niezagospodarowanego, jak mieszkania zmarłych rodziców utrzymywane z pietyzmem przez mieszkające gdzie indziej dzieci.

Liczne miasta włoskie — jak Wenecja, Mediolan, Ferrara, Parma, Rawenna, Florencja, Neapol, Gaeta, Bari itd. — posiadają tradycję niezależności. Były kiedyś stolicami suwerennych księstw i republik. Sulmonie brak takich wspomnień. Sam wygląd miasta mówi o przeszłości pokojowej. Brak mu warownego zamku, jaki widzimy w tylu innych miastach włoskich, grożącego tyle samo swoim co obcym. W murach Sulmony nie urodził się żaden ambitny dyktator, nie powstało żadne rewolucyjne zgromadzenie. Tym bardziej musiały mu ciążyć rządy obcych, którzy kolejno sprawowali władzę na półwyspie: Gotów, Longobardów, Bizantyńczyków, Franków, Normanów, cesarzy niemieckich, królów francuskich i hiszpańskich. Wobec tych potęg obywatele Sulmony musieli manewrować przezornie, obliczać bez błędu szanse każdego pretendenta do władzy i starać się wyjść najtańszym kosztem z sytuacji słabszego kontrahenta. W czasach feudalnych cesarze niemieccy i królowie neapolitańscy oddawali kilkakrotnie miasto

w lenno swym faworytom, z których jeden nosił nawet tytuł księcia Sulmony.

Dwa razy Sulmoneńczycy odmawiali posłuszeństwa i stawili opór: w czasach Republiki rzymskiej, która odmawiała ludom italskim praw obywatelskich, i w 1957, gdy rząd włoski, zajęty innymi sprawami, zdawał się zaniedbywać trawione przez kryzys doliny Abruzzów, faworyzując inne regiony. W obu wypadkach walczyli o równouprawnienie. Dla ambitnych formuła ta jest pełna rezygnacji, bo program równych praw nie przewiduje żadnych satysfakcji dla tych, którzy wolą być pierwsi na wsi niż drudzy w stolicy.

Bunty Sulmony nasuwają różne refleksje. Wydaje się, że republiki i parlamenty wołały zawsze uśmierzać zbrojnie zależne od nich ludy i mniejszości, niż przyznawać im prawa. Republika rzymska powoływała do załatwiania tych spraw dyktatorów. Nie umiając im sam dać rady, senat rzymski rozpoznawał przynajmniej trafnie doniosłość tych spraw. Rozszerzenie praw obywatelskich na inne ludy półwyspu miało istotnie najdonioślejsze skutki, z których wymienimy tu jeden, należący trochę do naszego tematu.

Zaden z poetów rzymskich wieku Augusta nie urodził się na pierwotnym terytorium Republiki: wszyscy pochodzili z prowincji niedawno podbitych i zaledwie od jednego lub dwóch pokoleń korzystających z praw obywatelskich. Większość ich pozostała w pamięci wierna swej bliższej ojczyźnie. Owidiusz pisał, *Sulmo mihi patria est*, jak Mickiewicz: „Litwo, ojczyzna moja”.

◆

Za żadnych czasów Sulmona nie mogła ofiarować swym obywatelom godnych zazdrości honorów i fortun. Tym mniej potrafiłaby to dziś, po latach gospodarczego kryzysu, który od ostatniej wojny trawi doliny Abruzzów. Odległe początki jego sięgają zapewne czasów Królestwa Neapolitańskiego, w którym przepych pałaców i tłumy żebraków łączyły się z sobą, jak dwie strony medalu. Obecnie dochody lub raczej ich skromność zdają się być równiej podzielone. W mieście nie ma nikogo, kto mógłby własnym kosztem zbudować lub chociażby odnowić jeden z licznych pałaców z XVI-XVIII wieku; mieszczą się w nich przeważnie urzędy. Stan ten budzi zrozumiałe niezadowolenie. W lutym 1957 miasto pokryło się barykadami; grad kamieni i dachówek powitał zmotoryzowane oddziały policji. Na znak protestu rada miejska podała się do dymisji, i miasto znalazło się pod zarządem komisarycznym. W listopadzie tegoż roku odbyły się wybory administracyjne, podczas których niemal połowa głosów

padła na komunistów i sprzymierzonych z nimi socjalistów lewicowych.

Wszystko to razem układa się w pozornie koherentną całość: jeden szczegół podpira drugi. Włoski minister, który w przeddzień wyborów przemawiał w teatrze miejskim, ten właśnie obraz miał na myśli, obiecując wyasygnować znaczne sumy na uprzemysłowienie doliny, na melioracje rolne i zatrudnienie bezrobotnych. Stanowi to wszakże tylko jeden z aspektów życia. Nawet przyjezdny, patrzący z tarasu Gran Caffé, spostrzega, że pełne prostoty i umiaru gesty i słowa mieszkańców są zjawiskiem złożonym. Wytarte ubranie i elegancja w noszeniu go należą do różnych kategorii zjawisk. Wzajemne przecinanie się odmiennych porządków rzeczy uderza go jeszcze bardziej, gdy dowiaduje się, że podczas lutowej rewolucji i walk na barykadach nie padł ani jeden strzał, jak gdyby w tej części kraju nie znano wcale rewolwerów. Nawet banalne szczegóły życia zdają się tu być, jak w powieści naturalistycznej, ustawione w porządku innym od tego, z jakiego zostały wyjęte.

Jest to zapewne wynikiem długiej, zmiennej a zarazem ciągłej, historii tych miejsc. Zamieszkiwał je kiedyś lud Pelignów, którzy zbudowali miasto i zagospodarowali dno doliny. Kapłani ich składali tu ofiary, patrycjusze sprawowali urzędy. Ten stary twór roztopił się w cywilizacji grecko-rzymskiej. Na rynku, gdzieś o 2-3 metry poniżej obecnego poziomu miasta, pojawili się filozofowie i sofiści; jedni zalecali naśladowanie zwierząt, umiejących zachować się z godnością w skromnych warunkach, inni mówili o tajemnej potędze liczb. Rozwijając nawiniętą na drewniany wałek wstęgę papieru, czytano tu Senekę. W tym samym miejscu zbrojni barbarzyńcy dyktowali z konia rozkazy. Stąd świątobliwi eremici, sprzykrzywszy sobie życie miejskie, udawali się do skalnych pustelni, gdy złotnicy w swych warsztatach, mrużąc oczy, patrzyli na grę światła, biegnących po filigranach z bezcennego metalu. W tych samych murach humaniści czytali potem w rękopisach o złotowłosych boginiach rodzących się z piany morskiej.

Nie wszędzie historia posiada równą ciągłość. Wiele miast przeżyło w ciągu tych wieków tragiczne oblężenia, po których mężczyźni zabijano, kobiety i dzieci zaś sprzedawano w niewolę. Inne równano z ziemią, osadzając na tym miejscu obcych kolonistów. Przeszłość Sulmony nie wykazuje luk, po których wszystko zaczyna się na nowo.

Historii tej nikt już dokładnie nie pamięta, jak nikt nie potrafi odróżnić potomków Pelignów od potomków przybyłych tu później Rzymian, Gotów, Longobardów, Bizantyńczyków i Normanów. W rozmowach powraca często nazwa Pelignów, nie znaczy

to jednak, aby to najdawniejsze nawarstwienie przeszłości zostało tu określone tradycje; jak inne regionalizmy, jest to odruch wywołany niwelującym charakterem państwa współczesnego. Widać żeń tylko, że nawet najstarsze i bajeczne fragmenty przeszłości nie znikły bez śladu i pozostają wciąż obecne w pamięci.

Na tym samym miejscu, gdzie między strumieniami Gizio i Vella stoi miasto z kamienia i cegły, wznosi się Sulmona niewidzialna, twór wyobraźni luźno tylko przylegający do murów, utkany z wspomnień, legend, aluzji, bełkotu snów i strzępów majaceń wszystkich pokoleń poprzednich. Pisząc prozą, mogą dać o nim tylko najogólniejsze pojęcie.



Od najdawniejszych czasów miasta półwyspu posiadały swe bóstwa opiekuńcze, którym składano ofiary i za pośrednictwem których mieszkańcy wchodzili w rodzaj umowy ze światem sił nadprzyrodzonych. W czasach chrześcijańskich rolę tę przejęli święci, których cudowne relikwie broniły miast od wrogów i klęsk. Kult św. Antoniego w Padwie daje pojęcie o nieprzerwanej ciągłości tych zjawisk. W niektórych miastach, po Olimpijczykach i świętych, miejsce bóstw opiekuńczych zajęli poeci.

Pośrednictwo poetów nie sięga być może potęg nadprzyrodzonych i prowadzi jedynie do świata wyobraźni. W charakterze patronów miasta poeci mogli zastąpić bogów i świętych tylko tam, gdzie zachowały się jeszcze żywe wspomnienia Olimpijczyków, należących tyle samo do świata sił nadprzyrodzonych co do świata wyobraźni.

Znany jest spór Florencji z Rawenną o prochy Dantego. Wgnany z rodzinnej Florencji i skazany tam zaocznie na śmierć, autor „Boskiej Komedii” zmarł w Rawennie, i tam znajduje się dotąd jego grób, uważany za jeden z najważniejszych zabytków miasta. Wielokrotnie Florentyńczycy usiłowali odzyskać prochy poety, ale lud Rawenny bronił ich jak relikwii, od której zależała sława i pomyślność miasta, nie cofając się nawet przed oporem zbrojnym. Gdy wreszcie, pod obcym panowaniem, Rawenna nie mogła ich dłużej bronić, prochy Dantego znikły i przez długi czas pozostawały ukryte w klasztorze Franciszkanów.

Równie znany jest kult Wirgiliusza w Neapolu, gdzie znajduje się grób poety.

Są przekłady nowsze. Ktokolwiek zatrzymał się był, chociażby na jedną godzinę, w Pescarze, wie, że miasto to nazywane jest potocznie *città d'annunziata*, i że tam przyszedł na świat zapalny autor *Il fuoco. L'imaginifico* nie wrócił wprawdzie do

Pescary, ale zostawił tam dom, zmieniony ostatnio na muzeum, i żółwia, którego historię znają wszyscy mieszkańcy.

Sława poetów udziela się także prozaikom. W Aquili na środku miasta stoi pomnik Sallustiusza, który urodził się niedaleko od tego miasta. Ktokolwiek kąpał się w Abano, wie, że tam przyszedł na świat Liwiusz.

Pamięć ludowa ma w sobie coś z miłości pogańskiej, przywiązanej do ciała i nie dającej się odeń odwieść obietnicą obcowania z cieniem lub duchem. Lud otacza kultem autorów samych, mniej licząc się z ich pismami. Miejsca, przez które przechodzili, przedmioty, których dotykali, świecą się długo w ludowej pamięci.

Wśród miast, które geniusza opiekuńczego szukały nie na Olimpie i nie w „Złotej legendzie”, lecz na Parnasie, pierwsze miejsce przypada Sulmonie. Jest to przede wszystkim *città ovidiana*, miasto Owidiusza, czerpiące swą dumę, a być może nawet swą rację bytu z urodzonego w jego murach poety. Na bramach miasta i budynkach publicznych widzimy wszędzie litery S.M.P.E. — *Sulmo mihi patria est*, jak w Rzymie S.P.Q.R. — *Senatus populusque romanus*. S.M.P.E. jest godłem miasta, jego tytułem szlacheckim, gwarancją godności. *Il nostro Ovidio*, mówią o nim mieszkańcy. Tytułu do sławy zapisanego wielkimi literami na Parnasie nikt nie może odebrać. Kto go posiada — wznosi się ponad przeciwności losu i mierność fortuny. Kult sulmoneńskiego poety nie był dziełem humanistów. Najstarszy z istniejących w mieście napisów S.M.P.E. datuje z XIII wieku, to jest z czasów, kiedy dzieła poety znane były tylko z rzadkich i pełnych błędów rękopisów. Nie tyle więc być może znajomość pism poety, ile nieomylny instynkt przywiódł Sulmoneńczyków do posiadania tego talizmanu.

Głównych wiadomości o swym pochodzeniu z Sulmony i o tym mieście w ogóle dostarcza sam Owidiusz, który wielokrotnie w różnych pismach wraca do tego tematu. Urodził się w rodzinie zamożnej, należącej do *ordo equestris* i posiadającej wiele wolnego czasu; o przywileju wolnego czasu poeta wspomina kilkakrotnie. Zebrane przez Mommsena napisy z czasów Republiki mówią, że Ovidii — nazwisko nie spotykane w innych częściach półwyspu — byli rodziną patrycjuszy sprawujących w Sulmonie różne godności.

Według miejscowej tradycji majątek Owidiuszów leżał na stoku Monte Morrone, o parę kilometrów od miasta. Miejsce to nazywa się dotąd Poteche Ovidio, od greckiego *apotheke*, słowa oznaczającego pierwotnie śpichlerz lub piwnicę na wino, później zaś skład roślin leczniczych i piwnicę, gdzie destylowano z nich dekokty. Całe to zbocze jest dziś jałowym rumowiskiem, pokrytym

dzikimi krzewami. Osuwające się z Monte Morrone zwały kamieni i gliny zasypały budynek zwany willą Owidiusza. Wystaje zeń nad ziemię tylko jedna ściana, imponujących rozmiarów *opus reticulatum* długości 70 i wysokości 9 metrów. Na tym fundamencie stoją ruiny 12 pokoi niewiadomego przeznaczenia; żadne drzwi nie prowadzą z nich do wnętrza zasypanego budynku.

U stóp zbocza znajduje się źródło zwane *Fonte d'amore*. Tam Owidiusz miał się spotykać z Korynną. Wchodzimy tu jednak na teren legendy, bo tekst „Amorów” nie daje powodu do takich przypuszczeń.

W pamięci ludu zamieszkującego tę część doliny przechowały się o pocie niezliczone legendy. Owidiusz występuje w nich bądź jako mag, bądź jako filozof podróżujący w towarzystwie Cycerona, bądź jako doradca i przyjaciel św. Celestyna, bądź wreszcie jako czarownik i zły duch strzegący skarbów ukrytych w willi. Ta ostatnia metamorfoza poety świadczy o bardzo dawnym pochodzeniu legendy.

Bogowie Olimpu nie od razu znikli z pamięci chrześcijan, zmieniła się tylko ich rola. Lud nieodrzucał ich jako twory wyobraźni; bogowie istnieli nadal, lecz jako demony i istoty złośliwe nastające na cnotę wiernych. Tej samej przemianie uległ wraz z nimi ich poeta. Niektórzy ojcowie kościoła potępiali go zresztą jako autora odwracającego uwagę od zbawienia duszy i wiodącego wyobraźnię czytelników na manowce.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty Owidiusz w postaci złego ducha o świecących oczach ukazywał się wieśniakom mieszkającym koło *Fonte d'amore* i straszył poszukiwaczy skarbów zbliżających się do ruin willi. O potędze legend świadczą dwa głębokie otwory w *opus reticulatum* willi, przez które poszukiwacze skarbów starali się dostać do domniemanych piwnic. Jednemu z nich, mówi legenda, udało się dotrzeć do lochu pełnego worków ze złotem, lecz duch Owidiusza zastąpił mu drogę: „To złoto nie jest dla ciebie; przeznaczone jest na odnowienie świata”.

Nie wiele zostało w Sulmonie pamiętek bezpośrednich po Owidiuszu, a i te są wątpliwej autentyczności. Filolodzy klasyczni są zgodni w tym, że nie ma tam nic do widzenia. Brak pamiętek bezpośrednich nie zniechęca jednak czytelnika „Metamorfoz”. Drzewa, krzewy, łąki, kwiaty, źródła i grotty są wciąż takie same. Pisząc o nich, poeta miał zapewne przed oczami wzory widziane w młodości. Tytu bohaterów „Metamorfoz” zmienionych zostało w drzewa, krzewy i kwiaty, że poeta radzi nie łamać gałązek i nie zrywać kwiatów, aby nie zranić zaklętych w nie półbogów i ludzi. Jak wyglądają drzewa, z których sfrunęła kiedyś lotna fantazja poety?

Cała barokowa symbolika drzew, z której zrodziły się niezliczone parki Europy — od Wersalu do Zofijówki — ma swe źródło w „Metamorfozach”. Symboliczny język drzew został odkryty i zrozumiany już przedtem, lecz Owidiusz pozostawił najkompletniejszy słownik tej mowy. Wzrok jego zatrzymywał się zapewne długo na otaczających go drzewach. Myśląc o tym, rozumiemy, czemu przypisywał największą wagę swobodnemu rozporządzaniu czasem. Nieśpieszne oglądanie nie tych samych wprawdzie, lecz takich samych drzew, rosnących w tym samym miejscu, powinno ożywiać bajecznie lekturę „Metamorfoz”.

Pierwszy kontakt z krajobrazem owidiańskim przynosi zawód. Od tamtych czasów dolina Sulmony i jej szata roślinna, uległy wielkim przemianom. Nie zmieniło się zapewne tylko samo dno doliny, pocięte gęstą siecią mrużących kanałów, lecz o kilka kroków dalej otwiera się szaro-żółte, spalone słońcem pustkowie.

Cały basen Morza Śródziemnego, kolebka naszej cywilizacji, został spustoszony. Kwitnące niegdyś prowincje i miasta rzymskiego imperium pokryły lotne piaski. Dewastacja posuwała się przez wieki w głąb łądu. Lasy i drzewa zachowują się tylko tam, gdzie gminy rolnicze posiadają pewien udział w władzy, jak to miało miejsce np. w Szwajcarii. Obcy nie krępowali się nigdy rąbać bez pardonu; znikły nie tylko lasy, ale także drzewa pamiątkowe i symboliczne, jakie posiadali niegdyś koło swych domów wszyscy rolnicy. W suchym klimacie południowym wyrąbany las nie odrasta; na pozbawionej dobroczynnego cienia ziemi słońce spala resztkę roślinności; zostaje ziemia naga, którą deszcze splukują, zostawiając tylko martwicę i skałę.

Proces ten zmienił całkowicie stoki Monte Morrone, pokryte niegdyś lasem. Gdy tego ostatniego nie stało, ziemia zjechała ze stromizn na dół, odsłaniając szeroki pas skał i przykrywając niższą część stoków wielometrową warstwą kamieni i martwicy. Pod warstwą tą znikły nie tylko Poteche Ovidio, ale i wiele innych starszych budynków. W miejscu zwanym Casino Pantano widać ruiny willi rzymskiej, wystające z kilkumetrowej warstwy łu.

Zniknięcie otaczających lasów zmieniło także drzewostan dna doliny, zmuszając ludność do sadzenia wzdłuż dróg i kanałów szybko rosnących topoli, których drzewo jest jedynym tam materiałem opałowym. Topola wyparła drzewa trwalsze, które dawniej otaczały domy mieszkalne. Z rzadka tylko widać koło nich lipy i orzechy, należące do rzymskiej tradycji.

Pocięte kanałami nawadniającymi dno doliny otaczał niegdyś pas lasów, pastwisk usianych drzewami, gajów oliwnych, ogrodów owocowych. Tam zapewne Owidiusz widział wzory swych

drzew. Cały ten pas jest dziś pustkowiec. Wspinając się nań kamienistą ścieżką przechodzień mija pas zniszczonych przez mrozy ostatnich lat oliwek, potem rzędy najodporniejszych na suszę drzew migdałowych, wreszcie widzi przed sobą tylko z rzadka rozsiane *spine*, krzewy kolczaste i badyle spalonych przez słońce roślin. Suche krzewy i badyle usiane są tysiącami opalizujących w słońcu pereł. Są to malutkie ślimaki, które z początkiem suszy przykleiły się do zielonych jeszcze wówczas roślin. Cisza i samotność są tu doskonałe.



Wiosną 1956 zawiązał się w Sulmonie komitet obchodu, przypadającego na 1958 r., 2000-lecia urodzin Owidiusza. Będzie to przede wszystkim ludowe święto regionalne, odnawiające wiekowe tradycje i najgłębsze aspiracje miasta, wielki dzień Sulmony niewidzialnej, o której była mowa wyżej.

Poza Sulmoną obchód tej rocznicy stoi pod złymi auspicjami. Kiedy w 1936 świętowano 2000-lecie Horacego, rocznica ta znalazła pewien oddźwięk. Wzmiankowały ją czasopisma literackie, o Horacym napisano kilka książek, nie licząc też i przyczynków. Od tego czasu minęły jednak lata mało sprzyjające wspomnianiu autorów klasycznych. Dla innych zresztą ważnych względów Owidiusz nie może liczyć na życzliwość publiczności literackiej; od przeszło stu lat posiada mianowicie bardzo złą prasę u krytyków i historyków literatury. Literat, wierszopis, mówi o nim z pogardą Sainte-Beuve. Autorzy podręczników zarzucają mu jednomyślnie retorykę, nadużywanie łatwości w wierszowaniu, brak jakiegokolwiek głębszego uczucia.

W okresach zmiany mody sądy literackie ferują swe wyroki jeszcze lekkomyślniej od sądów koronnych. Strącając Owidiusza z Parnasu, krytycy epoki romantycznej nie wysłuchali nawet głównych świadków, za jakich słusznym tytułem mogliby uchodzić Goethe, wielki wielbiciel autora „Metamorfoz”, i Byron, którego powinowactwo literackie z tym ostatnim nie uszło uwagi uważniejszych czytelników.

Na pierwszy rzut oka trudno jest zrozumieć przyczyny szybkiego rozpowszechnienia się tego sądu, przekazywanego odtąd z pokolenia w pokolenie, z podręcznika do podręcznika. Łatwiej zrozumieć jego trwałość. Owidiusza bowiem nikt więcej nie czyta. Brak w handlu jego tekstów. Wielu utworów brak też w wydaniach dwujęzycznych — jak Collection Guillaume Budé i Loeb Classical Library — w których klasycy trafiają czasami do szerszej

publiczności. Nikt więc nie miał dotąd okazji do zrewidowania sądu krytyki romantycznej.

Kiedy w 1956 zetknąłem się z komitetem obchodu, ten ostatni liczył poza Sulmoną tylko na jednego sojusznika. Wiadomo mu było mianowicie, że w Konstancy nad Morzem Czarnym znajduje się taki sam pomnik Owidiusza jak w Sulmonie, dzieło tego samego rzeźbiarza, i że w Rumunii również zawiązał się komitet obchodu 2000-lecia poety.

Uroczystości w Sulmonie rozłożone zostały na cały rok. 1 października 1957 nastąpiła inauguracja *anno ovidiano*, w listopadzie otwarto wystawę starych druków i innych pamiątek dotyczących poety, na maj 1958 projektowany jest zjazd filologów itd.



W dniu otwarcia *anno ovidiano* koło dwustu miejscowych honoratorów zebrało się rano w Sulmonie na ratuszu, aby przy lampce wina wysłuchać krótkich przemówień prezesa komitetu obchodu i kierownika zarządu komisarycznego miasta. Zdawało się, że uroczystość ta będzie miała charakter intymny, niemal rodzinny. Wychodząc jednak z ratusza, uczestnicy zgromadzenia zobaczyli, że posąg Owidiusza na Piazza XX Settembre przybrany został w laurowe wieńce o barwnych wstęgach i złożonych napisach, złożone przez przybyłych do Sulmony gości. Oto ich lista: dwudziestu emigrantów rumuńskich¹, trzech urzędników poselstwa rumuńskiego z Rzymu oraz czeska orkiestra i chór z Brna, które wieczorem tegoż dnia wykonały w teatrze miejskim dwie kompozycje renesansowe do słów Owidiusza. Do tej listy dodać mogę starego *pellegrino ovidiano* czyli piszącego te słowa.

W Polsce, Rumunii, Czechosłowacji i na Węgrzech czytelnicy sulmoneńskiego poety muszą być dziś równie rzadcy jak na Zachodzie. Kraje te posiadają natomiast starą legendę Owidiusza, dziś zapomnianą, lecz tlejącą gdzieś być może pod gruzami przeszłości. W Polsce znaleźliśmy tylko jej ślady. Nad Kutami, gdzie w 1939 Polacy żegnali się z krajem jadąc na emigrację, wznosiła się góra Owidiusza. Wieś Obidowa, leżąca koło sławnej w literaturze Naprawy i której nazwa według wszelkich rozsądnych przypuszczeń powinna być pochodzić od „bidy”, starsze dokumenty nazywały „Owidową”. Według świadectwa Syrokomli, koło Da-

1. Wielkie dzienniki rzymskie, omawiając szczegółowo przebieg uroczystości w Sulmonie, przemilczały całkowicie udział w nich rumuńskich emigrantów. Trudno opędzić się natrętnemu pytaniu, czy gazety wychodzące w Warszawie byłyby również zobowiązane do takiej dyskrecji.

widgródka znajdowała się również góra Owidiusza². W starych książkach znajdują się liczne relacje o grobach Owidiusza, znalezionych w Polsce, na Węgrzech, w Czechach lub *in finibus Graeciae et Valachiae*, „o sześć dni drogi od Dniepru”. Jeden z nich, z łacińskim epitaphium, oglądać można na sztychu z końca XVI wieku. Węgierska królowa Izabella posiadała nawet srebrny stylos poety, znaleziony w jednym z tych grobów.

Wytłumaczenie legendy i obecności tytu grobów i gór Owidiusza w tej części Europy znajduje się w „Tristiach” i „Listach z Pontu”, pisanych przez poetę z zesłania. Dowiadujemy się z nich, że Sarmaci i Goci, z których składała się ludność pogranicznego miasteczka Tomi, starali się złagodzić los zesłańca; zarząd miasta uwolnił go od podatków. Owidiusz nauczył się wkrótce ich języka. Skarży się, że nie znajduje więcej w pamięci słów łacińskich, i że łatwiej byłoby mu pisać po sarmacku. Później dodaje, że z okazji śmierci Augusta napisał istotnie wiersz w tym języku.

Jeden z listów skierowany jest do barbarzyńskiego króla Kotysa, który w wolnych chwilach pisywał wiersze, i do którego poeta zwraca się jako do kolegi po piórze. Jedno zdanie tego listu zdaje się dawać do zrozumienia, że Owidiusz zamierzał w pewnej chwili uciec z Tomi i szukać schronienia u Kotysa.

Sarmaci... sarmatyzm... wyrazy dobrze nam znane. Polacy, jak wiadomo, uważali się przez kilka wieków za potomków Sarmatów. Z „Listów z Pontu” wynikałoby zatem, że nie kto inny tylko sam Owidiusz wtajemniczyć ich musiał w arkana łacińskiej gramatyki i że on również nauczył ich pisać mową związaną w ich własnym języku. Powyższa interpretacja faktów otacza takim splendorem początki poezji w Polsce i stosunków Sarmacji z Zachodem, że trudno rozstać się z nią bez żalu. Toteż nawet August Bielowski w swym „Wstępie krytycznym do dziejów Polski” — z 1850 sądzi, że list Owidiusza do króla Kotysa skierowany był do bajecznego Popieła II Kotyski. „Dwór, pisze, na którym wy-

2. W fraszce o Owidiuszu na Polesiu Syrokomla opowiada o kłopotach Augusta, któremu poeta bałamucił córkę Julię, i który, po radzie z przyjaciółmi, wysłał go w dalekie kraje. Dalej czytamy:

*Już Nazon w pińskich błotach zbiera muchomory,
Łowi wiuny i raki Cezarów dworaczek
I z sarmackiego łuku pudłuje do kaczek,
A co poczta, przyjaciół swymi listy nudzi.*

*Julia — puchu marny! istoto kobieca! —
Do junkra pretoriańskiej straży się zaleca...
A poeta wygnaniec z głodu i ze smutku
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.
Dotąd jego imieniem góra się nazywa.*

gnany Owidiusz ostatnie lata spędził, był to dwór naszego Popiela Kotycki”.

W świetle legendy rozumiemy lepiej motywy, dla których Paweł Uchański, poseł Stefana Batorego w Rzymie, poznawszy tam humanistę z Sulmony, nazwiskiem Ercole Ciofano, pokrył koszty druku książki tego ostatniego o Owidiuszu. Sława poety rzucała wówczas pewien blask także na kraj, który Uchański reprezentował w Rzymie.

Żałować zapewne wypada, że kult Owidiusza w Polsce miał przesłanki pozaliterackie, i że ślad autora „Metamorfoz” w literaturze polskiej wydaje się nikły w porównaniu z autorytetem jego nazwiska. Spełnia się w ten sposób obawa, wypowiedziana przez poetę w liście do żony, że jeżeli prochy jego nie wrócą z wygnania, jego rzymski cień będzie błędził, zawsze obcy, wśród cieni sarmackich:

Inter Sarmaticas Romana vagabitur umbras.

Trudno nie zwrócić uwagi na pewne zbieżności, łączące kult Owidiusza w Sulmonie i w odległych krajach Europy Wschodniej. I tu i tam legenda poety rozwinęła się bezpowrotnie, dzieła jego zna tylko mała garstka czytelników, lecz imię jego wiąże się wciąż z głębokim kompleksem spraw ludzkich, którego historia nie jest jeszcze zakończona.

Kultura nr 123/124, styczeń/luty 1958

NIEMCY - AUSTRIA — 1962

Podróżujący do Niemiec musi ciągle kontrolować swe wrażenia. Zwłaszcza ktoś, kto jak ja jeździł tam przez przeszło pół wieku, musi wciąż stawiać sobie pytanie, czy obraz, jaki wyniósł z podróży poprzedniej, nie zasłania mu tego, co mógłby zobaczyć obecnie. Mówię warunkowo „mógłby”, bo szybkie przyswajanie sobie rzeczywistego stanu rzeczy wymaga spełnienia dwóch wykluczających się na pozór warunków: wymaga mianowicie uprzedniej znajomości przedmiotu i świeżości percepcji, to jest zdolności oglądania tegoż przedmiotu jako czegoś nowego i nieznanego.

Krytyczny stosunek do własnych obserwacji jest w danym wypadku tym trudniejszy, że jest wysiłkiem samotnym. Europejczycy są na ogół konserwatywni, niechętnie przyjmują do wiadomości rzeczy nowe. Widzą siebie i innych takimi, jakimi byli przed pół wiekiem. Są nadal gotowi do robienia demonstracji floty przed portami sąsiadów, do wysyłania korpusów ekspedycyjnych jak w czasach Mahdiego i powstania Boxerów, dziwić się potem, że poczynania ich nie odnoszą oczekiwanych skutków. Zobaczyć ich takimi, jakimi są rzeczywiście, można tylko na przekór im samym.

Aby ocenić nowość dzisiejszych Niemiec, najlepiej być może trzymać się rzeczy najprostszych, tego co każdy musi spostrzegać przechodząc ulicą. Z lat dziecińczych przypominam sobie, na przykład, letni Berlin z 1903-1907 z przechadzającymi się pod lipami oficerami. Nosili wówczas czapki z czerwonym otokiem i granatowe, długie do kolan surduty, w których połach, utrudniając chodzenie, pętały się pałasze w blaszanych pochwach. Obok nich przechadzały się damy, straszliwie ściśnięte w pasie fiszbinami gorsetów, z wystającą z tyłu „turniurą”. Patrząc na dzisiejsze sylwetki pań, trudno sobie wyobrazić takie kobiece kształty. Ruch

przechodniów był dziwnie powolny. Rzadkie dorożki jechały drobnym truchtem; podkowy szczękały miarowo po asfalcie. Wszyscy, zdawało się, mieli czas do namysłu, nic nie robiono w pośpiechu.

Wielu zapewne pamięta jeszcze tę epokę, ale nikt nie może jej sobie wyobrazić od wewnątrz, nie potrafi przez chwilę nawet czuć się jak ci powoli stąpający panowie i zasznurowane w gorsety panie. Postacie te można opisać już tylko od zewnątrz, jak postacie *ancien régime*'u.

Niemal równie daleka wydaje się dziś Republika Wejmarska, w której mężczyźni nosili długie do kostek, obcisłe płaszcze, porcja paskudnej kawy z dwoma miniaturowymi kawałkami cukru kosztowała dwa biliony czyli dwa tysiące miliardów marek, a za sto dolarów można było kupić kamienicę. Trudno już sobie wyobrazić myśli, uczucia i odruchy ówczesnych Niemców. Niedawno znajomi przysłali mi mój własny opis Berlina z 1923-1924. Czytałem go ze zdumieniem, nie poznając siebie w autorze tego tekstu.

Potem przyszły rentenmarki i lata ponurego oczekiwania rzezy, które od dawna już wydawały się nieuniknione. Jeżeli Niemcy przypominają sobie czasami ten okres, wspomnieniom ich towarzyszy przykre uczucie niepewności i lęku: byle tylko nie doszło znów do podobnych sytuacji.

Wszyscy dorośli pamiętają natomiast doskonale okres Trzeciej Rzeszy i często zapewne wracają doń myślą. Pamiętam go i ja. Sztandary, sztandary, mundury, buty, krzepa straszliwa, dyscyplina, licytacja egzaltowanych uczuć i pomysłów. Takie rzeczy trwają zawsze zbyt długo, ale tylko ograniczoną ilość lat, których nawet sam Napoleon Bonaparte, mistrz propagandy, nie potrafił przedłużyć. Co myślą ludzie, gdy przypominają sobie jak krzyczeli „Heil Hitler” lub oglądają siebie na starych fotografiach z tych czasów? Przypuszczam, że pytają z niedowierzaniem: czy to ja? Szczęśliwy, kogo wówczas nie fotografowano zbyt często, i kto niczego pozostającego w pamięci nie dokonał. Rivarol pisał po upadku Napoleona: *C'est un terrible avantage que de n'avoir rien fait*. Słowa te, pisane podczas Restauracji, odnoszą się równie dobrze do Niemiec dzisiejszych.

Z krótkiego pobytu w Trzeciej Rzeszy w 1936-1937 wyniosłem wrażenie, że Niemcy liczący w 1933 powyżej trzydziestu lat lub mający już żony i dzieci odnosili się do nowego reżymu z obawą i niechęcią. Entuzjazm ogarnął przede wszystkim młodzież. Różnice te stały się potem mniej widoczne, na skutek powszechnej mobilizacji, tego okropnego spadku po Rewolucji Francuskiej. Po katastrofie Trzeciej Rzeszy starszym, pamięta-

jącym inne czasy, łatwiej było zapewne rozpocząć nowe życie. Trudniejsza sprawa była z pokoleniem, które wyszło z Hitlerjugend. W pierwszych latach często zadawałem sobie pytanie, jak Niemcy wchłoną pozostałe po hekatombie resztki tej młodzieży. Jesienią 1945 widziałem całe gromady dwudziestoletnich chłopców, obdartych i wynędzniałych, wędrujących z miejsca na miejsce i nocujących na cementowej podłodze bunkrów, jak gdyby wojna trwała nadal. Uparci, milczący, zamknięci w swej ponurej fantasmagorii, wspominali między sobą półgłosem ostatnie przewagi oręża niemieckiego, w których uczestniczyli. Niejeden z nich miał zapewne na sumieniu czyny okropne, kaleczące moralnie. Wyobrażałem sobie, że wejście ich do nowego życia zostanie poprzedzone jakimś oczyszczeniem się wewnętrznym, że jedni spotkają Sonię, jak Raskolnikow, drudzy przejrzą po długich rozmowach z wierzącym kwakrem, jak Captain Singleton. Myliłem się zapewne całkowicie. Trudno jest wyobrazić sobie życie wewnętrzne kogoś zupełnie od nas innego. Przekonanie, że wszyscy ludzie są do siebie podobni, powstało być może z naszego braku wyobraźni. Dziś przypuszczam, że resorbcja dawnej Hitlerjugend odbyła się zupełnie inaczej, bez powtórnego czytania Ewangelii, po prostu na skutek całkowitej przemiany życia codziennego.

Nigdy nie słyszałem, aby jakaś doktryna została obalona przez argumenty i upadła pod ciosami krytyki. Po prostu przestawano się nią interesować, mówiono o rzeczach aktualniejszych. Tak znikły doktryny i postawy myślowe, które przez długi czas uchodziły za charakterystyczne dla Niemców. Zmiotł je *das deutsche Arbeitswunder*. Nowe miasta, nowe dzielnice, nowe warsztaty pracy, miliony samochodów, wystawy sklepów wypełnione towarami aż do sufitu, wzrastający wciąż poziom życia — takie rzeczy kształtują na nowo ludzi, którzy je, zaczynając niemal od zera, zrobili. Mój dom, moje mieszkание, mój wóz, mój motocykl, mój urlop, który spędzę na Sycylii — wszystko to, zwłaszcza gdy jest dziełem własnych rąk, dostarcza satysfakcji nierównie bardziej oczywistych niż posiadanie najpotężniejszej nawet armii i floty. Te ostatnie są dobre dla ludów ubogich, które, nie mogąc rozszerzyć granic życia codziennego, muszą szukać satysfakcji zastępczych. Wydaje się, że w tym miejscu Niemcy dzisiejsi przekroczyli jakąś granicę, dzielącą ich od pokoleń poprzednich. Któregoś dnia, być może, *prosperity* straci dla nich urok nowości, przyniesie rozczarowania, i myśli ich wejdą na inne tory, o których na razie nic nie wiadomo, ale do tego jest jeszcze daleko.

W ciągu pół wieku Niemcy dostarczyły patrzącemu tyłu różnych wzorów życia. Który z nich jest w tej chwili aktualny? Żaden wzór poprzedni nie daje klucza do zrozumienia następnego.

Echa okresów poprzednich można jeszcze usłyszeć w słowach starszych, trudniej u młodych.

Zdawałoby się, że wobec zmienności pokoleń należy wzorem Hipolita Taine'a szukać rysów stałych w tym, co łączy się z krajobrazem i klimatem, z przeszłością kraju zawartą w architekturze i zabytkach. Kto jednak widział miasta niemieckie w 1945-1949, nie mógł się oprzeć wrażeniu kruchości i niepewności rzeczy martwych. Najpodobniejsi do dnia wczorajszego byli w nich jeszcze ludzie, szukający resztek dobytku w ruinach swych domów.

Podczas moich pierwszych podróży powojennych do Niemiec, patrząc na odbudowę miast według dawnych planów i wzorów, nie liczącą się nawet z wymaganiami wzrastającego ruchu ulicznego, na restaurację rezydencji dawnych monarchów, na brak naśladowców Le Corbusiera, widząc wreszcie ludzi czytających w ruinach wydanego przez Heimerana na nowo Homera, odnosiłem wrażenie, że Niemcy pragnęliby nawiązać zerwany kontakt z przeszłością i stworzyć na nowo złudzenie stałości i ciągłości życia. Tak też zapewne było w tych latach, w których w Frankfurtu odbudowano dom Goethego. Ale czy nie był to tylko pierwszy odruch ludzi wykolejonych przez katastrofę historyczną i pragnących odnaleźć samych siebie? Czy po *Arbeitswunder* myśli ich nie zwróciły się raczej ku przyszłości? Odpowiedź na to pytanie spodziewam się znaleźć w Frankfurtu, którego nie widziałem od sześciu lat.

Frankfurt

Niezwykłe upalny lipiec sprzyjał w tym roku podróżom. Zwłaszcza w krajach, w których ludność nie uprawia siesty i gdzie domy mieszkalne zwrócone są ku słońcu, gorąco było uciążliwe. Po sześciu latach nieobecności odbudowany Frankfurt ukazał mi się rozpalony jak piec, z tysiącami przechodniów bez marynarek.

Z dawnego Frankfurtu zachowałem tylko niejasne wspomnienia. Jako młody student byłem tam w czasach wilhelmińskich. Jeden z niemieckich kolegów pokazał mi wówczas stare miasto i zaprowadził do domu swej ciotki, wypełnionego gromadzonymi od pokoleń meblami. Stały tak gęsto, że miejscami pozostawała między nimi tylko wąska ścieżka. Idąc nią musiałem trzymać łokcie przy sobie, aby nie strącić porcelanowych faramuszek, ustawionych na szanownych antykach. Domów takich, pełnych pamiątek z różnych czasów, musiało być wiele w starej dzielnicy.

Gdy wróciłem tam późną jesienią 1945, miasto było wielką

ruiną. W śródmieściu nie było na pozór ani jednego całego domu. Niewielki ruch widoczny był tylko przy Hauptwache, na skrzyżowaniu głównych arterii dawnego śródmieścia. Byli to przechodnie zdążający z jednego przedmieścia na drugie. Stara dzielnica, leżąca między Hauptwache i Menem, znikła zupełnie z oblicza ziemi. Na jej miejscu wznosiły się rude pagórki z startej na miarki proszek cegły, porastające tu i ówdzie zielenią chwastów. Przekopano przez nie wąskie przejście do pontonowego mostu, przez który wracałem każdego wieczora do odległej o kilka kilometrów osady podmiejskiej, gdzie znalazłem chwilowy przytułek. Gdy u wejścia do przekopu zapalałem latarkę, z mroku wyłaniało się kilka zawiniętych w łachmany postaci. Byli to ludzie czekający na jakiegoś posiadacza latarki, aby z nim razem przebrnąć przez nieoświetlony i najeżony szczątkami żelaznych rusztowań przesmyk.

W 1953 stara dzielnica, z wyjątkiem domu rodziców Goethego, pozostawała wciąż niezabudowana. Zdawało się, że zwlekano z jej odbudową.

Odbudowa starych dzielnic z historycznymi budynkami stawia zadania ważne dla całej przyszłości miasta. Zrujnowane przez wojny i katastrofy miasta odradzają się bowiem nie tylko z handlu i przemysłu, ale także z swej pamięci i sławy, z zabytków i relikwii. Klasycznym tego przykładem jest Salzburg, który za mojej pamięci dwukrotnie podnosił się z upadku dzięki przechowywanym w nim pamiątkom po Mozarcie. Sławniejszym jeszcze przykładem jest Rzym, nie posiadający żadnego przemysłu poza budowlanym i mieszczący znów w swych murach dwa miliony mieszkańców. Przeszłość, aby stać się źródłem nowego życia, musi być oczywiście żywa, obecna w pomnikach i pamiątkach.

Już podczas pierwszych podróży do Niemiec powojennych uderzyło mnie, że w zbombardowanych miastach ocalały tylko dzielnice ekscentryczne, złożone z budynków użytkowych XX wieku i nie proponujące żadnych wzorów życia starszych od czasów wilhelmińskich i Republiki Wejmarskiej. Niepowrotnemu zniszczeniu uległy natomiast dzielnice starsze, jak gdyby wojna powietrzna miała odciąć Niemcy od wszelkich wspomnień przedbismarckowskich.

Nie wiem, jakie miejsce przeszłość Frankfurtu zajmowała w wyobraźni jego mieszkańców, przypuszczałem jednak, że sytuacja ogólna, jaka wytworzyła się w Niemczech po ostatniej wojnie, musiała nadać historii miasta pewną aktualność. Frankfurt był wolnym miastem o liberalnych tradycjach, pamiętającym czasy Karola Wielkiego. Tam koronowali się cesarze niemieccy, tam zasiadały niemieckie parlamenty. Miasto było wielkie, bogate.

Żadne inne miasto niemieckie nie miało tylu danych, aby po upadku Prus i przesunięciu się życia kraju na zachód stać się stolicą nowych Niemiec. Tradycje, wspomnienia i pamiątki historyczne są oczywiście ważnym czynnikiem stołeczności. Myślałem o tym wszystkim w zbliżającym się do miasta pociągu i pilno mi było zobaczyć, co powstało na miejsce starego Frankfurtu.

Już pierwszy rzut oka ze stopni dworca kolejowego wskazywał, że miasto zostało całkowicie odbudowane. Przed sześciu laty okolice dworca były jeszcze pełne ruin, które znikły zupełnie prócz jednej, zachowanej jak gdyby na pamiątkę po przebytej katastrofie. Jest to stojąca naprzeciw dworca czarna jak smoła fasada, na której bieleją złowieszczo opłukane przez deszcze kariatydy, orły i inne kamienne emblematy w stylu późnego niemieckiego *ottocenta*. Koło zamurowanego wejścia przeczytać można kilka na pół startych napisów angielskich z czasów okupacji. Jeden zabrania tłoczyć się u wejścia, drugi głosi, że w tym miejscu stare banknoty niemieckie wymieniane będą na nowe. Jak się później przekonałem, jest to jedyna widoczna pamiątka z tych lat.

Zostawiwszy walizki w hotelu, pojechałem tramwajem na Rossmarkt i wszedłem w jedną z uliczek schodzących przez starą dzielnicę ku rzece. Cała przestrzeń, na której znajdowało się niegdyś stare miasto, była zabudowana.

To co tam zobaczyłem było dziełem namysłu i umiaru obcego wszelkiemu romantyzmowi. Dzielnica została zabudowana według dawnego planu, ulice nosiły te same nazwy, jakie widziałem przed podróżą w starym przewodniku z 1891. Nic w niej jednak nie było starego prócz kilku ocalałych z rozgromu kościołów. Domy stały wszędzie nowe, nie naśladowujące wzorów dawnych ani dzisiejszych, nie zwracające na siebie uwagi żadną stylizacją. Ratusz mieścił się w obszernym, solidnym budynku z czerwonego kamienia, przypominającego stary Heidelberg. Urbaniści i architekci frankfurcy wybrali drogę średnią, nie oglądając się zbyt za siebie, lecz nie dając się także uwieść mirażom domniemanej przyszłości. W odbudowanych dzielnicach ulice są szerokie, jest wiele placów i zieleńców; zwraca uwagę większa niż w innych miastach niemieckich ilość miejsc do parkowania.

Dom Goethego

Dom rodziców Goethego przy Grosser Hirschengraben stanowi wyjątek w tym ogólnym obrazie, jest bowiem kopią domu, który stał w tym miejscu przed wojną. Dom ten ulegał różnym przeróbkom, zanim opiekujące się nim stowarzyszenie nie przy-

wróciło mu, w 1864, postaci z 1755 i nie umieściło w nim pamiątek po poecie i licznych przedmiotów należących niegdyś do jego rodziny. Sama już ilość zgromadzonych w nim sprzętów kuchennych jest imponująca. Liczba miedzianych rondli mogłaby budzić wątpliwości co do autentyczności kolekcji, w kuchniach i lamusach patrycjuszki berneńskiej widziałem jednak podobne zbiory miedzianych antenatów naszych obecnych rondli aluminiowych. Widocznie stałość i ciągłość życia sprzyjają wszędzie gromadzeniu się tego rodzaju sprzętu. Na wyższych piętrach zebrane są meble, obrazy, instrumenty muzyczne i liczne inne przedmioty, wśród których wychowywał się młody Goethe. Zbiory odnoszące się do historii tzw. kultury materialnej rzadko posiadają towarzyszący im tekst pisany o rozmiarach i znaczeniu dzieł Goethego, i na tym polega wyjątkowość kolekcji zebranej w frankfurckim *Goethehaus*.

Zbiory te nastrożają różne refleksje. Wydaje mi się, na przykład, że Robbe-Grillet, radząc obecnym powieściopisarzom zaniechać metafor i wziąć się do rzetelnego opisu zewnętrznego przedmiotów, mija się z czymś istotnym. Z opisu zewnętrznego przedmiotów nie można zrobić powieści, i sam Robbe-Grillet tego nie potrafi. Element opisowy w jego powieściach jest mało przekonywujący. Prawdziwy romans przedmiotów nie może poprzestawać na ich aspekcie zewnętrznym. Każdy przedmiot posiada także życie własne. Każdy ma swoją historię, reprezentuje jakąś fazę ewolucji klasy przedmiotów, do której należy, z każdym zaś punktem tej ewolucji wiąże się pewna ilość pojęć, ocen i struktur myślowych. Nie mówię już o reminiscencjach i asocjacjach związanych z przedmiotami indywidualnymi.

Przedmioty oglądane w domu rodziców zostawiły zapewne jakiś ślad w dziełach Goethego. Jeżeli poeta nie nazywa ich po imieniu, zachował być może coś z otaczającej ich aury pojęć, ocen, struktur myślowych i asocjacji. Odkrycie dróg, jakie wyłobiły sobie w pismach Goethego, byłoby prawdziwym romansem przedmiotów, opisem ich niezwykłej przygody.

Studium takie mogłoby stać się interesującym przyczynkiem do *Literaturwissenschaft*. Łatwo jest powiedzieć, że byt określa świadomość, trudniej nadać temu ogólnikowemu twierdzeniu jakiś jasny sens. Suma zjawisk składających się na „byt” jest bowiem w znacznej mierze wynikiem świadomej działalności pokoleń poprzednich, wyrazem ich pojęć i sądów wartościujących. Nawet zjawisko tak wyraźnie „bytowe”, jak obecność kolekcji rondli w domu Goethego, nie da się wytłumaczyć bez uwzględnienia pojęć Renesansu i Baroku, bez obejrzenia obrazów Breughela i Jordaensa i uważnego odczytania kilku rozdziałów Rabelego i in-

nych tekstów w rodzaju opisu dożynek u Jeremiasza Gotthelfa i uczy z *Pana Tadeusza*. Tylko szczegółowe rozważenie konkretnych przykładów pozwoliłoby rozpoznać sens i zasięg formuły dzisiejszych marksistów literackich. Krytycy tego obozu upraszczają sprawę, zwężając pojęcie „bytu” do pewnych warunków gospodarczych. Tak uproszczona, formuła ich jest zawieszona w powietrzu i pozbawiona dowodów.

Muzea i wystawy

Niemieckie zbiory muzealne były przez długi czas niedostępne na skutek zniszczenia przeznaczonych dla nich budynków. Dopiero w ostatnich latach, po zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych ludzi żywych, odbudowano muzea i przeniesiono do nich ukryte podczas wojny kolekcje. Korzystam z dwóch wolnych dni, aby obejrzeć muzea frankfurckie.

Na Schaumainkai, po drugiej stronie rzeki, znajduje się w starym parku dawna willa barona Liebiga, mieszcząca zbiór rzeźb starożytnych i średniowiecznych. Właściwa willa jest okopconą ruiną z zamurowanym wejściem, wznoszącą się ponad drzewa na kształt wieży. Bombardujący miasto lotnicy brali ją być może za kościół. Portale, tarasy, balustrady, reminiscencje architektoniczne różnych epok piętrzą się w niej ku górze w jakimś szalonym i beładnym poszukiwaniu efektu wielkości. Różne rysy niemieckiego *ottocenta* są tu doprowadzone do skrajnego wyrazu. Przez czterdzieści lat odwracaliśmy się od takich rzeczy, odrzucając je *a limine*, bez dyskusji. Gdy patrzę teraz na ten dziwny twór, przychodzi mi na myśl, że wiele budynków dawnych, zwłaszcza barokowych, jest być może podobnym, chociaż trudniejszym do odcyfrowania koktailem różnych efektów, związanych tylko ambicją budowniczego. Budynki w rodzaju willi Liebiga dają pojęcie o niebezpieczeństwach, granicach i być może nawet o głębszej naturze eklektyzmu.

Za willą, w cieniu starych drzew stoi lekki, pozbawiony ozdób budynek, stanowiący właściwe muzeum. Znajduje się w nim niewielka lecz niezwykle piękna kolekcja rzeźb. Za najcenniejszy obiekt uchodzi w niej Pallas-Atena Myrona. Z pochyloną na bok głową bogini patrzy w dół z wysokiego postumentu, uważna, opanowana, niezycżliwa, być może kapryśna. Takim spojrzeniem śledziła zapewne z Olimpu robotę Arachny.

W dziale sztuki Wschodu zatrzymały mnie na dłużej dwa portrety wycięte przez jakiegoś barbarzyńcę z zewnętrznej powłoki mumii egipskich z czasów Antoninów. Wśród posiadanych przez

muzeum fotografii większego formatu znalazłem niestety tylko jeden z tych portretów. Fotografia ta stoi teraz przede mną na kominku. Przedstawia młodą dziewczynę, zmarłą po dłuższej chorobie, jak można wnosić z powiększonych przez odchudzenie oczu. Spojrzenie jej jest zarazem spokojne i zdziwione, takie jakim ogląda się świat po tamtej stronie granicy. Przychodzi mi na myśl, że większość starych portretów Cranacha czy Van Dycka przedstawia ludzi w obliczu rzeczy ostatecznych. Wizerunek człowieka pozującego po śniadaniu w pracowni artysty należy do innej klasy obrazów.

W dziale średniowiecznym uwagę moją zwraca głowa kobiety z 1464. Jest to też portret, dłuta nieznanego mi mistrza holenderskiego. Patrzącemu nań przychodzi na myśl *Isoldas Liebestod*. Głowa ta uderza zmysłowością, wyrażającą się wdziękiem, którego zazdrościmy zwierzętom. Dziś gdy artystki filmowe, odpowiadając gustowi publiczności, prześcigają się w poszukiwaniu wyrazistych form *sex-appeal*'u, portret holenderskiego rzeźbiarza mógłby stać się przedmiotem studiów i zyskać nawet pewną popularność.

Piszę to w trybie warunkowym, bo przez cały ranek byłem w willi Liebiga jedynym gościem.

Wręcz odwrotną sytuację znalazłem w leżącym nieopodal muzeum sztuk pięknych, powstałym również z fundacji prywatnej i mieszczącym się w imponującym gmachu z 1878, o stylu klasycznym. Natłok zwiedzających był tego dnia tak wielki, że pobieżnie tylko mogłem obejrzeć bogate zbiory muzeum.

Pierwsze kroki zaprowadziły mnie do pięknego obrazu Tintoretta, którego nie widziałem ani w katalogu wystawy z 1937, ani w żadnym znanym mi dziele o mistrzu Jakubie Robustim. W odróżnieniu od innych mistrzów *cinquecenta*, Tintoretto widzi świat wirujący w zawrotnym ruchu, za którym ledwie zdąża jego pośpieszny pędzel. Na frankfurckim obrazie ruch ten zatrzymał się jak gdyby na chwilę, aby tym pewniej rozpętać się znów. Jest to jeden z piękniejszych obrazów znakomitego Wenecjanina.

Inne wrażenie robi wiszące w tejże sali wielkie płótno Rembrandta, przedstawiające zwycięstwo Dalili. Całe światło skupione jest na wijącym się z bólu Samsonie, któremu żołnierz zanurza właśnie sztylet w oko. Jest to obraz nieco inny od znanych dzieł mistrza, niezrównoważony, gwałtowny, okrutny.

Nieraz przychodziło mi na myśl, że na wystawach malarzy współczesnych obrazy szkodzą sobie nawzajem, odbierając jedne drugim intensywność i świeżość barw. Widok dwóch obrazów Renoira, wiszących z daleka od siebie w otoczeniu innych płócien, utwierdza mnie w tym przekonaniu. Promienność ich jest

tak wielka, że wśród dziesiątków obrazów wzrok zatrzymuje się tylko na nich. W kolekcji Reinharta, gdzie kilkadziesiąt najpiękniejszych Renoirów wisi obok siebie, efekt ten jest mniej uderzający.



Malarstwo abstrakcyjne ma już koło 50 lat. Jest więc w wieku, w którym ludzie mają wspomnienia i zaczynają oglądać się za siebie. Stąd zapewne tyle wystaw retrospektywnych, sięgających początku głównych prądów okresu międzywojennego. Z okazji tych kommemoracji zwrócono też uwagę na Rosjan, którzy przed 40-50 laty byli w pierwszych szeregach falangi modernistów. Niektórzy z nich — jak Chagall, Kandinsky, Sutin i Zadkin — są dziś sławni. W ciągu ostatnich dwóch lat widziałem jednak także starannie przygotowane wystawy mniej sławnych, jak Aleksiej Jawlenski i Kazimierz Malewicz. Mówiąc nawiasem, tego ostatniego piszą zawsze Malewitsch, jakkolwiek jest moim krajanem, bodaj nawet szlachcicem, i w 1922 rozmawiał ze mną po polsku.

W Frankfurcie, w budynku dawnego klasztoru karmelitów, oglądałem wystawę obejmującą całą grupę rosyjskich nowatorów. Pod względem artystycznym wystawa była postna; brak było Sutina, którego obrazy wystawiano w tym czasie w Paryżu; akwarele i rysunki Chagalla i Kandinskiego były nieistotne i przypadkowe; najlepiej reprezentowany był Łanskoj. Dla mnie najciekawsza była strona dokumentalna wystawy: plakaty wystaw petersburskich z 1915-1916, obrazy, rysunki i szkice z tego okresu, należące do świata opisanego w pierwszych rozdziałach „Doktora Żiwago”. Niektóre z nich mogłyby służyć za ilustracje do powieści Pasternaka.

Gdy patrzyłem na tę wystawę i przypominałem sobie Malewicza, milczącego lub wpadającego w teoretyczno-techniczne rozważania, przyszło mi na myśl, że udział Rosjan w ruchu, który miał prowadzić do „wielkiej przygody” malarstwa współczesnego, nie był dziełem przypadku. Ludzie Zachodu marzyli tylko o *gefährlich leben* i przygody przeżywali najczęściej w wyobraźni. Rosjanie byli do takich rzeczy bardziej uzdolnieni; przygody brali na serio i wychodząc z domu nie oglądali się za siebie.

Panna Elfryda

W biurze hotelu zastałem młodą dziewczynę, w której oczach było jakieś wspomnienie złych lat, coś co mi przypominało pierwsze podróże do powojennych Niemiec. Spojrzawszy na wypęnlony

przeze mnie formularz meldunkowy, zapytała jak się nazywa moje miejsce urodzenia.

— Na co to pani potrzebne? Miejsce to przed czterdziestu laty znikło z oblicza ziemi i figuruje już tylko w moich papierach. Zresztą nazwa jego jest trudna do wymówienia.

— Nie dla mnie. Mówię po polsku.

Okazało się, że panna Elfryda pochodzi z Olsztyna, skąd wyjechała z własnej inicjatywy dopiero w 1957. Jest więc moją koleżanką-emigrantką. Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że pochodzi z rodziny mazurskiej. O przyczynach swego wyjazdu powiedziała mniej więcej tyle:

— Rosjanie byli okropni, ale Polacy jeszcze gorsi, małostkowi, dokuczliwi. Kiedy moi rodzice, przywiązani do tej ziemi, umarli, postanowiłam wyjechać. W Polsce jest za dużo patriotów.

— Nie brak ich i tu.

— Ale tu jest ich mniej.

Panna Elfryda ma rację. Cofanie się nacjonalizmu, który zrujnował Europę i sprowadził ją do roli przylądka Eurazji, widać w Niemczech wyraźniej niż gdziekolwiek indziej.

Następnego dnia zapytała mnie, czy czytałem „Doktora Żiwago”. O książce tej wiele słyszała, ale jest dla niej za droga, w czytelnicach zaś frankfurckich jej brak lub trzeba na nią czekać przez długie miesiące. Przeczytałaby ją oczywiście także po polsku; była przecież w polskiej szkole i czytanie w tym języku nie sprawia jej żadnej trudności.

Zanim wyjechałem z Frankfurtu, panna Elfryda przeczytała pierwsze rozdziały powieści Pasternaka. Powiedziała mi, że z książki tej ucieszy się również jej koleżanka, posiadająca polską maturę. Obiecujemy sobie nawzajem, że będziemy do siebie pisywali.

Co też powie panna Elfryda o wspomnieniach z Olsztyna Tadeusza Nowakowskiego, drukowanych w ostatnim numerze *Kultury*?

Anna Magnani

Hotel mój jest jednym z tych nowoczesnych budynków z żelazobetonu i szkła, które, jak bajeczny Argus, patrzą w słońce dziesiątkami okien. We dnie nagrzewa się do temperatury tureckiej łaźni i chłodnie powoli dopiero po północy. Obawiając się wracać wieczorem do rozpalonych murów, wchodzę na przeciw Hauptwache do podziemnego kina, gdzie spodziewam się znaleźć łagodniejszą temperaturę. Idzie tam właśnie film, w którym grają razem Anna Magnani i Giulietta Masina. Film ten przynosi mi

wielki zawód. Akcja jego rozgrywa się w więzieniu dla kobiet. Pomysł zamknięcia w więzieniu dwóch najlepszych aktorek włoskich wydaje mi się groteskowy i barbarzyński. Przeniesione za kraty z szerokich przestrzeni takich filmów jak *Volcano* i *La Strada*, obie artystki wydają się biedne, oskubane.

Kariera Anny Magnani jest osobliwym paradoksem naszych czasów, sama bowiem natura jej talentu jest wyzwaniem rzuconym filmowemu światu producentów, scenarzystów i reżyserów. Nikt nie stworzył dotąd ram odpowiednich dla jej talentu, znanego właściwie tylko z okrucichów i aluzji. Wszystkie jej role wyglądają na uciążliwe kompromisy. W każdej z nich jednak znajduje się jakaś aluzja do zawsze tej samej wielkiej roli, stanowiącej o powołaniu artystycznym Anny Magnani.

Jest to rola kobiety, która doznała wielkich zawodów i zrezygnowała z miłości i życia osobistego. Nie odeszła wprawdzie od ludzi i bierze nadal udział w ich sprawach, ale porusza ją już tylko uczucie życzliwości, litości, coś odpowiadającego pojęciu miłości chrześcijańskiej. Nigdy bodaj nie widziano, aby kreacja sceniczna niema — bo skąpe i ubogie słowa scenariuszy krępują tylko talent artystki — zbliżała w równej mierze widzów do tekstu Ewangelii. Przed laty czytałem w rzymskiej gazecie, że Alcide De Gasperi z całym swym chrześcijańsko-demokratycznym rządem *in corpore* był na premierze filmu z Anną Magnani w roli głównej. Demonstracja ta przynosi zaszczyt przenikliwości De Gasperiego. Tak powinno być. Inna rzecz, że włoski mąż stanu musiał być głęboko rozczarowany filmem — widziałem go w rok później — w którym aluzja do Marii Magdaleny była tylko niejasnym, ledwie słyszalnym szeptem.

W filmie współczesnym nie ma widocznie miejsca na taką rolę ani na taki talent. Film i Anna Magnani należą być może do różnych klas zjawisk. Bardziej zastanawia fakt, że nie widać obecnie żadnego pisarza, który mógłby napisać sztukę lub scenariusz dla Anny Magnani, lub z którego pism można by taki scenariusz wykroić. Scenariusz, który napisał dla niej Tennessee Williams, jest nieporozumieniem. Także u pisarzy katolickich szukalibyśmy na próżno odpowiedniego tekstu. Nie widać go ani u tych, którzy sądzą i ciskają gromy, ani tym mniej u tych, którzy kokientują grzechem w swych katolickich romansach kryminalnych.

W kreacjach aktorskich Anny Magnani i Giuletty Masiny zwraca uwagę całkowita nieobecność elementu zwanego *sex-appeal'em*. Koncepcja taka zbiega się z wielkimi tradycjami sztuki. Gdy przeglądamy np. powiększone fotografie postaci kobiecych z krakowskiego ołtarza Wita Stwosza, jesteśmy pewni, że z żadnym z ich modeli nie łączyły artysty osobiste stosunki uczuciowe,

wychodzące poza granice miłości chrześcijańskiej, jakiej oczekujemy w dziełach sztuki o inspiracji religijnej. Uwaga ta odnosi się nie tylko do sztuki religijnej. „Piękno jest cielesnym powabem, który nie pozwala się zbliżyć i zakłada wyrzeczenie”, powiada Simone Weil. Tę samą odległość widzimy u wielkich portrecistów. W dzienniku Goncourt'ów znajduje się cały ustęp poświęcony tej postawie artystów. Tę samą *castitas* odnajdujemy nawet, wbrew pozorom, u Rubensa, który malował najczęściej kobiety nagie, wszystkie podobne zresztą do jego żony. Baudelaire, który jak nikt inny przemyślał te sprawy, pisze:

*Rubens, fleuve d'oubli, jardin de la paresse,
Oreiller de chaire fraîche où l'on ne peut aimer,
Mais où la vie afflue et s'agite sans cesse,
Comme l'air dans le ciel et la mer dans la mer.*

Brak w kreacjach aktorskich Anny Magnani i Giuletty Masiny elementów tzw. *sex-appeal*'u sprawia, że patrzący na nie odnajduje w sobie od razu rodzaj wzruszenia, znanego mu z uprzedniego obcowania z wielką sztuką.

P o z e g n a n i e

Frankfurt jest przede wszystkim wielkim ośrodkiem handlowym, do którego przeniosła się część życia gospodarczego z wschodniej części Niemiec. Kalendarz odbywających się tam targów, wystaw i obrad, podczas których trudno o miejsce w hotelu, jest imponującym dokumentem. Wszystko jest to w pełnym rozwoju, którego granic jeszcze nie widać. Miasto zwrócone jest ku przyszłości; nie widać w nim nigdzie biernej egzystencji rzeczy starych, trwających niezmiennie przez lata i wieki.

Do Frankfurtu przenieśli się wielcy wydawcy niemieccy, jak S. Fischer i Peter Suhrkamp. Stąd idą w świat znane już wszędzie dwumarkowe tomiki Fischera w błyszczących, półsztywnych okładkach. Ten nowy i stary zarazem typ taniej książki, którego brakło w okresie międzywojennym, zasługiwałby na osobne studium.

Nieżyjącego obecnie Suhrkampa poznałem tu przed sześciu laty. Drożyzna pieniądza i niestałość cen stawiały wówczas wydawców wobec bardzo trudnych sytuacji. Jak w czasach inflacyjnych, tę samą książkę sprzedawano co dzień po innej cenie. Wielu ogarnęło pesymizm, niewiara w przyszłość książki, dla której nie widzieli miejsca w nadchodzącej organizacji życia codziennego.

Peter Suhrkamp był z temperamentu nieskłony do takich

przewidywać. Miał siwe, falujące włosy, jasne oczy i pozbawiony był wszelkiej sztywności. Jak wielcy szefowie przedsiębiorstw, wnikał bez pośpiechu w szczegóły każdej nowej propozycji i zdawał się mieć wiele wolnego czasu. Mówił tonem przyjaznym, od człowieka do człowieka, bez dygresji i uogólnień. Słuchając go, ulegało się złudzeniu, że słowo drukowane jest wielką potęgą autonomiczną, torującą sobie drogę poprzez wszystkie przeszkody.

Przyczynę jego optymizmu zrozumiałem dopiero później. Źródłem sceptycyzmu ludzi mających wówczas do czynienia z książką były nie tylko trudności gospodarcze, ale także sama literatura. Literatura nowych Niemiec liczyła zaledwie kilka lat wieku i nie miała jeszcze określonego oblicza. Nikt nie mógł przewidzieć, jakie miejsce zajmie w życiu odradzającego się kraju. Słyszałem nawet — przy tym od osoby bardzo kompetentnej — zdanie, że taka rzecz jak literatura współczesna w Niemczech w ogóle nie istnieje.

Do sądenia o tych sprawach Peter Suhrkamp posiadał szczególne warunki. Nakładem jego wychodziły wówczas książki autorów zupełnie nieznanymi lub z natury swej nie mogące liczyć na natychmiastowe powodzenie. Wydawca takich książek jest w pewnej mierze współtwórcą literatury bieżącej, znającym jej projekty i możliwości na kilka lat naprzód.

Przy pożegnaniu Suhrkamp ofiarował mi obszerny *Tagebuch* nieznanego wówczas, dziś głośnego pisarza zuryckiego Maxa Frischa, zawierający m.in. wspomnienia z odbudowującej się Warszawy (autor jest architektą). W tym czasie Szwajcarzy boczyli się jeszcze na Niemców, między wydawcami i księgarzami obu krajów istniało coś w rodzaju zimnej wojny. Kto mógł wówczas przewidzieć, że w ciągu czterech czy pięciu najbliższych lat odrębność literatury szwajcarskiej w języku niemieckim zniknie, i że zostaną z niej tylko pisarze niemieccy urodzeni w Zurychu czy St. Gallen? Kiedy myślę o ludziach zwróconych ku przyszłości, przypominam sobie zawsze Petera Suhrkampa.

Od ówczesnych pesymistów słyszałem, że książka staje się coraz bardziej towarem sezonowym, że książki nie sprzedane w ciągu dwóch lat oddawane są na przemiał i znikają na zawsze z rynku. Potwierdzając mi te wiadomości, pewien księgarz monachijski dodał: „Mam wrażenie, że w ten sposób zniszczyliśmy to, co w literaturze ostatnich lat mieliśmy najlepszego”. Wiele książek z pierwszych lat powojennych znikło bez śladu i można je znaleźć tylko w frankfurckiej Deutsche Bibliothek, jedynej jaka posiada komplet druków niemieckich z tych czasów.

Słowa pesymistów przyszły mi znów na myśl, gdy oglądałem witryny antykwariatów przy Goethestrasse. Zobaczyłem tam mia-

nowicie powieść jednego z najlepszych żyjących autorów niemieckich, która przed trzema laty figurowała jeszcze wśród nowości wydawniczych, i za którą zapłaciłem w Monachium cenę katalogową 13 marek, a której cena antykwaryczna wynosi obecnie 4 marki. Zmarli jadą prędko, mówi niemieckie przysłowie, ale i żywi, jak widzę, też nie marudzą. Po namyśle zatrzymuję się jednak w pół drogi między optymistami i piewcami zagłady. Książek tych przecież nie zmielono, oszacowano je tylko na nowo. W *Betriebslehre* Schmallenbacha czytałem kiedyś, że przedsiębiorstwa nie powinny przeceniać w bilansie pozostałych im na składzie towarów i, jeżeli są to książki, wartość ich należy szacować na 18 % kosztów własnych. W największym ośrodku handlowym Niemiec książki nie uchylają się widocznie od zasad *Betriebslehre*.

Jako nabywca książek, powinienem zainteresować się bliżej frankfurckimi antykwariatami. Z żalem opuszczam to miasto, które, jak mi się zdaje, zaczynam już trochę rozumieć.

W i e d e ñ

Wojny, które zmieniły oblicze świata, były przedsięwzięciami tak wielkich rozmiarów, że trzeba było aż dwóch pokoleń żołnierzy, aby je doprowadzić do końca. Taka była wojna peloponeska, wojna cywilna po śmierci Juliusza Cezara, takie były wojny napoleońskie i wojny o hegemonię Europy w pierwszej połowie obecnego stulecia. Raz rozpoczęte, zmieniały wodzów, metody, cele, złościąc sobie drogę do tragicznego i nieprzewidzianego zakończenia. Kto widział początek i koniec takiej długotrwałej katastrofy, odnajduje potem ze wzruszeniem znane sobie z poprzedniej epoki miejsca, budynki, parki, obyczaje, regionalne potrawy i wina. Wszystko to ustawione jest jednak w nowym, innym porządku, którego sens pozostaje długo niejasny. Zależnie od punktu, z którego patrzymy, zarysy ogólne tego porządku ukazują się wyraźniej lub rozplywają się w mgle nierozpoznanej jeszcze przyszłości.

Zmiany zaszły w Europie w ciągu ostatnich 50 lat nigdzie być może nie są tak widoczne jak w Wiedniu. Przed pół wiekiem Wiedeń był jedną z głównych stolic Europy, miastem zwróconym ku przyszłości, w którym, wyprzedzając swój czas, kształtowały się powoli nowe formy współżycia ludów w ramach wielkiej monarchii federalnej. W kilka lat później Wiedeń stał się stolicą

małej republiki, która zdawała się nie mieć żadnej przyszłości i po kilkunastu latach rozplynęła się w Trzeciej Rzeszy.

Obecnie Wiedeń jest wielkim miastem pogranicznym, odległym o jakieś 30 km. od linii demarkacyjnej. „Między odległym Wschodem i nie mniej odległym Zachodem”, pisał przed 90 laty Sałtykow-Szczedrin o położeniu ówczesnej Rosji. Coś podobnego można by dziś powiedzieć o Wiedniu. Strefa graniczna między obu cywilizacjami przesunęła się o kilka tysięcy kilometrów na zachód.

Po ostatniej wojnie Wiedeń został całkowicie odbudowany. Zachował większą część swych pięknych późnobarokowych pałaców; luki wojenne zostały wypełnione przez nowe budynki. W całej zresztą Austrii widać na każdym kroku nowe zabudowania, nowe zakłady przemysłowe i inne przejawy odradzającego się życia. Cuda gospodarcze nie są wyłącznym przywilejem Niemiec, i można dziś mówić także o austriackim *Arbeitswunder*. Widać jednak od razu, że stopa życiowa w Wiedniu nie jest taka sama jak na Zachodzie. Względny dostatek nie pociągnął też tu za sobą właściwej dziś Zachodowi niwelacji gustów i trybu życia. Nie wszyscy wiedeńscy zasiadają wieczorem przed aparatami TV, nie wszyscy obliczają w myśli datę nabycia nowego samochodu. Wyobraźnia i inwencja osobista nie utraciły tu jeszcze swego znaczenia, dzięki czemu kontakt z ludźmi jest żywszy, mniej zdawkowy niż na Zachodzie. Wydaje mi się, że najcenniejszą rzeczą, jaką wywozę z obecnego pobytu w Wiedniu będą nawiązane tu przyjaźnie. Gdy przypominam sobie dawną Pragę, Budapeszt, Kraków i Lwów, mam wrażenie, że Wiedeń bliższy jest tamtych miast niż obecnych wzorów zachodnich.

Wiedeń Franciszka Józefa

Kto widział Wiedeń w czasach Franciszka Józefa, w czasach ks. Seipla i dziś, ma przed sobą trzy różne, nie pokrywające się z sobą obrazy. Nasz zmysł porządku i ciągłości każe zbliżać do siebie te obrazy i nasuwa myśl, że różnice między nimi dadzą się sprowadzić do różnic między pokoleniami, które w ciągu ostatniego półwiecza deptały chodniki miasta. Przypuszczam, że tak sobie tłumaczy te różnice większość wiedeńczyków, zmuszonych do odnalezienia w jakiś sposób ciągłości własnej egzystencji. Trudniej przychodzi to obcemu, dla którego Wiedeń jest wieloznacznym symbolem i który myśli o sensie tego miasta dla reszty świata. Jest dlań oczywiste, że znane mu obrazy miasta oddzielo-

ne są od siebie wielkimi skokami historii miejscowej i historii powszechnej.

Najstarszy obraz Wiednia, jaki zachowałem w pamięci, datuje się z czasów Franciszka Józefa. Jest to obraz najwyraźniejszy, przeświecający przez wszystkie inne; muszę się mieć na baczności, aby nie brać go za rzeczywistość bieżącą. Jako młody student przejeżdżałem wówczas kilka razy do roku przez Wiedeń, zatrzymując się w nim na kilka dni lub tygodni. Miasto przyciągało mnie do siebie coraz silniej. Byłem w wieku, w którym młodzież ulega najłatwiej fascynacji niebezpiecznych zabaw i ryzykownej gry myśli. Wiedeń miał w sobie coś z tych niebezpiecznych uroków.

Było już wówczas jasne, że system trzech cesarzy władających wschodnią częścią Europy zbliża się do upadku. W domu mego ojca mówiono często o zbliżającym się kataklizmie, który zmyje istniejący porządek, i o nowych formach życia, jakie wyłonią się z potopu wojny i rewolucji. Mówiono o przyjsciu do głosu nowych warstw społecznych, nowych ludów, mówiono o zgromadzeniach konstytucyjnych i parlamentach. Były to instytucje wypróbowane na wyspach oraz w krajach o zwartej ludności i ustalonych od wieków granicach. Na niezmiernych przestrzeniach Europy Środkowej i Wschodniej, zamieszkałych przez szachownicę ludów, recepty zachodnie nastroczały różne wątpliwości. Jak bowiem miałyby funkcjonować parlament złożony z deputowanych mówiących dziesięciu różnymi językami? Podział obszarów środkowych i wschodnich Europy na państwa niezależne nastroczał nie mniejsze trudności wobec braku jasnych granic etnograficznych. Dla zachowania swej jedności Austria, posiadająca południowo-zachodnią część szachownicy, wypracowała w XIX wieku dwie recepty. Pierwsza, metternichowska, opierała się na centralistycznej władzy absolutnej, negującej dopóki się da pretensje ludności do udziału we władzy i dążenia ludów monarchii do samodzielności. Druga przyznawała tym ludom ograniczoną samodzielność w ramach austro-węgierskiego systemu federacyjnego. Rosja pozostała przy recepcie metternichowskiej, Niemcy weszły na drogę demokracji parlamentarnej, lecz odmawiały swym mniejszościom narodowym wszelkiej samodzielności. Austria jedna zdawała się posiadać jakąś receptę na zarysowujący się niejasno nowy okres historii. Przypuszczałem, że w samym Wiedniu przyszłość tę widać wyraźniej niż gdzie indziej.

Przypuszczenie to okazało się o tyle słuszne, że nigdzie wojna nie wydawała się tak bliska jak w Wiedniu. Podczas trwożnych dni 1913 przestałem kiedyś pół nocy na Ballhausplatzu w ogromnym tłumie wiedeńczyków, którym urzędnik ministerstwa spraw

zagranicznych odczytywał z balkonu co pół godziny ostatnie depesze.

Zajęty tymi myślami nie znajdowałem w sobie żadnego zainteresowania dla wiedeńskiej operetki, i moja znajomość jej ogranicza się dotąd do *Cygańskiego Barona*. Czytałem natomiast pośpiesznie konstytucję austro-węgierską, usiłując przejrzeć ukrytą pod paragrafami i komentarzami grę pojęć, sił i interesów. Zdawałem sobie sprawę, że w dniu powszechnej mobilizacji teksty te staną się martwą literą, i że na miejsce ich wystąpią siły nowe, trudne na razie do rozpoznania.

Często też bywałem w wiedeńskiej galerii obrazów. Zdawało mi się, że przed obrazami Breughela, Cranacha, Rubensa i Vermeera znajduję klimat stosowny do rozważania wielkich wypadków. Przypuszczałem, że w zbliżającej się wojnie, jakiegokolwiek byłyby jej doraźne motywy i cele, rozegra się też walka o najwyższą stawkę, o wizję i formę przyszłego życia w tej części świata, i że nigdzie nie można myśleć jaśniej o tych sprawach jak pośród dzieł wielkich wizjonerów.

Teatry, kawiarnie literackie, felietony i polemiki, całe malownicze i zajmujące życie ówczesnego Wiednia szło swoim trybem, niezmaczone przecuciem nadchodzących wydarzeń. Jego pozorna bez troska odwracała uwagę od odbywającej się w tym mieście istotnej pracy myśli i wyobraźni. Dopiero za trzecim, dłuższym pobylem otrzymałem od młodego lekarza wiedeńskiego numer *Imago* i *Traumdeutung* Sigmunda Freuda. W latach tych mijałem być może na ulicach Wiednia nieznanymi jeszcze R. M. Rilkego i Franza Kafkę.

Obcego zastanawiała najwięcej sama struktura stolicy, podobnej do wieży bez schodów, której każda kondygnacja stanowiła zamkniętą w sobie całość. Na szczycie, tonąc w chmurach, stał zamek, *die Burg*, z starym cesarzem i dynastią trawioną od wewnątrz przez mezalianse. Pod nim znajdowało się miasto żyjące bogatym życiem własnym i nie interesujące się wcale habsburskim federalizmem i starym cesarzem, o którym rozprawiali z rozrzewnieniem woźnice fiakrów i kucharki. Osobną kondygnację stanowił parlament i administracja, mające niewielki rezonans w wiedeńskiej inteligencji. Jeszcze bardziej izolowana wydawała się armia, obecna w postaci tysięcy wielojęzycznych żołnierzy i podoficerów, których oswojeniu i asymilacji służył wielki luna-park na Praterze.

W krótkim czasie zrozumiałem, że bywalcy wiedeńskich kawiarni literackich i czytelnicy felietonów nie mieli najmniejszego zainteresowania dla zagadnień austriackiego federalizmu i nie chcieli nic wiedzieć o pozostałych krajach monarchii. Dla wiedeń-

skich pięknoduchów na wschód od stolicy rozciągały się kraje barbarzyńskie, ciekawe chyba tylko dla etnografów. *Asien beginnt an der Pappelstrasse*¹, mówili. Był to dla nich malowniczy i nieokreślony, na pół bajeczny Wschód, który opisał Roda Roda, lub fantastyczna Tarokania Herzmanovskiego-Orlanda.

Negatywna postawa wiedeńczyków wobec pozostałych krajów monarchii była dla mnie zjawiskiem nowym, nieoczekiwanym. Było to pierwsze zetknięcie z procesem, który w następstwie przybierał coraz większe rozmiary. Dla różnych złożonych przyczyn stare kraje Europy Zachodniej odwracały się coraz bardziej od reszty świata, zamykały w sobie; promieniowanie ich gasło, wpływy cofały się. Wyniki ostatniej wojny ujawniły tylko ten proces, w istocie starszy i zasługujący na osobne studium.

Po 1919 Wiedeń oddalił się jeszcze bardziej od byłych krajów monarchii habsburskiej. Austriacy znajomi, z którymi wspominałem te czasy, utrzymywali, że mimo łączących ich z tymi krajami wspomnień i nawet związków rodzinnych rzadko tylko powracali do nich myślą.

Pragnący dziś zapoznać się z ewolucją polityczną Austrii za panowania Franciszka Józefa musi przezwyciężyć znaczne przeszkody. Liczba publikacji nowych poświęconych tym zagadnieniom jest znikoma. Przeglądając katalogi bibliotek odnosi się wrażenie, że jest to jeden z najmniej znanych okresów historii.

Legalizm austriacki

Doświadczenia wyniesione z federalizmu austriackiego zachowały się przez długi czas w pamięci ludów byłej monarchii. Podróżując po wsiach i miasteczkach Galicji, Rusi Zakarpackiej i Węgier miałem sposobność stwierdzić, że ludność tych krajów, nawet w 20 lat po upadku monarchii habsburskiej, była wciąż jeszcze głęboko przywiązana do tzw. legalizmu austriackiego. Termin ten, używany w braku lepszego, zwęża istotę tego zjawiska, polegającego na powszechnym przekonaniu, że wszystkie sprawy polityczne sporne dadzą się załatwić w drodze układów między zainteresowanymi lub ich legalnie wybranymi przedstawicielstwami, bez użycia broni i stwarzania faktów dokonanych. Założenie takie upoważnia do bardzo optymistycznych przewidywań, pozwala bowiem przypuszczać, że układające się strony nie dadzą się łatwo zniechęcić i powstrzymają się od aktów przemocy. W tych warunkach

1. Nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam nazwę tej ulicy, leżącej gdzieś w okolicach Nordbanhofu.

nawet słowo *fortwursteln* staje się wyrazem pogodnego oczekiwania i nadziei. Jest rzeczą oczywistą, że rozpowszechnienie się takiego przekonania na terytorium zamieszkałym przez kilkanaście ludów o różnych językach, wyznaniach i tradycjach może mieć nieprzejrzane, zawsze dobroczynne skutki.

Legalizm austriacki odegrał zapewne istotną chociaż niewidoczną rolę w historii państw sukcesyjnych. Państwa te obciążone były od urodzenia wielką ilością spornych granic i zagadnień narodowościowych, które w ramach suwerennych państw narodowych nie znajdują żadnego rozwiązania. Jeżeli obyło się w nich bez powstań, partyzantek i wojen cywilnych, zawdzięczać to być może należy uporczywej niechęci byłych poddanych austriackich do broni palnej. U niezadowolonych nadzieję na skuteczne układy zastąpiła nadzieja na nietrwałość samych państw sukcesyjnych.

Tradycje legalizmu opierały się zwycięsko późniejszym, najsmutniejszym nawet doświadczeniom. W 1924, w parę lat za ledwie po krwawych walkach polsko-ukraińskich, spotkałem w Galicji Wschodniej powiatowego komendanta tajnej organizacji zbrojnej ukraińskiej, który tak mniej więcej określił swe stanowisko:

— Nowe powstanie zbrojne zrobić jest łatwo. Jesteśmy dziś do tego lepiej przygotowani niż w 1918-1919, a materiału palnego w kraju nie brak. Sprawiedliwe wyrównanie stosunków ukraińsko-polskich nie da się jednak osiągnąć przez powstania, lecz tylko w drodze układów. Posiadanie organizacji wojskowej jest więc jedynie kartą w rękę naszych negocjatorów.

W obrębie wpływów austriackich nawet członkowie nielegalnych organizacji zbrojnych zajmowali stanowisko legalistyczne.

Wpływ wychowania politycznego austriackiego mogłem ocenić także w Wiedniu, latem 1919. W Budapeszcie rządził wówczas Bela Kun, i Wiedeń był pełen uchodźców węgierskich. Leżącą koło Burgu Stiftskaserne zajmowała czerwona gwardia złożona z marynarzy. Spotykałem ich wciąż w śródmieściu, jadących na ciężarówkach, z niestrzyżonymi od dawna włosami i nie dbale trzymanymi w rękę karabinami. Nikt się za nimi nie oglądał. Wojska rządowe otaczały miasto, tymczasowo niczyje. Czekałem koło miesiąca na wyjaśnienie się sytuacji, która nie wyjaśniała się wcale lecz trwała nadal. Toczyły się jakieś układy, życie płynęło dalej, mimo że w mieście nie było nic prawie do jedzenia. Na Ballhausplatzu trwało na posterunku kilku urzędników, w paru kawiarniach grały przybyłe z Węgier cygańskie orkiestry, giełda nawet była otwarta, trudno jednak było zorientować się w jej czynnościach z racji panującego tam stale tumultu. Nocami nasłuchiwałem, czy gdzieś daleko nie rozlegnie się „pokaszliwanie

Trockiego”, lecz przez cały ten czas nie słyszałem ani jednego wystrzału, bez czego w żadnym innym mieście nie obyłyby się w podobnej sytuacji. Wreszcie nadeszła wiadomość o upadku Beli Kuna na Węgrzech. Stało się jasne, że czerwoni marynarze zaczną teraz znosić do koszar cywilne ubrania, aby bez rozgłosu pożegnać miasto.

Nie wszyscy poddani byłej monarchii byli zadowoleni z funkcjonowania jej instytucji politycznych. Niektórzy mieli nawet do tego słuszne powody. Fakt jednak narodzin i rozpowszechnienia się na jej obszarze wiary w zbawienną siłę układów i kompromisów jest zjawiskiem zastanawiającym, odosobnionym. Trudno np. wyobrazić sobie nawrócenie się na taką wiarę sceptycznych ludów Europy Zachodniej. Rzecz taka wymagałaby długiego czasu i niezwykłego zbiegu sprzyjających okoliczności. Najtrudniej oczywiście byłoby nawrócić uczonych w piśmie i czytanych w historii. Kto jednak wie, czy historia została dobrze odczytana i czy nie można jej odczytać inaczej? Znam wiele świetnych historii wojen, nie pamiętam natomiast ani jednej historii układów, mediacji i kompromisów, których też nie brakło w przeszłości, lecz których sztukę, w braku powszechnie znanych wzorów, każde pokolenie musi odkrywać na nowo.

Festiwal młodzieżowy

Przyjechałem do Wiednia w drugiej połowie lipca w zamiarze przejrzenia w tamtejszej Bibliotece Narodowej rzadkich dziś książek pisarzy austriackich XIX wieku, którzy pochodzeniem i tematyką związani byli z dalszymi krajami byłej monarchii, z Galicją Wschodnią, Bukowiną, Siedmiogrodem itd. Przeglądając pozostałość, często mało czytelne kartki starego katalogu, przekonałem się, że książki te nie były systematycznie kompletowane, jak gdyby nikt dotąd nie interesował się tym działem literatury austriackiej. Pokolenia obecne zbyt oddaliły się od tamtych spraw i tamtych czasów. Przychodziło mi na myśl, że 18 sierpnia rb. upływa 50 lat od tragicznej śmierci Ludwika Gumplowicza, długoletniego profesora uniwersytetu w Grazu, głośnego niegdyś socjologa z Krakowa, piszącego po niemiecku. Czy też w Grazu ktoś go sobie z okazji tej rocznicy przypomni?

Od spraw tych oderwał mnie Siódmy Festiwal Młodzieży, noszący obiecujący tytuł Festiwalu pokoju i przyjaźni. Jest to pierwszy festiwal tego rodzaju odbywający się po tej stronie linii demaracyjnej.

Pierwsza wiadomość o festiwalu dotarła do wiedeńców

w formie afiszów austriackich organizacji studenckich donoszących, że te ostatnie powstrzymają się od wszelkiego udziału w tej imprezie. Podobną decyzję powzięła prasa wiedeńska, która — wyjąwszy miejscową gazetę komunistyczną — przez cały czas trwania festiwalu nie podawała o nim żadnych wiadomości. Biura turystyczne i informacyjne nie umiały też nic o nim powiedzieć. Program festiwalu zdobyłem nie bez trudu po dłuższej wędrówce pieszej na koniec Prateru, gdzie znajdowało się własne biuro informacyjne festiwalu.

Ten spisek milczenia ma za sobą pewną tradycję. W początku XVIII wieku Lord Bolingbroke pisał, że tzw. system europejski sięga tylko wschodniej granicy właściwej Austrii, i że to np. co się dzieje na Węgrzech nie ma dla tego systemu najmniejszego znaczenia². Koła miarodajne świata zachodniego są i dziś tego samego zdania. Gazety więc mogły stanąć na stanowisku, że *de minimis non curat praetor*.

Nie wiem czy wydawcy wiedeńskich dzienników kierowali się tak zasadniczymi przesłankami. W festiwalu młodzieży widzieli przede wszystkim inicjatywę sowiecką, niedawna okupacja zaś pozostawiła po sobie w Austrii niechęć i podejrzliwość w stosunku do wszystkich poczynań Kremla.

Można by jednak zauważyć, że w Wiedniu mieli się zjechać nie byli okupanci, ale co najwyżej ich synowie i córki, słowem młodzież, która nie zdążyła jeszcze zrobić nic złego i była na pewno bardzo ciekawa spotkania z nowym dla niej światem zachodnim. Ogromna większość przyjezdnych nie miała ze Związkiem Sowieckim nic wspólnego; pochodziła częściowo z krajów w pewnym sensie też przez Związek okupowanych lub z krajów azjatyckich i afrykańskich. Liczne grupy młodzieży przybyły wreszcie z Europy Zachodniej.

Młodzież ta, zwłaszcza przybyła z tamtej strony linii demarkacyjnej, nie zdradzała na ogół żadnego komunistycznego fanatyzmu. Można ją było łatwo oswoić, wtajemniczyć w arkana cywilizacji zachodniej, zachęcić do samodzielnego myślenia. Nikt jednak nie chciał się tego podjąć. O ile wiem, tylko Niemiecka Republika Federalna przysłała na festiwal grupę młodzieży niezależnej. Mam wrażenie, że młodzież uniwersytecka Europy Zachodniej nie jest wcale przygotowana do tego rodzaju spotkań i byłaby bardzo zakłopotana w dyskusjach. W tym być może leży główna przyczyna jej absentyzmu. Wielu studentów wyobraża sobie nadto, że ciąży na nich odpowiedzialność ministrów spotykających się

2. W swej *Historii Europy od pokoju pirenejskiego do pokoju w Utrechcie*, książce będącej studnią mądrości na równi z Tukididesem i Machiavellim. Szkoda, że Węgrzy nie mieli jej przed sobą w 1956.

z przedstawicielami Kremla, jakkolwiek spotkanie z kolegami z tamtej strony granicy, zwłaszcza w składzie w jakim przyjechali do Wiednia, byłoby czymś zupełnie innym, zarówno w swej istocie jak w bliższych i dalszych skutkach. Niewiele być może brakowało, aby festiwal stał się istotnie „festiwalem przyjaźni i pokoju” w sensie szerszym niż to zapowiadał jego tytuł oficjalny, do tego jednak młodzież z Zachodu nie okazała dosyć zmysłu proporcji i humoru.

Z krajów leżących po tej stronie linii demarkacyjnej przybyły natomiast liczne grupy młodzieży komunistycznej czy komunizującej, z których najliczniejsza zdawała się być grupa włoska. W braku innych ochotników mentorami i przewodnikami przybyłych zostali miejscowi komuniści oraz ich koledzy francuscy, niemieccy, włoscy itd. Nie wiem czy byli to dobrzy przewodnicy, i czy goście ze Wschodu byli z nich zadowoleni; obawiam się, że nie dowiedzieli się od nich nic, czego przedtem już nie czytali w swych urzędowych gazetach. Największe niebezpieczeństwo, jakiego sowieccy inicjatorzy festiwalu mogli obawiać się dla swej młodzieży, zostało w ten sposób zażegnane.

Nie sprawdziły się również obawy tych, którzy widzieli w festiwalu niebezpieczne narzędzie propagandy komunistycznej. Obawy te polegały zresztą na nieporozumieniu. Partie komunistyczne Europy Zachodniej liczą miliony członków, posiadają własne organizacje młodzieżowe i gdyby uważały festiwale za użyteczne mogłyby je organizować same nawet co kwartał. Widocznie jednak nie spodziewają się wiele po tego rodzaju manifestacjach. Przypuszczam nawet, że obserwatorzy tych partii w Wiedniu patrzyli na przybyłą zza kordonu młodzież nieufnie i podejrzliwie.

Na Stadionie

Pierwszego dnia festiwalu przybyła nań młodzież przedstawiła się publiczności wiedeńskiej na Stadionie. Defilada grup narodowych, ubranych przeważnie w stroje ludowe, trwała przeszło trzy godziny. Brało w niej udział, jak mówiono, koło 11.000 osób. Ogólną liczbę uczestników festiwalu szacowano na oko, w braku innych danych, na dwanaście do siedemnastu tysięcy.

Stadion wiedeński ze znanych mi jest bodaj największy, ale — tego dnia przynajmniej — brakło mu dobrej komunikacji z miastem. Od ostatniego przystanku tramwajowego trzeba było doń iść godzinę pieszo przez cały Prater w nieznośnym upale. Mimo tych przeszkód cały niemal Stadion był wypełniony publicznością.

Idąc aleją wzdłuż Messe-Gelände, czyli budynków wystawowych, trafiłem tam na koniec ustawionego już w porządku alfabetycznym pochodu. Ostatnia stała grupa rosyjska, w której dla skrócenia czasu zabawiano się tańcami. W odróżnieniu od innych grup Rosjanie nie nosili strojów ludowych ani sportowych. Mężczyźni mieli jednakowe ubrania marynarkowe z lekkiego granatowego materiału. Była to już młodzież starsza, licząca koło 30 lat. W tym wieku młodość opuszcza Rosjan ostatecznie; zaczynają tyć, cenić wygodę i pieniądze. W zachowaniu się ich pojawia się jakiś nieuchwytny odcień lekceważąco-ironiczno-protekcjonalny, jaki na Zachodzie przychodzi dopiero z posiadaniem pierwszego większego pakietu akcji. Patrząc na ich pykniczne sylwetki i zimne oczy, widzę, że ten rys Rosjan — wczesne ostygnięcie młodości — nie uległ po rewolucji żadnej zmianie. I oni też przyglądają mi się przez chwilę. Okazuje się, że noszą takie same jak oni ubranie, niemal identyczne w kroju i barwie. Okoliczność ta nie daje jednak okazji do żadnych uwag czy żartów.

Grupa tej starszej młodzieży otacza parę tańczącą w strojach ludowych. Aby tańczyć dla własnej przyjemności w takim upale, trzeba mieć wielką siłę przekonania. Tańczący nie są przy tym młodzi. Kobieta może mieć koło czterdziestki. Ściekający pot żłobi brzozy na jej bladej twarzy. Głęboko wpadłe oczy są nieprzytomne. Przebiega mi przez myśl słowo *isstuplonnaja*. W scenie tej jest coś z *Le Sacre du printemps*. Starsi młodzieńcy w granatowych ubraniach przyglądają się jej chłodno, z rezerwą, nie biorąc w niej udziału nawet w formie tzw. efektu Carpentera.

Dalej widzę „sowieckich ludzi” młodszych roczników. Jeszcze dalej stoi grupa polska, ożywiona, rozmowna. Młodzież z Europy Wschodniej poznać można z daleka. Mimo dzielących ją różnic posiada pewien rys wspólny, obcy młodzieży Zachodu. Młodość cieleca nie trwa długo w Europie Wschodniej, i pochodzący stamtąd studenci robią wrażenie ludzi znających już życie od strony zagadnień trudnych i zabaw zastrzeżonych dla dorosłych. Wyglądają też na starszych od swych zachodnich kolegów. Nawet lekkomyślność jednych i drugich jest różna, bo jest lekkomyślność tańczących rumbę i lekkomyślność grających w pokera. W moich studenckich czasach różnica ta była być może jeszcze wyraźniejsza, ale dostrzegam ją też u uczestników festiwalu.

Zbliżając się do czoła pochodu mijam mniejsze grupy azjatyckie i afrykańskie. W porównaniu z białymi ludzie kolorowi wydają się lepiej wychowani i robią na ogół najlepsze wrażenie.

Defilada na stadionie odbywa się w ten sposób, że grupy, poprzedzone transparentami z nazwą kraju, wchodzi kolejno na olbrzymią arenę, obchodzą ją kołem i znikają w szerokich wrotach.

Mijają stroje ludowe kilku kontynentów. Najbardziej malownicze są grupy azjatyckie. Koreańczycy w olśniewająco barwnych strojach powiewają błyszczącymi wstążkami; grupa chińska wygląda tak, jak gdyby występ jej wyreżyserowany był przez artystów Opery Pekińskiej. Lecz i grupa włoska włożyła w swój występ wiele pomysłowości; poprzedzają ją ukostiumowane postacie z *commedia dell'arte*. Są jednak także grupy defilujące po prostu w cywilnych ubraniach, jak na 1-go maja. Mam wrażenie, że tłumne manifestacje tego rodzaju nie znalazły dotąd swego reżysera i oscylują między *music-ball*'em i procesją.

Przy pojawieniu się każdej nowej grupy z ławek poniżej mnie podnoszą się krzyki: *Freundschaft! Friede!* Słowa te wymawiane są takim tonem, jakim woła się: „Huzia! Bierz go!”. Są to miejscowi komuniści.

Grupa sowiecka ukazuje się we wrotach dopiero po upływie dwóch godzin. Jednocześnie w otaczającym stadion parku rozlega się huk podobny do wystrzałów armatnich. Są to rakiety, z których spada na stadion deszcz kolorowych gwiazd. Z innych spadają spadochrony z transparentami. „Sputnik! Sputnik!” wołają z ławek komunistów. Kanonada trwa kilka minut, i cały Prater zasnuwa się dymem.

Imprezy festiwalowe

Festiwal jest tak wielkim przedsięwzięciem, że nie podobna zapoznać się z wszystkimi jego imprezami. Manifestacje artystyczne stanowią 9/10 programu wypełniającego małą książeczkę. Na każdy dzień przypada ich po dwadzieścia i więcej. Można w nich odróżnić kilka działów.

Do pierwszego należą manifestacje artystyczne, luźno tylko wiążące się z festiwalem młodzieży. Są to występy Baletu Leningradzkiego, Opery Pekińskiej, paryskiego Ballet Roland Petit oraz koncerty orkiestr symfonicznych z Moskwy, Belgradu i Sofii.

Na drugi, najliczniejszy, składają się występy ludowych zespołów tanecznych i śpiewaczych o różnym poziomie, od „Mazowsza” do skromnych grup amatorów. Festiwal pozwala zapoznać się z folklorem kilkudziesięciu krajów, od Afryki do Finlandii i od Argentyny do Mongolii. Tylko Rosja nie wzięła udziału w tym kiermaszu.

Występy te odbywały się każdego dnia w dwóch teatrach śródmieścia, u Ronachera i w Raimundtheater, w kilkunastu więk-

szych i mniejszych salach, na scenach pod otwartym niebem i w innych pomieszczeniach.

Kilka kinematografów wyświetlało każdego dnia filmy przywiezione przez uczestników festiwalu. W ramach tego ostatniego odbywał się jednocześnie konkurs zespołów chóralnych i młodych wirtuozów.

Wystawa obrazów przywiezionych z krajów uczestniczących w festiwalu zajmowała część ogromnego Messepalastu.

Każdego dnia odbywały się nadto zebrania dyskusyjne poświęcone różnym tematom jak zagadnienia literatury współczesnej, organizacji studenckich, krajów kolonialnych itd. oraz spotkania grup zawodowych, młodych kolejarzy, elektrotechników, spółdzielców itd. Dyskutowano, o ile wiem, bardzo ostrożnie. W dyskusji o zagadnieniach literatury współczesnej np. nikt nie wymówił słowa „realizm socjalistyczny”. Program uzupełniały wreszcie zawody sportowe.

Bogactwo programu zmuszało uczestników i widzów postronnych do wyboru, utrudnionego przez złą organizację festiwalu. Biura koncertowe w mieście nie sprzedawały biletów na imprezy festiwalowe; trzeba było chodzić po nie aż na Prater, aby tam dowiedzieć się, że na ciekawsze występy biletów już nie ma. W rezultacie widziałem zaledwie połowę interesujących mnie widowisk.

Balet Leningradzki

Stare malarstwo weneckie nazywano by nadal weneckim, nawet gdyby dawne miasto dożów przezwano Togliattigradem. Dla tych samych powodów Balet Leningradzki należałoby nazywać petersburskim, tak wyraźnie jest tworem czasów, gdy obecny Leningrad nosił nazwę Sankt-Peterburga.

W białych perukach tancerzy, w ich dyscyplinie, w ezoterycznej konwencji baletu, odległej zarówno od naszych jak od mikołajowskich czasów, poznajemy bez wahania świetnie zachowany, rzadki egzemplarz sztuki dworskiej z czasów absolutyzmu. Posłuszny swym prawom wewnętrznym, Balet Peterburski wydaje się niezależny zarówno od gustów i pojęć pospółstwa jak od kryteriów utylitarnych. Trudno znaleźć rodzaj sztuki równie jaskrawo przeciwstawiający się postulatом socjalistycznego realizmu.

Dla jakich motywów monarchowie absolutni popierali taką właśnie sztukę? Podręczniki nie dają na to gotowej odpowiedzi. Sztuka dworska znikła na Zachodzie już dawno. Nasi najlepsi historycy sztuki są, jak my wszyscy, wychowani w tradycjach

republikańskich i nie są tu przewodnikami niezawodnymi. Musimy więc odwołać się do świadectw współczesnych.

Uboczne światło rzuca na tę sprawę okoliczność, że Machiavelli, rozważając wszystkie środki, jakimi rozporządza jego samowładny *Książę*, pomija popieranie sztuki całkowitym milczeniem. Rzecz w tym, że tyran Machiavellego opiera swą władzę tylko na przewadze swej inteligencji i swego charakteru, nie licząc na żadne imponderabilia. Inna jest sytuacja panującego *Dei gratia*, na mocy szczególnego powołania czy wyróżnienia, otrzymanego jako dar (*charisma*) bogów. Już ten szczegół wskazuje na pewne koleżeństwo monarchy z artystami, których talent również uważano powszechnie za dar bogów.

Czy monarchom chodziło o zaprzęzenie do swego rydwanu i podporządkowanie sobie także wybrańców muz? Byłby to wniosek prędko i mylno. Monarsze absolutnemu posłuszni byli wszyscy, i podporządkowanie artystów nie stanowiło żadnego odrębnego zagadnienia. Co by mu zresztą przyszło z sztuki służebnej, gdy wszyscy dokoła prześcigali się w ofiarowywaniu usług? Świat sztuki obiecywał mu inne, istotniejsze korzyści.

Najważniejszym i najtrudniejszym zarazem zadaniem władcy jest uzyskanie od poddanych uznania jego szczególnego posłannictwa. Błogosławieństwa kapłanów nie wystarczają. Władca nowy wyszedł z szeregów, i trudno uwierzyć w jego nadprzyrodzone kwalifikacje. Władca dziedziczny ma legalnych, również pomazanych spadkobierców, mogących budzić różne nadzieje. Obaj muszą więc szukać jakiegoś znaku nieba potwierdzającego wyjątkowość i skuteczność ich posłannictwa. Jeżeli zbudują drogi i mosty, zostawią po sobie dzieło ufundowane z danin i wykonane przez inżynierów i robotników. Zwycięstwa ich będą okupione krwią poległych.

Skuteczne popieranie sztuk nie budzi takich poziomych wątpliwości. Wyniosłość i majestatyczność pałaców, niepowtarzalny urok wiszących w nich obrazów i stojących przed nimi pomników nie dadzą się wytłumaczyć ilością inwestowanych w nie dukatów. Są to znaki szczególne, podobne do ukazania się orła nad głową króla lub do dalekiego echa piorunu, którym Jowisz potwierdza wypowiedziane właśnie przez władcę słowa.

Dla utrzymania tego efektu monarchowie nie szczędzili środków, sprowadzali z daleka sławnych artystów i przy okazji podnosili im spadły na ziemię pędzel. Taka interpretacja dzieł sztuki wymaga oczywiście uznania szczególnego posłannictwa geniuszów, sumującego się z posłannictwem monarchów. Sztuka ezoteryczna, frapująca formą lecz nie ujawniająca swych arkanów, nadaje się najlepiej do takich interpretacji.

Wzorem naśladowanym przez późniejszych władców był cesarz August, który w relacji Suetoniusza był ohydny tyranem, w pamięci zaś ludów zachował się jako patron złotego wieku literatury. Za jego też panowania skrytykowały się dwa sprzeczne pojęcia o potędze społecznej literatury i o odrębności jej powołania.

Naszkiecowane tu związki monarchii z sztuką stają się jasne, gdy spojrzymy na genezę pałaców królewskich od Neapolu do Petersburga lub na historię *privilège du roi*, przy pomocy którego królowie francuscy bronili literatury od cenzury parlamentu.

Siedząc w pierwszych rzędach Teatru Ronachera przyglądam się uważnie tancerzom. Wydają mi się młodzi, nie tyle być może wiekiem ile siłą przekonania, z jakim służą swej surowej dyscyplinie. Sztuka wymagająca, niezależna od sądów pospólstwa, pociągała za wszystkich czasów najlepszą część młodzieży artystycznej. Tak zapewne jest i w Leningradzie.

W jaki sposób Balet Leningradzki, poddający tyle zdronych myśli, ostał się reglamentacji politycznej, która zniwelowała literaturę a nawet sztuki plastyczne i muzykę? Czy nie będąc artykułem masowego spożycia budził mniej wątpliwości? Czy zachowany został jako wzór dyscypliny? Czy nowi władcy wzięli go pod opiekę dla tych samych powodów, dla których stworzyli go władcy poprzedniego okresu? Czy wreszcie zachował się jedynie jako wyraz sprzeczności wewnętrznych, istniejących w świecie sztuki od czasów Augusta?

Usiłuję wyobrazić sobie, co myślą o swym balecie widzowie leningradcy. Niezależność jego od doktryny oficjalnej nie może uchodzić ich uwagi. Patrząc na białe peruki myślą zapewne, że sztuka ma inne terminy niż władze i doktryny polityczne. Refleksje takie nie są zapewne obce uczestnikom wiedeńskiego festiwalu.

Opera chińska

Operę Pekijską widzę już po raz trzeci i chętnie widziałbym ją jeszcze wiele razy. Wszyscy pamiętają jej niespodziane pojawienie się przed kilku laty i triumfalny pochód przez całą Europę. Jaką część swego powodzenia na Zachodzie Opera Pekijska zawdzięcza Mao Tse-tungowi? Czy byłaby równie podziwiana, przyjeżdżając na występy gościnne przed 30 lub 40 laty, czy też zaliczono by ją tylko do ciekawych przejawów chińskiego folkloru?

Różne sceptyczne pytania przychodzą mi na myśl, kiedy przypominam sobie, z jakim uporem pierwsza Republika Chińska

szukała przed 40 laty zbliżenia kulturalnego z krajami Zachodu. Chiny przysłały do Europy tysiące stypendystów i różnymi drogami usiłowały zainteresować Europejczyków swą cywilizacją. Próby te spełzły na niczym. Przez długie lata chińska biblioteka stała w Genewie nad brzegiem jeziora, nie odwiedzana przez nikogo. Można by zauważyć, że Genewa nie była być może najlepszym miejscem dla tej biblioteki, brak zainteresowania cywilizacją Dalekiego Wschodu nie był jednak lokalnym zjawiskiem genewskim. W tymże czasie zmarł w Paryżu na ostrą anemię ósrodek studiów orientalistycznych przy Musée Guimet. Publikacje jego przestały wychodzić; książek wyczerpanych nie przedrukowywano, nie licząc widocznie, aby mogły znaleźć nabywców. Nie pierwszy to raz generałowie bombardujący wyspy i zagrażający pokojowi świata budzą szczerą podziw dla literatury i sztuki swego kraju.

Opera Pekńska otwiera przed widzami czarowny świat legend i baśni, przedstawiony niezwykłymi środkami, dla których opracowania trzeba było wielu pokoleń aktorów, mimów, żonglerów i akrobatów. Cały ten irrealny świat ma zapewne tyle samo wspólnego z Chinami obecnymi co Balet Leningradzki z dzisiejszą rzeczywistością sowiecką. Bo czyżby Mao Tse-tung i jego towarzysze ulegali złudzeniu, że ich plany, dzięki posiadaniu autentycznej doktryny Karola Marksa, spełnią się z taką samą bajeczną prostotą, z jaką spełniły się, dzięki posiadaniu zaczarowanej perły, marzenia nimfy rzeki Si, pragnącej, mimo oporu potęg nieba, poślubić młodego uczonego imieniem Baj Jun?

Czytając uważnie program, można dostrzec w nim pewne wtręty i interpolacje z ostatnich lat, nie zmienia to jednak wrażenia, jakie wywiera całość. Obalająca wszystko fala totalnej rewolucji zatrzymała się u progu świata carów.

Mazowsze

Ze wszystkich imprez festiwalowych „Mazowsze” cieszyło się największym powodzeniem. Bilety na jego przedstawienia były od razu wyprzedane. W wejścia na salę panował nieopisany tłok. „Mazowsze” zmobilizowało w Wiedniu wszystkich widzów mających z Polską jakieś związki osobiste: polskie żony wiedeńczyków, ludzi starszych, którzy urodzili się lub mieszkali w Galicji przed rozpadnięciem się monarchii, ich dzieci znające Polskę z opowiadań rodziców itd. Rozmowy o „Mazowszu” słyszałem w tramwajach i na ulicy. Cała diaspora polska, nieuchwytna w dniu powszednie, ukazała się na powierzchni miasta.

Zespół „Mazowsza” widziałem już gdzie indziej, występujący przed publicznością nie mającą żadnych wspomnień z Polski i stylizowaną się po raz pierwszy z polskim żywiołem. Entuzjazm widzów, którzy nigdy dotąd nie widzieli haftowanej koszuli i pasiastych spodni, był równie wielki. W jaki sposób „Mazowsze” trafiło do wyobraźni widzów, którzy po najbardziej wyczerpujących objaśnieniach nie zrozumieliby nic z „Wesela”?

Zespół z Karolina był dla nich przede wszystkim czymś nowym. Folklor w Europie Zachodniej jest dziś już tylko bardzo wątlą rośliną. W krajach górskich kobiety ubierają się jeszcze w pewne dni w kostiumy prababek, ale nie pamiętają towarzyszących niegdyś tym świętom pieśni i tańców. *Les catherinettes*, ukazujące się na ulicach Paryża 25 listopada, są jedną z rzadkich pozostałości folkloru, będącego dziś raczej przedmiotem studiów, obiektem muzealnym. Zrozumienie przedmiotów zamkniętych w gablotkach muzeów i słuchanie nagranych na płyty pieśni wymagają wysiłku wyobraźni, nie obiecując rozrywki i zabawy. Występy „Mazowsza” są czymś zupełnie innym. Muzyka, śpiew, taniec i stroje ludowe są w nich zespolone organicznie, obchodzą się bez komentarzy, mówią same za siebie i nie żądają od widza żadnego wysiłku.

Istnieje na Zachodzie kategoria osób, które, korzystając z dobrodziejstw obecnej prosperity, odczuwają pewne zażenowanie, gdy myślą o mieszkańcach krajów poddanych surowym eksperymentom społecznym. U tych widok zespołu „Mazowsza” wywołuje uczucie komfortu moralnego. W krajach, gdzie lud umie się tak bawić — mówią sobie — nie może być zupełnie źle.

„Mazowsze” korzysta wreszcie ze słabości, jaką publiczność ma dla urodzonych pod szczęśliwą gwiazdą, wychodzących bez szwanku z najgorszych przygód,znaczonych przez Fortunę i wygrywających na loteriach. „Mazowsze” jest zaś niewątpliwie dzieckiem szczęścia. Nawet najmniej wtajemniczeni domyślają się, że na powstanie tego zespołu musiały się złożyć wyjątkowo pozytywne okoliczności.

Epoka kołchozów i agrogorodów, zrównując ludność wiejską z robotnikami fabrycznymi, powinna była według wszelkich rozsądnych przewidywań położyć koniec samodzielnej twórczości artystycznej i zdobniczej ludu. Coś podobnego widziano w czasach pańszczyźnianych, kiedy kobiety przestały haftować koszule. Niepomyślnie wróżby dla folkloru polskiego można było wyciągać też z zasadniczej sprzeczności, istniejącej między racjonalizmem planowań społecznych i gospodarczych a zachowaną w obyczajach i twórczości ludu wizją Baroku z jego rozrzutnością zabaw, haf-

tów, koronek i piór. Nad kołyską „Mazowska” czuwało jednak kilka dobrych wróżek.

Pierwszą, przechodzącą lekko nad wszystkimi sprzecznościami wewnętrznymi rewolucji społecznej, była wróżka z węsami, „narodowa w formie i socjalistyczna w treści”. Bez tej formuły zajmowanie się folklorem byłoby zapewne w tych surowych czasach nie do pomyślenia.

Najważniejszą jednak z tych dobrych wróżek był Tadeusz Sygietyński, którego spotykałem kilka razy przed wojną. Obaj zajęci byliśmy wówczas czym innym, ale rozmowy nasze schodziły zawsze na muzykę ludową, której Sygietyński był niezrównanym znawcą. Sposób, w jaki ją rozumiał i o niej mówił, miał dla mnie niewypowiedziany urok. Ojciec jego, Antoni Sygietyński, był znanym w końcu ub. stulecia krytykiem, autorem studiów o naturalistach francuskich, o braciach Gierymskich itd. Przez niego zapewne Tadeusz odziedziczył po naturalistach talent artystycznej obserwacji szczegółów, myślenia o nich tak długo aż zaczynały lśnić i promieniować. Znał sens i miejsce każdego motywu w życiu wsi, wiedział jakim czynnościami, obrzędom i zabawom motyw ten tradycyjnie towarzyszył. Nikt być może nie widział równie jasno możliwości i granic autentycznej muzyki ludowej i, jako projektodawca, nie umiał sobie równie trafnie wyobrazić ram i warunków, w których muzyka ta mogła swoją autentyczność zachować.

W jego rękach „Mazowsze” stało się także eksperymentem społecznym, szczęśliwą próbą stworzenia trwałego i rozwijającego się zespołu artystycznego z młodzieży mającej za sobą tylko tradycję swojej wsi. Patrzącego uderza szlachetność postaw i gestów tej młodzieży. Dla znających folklor nie ma w tym nic nieoczekiwanego. Młodzieży wiejskiej, zwłaszcza umiejącej śpiewać i tańczyć, nie brakło dobrych manier i wychowania. Szkołą jej były obrzędy, do których przygotowywano się co roku, tworząc grupy śpiewacze i taneczne. Sygietyński sięgnął do niezmiernych rezerw, ukrytych w polskiej ludności wiejskiej.

Od genialnego pomysłu do realizacji scenicznej droga jest piekielnie daleka. Niejeden z idących nią zgubił po drodze jedną połowę duszy, zastawił drugą i do mety doszedł inny niż był, do siebie samego niepodobny. Między pomysłem Sygietyńskiego a burzą oklasków witających „Mazowsze” młody zespół przejść musiał ciężkie próby. W tym miejscu spotkał inną wróżkę, Mirę Sygietyńską-Zimińską, znającą na wylot wszystkie rodzaje widowisk i publiczności i mającą niezawodne wycucie tego, co może a czego nie może być na scenie. W szarym zmroku, kurzu i chłodziu, jakie panują na scenie przed podniesieniem kurtyny, niejeden

chłopiec wiejski i niejedna dziewczyna mogliby stracić animusz, gdyby nie życzliwa obecność kogoś, kto jest u siebie w domu na tym rozdrożu między rzeczywistością i złudzeniem.

Malarstwo na festiwalu

Zorganizowana w ramach festiwalu wystawa obrazów, na którą złożyły się głównie eksponaty przywiezione z tamtej strony linii demarkacyjnej, jest jedną z najciekawszych imprez festiwalowych. Obrazy wywołują dyskusje żywsze niż by się tego można spodziewać. Podczas festiwalu słyszałem jedną tylko rozmowę, której uczestnicy gorączkowali się i podnosili głos. Była to dyskusja przed obrazami polskimi, tocząca się między zwolennikami i przeciwnikami socjalistycznego realizmu. Gorączkował się i tracił cierpliwość młody doktryner, czujący widocznie, że objaśnienia i komentarze niewiele znaczą w porównaniu z wrażeniem, jakie wywiera na przyjezdnych oglądanie sztuki nowej, innej.

Malarstwo bloku wschodniego nie posiada żadnej jednolitości, jest wachlarzem o ogromnym rozpięciu. Na obszarze wpływów sowieckich, między Weimarem i Władystokiem, odróżnić można kilka zon malarskich. Obrazy przywiezione z Polski, a także z Czech, są uderzająco zachodnie. Wszystkie obecne prądy i manieryzmy, do abstrakcjonizmu włącznie, znajdują w nich swój wyraz. Obrazy takie można zobaczyć wszędzie w Europie Zachodniej, na każdej prowincjonalnej wystawie malarzy żyjących.

Dalej na wschód nowe prądy przenikają z widocznym opóźnieniem. Obrazy przywiezione np. z Mongolii Zewnętrznej nie mają w sobie, poza realiami krajobrazu, nic mongolskiego i mogłyby być namalowane w Düsseldorfie przed 30 laty.

Jedynym zwartym blokiem, nietkniętym przez żadne wpływy obce, są obrazy przywiezione z Moskwy i Leningradu. Przyglądam się im uważnie, widząc po raz pierwszy zbiór płócien mających, jak można sądzić, reprezentować szkołę socjalistyczno-realistyczną. Obok nazwisk autorów figurują ich daty i miejsca urodzenia. Z danych tych wynika, że wystawiający artyści są młodzi, mają 30-35 lat.

Patrząc na ich obrazy odnoszę wrażenie, że już je gdzieś widziałem. Po chwili nie mam żadnej wątpliwości: widziałem je w Tretiakowskiej Gallerii, gdzie zebrane były obrazy *pieredwizników* z drugiej połowy XIX wieku³.

3. W przewodniku po Moskwie z 1954 czytamy, że muzeum to zostało znacznie rozbudowane i zawiera obecnie obrazy różnych szkół i czasów.

Obrazy te były faszzerowane literaturą. Część ich miała budzić w patrzących uczucie zwane *graždanskaja skorb'*, tj. smutku, go-ryczy obywatelskiej. Tak więc np. *Pogrzeb* W. G. Perowa przedstawia sosnową trumnę na saniach ciągnionych przez znużonego konia pod niskim, chmurnym niebem; na saniach siedzą, zawinięci w kożuchy, dwaj mężczyźni i kobieta. Wszyscy czytelnicy Niekrasowa i Czernyszewskiego wiedzieli, dlaczego ten samotny i ubogi pogrzeb jest tak ponury: były to ostatnie lata pańszczyzny. Inny obraz tegoż artysty nosił nazwę *Ostatniej karczmy przed rogatką* i wyobrażał dwoje sań stojących na brudnym śniegu przed posępną karczmą „Rozstanie”; na jednych z nich siedziała, czekając na męża, zawinięta w chustkę kobieta. Wszystkim wtajemniczonym w arkana ówczesnej literatury obraz ten mówił, że życie w Rosji jest beznadziejne, i że bez wódki byłoby nie do zniesienia. Nawet najlepszy portrecista grupy, Iwan Nikołajewicz Kramskoj, jest pełen społecznych aluzji. Jego *Portret nieznanym* przedstawia młodą kobietę w dorożce, na tle zimowego, mglistego Petersburga. Twarz jej wyraża wzburzenie i pogardę. Według przyjętej wówczas konwencji wszyscy wiedzieli, że uczucia te nie odnoszą się do niewiernego kochanka, lecz do znieawidzonego stroju carskiej Rosji.

Inne obrazy *pieredwizników* przedstawiają różne przykłady nierówności społecznej. W grupie tej widzimy takie obrazy jak *Śniadanie delegatów do ziemstwa* G. G. Miasojedowa, gdzie chłopci jedzą na przyźbie przyniesiony w zawiniątkach chleb, przez okno zaś widać baterię butelek i kucharza, przygotowującego obiad dla zasiadających w samorządzie jaśniepanów; jak *Burtaków* Ilji Jefimowicza Riepina, zaprzężonych w szleje jak konie i ciągnących, po kolana w lodowatej wodzie, ciężki statek itd.

Osobną grupę stanowiły w Tretiakowskiej Galerii obrazy historyczne, przedstawiające patetyczne sceny z przeszłości Rosji: rozmowę Piotra Wielkiego z synem (N. N. Ge), egzekucję *striełców* (W. I. Surikowa), Iwana Groźnego z trupem syna (I. J. Riepina), naradę wojenną pod Moskwą w 1812 (A. D. Kiwszenki) itd. Niektóre obrazy sugerują ideę energii i dumy narodowej, jak *Bogatyri* A. M. Wasniecowa i *Parlamentarze* („Poddajcie się!” „Idźcie do diabła!”) W. W. Wereszczagina. Pejzaże A. I. Kuindzi czy I. I. Lewitana przedstawiają zawsze krajobraz rosyjski z jej chudymi brzoźkami i błotnistymi traktami na niezmierzonej równinie.

Cała ta tematyka społeczna i narodowa była czymś nowym w Rosji przed stu laty, kiedy bardziej akademicy artyści malowali sceny mitologiczne i pejzaże z Sorrento. Od tego czasu minęło jednak kilka pokoleń.

Obrazy tego rodzaju malowano także na Zachodzie. *Wolność prowadząca lud* Delacroix może uchodzić za ich wzór. Nawiasem mówiąc, okropny to obraz i okropna literatura, bo jaki sens ma wolność prowadząca garstkę żywych przez zwały trupów? Porównanie między tym obrazem Delacroix i *pieredwiznikami* wywołuje w pamięci refleksje doktora Żiwago (IV, 12) na temat teatralności, która jest właściwa ludziom Zachodu i której brak Rosjanom. Dzięki tej „teatralności” wszakże obrazy Delacroix mówią same za siebie, obchodzą się bez komentarzy, gdy aluzje literackie *pieredwizników* nie są być może przejrzyste dla widzów nie mających w pamięci Niekrasowa.

Wystawione w Wiedniu obrazy obecnej szkoły moskiewskiej są bardzo bliskim naśladownictwem *pieredwizników*. Nawet ciemna szarzyzna barw jest tu ta sama, jak gdyby impresjoniści i fauwiści nigdy nie istnieli. Ten sam jest też ciężki ładunek literatury.

Wzrok patrzącego na nie zatrzymuje się od razu na wielkim płótnie Lekaniuka (ur. w Kijowie w 1929) noszącym tytuł: *Pierwsza komsomolska jacejka we wsi*. Na jego pierwszym planie stoją trzy ogromne postacie komsomolców, dwóch chłopców i dziewczyna, przywartych do siebie jak gdyby w poczuciu niebezpieczeństwa i oglądających się na rozproszone na drugim planie grupy młodzieży. Komsomolcy czują się jeszcze niepewnie, ale twarze ich mają już dumny, ironiczny, nieco drwiący wyraz wtajemniczonych, posiadających prawdę.

Rodzaj historyczno-narodowy reprezentuje najlepiej *Na front* Kotlarowa (ur. w Moskwie w 1925), przedstawiający naładowane sprzętem wojennym wagony, na których tłoczą się zawinięci w szynel żołnierze. Na ścianach wagonów widnieją napisy: *Wsia własť sowietam*; rzecz więc dzieje się w 1918. Patetycznych scen z niedawnej przeszłości malarze nie mogą widocznie traktować równie swobodnie jak *pieredwizniki*.

Nawet obrazy nie zawierające żadnych bezpośrednich aluzji literackich opatrzone są znaczącymi legendami. Tak więc np. płótno przedstawiające wycinek Petersburga z marszczącą się od wiatru Nową nosi tytuł: *Październikowy wiatr*. Ubogo ubrana dziewczyna na innym obrazie nazywa się nie Katia lub Dunia, lecz *Komsomołka*.

Szkoła moskiewska, uprawiająca przez sto lat ten sam rodzaj tymi samymi środkami, jest chyba najkonserwatywniejszą szkołą na świecie. Nie wiem jednak, czy obrazy jej mogą dziś spełnić swe zadanie społeczne równie skutecznie jak w czasach *pieredwizników*. Ciemne, posępne płótna tych ostatnich służyły opozycji, miały budzić u widzów gorycz i oburzenie. Czy również

ciemne i posępne obecnych malarzy sowieckich mogą służyć celom reżymu, który zwyciężył i dąży do stabilizacji?

Grinzing

Jedźmy teraz do Grinzingu na *Heurigera*. Na stoku wzgórze stoją tam stare, żółto-pomarańczowe domy, z których każdy zaprasza na młode wino. Nie wiem, co mówią archeolodzy, i czy tam znajdował się niegdyś *campus orgius*, miejsce poświęcone Bachusowi. Miejsce to posiada w każdym razie ogromne tradycje, bo nad każdymi drzwiami widnieją wiecha lub wianek, które w dawnej Vindobonie zwykły były zapraszać przechodnia do tawerny. Uliczki są jasno oświetlone, pełne zaparkowanych wozów i publiczności, przeważnie młodej, w odświeżającym nastroju. Tawerny zewnątrz i wewnątrz są świeżo pobielone; w izbach stoją proste stoły i ławki. Powoli schodzą się goście wszystkich stanów, przybywający grupami, często rodzinami. Tylko w jednej tawernie widzę przygotowania do tańców. Inne ofiarowują jedynie *Heurigera*, to jest wino nie mające jeszcze dwunastu miesięcy wieku. Trunek ten jest lekki, zbyt kwaśny, aby można go było wypić wiele. Uderza brak gotowych rozrywek. Humor i zabawę goście muszą przynieść sami. Rozmowy ożywiają się coraz bardziej, wreszcie cały Grinzing tonie w wesołym rozgwarze.

Kultura nr 146, grudzień 1959 i nr 147/148, styczeń/luty 1960.

HOLANDIA — 1962

De Grootte Markt — Haarlem

De Stadhuis czyli ratusz ma od rana wygląd odświętny. Schody wspinające się z dwu stron do wysoko umieszczonych w murze drzwi są wysłane czerwonym chodnikiem. Jest to zapowiedź mających się odbyć ślubów cywilnych. Jest ich dziś dwa: jeden skromny, drugi bardziej paradny.

Przed ratusz zajeżdżają cztery czarne samochody, dobre do wesela, jak do pogrzebu. Z pierwszego wysiadają: panna młoda w białym *deux pièces* i pan młody w nowym brązowo-liliowym garniturze z białym goździkiem w butonierce. (W takim samym ubraniu widziałem kiedyś przemawiającego w auli Martina Heideggera). Oboje są bardzo młodzi i zdają się pochodzić ze wsi. Z następnych wozów wysiadają rodzice i zaproszeni. Potem widać na schodach gości przybyłych pieszo.

W pół godziny później przed ratuszem zatrzymuje się sześć samochodów, tym razem czarno-białych, przybranych girlandami kwiatów. Panna młoda ukazuje się w białym obłoku muslinów, pan młody w długim żakiecie, z cylindrem w ręku.

Wszystko to widać jak na dłoni z kawiarni Brinkmanna, od której znawcy radzą zaczynać zwiedzanie miasta. Kawiarnia jest rozmiaru paryskiej *Café de la Paix*. Przed nią, na chodniku z czerwonego klinkieru stoją cztery rzędy krzesel, z których można objąć wzrokiem cały *Grootte Markt* czyli rynek. Dokoła niego stoją: *Sint Bavo*, *Vleeshal*, wzmiankowany już ratusz i koło dziesięciu starych domów.

Oswojenie się z miastem wymaga chwili refleksji. Podobnie

jak Wenecja, Haarlem uderza w pierwszej chwili jako twór wyobraźni, potem dopiero można odróżnić inne elementy obrazu miasta. Wenecję przypomina tu jedność architektury, czerwień murów i białe obwódki okien, cisza uliczek i kanałów, wreszcie siła tradycji, dzięki której oba miasta zachowały swój dawny wygląd.

Obecny rynek był zapewne kiedyś jednym z wzniesień za ledwie wystających z wody, na których Pliniusz Starszy widział ubogie lepianki. Przy wysokim stanie wody — notuje rzymski autor — mieszkańcy mogli łapać ryby nie wychodząc z domu. W wiekach średnich feudalni panowie przyjeżdżali polować w sąsiednich lasach i odpoczywali potem w obecnym ratuszu. Hrabia Holandii Willem II nadał Haarlemowi prawa miejskie w połowie XIII wieku. Rynek nazywał się wówczas *de Zand* — piasek — i widział zapewne turnieje miejscowych rycerzy, którzy brali udział w wyprawach krzyżowych. Kilka starych obrazów i przechowywany na ratuszu gobelin przedstawiają zdobycie przez nich w 1219 roku Damietty u ujścia Nilu.

Mam przed sobą opis Flandrii z połowy XVI wieku pióra florenckiego podróżnika Ludwika Guicciardiniego. W tym pięknie ilustrowanym druku arnhemskim z 1613 roku włoski podróżnik chwali Haarlem jako najpiękniejsze miasto Niderlandów, miejsce wynalezienia i pierwszego rozwoju sztuki drukarskiej. Laurens Janszoon Coster, którego pomnik wznosi się na środku rynku, naprzeciw kawiarni Brinkmanna, uchodzi w Haarlemie za wynalazcę druku. Z Guicciardiniego dowiaduję się, że wynalazek ten był przez długi czas otaczany tajemnicą, jak dziś fabrykacja bomb atomowych. Współpracownicy Costera musieli przysięgać, że go nie zdradzą, jeden z nich uciekł jednak do Moguncji i wydał tajemnicę Gutenbergowi. Oglądane przeze mnie w miejscowym muzeum costeriana są drukami odbijanymi z drewnianych plansz jak drzeworyty. Wobec tajemnicy otaczającej początki tego rzemiosła trudno zapewne dojść prawdy. Już Guicciardini odradzał powątpiewać w Haarlemie o pierwszeństwie wynalazku Costera. Cokolwiek o tym myśleć, sztuka drukarska rozwinęła się wcześniej w Holandii i przemysł graficzny jest dotąd jednym ze źródeł zamożności Haarlemu.

Miasto ma za sobą długą przeszłość, przechodziło oblężenia, okresy upadku i odbudowy. Do XVII wieku historię jego poznamy z książek; poza *Sint Bavo* nie widzimy jej w pomnikach i zabudowaniach. Patrząc na dzisiejszy rynek nie możemy sobie jasno wyobrazić turniejów, wymarszu rycerzy do Damietty ani Costera odbierającego przysięgę od drukarzy. XVII i XVIII wiek są natomiast żywe na każdym kroku. Haarlem zatrzymał się

w swym złotym wieku, za jaki mieszkańcy jego uważają wiek XVII. Domy z ciemnoczerwonej cegły i okna w białych obwódkach, które malowali Pieter de Hooch i Vermeer, stoją przed nami. Firanki w oknach i dywany bucharskie rozścielane na stołach zamiast serwet są takie same jak we wnętrzach malowanych przez Rembrandta, Ferdynanda Bola, Gerarda ter Borchę, Coddego i innych. Rysy wielu przechodniów przypominają portrety Fransa Halsę i Versproncka. Jeżeli na ulicach nie widzimy scen w rodzaju Jana Steena, Brouwera i braci Van Ostade, pamiętajmy, że od tych malarzy oddzieliły nas obyczaje wieku Oświecenia. Klienci Brinkmanna siedzą swobodni i towarzyscy, jak w salonach dwóch ostatnich stuleci.

Sint Bavo

Czczony w Gandawie i Haarlemie św. Bavo jest mało znany gdzie indziej. Wiadomo o nim tyle, że za Karola Martela był pustelnikiem i nawrócił na drogę cnoty sześćdziesięciu szlachetnie urodzonych rycerzy, co w owych czasach musiało być we Flandrii równie trudne jak dziś. Zbudowany pod jego wezwaniem w Haarlemie kościół jest gigantem średniowiecznej architektury. Jego widoczną z dala sylwetkę spostrzegamy na horyzoncie kilku obrazów Ruysdaela i innych pejzażystów szkoły haarlemskiej.

Ołtarze znikły zeń w czasach Reformacji i olbrzymie wnętrze wydaje się puste. Otchłanie wieków dzieli od siebie nieliczne przedmioty. Stalle z wyrzeźbionymi w drzewie postaciami ludzi i zwierząt są bardzo średniowieczne. Na otaczających ambone ławkach honoratorów leżą ogromne biblie, pomniki dawnej sztuki drukarskiej. Pod rokokowym organem bieleje marmurowa płaskorzeźba: dystygowana dama w greckiej szacie, personifikująca miasto Haarlem, przyjmuje na niej gratulacje muzyki i poezji; łaciński napis mówi o idach marca 1738 roku.

Podłoga kościoła składa się z kamiennych płyt z resztkami napisów i emblematów startych stopami pobożnych. Są to groby dawnych honoratorów, którzy przez pokorę chrześcijańską kazali się grzebać w tym miejscu. Mniej starta płyta przykrywa grób Fransa Halsę.

Kościół nie jest opalany i pod ławkami stoją *stoofjes* do ogrzewania nóg. Są to drewniane skrzynki z pięciu otworami na wierzchu. Do środka ich wkłada się gliniane naczynie zwane *test*, z żarzącym się węglem.

Zewnętrzne ściany kościoła oblepione są niskimi domkami, w których kiedyś zapewne handlowano dewocjonaliami, obecnie zaś mieszczą się antykwiariaty. O starości ich świadczą niskie pułapy, obliczone na wzrost ludzi dawnych wieków. W innych miastach XIX-wieczni restauratorzy oczyścili średniowieczne kościoły z tych handlowych naleciałości. Gotyckie katedry stoją zazwyczaj na pustych placach, oderwane od życia, widmowe. *Sint Bavo* jest rzadkim wyjątkiem. Konserwatorzy haarlemscy zachowali swój kościół w postaci, w jakiej został im przekazany przez historię.

Vleeshal

Wyraz ten oznacza halę mięsną, rynek rzeźniczy. Wiadomość o pierwotnym przeznaczeniu tego budynku jest dla patrzącego niespodzianką. Wszystko zresztą jest niespodziane w tym domu, stojącym obok kościoła. Edmondo De Amicis wziął go w pierwszej chwili za indyjską pagodę. Fasada jego nie odbiega daleko od przyjętych w Haarlemie wzorów: zwęża się ostro ku górze między stromiznami dwuspadowego dachu. Lieven de Key, architekt miejski z początku XVII wieku, umieścił na jej ciemnej czerwieni tyle ozdób, że całość sprawia wrażenie wymyślnej i rozrzućnej fantazji architektonicznej. Przyglądając się bliżej spostrzegamy, że efekt ten osiągnięty został przy pomocy prostych i skromnych środków. Dom ten, najpiękniejszy na rynku, jest odwrotnością tzw. funkcjonalnej architektury naszych czasów.

Domy i ulice

Poza paru głównymi arteriami ulice Haarlemu wybrukowane są czerwonym klinkierem. Od jednolitej czerwieni fasad i bruków odcina się biel okien i gzymsów. Błotnisty grunt nie sprzyjał wznoszeniu wysokich budowli i domy Haarlemu rzadko przekraczają trzy piętra, z których najwyższe ma przeważnie tylko jedno okno. Wskutek usuwania się gruntu niektóre domy pochyliły się jak wieża w Pizie, ale dzięki nieznacznej wysokości obchodzą się bez podpórek.

Mieszkańcy rzadko zamiatają ulice, przywiązują natomiast szczególną wagę do okien. Ramy ich są zawsze świeżo malowane.

Szyby są z najpiękniejszego szkła, jakiego gdzie indziej używa się do wyrobu lusterek. Mycie ich odbywa się co tydzień. Na chodnikach spotyka się co chwila drabiny, na których stoją mężczyźni zajęci myciem okien. Gdzieniedzie zachowały się szyby o liliowo-różowym odcieniu, modne w poprzednich stuleciach.

Firanki częściowo tylko zasłaniają okna parterowe i przez lustrzane szyby widać z ulicy wnętrza mieszkań: zasłane dywanami stoły, stare meble, wygodne fotele. W głębi — jak na obrazach Vermeera — widać często okno wychodzące na podwórze z nieoczekiwaną zielenią ogrodu. Domy o bardziej pałacowym wyglądzie stoją w głębi podwórza lub posiadają przed drzwiami niewielki peron z dwoma rzędami schodów. Brak budynków nowych zwraca uwagę w śródmieściu. Wciąż malowane i myte, domy robią wrażenie świeże, są jednak w istocie stare. Pokoje mieszkalne są obszerne, wysokie, jakie można widzieć w Rzymie, ale jakich nie ma dziś nigdzie w domach nowych. Dowiaduję się, że wielu bogatych przedsiębiorców z Amsterdamu posiada mieszkania prywatne w Haarlemie.

Nieprzerwana ciągłość życia, nieustanna obecność wieków poprzednich uderza na każdym kroku przechodnia. W antykwariatach sztychy mówią o starym Haarlemie. Jak w dawnych czasach domy zdają się służyć tylko do mieszkania i nic nie zdradza, aby ktoś myślał o ich rentowności. Ciągłość widać także w ich wnętrzach. W większości krajów Zachodu style i mody zmieniały się w trybie rewolucyjnym. Nowi ludzie przychodzili z nowym stylem i wynosili na strychy stare rupiecie. Holendrzy utrzymują starannie meble, nie pozwalając im zdeklasować się przez zużycie. Nawet meble nowe, lepiej przystosowane do ich obecnego wzrostu, zachowują coś z dawnych wzorów i zdają się być przeznaczone do wiecznego trwania.

Zdolność trwania ożywia w Haarlemie najskromniejsze nawet i na pozór na nic nie przydatne przedmioty. Żadnym z nich się nie gardzi. Świadczą o tym liczne bazy wypełnione najdziwniejszymi przedmiotami. Leżą tam obok siebie okazy zdekompletowanej porcelany, lampy naftowe, malowane kafle zwane *tegeltjes*, używane pióra strusie, buty bez pary, godne pędzla Van Gogha, kufrы o wypukłym wieku, jakie ostatni raz widziałem przed pięćdziesięciu laty u mojej babki na Ukrainie, i inne przedmioty, których pierwotne przeznaczenie trudno nieraz odgadnąć. Nie są to *lacrimae rerum*. Przeciwnie, wydają się wesołe, ożywione nadzieją jakiegoś niespodzianego zastosowania i przebudzenia się do nowego życia. Nadzieja ta jest być może uzasadniona. Mimo rozpowszechnienia w Haalemie aparatów do ogrzewania promie-

niami infraczerwonymi miejscowi garncarze nadal wyrabiają gliniane naczynia, służące do ogrzewania *stoofjes*, jakie widziałem w *Sint Bavo*.

Próba uogólnienia

Haarlem posiadał już w dawnych wiekach pewien przemysł. Guicciardini wzmiankuje jego sławne wyroby tkackie. Dziś posiada także przemysł metalurgiczny. Mimo to nie widać w nim żadnych śladów tzw. rewolucji przemysłowej, która w XX wieku, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat, przeobraziła głęboko większość miast Europy. Spokojniejszy przebieg tej rewolucji w jego murach Haarlem zawdzięcza być może temu, że zamożność jego pochodzi w znacznej mierze z handlu.

Handel liczy na różnorodność zajęć, potrzeb i gustów. Nawet fantazje, zachcianki i kaprysy stwarzają nowe zapotrzebowania i możliwości wymiany. Przemysł wytwarza ograniczoną ilość typów towaru; kaprysy mody i fantazje indywidualne nie są mu na rękę. Niwelacja potrzeb i gustów odpowiada mu lepiej. Przemysłowcy starają się wznosić bariery celne, kupcy zabiegają o ich zniesienie. Kupiec obraca swym kapitałem, przemysłowiec inwestuje go i musi dbać o rentowność inwestycji. Nawet kiedy posiada prywatną galerię obrazów, dobór ich zdradza troskę o opłacalność tej fantazji. Przemysł i handel prowadzą do różnych typów zachowania się, być może nawet do różnych cywilizacji.

Liczenie na wyobraźnię nabywców, na różnorodność ich gustów i kaprysów, nie zawiodło obywateli Haarlemu. Świadczy o tym fantastyczna historia tulipanów, które w XVIII wieku rozpowszechniły się w całej Europie i stały się jednym z pierwszych przedmiotów wielkiej spekulacji. Ogrodnicy z Haarlemu zaczęli wówczas wprowadzać na rynek coraz to nowe odmiany tulipanów i różnorodność ich produkcji obudziła wyobraźnię nabywców. Każdy chciał posiadać jakąś inną, mniej znaną odmianę. Za najrzadsze płacono do 60.000 guldenów. W swej książce o zbiorowej sugestii i hipnotyzmie, zurycki etnograf Otto Stoll opisuje tę spekulację jako objaw zbiorowej psychozy. Książka jego ukazała się przed 60 laty. Od tego czasu byliśmy świadkami wielu innych zbiorowych obłądów. W porównaniu z nimi spekulacja tulipanami wydaje się szaleństwem niewinnym, niemal dobroczynnym. Zapewne, wielu straciło przy tym pieniądze, ale zamiast bezwartościowych papierów i kompromitujących orderów pozostały im cebulki pięknych, odnawiających się każdej wiosny kwiatów. Handel tulipanami przetrwał spekulację i kwitnie nadal w Haar-

lemie, gdzie znajduje się giełda cebulek kwiatowych. Całe pola tulipanów otaczają miasto.

Antykwariusze Haarlemu, liczący również na różnorodność gustów, posiadają ogromne zapasy książek ze wszystkich czasów i we wszystkich językach. U jednego z nich znalazłem książkę rumuńską, której na próżno poszukiwałem gdzie indziej.

Frans Hals

Haarlem posiada muzeum Fransa Halsa, zawierające również obrazy innych mistrzów miejscowej szkoły. Jest to wspaniały budynek z 1606, noszący znamiona geniusza ówczesnego architektury miejskiego Lievena de Key. Prócz obrazów zebrano tam też trochę starych mebli z różnych epok, od XVII wieku do czasów Napoleona. Każdej soboty setki świec zapalają się tam w starych kandelabrach, dając możliwość oglądania obrazów we współczesnym oświetleniu.

Podczas mego pobytu zgromadzono w muzeum także obrazy Halsa wypożyczone z muzeów Stanów Zjednoczonych i innych krajów, nie wyłączając Czechosłowacji i Węgier. Była to wyjątkowa okazja zobaczenia dzieł mistrza rozproszonych po świecie.

Frans Hals jest wyłącznie portrecistą. Postacie jego składają się z trzech elementów: twarzy, rąk i charakterystycznego szczegółu ubrania. Przy tym uproszczeniu portrety jego osiągają ogromną siłę wyrazu i zostawiają niezatarte wspomnienie. Chodząc ulicami Haarlemu miałem je wciąż przed oczami i, jakkolwiek wiele tygodni minęło już od tego czasu, powracam do nich wciąż myślą.

Haarlemmer Hout

Słowa te znaczą: Haarlemski Las. Jest to nie tyle las, ile park. Od śródmieścia dzieli go kanał, w którym przegląda się czerwień domów i białe obwódki okien.

Woda jest tu nie głęboko, dzięki czemu dęby, buki, jesiony i lipy osiągają rzadką gdzie indziej wysokość i rozłożystość. Patrząc na ich strzeliste pnie mam wrażenie, że ta leśna architektura jest w jakiś sposób spokrewniona z gotykiem, jak włoski *bosco* z arkadami ulic. Półmrok przerywają słoneczne polanki, pozostałe po upadku jednego z leśnych olbrzymów.

Nieliczna publiczność dzieli się na dwie kategorie: na młodzież szkolną i na samotnych mężczyzn, idących w głąb lasu, jak gdyby w zamyśleniu. Są to szukający po wysiłku umysłowym chwilowego odprężenia. Tak zapewne przechadzali się tu Frans Hals i Lieven de Key. W naszej cywilizacji przemysłowej alternacja wysiłków i odprężeń regulowana jest środkami farmaceutycznymi. Rano bierzemy *stimulantia* sprzyjające skupieniu i pracy, dla tzw. relaksacji bierzemy *tranquillizers* i nie możemy potem zasnąć bez środków nasennych. Konserwatywni mieszkańcy Haarlemu trzymają się starszych recept.

Spotkanie z mieszkańcami

Na skraju parku stoi *Huize Van Looy*. Współczesny Wyspiańskiego, Jakob van Looy był zarazem pisarzem i malarzem. Obrazy i szkice jego nie wyrażają silniejszej indywidualności, zdradzają natomiast wielką wrażliwość na zmienne prądy tego czasu i atmosferę różnych krajów i środowisk. Są to jak gdyby świadectwa intensywnego i bogatego życia. Żona jego, Titia van Gelder, pochodziła z rodziny, której nazwisko znane jest wszystkim miłośnikom książek na pięknym papierze. Po śmierci męża zbudowała obok domu obszerne pomieszczenie na pozostałe po Jakubie van Looy obrazy i rysunki. Do drzwi tego domu zadzwoniliśmy któregoś przedpołudnia, chcąc obejrzeć umieszczone tam na czas wystawy obrazy z muzeum Fransa Halsza.

Moją przewodniczką po Haarlemie była urodzona w Holandii pianistka, która spędziła długie lata poza krajem i zwiedzała go teraz na nowo. Na nasz dzwonek mężczyzna wyglądający na lat sześćdziesiąt otworzył drzwi i wprowadził nas do muzeum. Po chwili wrócił z drugim, nieco starszym panem. Obaj przyglądali się dyskretnie, lecz z niesłabnącym zainteresowaniem mojej towarzyszkę. Wydawali się czymś wzruszeni.

Streszczę tu krótko historię tego niespodziewanego spotkania. Starszy z dwóch panów był niegdyś kucharzem Van Looy'a, młodszy jego służącym i modelem. Po jego śmierci pozostali przez 10 lat na służbie u pani Titii, pomagając jej w zbieraniu pamiątek po mężu i urządzaniu muzeum. Po jej śmierci, będąc żywą kroniką życia i twórczości Van Looy'a, zostali kustoszami jego domu. Ze swych skromnych środków skupywali nadal rozproszone rysunki i dodawali je do zbiorów. Przyczyną ich wzruszenia było uderzające podobieństwo mojej towarzyszkę do pani Van Looy. Podobieństwo to nie było zresztą zupełnie przypadkowe, bo Titia van Gelder była rodzoną siostrą jej prababki. W końcu dnia

pełnego rozmów i wspomnień kustosze domu Van Looy'a pożegnali moją towarzyszkę w następujących słowach:

— Pani pojawienie się było nagrodą za naszą wierność pamięci Van Looy'a i pani Titii. Nigdy pani nie zapomnimy.

Typ cywilizacji

Kobiety holenderskie gotują w kuchni tylko raz na dzień, wieczorem, i nie chodzą z koszykami po zakupy. Dzień rozpoczyna się od doskonałego śniadania zwanego *hollandse ontbijt* i podobnego — mniej owsianka — do angielskiego *breakfast*'u z czasów królowej Wiktorii. Drugi posiłek, między godz. 12 i 15, jest skromniejszy. Składa się z filiżanki kawy i bułki z szynką lub rostbefem. Głodniejsi jedzą *uitsmijter*, kromkę chleba z szynką, na którą rzucone jest jajko z patelni, i piją szklanekę piwa. Wielu nie wraca w południe do domu. Dzięki temu porządkowi dnia kobiety zyskują wiele wolnego czasu. W porze południowej można je przez lustrzane szyby widzieć pogrążone w lekturze; inne piją kawę u Brinkmanna. W wielu domach widziałem fortepiany. Holenderki przebywające poza krajem odczuwają gotowanie w południe i nawet jedzenie w załoczonych lokalach jako pozbawienie przysługującej im swobody i wolnego czasu. Dopiero posiłek wieczorny gromadzi wszystkich domowników. Starannie przyrządzony, spożywany jest bez pośpiechu; jest godziną odprężenia po pracy, wymiany zdań i życia rodzinnego.

Przy krótkości przerwy południowej nie wszyscy porzucają pracę o tej samej godzinie, dzięki czemu nie widać nigdzie tłoku i pośpiechu. W godzinach największego nasilenia południowego *koffie drinken* u Brinkmanna jest zawsze kilkanaście wolnych stolików. Tłoku i pośpiechu nie ma również przy autobusach i na kolei. Na głównej linii idącej przez Utrecht, Amsterdam, Haarlem, Leiden, Hagę i Rotterdam pociągi chodzą co 12-15 minut. Wszyscy znajdują miejsca siedzące. Koleje są o połowę tańsze niż w krajach sąsiednich.

Jedną z osobliwości miast holenderskich są *hofjes*, zwracające uwagę na głównych ulicach śródmieścia Haarlemu i Amsterdamu. Są to domy dla osób starszych. Nie nazwiemy ich przytułkami, bo wyraz ten nie odpowiada ani wyglądowi budynków ani trybowi życia mieszkańców. Wchodząc do *hofje* przez bramę mamy przed sobą obszerny trawnik z paru starymi drzewami, otoczony zwartym czworobokiem dwupiętrowych domów z czerwonej cegły. Przed każdym z nich znajduje się kilkanaście metrów kwadratowych ogródka z kwiatami, koło których krząta się kilka niemło-

dych postaci. Instytucje te datują się z XVII wieku. Widać od razu, że nie szczędzono na nie pieniędzy. Pałac mieszczący obecnie muzeum Fransa Halsa przeznaczony był pierwotnie na dom starców, *oude-mannenbuis*. Historię tego budynku, dzieła Lievena de Key, przeczytać można na marmurowej tablicy w przedsionku, zaczynającej się od słów *felix senectus*, szczęśliwa starość. *Hofjes* dają pojęcie o zwartości wewnętrznej gmin miejskich w XVII wieku.

Holandia była od dawna i pozostała krajem bardzo zamożnym. Dziś jest na pewno zamożniejsza niż w 1923 roku, kiedy widziałem ją po raz ostatni, podczas strajku generalnego. *Prosperity* jest w niej jednak mniej burzliwa niż w innych krajach naszego kontynentu. Złoty deszcz pada na nią równo i spokojnie, bez piorunów i grzmotów, nie stwarzając zagadnień przerastających inteligencję i zdolności wykonawcze mieszkańców.

Poznać to można z samego wyglądu miast, ich konserwacji i rozbudowy. Holendrzy otamowali u siebie spekulację terenami budowlanymi, grożącą zburzeniem wszystkich starych miast Europy. Co oszczędziły bomby, burzone jest przez spekulację. Rozbiórka zagraża Wenecji, mieszkańcy Padwy obawiają się o los swego Prato della Valle, najpiękniejszego placu świata, który, przy obecnych cenach terenów budowlanych, zdaje się zajmować zbyt wiele miejsca. Mimowoli nasuwa mi się porównanie między Haarlemem i Bernem, w którym piszę te słowa. Patrząc z wzniesienia na zabytkową część miasta widzę nad nią las żurawi, zajętych rozbiórką dawnych siedzib patrycjuszów i wznoszeniem na ich miejsce bardziej rentownych biurów. W Haarlemie nie widziałem ani jednego żurawia i żadnych w ogóle robót murarskich w śródmieściu. Nowe dzielnice wznoszone są na nowych terenach.

Niewielki nawet kontakt z ludnością prowadzi do dalszych porównań. W krajach przemysłowych, zanim zdecydowano się sprowadzać masowo robotników włoskich, hiszpańskich i afrykańskich, wyczerpano do końca zdolność do pracy miejscowych obywateli. W Bernie widuję często ludzi wracających z biura w stanie zupełnego wyczerpania, szoferów prowadzących ciężarówkę przez 18 godzin na dobę w stanie bliskim somnambulizmu i inne przykłady pracy na granicy wytrzymałości ludzkiego organizmu. Ten tryb pracy wprawia w zdumienie Holendrów. Amsterdamski antykwariusz, bywający często w Szwajcarii, mówi: „Ludzie nie mają tam czasu na zatrzymanie się nawet przed własnym grobem”. Takie ekscesy pracowitości nie byłyby zapewne w ogóle możliwe, gdyby nie sprzyjały im protestanckie pojęcia religijne o pracy i cierpieniu jako jedynym sensie życia. Holendrzy są

wprawdzie także w większości swej protestantami, lecz ich pojęcia religijne mają widocznie jakiś inny sens lub interpretację. Gdy obserwowałem w Haarlemie powracających z pracy, wydawało mi się mało prawdopodobne, aby jakiś obywatel tego miasta zgodził się za podwójną lub potrójną płacę prowadzić ciężarówkę przez 18 godzin na dobę, i aby inni użytkownicy szos na to przystali.

Zandvoort

Bloemendal i Zandvoort, odległe o kilkanaście minut jazdy autobusem, są plażami Haarlemu. Jadąc tam w dzień chmurny i wietrzny przypomniałem sobie, że kiedyś pływałem po tym morzu wzdłuż brzegów niemieckich, na niewielkim żaglowcu rozwożącym sprzęt i towary dla nadbrzeżnych rybaków. Raz płynęliśmy ostrożnie w gęstej mgłę nasłuchując, czy nie odezwie się dzwon lub westchnienie boji przestrzegającej przed mielizną. W wodzie spostrzegłem nadgryziony ogórek ze śladami zębów. Pokazałem go kapitanowi, który przez chwilę śledził ogórek, płynący powoli wzdłuż burty:

— Znaczy, że jesteście przed... (wymienił osadę, której nazwy już nie pamiętam). To tam siedzą ci szatańscy marynarze z wielkimi zębami, co żłopiają gorzałę na statkach i zagryzają ogórkami. Teraz z prawej strony powinny się pokazać czerwone boje.

Morza tego nie widziałem od tamtych czasów. Jakże wyda mi się teraz? W Zandvoort, nie patrząc na nic, zbiegłem po drewnianym chodniku na plażę. Siekł drobny deszcz, wiatr zrywał mokry piasek i pędził go smugami jak śnieg w zadymkę. Na plaży nie było żywej duszy. Szedłem wąskim pasem twardego piasku. Fale cofały się odeń z cichym szelestem. Przyptyw dobiegał końca. Wiatr szarpał mnie za płaszcz, deszcz zalewał oczy. Nieco dalej, za barierą łamiących się fal, woda zdawała się wzbierać i pod porywami wiatru pokrywała się błyszczącą łuską. Źle jest być na morzu w taki dzień.

Po pół godzinie szarpania się z wiatrem zawróciłem przemoczony do Zandvoort. Na wydmach stało tam kilka nowych bloków mieszkaniowych, wynajmowanych w sezonie letnikom. Dalej droga szła przez wesołe miasteczko z drewnianych, rozbieranych na zimę budynków. Stała tam obszerna rotunda mieszcząca włoski dansing, następnie wielki ponury budynek z napisem Bavaria. U wejścia wspinał się na tylnych łapach kolosalny lew merdający ogonem i z głuchym rykiem podnoszący do paszczy kufel piwa marki

Löwenbräu. Nigdzie żywej duszy. Melancholia miejsc przeznaczonych do zabawy. Tylko na placu przed dworcem czekał pusty autobus.

Amsterdam

Amsterdam jest milionowym miastem, pociętym we wszystkich kierunkach kanałami, w których przeglądają się ciemnoczerwone fasady i białe obwódki okien. Podobnie jak w Haarlemie, śródmieście jest zachowane doskonale, wciąż myte i malowane na nowo. Jednolitość architektury ukrywa nieskończoną różnorodność rang społecznych, zajęć, rzemiosł, gustów i obyczajów. Z hałasu tętniących życiem ulic wchodzi się niespodzianie w strefę ciszy i stojącej wody kanałów. Miejscami odmienne style życia nie odosobniają się, lecz tworzą osobliwą mieszaninę Nalewek i Wenecji. Co krok spotyka się żywe jeszcze pozostałości po wiekach poprzednich. Koło *Prinsengracht* widziałem sklep garncarza, którego dzbanki i miski, ustawione na chodniku, przypominały rynek w Sulmonie lub Kołomyży. Obok na brzegu kanału grała na cały głos *draaiorgel* czyli katarzynka pokryta ozdobami w stylu złotego wieku katarynek, tj. drugiej połowy XIX wieku. Koło niej, jak w dawnej Warszawie, stał człowiek zbierający do czapki *dubbeltjes* (10 ct.) i rzadziej padające *kwartjes* (25 ct.). W sąsiedztwie, na rogu ruchliwej ulicy wznosił się najdroższy skład konfekcji męskiej pod firmą *Nieuw England*. Zaraz za nim, w nieco skromniejszych witrynach stały trzy manekiny z małymi wąsikami i cylindrami w ręku: pierwszy miał na sobie frak, drugi *dinner jacket*, trzeci długi surdut. Był to, jak głosił szyld, *Kledingverhuur*, zakład wynajmujący ubrania. Za niewielką opłatą można się tam było przebrać za eleganta. Obok szerokich i ludnych ulic znajdują się wąziutkie, ciemne i zaśmiecone jak neapolitańskie *vicoli*, uliczki o starych nazwach w rodzaju *Dubbelworststeeg*, zaułek pod parówką, lub *Mosterdpotsteeg*, zaułek pod słojem musztardy. O kilka kroków od głównych arterii zobaczyć można skromne szynki, w których siedzą chłopcy i dziewczyny o sielskim wyglądzie i manierach.

Mimo malowniczego pomieszczenia rzeczy i ludzi, dzielnice miasta zachowują swą odrębność. *Koninklijke Paleis*, czworobok z szarego kamienia, stanowi jeden bok obszernego placu zwanego *de Dam*. Naprzeciw wznosi się dumnie Krasnapolski, kompleks hoteli i restauracji zajmujący kilka kamienic. Koło Pałacu Królewskiego zaczyna się zamknięta dla ruchu kołowego główna ulica

handlowa zwana *Kalverstraat*, co bym przetłumaczył „cielętnik” Najbardziej znaną i szanowaną kawiarnią jest na niej *Café Polen*. Jest to imponująca, wysoka i uroczysta sala, utrzymana w złoto-brązowo-szaro-zielonych odcieniach. Salę o tym rozmiarze i przepychu można by było znaleźć w Polsce chyba tylko na Zamku Królewskim w Warszawie, gdyby wewnątrz jego było lepiej utrzymane. Taka aluzja miałaby swoje uzasadnienie historyczne, bo wspomnienia Holendrów o Polsce datują się nie od Wielkiej Emigracji, lecz od czasów Zygmunta Augusta, za którego Niderlandy gościły wielu polskich podróżnych.

Ta dzielnica również posiada dziwne sąsiedztwo. Równoległe do eleganckiego *Damrak'u*, gdzie widzę też *Café Pool*, oddzielona tylko szerokością jednego rzędu domów, biegnie *Nieuwedijkstraat*, uliczka pełna gwarnych spelunek i jeszcze gwarniejszej publiczności, ożywiającej się coraz bardziej w miarę zbliżania się nocy. Kto nie zostawił w domu portfelu, niech się w tę uliczkę nie zapuszcza. Tegoż zdania są zapewne policjanci, przechadzający się po niej parami w nieznacznym odstępach.

Zupełnie inne oblicze ma południowa część śródmieścia, gdzie nad okalającymi starszą część miasta kanałami stoją pałace z czerwonej cegły, niegdyś należące do amsterdamskich honoratorów. Tylko niewielka część ich jest jeszcze zamieszkała. Większość mieści dziś biura banków, konsulatów i przedsiębiorstw handlowych. *Spiegelgracht* i *Spiegelstraat* są siedzibą antykwariuszy. Okna ich, pełne starej porcelany, obrazów, mebli, dywanów itd. pozwalają domyślać się, że Amsterdam jest jednym z głównych ośrodków handlu tak zwanymi *objets d'art*.

Jeszcze inny obraz przedstawiają okolice uniwersytetu. Amsterdamski *Quartier latin* z jego wąskimi uliczkami, kanałami i placami o nieregularnych zarysach ma w sobie coś z *Venezia minore*. Tam zapewne można znaleźć amsterdamskich marzycieli. Jest to jedno z niewielu miejsc, w którym chciałbym mieszkać na stałe. *Universiteit* znajduje się w końcu uliczki, w której po obu stronach widać tylko witryny i stragany z starymi książkami. Jeden z tych antykwariatów posiada 150.000 starych sztychów. Z uliczki wchodzi się w krytą galerię, też zastawioną książkami. Otwarte drzwi prowadzą z niej na podwórze uniwersytetu, wypełnione bujną zielenią drzew i nie strzyżonego od roku trawnika, na którym stoi popiersie Pallas-Ateny.

Czymś zupełnie odmiennym jest *Rembrandtsplein*, plac Rembrandta, i jego okolice. W każdym niemal domu mieści się tam jakiś teatrzyk lub kabaret, zapraszający przechodnia barwnymi afiszami. Jest to tutejszy Boulevard de Clichy.

Bliżej portu znajduje się wreszcie *Kolkje*, dzielnica mary-

narzy, szynków i dobroczynnych kobiet. Miejscowym obyczajem te ostatnie nie przechadzają się po ulicy lecz uśmiechają się do przechodniów z okien.

Jodenbuurt

Wyraz ten oznacza dzielnicę żydowską. Są to sławne amsterdamskie Nalewki. Prześladowani gdzie indziej, Żydzi znajdowali tam przez wieki schronienie. Spinoza pisał tam swą klarowną łaciną. Tam Rembrandt, który mieszkał na *Jodenbreestraat*, znalazł większą część swoich modeli. W życiu Holandii Żydzi mieli równie wybitny udział jak w życiu Polski. Po drodze do *Jodenbuurt* wspominam kolejno wszystkich żydowskich przyjaciół utraconych w latach okupacji.

Aby się dostać do tej dzielnicy z *Rembrandtsplein*, trzeba przejść przez most na rzece Amstel. Leżący na drugim brzegu obszerny plac zwany *Waterlooplein* wydaje się zupełnie pusty. Po środku pali się niewielka kupka skrzynek i gazet. Dokoła nie widać żywej duszy. Dziwne przedmioty leżą na bruku wśród papierów i śmiecia: materace i dziurawe kołdry wyglądające jak gdyby ktoś tu nocował, dalej leży drewniana noga z nowiutkimi rzemieniami. Co się mogło stać z jej właścicielem? W tym tragicznym miejscu każdy przedmiot budzi czujność wyobraźni. Są to zapewne ślady odbywającego się tu przed południem targu, nigdy jednak nie widziałem równie opuszczonego i bezludnego targowiska. Wśród otaczających plac domów widać liczne wyrwy, puste miejsca po zburzonych budynkach. W miarę posuwania się naprzód liczba ich wzrasta. Na sąsiedniej *Jodenbreestraat* brak połowy domów. Pozostałe wydają się opuszczone. Jeszcze przed kilku laty wiele takich ulic można było widzieć w Europie. Nie ma tu jednak nigdzie śladów bomb. Do *Jodenbuurt* zagłada przyszła z innej strony. Niemcy wyprowadzili mieszkańców na śmierć, potem zburzyli lub rozebrali ich domy. Od dwudziestu lat dzielnica ta stoi pusta, nietknięta, jak gdyby Żydzi mieli tu wrócić. Nieobecność ich jest tu wciąż przytomna, milcząca i krzycząca zarazem.

W śródmieściu Amsterdamu metr kwadratowy terenu budowlanego kosztuje kilka tysięcy guldenów. Kilkadziesiąt pustych placów leży odłogiem w dawnej dzielnicy żydowskiej. A jednak nie widać tu ani jednego nowego budynku. Nie wiem, co powstrzymało Holendrów od zabudowy opustoszałej po uprowadzeniu Żydów dzielnicy. *Jodenbuurt*, pusta i milcząca dzielnica żydowska, jest najwymowniejszym pomnikiem poświęconym zagładzie Żydów i strasznym latom okupacji.

Turyści niemieccy, jeżeli zachodzą do tej dzielnicy, mogą tu zmierzyć siłę przekleństwa, jakie rzucili na nich Hitler i jego zwolennicy.

Muzea

Obrazy mistrzów holenderskich rozproszone są po wszystkich galeriach świata, główne zbiory pozostały jednak w kraju. Każde miasto posiada tu własne muzeum. W Amsterdamie obrazy stare zebrane są w *Rijksmuseum*, obrazy XIX i XX wieku w *Stedelijk Museum*.

Do *Rijksmuseum*, stojącego wśród zieleni na brzegu kanału, wchodzi się za jedno *kwartje*. Trudniej zeń wyjść, zwłaszcza komuś, kto miał już okazję oglądania obrazów holenderskich gdzie indziej. W malarstwie holenderskim świat wyobraźni zazębia się nieustannie o świat XVII wieku. Można na nie patrzeć na przemian jako na dzieła sztuki lub jako na świadectwa i dokumenty. Nie wiem, czy teoretycy, którzy obraz życia naszych czasów chcieliby pozostawić fotografom, mają rację. Czy nie liczą zbyt mało na geniusz fotografów?

Do *Rijksmuseum* wchodzi się na cały dzień. Restauracja jest na miejscu, podobna do wnętrza Emanuela de Witte. Ale następnego dnia wraca się znów. Obok stoi Museum Hotel dla przyjezdnych, których obrazy zatrzymują tu na dłuższy czas.

Zanotować wypada doskonały stan konserwacji obrazów, niekniętych rękami barbarzyńskich restauratorów, którzy popsuli np. Rembrandty w berlińskim Kaiser Friedrich Museum.

W *Stedelijk Museum* spodziewałem się znaleźć obrazy holenderskie XIX wieku. Wszystkie jednak, łącznie z Jongkindem, znajdowały się w piwnicach, dokąd zniesiono je wobec braku zainteresowania zwiedzających. Los ten spotkał nawet część obrazów Van Gogha, ale na skutek reklamacji publiczności zawieszano je właśnie na nowo. Wszystkie prawie znane obrazy Kazimierza Malewicza — w liczbie około sześćdziesięciu — znajdują się w tym muzeum. Tam też dopiero ukazuje się ich prekursorski charakter. Malewicz zaliczany jest do malarzy rosyjskich, notuje więc tu, że był Polakiem pochodzącym z moich stron i że rozmawiał ze mną po polsku.

W Hadze *Mauritshuis* posiada nieco mniejszą niż *Rijksmuseum* lecz równie piękną kolekcję starych obrazów holenderskich.

W najbliższym jego sąsiedztwie inny budynek zwrócił moją uwagę imponującym rozmiarem i uroczystością fasady. Wyglądał jak siedziba spółki o całkowicie wpłaconym kapitale stu milionów

rixdali. Na froncie jego przeczytałem złożony, z daleka widzialny napis: *Literaire Societeit*. Na próżno szukałem w Hadze jego fotografii, aby móc pokazywać sceptycznym znajomym, do czego może prowadzić literatura.

Dla turystów

Holandia nie jest krajem turystycznym jak Włochy lub Szwajcaria. Nie ma w niej miast złożonych z samych hoteli — jak Interlaken lub Cervia — i nie mających innej racji bytu jak goszczenie turystów. Nie ma również mechanizmu przydzielającego przyjezdnym zamówione z góry pokoje, pochłaniającego ich czas przewidzianymi na ten cel rozrywkami i izolującego ich od ludności miejscowej, o ile taką w ogóle można znaleźć w miejscach przeznaczonych dla obcych.

Nie znaczy to wcale, aby w Holandii nie było dobrych hoteli. Są to najczęściej niewielkie przedsiębiorstwa, połączone z kawiarnią lub restauracją. Nie mają portiera ani oddzielnego wejścia; wchodzi się do nich przez kawiarnię i przy bufecie załatwia się sprawę mieszkania. Miejscowe środowisko otacza od razu przyjezdnego. Poza Amsterdamem, który jest nieco droższy, ceny hoteli mają niewielką rozpiętość. Pokój, łącznie z *hollandse ontbijt*, o którym mowa była wyżej, kosztuje dziennie koło dziesięciu guldenów równych czterem rixdalom.

Alfred Jarry rachował zawsze w rixdalach, których dźwięk kojarzył się u niego z słowem *rixé*. Dla przyjaciół *Ubu roi* dodam, że rixdale nie są tworem wyobraźni francuskiego autora. Moneta taka istnieje rzeczywiście w Holandii. Jest nieco większa od srebrnej pięciofrankówki, warta jest dwa i pół guldena i nazywa się *Rijksdaalder*, co po francusku, jak zapewnia mój holenderski słownik, tłumaczy się „rixdale”. Na pamiątkę Jarry'ego możemy więc w Holandii liczyć w rixdalach.

Moneta holenderska zachowała wewnątrz kraju godną uwagi siłę nabywczą. Z mego doświadczenia wynika, że gdy w innych krajach Europy koszty podróży przewyższają zazwyczaj przewidywania, w Holandii utrzymują się nieco poniżej preliminarza.

Przystosowując się do holenderskiego porządku dnia i nie czując się skępowani godzinami posiłków odkrywamy, że mamy przed sobą wiele wolnego czasu. Nie wiem, jak inni; mnie zysk na czasie ucieszył więcej niż umiarkowane koszty pobytu.

Nieznajomość miejscowego języka nie jest w Holandii taką przeszkodą jak np. w Italii, gdzie podróżowanie poza paru utartymi szlakami wymaga pewnej znajomości włoskiego. W Holandii wszyscy mówią po angielsku, wielu także po francusku i niemiec-

ku. Zresztą holenderskiego można się łatwo nauczyć, i podczas pobytu w Haarlemie zrobiłem w tej nauce pewne postępy.

Doświadczony podróżny unika kuchni „międzynarodowej”, kierując się słusznym najczęściej przypuszczeniem, że to co jedzą miejscowi nie musi być zupełnie złe.

Jako kraj nadmorski, Holandia posiada ciekawe ryby. Zaczniemy od najskromniejszej. W Polsce mówiono: „Bywaj zdrow, holenderski śledziu”. Można stąd wnosić, że śledzie tego pochodzenia cieszyły się i u nas zasłużoną sławą. W Holandii je się je surowe, wprost z morza, tylko co odarte ze skóry. Holendrzy piją do tego kieliszek jałowcówki, zwanej *jenever* albo *oude Klara*, stara Klarcia.

Do delikatniejszych obywateli oceanu należą *schol* i *tarbot*, ryby kształtu flądry. *Tarbot*, po łacinie *rhombus*, był ceniony już w starożytności. Juvenalis opowiada, że gdy w Adriatyku złapano raz większy okaz tej ryby, nikt nie śmiał jej zjeść w obawie delatorów, mogących donieść władzom o zjedzeniu ryby należącej z urzędu do cesarza. W holenderskich restauracjach za niespełna dwa rixdale można korzystać z przywilejów Domicjana.

Nie wiem czy *schol* posiada równie sławną historię anegdotyczną, ale dziennikarze niemieccy wymienili go przed kilku miesiącami w okolicznościach, które można by nazwać pół-historycznymi. Gdy mianowicie udało się im wreszcie interviewować dr. Rudolfa Beitza, dyrektora zakładów Kruppa, na temat jego misji warszawskiej, znaleźli go w restauracji jedzącego smacznie *schola*.

Wystarczy obejrzeć kilka sklepów spożywczych, aby przekonać się, że wszystkie rzeczy jadalne są w Holandii w najwyższym gatunku. Dotyczy to w szczególności mięsa. Umieszczenie jatek w najpiękniejszym budynku Haarlemu widocznie zobowiązuje. Popularny w tym kraju *hollandse biefstuk* przyrządza się z połówki najwyższej klasy, jakiej praktycznie nie ma w handlu gdzie indziej. Rzeźnicy chowają takie kęsy dla kilku wybranych klientów. Restauratorzy holenderscy zdają się przywiązywać szczególną wagę do swych befsztyków, bo w znanej restauracji amsterdamskiej *Port van Cleve* są one od 1870 numerowane. Zamawiający tam *hollandse biefstuk* otrzymuje ozdobną kartkę z jego numerem porządkowym. Na mojej znalazłem liczbę 4.719.374. Numerowany czy nie, *hollandse biefstuk* kosztuje wszędzie półtora rixdala.

Rozmaitość wyrobów piekarskich — chlebów, bułek, placków, strucli, ciastek, biszkoptów, wafli, tortów itd. — jest tak wielka, jak gdyby każdy dzień w Holandii był przededniem Wielkanocy.

FRANKFURT — 1962

Hauptwache

W samym środku Frankfurtu, na skrzyżowaniu głównych ulic, znajduje się trójkątny plac zwany *An der Hauptwache* czyli Przy Głównej Warcie. Środek jego zajmuje parterowy budynek w stylu XVIII wieku, z czerwonego kamienia przypominającego barwą stary Heidelberg. Jest to *Hauptwache*. W miastach garnizonyowych nazywano tak budynek przeznaczony dla oddziału stojącego w środku miasta i gotowego do interwencji na wypadek zamieszek.

W kwietniu 1833 na placu tym rozegrały się wypadki znane w historiografii niemieckiej pod nazwą *Frankfurter Attentat*. W atmosferze rozgoryczenia, wywołanego przez ustawę krępującą wolność prasy, grupa heidelberskich studentów i „polskich rewolucjonistów”, wspierana przez okolicznych chłopów, zaatakowała Główną Wartę, lecz została odparta przez żołnierzy.

W 1945 budynek ten, stojący samotnie wśród ruin, był moim punktem orientacyjnym w nieoświetlonym mieście. Dziś mieści się w nim kawiarnia. Zewnętrzny wygląd budynku nie od razu zdradza jego pierwotne przeznaczenie. Zresztą przed Rewolucją Francuską wojsko było czymś innym niż dziś. Żołnierze byli drogo opłacanymi specjalistami, i różnica dzieląca ich od późniejszego „armatniego mięsa” znajdowała wyraz także w architekturze koszar. Wnętrze *Hauptwache* przedstawia się jako obszerna sala, za którą, na miejscu dawnych stajni, znajduje się otoczony murem ogródek, ze źródłem bijącym w ciemnej zieleni rododendronów.

Tym razem *Hauptwache* stała się moją główną kwaterą w Frankfurcie. Stoję w hotelu urządzonym na wskroś „funkcjonalnie”. Nie brak w nim żadnych wygod prócz stołu do pisania.

Kto by tam zresztą pisał, mając pod ręką telefon? Nadto zbudowany z betonu i szkła hotel nagrzewa się niebezpiecznie w dnie upalne. Spisuję więc moje notatki wśród rododendronów dawnej warty.

Granice prosperity

Przed trzema laty odniosłem wrażenie, że *prosperity* była tu procesem narastającym żywiołowo jak powódź. Zjawisko to utraciło obecnie swój rozpęd. Zamożność nie zmniejszyła się, lecz ukazała swe granice.

Mieszkając w tym samym hotelu i stołując się w tychże restauracjach spostrzegłem, że koszty utrzymania wzrosły tu o jakieś 40 %. Nie wiem, czy dochody mieszkańców wzrosły w teje proporcji, ale ich pojęcia o własnej zamożności uległy istotnym poprawkom.

Kursy akcji niemieckich, wzrastające do końca roku ubiegłego, spadły w tym roku do połowy. W okresie ich zwykowania coraz szersze rzesze oszczędzających brały udział w spekulacji. Wielu podwoiło i potroiło swój stan posiadania, wszyscy liczyli na dalsze zyski. Trwająca od wielu miesięcy tendencja niżkowa rozwiła te nadzieje, przekreśliła domniemane zyski lub przyniosła dotkliwe straty. Pisma, komentujące dawniej obszernie każdą nową zwykłą, przestały drukować kursy, aby nie szerzyć pesymizmu i paniki. Tajemnicza siła, rozszerzająca mechanicznie stan posiadania akcjonariuszy, przestała działać. Nikt na nią liczyć nie może.

Granice ekspansji ekonomicznej ukazały się także od strony tzw. niemieckiego *Arbeitswunder*. Po latach wytężonej pracy nadszedł czas odpoczynku, czas zamiany wartości ilościowych na jakościowe. Ekonomiści ubolewają nad skracaniem się godzin pracy i przedłużaniem urlopów. Antykwariusze stwierdzają z zadowoleniem wzrost cen tzw. *objets d'art*. Podniósł się poziom artystyczny teatrów.

Przemiany te spostrzegłem pierwszego wieczoru, śpiesząc do restauracji *Zum Salzhaus*. Zbliżała się 9-ta, i widząc prawie pustą salę myślałem, że przychodzę za późno. W istocie byłem jednym z pierwszych klientów. Inni zaczęli napływać koło 10-ej, nowa ich fala przybyła po 11-ej. Widać było od razu, że nikt z nich nie zrywał się do pracy o 7-mej ani nawet o 8-ej i 9-ej rano. Zrozumiałem, że *Arbeitswunder* ma się ku końcowi i że Niemcy rozpoczęli jakiś nowy rozdział historii powojennej.

Dla porównania dodam, że w Szwajcarii, gdzie bez cudów istnieje stary, na religijnych pojęciach oparty kult pracy, wszyscy śpieszą wczesnym rankiem do produkcyjnych czy nieprodukcyjnych zajęć, z których wracają mocno zmęczeni wieczorem. O 8-ej ulice są puste, o 9-ej schodzą z pracy ostatni kucharze.

O młodzieży

Starsi irytowali się zawsze patrząc na młodzież, a z irytacji starszych młodzież miała zawsze pewną zabawę. Inaczej nie można by wcale zrozumieć, w jaki sposób przed dwoma laty mury całej Europy — od Skandynawii do Sycylii i od Paryża do Wiednia — pokryły się w ciągu kilku nocy swastykami. Deputowani interpelowali ministrów, publicyści załamywali ręce i rozdierali szaty („Tata złotaczki dostał, kiedy te hackenkreutze zobaczył”). Chłopcy nie mogli się oprzeć pokusie zrobienia takiego zamętu przy pomocy tak prostych środków. Był to dla nich świetny *practical joke*. Dla nas, starszych, żart był niesmaczny. Młodszym, którzy o Hitlerze mieli tylko niejasne pojęcie, irytacja starszych wydawała się przesadna i śmieszna.

Mam wrażenie, że skłonności dorosłych do oburzania się na wybryki młodzieży zawdzięczamy miejsce, jakie w gazetach i rozmowach zajęli *teddy boys*, *Halbstarke*, *teppisti*, *blousons noirs* i chuligani. W wybrykach ich nie ma na pewno nic nowego, nic czego by starsi nie umieli już przedtem. Trudno zaimponować w tej mierze komuś, kto pamięta judenhece, pogromy oraz sceny z lat rewolucji i wojen cywilnych. Pokolenia niewiele różnią się od siebie wybrykami.

Widziałem już trzy pokolenia młodzieży: moje własne pokolenie *fin de siècle*'u, pokolenie międzywojenne, zarażone psychozą obłąkanego miasta, dzisiejsze dzieci *prosperity* i wspólnego rynku.

Mimo odległości w czasie, upraszczającej zazwyczaj wiele rzeczy, najtrudniej mi jest opisać moje własne pokolenie, sformowane w przede dniu pierwszej wojny światowej. Świadomość bliskiego końca znanego porządku rzeczy była wspólna wszystkim, ale dorastający reagowali na nią rozmaicie. Jedni, nie widząc dla siebie miejsca w nadchodzącym okresie wojen i rewolucji, próbowali zadomowić się w zmiernym, i do nich stosuje się popularne wówczas określenie „dekadentów”. Inni, szukając wzorów zachowania się wśród przewrotów, starali się przeniknąć sens czynu, który — jak mówi Bergson — raz wdrożony, po drodze stwarza warunki niezbędne dla jego dopełnienia się.

W postawach wobec nadchodzącej wojny można było odróżnić zarysowujące się już wówczas różnice między Wschodem i Zachodem. We wschodniej połowie Europy młodzież przygotowywała się do udziału w burzeniu i przebudowie istniejącego tam porządku świata. W zachodniej części kontynentu, gdzie toczyła się właściwa rozgrywka o hegemonię Europy, zaangażowanie się młodzieży było jasno wyznaczone przez obiekt wojny. Moi zachodni koledzy i przyjaciele przypominali mi Spartanów i Ateńczyków z czasów Wojny Peloponeskiej. Obrona zagrożonej *polis*, zdobycie pozycji decydujących o jej bezpieczeństwie i wpływach, były celami wyznaczającymi zachowanie się. Dyscyplina oblężonego miasta górowała nad wszystkim, stawała się wartością autonomiczną. Sztwyne były cele wojny, sztywne postawy kombatantów. Nie widać było żadnej drogi do kompromisów. Z zachodnich towarzyszy mojej młodości nikt prawie nie dożył końca wojny. Najzdolniejsi, najodważniejsi, wierzący w wartość zwycięstwa i przyszłość swej *polis*, zginęli pierwsi.

Jeżeli nie zginąłem jak inni, zawdzięczam to przede wszystkim szczęśliwemu przypadkowi, niewielkiemu zaangażowaniu i przekonaniu, że w latach zbiorowego szaleństwa najważniejszą rzeczą jest zachować przytomność, zachować zmysł proporcji, rozumieć, być świadkiem.

Waham się, czy powiedzieć, że w ciągu długiego życia w okresie wojen i rewolucji nikogo nie zabiłem. Normalnym zajęciem młodzieży moich czasów było ćwiczenie się w obchodzeniu z śmiertelnością bronią. Kto akceptował los Europejczyka, musiał być gotów do odbierania życia, do zadawania śmierci. Mówiąc, że nie zabiłem nikogo, przyznaję się, że uchylałem się od jakiejś odpowiedzialności, szukałem łatwiejszej drogi. Trudno mi się tym chwalić, gdy myślę o losie tylu rówieśników, którzy, posłuszni prawom swojej *polis*, wyszli zadawać śmierć i zginęli. Wspominając ich mam wrażenie, że nikt ich już zapewne nie pamięta

Zakłopotanie, jakie odczuwam mówiąc tu o sobie, przypomina mi kapitana greckiego statku, na którym przed wielu laty jechałem wzdłuż wschodniego wybrzeża Adriatyku. Odradzając mi samotną wycieczkę w góry albańskie stary marynarz powiedział: „Z takich wycieczek mało kto wraca. Góral albański, który nikogo nie zabił, nie jest jeszcze dorosłym mężczyzną, i żadna dziewczyna nie wyjdzie zań za mąż. Niech pan tylko pomyśli, ilu chętnych do małżeństwa może pan spotkać po drodze”. Wojny i życie w stale zagrożonych państwach formowały młodzież mniej więcej w ten sam sposób jak praktyka vendetty w górach Sycylii i Albanii.

Do Rewolucji Francuskiej nie znano powszechnej służby woj-

skowej. Nawet w oblężonych miastach pewne kategorie obywateli, *religionis causa*, nie brały udziału w walce. Osoby mające kontakt z potęgami nadprzyrodzonymi stały na stronie od hierarchii wartości oblężonego miasta. *Druides a bello abesse consue-runt*, notuje Juliusz Cezar. Poza ustalonym porządkiem obowiązków i przywilejów istniała jeszcze otwarta dla wszystkich pokusa odwołania się do potęg innego rządu niż bóstwa opiekuńcze zagrożonego miasta. Edmund Spenser dał jej wyraz z postaci rycerza czerwonego krzyża, idącego do boju bez broni. Poemat swój kończy słowami: „I niczego się nie lękał, lecz wszyscy go się obawiali”.

Egalitaryzm powszechnych mobilizacji wycisnął swe niwelatorskie piętno na całej młodzieży moich czasów. Nawet wśród dezertów nie spotykałem silniejszych indywidualności; nie miałem wrażenia, aby sumienie przemawiało w nich z jakimś szczególnym autorytetem. Rówieśnicy moi poddawali się bez szemrania wszystkim dyscyplinom, dawali posłuch wszystkim, chociażby sprzecznym, dyrektywom, wychodzącym od rzekomych bóstw opiekuńczych swej *polis*. Nawet rewolucje, obalając na pozór wszystkie szranki, były tylko wstępem do nowych mobilizacji i jeszcze surowszej dyscypliny. Tendencje anarchistyczne XIX wieku znikły zupełnie w latach mojej młodości.

Postawy posłuszne i konformistyczne, które widziałem po raz pierwszy na Zachodzie, objęły w okresie międzywojennym także wschodnią część Europy. Powstałe tam państwa nowe, równie suwerenne jak zagrożone, naśladowując wzory zachodnie rozpoczęły swą egzystencję od narodowych mobilizacji. Tylko niedbalstwo i lekkomyślność obywateli łagodziły w nich atmosferę oblężonego miasta. I tu również młodzież poddawała się wszystkim, jakkolwiek sprzecznym, natchnieniom zbiorowym.

Gdy porównuję je między sobą myślę, że trzecie pokolenie, sformowane po 1945, będzie inne od dwóch poprzednich. Nie wiem, czy wyda więcej indywidualności i talentów, czy z istoty swej będzie bardziej krytyczne i mniej skłonne do konformizmu. Przypuszczam, że odmienność jego wyniknie z warunków, w jakich będzie się kształtowało. Mam tu na myśli młodzież Europy Zachodniej.

Zmieniły się tu warunki polityczne. Amerykański profesor socjologii, którego spotykałem w Genewie za czasów Ligi Narodów, twierdził, że nic tak nie różni Europy od Ameryki, jak poczucie zagrożenia, towarzyszące przez całe życie Europejczykom i zupełnie nieznanne mieszkańcom Stanów Zjednoczonych. Po 1945 sytuacja ta uległa wielkim przemianom, została niemal odwrócona. Państwa europejskie nie mogą sobie nawzajem zagrażać; praktyka wykazała, że nie są groźne nawet dla egipskiego dyktatora. Istnieje

wprawdzie świadomości zagrożenia od strony Rosji, ale to jest kłopot Ameryki. W pierwszych latach powojennych mawiano jeszcze w Niemczech: „*Wenn die Russen kommen...*” i we Włoszech: „*Ha da veni il Baffone*”, ale to minęło. Jest to być może przypadek, ale nie słyszałem nigdy, aby młodzi rozmawiali o bombie atomowej. Straszak działają widocznie tylko na tych, których wychowano w poczuciu stałego niebezpieczeństwa. Zresztą Rosja grozi wszystkim Europejczykom razem, co nie sprzyja na naszym kontynencie rywalizacjom i nacjonalizmom. Można przypuszczać, że nowa młodzież, dla której poczucie zagrożenia nie będzie więcej stałą przesłanką każdego rozumowania, będzie bardziej krytyczna w ocenach sytuacji i bardziej samodzielna w wyborze zachowania się.

Zmiany wystąpiły również w ocenie roli państwa. W oczach młodszych zadaniem jego jest nie tyle obrona narodowego stanu posiadania, ile organizacja życia gospodarczego, utrzymywanie *prosperity* i podnoszenie stopy życiowej obywateli. Wspólny rynek uważany jest za największe osiągnięcie polityczne okresu powojennego.

Wśród nowych warunków wpływających bezpośrednio na formację obecnej młodzieży na pierwszy plan wysuwa się pełne zatrudnienie. Coraz liczniejsi *teenagers* pracują samodzielnie, mają własne dochody, jakie przed wojną miewali tylko dorośli, i dysponują nimi swobodnie. Zamiast groźby bezrobocia, widzą przed sobą dalszy awans społeczny, którego tempo zależy od ich wykształcenia zawodowego, od ogólnego wykształcenia. Bez obawy większej omyłki można przypuszczać, że wczesna emancypacja ekonomiczna młodzieży wpłynie korzystnie na samodzielność jej sądów i gustów. Można to dziś już dostrzec w drogach, jakimi młodzież dąży do zdobycia wykształcenia. Na próżno szukalibyśmy jej w autokarach wiozących zbiorowe wycieczki; młodzi podróżują bardziej samodzielnie. Fabryki konfekcji liczą się z odrębnością ich gustów. Przypuszczam, że to samo robią wydawcy. Nie jest być może przypadkiem, że *teddy boys* rekrutują się w znacznej mierze z rodzin zamożnych, w których młodzież nie korzysta z pełnego zatrudnienia.

Wiele starszych patrzy ze zgorzaniem na rówieśnice Lolity, kokietujące przechodniów swą na pół dziecinną kobiecością, zarysowującą się pod obcisłymi bluzkami, i na swobodę stosunków między młodzieżą płci odmiennej. Być może istotnie młodzi ludzie interesują się dziś więcej wdziękami kobiet niż ćwiczeniami w strzelaniu z broni małokalibrowej. Czy mamy nad tym ubolewać? Vilfredo Pareto dziwił się, że wystawianie na widok publiczny armat, halabard, kordelasów i innych wysłużonych narzędzi śmier-

ci nie budzi zgorszenia, gdy widok nagiej kobiety wywołuje burzę protestów. W pruderii włoski uczoney widział oznakę słabości naszej cywilizacji.

Rozmowy z młodszymi i starszymi

W Frankfurcie zetknąłem się z grupą młodych studentów, interesujących się sprawami polskimi. W żadnym innym kraju Zachodu Polska nie budzi tak szerokiego zainteresowania jak w Niemczech. Zjawisko to i jego rozliczne motywy zasługują na osobne opracowanie.

U młodzieży życzliwa ciekawość dla spraw polskich zdaje się być częścią procesu szerszego, mianowicie krytycznej oceny przeszłości i rozrachunku z pokoleniem poprzednim. Należy do tego samego typu zjawisk co niezwykła popularność pamiętnika Anny Frank u młodzieży szkolnej. Młoda studentka, należąca do wymienionej grupy, powiedziała mi po prostu, że po tym, co Niemcy zrobili w Polsce, uważa za swój obowiązek przyczynić się osobiście do wyrównania krzywd i nawiązania między obu narodami przyjaznych stosunków.

Nie wiem, w jakim stopniu Polska sama, to znaczy jej losy, jej kultura i ewolucja obecna budzą ciekawość młodzieży niemieckiej. Spotkania z tak zwanymi *Spätrückwanderer*, czyli Niemcami przybyłymi z Polski w ciągu lat ostatnich, nastęrczyły mi pewne wątpliwości. Jeden z nich, student mówiący doskonale po polsku, powiedział mi, że chodził do polskich szkół i po 15 latach był już niemal zupełnie spolonizowany. Do narodowości niemieckiej wrócił stosunkowo późno. Chętnie spotkałbym go raz jeszcze. Nie jest zresztą wypadkiem odosobnionym. Przed trzema laty spotkałem w Frankfurcie młodą dziewczynę z mazurskiej rodziny, która też chodziła do polskich szkół i dopiero po śmierci rodziców w 1957 wyjechała do Niemiec. Rzeczpospolita Ludowa nie ma być może siły przyciągającej, jaką Polska porozbiorowa miała dla Lindego i Kolberga.

Zjawiskiem dla mnie nowym było miejsce, jakie w prasie i rozmowach zajęły ostatnio granice wschodnie Niemiec. Studenci nie zaczęli ze mną rozmów o granicy. Sądziłem słusznie, że spotykając Polaka mają z nim ciekawsze tematy do rozmowy. Wspomnieli tylko przelotnie, że granica z Polską była w tym roku już trzykrotnie przedmiotem odczytów i dyskusji w domu akademickim. Natomiast rozmowy ze starszymi schodziły szybko na pasjonującą ich *Oder-Neissefrage*. Zdania ich zdawały się podzielone: jedni sądzili, że Republika Federalna powinna uznać tę

granicę, inni z najgłębszym przekonaniem twierdzili, że za nic w świecie...

Zdaniem ich obecna aktualizacja sprawy, która przez tyle lat drzemała na bocznym torze, jest wynikiem agitacji zrzeszeń uchodźczych, które — obawiając się, że mocarstwa zachodnie uznają teraz granicę na Odrze — podwoiły wysiłki, aby temu przeszkodzić. Uchodźcy zaś wracają wciąż myślą do miejsca pochodzenia dlatego, że Republika Federalna może im wprawdzie zapewnić lepsze warunki materialne, lecz nie może dać sytuacji społecznej i towarzyskiej, jaką mieli w dawnej ojczyźnie.

Nie wiem, czy objaśnienia te są słuszne. Co powiedzieliby o nich np. Polacy wypędzeni z kresów, gdzie zostawili też niemałe pozycje społeczne i towarzyskie? Wydaje mi się, że można by je nieco uzupełnić. Agitacja rewizjonistyczna przeznaczona jest zapewne także dla uchodźców przebywających w Republice Demokratycznej. Zdaje się im mówić: „Ulbricht uznał tę granicę, a my się jeszcze o nią będziemy spierali”.

Obcemu wpadają oczywiście oko sztandary, obchody, energiczne intonacje i zamaszyste słowa rewizjonistów. Jedni chcieliby przesunąć granicę na Odrze, inni odebrać Czechom Sudety, inni wreszcie chcieliby bombami domowego wyrobu przepędzić Włochów z Tyrolu. Uderza uczuciowy charakter ich argumentów. Obok Niemców my, Polacy, wyglądamy na zimnych realistów. Nie brak jednak i innych argumentów. Słyszałem np. i taki: „Bez ziem nadodrzańskich Polska utraciłaby warunki do samodzielnej egzystencji i zostałaby wchłonięta przez Rosję. Czy tak byłoby lepiej?”.

Są to na razie dyskusje wewnętrzne między Niemcami, w których obcy nie biorą udziału. Dyskusje te wydają się nawet nieuniknione. Niemcy nie byli nigdy zadowoleni ze swych granic z Polską. Nawet granica z 1913 była dla nich tylko tymczasową przeszkodą w dalszej ekspansji na wschód, którą przez ostatnie sto lat wyobrażali sobie zawsze w butach i hełmach. Aby w ten czy inny sposób pogodzić się z obecną granicą, musieliby odejść od wielu odziedziczonych pojęć, ocen, tradycji i zwrócić wyobraźnię w innym kierunku. Pewne przesłanki do tego istnieją w Republice Federalnej, ale przemiany takie nie odbywają się bez długich dyskusji.

Kultura nr 179, wrzesień 1962

B O N N — 1963

Interlaken-Bonn

Przykre wiadomości, nawet oczekiwane od dawna, przychodzą zwykle przedwcześnie i niespodzianie. Tak było też z telegramem donoszącym o śmierci przyjaciela, zmarłego w początku stycznia w Bonn. Wiadomość ta wyrwała mnie z zimowej drzemki i zmusiła do natychmiastowego wyjazdu do Niemiec.

Wyjechałem rankiem 6 stycznia, tj. ostatniego dnia wakacji zimowych. Pociąg wiozący mnie z Interlaken był przepełniony młodzieżą wracającą z nartami i bez nich do Niemiec, Belgii, Holandii, Luksemburga i Anglii. W moim wagonie byłem jedynym pasażerem, który przekroczył dwudziesty rok życia. Większość stanowiły młode dziewczyny podróżujące samodzielnie. Spotykałem je już być może na ulicach Interlaken, teraz zobaczyłem je razem. Sam wygląd ich mówił o głębokich przemianach, jakie pociągnęło za sobą pełne zatrudnienie. Wszystkie miały na rękach złote zegarki, pierścionki i bransolety, jakie dawniej nosiły tylko kobiety dorosłe, które otrzymały je od rodziców, mężów lub przyjaciół i nie chwaliły się ich posiadaniem w wagonie trzeciej klasy, zwanej obecnie drugą. Większość tych kosztownych błyskotek została zapewne nabyta przez ich młodociane właścicielki bardzo niedawno, z własnych zarobków.

Przed ostatnią wojną zwyczaj zabraniał 18-19-letnim paniom jeździć za granicę i mieszkać w hotelu bez opieki dorosłych. I dziś być może matki tych miłych dziewcząt myślą, że to nie wypada, ale zachowują to zdanie dla siebie od kiedy córki ich płacą rachunki hotelowe z własnych pieniędzy.

Nowe obyczaje przenikły tą samą drogą do Włoch. Córka mego znajomego z Abruzzów, adwokata, mająca 27 lat i doktorat

z historii sztuki, nie znała muzeów neapolitańskich, bo ojciec jej nie godził się na to, aby podróżowała samodzielnie i mieszkała sama w hotelu. Natomiast moja sąsiadka berneńska, znacznie młodsza i ładniejsza signorina Alberta, pracująca w Szwajcarii i posyłająca matce pieniądze, jeździ sama bez żadnej opieki. Zresztą jadący w tym samym wagonie inni emigranci zarobkowi wyciągnęliby noże, gdyby ktoś zachował się wobec niej nietaktownie.

Niektóre z moich towarzyszek podróży chodzą jeszcze zapewne do szkół i nie mają własnych funduszków, ale ich sytuacja uległa również zmianie na skutek ogólnej emancypacji młodzieży.

Od czasów T. Veblena przemysł konfekcyjny uległ również ogromnym przemianom. Rozmaitość tkanin i modeli jest tak wielka, że w strojach przypadkowo zebranej grupy dziewcząt nie widzę dwóch podobnych do siebie fasonów ani rodzajów tkanin. W obrębie Wspólnego Rynku nie widać na razie tendencji do niwelacji gustów i mód. Rozpiętość między dyskretnie eleganckimi sukienkami własnej roboty, jakie noszą neapolitańskie *ragazze*, i barwną konfekcją moich towarzyszek podróży pozostaje ogromna.

Patrząc na nie uświadamiam sobie, że czarne swetry należą już do przeszłości. Zeszłego roku spotykałem co krok na mojej ulicy młodych ludzi w spodniach z manchesteru i ich towarzyszki w czarnych swetrach, z włosami spadającymi beładnie na efektownie niedomyte szyje. Chwila zniknięcia ich uszła mojej uwagi, ale od kilku miesięcy nie widzę ich więcej w mojej dzielnicy. Demonstracyjnie zaniebane ubrania były być może wyrazem protestu młodzieży nie otrzymującej dość pieniędzy od rodziców. Samodzielność finansowa położyła koniec nihilizmowi i przyniosła inne wymagania.

Radykalną zmianę w gustach sartorialnych młodzieży spostrzegłem dopiero niedawno, na koncercie Swiatosława Richtera. *Dinner jackets* dwudziestoletnich chłopców i dekoltowane suknie ich rówieśnic odróżniały się jaskrawo od znacznie mniej uroczystych ubrań starszego pokolenia. Sława sowieckiego wirtuoza i bajecznie drogie ceny miejsc zgromadziły tam osobliwą publiczność i tym tłumaczyłem sobie niezwykle dla sal koncertowych stroje młodzieży. W kilka dni później jednak, na abonamentowym koncercie symfonicznym, zwróciłem uwagę na siedzącą obok mnie na galerii dziewczynę, która w swej uroczo wyciętej sukni wyglądała jak na przedstawieniu galowym w mediolańskiej La Scala. Rozglądając się po sali spostrzegłem kilka innych młodziutkich dziewcząt tak samo ubranych.

W wagonie zdążającym z Interlaken na północ tylko jeden może dwudziestoletni *angry young man*, wyglądający na Anglika, nosił rudą brodę i czarny sweter. Palił fajkę i w swym pretensjo-

nalnym przebraniu czuł się nieswojo wśród starannie uczesanych i tak samo — choć może nieco wulgarnie — ubranych rówieśnic.

Lektury moich towarzyszy podróży przedstawiały widok zgoła odmienny. Każdy kiosk w Interlaken, obok gazet i czasopism, posiada także niezły wybór tanich tomików S. Fischera, Rowohlta, Goldmanna itd.; w większych kioskach znaleźć można także Pinguin i Pelican Books i podobne wydawnictwa francuskie. Pod względem różnorodności i barwności produkcja przemysłu wydawniczego nie ustępuje wcale damskiej konfekcji. Moi towarzysze podróży wydawali się jednak nieczuli na wdzięki słowa drukowanego. Połowa ich nie wzięła na drogę żadnej lektury, ale bawiący się czytaniem nie wyróżniali się korzystnie naturą swoich rozrywek. Młodszy przeglądali komiksy, starsi, jak Adenauer w Cadenabbii, czytali romanse kryminalne.

W Bazylei, skąd różne drogi wiodą na północ, towarzystwo z Interlaken rozproszyło się.

Kryzys Republiki Federalnej

Z dawnych czasów pamiętałem Bonn jako małe miasto uniwersyteckie. Miast takich, których życie obraca się częściowo dokoła sławnej uczelni, jest w Niemczech kilka: Getynga, Heidelberg, Tybinga, aby wymienić najbardziej znane. Podczas podróży powojennych, nie zajmując się polityką niemiecką, należącą do mego znakomitego kolegi Juliusza Mieroszewskiego, nie zatrzymałem się w Bonn. Z okna wagonu widziałem tylko jego stary dworzec z czerwonej cegły i długie kolumny samochodów czekających na przejście pociągu, plant kolei przecina bowiem środek miasta, powodując nieznaną gdzie indziej trudności komunikacyjne.

W drodze do Bonn myślałem o wypadkach, jakie rozegrały się tam w listopadzie i grudniu, wywołując w całym Niemczech zdumienie, niepokój, falę protestów, a wreszcie głębokie poczucie niezadowolenia. Wszyscy słyszeli wówczas o głośnej *Spiegel-Affäre*, ale nie wiem, czy ją jeszcze pamiętają. Przypomnę więc jej główne zarysy. Franz-Joseph Strauss, minister obrony rządu federalnego, nie uprzedzając innych członków rządu, kazał aresztować nocą głównych redaktorów hamburskiego tygodnika *Spiegel* oskarżając ich o zdradę tajemnic państwowych. Jego niewątpliwy nietakt w stosunku do innych ministrów, wątpliwa legalność jego postępowania i nie mniej wątpliwe tytuły oskarżenia dziennikarzy — wszyscy aresztowani są już od dawna na wolności — spowodowały dymisję kilku ministrów, rozpadnięcie się koalicji rządo-

wej, a po długich pertraktacjach do utworzenia nowego rządu bez skompromitowanego ministra.

Wśród przyczyn niezadowolenia i protestów brutalność w traktowaniu prasy — nocne areszty, zajęcie przez policję redakcji i sekwestr archiwów — stała na drugim planie. Nawet dziennikarze nie byli pewni, czy ich aresztowani koledzy nie popełnili czegoś zdrożnego, wyrażając się krytycznie o uzbrojeniu i wyszkoleniu armii niemieckiej z okazji wspólnych manewrów sił NATO. Pojęcia niemieckie o roli i odpowiedzialności prasy są, w porównaniu np. z szwajcarskimi, dość mgliste. W Szwajcarii zdradzić tajemnice państwowe mogą tylko ci, którzy są powołani do ich strzeżenia, tj. urzędnicy. Lud, rozstrzygający o wszystkim w ostatejniej instancji, musi być poinformowany i służąca temu celowi prasa ma obowiązek donoszenia o wszystkim, co doszło do jej wiadomości. Zdarza się, że dziennikarze wiedzą więcej niż mogą napisać. Ma to np. miejsce, gdy któryś z radców federalnych (ministrów) uprzedza dziennikarzy o mających zapaść decyzjach, prosząc, aby na razie o tym nie pisali. Dziennikarz, który nie zastosowałby się do tego życzenia, nie zostałby zaproszony na następną konferencję prasową. Jest to jedyna sankcja przewidziana za niedyskrecję. Swoboda komentowania odnosi się zwyczajowo także do spraw wojskowych i ulega ograniczeniom tylko w razie mobilizacji. W Niemczech brakło dotąd warunków do wytworzenia się takich jasnych pojęć. Przez pół wieku, zagrażając w istocie całej Europie, Niemcy trwali w przekonaniu, że są okrążeni przez wrogów, zamknięci w obleżonym mieście, słowem że są w rodzaju stałej mobilizacji narodowej, w której nie ma miejsca na niesforność i samodzielność sądów. *Spiegel-Affäre* przyczyni się być może do klaryfikacji pojęć w tej dziedzinie.

Główna przyczyna obaw i protestów była ogólniejszej natury. Przebieg konfliktu między ministrem obrony i hamburskim tygodnikiem wywołał mianowicie obawy o praworządność Republiki Federalnej i trwałość jej instytucji. Zdawało się, że poza rządem i parlamentem powstał ściślejszy ośrodek władzy, stawiający sobie nieznanne cele i mogący postawić Republikę wobec faktów dokonanych. Różne okoliczności sprzyjały takim podejrzaniom. Wiadomo było, że wewnątrz NATO ścierały się dwie koncepcje obrony Europy i uzbrojenia jej sił: amerykańska i francuska. F.-J. Strauss skłaniał się do koncepcji francuskiej, *Spiegel* rozwijał argumenty amerykańskie. Aresztowanie jego redaktorów i uznanie za karygodne posiadanie w sprawach obrony opinii i informacji uchodzących za amerykańskie byłoby próbą przesądzenia sprawy poza rządem i parlamentem. Wiadomo było również, że kanclerz zamierza podpisać z Francją umowę, przewidującą nie-

ustanne wymiany zdań między ministrami i wyższymi urzędnikami obu państw, lecz nie mówiący nic o przedmiocie i celu tych konwersacji. Przed ściślejszym aparatem władzy otwierały się ogromne możliwości wywierania wpływu na najistotniejsze sprawy kraju i Europy. Pierwsze jego posunięcia zdawały się zdradzać tendencje antyamerykańskie.

Starsi wiekiem przypomnieli sobie zapewne długą agonię i upadek Republiki Wejmarskiej, wykruszanie się jej instytucji i tworzenie się ośrodków dyspozycji poza rządem i parlamentem. Republika Federalna zdawała się mieć większe szanse. Jej Bundestag był bliski systemu dwupartyjnego i posiadał jasne więszości, jakich brakło w dawnym Reichstagu. Po smutnych doświadczeniach Republiki Wejmarskiej i trzynastu latach dyktatury Niemcy chcieli wierzyć, że posiadają wreszcie trwałe instytucje republikańskie, zapewniające ciągłość życia politycznego i zabezpieczające od faktów dokonanych. Podjęta przez F.-J. Straussa próba stworzenia ściślejszego aparatu władzy wywołała silny sprzeciw opinii i skończyła się dymisją ministra. Niebezpieczeństwo doraźne zostało zażegnane, pozostało jednak wrażenie, że nic nie jest więcej jak przedtem, że kryzys polityczny trwa nadal. Najwidoczniejszym jego wyrazem jest słabość rządu. Adenauer, który solidaryzował się do końca ze swym ministrem obrony, utracił w tej przygodzie większą część autorytetu i zapowiedział swe ustąpienie. Nikt nie wie, kto będzie jego następcą. Urząd kanclerski stał się przedmiotem targów między grupami wtajemniczonych. Skutki osłabienia władzy wykonawczej są również widoczne. Niemcy zbliżyły się do Francji w chwili jej największej izolacji; muszą się z tego kroku tłumaczyć przed innymi sojusznikami i lawirować w trudnych warunkach, za które nie mogą na nikogo zrzucić odpowiedzialności. *Wirtschaftswunder* zatrzymał się w swym pochodzie i utracił magiczne właściwości. Wielu wpadło w pesymizm i zniechęcenie.

Republiki, jak jednostki, miewają takie niewytłumaczone okresy apatii i słabości wewnętrznej. Oglądanie scenerii tych procesów nie objaśnia ich przyczyn, ale sprzyja ich zrozumieniu. Z rozrządzeniem patrzę na Ren i opiewaną przez Brentana i Heinego skałę Lorelei, czekając chwili przyjazdu do Bonn.

B o n n

Na dworcu spotykam innych przyjaciół zmarłego, miejscowych i przybyłych z innych stron Niemiec. Idziemy razem przez ożywione przedwieczornym ruchem ulice śródmieścia. W małych

miastach taksówek używa się tylko jadąc na pogrzeb lub wesele, i droga wydaje mi się trochę za długa. Przypominam sobie, że jest to dzień imienin Adenauera i wyrażam obawę, że hotele — jak u nas na św. Józefa — będą przepełnione. W biurze hotelu mówią mi jednak z uśmiechem, że takie rzeczy załatwia się w Bonn w wyższych sferach i nawet echa ich do miasta nie dochodzą. W Bonn zachowały się też inne sympatyczne rysy prowincjonalne: z przyjemnością spostrzegam, że w dobrym hotelu, wychodzącym na park uniwersytecki, będąc mieszkał niemal o połowę taniej niż w Frankfurcie.

W starej części miasta nie widać dotkliwszych śladów wojny. Ulice zachowały nazwy z dawnych czasów. Stare domy są pielęgnowane i odnawiane. Uwagę moją zwracają nocne lokale oświetlone neonem. Mówią mi: „To dla cudzoziemców”.

Następnego ranka przyjaciele zmarłego zbierają się na żydowskim cmentarzu na brzegu Renu. Rosną tam wysokie drzewa, miejsce wydaje się spokojne, wolne od hałasów ulicy. Starsze groby zapadły się, napisy są mało czytelne. Widać, że cmentarz był bez opieki, i że nikogo tam przez dłuższy czas nie chowano. Nie ma jednak śladów hitlerowskiego wandalizmu. Miasta uniwersyteckie zachowały widocznie pewną godność. Pamięć tych strasznych czasów jest jednak żywa. Od rabina dowiaduję się, że ukrywał się we Francji i na wszelki wypadek zachował francuskie papiery.

Resztę dnia poświęcamy wspomnianiu zmarłego przyjaciela. Zналиśmy go w różnych czasach i okolicznościach. Wymieniając wspomnienia dowiadujemy się o nim wielu rzeczy nowych. Wieczorem zamiejscowi rozjeżdżają się, zostaję sam i następnego ranka biorę się do metodycznego zwiedzania miasta.

Przed wszystkim staram się zrozumieć spostrzeżony już przedtem kontrast między miastem i siedzibą władz federalnych. Miasto jest tworem organicznym, który przetrwał już kilka wieków — nie mówiąc o czasach rzymskich — i nie zrezygnował z dalszego trwania. Siedziba rządu federalnego nosi natomiast rysy umyślnej, efektownie wyreżyserowanej i demonstracyjnej tymczasowości. W żadnym innym miejscu Republiki Federalnej prócz może samej linii demarkacyjnej, protest przeciw rozbiorowi Niemiec nie jest równie głośny.

Sam wybór Bonn na siedzibę rządu był już rodzajem demonstracji politycznej. Na stolicę Republiki nadawał się najlepiej Frankfurt, gdzie dawniej koronowano cesarzy i gdzie zbierały się parlamenty. Ojcowie Republiki Federalnej orzekli jednak, że taki wybór mógłby ujść za rezygnację z Berlina, który pozostaje nadal stolicą Niemiec. Dopóki stolica ta jest praktycznie niedo-

stępna, nie ma żadnej stolicy, jest tylko tymczasowe miejsce postoju rządu tymczasowej Republiki Federalnej, bo i ta ostatnia trwać ma tylko do zjednoczenia, jak to jest zaznaczone w jej konstytucji. Niemiecka Republika Federalna jest jedynym tworem państwowym, obliczonym w swym założeniu na tymczasowe trwanie. Dla podkreślenia, że nie chodzi tu o stałą siedzibę, lecz tylko miejsce postoju, wybrano na ten cel miasto najmniej nadające się do goszczenia przez dłuższy czas rządu i administracji.

Założona z góry i podkreślana w Bonn tymczasowość utraciła z biegiem lat swą ostrość wyrazu. Republika trwa już od kilkunastu lat i nie zbliżyła się ani na krok do swego teoretycznego końca. Nic tymczasowego nie widać w Niemczech, ani nie wyczuwa się w rozmowach. Wzrost zamożności nie sprzyja zresztą takiej idei, bo kto chciałby być zamożnym tymczasowo?

W Bonn natomiast wszystko zdaje się być obliczone na krótkie trwanie. Miasto nie posiadało budynków mogących pomieścić urzędy federalne, ani miejsca na wzniesienie takich budynków. Zresztą każdy projekt zbudowania odpowiednich pomieszczeń spotykał się z protestami fanatyków tymczasowości. Część ministerstw jest rozrzucona w przypadkowych budynkach wzdłuż Renu na przestrzeni 10 km. Inne są jeszcze dalej, za plantem kolejowym, przez który można dostać się na drugą stronę tylko od czasu do czasu, zależnie od ruchu pociągów. Jedyne przejazdy podziemne, znajdujące się przy dworcu, zostałyby beznadziejnie zakorkowane, gdyby wszyscy chcieli zeń korzystać. Trudności ruchu kołowego należą też do systemu tymczasowości; kiedy rząd wróci do Berlina trudności znikną same przez się.

Najdalej od miasta leży ministerstwo obrony, dawna twierdza F.-J. Straussa. Widać je na wzniesieniu, w dawnych koszarach, oddzielone od okolicznych wsi szerokim pasem nagich pól, doskonale izolowane. Można przypuszczać, że w takich miejscach ambicje tracą miarę i kontakt z rzeczywistością.

Widok tej organizacji postoju nasuwa pytanie, czy instytucje republikańskie mogą dobrze funkcjonować w izolacji, bez kontaktu z ludem stolicy, czy sama reprezentacja parlamentarna może ten kontakt zastąpić. Do porównań brak przykładów historycznych; tylko monarchowie i dyktatorzy mieli rezydencje odległe od stolicy. Bonn jest wprawdzie też miastem niemieckim, ale — jak wnoszę z rozmów — nie czerpie żadnego zadowolenia z bliskości miejsca postoju władz federalnych. Władze i miasto mają tu odmienne racje bytu, leżą jak gdyby w różnych płaszczyznach.

Również tymczasowa wydaje się sytuacja rezydujących w Bonn urzędników administracji federalnej. Na peryferiach miasta zbud-

wano dla nich kilka osiedli, z których jedno miałem sposobność oglądać. Stojące rzędami domy są w nich wprawdzie murowane, ale wszystko inne wydaje się obliczone na niedługi pobyt. Ze środka miasta jechałem zatłoczonym autobusem do jednego z tych osiedli urzędniczych chyba z pół godziny. Na ostatnim przystanku kończyła się droga. Dalej trzeba się było wspinać kamienistą i oblodzoną ścieżką, wzdłuż której stały sznury samochodów, w osiedlu nie było bowiem garaży. Mieszkanie wyższego urzędnika wydało mi się dziwnie smutne, na pół puste: pięć pokoi rozmieszczonych na trzech piętrach, w każdym stał mały piecyk i skrzynka z brykietami. Młodsza córka gospodarza mieszkała w małym pokoju na strychu, dokąd wchodziło się po drabinie. Całość wyglądała tak, jak gdyby przeprowadzka do Berlina miała się odbyć już wiosną.

W Bonn widziałem po raz pierwszy zniechęconych i rozczarowanych studentów. Rozmowa z kończącym właśnie studia medykem utkwiła mi szczególnie w pamięci. Gdy mówiłem mu o moich uprzednich kontaktach z młodzieżą niemiecką, słuchał uważnie, po czym powiedział:

— „To są *Wunschgedanken*, pobożne życzenia. W pańskim wieku każdy chciałby wierzyć że młodszy nie wyrzuci go przez okno. Rzeczywistość jest inna. Młodzież dzisiejsza jest gorsza od przedwojennej. Ma wszystkie przywary pokoleń poprzednich i wszystkie ułomności powstałe z demoralizacji powojennej. Są wprawdzie nieliczne wyjątki, ale los ich będzie niewesoły”.

Taką ocenę młodzieży niemieckiej słyszałem po raz pierwszy. Nie wiem, czy źródłem jej był *genius loci*, czy katzenjammer pozostały po niedawnych wypadkach.

Wyreżyserowany w Bonn spektakl tymczasowości jest wyrazem protestu przeciw rozbiorowi Niemiec. System protestowania do upadłego, negowania istniejącego stanu rzeczy, nie przyjmowania go do wiadomości jest nam dobrze znany. Polacy doprowadzili go do ostatnich konsekwencji, do insurekcji, płacąc zań najwyższą cenę. Niemcy ograniczyli się przeczornie do spektaklu, nie mogą się jednak oprzeć wrażeniu, że i oni ponoszą przy tym jakieś koszty, mniej wprawdzie uchwytny i rozłożony na raty, ale które w sumie mogą się okazać dotkliwe.

Idąc dalej za tym porównaniem dodałbym, że efekt zewnętrzny tego systemu był w Polsce i Niemczech podobny. Po kilku straszliwie kosztownych insurekcjach Polska jest znów tam, gdzie była za W. Ks. Konstantego, a zjednoczenie Niemiec wydaje się dziś dalsze niż kiedykolwiek. Wspominając powstania mówimy też więcej o ich efekcie wewnętrznym, mniej uchwytnym, trudniej

wymiernym. Protestom niemieckim nie brak też efektów wewnętrznych, wartych bliższego rozpoznania które odkładam do następnej podróży.

W drodze powrotnej

W Bonn dwóch dobrze ubranych pasażerów bez bagaży wsiadło do mego przedziału. Czytali francuskie gazety. Jeden z nich nosił buciki, jakimi w dawnych czasach wyróżniali się panowie z Quai d'Orsay. Dzięki temu szczegółowi wziąłem ich zrazu za urzędników ambasady. Byli to oficerowie. Przypatrywali mi się przez chwilę i przyszli widocznie do wniosku, że nie rozumiem po francusku, bo zaczęli bardzo swobodną rozmowę. Jeden z nich wracał z Berlina i opowiadał o kadrylu francusko-amerykańskim na tamtejszym terenie. Nie chcę być jednak niedyskretny. Powiem tylko tyle, że jeżeli moi towarzysze podróży byli kiedyś sympatykami O.A.S. i znajomymi płk. Argoud, należy to już do przeszłości. Perspektywa nowego układu sił i wizja Europy „aż do Uralu” pochłonęła całkowicie ich uwagę i wydała się im nierównie bardziej pociągająca od wojny z Arabami w Algierze.

Kultura nr 187, maj 1963

W TURYNIE — 1963

Przyjechałem do Turynu w końcu października, w zbożnym zamiarze zapoznania się z literaturą włoską o starożytnościach Ligurii i ze stanem archiwów wywiezionych do Turynu z Hrabstwa Nicei w chwili odstąpienia tego terytorium Francji.

Będę kiedyś musiał spisać w osobnej książce pomysły i projekty, których krótkość życia nie pozwoliła mi wykonać. Wypadnie być może zaliczyć do nich także projekt odczytania śladów, pozostawionych przez Ligurów w dolinach Alp Morskich. Za ledwie bowiem złożyłem nieuniknioną wizytę w kwesturze i wyszedłem na Via Roma, Ligurzy pograżyli się znów w pomroce wieków i inny rozdział historii skupił na sobie moją uwagę.

Przed Palazzo Madama panował niezwykle ruch i wszystkie jego okna były jasno oświetlone. Przeciskając się między gęsto zaparkowanymi wozami zbliżyłem się do wejścia pałacu. Wielkie afisze obwieszczały otwarcie wystawy Baroku piemonckiego. Słyszałem o niej już w drodze, ale wzmianki gazet nie dawały pojęcia o jej rozmiarach i bogactwie. Z kilku dni mój pobyt w Turynie przedłużył się do kilku tygodni, zbyt krótkich dla zapoznania się ze wszystkim, co zgromadzono z okazji wystawy w pałacach i muzeach Turynu. Dla studiów nad historią Ligurii będę tam musiał przyjechać innym razem.

Cały parter Palazzo Madama zastawiony był makietami i rysunkami scenografów XVII i XVIII wieków. „Teatr mój widzę ogromny” — te słowa zdają się być wyjęte z ich ust. Projekty ich przypominały mi chwilami teatr opisany w *Adone* G.-B. Mariniego, gdzie poprzez góry i lasy ustawione na scenie obrotowej toczą się tragiczne łowy Akteona, grane przed zasiadającymi w fotelach bogami Olimpu.

Mówiąc nawiasem neapolitański poeta G.-B. Marini (1569-1625), współczesny Luisa de Góngora, uchodził w oczach współczesnych za „największego poetę wszystkich czasów”, gdy dziś encyklopedia Larousse’a wie o nim tylko tyle, że Maria Medycejska sprowadziła go do Paryża, i że miał „najgorszy wpływ na kształtowanie się smaku francuskiego”. Mam wrażenie, że — poza właściwą Barokowi przesadą — współcześnie byli bliżsi prawdy. Strzeżmy się krytyków i profesorów. Literatura Baroku jest do przeczytania na nowo. Sądząc z pewnych szczegółów, Słowacki musiał znać neapolitańskiego poetę, jak się zdaje bez szkody dla swego smaku literackiego.

Na pierwszym piętrze pałacu znajdowały się makiety, rysunki i utrwalone w szkicach luźne projekty architektów. Te ostatnie nazywano wówczas *i pensieri* — myśli. Fotografie mniej znanych budynków Piemontu uzupełniały ten przegląd barokowej architektury.

Były więc tam makiety i projekty pałaców na miarę Wersalu i Palazzo Stupinigi, rozległych kompleksów zabudowań, parków i tarasów, dających wyraz manii wielkości Baroku. Czytając raz średniowieczny *Le Roman de la Rose* zatrzymałem się nad następującym określeniem urody Narcyza przeglądającego się w tafli wody:

*Car il cuida veoir la figure
D'ung enfant bel à démesure*

W tym określeniu piękna przez nieumiar jest już przecucie Baroku i jego ambitnej wyobraźni, stawiającej artystom i widzom wymagania, jakim nikt sprostać nie potrafi. Architektura zbliża do poezji tego czasu. W tych szeroko zaplanowanych przestrzeniach można by wreszcie ustawić w kontrastowe grupy jej strofy, fanfary i szelesty słów.

Jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie *pensieri*, rysunki i fotografie przedstawiające mniejsze budynki o zwartych i wyrazistych formach barokowych. Żaden inny styl nie rozszerzył się tak triumfalnie na całą Europę, nie przeniknął tak daleko na wschód, tak wysoko w góry i tak głęboko w zdobnictwo ludowe. Nie znam żadnej próby objaśnienia tej siły penetracji Baroku.

W ogromnym Palazzo Reale zgromadzono niezliczone obrazy, meble i pamiątki po barokowym Turynie i jego dworze. Wśród obrazów uwagę zwracał G. M. Graneri, turyński Pietro Longhi, i jego sceny z życia codziennego miasta. W salach, gdzie urzędowali królowie Sardynii i ich organy doradcze, uderzał nadmiar złocień.

Patrząc na pamiątki po książęcym i królewskim dworze miałem w pamięci opis Turynu z końca XVII wieku, znajdujący się we wspomnieniach kawalera de Grammont. Saint-Evremond i chevalier de Grammont wyjechali do Londynu dla odświeżenia wyobraźni, nie mogąc znieść złego smaku Ludwika XIV, i już nie wrócili do kraju. De Grammont, zajęty grą w karty, nie miał czasu na pisanie i wspomnienia swe opowiadał w wolnych chwilach angielskiemu przyjacielowi nazwiskiem Hamilton, który spisał je w najpiękniejszej francuszczyźnie Oświecenia. W pamięci jego Turyn zachował się jako siedziba najweselszego i najbardziej lekkomyślnego dworu Europy; życie w nim miało pozory nieustannej feerii, barokowej wersji Złotego Wieku.

Obraz ten miałem za twór wyobraźni, który w pamięci francuskiego emigranta przeciwstawiał się nudnej i sztywnej uroczystości Wersalu. Wydawał mi się tym mniej autentyczny, że w XVII wieku Turyn był kilkakrotnie oblegany, zdobywany i bombardowany przez wojska francuskie; księżęta sabaudzcy uciekali zeń i wracali, stale zagrożeni przez zaborczą politykę kardynała Richelieu i Ludwika XIV.

Taka interpretacja pamiętników kawalera de Grammont była błędna. Obraz wyłaniający się ze zgromadzonych w Palazzo Reale pamiątek był nierównie bliższy tych pamiętników niż tego, co znalazłem w historii Turynu. Powiniennem był się tego wcześniej domyśleć. Historycy opisują i objaśniają bieg wypadków, i w ich książkach komponenty zmienne przeszłości są lepiej widoczne od komponentów ciągłych; dowiadujemy się z nich więcej o tym, co się stało, niż o tym, co było. Faustowe *verweile doch, du bist so schön* nie należy do materii historycznej, utkanej z wydarzeń. Aspektów ciągłych przeszłości szukać trzeba u memorialistów i w zbiorach pamiątek, będących świadectwami ciągłości i trwałości *par excellence*, już przez to że zachowały się do naszych czasów.

Jednym z elementów stałości w historii siedemnastowiecznego Turynu był barokowy styl życia, zamiłowanie do monumentalnych budynków, ozdobnych strojów i zabaw pełnych alegorii. Drugim były francuskie księżniczki, z którymi żenili się księżęta sabaudzcy, szukając w tych małżeństwach zabezpieczenia przed zaborczością Burbonów. Wyzwolone z etykiety dworu francuskiego, księżniczki stawały się ambitne i lekkomyślne. Dwie z nich zostawiły trwałe ślad w historii Turynu: Maria Krystyna, siostra Ludwika XIII, i Jeanne de Nemours. O pierwszej historyk książęcego Turynu pisze, że była wierna maksymie Wawrzyńca Wspaniałego: *Chi vuol esser lieto sia — del doman non v'è certezza* (Niech się weseli kto chce, o jutrze nic pewnego nie wiadomo). Zachowany w Palazzo Reale portret Marii Krystyny mówi więcej o ambicji niż

o lekkomyślności. Widzimy na nim wąską, ostrą twarz i czarne oczy o bystrym, nieprzyjemnym spojrzeniu.

Pamiętki po Jeanne de Nemours, małżonce Karola Emanuela II, zebrane były w innej sali. Wzrok wchodzącego zatrzymywał się od razu na dwóch, ustawionych jedno naprzeciw drugiego, marmurowych popiersiach naturalnej wielkości.

Jedno przedstawiało nagi tors pięknego mężczyzny, mieszaniny torera i młodego Bachusa. Nie było na nim żadnego napisu. Był to, jak można się domyślać, oficjalny kochanek księżny sabaudzkiej. Nazwisko jego było na wszystkich ustach, lecz rzeźbiarz nadworny, Bernardo Falconi, uznał za stosowne je dyskretnie przemilczeć. Na popiersiu kobiety natomiast widniały złoczone litery: Giovanna Battista Savoya di Nemours.

Marmur ten wyobrażał kobietę o wspaniałych kształtach, szeroką w ramionach. Okrągła, o krótkim nosie twarz miała rysy właściwe blondynkom. W odróżnieniu od stojącego naprzeciw mężczyzny nie była naga. Na ramionach jej marszczyła się lekka tkanina, mogąca być szeroko otwartą nocną koszulą. Najważniejsza była twarz szeroko uśmiechnięta, wyrażająca radosny triumf miłości zmysłowej.

W marmurze ciała kobiet są zazwyczaj w jakiś sposób uduchowione. Dziedziczą to po rzeźbie greckiej, w której nagość zawiera aluzje do bogiń Olimpu. W popiersiu Falconiego brak takiego uduchowienia. Sztuka barokowa lubowała się w antytezach, i Falconi chciał być może przedstawić w swym książęcym modelu zwycięstwo miłości cielesnej, przeciwstawiającej się niewinności i wstydlivości. W lekkiej koszulce Jeanne stoi przed kochankiem i publicznie, przy dźwiękach fanfary głoszącej radość i triumf, wyzwała się z cnót i konwenansów. Mimo intensywności wyrazu popiersie Falconiego pozostaje książęce, dumne i wspaniałe, wznoszące się ponad wszelką *obscentitas*.

W innych czasach takie przedstawienie kobiety wykonywującej władzę książęcą — przypuszczam, że popiersie datuje z czasów regencji — byłoby gorszące. Nie wiem, co myślał o nim współczesny arcybiskup Turynu. Potępiał je zapewne *mormoranão*, bo historycy nie dosłyszeli jego głosu. Jeanne de Nemours miała w Turynie zwolenników zwanych „madamistami”. Przeciwnicy mieli jej głównie za złe, że stała na czele partii francuskiej, a potem dopiero opowiadali sobie plotki o jej obyczajach. Widok rzeźby Falconiego nie wywołał zatem skandalu.

Tolerancja turyńczyków tłumaczy się być może osobliwą dwutorowością myśli i wyobraźni ludzi Baroku, ich zamiłowaniu do antytez i kontrastów. Koncepcja Falconiego nie raziła ich skrajnością. Była to jedna z propozycji kontrowersyjnych, które wy-

suwano wówczas jako temat do medytacji i dyskusji. *Languet mens quae excessibus caret* — młda jest myśl nie znająca ekscesów — pisał Francis Bacon. Tezie przeciwstawiała się antyteza, obraz obrazowi. Naprzeciw króla stał błazen, naprzeciw Ariela — Kaliban; Monteverdi przeciwstawiał Orfeuszowi Poppeę. Dla ludzi Baroku był to sposób utrzymywania równowagi.

Refleksje te spisuję na podstawie wrażeń wyniesionych z kilkakrotnego oglądania rzeźb Falconiego. Od razu jednak wydało mi się, że jego popiersia warte są bliższego poznania, możliwości późniejszego konfrontowania wrażeń z rzeczywistością rzeźb i porównywania ich z innymi alegoriami Baroku. Słowem zacząłem poszukiwać ich fotografii, nigdzie jednak nie udało mi się ich znaleźć. Czasy Baroku minęły. Przypuszczam, że rzeźby Falconiego, wyniesione na światło dzienne z okazji wystawy, spoczywają zazwyczaj w mniej dostępnych zakamarkach Palazzo Reale.

Ostatniego dnia, żegnając się z wystawą i wracając do codzienności, zadałem sobie pytanie, jak wyglądałaby wystawa mająca dać obraz życia XX wieku.

Brakłoby jej nazwy, ale mogłaby się znaleźć. Określenie „czasy Baroku” jest też późniejszego pochodzenia. Brakłoby jej również stylu, i brakowi temu trudniej by było zaradzić. Władimir Weidle słusznie zauważa, że już od czasów romantyzmu architektura i samo życie nie mają żadnego stylu. Musielibyśmy znaleźć jakieś inne pojęcie porządkowe. Każda np. epoka posiada własną receptę na odtworzenie Złotego Wieku. W naszych czasach recepta taka ukazała się wyraźnie w latach wielkiego kryzysu 1930-1933. Wszystkim mianowicie stało się jasne, że głównym zadaniem państwa i związanych z nim instytucji jest zapewnienie powszechnego dobrobytu. Dążenie do tego celu moglibyśmy wziąć za ideę przewodnią wystawy. Wybralibyśmy więc kilka modeli mieszkań Le Corbusiera i Gropiusa i ustawili w nich przedmioty uchodzące za symbole dobrobytu: lodówki, pralki, telewizję, trochę wydawnictw artystycznych i lepszej konfekcji. Wśród fotografii naszych festiwali na próżno jednak szukalibyśmy jakiegoś odpowiednika barokowych zabaw i feerii, Jeanne de Nemours i lekkomyślności. Nie wiem, czy ktokolwiek na widok zgromadzonych przedmiotów powiedziałaby: *verweile doch...* Wpatrując się w ich migotliwą powierzchnię dostrzegłby być może cienie upiórów znanych z obecnej literatury: głębinowego lęku, absurdałności egzystencji, nieuleczalnego poczucia frustracji.

Przyjaciele pytają mnie nieraz, czemu nie spisuję wspomnień z dwudziestolecia, które oglądałem dość blisko, z różnych stron, bez zaangażowania. Nasze dwudziestolecie posiada historię bogatą w malownicze i warte zastanowienia wypadki. Przeraza mnie

jednak nędza i poniewierka obywateli Rzplitej tego czasu. Gdyby zaproponowano mi nowe życie w skórze robotnika lub chłopa dwudziestolecia, wybrałbym śmierć. Mimo przebłysków lekko-myślności, styl ówczesnego życia był surowy. Usiłuję wyobrazić sobie wystawę pamiątek po dwudziestoleciu. Architekturę reprezentowałyby makiety ministerstw, banków państwowych, chłodni w Gdyni, osiedla robotniczego na Żoliborzu, domów urzędniczych. Wyroby *Ładu* zdobiłyby ich wnętrza. Nie widzę miejsca na *i pensieri* Stanisława Noakowskiego, będące reminiscencjami z innych epok. Szukając pamiątek *stricto sensu* historycznych nie umiem wyjść poza żałosny kaszkiet i portki marszałka Piłsudskiego. Weselszą stroną dwudziestolecia reprezentowałyby fotografie półpiętra Ziemiańskiej, Ipsu z freskiem Topolskiego, Miry Zimińskiej i Szopki Cyrulika Warszawskiego. Patrząc bez żalu, jak szczegóły tego okresu ulatniają się powoli z mojej pamięci.

Kultura nr 197, marzec 1964

SŁOŃCE JESIENI — JUGOSŁAWIA 1965

Ancona

Po 23 latach Ancona pamięta wciąż żołnierzy 2-go Korpusu. W biurze Linii morskich Adriatyku zastaję dwóch urzędników, którzy na widok mego nazwiska — mówią mi o wspomnieniach z 1944. — Włosi i Polacy — powiadają — byli zawsze przyjaciółmi, i żołnierzy przynoszących nam wolność witaliśmy jak braci. Ponieważ obaj wyglądają na 30-35 lat, słowa ich budzą we mnie wątpliwość. — Ile też lat liczyli sobie panowie w 1944? — Byliśmy bardzo młodzi i patrzyliśmy na polskich żołnierzy z tym większą ciekawością. Jeden oficer zwłaszcza zwrócił naszą uwagę. Był najwyższym człowiekiem, jakiego widzieliśmy kiedykolwiek. Wątpliwości moje rozwiały się. Ci dwaj obywatel Ancony widzieli na pewno 2-gi Korpus. Nie byłem wprawdzie w Armii polskiej we Włoszech, ale tego oficera znam i widziałem go nawet niedawno w Paryżu.

Komunikacje morskie z Jugosławią utrzymywane są wprawdzie do końca października, ale mało kto z nich korzysta. Na najbliższy statek zameldowało się tylko dziewięć osób: 4 myśliwych jadących do Jugosławii na polowanie, 4 odważne Angielki, wyglądające na uczennice szkoły powszechnej, i ja. Statek odchodzi pojutrze, mam więc jeden dzień czasu w Anconie.

Jak na ostatni dzień września noc jest gorąca, upalna. Naprzeciw *Molo Santa Maria*, skąd odchodzi statki pasażerskie, są dwie kawiarenki, dokoła których kręcą się marynarze, policjanci, celnicy, przemytnicy i ciemne osobistości operujące zazwyczaj na marginesie życia portowego. Wynurzający się z mroku policjanci

wywołują gestami konfidentów. Widząc przygotowującą się obławę, oddalam się.

Stara Ancona wspina się zakosami na górę, na której szczycie bieleje romańska katedra pod wezwaniem św. Cyriaka. Kolumny portalu, jak w innych kościołach romańskich we Włoszech, stoją na grzbietach lwów, trzymających w łapach jagnięta lub jaszczurki (smoki?). W zasięgu Wenecji lwy wyglądają na zwierzęta oswojone. Są to lwy św. Marka. W miarę oddalania się od Wenecji nosy ich marszczą się gniewnie, grzywy jeżą się, ich dzika natura budzi się.

U stóp góry, na wysuniętym w morze przylądku stoją łuki tryumfalne Trajana i Konstantyna, porzucone tam przez bieg historii w samym środku stoczni, wśród dymu i brzęku żelastwa.

Również u stóp góry stoi inny jeszcze kościół romański, piękniejszy od *San Ciriaco* lecz ukryty skromnie wśród budynków. Jest to *Santa Maria della Piazza*. Otacza ją girlanda zaparkowanych kołem samochodów.

Górna część miasta, pełna ruin wojennych, opierała się dotąd architektom i urbanistom. W jednym miejscu widać rzymski amfiteatr, w którego wysokie mury wbudowano kilka drobnych domków mieszkalnych. Schodząc z *San Ciriaco* zatrzymałem się przed domem *Pod Syreną*. W Warszawie ten twór wyobraźni jest tylko symbolem, tu zaś, niedaleko od miejsc, gdzie syreny zwodziły śpiewem żeglarzy, zdaje się być czymś bliskim rzeczywistości doświadczalnej.

Ancona posiada dwa muzea: pinakotekę miejską i muzeum archeologiczne, w którym zgromadzono bogate zbiory przedmiotów wykopanych w mieście i okolicy. Dwa przedmioty zwróciły w nim moją uwagę. Pierwszym były złote pszczoły, których cały rój znaleziono w jednym tylko grobowcu. Ten symbol zabiegliwej pracowitości znajdujemy potem na niezliczonych tkaninach i przedmiotach z czasów Napoleona I. Po raz pierwszy widzę ich złoty pierwowzór. Drugim są szczątki konnego posągu z połączanego brązu. Koń, widocznie z mniej trwałego materiału, znikł, i nogi jeźdźca zawisły w próżni. Prawą rękę wyciągnął naprzód ruchem błogosławiącym, jak Marek Aureliusz z konnego posągu na Kapitolu. Wąska twarz jego nie przypomina żadnego ze znanych imperatorów. Archeolodzy, wnioskując zapewne z braku brody noszonej w czasach Antoninów, umieszczają ten posąg w I wieku po Chr. Kim jednak mógł być ten nieznamy, wykonujący na sto lat przedtem gest cesarza-filozofa?

Skromniejsza pinakoteka municypalna mieści się w *Palazzo degli anziani*. Wchodzącego na schody ostrzegają łacińskie napisy: *Siste qui gradum ignoras* (zatrzymaj się, jeżeli nie znasz rangi

rzeczy) i parafraza Horacego: *Te vertas ad imum qui summum depreces* (będziesz niczym, jeżeli gardzisz najwyższym). Po tych przestroгах wchodzę w pobożnym skupieniu, gotowy do oglądania dzieł Wielkiej Sztuki. Trzej artyści, nieznani poza Anconą, wypełniają niemal wszystkie sale. Są to w porządku chronologicznym: Andrea Lilli, Scipione Daretti, autor fantazji powstałych z gry architektury i perspektywy z początku XVII wieku i bliższy nam w czasie F. Podesti, rysownik klasycyzujący. W muzeach włoskich warto jest rozmawiać z woźnymi. Są tak źle opłacani, że trzymają się swego zawodu z zamiłowania do sztuk pięknych i mają zawsze w zapasie kilka zabawnych i trafnych uwag. — Co za wspaniały rysownik! — mówi woźny, wskazując na Olimpijczyków Podestiego. — Co za nieomylna pewność w traktowaniu anatomii, jaka nieprzymuszona lekkość kaligrafii! I kiedy mówię mu o ubóstwie i banalności tematów Podestiego, powiada: — Ach, *signore*, gdyby dzisiejsi malarze, mający rzekomo tyle wyobraźni, posiadali rzemiosło Podestiego, malarstwo byłoby wielką rzeczą.

Z pinakoteki wychodzę z fotografią architektury Daretiego i portretem czarownicy Angela Carosellego. Rodzina Carosellich istnieje dotąd w Abruzzach. Sądząc z portretu czarownicy, mogą to być potomkowie lub krewni Angela.

M/N *Egadi*

Jesteśmy na morzu już od 7 godzin i przyplłynęliśmy większą część Adriatyku nie spotykając żadnego innego statku. Rozumiem teraz, czemu na naszym pokładzie jest tyle sprzętu do ratowania tonących: łodzi, tratw, pasów, kamizelek. Adriatyk jest wodną pustynią i w razie jakiegoś wypadku nikt by nam nie mógł pośpieszyć z pomocą. Minęły tu czasy Wenecji i wielkiego handlu morskiego. Środkiem morza przebiega linia demarkacyjna między Wschodem i Zachodem.

Nasz M/N *Egadi*, zbudowany przed 36 laty w Danii kończy w tym miesiącu służbę. Po przerwie zimowej zastąpi go statek włoskiej konstrukcji M/N *Tintoretto*. *Egadi* liczy kilkunastu ludzi załogi, wiezie 9 pasażerów i dwa samochody, kończąc zaś służbę ma niewielki zapas wody i paliwa. Przy tak małym obciążeniu maszyny jego dają ogromne wibracje. Statek drży jak w febrze i na dłuższą metę powinienby rozpaść się na kawałki. Obliczony na żywszą wymianę towarów i pasażerów, będzie szukał służby odpowiedniejszej dla jego wieku i uzdolnień.

Kapitan statku, zwany po włosku *il comandante* jest osobą zrobioną dokładnie na miarę swych funkcji. Już przed podróżą

zauważyłem go w grupie innych oficerów, w pobliżu portu. Przyszło mi wówczas na myśl, że w razie zamieszania wszystkie oczy zwróciłyby się na niego. Na statku okazał się godny i wesoły, mówił pięciu językami i przez grzeczność zwracał się do każdego w jego mowie ojczystej.

Kuchnia na statku była doskonała, w najlepszym włoskim rodzaju, i pasażerowie oddawali się obżarstwu. Celowała w tym czwórka chłopów spod Rimini, jadących polować do Jugosławii. Stoły zaściewano na statku obrusami z grubego płótna, wyglądającymi tak, jak gdyby marynarze prali je w wodzie morskiej i prasowali między deskami. Myśliwi czuli się więc jak na poczęstunku w swoich *case coloniche*. Rozrzewnieni trunkami, ofiarowali wszystkim pasażerom i oficerom po szklance *grappy*, włoskiej kuzynki francuskiego marc de Bourgogne. Po tej ostatniej kolejce położyli się w słońcu na pokładzie i zasnęli zdrowym, głębokim snem.

Awans społeczny przybiera różne odcienie. Jedni naśladowują maniery wyższych sfer towarzyskich, inni przeciwnie, podkreślają plebejskie pochodzenie. Moi towarzysze z *Egadi* przejęli po latyfundystach zamiłowanie do kosztownych rozrywek cynegetycznych, ale nie zmienili na jotę obyczajów. Gardzili krawatami; mimo upału nosili grube swetry roboty ich matek i żon. Mówili dialektem, głośno. Mieli świadomość, że zdobyta fortuna upoważnia ich do rozrywek. Jeden z nich zapytał mnie, czy przypadkiem nie jestem też myśliwym. Odpowiedziałem, że jestem też w pewnym sensie *cacciatore*, ale poluję na inną zwierzynę, mianowicie na książki i rękopisy. Na to mój rozmówca odparł z poczuciem wyższości: — Widzę, że i pan jedzie do Jugosławii w interesach, my zaś dla czystej rozrywki.

Tak wyglądali zapewne Wizygoci, Longobardzi i Wandalowie, polujący po rzymskich prowincjach i nawołujący się głośno w swych narzeczach. Położywszy na obie łopatki rzymskie imperium i wzięwszy majątki wypędzonych senatorów i zubożonych wyzwolenców, mieli prawo do godziwej rozrywki. Tak zapewne wyglądali i później jako paladyni Karola Wielkiego. Mimo podobieństw są też istotne różnice. Dzisiejsi Wizygoci nie przyszli mianowicie ze Wschodu, ale wyszli z głębin społecznych Europy, gdy wszystkie dobre duchy opuściły ją w początku obecnego stulecia.

W drodze powrotnej spotkałem tychże myśliwych, wiozących kilkaset kilogramów bitej zwierzyny.

Questiones naturales

W łaźni czy na wywczasach, nie obciążając się większą znajo-

mością rzeczy, szlachetni Rzymianie lubili rozprawiać o obyczajach zwierząt, rzeczywistych i bajecznych. Pokłosie tych rozmów znaleźć można u Seneki, Pliniusza Starszego i innych. *Genius loci* sprawił, że na pokładzie *Egali* zawiązała się rozmowa o obyczajach mew, w takim właśnie antycznym stylu.

Za statkiem naszym leciały od Ancony dwie mewy. Ilekroć zatrzymywałem się na rufie, zbliżały się, jak gdyby czegoś ode mnie oczekując. Nie chcąc zdradzić ich zaufania zszedłem do kuchni i wróciłem z pajdą chleba. Mew jednak nie było, znikły bez śladu. Słońce zniżyło się już ku zachodowi, ale od brzegu dzieliło nas jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. — Co się stało z mewami? — zapytałem palącego fajeczkę marynarza. Mewy — odpowiedział — nigdy nie latają nocą. Siadły sobie pewnie *far la nanna*, zdrzemnąc się, na wodzie.

Inny marynarz, słysząc naszą rozmowę, żywo zaprotestował: — Mewy nigdy nie śpią na wodzie. Źle by na tym wyszły, bo wielkie ryby i *calamari*, ośmiornice, zaraz by je zjadły. Na noc mewy siadają na wyspach i rafach, gdzie je można widzieć o świcie.

Przypuszczenie, że ośmiornice mogą polować na mewy, wydało mi się mało uzasadnione. Ich zła sława zaczęła się od *Pracowników morza* Wiktora Hugo. Odtąd posądzano je o różne złe sprawy, nawet o napadania na kąpiących się. Tam jednak, gdzie ośmiornice stanowią niemal codzienne pożywienie rybaków, nikt się ich nie boi. Na *Côte d'Azur* widziałem złapaną przez rybaka ośmiornicę ważącą koło 25 kilogramów. Gdy opowiedziałem mu historię Gilliatta, zaczął się śmiać. — Wiktor Hugo — powiedział — musiał miewać złe sny. Zresztą ośmiornice żyją wśród nadbrzeżnych skał i nigdy nie słyszałem, aby ktoś widział je na pełnym morzu.

Zdarza się im natomiast płatać figle nurkom. Jako młody chłopak przyglądałem się raz nurkowi, pracującemu przy budowie portu w Monaco. Zadaniem jego było wyrównywanie gruntu pod ciężkie bloki cementowe. Pracował z dwoma towarzyszami stojącymi na małej łodzi. Jeden z nich dostarczał mu powietrza ręczną pompą. Co 10-15 minut nurek ciągnął za dzwonek, i towarzysze wyciągali go z wody. Stawał wówczas na przytwierdzonej do łodzi drabinie i, gdy zdejmowano mu hełm, ukazywała się blada twarz z włosami zlepionymi potem. Dyszał ciężko przez kilka minut po czym schodził znów na dno morza. W pewnej chwili, natychmiast po zejściu, pociągnął kilka razy za dzwonek. Z wody wysunął się hełm, na którym siedziała spora ośmiornica. Nie miała widocznie krwiopijczych zamiarów, bo zamiast przyssać się do nagich rąk nurka, oplotła mackami żelazną szyję skafandra.

Widok ten wprowadził towarzyszy nurka w osłupienie. — Noża! Gdzie jest nóż? — wołali. Noża jednak nigdzie nie było. Nurek tymczasem dawał rękami rozpaczliwe znaki. W zamieszaniu zapomniano o pompie i nieszczęśliwy dusił się. Wszystko jednak skończyło się dobrze. Uruchomiono pompę, ostrożnymi uderzeniami siekiery rozrąbano ośmiornicę, i uwolniony od niej i od skafandra nurek w stanie zupełnego wyczerpania położył się na dnie łodzi.

Kiedy tak rozmawialiśmy o obyczajach zwierząt morskich, ukazały się pierwsze wyspy Dalmacji. Na tle ciemnej wody, w świetle zachodzącego słońca wydawały się różowe. W braku słodkiej wody wyspy te są przeważnie nie zamieszkałe. Uboga roślinność streszcza się do rzadkich zielonych plam. W kilku wklęsłościach wzgórz widać porzucone próby uprawy. Na jednej z wysp, w zasłoniętej od wiatru zatoce, stało wśród drzew pięć chat krytych dachówką.

Przyszło mi na myśl, że jedną z tych wysp można by wydzierżawić i żyć na niej jak w czasach apostołskich z połowu ryb i skorupiaków.

Split

Gdy myślę o dniach spędzonych w Splicie, na pierwsze miejsce wysuwa się w moich wspomnieniach pałac Dioklecjana. W żadnym innym miejscu ciągłość historii nie narzuca się z równą siłą wyobraźni. Mijały cywilizacje, ale nazwa miejsca, przechodząc z języka do języka, zachowywała tożsamość: Grecy nazywali je *Aspalathos* lub *Asphalathos*, Rzymianie *Spalatum*, Wenecjanie *Spalato* i Chorwaci *Split*.

Warowny pałac Dioklecjana, wzniesiony w ostatnich latach III wieku, jest prostokątem o powierzchni 211×180 metrów. Fasada południowa wychodziła niegdyś na ınożę, resztę otaczały mury o 16 basztach.

W końcu III wieku cesarstwo rzymskie było zbyt obszerne i zbyt zagrożone, aby można było nim rządzić z dawnej stolicy. Zmienne sytuacje wymagały szybkich decyzji. Dioklecjan podzielił państwo na cztery obszary, rządzone przez tyłuż cesarów. Zachowując władzę nadrzędną przystąpił do budowy swej rezydencji centralnej, leżącej po środku państwa i niezbyt odległej od najbardziej zagrożonej granicy północnej.

Rzymianie od dawna już widzieli nadchodzący koniec. Jeden z poprzedników Dioklecjana, Aurelian, zdobywca Palmiry, przewidując pojawienie się barbarzyńców w Italii południowej, otoczył Rzym istniejącym tam dotąd murem, zwanym *muro aureliano*.

Zadne jednak mury nie mogły obronić miasta, którego milionowa ludność nie życzyła sobie pod żadnym pozorem wojować. W tych okolicznościach Dioklecjan wybrał na swą rezydencję, niedaleko od ojczystej Salony, miejsce pozbawione ludności cywilnej, gdzie wznosił pałac przeznaczony dla dworu i pretorianów. Tam miały się schodzić linie komunikacyjne morskie i lądowe.

Wzorem wojskowego obozu dwie ulice przecinały pałac na krzyż: jedna — zwana *cardo* — z północy na południe, druga — zwana *decumanus* — ze wschodu na zachód. W części południowej, wychodzącej na morze, mieściły się apartamenty cesarza i dworzan, w północnej zaś koszary pretorianów. Na skrzyżowaniu głównych ulic znajdował się istniejący dotąd obszerny perystyl, imponujących rozmiarów sala przyjęć i mauzoleum, w którym miały spocząć prochy cesarza.

Rachunek Dioklecjana okazał się słuszny. Cesarstwo zachodnie rozpadło się na kawałki. Rzym był kilkakrotnie zdobywany i plądrowany, warowny pałac w Spalatum natomiast trzymał się dalej. Przez tysiąc lat opierał się inwazjom różnych ludów, łącznie z Tatarami w XIII wieku. Dzięki tym okolicznościom zachował się do naszych dni, gdy sławne pałace cesarzy na Palatynie rozpadły się w gruzy. W ostatnich latach XV stulecia Janus Vitalis Panormitanus, patrząc na płynący wśród ruin Tyber, zanotował melancholijnie: Budynki rozsypują się w proch, a rzeczy mające być wiecznie płynne pozostają. W Splicie widać proces odwrotny: morze cofnęło się o kilkadziesiąt kroków od południowej fasady pałacu, ten zaś pozostał, wspinały, na dawnym miejscu. Zmiany przyszły doń z innej strony, wraz z pojawieniem się w jego murach ludności cywilnej.

Pałac Dioklecjana był tylko rezydencją cesarza, stolicą Illirii natomiast była sąsiednia Salona. W 615 spotkał ją okrutny los. Awarowie zdobyli i spustoszyli miasto, którego ludność uciekła na wyspy lub szukała schronienia w warownym pałacu Dioklecjana. Cesarzy już nie było i należący nominalnie do byłego państwa pałac był w istocie bezpieczny. Uchodźcy tłoczyli się zrazu w obszerne podziemiach pałacu, potem zaczęli przerabiać na mieszkania apartamenty cesarza i koszary pretorianów. Tak w obrębie murów powstało miasto liczące trzy do czterech tysięcy mieszkańców.

W skrócie pochód wieków następnych widać najlepiej w mauzoleum cesarza. Wzorem rzymskiego Panteonu przemieniono go wcześniej na kościół. Prochy Dioklecjana znikły bez śladu; cesarz był bogiem pogańskim i padł ofiarą ekskluzywności i nietolerancji nowej wiary. Puste mauzoleum wypełniły powoli ołtarze, sarkofagi, kazałnice, ławy chórow, świeczniki i ozdoby, noszące zna-

miona wszystkich kolejnych stylów od wczesnego średniowiecza do późnego baroku.

Podobne zmiany odbywały się na całej przestrzeni starego pałacu. O jego potężne mury opierano drobne budynki mieszkalne wznoszone we wszystkich wolnych miejscach. Dawne *cardo* i *decumanus* zeszyły do roli wąskich przejść między domami, nad wszystkimi jednak górują dotąd stare mury, kolumny i sklepienia pierwotnego pałacu.

Przychodzi mi na myśl, że nasze żelazobetonowe budynki nie są przeznaczone do trwania dłużej niż ich okres amortyzacyjny, i że nikt zapewne nie będzie chciał ich konserwować.

W wiekach średnich musiało straszyć w pałacu Dioklecjana. Świadczą o tym dwie rzeźby przechowywane w muzeum miejskim i wyobrażające potwory podobne do złych snów. Jeden z nich trzyma w pazurach młodą kobietę, którą na sposób zwierząt posiada cielesnie. Wstydlive ręce złagodziły wyrazistość tego obrazu, wyjmując zeń najbardziej realistyczne kamienie. Rzeźba ta urasta do rozmiarów symbolu. Nagie ciało kobiety jest jeszcze greckie, pełne aluzji do bogiń Olimpu, *obscentitas* należy również do świata antycznego, potwór natomiast zdaje się przedstawiać złe sumienie pokoleń, pamiętających grzeszne uroki czasu poprzedniego i niedorastających do wymagań nowej wiary.

Źródłem strachów i złych snów zdaje się być miejsce, gdzie znajdowała się dawna Salona. Jest to zielona, falista równina, pocięta murami na małe prostokąty ogrodów. Niewidoczne zrazu pod zielenią pnączów mury są ścianami domów dawnej Salony. Tak zapewne wyglądałyby Frankfurt i Kolonia, gdyby ludność opuściła je w 1945. W żałosnych szczątkach Salony nie brak i nowych upiórów. Ukryty w zaroślach niewielkiego wzniesienia, przechodniowi ukazuje się niespodzianie ohydny płaski grzyb betonowy, bunkier niemiecki z ostatniej wojny.

Poza mury dioklecjańskie Split — wówczas *Spalato* — wyszedł w czasach weneckich. Pozostał po nich m.in. obecny plac Republiki, otwarty na morze wielki prostokąt arkad i murów o barwie zwanej *rosso veneziano*.

Stary Split nie ma pozorów ani ciszy muzeum. Życie płynie wciąż wartko w murach dioklecjańskich. W niedzielę i święta skromnie lecz ładnie ubrana młodzież wypełnia gwarem i śmiechem wąskie uliczki starego miasta.

W czasach weneckich młodzież ta świętowała zapewne wesoło karnawał i mówiła, częściowo przynajmniej, po włosku. Dziś włoski znikł zupełnie z ulic miasta. Rozumieją go częściowo tylko starsi, młodszy nie znają go wcale. Jest to fragment większego procesu przesuwania się granic w Europie. Włoski cofnął się

na zachodni brzeg Adriatyku, jak niemiecki za Odrę i polski za Bug i San. Francuski wreszcie, niegdyś język znany wszystkim wykształconym, stał się zrozumiały tylko dla studentów romanistyki.

Mestrovic

Zmarły przed kilku laty Ivan Mestrovic, największy być może rzeźbiarz monumentalny XX wieku, urodził się jako chłopski syn w najbliższej okolicy Splitu. Wolne godziny spędzone w pałacu Dioklecjana na słuchaniu niejasnego oddechu wieków musiały zostawić mu niezatarte wspomnienie. Rzeźba zachodnia wywodzi się z Grecji muzealnej; stąd jej szkolony umiar, uczona ostrożność. Mestrovic miał przed sobą inną wersję świata antycznego. W jego rzeźbie religijnej i portretach matki dostrzec można wspomnienia bizantyńskie. Nawet jego nieumiar ma precedensy antyczne. Stojąc pod pomnikiem Grzegorza z Ninu i patrząc na jego piętę wielkości końskiego zadu, przypominam sobie Memnona, kolosa rodyjskiego i gigantyczne posągi Fidiasza, wzmiankowane przez greckich memorialistów.

W akademiach sztuk pięknych i u mistrzów, którzy uczyli go rzemiosła, nie znalazł środków wyrazu dla tego, co wyniósł z rodzinnego Splitu. Przez całe życie Mestrovic błąkał się po manieryzmach secesji i ekspresjonizmu. Niedomaganiom tego czasu przeciwstawiał swą obsesję wielkości.

Rzeźby jego wymagały wielkiego luzu, bezmiaru powietrza i przestrzeni. Warunki te posiadał tylko jego pomnik zwycięstwa w Belgradzie stojący na skalnym cyplu, dzielącym rozlewiska Dunaju i Sawy, i w mniejszej mierze mauzoleum poległych na Avali. Innym nawet na większych placach brak oddechu.

Po długich wędrówkach Mestrovic wrócił okryty sławą do Splitu i na krótko przed ostatnią wojną zbudował dla siebie dom o kilka kilometrów od miasta. Dom ten, zwany także pałacem, jest rzeczą najmniej podobną do mieszkania: szeroki taras schodzący ku morzu, schody, kolumny, za nimi dwa piętra atriów, sal tronowych i koronacyjnych. Obecnie mieści się tam muzeum Mestrovicia.

Nawet w takim otoczeniu wielu rzeźbiom brak powietrza. Persefona stoi przed muzeum na trawniku, ale dla wspaniałej bogini, wznoszącej ręce i twarz do nieba, i ta przestrzeń wydaje się ciasna. *Cyklop* ukrywa się w sąsiednich zaroślach, miejscu zgoła niestosownym dla jego cyklopicznej anatomii. Imponująca *kobieta na brzegu morza* leży otoczona krzewami; brak jej otwar-

tej przestrzeni i szmeru fal. Rzeźba portretowa i religijna znoszą oczywiście lepiej klaustrację. Niektórym jednak i w salach tronowych jest ciasno. Bryłowate postacie siedzące z twarzami zwróconymi ku niebu, jak *Hiob*, są zbyt wysokie. Udostępnienie ich patrzącemu wymagałoby otoczenia ich pomostem wysokości 30-50 cm. lub ustawienia ich poniżej poziomu galerii.

Z muzeum wynoszę wrażenie, że geniusz Mestrovicia przekroczył granicę przestrzeni, przeznaczanej w naszej cywilizacji na rzeźbę. W miastach, gdzie metr kwadratowy terenu kosztuje przynajmniej tysiąc dolarów, nie ma miejsca na rzeźbę monumentalną.

Perspektywy „liberalizacji”

Przed kilkunastu laty Jugosławia oderwała się od bloku wschodniego, zachowując wszakże jego system polityczno-gospodarczy i rozluźniając tylko jego rygory. Niezależny komunizm jugosłowiański wydał się wówczas herezją i został jednomyślnie potępiony przez wszystkie partie komunistyczne. Dziś jednak w całym bloku wschodnim mówi się o „liberalizacji” systemu, o rozluźnieniu jego sztywności doktrynalnej i przystosowaniu do potrzeb ludności. Na tej drodze Jugosławia wyprzedza o dziesięć lat pozostałe państwa komunistyczne. Eksperyment jugosłowiański budzi więc w nich zrozumiałe zainteresowanie. Jakie osiągnięto korzyści? Jakie zebrano doświadczenia? Jak dalece można „liberalizować” komunizm nie narażając go na śmiertelne niebezpieczeństwo? Pytania te, mniej interesujące dla Zachodu, cisną się na usta przyjeżdżających do Jugosławii Polaków, Czechów, Węgrów, Rumunów, a zapewne i Rosjan.

Ostatnio pytania te stały się bardziej niż kiedykolwiek aktualne. Rzecz w tym, że mimo wydatnej pomocy finansowej Stanów Zjednoczonych trudności gospodarcze Jugosławii weszły obecnie w stadium krytyczne. Po niedawnej dewaluacji dinara skromne już przedtem zarobki Jugosłowian spadły jeszcze o 15 %. Kłopoty pieniężne są wszędzie przedmiotem rozmów. „Muszę szukać dodatkowej pracy, bo obecne zarobki nie wystarczają mi na życie”. Zdanie to słyszałem nawet od przypadkowych rozmówców. W Splicie dodatkowych zarobków dostarczała turystyka, ale sezon zbliżał się do końca i wszyscy patrzyli z troską na nadchodzącą zimę.

Jednocześnie klimat polityczny zaczął również się zmieniać. Jugosławia zbliżyła się do Rosji, gazety przypominały naszą *Try-*

bunę ludu, zaczęły się represje przeciw nieposłusznym pisarzom. Jugosłowianie, równie rozmowni jak Polacy, mówili nawet o możliwości powrotu do stalinizmu.

Stalinizm? To straszne słowo pojawiło się znów po dziesięciu latach doświadczeń z jugosłowiańską odmianą komunizmu. Okazało się mianowicie, że rozwodniony, złagodzony i „zliberalizowany” komunizm jugosłowiański przyniósł te same wyniki co komunizm integralny: niepowodzenia gospodarcze i spadek stopy życiowej. Brak więc widoków na zadowolenie ludności, i partia musi myśleć o utrzymaniu niezadowolonych w posłuszeństwie. Tak wyglądałoby jedno wyjście z obecnej sytuacji.

Mówiono jednak także o innym wyjściu, mianowicie przez dalszą liberalizację i usprawnienie systemu. To, co w tej mierze zrobiono dotąd, nie wystarcza: trzeba dalszych, radykalniejszych kroków. Na tej drodze stoi wszakże trudna do przeskokowania przeszkoda. Rzecz w tym, że zwycięskie rewolucje prowadzą po niedługim czasie do wytworzenia się nowej warstwy uprzywilejowanej, którą dla prostoty nazwiemy profitariatem. Są to ci, którzy zdobyli władzę z bronią w rękę, i ci, którzy zdążyli przyłączyć się w porę do zwycięzców. Profitariusze rewolucji zajmują wszystkie stanowiska kierownicze, wszystkie lepsze posady. Im wątpliwsze są ich tytuły posiadania, tym większa niechęć do jakichkolwiek zmian. „Wzięliśmy władzę z bronią w rękę i jej nie oddamy przy piwie”. Lepszy powrót do żelaznej ręki niż jakiegokolwiek ograniczenie prerogatyw i stanu posiadania.

Czy żywym siłom Jugosławii uda się przewyciężyć opór skostniałego profitariatu? Dowiemy się o tym być może w ciągu następnego roku. Obecny kryzys gospodarczy nie pozwala zbyt długo odkładać decyzji. Wybór, jakiego dokona Jugosławia, będzie wskazówką co do losu „liberalizacji” w innych krajach.

Z a d a r

W czasach weneckich Zadar nazywał się *Zara* i słynął z *maraschino di Zara*, likieru o różanym zapachu, pędzonego z miejscowej odmiany czereśni. *Maraschino* jest stałym punktem w zmiennych kolejach tego miasta, bo jest tam wyrabiany nadal i od pół wieku — to jest od kiedy go pamiętam — ma ten sam delikatny zapach róż.

Ciągłość historii ma tu nieco inny charakter niż w Splicie. Znajduje wyraz nie tyle w trwałości murów i zabytków miasta, ile w jego ciągłym odradzaniu się z gruzów. Sprzyjało temu wyjątkowe położenie Zadaru na otoczonym morzem półwyspie, który

wąski przesmyk tylko łączy z lądem. Konfiguracja ta obiecywała mieszkańcom bezpieczeństwo i korzyści płynące z doskonałego portu.

Stara część miasta otoczona jest murami, bramami i fortyfikacjami z różnych epok. Po środku jej widać forum rzymskie i odkopaną niedawno dzielnicę mieszkalną. Sądząc z jej skromnego wyglądu Zadar rzymski był miasteczkiem ubogim, posiadającym — jak to się często zdarzało za późniejszego cesarstwa — budynki publiczne wzniesione na wyrost przez zamożnych obywateli uciekających w ten sposób od podatków. Po Rzymianach zachował się w Zadarze marmurowy posąg Augusta i trochę ciekawych rzeźb.

W czasach Karola Wielkiego zburzono pogańskie świątynie i perystyle, a obalone kolumny zużyto na fundamenty imponującego rozmiarem kościoła San Donato. Wenecjanie z kolei zostawili kilka pięknych budynków. I tu jednak język włoski znikł z ulic i cofnął się na zachodni brzeg Adriatyku.

Podczas ostatniej wojny Zadar był wielokrotnie bombardowany. Na miejsce zniszczonych domów wzniesiono nowożytny, brzydkie bloki mieszkaniowe. Kilka z nich ma piękne położenie, wśród malowniczych zabytków, frontem do morza. — Kto tam mieszka? — zapytałem portiera. — Dygnitarze, wysocy urzędnicy, członkowie partii. Liczebność profitariatu tłumaczy się zapewne tym, że po upadku Salony w 615 Zadar został stolicą bizantyńskiej Dalmacji i aż do obecnych czasów był ważnym ośrodkiem administracyjnym.

Za miastem, po obu brzegach zatoki ciągną się plaże, stoją puste już w tej chwili hotele. Zadar przygotował się poważnie do napływu turystów. Miasto i okolice są pełne zieleni. Cisza jest tu tak głęboka, że słyszę łagodne szemranie mego zegarka. Odwykłem od jego głosu, bo gdziekolwiek mieszkałem w ciągu lat ostatnich, wszędzie tłumyły go przejeżdżające pod oknami automobile. Są tu najpomyślniejsze warunki do pracy i odpoczynku.

Zadar posiada uniwersytet. Szczęśliwe okoliczności pozwoliły mi poznać kilku młodych profesorów tej uczelni. Spędzone z nimi godziny były doskonałym uzupełnieniem moich wędrówek archeologicznych i zostawiły mi najlepsze wspomnienia. Nie zdziwiło mnie ich szerokie odczytanie, obejmujące tysiące tomów od Arystotelesa do ostatnich nowości wydawniczych. Tego powinienem być się spodziewać, bo gdzie nowości Zachodu miałyby być brane bardziej na serio? Rzeczą świeżą i ożywczą natomiast była nieograniczona chłonność i zdolność porządkowa ich umysłów, nie skażonych jeszcze sceptycyzmem. Słuchając ich mogłem zapomnieć o niedomaganiu, jakie pozostało mi po zwiedzeniu frankfurckiej

Buchmesse, w postaci lęku przed nowymi książkami, które trzeba będzie przeczytać. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że na swych obecnych kresach wschodnich Europa posiada zapoznane rezerwy inteligencji.

Mihajlo Mihajlov

W Zadarze mieszka Mihajlo Mihajlov, który w ciągu ostatnich miesięcy z nieznanego rusycysty jugosłowiańskiego stał się głośnym autorem, tłumaczonym na liczne języki i czytany na obu półkulach.

Latem 1964, w trybie wymiany kulturalnej, Mihajlov spędził miesiąc w Moskwie i Leningradzie, gdzie odwiedził licznych pisarzy i uczonych rosyjskich. Rozmowy i wrażenia spisał później w książce pt. *Ljeto Moskovsko*.

Wizyty składał w towarzystwie przewodnika, zapalonego fotografa, robiącego zdjęcia przy każdej okazji. Aparaty fotograficzne nie budzą w Rosji zaufania. Przechodnie na ich widok odwracają się, niektórzy nawet głośno protestują. Można więc przypuszczać, że fotografowani w towarzystwie Mihajlova pisarze nie powiedzieli mu ani jednego słowa za dużo.

Rozmowy miały ton optymistyczny. Wszyscy pisarze byli zgodni w tym, że jest coraz lepiej, że cenzura złagodniała i że zaczęły ukazywać się książki, których druk niedawno jeszcze był nie do pomyślenia. Nie było w tym zapewne nic nowego. Sam Stalin mówił, że *žit' stało legcze i wiesieleje*. Mihajlov też jest optymistą, ale przewidywał swych nie opiera tylko na zapewnieniach fotografowanych pisarzy. Bierze więc także pod uwagę postawę młodzieży uniwersyteckiej, rozszerzenie się kontaktów z Zachodem itd. Pisząc o spotkaniach z pisarzami streszcza też to, co mówił sam, dając przez to obraz bardzo swobodnej rozmowy.

Gdyby Mihajlov ograniczył się do barw jasnych, w książce jego nie dostrzeżono by nic zdrożnego. Plastyczność jego obrazu wynika jednak z zestawienia światła i cieni. Dowiadujemy się więc także o rygorach cenzury i innych metodach nacisku na piszących, jak znana nam skądinąd oszczędność papieru i ukrócanie zarobków. Mihajlov nie ukrywa również głównych przeszkód opóźniających „liberalizację” stosunków. Są to przede wszystkim bierność, brak krytycyzmu i „plebejskość ducha” obywateli.

Przypuszczać można, że kamieniem obrazu w książce Mihajlova było nie tyle wyliczenie znanych faktów, ile postawa moralna autora i jego głęboki, ludzki ton, nowy w literaturze sowietologicznej. Ambasador sowiecki, protestując w Belgradzie przeciw

obrazie swego kraju przez Mihajlova, miał powiedzieć, że żaden dyplomata amerykański nie wypowiedział o Związku Sowieckim sądu równie ujemnego. W zdaniu tym jest coś słusznego. Mihajlov nie jest cudzoziemcem, wzruszającym ramionami na widok stosunków sowieckich. Wydaje sąd człowieka wychowanego na książkach Sołowjewa, Sałtykowa-Szczedriny, Szestowa, sąd spadkobiercy duchowego dawnej inteligencji rosyjskiej. W książce jego znajdujemy następującą refleksję: „Porównując niektóre czasopisma z drugiej połowy XIX wieku z obecnymi, doznajemy wstrząsu na widok upadku sił ducha i intelektu...” Stare *tolstyje żurnaly* są dlań zarazem miarą, którą przykłada do czasów obecnych, i najgłębszym źródłem optymizmu. Kraj, który wydał tę literaturę, nie może długo gnić w „plebejstwie ducha”. Nie są to myśli wroga, ale swojego, heretyka. Czytelnicy sowieccy, jeżeli książka Mihajlova wpadnie kiedyś w ich ręce, poznają w nim bez wahania przyjaciela. Dlatego wydała się drożniejsza od tomów amerykańskich sowietologów.

Wkrótce po proteście sowieckim Tito potępił publicznie Mihajlova za oczernienie Rewolucji Październikowej, prokurator wdrożył przeciw niemu postępowanie sądowe, uniwersytet zaś pośpieszył pozbawić go *veniam legendi*. W marcu ub.r. Mihajlov został aresztowany w Zadarze i spędził 48 dni w tamtejszym więzieniu. (Hotel mój był w najbliższym sąsiedztwie tego więzienia, często więc przechodziłem pod jego murami. Jest to jeden z większych w Zadarze budynków, zupełnie nowy, mieszczący również dyrekcję policji).

To, co w książce Mihajlova jest nowe, nie zwróciłoby zapewne od razu uwagi. Represje zrobiły jej autora znanym na całym świecie.

Przyjechawszy do Zadaru chciałem oczywiście odwiedzić Mihajlova. Wiedziałem, że mieszka przy ulicy Save Kovacevića, nikt jednak nie umiał mi jej wskazać, zanim w biurze *Putnika* nie znalazłem jej na planie miasta. Leżała na skraju starej dzielnicy, w miejscu, gdzie domy stoją w zieleni drzew i trawników. Ponieważ w Zadarze na rogach ulic nie ma nazw, na domach zaś brak numerów, zwróciłem się do trzech gracji rozmawiających na chodniku: — Czy to jest ulica Save Kovacevića? Gracje spojrzały na siebie i zaczęły się śmieć. Wreszcie jedna rzekła: — Nazwy ulic zmieniano już trzy razy, i nikt więcej ich nie zna. Wszedłem więc rezolutnie na schody pierwszego z brzegu domu i na pierwszym piętrze zobaczyłem poszukiwane nazwisko. Mihajlo Mihajlov otworzył drzwi. Jak wszyscy *Zadrani* ubrany był w białą koszulę i ciemne spodnie. Ma lat 31, ale wygląda nieco młodziej. Rysy jego przypominały mi kogoś z dawnych czasów. Bardziej

słowiański i drobny, wyglądał trochę jak Carl von Ossietzky. Podobieństwa takie mają być może głębszy sens.

Pozbawiony docentury, możliwości druku i paszportu zagranicznego, Mihajlov znajduje się w trudnym położeniu. Nie chce jednak opuszczać Zadaru, gdzie ma najlepsze warunki pracy. Dotychczasowe publikacje, pisane w pośpiechu, uważa za próby pióra. Chciałby mieć kilka lat czasu na prace bardziej przemyślane i ubrane w lepszą formę. Nie wiem, czy gdziekolwiek indziej miałby równie pomyślne warunki. Na Zachodzie byłby oblegany przez dziennikarzy i fotoreporterów; telefon dzwoniłby nieustannie.

Aby żyć i pracować w Zadarze, Mihajlov musiałby liczyć na honoraria wydawców zagranicznych. Rachuby te mogą jednak okazać się zawodne. *Lato moskiewskie* ukazało się, w całości lub wyjątkach, w kilku językach, ale tylko wydawca szwajcarski wypłacił autorowi honorarium. Najgorzej zachował się amerykański „New Leader”: ogłosił *Lato* w czasopiśmie, potem w tomie, zastrzegając dla siebie *copyright* na Stany Zjednoczone i Kanadę i zawiadamiając autora, że nie zamierza mu nic płacić, ponieważ Stany Zjednoczone nie podpisały konwencji berneńskiej o prawach autorskich. Wszystko to działo się w najtrudniejszym dla Mihajlova okresie. Zapewne, w Ameryce można by dlań znaleźć stypendia i zapomogi, ale Mihajlov nie jest do kupienia za pieniądze, ani ryzykantem literackim chwytającym każdą okazję. Jest młodym uczonym, spadkobiercą pewnych tradycji, zasługujących na taki sam szacunek jak dolary. Losami jego interesują się w tej chwili tysiące czytelników, i Amerykanie muszą uważać, aby przez dezynwolturę swych wydawców nie stracić twarzy w Europie.

Z Mihajlovem nawiązaliśmy od razu przyjacielski kontakt, gdy zapytał mnie, czy nie posiadam pewnej książki Lwa Szestowa. Z kijowskim filozofem, później emigrantem, byłem bardzo zaprzyjaźniony i miałem kiedyś w bibliotece wszystkie jego drukowane utwory. Nigdy jednak przedtem — nawet wówczas, gdy Szestow zaczął uchodzić za prekursora egzystencjalistów — nie widziałem kogoś, kto by jego książki czytał.

Kiedy w kilka dni później zegnałem Mihajlova w porcie, miałem wrażenie, że rozstaje się ze starym przyjacielem. Gdyby nie różnica wieku mógłby być moim kolegą z rosyjskiego gimnazjum. Z tym wszystkim Mihajlo Mihajlov jest wybitną osobistością, i często zapewne będziemy o nim słyszeli.

Dla turystów

Moja relacja z podróży byłaby niekompletna bez kilku słów o urokach turystycznych Dalmacji. O morzu, plażach, wyspach,

górach i malowniczych krajobrazach mówią prospekty biur podróży. Do tego chciałbym dodać kilka wiadomości praktycznych.

Konsulaty jugosłowiańskie wystawiają wize od ręki, w ciągu kilku minut. Policja nie depcze turystom po piętach i nie wzywa ich na przesłuchania, jak to się praktykuje w Polsce.

Dalmacja przyciągała obcych już w czasach austriackich i była do tego wyekwipowana. Odnowienie ruchu turystycznego wymagało więc tylko uprzątnięcia hoteli i pomalowania ich na nowo. Brak w nich często ciepłej wody, ale w sezonie letnim można się z tym pogodzić. Ceny w dobrych hotelach wynoszą wszędzie około 2 i 1/4 dolara za pokój. Obiad w restauracji kosztuje 1 do 1 i pół dolara. Pobyt kosztuje o 1/3 taniej niż we Włoszech. Mówię tu o podróżujących indywidualnie. Uczestnicy podróży zbiorowych korzystają z dużych zniżek. Sieć kolejowa jest mało rozbudowana, ale posiadanie samochodu nie jest niezbędne. Dalmacja posiada rozgałęzioną sieć autobusów.

Przejdę teraz do zabytków historycznych Dalmacji.

Dla interesujących się światem antycznym kraj ten jest niewyczerpanym źródłem odkryć i niespodzianek. Zabytki starożytne są tam bardzo liczne, dobrze zachowane i nieco inne niż gdzie indziej. Rzecz w tym, że nasza szkolna znajomość autorów i historii rzymskiej ogranicza się do tzw. złotego wieku. Nikt nie zachęca zresztą do wychodzenia poza to zaczarowane koło. Profesor Miodoński, któremu zawdzięczam pierwszy kontakt z autorami IV i V wieku, był wyjątkiem. Każdy coś wie o Forum Romanum, ale gdy zaczęto rozkopywać sąsiednie wzgórze Palatynu i spod zarośli i chwastów ukazały się zręby pałaców, nikt zrazu nie umiał ich rozpoznać. Zabytki Dalmacji wprowadzają nas w mniej znany, nieco tajemniczy świat późnego i najpóźniejszego cesarstwa, w czasy *Twarzy księżycy* Teodora Parnickiego. Tam, na pograniczu Rzymu i Bizancjum, zaczęły się ukazywać nowe ludy. Wielu tamtejszych Bizantyńczyków, nazywających siebie *romaioi*, Rzymianami, mówiło w domu po słowiańsku. W tych warunkach narodził się wielki zamysł Cyryla i Metodego. W Rawnie przejście od Rzymu do Bizancjum widać w skrócie, w dramatycznym przeciwstawieniu dwóch sąsiadujących ze sobą budynków: mauzoleum Galli Placidii i kościoła San Vitale. W Dalmacji oglądamy to przejście krok za krokiem, w niezliczonych szczegółach.

Sławiści znajdują tam scenę, w której po raz pierwszy ukazały się ludy słowiańskie. Czytający po serbsko-chorwacku znajdują do tego na miejscu obszerną dokumentację.

Italianizanci zobaczą sławę i zmierzch Republiki Weneckiej, odbite jak w zwierciadle w zabytkach dalmatyńskiego wybrzeża.

Kogo pociąga epopeja Napoleona, ten będzie szukał śladów Marmonta, księcia Raguzy, i fantastycznego Królestwa Illirii. Charles Nodier był jego urzędnikiem. Na domu, w którym mieszkał w Zagrzebiu, znajduje się tablica pamiątkowa. Z urzędowania w efemerycznym tworze Napoleona Nodier wyniósł temat do swej powieści *Jean Sbogar*.

Chciałbym wreszcie nadmienić o kilku aspektach życia, związanych z jugosłowiańskim komunizmem.

Zdaniem Erenburga komunizm nie sprzyja sztuce kulinarnej. W drukowanej niedawno w *Kulturze* relacji z podróży Hans Zbinden ubolewa nad złą kuchnią w obecnej Polsce. Nie będąc znawcą przedmiotu powiem tylko, że restauracje w Dalmacji są niewiele tylko gorsze od tych, jakie poznałem w Belgradzie w 1940. Nie jest więc tak źle. Centralne planowanie kulinarne dostrzec można tylko w jadłospisach, drukowanych dla całego miasta czy nawet prowincji. Poszczególne restauracje podkreślają potrawy, które można w nich rzeczywiście otrzymać zostawiając resztę *in blanco*. Usługa, na którą Zbinden w Polsce najbardziej się skarżył, jest sprawna i szybka, mimo że w obu krajach kelnerzy są urzędnikami państwowymi. Objąsnilo mi, że kolektywy kelnerów prowadzące restauracje rozdzielają zyski między członków, wszyscy więc są zainteresowani w prosperowaniu przedsiębiorstwa.

Skutki planowania widać również w sposobie ubierania się. Wszyscy w Dalmacji noszą ubrania tego samego, zresztą dobrego i modnego kroju. Państwowa fabrykacja ubrań gotowych ułatwiona jest przez to, że Dalmatyńczycy obojga płci są wszyscy szczupli i zgrabni. Objąsnilo mi, że wygląd ich jest też ubocznym skutkiem gospodarki planowej, mianowicie bardzo oszczędnego odżywiania się, oraz dostępnych dla wszystkich kąpiel morskich.

Dziewczeta, bardzo skromnie lecz gustownie ubrane, były wszystkie zgrabne i przystojne. Wydawały się też dobrze wychowane. Szczegół ten zasługuje na uwagę, bo większość tych, które widziałem na ulicach miast, pochodziła ze wsi. Swych miejskich manier nie wyniosły więc z domu. Jest to zapewne ich dorobek osobisty.

DRZEWA REPUBLIKI BERNEŃSKIEJ

Parki barokowe przemawiały do widzów językiem symboli i alegorii. Bogaty słownik tego języka obejmował różne działy sztuki ogrodniczej. Istniał więc język budynków: kolumnad, świątyń, pagód, kiosków, runi, obelisków i posągów rozsianych po krajobrazie. Obok niego istniał język wód: jezior, stawów, kanałów, strumieni, wodospadów, źródeł, fontann i grot, do połowy zanurzonych w wodach ciemnych jak Styks. Był też bogaty język kwiatów. Wszystkie te ozdoby były na miejscu w parkach, lecz mniej nadawały się do urozmaicenia krajobrazu pasterskiego republiki berneńskiej.

Jeden tylko z tych języków alegorycznych przekroczył granice parków i nabył cech języka ludowego. Był to język drzew. Za wszystkich czasów przypisywano drzewom znaczenie symboliczne. Wszystkie teksty i podania religijne wzmiankują jakieś drzewa o głębszym znaczeniu: drzewa Edenu, dęby druidów, posępne drzewo rosnące według Koranu na dnie piekła itd. Prawdziwa symbolika drzew rozwinęła się dopiero w świecie grecko-rzymskim. Z autorów klasycznych wiemy, że dąb był drzewem Jowisza, palma — Apollona, oliwka — Minerwy, lipa — Wenery, świerk — Cybeli, cyprys — Plutona. Pewna znajomość niewidzialnych więzi, łączących drzewa ze światem Olimpu, jest czasami niezbędna dla dokładnego zrozumienia poetów antycznych.

Chrześcijaństwo nie zmyło bez śladu wierzeń i tradycji dawniejszych, które tu i ówdzie przechowały się w folklorze. Humanści ożywili ciekawość i znajomość tradycji antycznych. Przypisując wszystkim zjawiskom natury znaczenie symboliczne, ludzie baroku — na pół żartem, na pół serio — zaczęli słuchać i tłumaczyć to co zdawały się im mówić drzewa. W XVI i XVII wieku zrodziła się stąd cała nowa symbolika drzew, oparta na tradycjach

antycznych, uzupełnionych przez barokowe zamięłowanie do alegorii. Spisana w paru dziś zapomnianych książkach, symbolika ta rozpowszechniła się we wszystkich krajach, gdzie lektura Wirgilego i Owidiusza przygotowała dla niej grunt. Wszędzie zaczęto sadzić i pielęgnować drzewa, nie tylko w celach zdobniczych, lecz także z myślą nadania krajobrazowi treści duchowej, przemawiającej do widza językiem symboli i alegorii. W okolicach Berna jest jeszcze wiele drzew posadzonych z taką intencją.

Oto najpospolitsze drzewa, którym przypisywano niegdyś znaczenie symboliczne.

Dąb

Wychodząc z Berna, pierwsze stare dęby spotykamy na niewielkim wzniesieniu koło farmy Elfenau, gdzie niegdyś mieszkała przez długie lata pierwsza żona wielkiego księcia Konstantego. Ich kulista forma i długość konarów poziomych zdradzają ich pochodzenie. Te potężne drzewa nie wyrosły na pewno wśród otaczających je dzisiaj buków i srebrnych topoli. W lesie, pośród innych drzew, dąb przybiera kształt wysmukły; pień jego jest prosty i gładki, u szczytu tylko otoczony koroną zielonych gałęzi. Dla tych właściwości dęby leśne były zawsze poszukiwane jako materiał budowlany. Jak widać z ich kulistych kształtów, dęby w Elfenau wyrosły na wolnej przestrzeni i są tym co po francusku nazywa się *arbres de plein vent*. Aby zmusić je do rozwoju wszereż, drzewom takim łamią niekiedy szczyt. Wartość budowlana ich jest niewielka, stąd łatwiej im uchować się w okresach merkantylizmu.

Dęby takie spotykamy najczęściej na pastwiskach. Podczas upałów już koło dziewiątej zwierzęta zaczynają poszukiwać cienia. Zwłaszcza owce przed strzyżką źle znoszą upały. Dęby o kształtach kulistych, stojące w miejscach przewiewnych, dają szczególnie przyjemny cień. Drzewa rosnące w Elfenau odpowiadają dokładnie tym warunkom: są to więc dawne dęby pasterskie.

Drzewa pasterskie posiadają wielką tradycję. Oto co mówi Wirgiliusz, kiedy osadnikom cesarstwa usiłuje przekazać rzymskie obyczaje rolnicze i pasterskie: „Podczas upału szukaj cieniejszej doliny. Niech Jowiszowy dąb o prastarym pniu rozpościera tam swe potężne konary”.

Dęby takie nie znikły wraz z gospodarką pasterską. W miarę tego jak pastwiska ustępowały miejsca polom i łąkom, dęby sta-

wały się ważnym składnikiem malowniczym krajobrazu i ich znaczenie symboliczne wysuwało się na pierwszy plan.

Dąb, jak wiemy, był poświęcony Jowiszowi, i w szumie jego liści starożytni słyszeli głos ojca bogów. Oto co mówi o tym Owidiusz, przewodnik niezrównany w tej materii.

Gdy zaraza wyludniła Aiginę, król tego grodu wznosił modły do Jowisza, prosząc go o zaludnienie na nowo jego królestwa. „W pobliżu wznosił się dąb rzadkiej piękności, o potężnych konarach, poświęcony Jowiszowi i wyrosły z żołądzia przywiezionego z Dodony. Widać na nim było długie szeregi mrówek, niosących ciężkie ziarna w małych pyszczkach, ścieżką wydeptaną w nierównościach kory. Dziwiąc się ich liczbie, zawołałem: „Ojczy, najlepszy z bogów, daj mi tyle samo obywateli do zaludnienia pustych murów”. Zaszumiały konary dębu, jakkolwiek żaden powiew nie poruszył powietrza. Przeszył mnie dreszcz strachu i włosy zżyły się na głowie”...

W szumie dębu Grecy i Rzymianie wyczuwali obecność potęg nadprzyrodzonych. W dobie chrześcijańskiej znaczenie jego uległo pewnemu przesunięciu: teolodzy wieków średnich upatrywali w nim symbol śmierci. Jedni doktorzy sądzili, że krzyż Golgoty był dębowy, inni, że krzyż wyciosany był z drzewa Edenu, które dało powód do upadku Adama i Ewy; dla jednych i drugich dąb był drzewem „ciemnym i smutnym”. Widok jego uważano za złowróżbny. *Quercus ad aspectu infausto est* — czytamy w barokowym traktacie o drzewach. Pogląd ten znalazł dodatkowy argument, gdy dąb stał się drzewem sądowym. Straszliwy trybunał wojenny Callota zasiadał pod dębem.

Po upadku średniowiecznej koncepcji natury wrogiem człowiekowi dąb utracił część swej pośpokości. W jego potężnym pniu, porysowanym nieraz wstęgami piorunów, zostało jednak coś niepokojącego, jak w dębie opisanym w tonie nieco ironicznym w trzeciej pieśni „Beniowskiego”. Coleridge zdaje się mniemać, że dąb jest zbyt tragiczny nawet jako nagrobek rycerza:

*The oak that in summer was sweet to hear
And rustled its leaves in the fall of the year
And whistled and roared in the winter alone
Is gone — and the birch in its stead is grown.*

Nawet nasi współcześni — nie wierzący ani w wyrocznie Dodony ani w groby rycerzy — patrząc w cieniu dębu na jego czarne na tle nieba konary i słysząc głuchy szum jego listowia, doznają niejasnego uczucia, będącego odległym echem przeżyć opisanych przed dwoma tysiącami lat przez poetów.

U szwajcarskiego poety Mumenthalera, który w okresie mobilizacji 1939-1945 ogłosił parę tomików wierszy, znajdujemy następujące strofy:

*Ueber dem Eichenbaum
Krähen zwei Raben.
Will mich der Knochenmann,
Soll er mich haben...
Rund um den Eichenbaum
Streichen die Winde.
Will mich der Knochenmann,
Komm' er geschwinde.
Mir ist es gleich.*

I dziś więc jeszcze w szumie dębu odnaleźć można szczątki dawnego znaczenia symbolicznego tego drzewa, złudzenie obecności niejasnych i groźnych sił, których nie umiemy zmieścić w porządku codzienności.

L i p a

Poświęcona Wenerze, lipa uchodziła w świecie antycznym za symbol miłości. Według greckiej legendy Saturn kochał piękną córkę Okeanosa, Filyrę, której imię oznacza po grecku lipę. Złapano na gorącym uczynku przez żonę, Saturn przybrał dla niepoznaki postać konia. Ze związku tego narodził się dobroczynny centaur Cheiron, który pierwszy uczył sztuki lekarskiej. Za swe grzechy miłosne Filyra została przez Jowisza zmieniona w lipę.

Odtąd lipy i wszystkie przedmioty zrobione z ich drzewa kierowały myśli ludzi ku sprawom miłosnym. Na perfumowanych wstęgach z łyka lipowego starożytni pisali listy do kochanek. Na sztychach alegorycznych z XVI wieku miłość grzeszna prowadzi swe ofiary na arkanie z takiegoż łyka.

Lipę sadzono na pamiątkę zaręczyn i ślubów. Zwyczaj ten rozszerzył się na całą Europę, i jemu to zawdzięczamy większą część starych lip rosnących dokoła budynków mieszkalnych. W Bernie, w okresie wielkich upiększeń miasta w połowie XVIII wieku, posadzono lipy na wszystkich skwerach miejskich. Wybór tego drzewa nie był na pewno obcy jego znaczeniu symbolicznemu.

Chciałbym wreszcie wymienić jeszcze jeden rodzaj lip symbolicznych, w których dawny znak miłości cielesnej przybiera znaczenie głębsze i szlachetne. Są to lipy posadzone w XVIII wieku na wzgórzach, na których przedtem stały szubienice. W dawnych

wiekach te drewniane narzędzia kaźni spotykano niemal na każdym kroku. Każda gmina posiadała swoją szubienicę. Świadectwo Brueghela, którego pejzaże usiane są szubienicami, jest pod tym względem zgodne z innymi świadectwami tego czasu i czasów późniejszych. W starych itinerariach drogi zdają się prowadzić od szubienicy do szubienicy, będącej rodzajem drogowskazu aż do końca XVII wieku. Dopiero wiek oświecenia zniósł tortury i egzekucje publiczne. Obalono szubienice stojące na wzniesieniach terenu wzdłuż dróg. „Nasi przodkowie zawstydzili się swego barbarzyństwa” — mówił mi wójt ubogiej gminy górskiej, pokazując stojące za wsią resztki starej szubienicy. Aby zmyć ciężące na tych miejscach haniebne ślady okrucieństwa, posadzono tam lipy, symbol miłości cielesnej.

Jedna z tych lip wznosi się pod Bernem na kopcu koło cmentarza. Na szczyt kopca prowadzi ślimak ścieżki. Lipę otacza zielona ławka, z której otwiera się szeroki widok na dolinę Aary. Wśród zatrzymujących się tam niedzielnych przechodniów niewielu zapewne wie, że rosnąca tam lipa jest pamiątką po jednym z najślawniejszych, chociaż dziś mniej znanych, epizodów historii Europy.

Orzech

Młodzieży rzymskiej orzechy włoskie zastępowały piłkę i były ulubioną zabawką chłopców. W dniu zawarcia małżeństwa pan młody rzucał dzieciom garść orzechów na znak, że odtąd nie będzie uczestniczył w ich zabawach. Orzechy sadzono koło domów; w cieniu ich dorastały pokolenia. Drzewo to było więc symbolem domowego ogniska i życia rodzinnego. Tradycja ta przetrwała w wielu miejscach aż do naszych czasów.

Srebrna topola

W tradycji antycznej srebrna topola jest drzewem Herkulesa. Bohater grecki przedstawiany jest w wieńcu z liści topoli. Scho-liasta Servius dodaje, że liście te zbiegły z jednej strony od potu, którym pokrywało się czoło Herkulesa podczas wykonywania jego sławnych prac. Srebrna topola była symbolem siły dobroczynnej, sprzyjającej wielkim pracom i zwycięskim walkom.

Tradycję antyczną uzupełniono w czasach baroku nowymi alegoriami. W liściach topoli — zielonych z jednej strony i srebrnych z drugiej — dostrzeżono symbol nocy i dnia, lata i zimy. Drzenie

ich tłumaczono jako niepokój mijającego bezustannie czasu. Topole otaczające niektóre gospodarstwa rolne stały się symbolem pokojowej pracy rolnika, rozłożonej na nieskończoną liczbę nocy i dni.

Srebrna topola rzuca cień lekki i wesoły. W „Metamorfozach” Wenus, towarzysząca łowom Adonisa, mówi: „Czuję się już zmęczona nieodpowiednim dla mnie zajęciem, ale oto topola roztacza swój życzliwy i pieszczący cień, pod nią zaś trawnik ofiarowuje nam łożę”.

Jesion

W starożytności jesion był drzewem Marsa. Podczas uroczystości poświęconych bogu wojny rzucono na ognisko kłody jesionu. Z drzewa jego robiono najlepsze oszczepy. Gdzie brakło marmuru, tam posągi bogów rzeźbiono w drzewie jesionowym. Z tej racji kilku średniowiecznych doktorów zastanawiało się, czy krzyż Golgoty nie był wyciosany z tegoż drzewa. Według tradycji rzymskiej jesion był symbolem siły w odcieniu szlachetnym, przystojnym wojownikom.

Znaczenie symboliczne, jakie jesion przybrał w czasach późniejszych, nie wywodzi się jednak z powyższej tradycji, lecz z wierzenia ludowego — notuje je już Pliniusz — że węże unikają cienia jesionu. Ponieważ wąż był jedną z postaci diabła, jesiony sadzono dokoła domu, aby cień ich odpędzał duchy i upiory.

Wiąz

Wiązy rosły u Rzymian w winnicach i uchodziły za najlepszą podporę winorośli. Zwyczaj zawieszania winorośli na gałęziach drzew, opisany dokładnie w „Georgikach” Wirgiliusza, zachował się dotąd w niektórych winnicach włoskich. Wiąz, opiekun łoży winnej, stał się wcześniej drzewem domowym, dobroczynnym, i często widzimy go w sąsiedztwie osiedli.

Buk

Buk jest w kantonie berneńskim jednym z najpospolitszych drzew leśnych. Co krok spotykamy tam bukowinki, których lekki cień zdaje się zapraszać przechodnia do odpoczynku. Wyrosły na wolnej przestrzeni, buk jest jednym z najpiękniejszych drzew na-

szego kontynentu. Buki takie, rosnące często na pastwiskach, wskazują że poświęcano im wiele uwagi i przypisywano znaczenie symboliczne.

Buk posiada istotnie wielkie tradycje pasterskie. „Eklogi” Wirgiliusza zaczynają się od sceny, w której Tityrus w cieniu buka gra na fujarce. Ten obraz beztroski pasterskiej stanowi kontrast do opowieści Melibeusza, wypędzonego ze swej wsi przez żołnierzy. Motyw buka występuje jeszcze raz w zakończeniu „Georgik”, gdzie Wirgiliusz mówi o sobie jako o poecie szczęśliwym, „karmionym przez słodką Parthenope”. Propercjusz mówi o buku jako o drzewie „drogim bogom Arkadii”. Ten sam sens posiada buk w poezji baroku: jest symbolem życia arkadyjskiego, w którym nie ma ambicji, nie ma dążenia do władzy i bogactw.

Drzewa iglaste

W tekstach antycznych nie widzimy wzmianek o drzewach iglastych rosnących koło domów mieszkalnych. Dla Wirgiliusza sosna jest piękna tylko w górach. Cień drzew iglastych uchodził za złowróżbny lub szkodliwy dla zdrowia. Wyjątek stanowi świerk poświęcony Cybeli i grający wielką rolę w obrzędach antycznych. Gałęziami świerka Rzymianie zdobili domy nowożeńców. Świerk był symbolem cnoty i mądrości, i reputację tę zachował też w wiekach średnich.

U pejzażystów renesansu i baroku świerki są rzadkie. Jeden z nich, w „Zwiastowaniu” Leonarda da Vinci, zwraca uwagę i wskazuje, jak malarze posługiwali się znaczeniem symbolicznym drzew. Na drugim planie „Zwiastowania” stoi szereg cyprysów, symboli żałoby i śmierci. Pośród nich widać też stylizowany świerk o rzadkich, przezroczystych gałęziach, bładą *pinus pronuba*, symbol mistycznego małżeństwa.

Krzewy i drzewa ozdobne

Krzewy i drzewa niskopienne nie przytłaczają patrzącego swym wzrostem. Są niejako na równej stopie z człowiekiem. Poeci antyczni patrzyli na nie z pewnego rodzaju rozrzewnieniem. W „Metamorfozach” uczucie to występuje np. w historii Driope, która, chcąc dostarczyć rozrywki swemu dziecku, zerwała mu pokrytą czerwonymi jagodami gałązkę krzewu zwanego lotusem (roślina trudna do zidentyfikowania; dla prostoty możemy ją nazwać kaliną). Ze złamanej gałązki spadło kilka kropli krwi, i dreszcz

przebiegł liście krzewu. Okazało się, że skrywała się w nim nimfa Lotis, która, uciekając od zalotów Priapa, przybrała na chwilę postać drzewa. Za karę Driope sama zmieniła się w drzewo: kora zaczęła pokrywać jej ciało, z palców rosły liście. Ojciec i mąż jej, świadkowie zdarzenia, zaczęli rozpaczać, pokrywając pocałunkami ciepłą jeszcze korę. Driope prosi ich o opiekę nad niemowlęciem: „Gdy zacznie mówić, nauczcie go nazywać mnie matką. Niech mówi ze smutkiem: 'W tym pniu jest moja matka'. Niech stroni od krzewów rosnących nad wodą, niech z nich nigdy nie zrywa kwiatów, bo w każdym z nich może się znaleźć ciało jakiegoś bóstwa”.

Starożytni nie znali tylu krzewów i drzew ozdobnych, ile znają ich ogrodnicy naszych czasów. Poeci ich wymieniają znany nam już lotus, jarzębinę, morwę, jałowiec, bukszpan i drzewo laurowe.

Podejrzliwość średniowiecza w stosunku do natury objęła również drzewa niskopienne i krzewy. Doktorzy orzekli, że morwa i jałowiec przynoszą nieszczęście, drzewo zaś laurowe, niegdyś poświęcone Wenerze, potępili jako grzeszne i występne. Tylko bukszpan uszedł ich cnotliwego gniewu. Czasy baroku przywróciły krzewom ich dobrą sławę. Szerokie tarasy barokowych parków wymagały licznych ozdób roślinnych; krzewy i drzewa niskopienne zaczęły być znów poszukiwane.

Niezliczone drzewa rozsiane są po polach i łąkach berneńskich. Z wyjątkiem niektórych krajów włoskich nigdzie w Europie nie ma tylu drzew polnych. Drzewa samotne, rosnące na wolnej przestrzeni, nie są nigdy dziełem przypadku; były bądź posadzone, bądź pozostawione z rozmysłem po wyrębie. Czasami i dziś jeszcze znaczą granice posiadłości lub dostarczają cienia pasącym się stadom. W większości utraciły jednak swą użyteczność gospodarską i obecność swą zawdzięczają szacunkowi rolników dla tradycji.

Ludzie wszystkich epok mieli zwyczaj znaczenia ziemi, rycia na niej śladów swego pobytu. Często posługiwano się w tym celu sadzeniem drzew. Nawet na ziemiach niezamieszkałych i nieuprawnych znaleźć można samotne drzewa. Jedne wskazują bród na rzece lub początek ścieżki, inne służą za punkty obserwacyjne dla żeglarzy. W swym opisie podróży z Rzymu do Galii w początku V wieku Rutilius Namatianus wzmiankuje dwa takie drzewa. Inne znaczą miejsce potyczki, desantu, śmierci wojowników i innych wypadków nie przechowanych w pamięci późniejszych pokoleń. Inne wreszcie zdają się służyć przypomnieniu wypadków rodzinnych i osobistych. W szumie ich liści słyszymy nieznamy głos: „Byłem w tym miejscu”. Dla zaznaczenia miejsca sadzono w nim często trzy drzewa, w trójkąt lub w linii prostej. Drzewa

take widzimy na znanym sztychu Rembrandta; można je spotkać i dziś w miejscach odludnych.

Zwyczaj znaczenia ziemi rozszerzył się u ludów rolniczych. Chęć wyciśnięcia na skrawku ziemi piętna osobistego należy do instynktu posiadania. Prawo własności wydaje się pewniejsze, kiedy początki jego sięgają daleko wstecz, kiedy właściciel ziemi może powiedzieć: „Tę lipę posadził mój pradziad w dniu swego ślubu”. Własność ziemi nagięj jest koniunkturalna, obliczalna za każdym razem w dukatach i talarach. Dopiero zabudowania i upiększenia nadają jej wartość jakościową, nie obliczalną w gotówce i rozstrzygającą o przywiązaniu rolnika do ziemi. Okres zamkniętej gospodarki naturalnej, który w krajach alpejskich przetrwał do połowy XIX wieku, sprzyjał szczególnie wznoszeniu pięknych budynków i upiększeniom indywidualnym.

Odwiecznym zamięłowaniem rolników i pasterzy czasy baroku dostarczyły nowych bodźców. Średniowieczny obraz natury demonicznej i wrogiej rozwiął się; na jego miejscu odkryto naturę dobroczynną, uśmiechniętą, posłuszną architektom i ogrodnikom. Pomysłowość ich potrafiła ze szmatu niewdzięcznego gruntu zrobić jedynie dzieło sztuki, zbliżyć go do obrazu raj, wypełnić subtelną treścią duchową. Wielkie idee baroku stworzyły nowe wymagania. Nie zadowalano się już znaczeniem ziemi; ziemię zaczęto kochać, pokrywać ozdobami, kazano jej mówić wierszem. Zmieniwszy całkowicie wygląd miast, barok przeobraził też w krótkim czasie wieś. W krajach pasterskich głównym materiałem zdobniczym tych czasów były drzewa. Po upływie kilku pokoleń cała Europa pokryła się alejami, uczenie rozplanowanymi gajami i starannie utrzymywanymi drzewami.

Prądy te ogarnęły przede wszystkim kraje najbliższe morza Śródziemnego, w których o „Eklogach” i „Metamorfozach” nigdy całkowicie nie zapomniano. W Niemczech już, poza parkami arystokratów, nie spotyka się wiele starych upiększeń wiejskich, które stają się coraz radsze w miarę tego jak oddalamy się od Renu. We Francji i w Niemczech znaczna część starych pamiątek rolniczych znikła podczas parcelacji okresu napoleońskiego. Przeobrażenia te zbiegły się z głębokimi zmianami w ekonomii wsi i zmyły z oblicza tych krajów większą część tradycji rolniczych.

Wieś berneńska pozostała na stronie od tych przewartów. Nic nie przerwało ciągłości jej rozwoju i życia wewnętrznego. Dlatego zasadnicze rysy jej krajobrazu, ustalone przed dwoma lub trzema wiekami, zachowały się w głównych liniach do dnia dzisiejszego.

Stare tradycje widoczne są także w porządku drzew otaczających domy mieszkalne. Najbliżej tych ostatnich stoją oczywiście lipy

i orzechy, związane symbolicznie z życiem rodzinnym rolnika. Drzewa owocowe stoją zazwyczaj dopiero na drugim miejscu. W okolicach niższych, nad rzekami spotyka się też fermy otoczone srebrnymi topolami. Wymienione tu trzy drzewa stanowią dla domu dobrą wróżbę. W krajach o wspomnieniach klasycznych należał do nich także świerk. W republice berneńskiej stare świerki w obejściu należą do rzadkości. Widocznie uważano tu świerka za drzewo leśne lub, z racji swej ciemnej barwy, nie pasujące do pozostałych drzew domowych.

W najbliższym otoczeniu domów znajdują się też krzewy i drzewa niskopienne. Jest wśród nich wiele bżów, które stały się modne w końcu XVIII wieku. W dolinie Aary widziałem też kilka dereni. Na północ od Alp drzewo to nie przekracza rozmiaru krzewu. Dereń znany był dobrze starożytności. Rosnący bardzo powoli, używany był też do znaczenia miejsc godnych szczególnej pamięci.

Wiązy zbliżają się do domów mieszkalnych tylko w postaci alei. Buki są zasadniczo ozdobą pastwisk, i w pobliżu budynków widzimy je tylko wtedy, gdy chodzi o zabudowania nowe, wzniesione na miejscu dawnych obszarów pasterskich.

Miejsce jesionów zasługuje na szczególne omówienie. Drzewo to, jak wiemy, oddala od mieszkań węże i złe duchy. Każdy, kto miał kiedyś do czynienia z duchami i upiorami, wie że nie ukazują one się byle gdzie, lecz mają na to swe upatrzone miejsca. Są to domy nawiedzane, ruiny, błota, wklęsłe drogi i miejsca, z którymi związane są wspomnienia jakichś zbrodni. Ulubionym jednak nade wszystko przez duchy miejscem jest najbliższy od domu zakręt drogi. Tam — jak niegdyś grecki dajmonion imieniem *taraxippos* — duchy płoszą konie i wywracają pojazdy. Aby trzymać je z dala od tego miejsca, na zakrętach mających pod tym względem złą sławę sadzono jeden lub kilka jesionów. Wzdłuż dróg berneńskich spotyka się jeszcze wiele starych jesionów w miejscach gdzie — sądząc z różnych znaków — musiały się dawniej pokazywać duchy. Są wśród nich też drzewa mające mniej niż pięćdziesiąt lat, posadzone najwidoczniej przez tradycję, w długi czas po zniknięciu w kraju ostatniego upiora.

Ze względu na ich znaczenie symboliczne, dębów nie spotykamy nigdzie koło obejścia. Obecne lecz dalekie, dęby zajmują szczególne miejsce w kompozycji krajobrazu. Czasy baroku przyniosły ze sobą na wieś nie tylko sam pomysł komponowania pejzażu, ale także główne zasady kompozycji, m.in. zasadę równowagi i kontrastu. Ludzie baroku, podobni w tym do nas, obawiali się rzeczy słodkich i mdłych. Na każdym więc starym obrazie lub sztychu, przedstawiającym idylliczne sceny z życia pasterzy i pas-

terek, znajdujemy dla równowagi jakieś drzewo suche lub strzaskane piorunem. W swym osiemnastowiecznym poemacie o ogrodach, zawierającym wiele poloników, abbé Delille radzi ogrodnikom naśladować malarzy:

*Imitez ces effets; en de rians tableaux
Ne craignez point d'offrir des urnes, des tombeaux...*

Drzewo tragiczne, strzaskane piorunem, wygląda lepiej na starym sztychu niż w objęciu rolnika, gdzie każdy przedmiot, chociażby najozdobniejszy, legitymuje się mniej lub więcej swą użytecznością. W bliskości gór stała obecność skalistych szczytów stwarza naturalną przeciwwagę dla szmeru ruczajów płynących wśród gazonów i kwiatów. Na sztychach Lory'ego — będących niegdyś ulubioną pamiątką turystów angielskich z podróży do Szwajcarii — kontrast między pustkowiem gór i uśmiechniętym pejzażem przedstawionym na pierwszym planie jest powtarzającym się wciąż efektem kompozycyjnym. W okolicach dalszych od gór rolę skał i szczytów gra dąb. Jego ciemna masa, nasycona wiekowymi tradycjami, wprowadza do krajobrazu nutę poważną i nadaje mu równowagę. Obecność tego drzewa przypomina też, że przeciwstawianie symboli należało do stałych efektów ludowej sztuki baroku.

Wiadomości nr 48 (243), 26 listopada 1950

SPIS TREŚCI

<i>Nota biograficzna Autora</i>	7
---------------------------------------	---



<i>Esej berdyczowski</i>	11
<i>W dolinie Dniestru</i>	18
<i>Pielgrzym</i>	32
<i>Nowe marzenia samotnego wędrowca</i>	51
<i>Europa w 1938-1939</i>	71
<i>Księgozbiór przemytników</i>	90

DZIENNIKI PODRÓŻY

<i>Dziennik podróży do Austrii i Niemiec (Listopad-grudzień 1945)</i>	103
<i>Corona turrita (Z dziennika podróży do Włoch, listopad 1947 - styczeń 1948)</i>	153
<i>Nowy dziennik podróży do Niemiec (Zima 1948-1949)</i> ..	195
<i>Dziennik podróży do Niemiec (Czerwiec 1951)</i>	255
<i>Dziennik podróży do Westfalii (Październik-listopad 1954)</i>	274
<i>Sulmona — 1958</i>	291
<i>Niemcy - Austria — 1962</i>	304
<i>Holandia — 1962</i>	339
<i>Frankfurt — 1962</i>	356
<i>Bonn — 1963</i>	364
<i>W Turynie — 1963</i>	373
<i>Słońce jesieni (Jugostawia 1965)</i>	379



<i>Drzewa republiki berneńskiej</i>	397
---	-----



PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW
BIBLIOTEKI «KULTURY»

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL 1984 (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?* (wyczerpane)
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ . *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI ... *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI ... *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwata*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ ... *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)

26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
27. Milovan ĐILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy (wyczerpane)*
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raju (wyczerpane)*
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty (wyczerpane)*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956 (wyczerpane)*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi (wyczerpane)*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany (wyczerpane)*
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska (wyczerpane)*
36. Tadeusz KATELBACH . *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wrodzennia (Antologia)*
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński św. Hordyńskiego (wyczerpane)*
39. Tadeusz NOWAKOWSKI . *Syn zadzumionych (wyczerpane)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 6)*
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy (wyczerpane)*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”*
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago (Trzy wydania) (wyczerpane)*
45. Waław LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej (wyczerpane)*
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny? (wyczerpane)*
47. Tibor DÉRY *Niki (wyczerpane)*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 7)*
49. Waław IWANIUK *Milczenia 1949-1959 (Poezje) (wyczerpane)*
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa (wyczerpane)*
51. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI *Skrzydła otarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia. Wyd. I, (wyczerpane)*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi (wyczerpane)*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)*

60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*
Róża Luksemburg *Rewolucja Rosyjska (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 9) (wyczerpane)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w Wielkiej Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej (wyczerpane)*
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie (Seria „Dokumenty”, Ze-
szyt 10) (wyczerpane)*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczekije Powiesti (wyczerpane)*
71. I. IWANOW *Jest' li żiźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza (Poezje) (wyczerpane)*
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze (wyczerpane)*
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi (wyczerpane)*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze (wyczerpane)*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi) (wyczer-
pane)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-61) (wyczerpane)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem (wyczerpane)*
83. Jerzy MOND *6 lat temu... (Kulisy Polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)
(wyczerpane)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*
89. Witold JEDLIICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 12-ty)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC *Lubimow (wyczerpane)*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej
literatury sowieckiej*
93. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i
szkice*

94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962* (wyczerpane)
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii* (wyczerpane)
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje) (wyczerpane)
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami* (Poezje) (wyczerpane)
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III.*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia* (wyczerpane)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm* (wyczerpane)
107. Abram TERC *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat* (wyczerpane)
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos. Wyd. I,* (wyczerpane)
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany* (Poezje) (wyczerpane)
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyczerpane)
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*

127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty) (wyczerpane)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYCKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty) (wyczerpane)
137. George J. FLEMMING *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ *Dziennik III. Operetka* (wyczerpane)
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIĄZEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI *Widziane z góry* (wyczerpane)
149. Galina SIERIEBRIAKOWA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe* (wyczerpane)
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-szy)
158. Alicja IWAŃSKA *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY *Stan wyjątkowy*

160. Julian KULSKI *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi)
161. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrzej SACHAROW .. *Rozmyślenia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci) (wyczerpane)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI . *Apelacja*
164. Eugenio REALE *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*
166. Henryk GRYNBERG .. *Zwycięstwo*
167. — *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)
168. Dominique DE ROUX . *Rozmowy z Gombrowiczem*
169. Iwan KOSZELIWEK ... *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)
170. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty)
171. Kazimierz WIERZYŃSKI *Sen mara* (Poezje)
172. — *Polskie Przedwiośnie. Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27) (wyczerpane)
173. Józef MACKIEWICZ .. *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść)
174. Andrzej BUSZA *Znaki wodne* (Poezje)
175. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Upiory rewolucji* (Eseje)
176. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty)
177. Czesław MIŁOSZ *Widzenia nad zatoką San Francisco*
178. Czesław MIŁOSZ *Miasto bez imienia* (Poezje)
179. Paulina PREISS *Biurokracja totalna*
180. — *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 28-my) (wyczerpane)
181. Witold GOMBROWICZ . *Ferdynurke* (T. I. „Dzieł Zebranych”)
182. Franciszek KALINOWSKI *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii* (1940-1945)
183. Władysław BIEŃKOWSKI *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 29-ty)
184. — *Znasz-li ten kraj?* (Seria „Dokumenty”. Zeszyt 30-ty)
185. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 17-ty)
186. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk* (T. II. „Dzieł Zebranych”)
187. Aleksander SOŁŻENICYN *Krąg Pierwszy* T. I. i II. (wyczerpane)
188. Sławomir MROŻEK *Dwa listy i inne opowiadania*
189. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (T. III. „Dzieł Zebranych”)
190. Andrej AMALRIK *Czy Związek Sowiecki przetrwa do r. 1984?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 31-y) (wyczerpane)
191. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos* (T. IV. „Dzieł Zebranych”)
192. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 18-ty)

193. Władysław BIEŃKOWSKI *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 32-gi)
194. Andrzej BOBKOWSKI . *Coco de Oro. Szkice i opowiadania*
195. Juliusz MIEROSZEWSKI *Modele i praktyka*
196. Tadeusz NOWAKOWSKI *Happy-End*
197. — *Głosy stamtąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 33-ci)
198. O. N. BURBA-KOCHAŃSKI *List do emigranta* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 34-ty)
199. Tomasz STALIŃSKI ... *Cienie w pieczarze*
200. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 19-ty)
201. Bogdan CZAYKOWSKI . *Point-no-point* (Poezje)
202. — *Poznań 1956 - Grudzień 1970* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35-ty)
203. Aleksander SOŁŻENICYN *Oddział chorych na raka*
204. Witold GOMBROWICZ . *Teatr* (T. V. „Dzieł zebranych)
205. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (I) 1953-1956* (T. VI „Dzieł zebranych)
206. Władysław BIEŃKOWSKI *Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36-ty)
207. Danuta Irena BIEŃKOWSKA *Pieśń suchego języka* (Poezje)
208. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 20-ty)
209. Władysław BIEŃKOWSKI *Socjologia kłeski* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37-my)

Achévé d'imprimer le 15 octobre 1971

sur les presses

de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris - 18^e

Dépôt légal : 4^e trimestre 1971

Kultura
Mesmit-le-Roi
29. XI. 71

F. 35 (dol. 7,25; £. 2,90)